



SUSAN WIGGS



Pamiętne lato

WITAMY W OBOZIE KIOGA

Franklin Delano Roosevelt powiedział kiedyś: „Największym wkładem Ameryki w dzieje świata jest letni obóz”. Każdy, kto odwiedza Kioga, odkrywa prawdę tych słów dla siebie. To obozowisko jest miejscem, w którym spełniają się marzenia. Tutaj możesz nurkować w krystalicznych wodach prastarego jeziora, wchodzić na górskie szczyty i unosić wzrok ku niebu, spoglądać na żar ogniska w nocy i myśleć o tym wszystkim, co może dać ci życie.

REGULAMIN OBOZU

Nad obozem powiewają 3 flagi: obozu, stanu Nowy Jork i państwowa, wciągane co rano o wschodzie słońca i salutowane po pobudce przez wszystkich obozujących. Flaga państwowa zawsze jest umieszczana powyżej dwóch pozostałych. Jeśli flagi są wciągane na więcej niż jeden maszt, flaga państwowa winna być zawsze podnoszona pierwsza i opuszczana ostatnia. Żadna flaga ani proporczyk nie mogą znajdować się powyżej ani z prawej strony flagi państwowej. Gdy flaga państwowa jest opuszczona do połowy masztu, dwie pozostałe muszą znajdować się niżej niż ona.

PROLOG

Olivia Bellamy rozważała, co jest gorsze: być uwięzioną na czubku masztu flagowego bez nadziei na pomoc czy być uratowaną przez spieszących na odsiecz Aniołów Piekieł?

A przecież plan wciągnięcia (po raz pierwszy od 10 lat!) flag nad Obozowiskiem Kioga wydawał się taki prościutki... Oczywiście bloczki i linki zacinały się, ale to nie zniechęcało Olivii. Przyniosła starą, aluminiową drabinę i wdrapała się na nią tylko po to, by odkryć, że nie sięga czubka masztu. To żadna trudność, powtarzała sobie, dopóki przypadkowym kopnięciem nie odtrąciła drabiny.

Idiotko! - pomyślała, obejmując z całych sił maszt.

Miała prawo obawiać się o życie. Nie była bohaterką komiksu i nie umiała zejść w dół po pionowym słupie. Stara galwanizowana stal była mocno skorodowana i zdierała skórę z rąk i nóg.

Kiedy próbowała pomalutku spuścić się choćby odrobinę, na drodze rozległo się głośne prychnięcie, jakby motoru bez tłumika. Zaskoczona, o mało nie spadła z masztu. Instynktownie przycisnęła się do niego jeszcze mocniej i zamknęła oczy. Idź sobie, pomyślała. Nie chcę cię znać, kimkolwiek jesteś.

Hałas silnika narastał. Otworzyła oczy. Intruz okazał się motocyklistą w czarnych skórach. Nie widziała jego twarzy ukrytej pod złowróżbnie czarnym kaskiem i goglami. Za czarnym od lakieru i srebrzystym od chromu pojazdem rozwiewał się pióropusz kurzu.

Ale fart - pomyślała. - Zawisłam na słupie w kompletnej w głuszy, a tu Swobodny Jeździec przybywa mi z pomocą.

Poczuła drżenie mięśni rąk. Pomimo wszystkich godzin spędzonych na siłowni!

Motocyklista zahamował u podstawy masztu i zeskoczył z siodelka. Potem spojrział w górę - wprost na nią.

Nawet w tak niewygodnej sytuacji Olivia zaczęła się zastanawiać, jak z jego perspektywy wyglądają jej pośladki. Jako podlotek pochłaniała niebywale ilości jedzenia i zaliczyła z tego powodu wiele niepochlebnych przezwisk. Od tamtej pory nigdy nie była w pełni zadowolona ze swej sylwetki.

Rozegraj to na zimno, powiedziała sobie.

- Hej! - zawołała.

- Hej! Co się stało?

Choć nie widziała twarzy nieznanego, w jego głosie nie wyczuwała życzliwości. Upewniła się co do tego, gdy dodał:

- Przykro mi, ale sam ci nie pomogę. Świetnie. Ale fart. Cwaniak.

On jednak zaczął działać. Podniósł drabinę i oparł ją o maszt.

- Pomalutku! - zawołał. - Trzymam mocno!

Olivia była spocona jak mysz. Doszła do granic wytrzymałości. Zsuwała się w dół centymetr po centymetrze i czuła, jak szorty podjeżdżają jej do góry. Miała tylko nadzieję, że facet nie zwróci na to uwagi.

- Jesteś prawie na miejscu! - usłyszała. - Jeszcze troszeczkę!

Im niżej się znajdowała, tym głos wydawał jej się bardziej znajomy. Kiedy w końcu dotknęła stopą dolnego szczebla drabiny, ogarnęły ją złe przeczucia. Od lat nie zbliżała się w okolice tego obozu, miejsca najdzikszych marzeń i najgorszych koszmarów. Odkąd przyjechała tu kilka dni temu, nie spotkała żywej duszy. A teraz... Czy to możliwe?

Z maniakałnym uporem myślała o nieczesanych od rana włosach. O braku makijażu. Nie potrafiła sobie nawet przypomnieć, czy umyła zęby czy nie? Jej szorty były stanowczo za krótkie. Top - zbyt obcisły.

Niestety, każdy szczebel nieuchronnie zbliżał ją do spotkania, które będzie - co do tego nie miała wątpliwości - niezręczne i upokarzające. Wiedziała też, że zanim postawi stopę na twardym gruncie, musi wpaść w ramiona przytrzymujące mocno drabinę. Właściciel tych ramion pachniał skórą... i czymś jeszcze. Może wiatrem?

Mięśnie Olivii sygnalizowały, że grozi im całkowity bezwład na skutek wyczerpania. Resztką sił odepchnęła obcego i zeskoczyła na ziemię. Dobrze, że nie próbował jej chwycić. Puścił drabinę i wyciągnął ręce w czarnych rękawicach dłońmi do przodu, jakby na znak pokoju. Były to ręce Dartha Vadera. Albo Terminatora.

- W porządku - powiedział. - Jest pani bezpieczna.

Oparła się o drabinę.

Gdy spojrzała na niego, poczuła, że ziemia wcale nie stanowi pewnego oparcia dla jej stóp. I że w ogóle nic nie jest pewne.

Motocyklista wydawał się ogromny. Może z powodu stroju, który miał na sobie. Cały był w skórach - łącznie z nagołennikami. Nagołenniki okrywające spłowiałe dżinsy wytarte były do miękkości, T-shirt widoczny pod rozpiętą kurtką - znoszony, a buty... Buty zdradzały, że ich właściciel nie oszczędzał ich w pracy. Były jeszcze łańcuchy. Olivia nie miała pojęcia, do czego służą, ale jako ozdoba były sexy.

- Dziękuję - rzuciła szybko, wyślizgując się pomiędzy drabiny i tamtego. - Nie wiem, co bym zrobiła, gdyby pan się nie zjawił.

W jego lustrzanych goglach widziała swoje odbicie. Zaczerwienione policzki, rozwiane włosy. Wytarła ręce o szorty. Może to nie był on. Może to tylko świeże powietrze i słońce zamąciły jej w głowie.

- Ja... - zawahała się. - Jak mogę się zrewanżować?

Nawet nie zwrócił uwagi na to, co powiedziała.

- Odsłuchałem wiadomość, którą zostawiła pani w mojej poczcie głosowej. Jeśli dobrze zrozumiałem, chodzi o jakiś nowy projekt budowlany - mówiąc to, powoli ściągnął gogle i zdjął kask.

To jednak był on!

Byle nie to! Olivia wpadła w popłoch. Boże! Wszystko jedno kto, byle nie on, myślała. Potem motocyklista zaczął pozbywać się rękawic. Ściągał je palec po palcu, ze wzrokiem utkwionym badawczo w Olivii.

- Czy my się... skądś znamy? - zapytał, mrużąc oczy.

Żartuje czy nie pamięta?

Gdy nie odpowiedziała, odwrócił się i jednym ruchem wciągnął flagę na maszt. Wiatr natychmiast rozwinął ją na całą długość.

Olivia poczuła, że nie może się ruszyć. Oddychać. Myśleć. Jedno spojrzenie w te oczy, oczy pożeracza serc, przeniosło ją w dawne czasy. Lata rozwiały się jak kartki z podartego kalendarzyka. Nie patrzyła już na Swobodnego Jeźdźca. Spoglądała w twarz mężczyźnie, ale tak naprawdę widziała przed sobą chłopaka o lodowato błękitnych oczach, którym był kiedyś.

Nie pierwszego lepszego chłopaka, lecz tego jedyne. Pierwszego. Pierwszego we wszystkim, co wydarzyło się w czasach jej zakreconej, pełnej bólu młodości. Był pierwszy, którego pokochała. Pierwszy, którego pocałowała. I pierwszy, który złamał jej serce.

Poczuła gorąco. Jej ciało wróciło do życia.

- Connor Davis. - Po dziewięciu latach usłyszała to imię i nazwisko. - Miło mi.

Chcę umrzeć, myślała. Pozwól mi umrzeć tu i teraz, a już nigdy w życiu nie będę o nic pytać.

- Tak się nazywam - dodał niepotrzebnie. Jakby mogła o tym zapomnieć!

Już wtedy zapowiadał się na przystojnego mężczyznę. Teraz miał dwadzieścia osiem lat i najwyraźniej spełnił pokładane w nim oczekiwania. Był wysoki. Mięśnie zastąpiły dawną chudość, ale nieco krzywy uśmiech i błyszczące oczy wciąż były takie jak dawniej. Kwadratowy podbródek też - chociaż jednodniowy zarost złagodził trochę jego kanciasty kształt. I ciągle - Olivia zamrugnęła, żeby się upewnić, że wzrok jej nie zwodzi - tak, ciągle miał malutki, srebrny kolczyk w uchu. Sama go tam umieściła trzynaście lat temu. To musiał być ten sam.

- A pani jest... - Spojrzał na wnętrze lewej dłoni, na której nabazgrał coś fioletowym flamastrem. - Olive Bellamy?

- Olivia.

W myślach modliła się, żeby była dla niego kimś tak ważnym, jak on był ważny dla niej. Żeby rozpoznał w niej osobę, która kiedyś miała wpływ na jego przyszłość. I która, było nie było, ryzykowała wydalenie z obozu za przekłucie mu ucha.

- Olivia. Przepraszam. - Przyjrzał się jej z typowo męską natarczywością, najwyraźniej źle tłumacząc sobie jej zakłopotanie. - Nie miałem pod ręką żadnej kartki, kiedy sprawdzałem wiadomości - wyjaśnił, wskazując fioletowe literki na dłoni. Potem zmarszczył brwi. - Czy spotkaliśmy się już kiedyś?

Parsknęła krótkim, nieuprzejmym śmiechem.

- Żartujesz, prawda? To miał być dowcip, tak?

Czyżby aż tak się zmieniła? No, powiedzmy, że trochę. Minęło prawie dziesięć lat. Waży chyba o całą tonę mniej. Nie jest już rudzielcem, ale miodową blondynką. Nosi szkła kontaktowe zamiast małych twarzowych okularów. Ale ciągle...

Gapił się na nią osłupiały i dalej nie wiedział, o co jej chodzi.

- Czy to znaczy, że się znamy? - wymamrotał.

Rozłożyła ramiona i przywołała z pamięci zdanie, które prawdopodobnie pamiętał, gdyż było to jedno z pierwszych kłamstw, jakie sobie powiedzieli.

- Jestem twoją nową przyjaciółką.

Chyba zaczynał kojarzyć. Wytrzeszczył oczy. Krew odpłynęła z jego opalonej, przystojnej twarzy. Jabłko Adama poruszyło się w górę i w dół.

- Jasny gwint! - mruknął, nieświadomym ruchem dotykając kolczyka. - LOLLY?!



OBÓZ KIOGA - ZASADY ZACHOWANIA

Od każdego oczekuje się udziału w zaplanowanych zajęciach zgodnie z regulaminem obozu oraz noszenia odpowiedniego do nich stroju. Opiekunowie odpowiadają za udział uczestników obozu we wszystkich przewidzianych programem działaniach, z wyjątkiem przypadków usprawiedliwionych przez obozową pielęgniarkę lub kierownika.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Lato 1991

- Lolly. - Wysoki, chudy chłopak, wędrujący jej śladem, odkąd opuścili obóz-bazę, odezwał się po raz pierwszy. - Lolly. Jakies popieprzone. Czy w ogóle jest takie imię?

- Jest, skoro mam je wydrukowane na podkoszulku - odrzekła, przerzucając przez ramię brązowy kucyk.

Ku swej rozpaczy poczuła, że się rumieni. Cholera! Prostack, więc zadaje proste pytania...

W jej głowie natychmiast rozdzwonił się brzęczyk. Jak w teleturniejach. Żle, pomyślała. Wcale nie prostack, tylko najprzystojniejszy gość w zastępie Orłów wśród wszystkich chłopaków pomiędzy dwunastym a czternastym rokiem życia. Ale powiedział „popieprzone”. Lolly nigdy nie przyznałaby się do tego głośno, ale nie znosiła przekleństw. Kiedy próbowała jakiegoś użyć, zacinała się i czerwieniła, i każdy widział, że czuje się nieswojo.

- Chwytam - mruknął chłopak, a gdy skręcali, wyprzedził ją, burcząc pod nosem coś, co przypuszczalnie miało znaczyć „przepraszam”.

Potem poszedł powoli dalej, pogwizdując stary utwór zespołu Talking Heads. Nie zafalszował ani razu.

Wędrowali dwójkami. To był pierwszy punkt programu w sezonie. Mieli w ten sposób oswoić się z przestrzenią wokół obozu i bliżej się poznać. Dobrano ich w pary zaraz po opuszczeniu autokaru. W tym czasie ich posortowane bagaże wędrowały do poszczególnych domków kempingowych. Jej przydzielono tego chudzielca, bo obydwójce wysiedli ostatni.

Splotła ramiona na piersiach i rzuciła:

- Jestem twoją nową przyjaciółką.

Spojrzał na nią, skrzywił się i odrzekł z udawaną galanterią:

- Barkis gotów!

Ale się popisuje! Lolly udawała, że cytat z „Davida Copperfielda” w ogóle nie wywarł na niej wrażenia. Wcześniej udawała, że nie widzi, jak inni chłopcy poszturchują go i potracają, kiedy ogłoszono, że podczas marszu na wzgórze ma towarzyszyć Lolly Bellamy.

Nowy nie był typowym obozowiczem z Kioga. Wyczułby to każdy, kto tak jak ona przyjeżdżał tu rokrocznie od ukończenia ósmego roku życia. Miał kanciaste ruchy, za długie włosy i zbyt obwisłe szorty. Wyglądał nieco... groźnie z tymi bladobłękitnymi oczami i ciemnymi włosami. Takie połączenie pociągało i niepokoiło równocześnie.

W prześwitach między drzewami migały czasem inne pary wędrujące lasem. Czasem były to czwórki. Wszyscy rozmawiali ze sobą. Już pierwszego dnia zawiązywały się wakacyjne przyjaźnie. A Lolly od samego początku wiedziała, że zostanie odrzucona. Zawsze tak było. Wakacje nie zmieniały się w koszmar tylko dzięki temu, że na obóz przyjeżdżały także jej kuzynki.

Poprawiła okulary. Poczowała tępe ukłucie zazdrości. Tamci dopiero co się poznali, a już wyglądali na zżytych. Pasowali do siebie. Nawet kompletnie nowi, jak ten chudzielec. Od razu po wyjściu z autokaru łączyli się w grupki, chodzili tu i tam, śmiali się i wygłupiali. Niektóre dziewczyny nonszalancko zarzuciły na ramiona obozowe bluzy z kapturem. Pokazywały światu, że jeśli człowiek ma wrodzone poczucie elegancji, to nie zaszkodzi mu nawet mundurek. Większość chłopców nosiła chusty zawiązane na czołach w stylu Ramba. A wszyscy byli tak nadęci, jakby to miejsce należało do nich.

I to było zabawne. Bo nikt z nich nie był właścicielem Kioga. Nikt oprócz Lolly. No, mniej więcej.

Ten obóz założyli jej dziadkowie. Gdy Lolly należała do Żółtodziobów - wiek od ośmiu do jedenastu lat - chwaliła się tym, żeby zyskać uznanie w oczach innych dzieci. Nic nie wskórała. Po prostu nikt nie zwracał na to uwagi.

Chłopak znalazł długi kij. Uderzał nim po zaroślach albo wspierał się na nim, uważnie lustrując otoczenie. Zupełnie jakby spodziewał się nagiego ataku nie wiadomo skąd.

- Masz na imię Ronnoc? - spytała w końcu. Spojrzał na nią jak na osobę niespełna rozumu.

- Co?

- Taki napis masz na koszulce.

- Jest na lewej stronie, geniuszko.

- Żartowałam...

- Cha, cha, bardzo śmieszne. - Wzruszył ramionami i dźgnął kijem ziemię.

Ich punktem zbornym miał być szczyt Góry Siodłowej, która była raczej dużym wzgórzem niż prawdziwą górą. Na jej wierzchołku znajdował się dół na ognisko, otoczony kręgiem ław z pni. Ogniska były ważnym elementem obozowej tradycji. Babcia opowiadała, że za czasów pierwszych osadników na podobnych wzniesieniach podróżni rozpalali ogniska

sygnałowe, aby porozumiewać się z innymi na duże odległości. Lolly już chciała podzielić się tą wiedzą ze swoim współtowarzyszem, ale ugryzła się w język.

Nie lubiła go. Od początku wiedziała, że go nie polubi. W gruncie rzeczy od początku wiedziała, że tego lata na obozie nie znajdzie się nikt, kogo da się polubić. Jej dwie najbliższe kuzynki, Frankie - zdrobnienie od Francine - i Dare, które zazwyczaj przyjeżdżały tu razem z nią, w tym roku spędzały wakacje w Kalifornii ze swoimi rodzicami - ciocią Peg i wujkiem Clyde'em. Rodzice Lolly nie uznawali takich wakacji. Woleli podróże, o których można później opowiadać. Właściwie lubili wszystko, o czym można opowiadać innym: eleganckie wycieczki, nieruchomości, antyki, dzieła sztuki... Snuli nawet opowiadki o swojej córce. Mocno naciągane, oczywiście - zwłaszcza teraz, kiedy Lolly ukończyła szóstą klasę. Był to rok, w którym jej oceny poszły mocno w dół, a waga poszybowała wzwyż. Rok ich rozvodu.

To dopiero byłby materiał na opowieść, pomyślała.

- Dostaliśmy zadanie. Po drodze mamy dowiedzieć się o sobie trzech rzeczy, a po wejściu na szczyt przedstawić reszcie swojego partnera - odezwał się chudzielec.

Chłopak nie miał poczucia humoru i wcale nie zamierzała lepiej go poznawać.

- Nie chcę wiedzieć o tobie żadnych trzech rzeczy. - Wzruszyła ramionami.

- Ani ja o tobie.

Zapoznawcze ognisko jest zawsze koszmarnie. Szkoda, bo nie musiało takie być.

Młodszym dzieciom było łatwiej - nie zastanawiały się nad tym, co mówić, a co zachować dla siebie, więc mówiły o wszystkim. Najlepszym przykładem była ona sama. Rok temu palnęła: „Moi rodzice rozwodzą się”, i zaraz potem cały jej świat rozpuścił się we łzach i zrobił nieostry jak rozmazana fotografia, a jej życie zmieniło się w koszmar. Teraz jednak była o cały rok starsza i wiedziała, że prezentacje są albo nudne, albo głupie, albo jedno i drugie.

- Szkoda, że nie możemy sobie tego odpuścić - powiedziała. - Straszne nudziarstwo.

Młodszym dzieciom łatwiej w to wejść i czasami powiedzą coś ciekawego.

- Ciekawego? Na przykład co?

- Na przykład, że wujka tropi FBI albo że brat ma trzeci sutek.

- Co takiego?

Lolly przypuszczalnie nie ciągnęłaby tematu, ale podejrzewała, że chłopak nie odpuści, dopóki czegoś się nie dowie.

- To, co słyszałeś - odrzekła z wyczekującą miną. Nie pomyliła się.

- Trzecia pierś? Totalny bzdet. Nikt nie ma trzech piersi.

- Akurat. Bebe Blackmun powiedziała raz całej grupie, że jej brat ma.

- Widziałas to?

- Nawet bym nie chciała. - Wzdrygnęła się. - Brrr.

- Pierdoły.

Lolly udawała, że brzydkie wyrazy, których używa, nie robią na niej wrażenia.

- Założę się, że ty też masz trzy. - Nie wiedziała, dlaczego to mówi, bo szansa na wygranie takiego zakładu równała się zeru.

- Taa, pewnie - odrzekł.

Stanął, odwrócił się twarzą do niej i jednym zwinnym ruchem ściągnął z siebie koszulkę. Zrobił to tak szybko, że nie zdążyła zareagować.

- Umiesz liczyć? - zapytał kpiąco.

Czuła, jak jej twarz pokrywa się ciemnym rumieńcem. Uciekła spojrzeniem w bok. Idiotka! Co za idiotka ze mnie. Czy ja w ogóle myślę?

- Może to ty masz trzy sutki - zaśmiał się złośliwie. - Może powinienem je policzyć.

- Cham! - prychnęła.

- To ty zaczęłaś.

- Próbowałam jakoś podtrzymać rozmowę. O czym można rozmawiać z takim typem? Jesteś kompletnym nudziarzem. Stuprocentowym.

- Aha. Tak, to cały ja. Nuuu-dziaaarz.

Okrażył ją, przedrzeźniając jej chód. Nie włożył z powrotem koszulki, tylko wepchnął ją za pasek szortów. Z opaską z chustki na głowie i przepaską wokół bioder wyglądał jak prawdziwy dzikus. Jak Jack z „Władcy much”.

Nieżył z niego numer, pomyślała, i w tej samej chwili potknęła się o korzeń. Chłopak odwrócił się, kiedy próbowała chwycić najbliższą gałąź, żeby zachować równowagę. Mogłaby przysiąc, że wyciągnął rękę i zahamował jej upadek, ale stało się to tak szybko, że nie była pewna, czy w ogóle jej dotknął. W sekundę później szedł już dalej.

Wlepiała wzrok w jego gołe plecy. To nie był przejaw złego wychowania czy wścibstwa - najzwyczajniej w świecie poczuła się zaniepokojona.

- Co masz na plecach? - zapytała wbrew sobie.

- Co cię to obchodzi? - Władca much skrzywił się nieprzyjemnie.

- Najpierw myślałam, że jesteś niedomyty, ale teraz widzę, że to całkiem spora blizna.

Odwrócił się z twarzą wykrzywioną niemal komicznie.

- Nie mam żadnej blizny. Ty faktycznie jesteś jakaś dziwna. Najpierw dodatkowe sutki, a teraz widmowe blizny...

- Widziałam na własne oczy - upierała się.

Niechęć, którą do niego czuła, ustąpiła miejsca współczuciu. Owszem, miejsce było już zagojone, bo intensywnie różowa skóra zaczynała blednąć na obrzeżach blizny, ale taka wielka rana musiała nieźle boleć.

Zmrużył oczy i spojrzał na nią ponuro. Przez moment wyglądał naprawdę groźnie.

- Nic takiego. Spadłem z roweru. Wielkie rzeczy! - rzucił, przyspieszając kroku.

- Słuchaj, nie chciałam cię zdenerwować. - Lolly musiała biec, żeby za nim nadążyć.

- Wcale mnie nie zdenerwowałaś - warknął i ruszył jeszcze szybciej.

Nieźle mi poszło, pomyślała. Na początku wakacji zrobiłam sobie pierwszego wroga. I na pewno nie ostatniego. Fajnie mieć talent do zrażania sobie ludzi. Connor powiedział wprawdzie, że nie jest zły na nią, ale na pewno był zły na COŚ. Stąd napięte jak struna mięśnie i gwałtowne ruchy.

Nic wielkiego? Upadek z roweru? Ciekawe!

Kiedy człowiek zlatuje z roweru, uszkodza sobie zwykle łokcie i kolana, czasem głowę. Ale nie plecy! Chyba że spada ze zbocza wzgórza i szoruje plecami po czymś naprawdę ostrym. Albo - jeśli nie mówi prawdy o tym, co się rzeczywiście stało.

Ten chłopak fascynował ją i drażnił jednocześnie. To było rozpaczliwie frustrujące uczucie. Robiła wszystko, żeby go nie polubić. Mogłaby go potem ignorować przez resztę lata. Ale okazał się ciekawszy, niż myślała. Intrygował ją. Chociaż starał się to ukryć, Lolly widziała, że trochę się wstydzi swoich zbyt długich włosów, byle jakich spodni i butów sklejonych taśmą. Ale w jego spojrzeniu dostrzegła coś więcej niż bezczelność, jaką zwykle demonstrowali inni chłopcy. Lodowato niebieskie oczy, które czytały „Davida Copperfielda”, musiały oglądać rzeczy, których nie są w stanie wyobrazić sobie naiwne dziewczynki w typie Lolly.

Ścieżka skręcała ostro w górę. Za zakrętem powitał ich huk wody spadającej z wysokości trzydziestu metrów.

- Nieźle! - powiedział Connor i odchylił głowę, żeby objąć wzrokiem cały wodospad.

Strumień, którego źródła były ukryte gdzieś wysoko w górach, przelewał się tutaj przez skalny próg. Woda rozbijała się o głazy, a unoszące się w powietrzu krople tworzyły wodną mgłę. Wszędzie tam, gdzie przebijały się przez nią promienie słońca, powstawały małe tęcze.

- Niesamowite! - Connor najwyraźniej zapomniał, że jeszcze przed chwilą był wściekły.

- To wodospad Meerskill - wyjaśniła Lolly, przekrzykując szum wody. - Jeden z największych w stanie. Chodź na most. Będziesz miał lepszy widok.

Most Meerskill zbudowano na polecenie rządu stanowego jeszcze w latach trzydziestych. Oszaloniająco wysoka, łukowata konstrukcja spinała brzegi wąwozu, w dole którego pędziła spieniona woda.

- Miejscowi nazywają go Mostem Samobójców, bo już kilka osób zabiło się, skacząc z niego do wody.

- Jasne - mruknął z niedowierzaniem.

Całą uwagę skupił na rzece, która torowała sobie drogę wśród kobierców mchu i soczystych paproci.

- Mówię poważnie. To dlatego na barierkach są dodatkowe łańcuchy ochronne. - Lolly wspinała się na most tuż za nim. - Zamontowano je jakieś pięćdziesiąt lat temu, zaraz po tym, jak z mostu skoczyło dwoje nastolatków.

- Skąd wiesz, że skoczyli? - spytał.

Mgła przyłgnęła mu do włosów i brwi. Zrobił się jeszcze przystojniejszy. Lolly zastanawiała się przez moment, czy ona też tak ładnie wygląda. Raczej nie. Tylko zaparowały jej okulary.

- Wszyscy to wiedzą. Przepisnęli się na zewnętrzny podest mostu pod barierką zabezpieczającą.

- A może spadli przypadkiem. Albo ktoś ich popchnął. A może po prostu nie istnieli.

- Zawsze jesteś takim niedowiarkiem? - zapytała urażona.

- Tylko jak ktoś wciska mi głodne kawałki.

- Zapytaj, kogo chcesz. Każdy powie ci to samo.

Zadarła brodę do góry i przeszła przez most na drugą stronę wąwozu. Nawet nie sprawdziła, czy on idzie za nią. Ale szedł. Przez chwilę wędrowali w ciszy. Mieli już poważne opóźnienie w stosunku do reszty grupy, ale ponieważ Connor zupełnie się tym nie przejmował, Lolly postanowiła zrobić to samo. Przecież nie brali udziału w żadnym wyścigu.

Przyglądała mu się ukradkiem. A gdyby tak poeksperymentować i polubić tego gościa? Tak troszeczkę?

- Patrz! - obniżyła głos do szeptu. - Dwa młode jelenki i łania.

Ścieżka skręciła w stronę pochyłej łączki, pełnej dzikich kwiatów i otoczonej wiankiem młodych brzózek.

- Gdzie? - Wyciągnął szyję.

- Ćśśś... Bądź cicho.

Gestem pokazała, żeby zszedł ze ścieżki. W tych okolicach sarny nie były rzadkością, ale takie bliskie spotkanie zawsze zaskakiwało. Łania skubała trawę i młode listki. Jelenki trzymały się blisko niej. Mieli je teraz niemal na wyciągnięcie ręki. Dokładnie widzieli płowe plamki na ich brązowej sierści i wielkie, niewinne oczy. Stali nieruchomo na skraju polany. Patrzyli.

Po chwili dała mu znak, żeby usiadł na leżącym pniu i sama usiadła obok. Z pokrowca przytroczonego do paska wyciągnęła lornetkę i podała mu ją.

- Niesamowite - stwierdził, przytknąwszy szkła do oczu. - Nigdy w życiu nie widziałem jeszcze sarny na wolności.

Skąd on się wziął, zastanawiała się. Przecież sarny to nie jakieś rzadkie zwierzęta.

- W ciągu doby jeleni zjada tyle, ile sam waży.

- Skąd to wiesz?

- Z książki. W zeszłym roku przeczytałam sześćdziesiąt książek.

- Rany! Dlaczego?

- Bo nie miałam czasu na więcej - odrzekła z wyższością. - Trudno uwierzyć, że ludzie do nich strzelają. Są takie śliczne.

Pociągnęła łyk wody z manierki. Scena przed nimi do złudzenia przypominała staromodny oleodruk: młoda, zielona łąka z lasem w tle, pastelowe kwiaty muskane przez wietrzyk i trzy przeżuwające sarny.

- Świetna lornetka - powiedział Connor. - Widać wyraźnie wszystko aż do samego jeziora.

- Dostałam od taty. To przepaszanka. Odjął lornetkę od oczu.

- Przepaszanka? Co to jest?

- To takie coś, co dostajesz, kiedy twój tata nie przyjeżdża na twój recital fortepianowy, chce cię przeprosić i kupuje ci naprawdę drogi prezent.

- Wiesz co... są gorsze rzeczy niż nieobecność ojca na koncercie. - Connor znów popatrzył przez lornetkę. - Czy mi się wydaje, czy na środku jeziora jest wyspa?

- Tak. Nazywamy ją Świerkową Wyspą. Puszczą się tam sztuczne ognie z okazji Dnia Niepodległości. W zeszłym roku próbowałam tam dopłynąć, ale... nie dopłynęłam.

- Co się stało?

- W połowie drogi zaczęłam wołać o pomoc. Kiedy wyciągnęli mnie na brzeg, udawałam, że się topiłam, więc nikt mnie nie posądził, że w ten sposób próbuję zwrócić na siebie uwagę. Wezwano moich rodziców.

Dokładnie o to jej wtedy chodziło. Teraz żałowała, że zaczęła o tym opowiadać, ale gdy raz zaczęła mówić, nie potrafiła przestać.

- Rodzice rozwiedli się w zeszłym roku i miałam nadzieję, że obydwoje przyjadą mnie odebrać.

Zdziwiła się, że wypowiedziane przed chwilą słowa tak mocno ją zabolaly.

- Zadziałało? - zapytał rzeczowo.

- A skąd! O takim pojęciu jak „rodzina” powinnam od razu zapomnieć. *Finito, kaput, adieu!* Wysłali mnie do terapeuty, który powiedział, że muszę zredefiniować swoją koncepcję rodziny i własnej roli w rodzinie. No więc teraz pracuję nad przystosowaniem się. W końcu rozwód rodziców to podobno normalna, zwykła sprawa, nic wielkiego w tych czasach. - Przyciągnęła kolana do piersi i patrzyła na jelenie, póki nie zamglily jej się oczy. - Ale nie dla mnie. Czuję się tak, jakbym wpadła do morza i jakby nikt nie chciał uwierzyć, że tonę.

Connor milczał. Zupełnie jak doktor Schneider podczas sesji terapeutycznych. Pomyślała, że przestał jej słuchać, ale nie.

- Jeśli naprawdę toniesz i nikt w to nie wierzy, to lepiej zacznij płynąć, do cholery! - odezwał się po chwili.

- Dobra - parsknęła smutnym śmiechem. - Zapamiętam to sobie.

Nie patrzył na nią, jakby wiedział, że musi dać jej czas na pozbieranie się. Trzymając lornetkę przy oczach, lustrował otoczenie i pogwizdywał przez zęby. Lolly wydawało się, że poznaje melodię: „Stop Making Sense” zespołu Talking Heads. Poczula się krucha i słaba, jak w zeszłym roku, kiedy wyciągnięto ją z jeziora. A co gorsza - płakała. Nie miała pojęcia, kiedy zaczęła. Z całych sił próbowała powstrzymać łzy, ale to nie było łatwe.

- Powinniśmy już iść - powiedziała, przyciskając chustkę do twarzy.

Idiotka! Po co opowiadać o takich rzeczach chłopakowi, którego się nie lubi?

- Dobra. - Wyciągnął rękę za siebie i oddał jej lornetkę.

Wrócił na ścieżkę i ruszył przodem. O ile przedtem sytuacja była jedynie niezręczna, o tyle teraz, zdaniem Lolly, zrobiła się nie do zniesienia. Załamała się i płacz uniemożliwił jej zawarcie przyjaźni z tym gościem. Rozpaczliwie próbując zmienić temat, powiedziała:

- Czy wiesz, że cała nasza kadra to dawni obozowicze? - zapytała.

- Pojęcia nie mam - odpowiedział obojętnym tonem.

Za słaby prąd w obwodach plotkowania, pomyślała.

Jeśli chce, żeby jej opowieści wywarły na nim odpowiednie wrażenie, musi wzmocnić napięcie.

- Zdarza się, że prowadzą podwójne życie - dodała. - Nie każdy o tym wie, ale po nocach urządzają sobie imprezki. No wiesz, alkohol, dzikie jazdy, te rzeczy.

- Ale rewelacja! - parsknął. - Powiedz mi coś, co mnie naprawdę zdziwi.

- A co powiesz na to, że nasza szefowa kuchni, Gertie Romano, startowała w wyborach na Miss stanu Nowy Jork, ale zaszła w ciążę i odpadła? Albo Gina Palumbo - mieszkam z nią w jednym domku - wiesz, co mi powiedziała? Że jej tata to szef mafiosów. Albo taki na przykład Terry Davis, nasz dozorca. Mówią o nim, że to pijak nie z tej ziemi.

Connor odwrócił się gwałtownie i wbił w nią wzrok. Podkoszulek rozwiązał się z powodu nagłego ruchu i upadł na ziemię.

- Jeśli się nie mylę, coś ci chyba upadło. - Z wyniosłą miną podała mu zaplamiony keczupem podkoszulek.

Z tyłu na małej naszywce widniało jego imię i nazwisko: Connor Davis.

- Davis? - przeczytała na głos i aż ją zatkało. - To twoje nazwisko?

Zaczynała rozumieć, jaką gafę palnęła.

- Ale ty jesteś wścibska - burknął, odbierając jej koszulkę. - A niby czyje ma być, geniuszko, skoro to ja noszę tak oznaczone ubrania?

Lolly wstrzymała oddech. O, kurczę! Davis. Jak Terry Davis. A niech to!

- To znaczy, że... - zawahała się. - Czy to znaczy, że dozorca to twój krewny?

Uszy Connora zrobiły się wściekle czerwone.

- Owszem. Nawet bardzo bliski krewny. Ten pijak nie z tej ziemi to mój ojciec - rzucił i odszedł.

Musiała działać.

- Hej, zaczekaj! - zawołała, biegnąc za nim. - Przepraszam! Ja nie wiedziałam... Nie miałam pojęcia... O rany!... Nie powinnam o tym mówić... Powtarzałam głupie plotki...

- Świetna z ciebie aktorka.

- Nieprawda. Okropna. Czuję się wrednie.

Dalej biegła, żeby dotrzymać mu kroku. Dręczyło ją poczucie winy, dotkliwie jak ból zęba. Nie, dużo gorsze. Nie mówi się takich rzeczy o czyichś rodzicach. Mogła się domyślić. Jej rodzice potrafili być paskudni, ale poczułaby się urażona, gdyby usłyszała to od kogoś obcego.

Tylko skąd mogła wiedzieć, że Terry Davis ma syna? Wydawało się, że on w ogóle nie ma krewnych. Nikt go nigdy nie odwiedzał. O różne rzeczy można by go podejrzewać, tylko nie o syna. Dostała nauczkę. Powinna trzymać buzię na kłódkę.

Swoją drogą to nieprawdopodobne. Ten spokojny, melancholijny mężczyzna pracował w Kioga już wiele lat i ani razu nie wspomniał, że kiedykolwiek miał żonę. Jego ojciec i dziadek Lolly walczyli razem w Korei. Tylko tyle wiedziała. Dziadek opowiadał, że spotkali się podczas bombardowania nad rzeką Han i że pan Davis był bohaterem, i że z tego powodu w Kioga zawsze znajdzie się miejsce dla niego i jego rodziny. Zawsze, niezależnie od okoliczności. Nawet jeśli „okoliczności” oznaczają pijaka nie z tej ziemi - jak to raczyła przed chwilą określić.

Terry Davis wydawał się stałym i niezmiennym elementem obozowego krajobrazu. Mieszkał samotnie w jednym z domków dla personelu na obrzeżach posiadłości. Zajmowali je kucharze, dozorczy, ogrodnicy, kierowcy i pracownicy techniczni - wszyscy ci niewidzialni ludzie, dzięki którym to miejsce wyglądało jak pierwotna dzicz.

Davis był samotnikiem. Jeździł starym dżipem, często wydawał się zmęczony i nieraz robił sobie - jak mówił jej dziadek - „wychodne”.

- Strasznie... mi przykro. Naprawdę - usprawiedliwiała się.

- Z mojego powodu? Odpuść sobie.

- Nie... Przykro mi, że powiedziałam coś takiego o twoim ojcu. To jest różnica.

Connor potrząsnął głową, odrzucając z czoła grzywę ciemnych włosów.

- Rozumiem.

- Pan Davis nigdy nie mówił, że ma dziecko...

Natychmiast po wypowiedzeniu tych słów zrozumiała, że pograża się za każdym razem, kiedy otwiera usta. „Język lata jak łopata”, przypomniała sobie dzieciinne powiedzenie.

- To znaczy, ja nie słyszałam... - wyjąkała.

- Nigdy nie chciałem, żebyś spędzał tu lato, ale moja matka drugi raz wyszła za męża i ojciec nie życzył sobie, żebyś jechał z nimi - wyjaśnił Connor. - Powiedział, że troje ludzi w jednej dwuosobówce to za wiele.

Lolly pomyślała o bliźnie na jego plecach, ale na szczęście tym razem udało jej się nie otworzyć ust.

- Dwuosobowa przyczepa kempingowa rzeczywiście jest trochę za mała dla trzech osób. Tylko że ty nie możesz tego wiedzieć - dodał. - Założę się, że mieszkasz w jakiejś wypasionej rezydencji.

Nawet w dwóch, pomyślała. Na każdego z rodziców przypada po jednej. W porównaniu z ich domami wszystko może wydać się nędzne.

- Odkąd skończyłam osiem lat, rodzice wysyłali mnie tu na każde wakacje - powiedziała. - Może chcieli się mnie pozbyć, żebyś nie widziała, jak się biją? Bo przy mnie nie robili tego nigdy.

Ciekawe, czy ich rozwód też byłby dla mnie aż takim szokiem, gdybym to widziała, zastanawiała się w myślach.

- Kiedy matka odkryła, że dzięki tej robocie ojca mogę tu przyjeżdżać za darmo, klamka zapadła - wyjaśnił Connor.

Lolly niczym detektyw porządkowała w myślach fakty. Był tu za darmo, co oznaczało, że korzystał z funduszu opiekuńczego. Co roku, zgodnie ze statutem wprowadzonym przez jej dziadków, na obozie przebywali za darmo specjaliści goście. Były nimi dzieci z rozbitych rodzin i „grup wysokiego ryzyka”, choć Lolly nie wiedziała, co w tym wypadku oznacza słowo „ryzyko”.

Na obozie wszyscy ubierali się jednakowo, jednakowo spędzali czas, jedli i spali jednakowo. Nie było wiadomo, czy ten ktoś obok ciebie jest dzieckiem ulicy czy potomkiem księcia. Czasem jednak coś wychodziło na jaw. Specjalnych gości można było poznać po wymowie, niekiedy po wyglądzie. Zdradzały ich zepsute zęby. Albo złe zachowanie. Albo, tak jak Connora, twarde, groźne spojrzenie, wysyłające sygnał: „nie wasz interes!”. Poza tym nic nie świadczyło ani o jego „specjalności”, ani o „ryzyku”. Nic, poza bólem, który dostrzegła w jego oczach, kiedy nazwała jego ojca pijakiem.

- Strasznie się wygłupiłam - zrejterowała. - Makabrycznie. Nie powinnam w ogóle się odzywać.

- Racja. Nie powinnaś. Świrnięta jesteś i tyle.

Wyglądało na to, że już się do niej więcej nie odezwie. Nigdy.

Świetnie, pomyślała. Zawaliła sprawę. Jak zawsze. Wszystkie jej kontakty z rówieśnikami tak się kończyły. A on zapewne opowie każdemu, że z powodu rozwodu rodziców znikowała i wylądowała na terapii. I że płakała.

A poza tym zrobiła sobie z niego śmiertelnego wroga.

Wlokła się noga za nogą i z każdym krokiem wyrzucała sobie, że coraz bardziej się poci i garbi. JESTEŚ IDIOTKĄ, LOLLY BELLAMY, powtarzała w myślach. Co roku przyjeżdżasz tu ze śmiesznie wygórowanymi oczekiwaniami: „Tego lata będzie inaczej. Tak. Tego lata. Nawiążę nowe przyjaźnie. Będę uprawiać sport. Będę żyć po swojemu. Choćby przez kilka tygodni”.

Rzeczywistość nie zamierzała jednak liczyć się z jej oczekiwaniami. Wyjazd na wakacje nie oznaczał, że kłopoty zostają w mieście. One wędrowały za Lolly jak cień, który robi się tym ciemniejszy, im jaśniejsze jest światło.

Na szczyt weszli ostatni. Wszyscy obozowicze siedzieli już na wielkich starych pniach wokół miejsca na ognisko. Niektóre z nich były tak stare, że aż miały wgłębienia od siadania. Ognia nie rozpalono - dzień był słoneczny i upalny.

Zastępowymi Orłów w tym roku byli Rourke McKnight i Gabby Spaulding. Oboje idealnie nadawali się do tej funkcji. Byli piękni i dziarscy. Życie obozowe nie miało przed nimi tajemnic. Zнали na pamięć regulaminy, zasady udzielania pierwszej pomocy, podstawowe słowa języka algonkińskiego, którym posługiwali się miejscowi Indianie i wszystkie piosenki do śpiewania przy ognisku. Umieeli posługiwać się perswazją, co przydawało się, kiedy trzeba było leczyć różne marudy z tęsknoty za domem. A trzeba przyznać, że była to często spotykana dolegliwość, szczególnie u maluchów z zastępu Żółtodziobów. Słowem, Rourke i Gabby mieli w sobie to, co babcia i dziadek patetycznie nazywali „kiogańskim *esprit de corps*”.

W czasach młodości dziadków problem tęsknoty za domem w Kioga nie istniał. Wtedy było to klasyczne letnisko. Wakacje spędzały tu całe rodziny wynajmujące poszczególne domki. Gdy nadchodziło lato, do bungalowów zjeżdżały matki z dziećmi. W każdy weekend dołączali do nich ojcowie, przybywający pociągiem z miasta. Stąd wziął się termin „kolonia bungalowów”. Babcia opowiadała Lolly, że kiedyś rokrocznie bywały tu te same rodziny. Ludzie zaprzyjaźniali się ze sobą, a ponieważ pobyt w Kioga dawał im jedyną szansę spotkania, z utęsknieniem wyczekiwali następnego lata.

Babcia miała zdjęcia z dawnych dni. Oprawne w skórę albumy skrywały czarno-białe fotografie o chropowatych krawędziach. Ojcowie widoczni na nich palili fajki, popijali whisky z wodą sodową albo opierali się na raketach tenisowych. Ich żony w fantazyjnie zawiązanych chustkach i bluzkach z marynarskimi kołnierzami odpoczywały na wiklinowych fotelach ogrodowych, a w pobliżu bawiła się cała gromada dzieci. Szczęśliwe chwile zatrzymane w czasie.

Lolly nie miałaby nic przeciwko takiemu życiu, które niestety dziś było niemożliwe - kobiety robiły kariery, no i wiele z nich wcale nie miało mężów.

Teraz w bungalowach mieszkała obozowa kadra: za dnia - schludna, entuzjastyczna młodzież, nocami - dzicy imprezowicze. Zeszłego lata Lolly i jej trzy kuzynki, Ceci, Frankie

i Dare, wymknęły się ze swojego domku podczas ciszy nocnej, żeby podejrzeć, co się tam dzieje. Najpierw był alkohol. Potem tańce. A później parki obściskowały się dosłownie wszędzie: na werandach, na fotelach, nawet pośrodku estrady tanecznej. Ceci, najstarsza z całej czwórki, westchnęła wtedy z utęsknieniem i szepnęła: „Chciałabym już być z nimi”. „Bleee” usłyszała od Lolly i swoich sióstr, które ze wstrętem odwróciły wzrok od tej sceny.

Teraz Lolly była o rok starsza i lepiej rozumiała Ceci. Bezbłędnie wyczuwała, że pomiędzy Gabby i Rourke istnieje coś w rodzaju elektrycznego napięcia. Wyobrażała sobie, jak wieczorami, na swoim terenie, tych dwoje trzyma się razem, jak tańczą, jak flirtują, jak...

Odczytano listę obecności. Potem Rourke wziął do rąk gitarę (jakżeby inaczej) i wszyscy razem zaśpiewali. Głos Connora oszołomił Lolly. Większość chłopaków mamrotała i fałszowała. On - nie. Śpiewał „We Are the World” bez popisywania się, ale z wprawą zawodowca. Część chłopaków gapiła się na niego z politowaniem, ale on wzruszył tylko ramionami. Za to niektórym dziewczynom wyraźnie opadły szczęki. W porządku. To znaczy, że Lolly nie była jedyna.

Wielka szkoda, że z niego taki nerwus. A jeszcze większa, że ona nie ma już u niego żadnych szans, bo sama je zaprzepaściła.

Nadszedł czas na prezentacje. Były tak nudne, jak przypuszczała. Każdy musiał wstać i przekazać trzy fakty na temat partnera, z którym wędrował na górę. W ten sposób w praktyce miała objawić się naczelną ideą kiogańskich obozów głosząca, że wspólne przeżywanie przygód sprawia, że obcy ludzie stają się przyjaciółmi.

My nie wiemy o sobie nic oprócz tego, że jesteśmy wrogami, pomyślała w popłochu. Nie miała pojęcia, gdzie on mieszka - z wyjątkiem tej „dwumiejscówki” - czy ma rodzeństwo ani jakie są jego ulubione lody.

W tej grupie nie było niespodzianek. Padały nazwy najbardziej ekskluzywnych szkół na świecie: Exeter, Sidwell Friends, szkoła imienia Daltona, TASIS w szwajcarskim Lugano. Każdy miał konia albo jacht, albo przynajmniej dom w Hamptons.

Co za rozrywkowe towarzystwo! Trafiłam do grona nudziarzy, którzy uważają, że szkoła jest najciekawszą rzeczą w ich życiu.

Cień zainteresowania wzbudzali jedynie chłopak o imieniu Tarik, który chodził do muzułmańskiej szkoły, i Stormy, dziewczyna, którą uczyli rodzice - artyści cyrkowi. Reszta niewarta była nawet ziewnięcia.

Pozostałe „rewelacje” były podobnym nudziarstwem albo zwykłymi przechwałkami, albo i jednym, i drugim. Ojciec jednego z chłopaków był dziennikarzem i znał wszystkich sławnych ludzi w kraju. Jakaś dziewczyna zdobyła uprawnienia zawodowego nurka. Inni mieli krewnych uhonorowanych prestiżowymi nagrodami - Pulitzera, Oscara, Klio. Dzieciaki

popisywały się tym niczym odznakami sprawnościowymi. Wychodziły ze skóry, żeby zrobić wrażenie na reszcie.

Słuchając ich, Lolly doszła do wniosku: kłamstwo opłaca się bardziej niż prawda.

W końcu nadeszła ich kolej. Spojrzeli na siebie zwężonymi oczami, jakby przesyłając sobie milczące ostrzeżenia. Miał wystarczająco dużo danych, aby ją upokorzyć, pomyślała. Tym właśnie groziło mówienie komuś prawdy o sobie. Sama dała mu do ręki rewolwer i skrzynkę naboju. Teraz nie było wiadomo, czy naciśnie spust czy nie. Nie miała pojęcia, co tamci od niego usłyszą.

Lolly wstała. Wzięła głęboki wdech i zaczęła mówić, zanim jeszcze zastanowiła się, co ma właściwie powiedzieć.

- To jest Connor. Przyjechał tu pierwszy raz w życiu. On... - zawiesiła głos na sekundę, żeby zastanowić się, co tak naprawdę o nim wie.

Jest tu za darmo. Jego ojciec pije. Matka wyszła po raz kolejny za męża. Ojczym musi być niemiłym facetem, skoro wysłał go tutaj, nie pytając go o zdanie. Lolly zdała sobie sprawę, że kilkoma słowami sama mogłaby skutecznie załatwić Connora. Byłby wytykany palcami do końca obozu.

Pochwyciła jego wzrok i wiedziała, że chodzą mu po głowie podobne myśli.

- Polewa keczupem każde jedzenie, ze śniadaniem włącznie. Jego ulubiony zespół to Talking Heads. I zawsze wygrywa w walce jeden na jednego.

Ostatnie było wyłącznie domysłem, ale uzasadnionym. Connor był wysoki i nosił buty od Chucka Taylora. Poza tym wyglądał na szybkiego i miał duże ręce. Właściwie wszystkie trzy jej opinie opierały się na domysłach, ale on ani razu nie zaprzeczył.

Nadeszła kolej na Connora.

- To jest Lolly - zaczął, a jej imię zabrzmiało w jego ustach niemal jak przekleństwo.

Tak jej się przynajmniej wydawało. Nadszedł decydujący moment. Poprawiła okulary i czekała. Może ją teraz zniszczyć. Zanadto odsłoniła się przed nim w drodze na górę. Connor odchrząknął, odrzucił włosy z oczu i przybrał niedbale wyzywającą postawę. Obojętnie prześliznął się wzrokiem po Lolly i odchrząknął ponownie. Całe towarzystwo, dotąd dość hałaśliwe, ucichło. Ten chłopak przyciągał uwagę - zupełnie jak srogi nauczyciel albo wykonawca głównej roli.

Lolly czuła, jak pali ją twarz. Nienawidzę obozu, pomyślała z furią. Nienawidzę obozu i nienawidzę tego typu, który zaraz mnie zniszczy.

Connor odchrząknął jeszcze raz i powiódł wzrokiem po twarzach słuchaczy.

- Lubi czytać książki, świetnie gra na fortepianie i powinna trochę podszkolić się w pływaniu.

Usiedli znowu, ale dalej nie patrzyli na siebie. Prawie nie patrzyli. Spojrzeli na siebie jeden raz. A kiedy spotkali się wzrokiem, Lolly była zaskoczona: obydwójce niemal się

uśmiechali. No dobrze, przyznała w myślach, nie złożył jej w ofierze ani nie potraktował jak tarczy na strzelnicy. Może więc niesłusznie się na niego obraziła?

Ale co do jednego miała niezachwianą i całkowitą pewność: nienawidzi tego miejsca. Nie obchodzi jej, czy jest to własność jej dziadków czy nie. Nie wróci tutaj, dopóki żyje.
Amen.

RS

ZAPROSZENIE

Jane i Charles Bellamy
mają zaszczyt prosić o przybycie
na uroczyste obchody
pięćdziesiątej rocznicy ich zaślubin.
Przez całe życie łączyła nas przyjaźń i miłość.
Chcemy więc wspólnie z wami świętować
uroczystość naszych złotych godów.
sobota, 26 sierpnia 2006
Obozowisko Kioga
dojazd drogą lokalną nr 47
Avalon, hrabstwo Ulster, stan Nowy Jork
Zakwaterowanie oraz uroki życia wiejskiego - zapewnione.

ROZDZIAŁ DRUGI

Olivia odłożyła zaproszenie i uśmiechnęła się przez stół do swojej babci, Jane Bellamy.

- Wspaniały pomysł - powiedziała. - Moje gratulacje dla ciebie i dla dziadka.

Babcia powoli obracała tacę z przekąskami wokół osi. Raz w miesiącu, bez względu na to, co się działo, babka i wnuczka jadły wspólnie podwieczorek w restauracji Astor Court w hotelu Saint Regis. Robiły to latami, od czasów gdy Olivia była pyzatką i posepną dwunastolatką, wciąż wymagającą opieki. Nawet teraz tutejsze eleganckie meble, palmy w donicach i dyskretne dźwięki harfy wywierały kojący wpływ na jej umysł.

Babcia zdecydowała się na plasterek ogórka z musem z łososia.

- Dziękuję. Do rocznicy jeszcze całe trzy miesiące, ale ja już jestem podekscytowana.

- Ale dlaczego w Kioga? - spytała Olivia, bawiąc się sitkiem do herbaty.

Nie była tam od wakacji poprzedzających jej wyjazd do college'u. Z własnego wyboru. Postanowiła zostawić wszelkie dramaty i niepokoje daleko za sobą.

- Kioga to dla mnie i Charlesa specjalne miejsce. - Tym razem babcia sięgnęła po małą kanapkę z masłem truflowym. - Tam spotkaliśmy się po raz pierwszy i tam wzięliśmy ślub w altance na Świerkowej Wyspie, pośrodku Wierzbowego Jeziora.

- Żartujesz? Nikt nigdy mi o tym nie opowiadał. Dlaczego?

- Możesz mi wierzyć, że to, czego nie wiesz o swojej rodzinie, zapełniłoby grube tomy. Charles i ja byliśmy jak Romeo i Julia.

- Nigdy mi o tym nie mówiłaś. Babciu, czy to jakaś tajemnica?

- Żadna. Większości młodych figę obchodzi, jak ich dziadkowie się spotkali i pobrali. I właściwie trudno im się dziwić.

- Mnie obchodzi - powiedziała Olivia. - Wyjawisz mi wasz sekret?

- To było bardzo dawno temu. Teraz wszystko wydaje się takie... oczywiste. Widzisz, moi rodzice, czyli Gordonowie, i ród Bellamych pochodzili z dwóch różnych światów. Ja wychowywałam się w Avalon i wielkie miasto zobaczyłam po raz pierwszy dopiero jako mężatka. Rodzice Charlesa grozili nam, że zbojkotują ślub. Ich jedyny syn powinien dobrze się ożenić. W tamtych czasach oznaczało to poślubienie dziewczyny z odpowiedniej sfery, a nie z obozu górskiego w Catskills.

Olivia była poruszona, widząc błysk bólu w oczach babki. Wyglądało na to, że niektóre rany nigdy się nie goją.

- Przepraszam - powiedziała.

Babcia z wyraźnym wysiłkiem próbowała się opanować.

- Wtedy wszyscy mieli wysoko rozwiniętą świadomość klasową.

- Teraz jest tak samo - rzuciła cicho Olivia.

Starsza pani uniosła brwi. Olivia postanowiła zmienić temat, zanim zacznie się kłopotliwe wypytywanie o to, co ma na myśli. Spojrzała na czajnik z herbatą.

- Myślisz, że już naciągnęła?

Zawsze zamawiały duży czajnik mieszanki Lady Grey, roztaczającej obok bergamoty subtelną woń lawendy. Babka skinęła głową i zaczęła nalewać.

- Zapewne masz na głowie ważniejsze sprawy niż wysłuchiwanie historii rodzinnych, ale... - oczy babci skryte za czarno-różowymi oprawkami modnych okularów rozbliły, co od razu ujęło jej właścicielce kilka dziesiątków lat - to rzeczywiście niezła historia. Jestem pewna, że usłyszysz ją tego lata. Mam nadzieję, że wszyscy zostaną w Kioga trochę dłużej i że będzie miło. Charles i ja odnowimy naszą przysięgę ślubną w altance, dokładnie tam, gdzie wygłosiliśmy ją wtedy. Spróbujemy odtworzyć całą uroczystość na tyle dokładnie, na ile to będzie możliwe.

- Och, babciu, to... wspaniałe zamierzenie. - Olivia czuła, że wewnątrz cała się skręca.

Dobrze wiedziała, że idylliczny obraz, jaki zachowała w swej pamięci babka, jest bardzo odległy od rzeczywistości. Obozowisko zamknięto dziewięć lat temu i było nieczynne do dzisiaj, a czynności porządkowe zredukowano do minimum: koszenia trawy co jakiś czas i sprawdzania, czy budynki jeszcze stoją. Niektórzy krewni i znajomi Bellamych przyjeżdżali tam na zjazdy rodzinne albo wakacje, ale Olivia podejrzewała, że obóz zdążył popaść w ruinę. Jej dziadkowie z pewnością będą rozczarowani taką scenerią złotych godów.

- Wiesz, babciu - zaczęła dyplomatycznie - niektórzy z twoich znajomych bywali tam ostatnio i słyszałam od nich, że teren nie jest przystosowany do jazdy wózkami. Czy nie byłoby lepiej zorganizować to w hotelu Waldorf-Astoria albo chociażby tutaj? Zgromadziłoby się o wiele więcej osób.

Jane pociągnęła mały łyk herbaty.

- Charles i ja już to przedyskutowaliśmy. Bardzo kochamy wszystkich przyjaciół i rodzinę, ale nasze złote gody muszą wyglądać tak, jak my chcemy. Tak było z naszym ślubem i tak będzie teraz, pięćdziesiąt lat później. Wybraliśmy Kioga, żeby uczcić to, czego doznawaliśmy w przeszłości, i czego, mam nadzieję, doznawać będziemy przez resztę życia - szczęścia w małżeństwie. - Odstawiona na spodeczek filiżanka zadrżała cicho, lecz wyraźnie. - To będzie nasze pożegnanie z obozowiskiem.

- Co przez to rozumiesz?

- Uroczystość złotych godów będzie naszym ostatnim pobytem w Kioga. Potem zdecydujemy, co zrobić z naszą własnością.

Olivia zmarszczyła brwi.

- Babciu, co ja słyszę?

- Będziemy musieli coś przedsięwziąć. Ta posiadłość to wiele hektarów, które są w posiadaniu rodziny od trzydziestego drugiego roku. Mamy nadzieję, że uda nam się zachować ją dla naszych dzieci oraz - spojrzała znacząco na Olivie - wnuków. W życiu nie ma niczego pewnego, ale nie chcielibyśmy sprzedać tego terenu obcemu przedsiębiorcy, który zbuduje tam drogi dojazdowe, całą masę parkingów i te okropne wille dla nowobogackich.

Olivia nie miała pojęcia, dlaczego z przykrością przyjęła wieść o możliwości pozbycia się majątku przez dziadków. Przecież nawet nie lubiła tego miejsca. Podobała się jej jedynie idea obozu. Pradziadek otrzymał prawo własności do tej ziemi podczas Wielkiego Kryzysu jako spłatę długu i własnymi siłami urządził tam obóz, nazywając go Kioga, co jak przypuszczał, po algonkińsku znaczyło „spokój”. Dopiero później dowiedział się, że jest to słowo pozbawione jakiegokolwiek znaczenia. Po zamknięciu tego miejsca w dziewięćdziesiątym siódmym nikt z potomków Bellamych nie chciał wziąć na siebie odpowiedzialności za jego utrzymywanie.

Babka sięgnęła po rozek z masą czekoladową.

- Przedyskutujemy to po uroczystościach. Wszyscy razem. Dzięki temu nikt nie będzie musiał podejmować trudnych decyzji, kiedy Charles i ja... odejdziemy.

- Nie mów takich rzeczy. Masz dopiero sześćdziesiąt osiem lat, brałaś udział w trójboju seniorów...

- I nie ukończyłabym go, gdybyś nie była moim trenerem. - Jane poklepała wnuczkę po ręku i dodała melancholijnie: - Tam, w górach, przeżyłam wiele najważniejszych chwil w moim życiu. Dzięki obozowi jakoś przetrwaliśmy Wielki Kryzys. A gdy przejeśliśmy go po ślubie, stał się po prostu częścią nas samych.

Cała babcia, pomyślała Olivia. Zawsze próbowała zatrzymać przy sobie nawet to, czego lepiej byłoby się pozbyć.

- Ale to kwestia przyszłości. - Jane Bellamy wróciła do swego zwykłego ożywienia, po czym wzięła do ręki kilka wydruków komputerowych. - Teraz musimy omówić pewien interes. Chcę, żebyś przygotowała posiadłość na nasze przyjęcie.

Olivia parsknęła urywanym śmiechem.

- Babciu, ja... nie potrafię.

- Bzdury pleciesz. Przejrzałam ofertę internetową twojej firmy. - Uniosła do góry trzymane w ręce kartki. - Widać czarno na białym, że jesteś ekspertem od aranżacji.

- Mam tylko zamydląć oczy potencjalnym klientom. - Wzruszyła ramionami Olivia.

Specjaliści z jej branży nie lubili nazywać rzeczy po imieniu. Woleli określać się aranżerami lub najwyżej renowatorami wnętrz. A przywracanie rynkowego wyglądu nieruchomościom? Brzmiało jakoś tak... niepoważnie.

Ale za to nieźle oddawało rodzaj jej pracy. Służąc ludziom, którzy chcieli pokazać swe siedziby od jak najlepszej strony, Olivia stała się mistrzynią iluzji. Artystką w zwodzeniu zmysłów. Przydawanie posesji nieodpartego wdzięku było zazwyczaj prostą, niezbyt kosztowną procedurą. Wystarczyło wziąć istniejący materiał i połączyć jego elementy w nowy, odmienny od zastanego sposób.

Lubiła swoją pracę, wykonywała ją dobrze, a jej sława wciąż rosła. W niektórych rejonach Manhattanu agenci od nieruchomości nie chcieli nawet wciągać na swe listy nieruchomości, których nie „froterowała” Olivia Bellamy z firmy Transformacja. Oczywiście ta praca była też wyzwaniem. Odkąd Olivia założyła własną firmę, dowiedziała się, że aby nadać blask miejscu, nie wystarczy jedynie pozbyć się chwastów z zieleńców, pomalować wszystko na biało i doprowadzić do porządku piecyk w kuchni.

Tylko że projekt dla obozu rozmiarów Kiogi po prostu ją przerastał.

- Mówisz o hektarach dziczy, oddalonych od tego miejsca o dwieście kilometrów! Nawet nie wiedziałabym, od czego zacząć!

- Ale ja wiem. - Jane pchnęła w jej stronę staromodny, oprawiony w skórę album. - Każdy ma jakieś wyobrażenie o wyglądzie letniska, nawet jeśli nigdy na nim nie był. Stwórz dla nich iluzję, zgodną z ich oczekiwaniami. To wszystko. Tutaj jest kilka zdjęć sprzed lat. Przydadzą ci się na początek.

Na fotografiach widniały w większości klasyczne wiejskie chaty, stojące na brzegach jeziora wśród pierwotnej puszczy. Olivia odnotowała w głowie, że widoki mają w sobie coś uspokajającego i przyciągającego zarazem. Babcia miała rację co do iluzji... chyba że uległa kiedyś fatamorganie. Dla Olivii pobyt w obozie był często koszmarem. Ale gdzieś w zakamarkach umysłu przechowywała obrazek wyidealizowanego letniska, bez wrzeszczących dzieciaków, poparzeń słonecznych i komarów gryzących jak wściekłe.

Jej wyobrażenia rozpędziła się jak zawsze, kiedy oglądała jakąś posiadłość. Pomimo całej niechęci natychmiast zaczęła myśleć, jak przywrócić świetność temu miejscu.

Przestopuj, powiedziała sobie.

- Nie mam zbyt miłych wspomnień z tego miejsca - przypomniała babce.
- Wiem, moja droga. Ale tego lata masz okazję, żeby poddać je egzorcyzmom.

Stworzysz sobie nowe wspomnienia.

Zabawne. Nie miała pojęcia, że babka wiedziała o wszystkim. Chciała spytać: „Dlaczego nie mogłaś jakoś tego powstrzymać?”.

- Realizacja takiego projektu zajęłaby całe lato. Nie wiem, czy chcę wyjeżdżać stąd na tak długo.

Babcia uniosła brew aż nad górny brzeg oprawki okularów.

- Dlaczego?

Olivia nie mogła już dłużej się powstrzymać, chociaż dalej starała się nie ujawniać, o co chodzi.

- Mam powód, aby tu zostać.

- A ten powód to harwardzki absolwent wydziału prawa, podobny do Brada Pitta, prawda?

Oddychaj głęboko, Olivio. Już kilka razy w życiu wydawało ci się, że masz szczęście w rękę i zawsze w końcu cierpiałaś. Bierz to na spokojnie.

Oczywiście jej się nie udało. Omal podskoczyła na krześle, kiedy zwierzyła się babce.

- Przypuszczam, że Rand Whitney wkrótce poprosi mnie o rękę.

Babcia zdjęła okulary i położyła je na stole.

- Och, moja droga, kochana Olivio - odrzekła, przecierając serwetką zamglone nagle oczy.

Olivia była zadowolona z decyzji o tym, żeby powiedzieć o wszystkim właśnie babci. Inni członkowie rodziny mogliby zareagować dużo mniej przychylnie. Niektórzy - na przykład jej matka - przypomnieliby jej natychmiast, że będąc w dojrzałym wieku dwudziestu siedmiu lat, ma już za sobą dwa nieudane związki.

Tak jakby potrafiła o tym zapomnieć.

Odsunęła te myśli na bok i ciągnęła:

- Rand sprzedaje swoje mieszkanie w śródmieściu. To właśnie jest mój najnowszy projekt. Muszę sprawdzić szczegóły robót wykończeniowych jeszcze dziś po południu, bo jutro lokal idzie pod młotek. Kiedy Rand przyjedzie z lotniska, zastanie tam mnie. Cały tydzień spędził w Los Angeles, bo jego firma ma tam swoje biuro dla Zachodniego Wybrzeża. No i mówił, że jak wróci, to mnie o coś poprosi.

- O rękę?

- No, chyba tak... - Olivia poczuła delikatne ukłucie niepokoju. Bo przecież tego akurat nie powiedział.

- Zatem sprzedaż tego miejsca to dobre zagranie. Olivia poczuła, jak jej twarz rozjaśnia się w uśmiechu.

- Zamierza poszukać sobie czegoś na Long Island.

- Ooo! To by znaczyło, że rzeczywiście ma zamiar się ustatkować!

W tej chwili uśmiech Olivii rozciągał się niemal od ucha do ucha.

- Rozumiesz więc... że muszę dobrze rozważyć twoją propozycję.

- Oczywiście, skarbie. - Babcia poprosiła o rachunek znajomym, wielkopańskim gestem, którym od zawsze przywoływała szybkiego jak błyskawica kelnera w białych rękawiczkach. - Mam nadzieję, że wszystko skończy się pomyślnie dla ciebie.

Kiedy Olivia wbiegała po schodach prowadzących do domu Randa obok parku Gramercy, czuła, że jest najszczęśliwszą dziewczyną na świecie. Rozpierała ją radość, płynąca ze świadomości, że sama wyreżyserowała scenę zaręczyn aż do najdrobniejszego szczegółu. Randall Whitney poprosi ją o rękę w miejscu, które stworzyła własną wyobraźnią i własną ciężką pracą. Odpowiednia scenografia dla takiego wydarzenia była nie lada wyzwaniem. Wyzwaniem, któremu mało kto by sprostał.

Ale nie tym razem, pomyślała Olivia, rozkoszując się delikatnym dreszczykiem podniecenia, który czuła w całym ciele. Tym razem wszystko pójdzie tak jak należy.

Inaczej niż ostatnio.

Jej poprzedni związek z Pierce'em rozlatywał się od początku. Olivia usiłowała nie dopuszczać do świadomości powodu, z jakiego tak się dzieje... dopóki nie zobaczyła Pierce'a pod prysznicem w towarzystwie innej dziewczyny.

A Richard? Przecież przyłapała go, jak wyciągał całą kasę z jej karty kredytowej. Tak, to była bardzo upokarzająca chwila. Przez te dwa związki zwątpiła we własny rozsądek. Na szczęście pojawił się Rand. A teraz nic już nie mogło pójść źle.

Otworzyła frontowe drzwi, obróciła się i spróbowała spojrzeć na dom jego oczami. Doskonałość, pomyślała. Oto właściwe określenie. Współczesność i elegancja połączone w jedno. Zgrabne, ale nie przekombinowane (choć kombinowała wszystkie detale przez szereg dni). Gustowne, ale bez przesady (aczkolwiek wymagało to od niej niemal przesadnego wysiłku).

Jadąc tutaj taksówką, Olivia przepowiadała sobie raz po raz cały scenariusz aż do poczucia przesyty. Mniej więcej za godzinę Rand wkroczy przez drzwi wprost w środek jej marzenia. Prawdopodobnie nie uklęknie, nie, to nie w jego stylu. Raczej przybierze tę swoją łobuzerską minę typu „mam-do-ciebie-parę-spraw”, tak jak wtedy, gdy sięgał do kieszeni marynarki i wyjmował z niej lśniące czarne pudełeczko, zdobne w logo firmy Harry'ego Winstona. Bądź co bądź, Rand pochodził z Whitneyów. W tej rodzinie nie brakowało pewności siebie.

Zmuszając się do pełnych godności ruchów, Olivia zatrzymała się przy bufecie i sprawdziła położenie butelki szampana, wstawionej w wiaderko z lodem. Nie, po co odwracać ją etykietką do drzwi? Wprawne oko od razu pozna po kształcie, że to Dom Perignon.

Rzuciła tylko jedno spojrzenie - właściwie tylko pół spojrzenia - w lustro nad bufetem, który w rzeczy samej był japońską szafką tansu, wypożyczoną przez nią z magazynu.

Lustra stanowiły nieodzowną część wystroju. Miały manipulować światłem i wprowadzać do wnętrza iluzję przestrzeni. Nie miały służyć do przeglądania się. No, może oprócz małego maźnięcia szminką po wardze, bo na nic więcej Olivia nie miała czasu.

Nagle ujrzała w tafli odbicie czyjś ruch. Krzyknęła, złapała butelkę Dom Perignon za szyjkę i odwróciła się, gotowa uderzyć.

- Przyznaję, że zawsze marzyłem, aby napić się szampana w twoim towarzystwie - powiedział Freddy Delgado ze śmiechem. - Jednak zawsze wydawało mi się, że to chyba mężczyzna powinien otworzyć butelkę.

Freddy był jej starym przyjacielem. Zawsze olśniewająco elegancki. Nawet w pożyczonym fartuchu i z miotełką z piórek, jak teraz. Przeszedł przez pokój, udając, że chce wyjąć butelkę z jej dłoni.

Odłożyła ją do wiaderka z lodem.

- Co ty tutaj robisz?

- Kończę robotę. Wziąłem klucz z twojego biura i przyszedłem tu wcześniej.

Jej „biuro” stanowiło wygospodarowany kąt w mieszkaniu na drugim końcu Manhattanu. Freddy zdjął fartuch. Pod spodem miał bojówki, robocze buty i obcisły T-shirt z napisem „Spamalot”. Jego nienagannie ułożone włosy były rozjaśnione kilkoma blond pasemkami. Freddy pracował jako scenograf teatralny i próbował sił w aktorstwie. Był singlem, miał dobrą dykcję i ubierał się z wyrafinowanym smakiem. Z tych powodów można było wziąć go za geja, którym nie był. Był po prostu samotny.

- Niech zgadnę. Znowu wyleciałeś z roboty? - Wyciągnęła mu ściereczkę z tylnej kieszeni bojówek i starła wodę pozostałą z roztopionego lodu.

- Skąd wiesz?

- Pracujesz dla mnie. A robisz to tylko wtedy, gdy nie podłapię nic lepszego.

Olivia rozejrzała się i pomyślała, że naprawdę się postarał, wykańczając perfekcyjnie to, co zaczęła sama. Jak zwykle zresztą. Ciekawe, czy ich przyjaźń przetrwa po jej wyjściu za mąż. Rand nigdy nie lubił Freddy'ego. Z wzajemnością. Olivia cierpiała, bo jej lojalność wobec jednego wydawała się zdradą wobec drugiego.

- Zabrakło funduszy na spektakl, przy którym miałem robotę. Uwielbiam takie sytuacje - skrzywił się Freddy.

Miał talent, ale bardzo często angażowano go do przedsięwzięć o minimalnym „zapleczu” finansowym, co równie często kończyło się dla niego chwilowym bezrobociem. Na szczęście dla Olivii Freddy był wielkiej klasy projektantem oraz budowniczym, malarzem i odznaczał się wszechstronną kreatywnością.

- A tak przy okazji, słowa uznania - powiedział z ciepłym uśmiechem. - Przeskoczyłaś po prostu samą siebie. To będzie warte z milion baksów.

- Konkretnie milion dwieście. Gwizdnął.

- Ambitnie. O, przepraszam, tu jeszcze jest jakaś pajęczynka - i omiółł miotełką górne narożniki regału na płyty. - Przepraszam raz jeszcze. Prawie to przeoczyłem.

- Co?

- Kolekcję filmów na DVD.

Pojedyncze płyty w cienkich etui i większe zestawy zapełniały całą półkę.

- O co ci chodzi? - spytała Olivia.

- No, nie żartuj. W życiu tego nie sprzedasz, jeśli na widoku będzie stać „Moulin Rouge”.

- Ale ja lubię ten film. I nie tylko ja.

Freddy był kinomaniakiem. Wielkim znawcą problematyki dziesiątej muzy, gotowym rozprawiać o najdrobniejszych jej subtelnościach. Jeśli cokolwiek utrwalono na taśmie filmowej, Freddy musiał to obejrzeć i najprawdopodobniej również zapamiętać. Dokonał na półce drobnej rozszady, chowając do szafki „Moulin Rouge” wraz z „Upiorem w operze” i „Prêt-à-porter”.

- Przeżytki. Ramoty - powiedział. - Nikt nie zechce robić interesów z facetem, który ogląda taki chłam. - Schylił się i poszperał w szafce, skrywającej pozostałe płyty. - Aha. To zagra o wiele lepiej.

- „Nocne pielęgniarzy z Vegas”? - spytała Olivia. - „Lot penisa”? Mowy nie ma. Nie będziesz mi tu wystawiać pornoli.

- Widać tylko grzbiety futerałów - sprzeciwił się Freddy. - To delikatnie informuje, że sprzedający jest normalnym facetem i twardo stoi na ziemi. A swoją drogą, dlaczego umawiasz się z gościem, który ogląda takie rzeczy?

Może te płyty miały być ozdobą wieczoru kawalerskiego? Nie miała jednak zamiaru tłumaczyć tego Freddy'emu. Uśmiechnęła się tajemniczo.

- A skąd wiesz, że on to w ogóle ogląda? - zapytała.

- Chcę ci coś wyjaśnić. Dasz mi trochę czasu?

- Może kiedy znów cię wciągnę na listę płac, co ty na to?

- Pewnie powiesz mu „tak” - zignorował jej złośliwość, a potem wepchnął kijek od miotełki do jednej z tylnych kieszeni. - Ty zawsze mówisz „tak”. I to jest kolejny powód, dla którego tu przyszedłem.

- Nie chwytam.

Jego zwykły promienny uśmiech gdzieś znikł. Skupił spojrzenie szczerych brązowych oczu na Olivii i przyklęknął przed nią na jedno kolano. Wyciągnął z kieszeni fartucha małe czarne pudełeczko.

- Olivio, muszę cię o coś spytać.

- Daj spokój. To jakiś żart? - zaśmiała się, ale w jego wzroku wyczuła coś, co ją zaniepokoiło.

- Jestem śmiertelnie poważny.

- No to wstań. Nie mogę zachować powagi, gdy jesteś w takiej pozie.

- W porządku, jak sobie życzysz. - Westchnął boleśnie, wstał i otworzył pudełeczko. Wewnątrz leżała para srebrnych koleczyków. Jeden miał postać litery N, drugi - I oraz E. - Przyjacielska rada, żebyś tym razem powiedziała „nie”.

- Oj, Freddy! - Szturchnęła go żartobliwie. - Miałeś problem z Randem, odkąd się poznaliście. Jeszcze ci nie przeszło?

- Livvy, proszę cię, nie wychodź za niego. - Otworzył ramiona w dramatycznym geście. - Pójdź ze mną.

- Nie masz pracy! - Odsunęła się od niego ze śmiechem.

- Nie całkiem, bo mam najlepszego pracodawcę w mieście, czyli ciebie! A on się spóźnia, łobuz. Jaki mężczyzna może spóźniać się na taką okazję?

- Taki, który utknął w korku po drodze z lotniska. - Olivia podeszła do okna i spojrzała na ulicę, gdzie taksówki tworzyły coś w rodzaju żółtej rzeki. - I nie nazywaj go łobuzem. Nie ty napisałeś tę sztukę.

- Przepraszam, masz rację. Niedobry Freddy, niedobry! - Zrobił ruch, jakby się biczował. - Ale to tylko dlatego, że chcę oszczędzić ci bólu.

Znowu to samo ukłucie niepokoju. Freddy nie mówił zbyt głośno, ale jego słowa zastęgały w powietrzu i były jak kamień pośród ciszy, która na krótko zapanowała między nimi.

- U mnie wszystko w porządku - odparła Olivia.

- Rand nie jest... - z wysiłkiem opanowała ogarniające ją emocje.

Nie, nie powiem tego. Żadnych porównań, postanowiła w duchu.

A jednak była w szoku. Nie wolno sięgać do głębokich pokładów pamięci! Kłopot polegał jednak na tym, że „to” leżało „tam” przez cały czas. Nie dało się uciec od wspomnień. Fakt zerwania dwóch związków był tak samo częścią niej jak szary kolor oczu czy rozmiar stopy. W kręgu przyjaciół jej pech do mężczyzn stał się już przedmiotem żartów, podobnie jak lata temu problem z nadwagą. I tak samo jak kiedyś śmiała się z siebie razem ze wszystkimi, chociaż dusza jej krwawiła.

- Mądralo! - prychnął Freddy. - Rand Whitney to katastrofa, gorsza od tych, jakie spotykałaś dotąd na swojej drodze.

- Jesteś melodramatyczny.

- On po prostu nie jest facetem dla ciebie, maleńka.

- Wiesz co? - rozzłościła się. - Mam tego dość. Zwalniam cię.

- Nie możesz mnie zwolnić, bo mnie nie wynajęłaś. Tupnęła nogą.

- Jeśli nie zauważyłeś, próbuję się ciebie pozbyć.

- Jeśli nie zauważyłaś, próbuję cię powstrzymać od popełnienia życiowego błędu.

Spojrzeni na siebie w pełni świadomi, że to może być koniec ich przyjaźni.

Spotkali się na uniwersytecie Columbia na ostatnim roku studiów i od tamtej pory pozostawali w zażyłych stosunkach. Zrobili sobie nawet jednakowe tatuaże na dzień przed rozdaniem dyplomów. Kiedy Jorge, tatuażysta, wyczarowywał malutkie motylki - niebieskiego na łopatkę Freddy'ego i różowego na plecach Olivii - wspólnie czerpali odwagę z butelki Southern Comfort. Freddy nie wiedział nic o dawnej, grubej i żalostnej Olivii. Wierzył, że zawsze była fantastyczna. I za to między innymi tak bardzo go lubiła.

Mamrocząc ostrzeżenia i straszliwe przepowiednie pod jej adresem, Freddy podniósł z ziemi fartuch, zabrał miotełkę i wyszedł. Olivia zebrała pozostały sprzęt czyszczący, wyciągnęła z kieszeni telefon i sprawdziła ostatnie połączenia. Przecież Rand mógł dać jej znać, że się spóźni. Oczywiście mógł też być jeszcze na pokładzie samolotu, i wtedy raczej tego nie zrobił.

Zawsze mogłaby sprawdzić przyloty w informacji, ale nie wiedziała, ani którą linią on leci, ani nie znała numeru lotu. Co to za dziewczyna, która nie zna numeru lotu swojego ukochanego? Zapracowana, odrzekła sobie. Taka, której chłopak spędza pół życia w drodze. Ale powinien już tu być lada chwila.

Sięgnęła do kieszeni i wyciągnęła śmieszne kolczyki, które dał jej Freddy. Co on mógł wiedzieć? Przecież wszystko jest w porządku. Olivia była gotowa ustatkować się w związku z Randem, prowadzić przykładne życie, mieć dzieci... Pragnęła tego tak mocno, że aż nieświadomie napięła mięśnie.

Jeszcze raz zlustrowała wnętrze mieszkania - musiała przecież czymś zająć uwagę. Natychmiast poczuła przypływ dumy i zadowolenia. Jak to dobrze, że zawsze zwracała uwagę na najdrobniejsze detale, takie jak odcienie światła czy kąt jego padania. To przecież odgrywało wielką rolę w tworzeniu klimatu wnętrza. A klimat wnętrza najbardziej wpływał na kupujących. Prawidłowo przygotowany towar prawie zawsze zyskiwał na cenie.

Wielu ludzi, drapiąc się po głowach, zastanawiało się na przykład, czemu ma służyć ta para japoniek, niby przypadkowo umieszczona koło natrysku, albo co robi na nocnym stoliku podniszczone wydanie „Faceta z zasadami” Toma Wolfe'a, w miękkiej okładce, otwarte i

odwrócone grzbietem do góry. Olivia zaś rozumiała to doskonale. Nie chodziło o wpływanie na zmysł estetyki, lecz na ludzką naturę.

Ludzie lubią myśleć, że żyją i mieszkają w „pewien” sposób, otoczeni przez „pewne” rzeczy. Umilacze życia, oznaki wyrafinowania, dowody sukcesu. Plus to, co najważniejsze i zarazem najmniej uchwytnie: poczucie bycia-u-siebie, bezpieczeństwa, przynależności. I choć Olivia posługiwała się zwodniczymi trikami, uczucia, które potrafiła dzięki nim wzbudzić, były prawdziwe.

Kluczowe pytanie, jakie zadawała sobie za każdym razem, rozpoczynając pracę, brzmiało: „Czy gdy tu wejde, to poczuje się tak, jakbym zdjęła buty, nalala sobie szklaneczkę porto, siadła w miękkim fotelu z dobrą książką i westchnęła z ulgą, że nareszcie jestem w domu?”.

Czterdzieści pięć minut potem wstała z fotela, usiłując powstrzymać nerwowe ziewnięcie. Spróbowała zadzwonić do Randa. Jego poczta głosowa zadziałała po pierwszym dzwonku. Telefon zaś był wyłączony. Przypuszczalnie wciąż znajdował się w powietrzu.

Odczekała następne trzydzieści trzy minuty, zanim weszła do kuchni. Ta też przeszła proces rearanżacji. Finałowym akcentem było rozmieszczenie tu i ówdzie haftowanych w jabłuszka lnianych serwetek. Znalazła je w sklepiku ze starociami, który dość często odwiedzała. Jednym z podstawowych zabiegów, które stosowała, było wprowadzenie do wnętrza autentycznych przedmiotów codziennego użytku, które zdążyły stracić sztuczny blask nowości. Serwetki, ciut zblakłe, ale przecież nie wyświechtane, znakomicie dopełniały obrazu całości.

Olivia weszła do spiżarni, wypełnionej opakowaniami importowanego włoskiego makaronu od Deana i DeLuki, puszkami tłoczonych na zimno oliwy, soku z granatów i tuńczyka. To, co zazwyczaj jadał Rand, czyli płatki śniadaniowe Lucky Charms i konserwowe ravioli, leżało w ukryciu w zamkniętych wiklinowych koszykach, nadających się w sam raz na piknik.

Otworzyła jeden z nich i wyciągnęła paczkę chipsów. Jeden z wielu dietetyków, u których bywała jeszcze jako tłustawa nastolatka, mówił sporo na temat „zajadania” niepokoju. Niech to diabli, pomyślała, rozrywając plastikowe opakowanie, z którego zionął serowy aromat. Niech to wszyscy diabli!

Dla dopełnienia miary grzechu wyciągnęła butelkę grolscha (kolejny pomysł aranżacyjny - Rand zwykle pił budweisera) z połyskującej nierdzewną stalą lodówki. Pociągnęła wyzywająco długi łyk i beknęła głośno.

Przez kolejne dziesięć minut pograżała się w piwno-chrupkowym transie. Raptem usłyszała, że ktoś otwiera i zamyka wejściowe drzwi.

- Hej! - dobiegł ją głos z korytarza.

Uuu... Zerknęła na pomarańczowy pył, który przyłgnął do jej paznokci. Pewnie ma też pomarańczową obwódkę wokół ust. A niech to diabli!

- Wróciłem - powiedział niedbale Rand i zaraz dodał: - Rany! Wszystko na wysoki połysk!

Olivia szybko wrzuciła torebkę po chrupkach i butelkę do kosza na śmieci, a następnie dopadła zlew, żeby opłukać ręce.

- Jestem w kuchni! - zawołała dziwnie zachrypniętym głosem. - Zaraz do ciebie przyjdę.

Schyliła się nad zlewem. Jej włosy zsunęły się na bok, gdy wycierała sobie usta. Wtedy wszedł.

- Olivio, jesteś szalonym geniuszem - powiedział i szeroko rozpostarł przed nią ramiona.

- Szalonym, zgoda, ale żeby od razu geniuszem? - odrzekła, podchodząc do niego.

Objął ją na chwilę, potem pocałował w czoło.

- Powinnaś obciążyć kosztami tej roboty mojego agenta od nieruchomości.

Olivia zamarła. Nagłe ukłucie świadomości przeniknęło jej ciało od stóp do głów. Wyczuwała sercem coś, co jeszcze nie dotarło do jej umysłu. Rand uściskał ją w... w pożegnalny sposób. Ta jego postawa. Ta niechętna sztywność mięśni. Ta niemal namacalna aura porażki, jaką wokół siebie roztaczał.

Cofnęła się o krok, patrząc w jego przystojną twarz.

- O Boże! - powiedziała. - Chcesz ze mną zerwać.

- Co? - Po minie Randa widać było, że Olivia wymierzyła mu celny cios z zaskoczenia.
- Słuchaj, mała, o czym ty właściwie mówisz?

Jego protest tylko upewnił ją, że się nie pomyliła. Miała rację i oboje o tym wiedzieli. Wiele kobiet obdarzonych mniej czułym mechanizmem odporności emocjonalnej zlekceważyłoby sygnał ostrzegawczy nadany jedynie w języku ciała. Ale nie Olivia, z jej radarem uczuć uwrażliwionym po poprzednich niepowodzeniach, które pozostawiły na jej sercu głębokie blizny. Była jak pies Pawłowa. Miała zakodowany odruch warunkowy.

Chrupki i piwo stężały jej w żołądku w gęstą zimną maź.

Czy to znowu ma się powtórzyć? - pomyślała. - O, nie! Tym razem ja to zrobię.

- Kompletnie źle odczytałam twoje intencje - powiedziała. - Co za idiotka ze mnie.

Odsunęła się od niego o jeszcze jeden krok.

- Nie tak szybko. - Położył na jej ramieniu rękę w łagodnym geście, który spowodował, że z trudem powstrzymywała się od wybuchu.

- Zrób to szybko - warknęła. - Tak, jakbyś zrywał plaster. Miejmy to już za sobą.

- Wyciągasz niewłaściwe wnioski...

- Doprawdy? - zdziwiła się ironicznie.

Nie rycz, upomniała siebie, mrugnięciami powstrzymując łzy napływające pod szkła kontaktowe. Odłóż płacz na później.

- Dobra. Powiedz mi, co konkretnie masz zamiar zrobić, kiedy sprzedasz już to mieszkanie? - zapytała.

Jego wzrok powędrował na chwilę do lampy na suficie - tej, którą wymieniła dzisiaj o drugiej po południu. Kolejny objaw syndromu uciekiniera. Nie chciał spojrzeć jej w oczy.

- Dostałem propozycję, kiedy byłem w Los Angeles - powiedział. - Chcą, żebym się tam przeniósł.

Wstrzymała oddech. Powinien im powiedzieć, że nie podejmie decyzji, póki nie omówi tego ze mną, pomyślała. Ale przecież wiedziała... Tłumiąc suchy chichot niedowierzania, zapytała:

- Powiedziałeś „tak”, prawda? Nie zaprzeczył.

- Mają dla mnie nowe stanowisko w firmie.

- Dyżurnego osła?

- Olivio, wiem, że rozmawialiśmy o wspólnej przyszłości. Niczego nie przekreślam.

Możesz pojechać tam ze mną.

- I co ja tam będę robić?

- Liv, to przecież Los Angeles. Będziesz mogła robić, co zechcesz.

Wziąć ślub? Mieć dzieci? Wiedziała, że nie to Rand ma na myśli.

- Moje całe życie, dom, rodzina, praca, wszystko to Nowy Jork. Od pięciu lat wkładam całą swoją energię w Transformacje - powiedziała. - To moje dzieło. Nie mogę go zostawić.

- Na Zachodzie też potrzebują takich ludzi - zaproponował. - Rynek jest tam tak samo chłonny jak w Nowym Jorku. Może nawet bardziej.

Pomyślała o zaczynaniu wszystkiego na nowo, od zera.

Przygotowanie gruntu, nawiązywanie kontaktów, reklama, konkurencja. Jakie to potrafiło być wyczerpujące. Zgoda, w końcu udało jej się zredukować czas, który temu poświęcała, ale po ilu latach! Startować ponownie w L.A.? Byłoby jeszcze ciężiej. Tam jej nazwisko, które otwierało wiele drzwi na Manhattanie, nic nie znaczyło. Nie miała żadnych kontaktów. Niedoczekanie, pomyślała. Nie ma mowy.

- Powiedz, że mnie kochasz - zaatakowała ponownie. - Powiedz, że nie możesz beze mnie żyć. I powiedz to poważnie.

- Od kiedy zachowujesz się jak księżniczka z melodramatu?

- Wiesz co? Gdybym kochała cię wystarczająco mocno, zrobiłabym to. - Odrzuciła w tył włosy i splotła ramiona na piersi. - Bez namysłu. Spakowałabym się natychmiast i z radością.

- Co rozumiesz przez „wystarczająco mocno”?

- Na tyle, żeby pójść za tobą wszędzie. Ale tak nie jest. I to są bardzo oględne słowa, jeśli chcesz wiedzieć.

- Nie rozumiem. - Przesunął ręką po czole. - Przecież to prosta sprawa: jedziesz ze mną do L.A. albo nie. Twój wybór.

Mój wybór, pomyślała Olivia. Z zaskoczeniem odkryła, że rzeczywiście go ma.

- Zatem dobrze - odrzekła, czując wewnątrz coś niebezpiecznie zbliżonego do drgawek agonalnych. - Nie.

I wyszła. Tym razem rozegrała to właściwie. Tym trzecim razem. Ale gdyby została jeszcze chwilę, zapewne straciłaby panowanie nad sobą. Przeszła przez hol, machinalnie rejestrując artyzm, z jakim umieściła tu donicę z czerwono kwitnącym drzewkiem bonsai, przydającym wejściu pomyślnego... Nie pamiętała już czego. Ironia losu. Przez chwilę walczyła z przemożną chęcią, by kopnąć to cholerstwo, ale coś takiego byłoby... nie w stylu rodziny Bellamych.

Schodziła po schodach, żeby uniknąć oczekiwania na windę. Już to wypróbowała za pierwszym razem, z Pierce'em. Wciąż pamiętała, jak sterczała na klatce schodowej, w nadziei że Pierce wyskoczy z mieszkania, wołając: „Zaczekaj! Myliłem się! Co ja sobie myślałem?!“.

Ale to się nie zdarzało takim kobietom jak ona. Kate Hudson czy Reese Witherspoon, owszem. Ale jej nie. Dla takich jak Olivia Bellamy stworzono schody.

Z jazdy taksówką nie zapamiętała nic. Zapłaciła na ślepo zbyt wysoką kwotę i niczym ofiara kontuzji zaczęła powoli wchodzić po kilku schodkach do domu z brązowej cegły, w którym mieszkała.

- Oj, coś źle ci poszło - powiedział bezceremonialnie jej sąsiad, Earl, bez żadnego powitania. Właśnie wyszedł na korytarz łączący ich parterowe mieszkania. - Wróciłaś o wiele za wcześnie.

Anthony George Earl Trzeci, srebrnowłosy starszy pan, niegdyś uczęszczający do szkół wraz z ojcem Olivii, był właścicielem tego domu. Po tym, jak porzuciła go druga żona, stwierdził, że Olivia jest jedyną kobietą, której towarzystwo zniesie. Był też kucharzem hobbystą.

W tej chwili z jego kuchni dobiegał cudowny zapach kurczaka po burgundzku. Niestety, Olivie z lekka zemdlilo od tego zapachu. Szkoda, że podzieliła się z nim przeczuciem co do oświadczeń Randa.

Chociaż Earl był rozwodnikiem i mieszkał sam, teraz odwrócił się i zawołał do kogoś w swoim mieszkaniu:

- Nasza dziewczynka wróciła! I coś z nią nie bardzo!

Nasza dziewczynka? Nazywał ją tak tylko w obecności jednej osoby - swego najlepszego przyjaciela. Spojrzała ponuro na Earla.

- Powiedziałeś mu? - Nie czekając na odpowiedź, precyzyjnie się do jego mieszkania. - Tato?

Philip Bellamy wstał z głębokiego fotela-leniwca i uniósł otwarte ramiona.

- To przez tego szurka, prawda?

Przytulił ją. Ojciec był bezpieczną przystanią, przypuszczalnie jedyną osobą, dzięki której przetrwała burzliwy okres dojrzewania. Oparta o jego pierś, wdychała uspokajającą woń wody po goleniu. Ale tylko na chwilę, jak zwykle. Gdyby opierała się o niego zbyt często, straciłaby zdolność samodzielnego stania.

- Och, Lolly - użył zdrobnienia z dzieciństwa. - Tak mi przykro.

W tonie jego głosu zabrzmiała jakaś dziwna, może nawet fałszywa nuta. Nie mogła się przesłyszeć. Odchyliła się w tył i spojrzała ojcu w twarz. Drugi Cary Grant. Wszyscy tak o nim mówili. Taki sam dołeczek w podbródku, takie samo przenikliwe spojrzenie. Był - i to od zawsze - wysokim, eleganckim mężczyzną z rodzaju tych, których widzi się na spotkaniach mecenasów sztuki czy też na weekendowych przyjęciach w Hamptons.

- Co się stało? - zapytała.

- A czy musi się coś dziać, żebym mógł odwiedzić moje jedyne dziecko i najlepszego przyjaciela?

- Nigdy nie przyjeżdżałeś tu bez zapowiedzi. - Olivia znów zerknęła na Earla. - Nie wierzę, że mu powiedziałeś.

Nie mogła uwierzyć, że Earl i ojciec wiedzieli wcześniej, że wszystko pójdzie nie tak, że wróci roztrzęsiona i że będzie potrzebowała pociechy. A może - skoro był to już trzeci raz - spodziewali się czegoś złego.

- Muszę sprawdzić, co z Barkisem. - Pogmerała w torebce, wyciągnęła klucze i wyszła na klatkę.

Gdy otwierała zamki, okazało się, że choć los z niej znowu zakpił, na świecie było też coś stałego. Barkis. Wyprysnął przez swoje psie drzwiczki i wskoczył wprost w jej ramiona. Rodzice Olivii upierali się, że klapka u dołu drzwi zmniejsza bezpieczeństwo mieszkania, ale ona uznała, że to rzecz niezbędna, szczególnie przy tak wariacko rozłożonych godzinach pracy. A włamania jej nie niepokoiły. Earl był dramaturgiem, pracował w domowym zaciszu i miał instynkt obrońcy, którego Barkisowi i tak brakowało.

Jej mały piesek dysponował za to czymś innym. Już na sam widok Olivii wykonywał radosny taniec. Często zastanawiała się, czy znajdzie się na świecie drugi ktoś, dla kogo będzie tak wspaniała jak dla Barkisa.

Postawiła psa na ziemi i pogłaskała, czym doprowadziła go do prawdziwej ekstazy.

Pobyt w domu podnosił na duchu. „Dom” Olivii nie był czymś nadzwyczajnym - po prostu niedużym mieszkaniem. Ale za to jej własnym. Był miejscem pełnym przestrzeni, barw, światła i tego wszystkiego, co wprowadzała tutaj przez trzy lata, czyli od początku,

kiedy tu zamieszkała. Mieszkanie wyglądało bardzo „nienowejsko” według określenia jej matki - i to wcale nie była pochwała. Znadto ciepłe, wręcz niebezpiecznie przytulne, ze ścianami w barwach płomiennej jesieni i meblami mającymi więcej wspólnego z wygodą niż z jakimkolwiek stylem.

- Jesteś świetną specjalistką od wnętrz. - Matka kręciła głową. - Skąd ten wypadek przy pracy?

Rośliny w kolorowych doniczkach kwitły na każdym parapecie i pod każdym oknem. I nie były to żadne zbytkowne, wąskolistne, tropikalne cudactwa, zdradzające gust i wyrafinowanie właściciela, tylko pospolite paprotki, afrykańskie fiołki, zwykłe pierwiosniki i geranium.

Ogródek na tyłach domu, okalający patio wybrukowane płytkami z piaskowca, prezentował się bardzo podobnie: nieco cukierkowe barwy kwiatów rozjaśniały brąz cegieł. Olivia zachodziła tam czasami i udawała, że wielkomijski szum to odgłos płynącej rzeki, że mieszka w domu, gdzie jest miejsce na fortepian i inne rzeczy, które lubi, że dookoła są zielone drzewa i mnóstwo otwartej przestrzeni. Im dłużej trwał jej związek z Randem, tym więcej elementów pojawiało się w marzeniach. Ostatnio doszły dzieci. Przynajmniej troje. Może czworo.

Właściwe marzenie przy niewłaściwym facecie, pomyślała.

Ojciec i Earl dołączyli do niej i skierowali swe kroki do niezbyt obficie zaopatrzonego barku.

- Co ci nalać? - zapytał Earl.

- Campari z wodą sodową - mruknął ojciec. - A do tego dwie kostki lodu.

- Pytałem Olivie, nie ciebie!

- Dla niej to samo. - Ojciec uniósł brew jak jakiś łobuziak ucharakteryzowany jedynie na starszego pana.

Olivia dziękowała losowi, że nie ma sentymentalnego ojca. Gdyby teraz okazał jej współczucie, rozpląnęłaby się we łzach. Skinęła głową, zmuszając się do słabego uśmiechu. Rozejrzała się wokół. Gdyby wszystko poszło tak, jak sobie wymarzyła, dzisiejszy dzień wyglądałby zupełnie inaczej, a ona patrzyłaby na świat z zupełnie innej perspektywy. Czując gorzko-słodki smak satysfakcji i świadomość nadchodzących zmian, robiłaby plany na przyszłość. Przyszłość w towarzystwie Randa, oczywiście. Niestety, nic nie poszło tak, jak sobie wymarzyła. Widziała więc miejsce, gdzie spędzi resztę swych dni jako niepotrzebna nikomu stara panna.

Olivia i ojciec usiedli przy stole koło okna i popatrując na ogródek, sączyli swoje drinki. Earl przyniósł im na tacy pokrojony w trójkąty chleb pita i hummus.

Olivia nie miała apetytu. Czowała się jak ktoś, kto ocalał z katastrofy, a teraz ogląda własne ciało i znajduje na nim wciąż nowe zranienia.

- Idiotka ze mnie - stwierdziła chłodno. Lód brzęknął o szklanke, gdy odstawiała ją na stół.

- Nie, nie z ciebie. To ten jak-mu-tam jest skończonym cymbałem. - Ojciec wzruszył ramionami.

Przymknęła oczy.

- Boże, dlaczego ja muszę tak za każdym razem... - Urwała.

- Ponieważ jesteś... - Ojciec zamilkł na chwilę. Zawsze troskliwy o kształt wypowiedzi, poszukiwał właściwego słowa.

- Po trzykroć frajerką? - podpowiedziała Olivia.

- Chciałem powiedzieć: beznadziejną romantyczką - uśmiechnął się serdecznie.

Dopiła drinka.

- Że jestem beznadziejna to fakt.

- No, to teraz się zacznij - rzucił Earl. - Chyba przyniosę swoje skrzypce.

- Przestań. Czy nie mogę sobie spokojnie porozpaczać chociaż przez jedną noc?

- Nie z powodu kogoś takiego - odparł ojciec.

- Nie warto - dodał Earl. - Pierce i Richard też nie byli tego warci. - Wymówił ich imiona z przesadną pogardą.

- Mała uwaga o złamanym sercu - ciągnął Philip Bellamy. - To zawsze da się przeżyć. Zawsze. Nieważne, jak głęboko cię zraniono. W końcu zdrowiejesz i odzyskujesz pełną sprawność.

Zastanawiała się, czy ma na myśli swój rozwód z matką.

- Dziękuję, panowie - odrzekła. - Przemowa pod tytułem „On nie zasłużył na kogoś tak wspaniałego jak ty” sprawdziła się raz. Może dwa. Ale teraz jest trzeci raz i dlatego muszę uwzględnić istnienie usterek we mnie samej. No bo jak można wdepnąć w psią kupę trzy razy z rzędu na tej samej ulicy?

- Córeczko, to przecież Manhattan - zaśmiał się ojciec. - Psich kup wszędzie tu pełno.

- I dość tych samooskarżeń - dodał Earl. - Bo się wpędzisz w kompleksy.

Opuściła rękę i podrapała Barkisa w jego ulubione miejsce za uchem.

- Ja już mam co najmniej jeden kompleks.

- Nie - sprzeciwił się Earl. - Ty po prostu masz problemy. A między kompleksem a problemem jest różnica.

- A jednym z twoich problemów jest nieumiejętność odróżnienia potrzeby miłości od samej miłości - przypieczętował ojciec, który był namiętym miłośnikiem serialu „Doktor Phil”.

- Dobrze - zawyrokował Earl i obaj przybili piątkę nad stołem.

- Halo, tu mówi złamane serce! - Olivia postanowiła przypomnieć im o swoim istnieniu. - Mielście mi pomóc, a zamiast tego uprawiacie jakąś kuchenną psychologię.

Obaj spoważnieli.

- Kto pierwszy, ty czy ja? - zapytał Earl.

Jej ojciec poczęstował psa okruszyną chleba. Olivia zauważyła, że sam do tej pory nie skosztował jeszcze niczego. Wytrąciłam go z równowagi, pomyślała z poczuciem winy.

- W twoje ręce, maestro - powiedział Philip.

- Nie mam dużo do powiedzenia - zaczął Earl.

- Może tylko to, że tak naprawdę wcale nie kochałaś Randa, czy jak mu tam. Po prostu myślałaś, że jest facetem stworzonym dla ciebie, bo wydawał ci się taki... doskonały.

- Postanowił wyjechać do Los Angeles - wyznała. - I nawet nie spytał, co ja na to. Po prostu oczekiwał, że pojedę razem z nim.

Zabrakło jej tchu i z trudem powstrzymywała łzy cisnące się do oczu. Tak, to była prawda. Nie kochała Randa zbyt mocno... Tylko trochę... I to było najgorsze.

- A ileż ty masz lat? Dwadzieścia siedem, o ile mnie pamięć nie myli. - Earl pokręcił głową. - A jesteś wciąż dzieckiem. Emocjonalnym noworodkiem. Nie poznałaś dotąd ani trochę cudownego zjawiska, jakim jest miłość.

- Nigdy nie wyszłaś poza fazę pierwszej porażki - zawtórował mu ojciec. - No bo co wyście robili? Łaziliście po Central Parku, zapraszaliście się na kolacje przy świecach, a on przechwalał się tobą przed swoimi znajomymi. To nie jest żadna miłość, to nie jest coś, na co byś zasługiwała. Potraktuj to jak... jak rozgrzewkę przed startem.

- Tato, skąd ty to wszystko wiesz? - zdumiała się, że tak celnie podsumował cały ten czas, jaki spędziła z Randem.

Kątem oka złowiła wyraz twarzy ojca i od razu pożałowała tego pytania. Zgoda, jej życie uczuciowe zawsze było poddane czyjejś obserwacji, ale małżeństwo i rozwód rodziców otaczała zmowa milczenia.

Być może milczenie ukrywało ból.

- Istnieje taki rodzaj miłości, w którym tkwi moc przywracania życia... lub odbierania go - mówił dalej ojciec. - Miłość jest jak oddychanie. Musisz kochać, bo inaczej umrzesz. A kiedy miłość przemija, dusza zaczyna krwawić, moja Livvy. Nie da się z tym porównać żadnego bólu na świecie, masz na to moje słowo. Gdybyś rzeczywiście tego doznała, nie mogłabyś teraz ani siedzieć prosto, ani prowadzić tej rozmowy.

Ich spojrzenia spotkały się. Ojciec rzadko poruszał przy niej kwestie uczuć. A teraz nie mogła przestać go słuchać. Swymi słowami poruszył w jej wnętrzu coś, o istnieniu czego dotąd nie wiedziała. Kochać w taki sposób? Niemożliwe. Przerazające.

- Dlaczego ktoś chciałby czegoś takiego?

- Bo w tym tkwi sens życia. Bo to jest powód, dla którego żyć warto. Nie chodzi o wspólne gusta ani o to, że pięknie prezentujecie się jako para, ani o to, że wasze matki w tym samym czasie uczyły się w snobistycznym Marymount.

Oczywiście! Obaj gruntownie przestudiowali i przedyskutowali dossier Randa Whitneya.

- Mimo to wciąż czuję się jak śmieć - westchnęła, coraz bardziej przekonana, że starsi panowie mają rację.

- Zdziwiłbym się, gdyby było inaczej - odrzekł ojciec. - Zdziwię się też, jeśli nie będziesz się tak czuć przez następny dzień, dwa lub trzy. Ale nie powinnaś mylić tego uczucia z żalem po utraconej miłości. Bo nie można stracić tego, czego się nie ma. - Zakreślił trzymaną w dłoni szklanką. Lód krystalicznie zadźwięczał o szkło.

Olivia podparła podbródek dłonią.

- Dzięki, tato. Jesteś wspaniały.

- On jest jak matka, której nigdy nie miałaś. - Earl nie ukrywał swej niechęci do Pameli Lightsey Bellamy, używającej nazwiska męża, mimo że od lat byli rozwiedzeni.

- Daj spokój - rzucił Philip ostrzegawczym tonem.

- Cóż, to po prostu prawda - odparł Earl.

Olivia dopiła resztkę drinka i wrzuciła kostkę lodu do doniczki z afrykańskim fiołkiem, który wyglądał na spragnionego.

- I co teraz? - zapytała.

- Teraz zjemy na obiad kurczaka w burgundzie, a tobie dostanie się chyba więcej burgunda niż kurczaka, ale tak właśnie ma być - odpowiedział Earl.

- Mama dostanie szału - wyrwało się Olivii. - Wiązała z Randem wielkie nadzieje. Już słyszę, jak mówi: „Coś ty mu zrobiła, że aż uciekł przed tobą?!“.

- Pamela zawsze była pełna niezmiernego uroku - ironizował Earl. - Czy ty masz pewność, że jesteś jedynaczką? Przecież mogła zjeść twoje starsze rodzeństwo, kiedy było jeszcze małe.

Olivia uśmiechnęła się krzywo.

- Nie, nie zrobiłaby tego. Nie pozbyłaby się obiektów do robienia wody z mózgu. Założę się, że chętnie sprawiłaby sobie jeszcze z dziesięć podobnych do mnie zabawek, gdyby mogła.

Jako nastolatka Olivia poświęcała mnóstwo czasu i wysiłku na próby pozbycia się nadwagi, z powodu której stała się łatwym celem dla złośliwców, oraz na zdobycie uznania matki. Okazało się, że i jedno, i drugie wymaga, bagatelka, utraty co najmniej dwudziestu kilogramów masy ciała. A kiedy w końcu jej się udało, matka natychmiast stworzyła nowy zestaw ambitnych oczekiwań wobec swej jedynej córki. Nigdy jednak nie raczyła się zastanowić, dlaczego Olivia odniosła sukces w walce z nadwagą dopiero wtedy, kiedy opuściła dom i rozpoczęła naukę w college'u.

- Wypadałoby więc życzyć sobie dziesięciu dziewczyn takich jak ty. - Earl stuknął swoją szklanką o jej szklankę, mimo że była już pusta. - Jesteś urocza, a z tym Whitneyem... a, szkoda gadać.

- A może byłoby zabawnie, gdyby Olivia wydała się jednak za jednego z Whitneyów - mruknął ojciec.

- Pieprzysz głupoty - prychnął Earl. - Przewodniczyłyby tylko różnym zebraniom dobroczynnym, latała do galerii na wernisaże, nie miałyby czasu na spotkania z nami, a po kilku latach popadłaby w alkoholizm. Co w tym zabawnego?

- Nie wierzę wam - obruszyła się Olivia. - Skoro byliście tacy pewni, że Rand mnie unieszczęśliwi, to dlaczego nie powiedzieliście mi o tym wcześniej?

- A posłuchałabyś nas? - skrzywił się ojciec.

- A skąd! Przecież to był Rand Whitney, facet, który wygląda niemal jak bliźniak Brada Pitta!

- I to był pierwszy sygnał ostrzegawczy. - Earl po mentorsku uniósł palec. - Nigdy nie ufaj mężczyźnie, który bierze zastrzyki z botoksu!

- Ale on nie... - Olivia urwała protest w pół zdania. - Tylko raz, z okazji sesji zdjęciowej dla „Vanity Fair”.

Pamiętała, że po tej sesji dostała istnego kręcka na punkcie Randa. Fotografie uwydatniały jego niewymuszony wdzięk na równi z pięknymi włosami w kolorze blond. Były też dowodem, że bycie Whitneyem nic go nie zepsuło, bo zarabia na życie jak inni. No, prawie jak inni, gdyby nie brać pod uwagę pewnego funduszu powierniczego, który zapewniał mu stały dochód.

W artykule temat Olivii zajął jedną linijkę: „Rand Whitney umie strzec swej prywatności. Pytany o sprawy sercowe, ujawnił jedynie, że spotkał niedawno kogoś niezwykle cudownego, i dodał, że to jedyne informacje, jakich może nam udzielić”.

Tyle że nad tą deklaracją popracował jeszcze tuzin innych kobiet. Czytając artykuł, śmiali się z Randem do rozpuku, ale Olivia zauważyła jego zadowoloną minę. Dopiero dzisiaj zrozumiała, jak bardzo był próżny.

Po co tracić wolność?

Postanowiła, że spędzi wieczór w towarzystwie ojca i Earla. Zapowiadała się pierwsza ciepła noc w tym roku i Earl uparł się, żeby zjedli na dworze. Po kolacji wszyscy troje urządzili sobie zabawę. Chodzili wokół stołu, wznosząc toasty przy każdym okrążeniu. Chodziło o to, żeby udowodnić, że mimo nieszczęść, które się zdarzają, zawsze jest coś, za co warto by wypić.

- Za komputerowy edytor tekstu mówionego. - Earl uniósł szklankę. - Nie cierpię stukania w klawiaturę.

- Za wszystkich kucharzy amatorów na całym świecie - powiedział Philip. - Earl, dzięki za kolację. Twoja kolej! - Odwrócił się do Olivii.

- Za obróżki przeciwpchelne dla psów - powiedziała, patrząc z czułością na Barkisa. - Dzięki nim nie czepia się ich to paskudztwo.

Jej ojciec zmierzył ją łagodnym wzrokiem.

- Szkoda, że nie produkują czegoś takiego dla ludzi...

On i Earl już dwukrotnie widzieli ją w podobnej sytuacji. Wiedzieli, o co chodzi. Oliwię przygnębiało, że ona również to wiedziała. Ugrzęzła. Utknęła. Dawno temu wpadła w pułapkę i dotąd nie mogła się z niej wydostać. Doskonale zdawała sobie sprawę, kiedy to się stało. Miała wówczas siedemnaście lat i spędzała swoje ostatnie przed college'em lato na obozie jako jedna z drużynowych. To właśnie wtedy, jedyny raz w życiu, odkryła przed kimś swe serce - całkowicie, bez lęku i bez wahań. Wszystko źle się skończyło. Tamtego lata nie przyszło jej nawet do głowy, że dokładnie od tamtej chwili pograżyła się w emocjonalnym odpowiedniku ruchomych piasków, z których do teraz nie mogła wybrnąć.

Czyżby propozycja babci miała być kołem ratunkowym?

- Wiecie co? - Zerwała się na równe nogi. - Nie mam czasu dłużej tu siedzieć i się użalać.

- Trenujesz na nas technikę szybkich rozstań?

- Przepraszam, ale to pilna sprawa. Muszę się szybko spakować - powiedziała, wyciągając z torebki fotografię z babcinego albumu. - Od jutra rana zaczynam pracę nad nowym projektem.

Wzięła głęboki wdech i z zaskoczeniem odkryła, że odczuwa przypływ radosnej nadziei.

- Wyjeżdżam na całe lato.

ROZDZIAŁ TRZECI

- To zły pomysł - powiedziała Pamela Bellamy, otwierając drzwi swego mieszkania przy Piątej Alei i wpuszczając Olivię do środka.

Mieszkanie przypominało muzeum: wyfroterowane do lustrzanego połysku parkiety, dzieła sztuki, przepych. Dla Olivii jednak było to tylko miejsce, w którym dorastała. I z którego wyrosła. Obraz Renoira na ścianie nie robił na niej większego wrażenia niż komplet naczyń Tupperware w kuchni.

Już w dzieciństwie czuła się tu obco. Teraz to miejsce wydawało się odległe o lata świetlne od jej własnego mieszkania, urządzonego trochę na wiktoriańską modłę. Tam panowała przytulna atmosfera: lubiła swoje afrykańskie fiołki, przepastne, miękkie fotele, kolorową ceramikę, puszyste dywany... Tu niczego takiego nie było.

Nie było też żadnej nici porozumienia między matką i córką. Ale... czy taka nić kiedykolwiek istniała? Olivia jako samotne dziecko i jedynaczka zawsze próbowała zadowolić rodziców. Przykładała się pilnie do nauki i ćwiczeń muzycznych w nadziei, że pełna szóstek cenzurka czy też nagroda za udział w konkursie pianistycznym rozproszy jakoś tę chłodną atmosferę przenikającą życie rodziny, odkąd tylko sięgała pamięcią.

- Ja też cię serdecznie witam, mamo. - Olivia odstawiła torebkę na stół w przestronnym holu i objęła matkę, pachnącą jak zwykle Chanel numer 5 i papierosem, którego każdego ranka po śniadaniu wypalała na wschodnim tarasie domu.

- Skąd ci to przyszło do głowy? Po co w ogóle brać się do czegoś takiego? - indagowała córkę Pamela.

Jak dotąd wiedziała tylko tyle, ile usłyszała od Olivii ubiegłego wieczoru przez telefon: że z Randem koniec i że jej córka ma zamiar spędzić lato na odnawianiu letniska w Kioga.

- Babcia mnie o to prosiła - odrzekła Olivia łagodnie. Było to najprostsze wyjaśnienie, jakiego mogła udzielić.

- Absurd! - Matka strzepnęła nieistniejący pyłek ze swetra Olivii. - Masz zamiar spędzić lato na krzątaniu się pośród kompletnej dziczy?

- Mówisz tak, jakby było w tym coś złego.

- Bo to jest złe.

- Kiedy byłam młodsza, każdego lata mówiłam to samo tobie i tacie, ale nikt nie chciał mnie słuchać.

- Myślałam, że lubisz tam jeździć. - Matka rozłożyła ręce w geście niemocy.

Na coś takiego Olivia nie miała odpowiedzi. Podobny brak porozumienia trwał między nimi przez całe jej dzieciństwo.

- Zdążyłaś już omówić to ze swoim ojcem, jak przypuszczam. - W głosie Pameli pobrzmiwała lodowata obojętność.

- Tak. Babcia i dziadek są bądź co bądź jego rodzicami.

Olivia złapała się na tym, że już czuje się znużona. Jej matka była specjalistką od wywoływania tego typu doznań za pomocą odpowiednio dobranych słów.

Postanowiła jednak, że tym razem się nie podda. Przynajmniej ojciec nie miał nic przeciwko jej zamiarom. Zeszłej nocy, kiedy zupełnie znienacka postanowiła zacząć „Projekt Kioga”, umiał dodać jej otuchy i pewności siebie. Dziś w południe nadała sprawie bieg - wypożyczyła na całe lato dużego suwa, sprzątnęła biuro i przekazała innej firmie rozpoczęte już prace oraz pozostałe sprawy zawodowe.

- Po prostu uciekasz - powiedziała matka. - Znowu.

- Chyba masz rację. - Olivia wyciągnęła notatnik i otworzyła go na długiej liście, którą zrobiła podczas jazdy taksówką tu, na Piątą Aleję.

- Tak mi przykro, kochanie. - Jej matka, o dziwo, wyglądała na strapioną.

- No cóż, tak bywa.

Jak by to było, gdyby przytuliła się do matki i wypłakała na jej ramieniu? Nie, niewykonalne. Nie w wypadku jej i Pameli.

- Ja też tego żałuję, mamó - dodała. - Wiem, jakie nadzieje z tym wiązałaś.

- Na litość boską, tu przecież nie chodzi o mnie! - Głos matki brzmiał jakoś dziwnie. - Chcę, żebyś była szczęśliwa, i tyle. To jest właśnie moje zmartwienie.

- Nic mi nie będzie - zapewniła Olivia. Ku swemu zdumieniu zauważyła w oczach Pameli zdradziecki błysk. Łzy? Czyżby matka zniosła to gorzej niż ona sama? - Przecież to nie koniec świata. Zdarzają się rzeczy gorsze niż kosz od chłopaka. A jak teraz o tym myślę, widzę, że właściwie wcale go nie dostałam.

- Naprawdę? - Pamela wytarła chusteczką oczy i policzki.

- Rand chciał, żebym wyjechała z nim do Los Angeles.

- Nie mówiłaś mi o tym. Moja droga, może powinnaś to rozważyć...

- Nie ma mowy.

- Ale może gdybyście zaczęli wieść wspólne życie, oboje zrozumielibyście, że razem jesteście szczęśliwi.

- Zrozumiałam, że będę szczęśliwa osobno.

- Nonsens. Rand Whitney to idealny mąż dla ciebie. Nie rozumiem, dlaczego poddałaś się bez walki.

Olivia zeszywniała. Oto cała Pamela Lightsey Bellamy i jej sposób myślenia: za wszelką cenę trzeba wyglądać na szczęśliwą i zadowoloną z życia. Nawet jeśli oznacza to walkę albo na przykład ukrywanie przed sobą, że wciąż nie przeszło się do porządku dziennego nad rozwodem sprzed siedemnastu lat.

Kiedyś dawno temu Olivia spytała: „Czy jesteś szczęśliwa, mamó?”. W odpowiedzi usłyszała krótki, suchy śmiech i słowa: „Nie bądź niemądra. Naturalnie, że jestem, i nawet nieładnie przypuszczać, że może być inaczej”.

To wspomnienie nie pomogło Olivii w znalezieniu właściwej riposty na słowa matki, za to doskonale zbiło ją z tropu.

- Z Randem koniec - oświadczyła w końcu. - Miło z twojej strony, że tak się mną przejmujesz, ale już podjęłam decyzję o wyjeździe. Zrobię to dla babci. A skoro tu jestem, to chciałabym zabrać jeszcze stąd parę rzeczy.

- To nienormalne - skrzywiła się matka. - Nie wiem, co Jane sobie myśli. Żeby prosić cię o coś takiego!

- Może po prostu uważa, że jestem na tyle dobra w swoim fachu, że tam też mi się powiedzie?

Pamela wyprostowała się.

- Zapewne - powiedziała sztywno. - I przyznaję, że mając ciebie, wygrała los na loterii. To miejsce będzie wyglądać fantastycznie, jeśli... dasz sobie z nim radę.

- Dzięki, mamó. Jak zwykle masz rację.

Matka miała zakłopotaną minę nie tylko z powodu Randa. Olivia wiedziała, że nadchodząca rocznica stawia matkę w bardzo niezręcznej sytuacji. Ojciec Pameli, Samuel Lightsey, był najlepszym przyjacielem Charlesa Bellamy'ego. Rozerwanie więzi łączących jej rodzinę z klanem Bellamych okazało się niemożliwe. Zapewne dlatego w głębi serca Pamela nigdy nie przeprowadziła rozwodu, który został orzeczony na papierze.

- Przyjedziesz na uroczystość, mamó?

- Byłabym małostkowa, gdybym tego nie zrobiła.

- Cieszę się - odrzekła Olivia. - Będzie bardzo miło. Słuchaj, mamó. Chciałam pokopać trochę w piwnicy... - Patrzyła na śliczną, opanowaną twarz matki. - Potrzebny mi będzie mój plecak, sprzęt sportowy i ten stary kuferek taty. - Zamarła. - Nie wyrzuciłaś go?

- Nie wyrzucam niczego. Nigdy - odrzekła matka.

I to też wiele o niej mówiło. Olivia pamiętała - tak wyraźnie, jakby to było zaledwie wczoraj - dzień, w którym ojciec opuścił dom. Pamiętała, jak wyglądał, widziany przez pełne łez oczy, niczym przez zalane deszczem okno. Jak usiadł, popatrzył w jej zapłakaną twarz i powiedział:

- Muszę iść, malutka.

- Nie, nie musisz, ale i tak to zrobisz - odpowiedziała mu wtedy.

Nie pozwolił sobie nic wyperswadować. Milczące napięcie, które od lat trwało między jej rodzicami, zakończyło się potężnym wyładowaniem. Takie wyładowanie zwykle przynosi ulgę, ale Olivia nie miała poczucia, że uwalnia się od czegokolwiek.

- Zostawiam trochę swoich drobiazgów w piwnicy - powiedział jeszcze ojciec. - Mój sprzęt sportowy i wszystkie obozowe szpeje. Od tej pory są twoje.

Od tamtej pory często wkładała jego starą bluzę z Kioga albo owijała się w pachnący naftaliną koc znad Zatoki Hudsona.

Windą dla służby zjechała do podziemi starego budynku i skierowała się do składziku. Plecak znalazł się natychmiast. Sztywne płótno pokrywały barwne łatki oznak sprawnościowych z Kioga, a każda z nich oznaczała jedno lato od 1987 do 1994. Wielu współobozowiczów pożałowało chciwie tych kolorowych znaczków, które przypominały im o magicznych wakacjach wśród sennych gór. Ale nie Olivia. Przyszywała je zmuszając do grubej tkaniny tylko po to, żeby nie urazić dziadków. Dla niej nie miały one żadnej wartości uczuciowej. Dziadkowie jednak święcie wierzyli, że obóz to baśniowa kraina. Ten, kto uważał inaczej, tylko by ich zranił.

Odłożyła plecak i rozejrzała się po wypełnionej, choć uporządkowanej piwnicy. Czy rzeczywiście było w niej zimno, czy był to tylko chłód starych wspomnień? Wyciągnęła duży, ciężki kuferek, który ojciec zostawił tu dla niej całe lata temu i otworzyła wieko. W jej nozdrza uderzył zleżały zapach, który miał tylko jedną nazwę: obóz. Niemożliwa do zapomnienia mieszanka stęchlizny, dymu z ogniska i woni otwartej przestrzeni. Kompozycja nie do wyrugowania. Nie pomagało ani sprzątanie, ani wietrzenie.

Przetrząsając wnętrze kufereka, znalazła latarkę i poradnik przetrwania. Potem wyciągnęła starą obozową bluzę z kapturem i nadrukiem na plecach. Napis głosił: „Drużynowy”. W rodzinie Bellamych nie wystarczało być zwykłym obozowiczem. Po osiągnięciu odpowiedniego wieku należało zostać drużynowym. To był nieodzowny rodzinny rytuał. Tak stało się z ojcem Olivii, wszystkimi ciotkami i wujami. Spędzali tam wakacje po każdym roku nauki w college'u. Nadzorowali działanie obozu w dzień i imprezowali w nocy z resztą koleżanek i kolegów. Olivia i następne pokolenie jej kuzynów robili to samo, dopóki obóz nie został zamknięty dziewięć lat temu. Tamto lato zaczęło się od wspaniałej obietnicy, ale skończyło katastrofą. Zaskoczyło ją to, z jaką łatwością przypominała sobie dźwięki i zapachy, światło słoneczne i spokojną toń jeziora, szaloną radość i obrzydliwy smak zawodu, jakiego doznała w tamte wakacje. Może oszalałam, ale chcę tam wrócić, pomyślała.

Włożyła do plecaka kilka pamiątek o kluczowym znaczeniu: strzępiący się koc, bluzę, starą rakietę tenisową z zerwanym naciągami... A przecież były jeszcze drewnianka z wypalonymi imionami obozowiczów, zdumiewająco zręcznie pomalowane pagaje z trzonymi zdobnymi w autografy innych, śpiewniki, „bransoletki przyjaźni”, stopione świece, łódki z brzozy kory... Odnaleziony skarb.

Przy rearanżacji podstawowe znaczenie miały szczegóły, drobne detale wystroju. Im bardziej autentyczne, tym lepiej. Rzeczy znalezione w kufereku przywrócą obozowi pozory życia. Olivia liczyła również na to, że ciotki i wujowie podzielą się z nią pamiątkami ze

swych kolekcji. Na dnie kuferka spoczywał puchar tenisisty, matowy i porysowany. Miał podstawkę, kopulastą pokrywkę i dwa ucha. Powinien dobrze wyglądać w gablotce na trofea w obozowej stołówce - pod warunkiem że gablotka ciągle jeszcze tam jest.

Gdy podnosiła puchar, coś zadźwięczało w środku. Podniosła pokrywkę i to coś wypadło na podłogę. Guzik? Nie, spinka do mankietu. Też ze zmatowiałego srebra, zdobna w wygrawerowaną rybkę. Może znak zodiaku? Olivia poszukała drugiej, ale jej nie znalazła. Włożyła więc samotną spinkę do kieszeni i zaczęła badać trofeum. Znalazła napis: „Puchar Drużynowego. Pierwsze miejsce. Philip Bellamy. 1977”. Najwyraźniej ojciec wygrał coroczne zawody. Tamtego roku, gdy był drużynowym w Kioga, musiał mieć niewiele ponad dwadzieścia jeden lat. Przed nim był jeszcze tylko jeden rok nauki.

Wewnątrz pucharu znalazła też zwiniętą w rulonik fotografię. Brzegi zdjęcia były pozaginane, kolory zblakłe, ale to, co zobaczyła, zaparło jej dech. Ujrzała swojego ojca takim, jakim nie widziała go nigdy. Głowę miał odrzuconą w tył i śmiał się radośnie. Jedną ręką unosił nad sobą nowiutki, lśniący puchar, a drugą ręką obejmował... dziewczynę? Nie. Młodą kobietę.

Olivia starła rękawem kurz z fotografii i zaczęła oglądać ją pod światło. Z tyłu zdjęcia znalazła datę: sierpień 1977, nic poza tym. Przyjrzała się bliżej kobiecie. Na jej okryte obozową koszulą ramiona spływały długie, ciemne włosy. Ich puszyste fale okalały śliczną twarz rozpromienioną w uśmiechu, który miał w sobie coś tajemniczego. Pełne wargi, wystające kości policzkowe i czarne, migdałowe oczy dopełniały widoku egzotycznej piękności i dziwnie kontrastowały ze zwykłym ubraniem, jakie miała na sobie.

Fotografia sugerowała, że tych dwoje łączy coś więcej niż zwykła znajomość. Olivia poczuła dreszczyk zaciekawienia. Dostrzegała... poufałość? Nie, coś głębszego! A może po prostu pomyślała sobie za dużo?

Wiedziała, że może po prostu zapytać o to ojca. Z pewnością pamiętał kobietę, która najwyraźniej wywoływała w nim emocje utrwalone na zdjęciu. Nie chciała go jednak drażnić wywekaniem na wierzch jakichś dawno minionych spraw. Jeżeli na fotografii nie było nic oprócz daty, z pewnością miało to swoje głębokie uzasadnienie.

Na pewno nic? Spojrzała jeszcze raz na jedną i drugą stronę fotki. Istotnie. Sierpień 1977. To było to. Wtedy jej ojciec już był zaręczony z jej matką, a ślub wzięli po paru miesiącach, na Boże Narodzenie.

No to co on robił z tą kobietą z fotografii?!

OBÓZ KIOGA - ZASADY ZACHOWANIA

Nie zaleca się okazywania nadmiernej poufałości wobec osób płci przeciwnej. Dotyczy to zarówno obozowiczów, drużynowych, jak i kadry.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Sierpień 1977

- Phil? Co robisz? - zapytała Mariska Majesky, wchodząc do bungalowu.

Odwrócił się w jej stronę i chłonał wzrokiem jej widok: piękna koktajlowa sukienka z szyfonu, pantofle na wysokim obcasie, faliste, ciemne włosy nad opalonymi ramionami.

- Przygotowuję się - odpowiedział, czując równocześnie radość i obawę - emocje, które od pewnego czasu toczyły w jego sercu cichą wojnę.

Przekrzywiła głowę w uroczy sposób, jak zwykle kiedy bywała zaciekawiona.

- Do czego?

- Ćwiczę to, co powiem Pamelii, kiedy wróci z Europy - wyjaśnił. - Wciąż się zastanawiam, jak zakończyć tę znajomość.

Odkąd jego narzeczona wyjechała, odbyli jedynie kilka krótkich, zdawkowych rozmów telefonicznych. Wymienili kilka pocztówek i telegramów. Włoska telefonia słynęła z zawodności, a niszczenie marzeń Pamelii przez trzeszczący kabel transatlantycki albo teleks wydawało się co najmniej niewłaściwe.

Za tydzień powinna wrócić. Wtedy powie jej to sam. Zapewne zrobi z siebie przy tym cymbała stulecia, ale trudno. Gorsze od tego byłoby spędzenie reszty życia z kimś, kto nie miał prawa do jego serca. To prawo przysługiwało tylko Marisce, która teraz dziwnie spoważniała. Jej pełne wargi wygięły się w smutnym uśmiechu. Philip przytulił ją, wdychając jej zapach - niesamowite połączenie woni kwiatów i owoców. Pasowała do jego ramion tak, jakby gdzieś w zaświatach ktoś specjalnie ją do nich dopasował - zupełnie jak w piosence. Jej bliskość sprawiła, że na chwilę zapomniał o kłopotach z Pamelą.

- Zajrzałam dzisiaj do tego szybkiego fotolabu.

- Wyciągnęła z torebki kopertę. - Zamówiłam podwójne odbitki. Jedna jest dla ciebie. - Spośród fotografii, na których utrwalono obozowe imprezy sportowe, wydostała tę przedstawiającą ją i Philipa z tryumfalnie uniesionym srebrnym pucharem.

Ścisnęło mu się serce. Wyglądał na tak cholernie szczęśliwego. Ale w tamtej chwili rzeczywiście czuł się szczęśliwy. Zdjął trofeum z półki, włożył zdjęcie do środka i założył na puchar pokrywkę.

- Dzięki.

Przemierzyła pokój i pocałowała go.

- Powinniśmy już iść. To ostatnia potańcówka tego lata, a wiesz, jak lubię tańczyć.

Każde lato kończyło się tutaj według ustalonego rytuału. Wczoraj wszyscy obozowicze rozjechali się do domów. Dziś miało nastąpić pożegnanie dla przełożonych: uroczysty obiad, a po nim tańce trwające aż do północy. Jutro nie będzie tu już prawie nikogo. Dla drużynowych nadejdzie czas powrotu do nauki w college'ach.

- Chodźmy wreszcie. - Pociągnęła Philipa za rękę.

- Jeszcze nie muszę poprawiać sobie włosów... - Spojrzała na niego z łobuzerskim błyskiem w oczach.

- Przynajmniej jeszcze nie teraz.

Nawet tak zawołowana uwaga wystarczyła, by jego organizm zareagował. Gdy wychodzili z domku, Philip zapiął wiatrówkę, w nadziei że nikt nie zauważy tego, co się z nim działo w pobliżu Mariski. Tak jak czynił to od początku lata, uważnie zlustrował otoczenie, by upewnić się, czy nie zostali przez kogoś namierzeni. W Kioga obowiązywały ścisłe zasady. Zażyłość pomiędzy drużynowymi i resztą zatrudnionych była źle widziana, a to, że rodzice Philipa byli właścicielami tego miejsca, bynajmniej nie stawiało go ponad tutejszym prawem. Chociaż Mariska nie była drużynową, takie zachowanie przypuszczalnie też by jej zaszkodziło.

Mariska i jej matka, Helen, zaopatrywały obóz w pieczywo. Odkąd Mariska ukończyła czternaście lat, obydwie każdego rana przemierzały góry swą białą furgonetką, przywożąc chleb, bułki, babeczki i ciastka do stołówki. Gdy ich wóz jechał, miejscowi policjanci udawali, że patrzą w inną stronę. Matka Mariski, imigrantka z Polski, nigdy nie nauczyła się dobrze jeździć. Jej ojciec pracował na drugiej zmianie w hucie szkła w Kingston. Władze współczuły ich ciężkiej sytuacji, pozwoliły więc na zatrudnienie nieletniej córki do pomocy w prowadzeniu rodzinnego interesu.

Przechodząc z Mariska przez las, Philip już nie wytrzymał. Objął ją ramieniem.

Przycisnęła się do niego i szepnęła:

- Ostrożnie, ktoś może nas zobaczyć.

- Nie cierpię tej całej konspiracji - odszepnął.

Nagle dopadło go poczucie winy. To zdecydowanie nie w porządku - zakochał się, kiedy jego narzeczona wyjechała za granicę. Ale nie mógł nic na to poradzić. Nie oparłby się wdziękowi Mariski w żadnym wypadku. A ona? Wiedziała, że jest współwinna, rozumiała to doskonale. Podejrzywał, że tak samo jak on, chciałaby już, żeby ich miłość przestała być tajemnicą dla świata. Dobrze. Gdy Pamela wróci, trzeba będzie zakończyć z nią tę sprawę. Wtedy będzie można pokazać światu świadectwo własnego serca.

- Dziwnie na mnie patrzysz - odezwała się. - Co to znaczy?

- Próbuję ustalić dokładny moment, w którym cię pokochałem.

- To łatwe. Tamtej nocy w czerwcu, zaraz po Dniu Założycieli.

Nie mógł nie uśmiechnąć się do tego wspomnienia, nawet jeśli Mariska nie miała racji.

- Tamtej nocy po raz pierwszy poszliśmy do łóżka. A zakochałem się w tobie na długo przedtem.

Doszli do końca wysypanej żwirem ścieżki. Oderwali się od siebie i szli dalej osobno, zachowując niezbędny dystans. W pawilonie na drugim brzegu pola pary wirowały już w pożegnalnym tańcu. Z sufitu zwieszała się lustrzana kula, rzucająca stroboskopowe błyski na zatłoczony parkiet. Wszyscy wyglądali na bardziej podekscytowanych niż zazwyczaj. Przynajmniej w oczach Philipa. A może tylko zwodziła go wyobraźnia?

Zatrzymał się.

- O co chodzi? - spytała.

- Zatańczmy. Tu i teraz.

- Ale w tych butach, na trawie... - Skrzywiła się.

- No to je zdejmij. Chcę, żebyśmy tańczyli tylko dla siebie, tu, gdzie nikt nas nie widzi... Będę mógł cię objąć tak, jak chcę.

Gdyby pojawili się w pawilonie, musieliby udawać, że są tylko przyjaciółmi. A Philip chciał tańczyć z nią jako jej kochanek.

Z perlistym śmiechem zrzuciła pantofle i wślizgnęła się w jego ramiona. Miejscowy zespół wykonywał w całkiem znośny sposób „Schody do nieba”, a oni tańczyli w ciemności, w której nikt nie mógł ich zobaczyć. Czują się cudownie w jego objęciach.

Serce Philipa napełniło się radością na myśl o tym, że wkrótce cały świat ujrzy, jak bardzo on i Mariska należą do siebie.

Przyciągając ją bliżej i kołysząc się w rytm muzyki, szeptał jej do ucha:

- To nie zdarzyło się ot tak, natychmiast. Zacząłem coś do ciebie czuć cztery lata temu, gdy tylko zaczęłaś przywozić pieczywo do stołówki.

Wciąż to pamiętał. Opalona, poważna dziewczyna nieumiejąca ukryć zazdrości wobec uprzywilejowanych dzieciaków z miasta, których rodziców było stać na wysłanie ich na letni obóz. To go właśnie poruszyło. Piękność pragnąca czegoś nieosiągalnego. A teraz poruszało go, że ma przy sobie tę samą piękność i że lada chwila spełni jej marzenia.

- Każdego następnego lata - szeptał - to uczucie się pogłębiało.

- Ale niczego nie zrobiłeś aż do tego roku - odrzekła tonem łagodnej reprimendy.

- Nie wiedziałem, że możesz tego chcieć.

- Ale chciałam. Chciałam, żebyś wytrącił mi ziemię spod stóp.

Zaśmiał się i zrobił to, podkładając jedno ramię pod jej kolana, a drugą obejmując za ramiona.

- W taki sposób? Objęła go za szyję.

- W taki.

Pocałował ją powoli i mocno, zastanawiając się, dlaczego nie objawił jej swych uczuć na długo przed początkiem tego lata. Byłem durniem, myślał. Uważałem, że to nieprawda. Każdego lata oczekiwałem, że zauroczenie przeminie.

Może spędził zbyt wiele czasu w towarzystwie swoich dziadków? Czcigodni państwo Bellamy uważali, że miłość między przedstawicielami dwóch różnych klas społecznych jest niemożliwa. Wciąż przypominali Philipowi, że pochodzi z nieprzeciętnego środowiska, że ma pierwszorzędną edukację i wspaniałe widoki na przyszłość. Dziewczyna taka jak Mariska, z ukończoną małomiasteczkową szkołą, pracująca w rodzinnej piekarni i na pół etatu u miejscowego jubilera? Dla dziadków to byłby mezalians!

A według nich Pamela Lightsey była wprost stworzona dla Philipa. Miała wszystko, czego może oczekiwać od żony mężczyzna o jego pozycji: umysłowość, urodę, uczucia i wreszcie status majątkowy. Rodzice jej i Philipa byli najlepszymi przyjaciółmi. Fortuna Lightseyów pochodziła z imperium jubilerskiego. Jego obecni właściciele obdarzyli swą córkę tymi samymi przywilejami, z jakich korzystał i Philip: prywatna szkoła, prywatni nauczyciele, zagraniczne podróże, studia na uczelniach zrzeszonych w Ivy League. Pamela, piękna blondynka, miała do tego jeszcze pewne talenty. Znała dwa języki i potrafiła grać na fortepianie. Lato spędzała w Positano, doskonalać swą znajomość włoskiego.

Philip widział w niej jednak pewien brak. Gdy patrzył w oczy Pameli, nie odczuwał żadnego zawrotu głowy, który wywołuje w ludziach miłość. To zdarzało się tylko w obecności Mariski.

Siłą oderwał się od jej ust i postawił ją na ziemi.

- Powinniśmy iść - powiedział. - Ludzie zaczną się zastanawiać, dlaczego nas jeszcze nie ma.

Mówiąc o ludziach, miał na myśli drużynowych i kadrę obozową. Wielu z nich tak samo jak on od dzieciństwa spędzało lato tu, w Kioga. Wielu z nich zazdrościło mu małżeństwa z Pamelą Lightsey. Wkrótce im ulży. Odrobinę złośliwie pomyślał, że wielu z nich będzie chciało złapać to, co on odrzuci.

Oczywiście czuł nieprzyjemny dreszcz na myśl o zerwaniu tego związku. Ale nie miał wyboru. Byłby nieuczciwy - i wobec Pameli, i Mariski - gdyby udawał, że tego lata nic się nie zmieniło. Nie byłoby to również uczciwe wobec potomstwa, o którym rozmawiał kiedyś z Pamelą - ich ewentualne dzieci zasługiwałyby na dom pełny miłości, nie kłamstwa.

Nie powinien prosić jej o rękę. Ale zrobił to minionej wiosny, w dniu jej urodzin. Ona tego chciała. Jeden z jubilerów pracujących w firmie Lightseyów stworzył na tę okazję jedyne w swoim rodzaju pierścienie: brylant wazący jeden i trzy dziesiąte karata o francuskim szlifie w ręcznie kutej oprawie ze złota. Philip klęknął wtedy przed Pamelą pośrodku kampusu w New Haven Green - i w tamtej chwili mógłby przysiąc, że ją kocha.

Głupio wyszło. Potrzebował dopiero Mariski Majesky, żeby przekonać się, czym jest prawdziwa miłość.

Tuż przy pawilonie zatrzymał się na chwilę, uścisnął jej rękę i nachylił się, by wyszeptać:

- Kocham cię.

Odwzajemniła mu się uśmiechem. Puścił jej dłoń i weszli do środka, idąc obok siebie, jakby byli tylko parą dobrych znajomych.

Przyjęcie trwało w najlepsze. Jego rodzice krążyli pomiędzy gośćmi, pełniąc ze zwykłym sobie mistrzostwem honory domu. Ze zwykłym? Nie, z większym. Z nagłym skurczem żołądka zauważył obecność Lightseyów. Rodzice jego i Pameli byli dozgonnymi przyjaciółmi. Ten fakt dodatkowo komplikował plany Philipa. Pan Lightsey był drużbą na ślubie Bellamych i od tamtej pory obie rodziny pozostawały w bliskim i stałym kontakcie. Małżeństwo Philipa z Pamelą wydawało się w świetle tego czymś nieuniknionym. Co roku Lightseyowie przybywali pod koniec sezonu, by dopomóc w zamknięciu obozowiska, a przy okazji także „ukraść” dla siebie parę ostatnich dni lata przed powrotem do miasta.

W ich obecności Philip musiał być ostrożny. Pamela powinna dowiedzieć się wszystkiego pierwsza. Musi stanąć z nią twarzą w twarz. Gdyby to rodzice przekazali jej nowinę... Wolał o tym nawet nie myśleć. Na domiar złego matka Mariski stała właśnie za ladą, pilnując, by nikomu nie zabrakło deseru. Jagodzianki i kołaczki, wyrabiane przez Helen Majesky, były miejscową legendą, choć ich byt fizyczny nigdy nie trwał długo.

Helen pomachała córce, ale spojrzała na nią podejrzliwie i obdarzyła wyraźnie wymuszonym uśmiechem. Philip był przekonany, że ona domyśla się, co zaszło między nim i Mariską, i że wcale nie jest tym zachwycona. Wiedziała o jego zaręczynach z Pamelą i najwyraźniej obawiała się, że złamie serce jej córce.

Chciałby upewnić Helen, dać jej do zrozumienia, że resztę życia chce spędzić na uszczęśliwianiu Mariski. Niedługo to zrobię, pomyślał. Niedługo wszystko się wyprostuje.

Kiedy w pawilonie on i Mariska poszli każde w swoją stronę, z trudem powstrzymywał się, by nie patrzeć na nią. Wydawało się, że otacza ją niezmierny blask. Philip wiedział, że to światło lampek rozwieszonych pod sufitem, a mimo to myślał, że w wyglądzie tej dziewczyny jest coś magicznego. Jakby pochodziła z innego świata.

- Cześć, Phil. - Klepnął go w ramię Earl, jego najlepszy przyjaciel i współlokator w college'u. - Przegapiłeś spotkanie w szopie na łodzi.

To był jego szyfr na określenie chwilki haju. Anthony George Earl Trzeci strasznie lubił trawkę i oddawał się po nocach swojemu nałogowi. Palenie fajki wodnej stało się niemal kolejnym obozowym rytuałem.

- Jakoś przeżyję. Lepiej wrzucimy coś na ruszt.

- Niezły plan. Kiszki mi marsza grają. - Oczy Earla były rozszerzone i rozjaśnione, nieomylny znak, że spotkanie w szopie na łodzie należało do udanych.

Podeszli do lady. Musieli przekrzykiwać muzykę, żeby jakoś się porozumieć.

- Wyjeżdżam porannym pociągiem - oznajmił Earl, wrzucając sobie do ust garść kukurydzianych rożków. - Stary, nie masz pojęcia, jak mi się nie chce...

- Słyszałem. - Philip zaryzykował spojrzenie w kierunku Mariski.

Tańczyła z Terryem Davisem, miejscowym chłopakiem odpowiedzialnym za techniczny stan obozu. Jak zwykle Davis był pod gazem. Zbudowany jak kulturysta, znany był również z tego, że potrafił osuszyć sześciopak piwa w kilka minut.

- Niezła jest, co? - skomentował Earl, nakładając sobie na talerz dodatkową porcję sałatki ziemniaczanej.

- Kto? Co? - Philip udawał głuchego. Trenował to od początku lata.

- Słodka Mariska. Spójrz no na nią!

Jedynie samokontroli Philip zawdzięczał to, że nie stał pięścią pożądlivego uśmiešku z twarzy Earla. I to też była kwestia treningu. Mariska podobała się wszystkim chłopakom na obozie.

- Bracie! - ciągnął Earl. - Dałbym się zabić, żeby jej dotknąć.

- Tak, pewnie - rzucił Philip, czując, że jego cierpliwość zaraz się wyczerpie.

Earl bez cienia zmieszania wzruszył ramionami, wziął talerz do jednej ręki, drugą zgarnął z lady kolejne pudełko chrupek i znalazł miejsce przy stole stojącym na obrzeżu parkietu.

- A żebyś wiedział, że tak.

- Ty stary skunksie - warknął Philip, dołączając do niego.

- Błąd, stary. Powinieneś powiedzieć: napaleńcu. Chyba od tego zwariuję. Nie mam pojęcia, jak udało ci się zachowywać spokój przez całe lato i nie próbować jej przelecieć? - Earl zanurzył łyżkę w kopczyku sałatki ziemniaczanej.

Tak samo jak Philip, był już zaręczony i jego wybranka też przebywała chwilowo za granicą. Lydia wyjechała do Biafry, by pracować tam jako ochotniczka Czerwonego Krzyża. Jednakże w odróżnieniu od Philipa Earl dochowywał jej wierności, choć często użalał się nad tym, jak się dla niej poświęca.

- A kiedy Lydia wraca? - spytał Philip.

- Za dwa tygodnie, cholera. Doczekać się nie mogę. A co z Miss Ameryki?

Earl tak nazywał Pamelę, bo jego zdaniem, miała wszelkie zalety niezbędne do uzyskania tego tytułu. Poruszała się z istic królewską pewnością siebie, zupełnie jakby szła po wybiegu w finale wyborów królowej piękności. I zawsze można było wyczuć wokół niej niewidzialną, ale nieprzenikliwą barierę, która oddzielała ją od reszty świata.

- W przyszłym tygodniu przyjeżdża - odparł Philip.

- Trudno czekać, nie?

- Trudniej, niż myślisz.

Earl zaczął dłużyć w żeberkach z rusztu.

- Ja tego nie łapię - mruknął. - Skąd można wiedzieć, czy znalazło się właściwą dziewczynę? Rozumiesz, czasami wydaje mi się, że Lydia i ja zostaliśmy stworzeni dla siebie. Ale czasem widzę takie coś - wskazał gestem Mariskę, która właśnie wirowała w szybkim tańcu z grupą swych miejscowych przyjaciółek - i nie potrafię wyobrazić sobie, jak mógłbym spędzić resztę życia tylko z jedną dziewczyną...

Ja bym mógł, pomyślał Philip. Ale nie byłaby to Pamela.

- Twoim rodzicom to się udało - powiedział Earl, machając do nich.

Philip przyjrzał się, co jego rodzice wyprawiają na parkiecie. Widać było, że nie mają zielonego pojęcia o tym, jak się tańczy rocka, ale mimo to poruszali się, jakby byli ze sobą zrośnięci. Nieważne, że z głośników płynął śpiew Erica Claptona.

- Ideal - skomentował Earl. - Zastanawiam się, skąd oni to wiedzieli.

- Nikt nie ma co do tego pewności. - Philip z trudem przełknął ślinę. - I stąd tyle pomyłek. Nie z głupoty, ale z nadziei że dokonali właściwego wyboru.

Chociaż jego rodzice byli rzeczywiście szczęśliwą parą, Philip wiedział, że start mieli trudny. Rodzina Bellamych nie akceptowała ich związku. Ojciec Philipa, Charles, musiał przeciwstawić się wszystkim Bellamym, aby być razem z Jane Gordon, potomkinią założycieli Obozowiska Kioga. Porzucił też studia w Yale, aby ją poślubić i przejąć na siebie trudy prowadzenia obozu.

W końcu jednak pogodził się ze swą rodziną. Może dzięki czworgu dzieciom, które urodziła Jane, a może dzięki temu, że ród Bellamych uznał, że nie można zniszczyć pięknej miłości łączącej Jane i Charlesa.

Tak samo będzie z Mariską i z nim. Był o tym przekonany. Och, zapewne na początku będzie trzeba burzyć mur oporów i wątpliwości. Ale potem świat przekona się do jego letniego odkrycia. On i Mariska będą należeć do siebie... na zawsze.

- Zatańczcie z nami - nakazały siostry Nielsen, które podeszły do ich stołu w przerwie między utworami. - Nie ma mowy, żebyście tu siedzieli, kiedy puszczają „Bohemian Rhapsody”.

- Bo znowu wykręcicie mi rękę? Dobra. - Earl wytarł usta serwetką i wstał.

Sally i Kirsten Nielsen były bliźniaczkami. Towarzysze z obozu nazywali je Walkiriami z powodu ich rozmiarów, typowo nordyckiej urody i nieustraszonej skłonności do podrywania każdego, kto miał pecha wpaść im w oko. Philip był im wdzięczny w duchu za pretekst, by wejść na parkiet i znaleźć się bliżej Mariski.

Poczuł na sobie wzrok zarówno swych rodziców, jak i potencjalnych przyszłych teściów. Znienacka zdał sobie sprawę z ciężącej na nim odpowiedzialności. Jakby musiał

udźwignąć na ramionach całe tony cudzych oczekiwań: poślubić Pamelę, rozpocząć studia ekonomiczne lub prawnicze, założyć rodzinę.

Mariska tańczyła teraz z Matthew Algerem. Widząc ich razem, Philip doznał nagłego ataku zawiści. Alger, solidnie zbudowany blondyn, starał się naśladować swego idola - Johna Travoltę. Suszył włosy suszarką i nosił poliestrową koszulę, rozpiętą tak, aby widać było owłosioną klatkę piersiową. Frajer. Jednak dziewczyny lubiły jego towarzystwo. Dlaczego? Philip nie wiedział.

Z głośników płynęły teraz dźwięki jakiejś powolnej piosenki. Philip złapał Mariskę za rękę, wślizgując się między nią i Algera.

- Teraz moja kolej.

- Spadaj - warknął Alger, zawsze skłonny do bójek. - Nie potrzebujemy cię tutaj.

- To zależy od opinii damy.

- A dama mówi - zaśmiała się Mariska, zwracając się do Algera - że jeszcze nie tańczyła z Philipem. Jutro wszyscy stąd wyjedziecie.

- Ja nie - poinformował Alger w pełnej zadufania postawie. - Zostaję w Avalon. Piszę pracę licencjacką o administracji miejskiej i tutaj mam teren badań.

Nie pochodził ze zbyt majątnej rodziny, ale umiał kombinować. Philip zaczerwienił się z zazdrości. I to Alger ma zostać tutaj, podczas gdy on będzie wygnańcem z rajy i cały następny rok spędzi na kampusie?

Alger ustąpił i odszedł przesadnie zamaszystym krokiem.

- Więc jeszcze się zobaczymy, Mariska.

Philip podejrzewał, że z tym ostrym, ambitnym gościem coś musi być nie w porządku. Chociaż przepracował dzielnie całe lato jako bibliotekarz i drużynowy, jakoś dziwnie nie pasował do obozowiska.

- To świr - powiedział cicho. - Powinnaś trzymać się z dala od niego.

- Ja tu mieszkam - przypomniała mu. - Nie stać mnie na robienie sobie wrogów.

- Nie bądź niemądra. Jak tylko skończę szkołę, zamieszkamy razem tam, gdzie zechcesz: Nowy Jork, Chicago, San Francisco...

- Trzymam cię za słowo - odrzekła z błyskiem w oczach. Potem spojrzała w bok. -

Więc to są rodzice Pameli? Okropni.

Philip zmarszczył brwi.

- Nieprawda. Oni są...

- ...dla ciebie jak rodzina - dokończyła. - Stworzeni z samych pieniędzy.

- To tylko ludzie, tacy sami jak inni.

- Jak inni właściciele bogatych firm.

Nie lubił, gdy mówiła w ten sposób. Jakby jej robotnicze pochodzenie odgradzało ją od niego.

- Przestań - powiedział. - Za bardzo się przejmujesz.

Didżej poprosił, żeby wszyscy poszli teraz nad jezioro na ostatnie tegoroczne spotkanie przy ognisku. Pawilon opustoszał. Ognisko służyło nie tylko tradycji, ale i praktyce. Pozwalało pozbyć się drewnianych palet załadunkowych i zbędnego drewna, gromadzących się przez całe lato.

Gdy towarzystwo udało się w kierunku płonącej piramidy, Philip objął Mariskę w pasie i sprowadził ją ze ścieżki.

- Co ty robisz? - szepnęła.

- Przecież wiesz co.

- Ktoś może nas zobaczyć!

Mariska tak samo jak Philip przez cały sezon uważała, żeby nikt nie odkrył ich romansu. Nie chciała być uznana za uwodzicielkę cudzych narzeczonych.

Wziął ją za rękę i skierował w stronę domków.

- Wszyscy są na ognisku.

Ktoś jednak ich zobaczył. Gdy oddalali się od jeziora, blask zapalonej zapałki oświetlił skupioną w alkoholowej medytacji twarz Terry'ego Davisa, który akurat zapalał sobie papierosa. Słabe światelko padło również na Mariskę i Philipa.

- Dobranoc, dzieciaki - wymruczał Davis z ironicznym uśmiechem.

- Cholera - zaklął bezgłośnie Philip. - Ona... źle się poczuła - wyjaśnił niepewnym tonem. - Odprowadzam ją do... do samochodu.

Davis zamrugał i odchrząknął. Przyłożył zapałkę do papierosa.

Mariska i Philip poszli dalej.

- Nie zwracaj na niego uwagi - uspokajał ją. - Jutro i tak nie będzie o niczym pamiętać - mówił to z przekonaniem, ale wewnątrz czuł narastający niepokój.

W ciągu lata on i Mariska prześcigali się w wynajdywaniu miejsc, gdzie mogliby się kochać. Robili to nie tylko w szopie na łódzie, ale i w samych łodziach, na pace auta dostawczego Mariski, a także na moście przy wodospadzie Meerskill.

Tej nocy postanowili zaryzykować i zakraść się do bungalowu. Philip jako starszy drużynowy dysponował własną kwaterą. Przy świetle pojedynczej nocnej lampki wziął Mariskę w ramiona i pochylając się nad nią, pogrzyżył twarz w jej pachnących włosach.

- Nie mogę czekać, aż będziemy naprawdę razem.

- Będziesz musiał. Lepiej, żebyś nie zostawała tu zbyt długo. Pierwsza rzecz, jaką muszę zrobić jutro, to wizyta u lekarza.

Odchylił się i spojrzał jej w oczy.

- Coś nie w porządku?

- Zwykle badanie - odrzekła wymijająco. Westchnął.

- Jak ja będę za tobą tęsknić...

Delikatnie rozpięła jego koszulę.

- No, jak bardzo?

- Bardziej, niż możesz to sobie wyobrazić. - Wstrzymał oddech, gdy przyłożyła swe wargi do jego szyi.

- Spodziewam się, że zupełnie o mnie zapomnisz, jak tylko wrócisz z wakacji do swojej bogatej narzeczonej i przyjaciół ze śmietanki towarzyskiej.

- Nie mów tak. Wiesz, że to nieprawda.

- Mam na to tylko twoje słowo. - Wbrew oskarżycielskiej treści wypowiedzi w jej głosie pobrzmiwała żartobliwa nutka. - Słowo bogatego chłopca. A swoją drogą powiedz mi, co takiego robią w wolnych chwilach bogate dziewczyny?

- Pozwalają się kochać bogatym chłopcom - odrzekł, rozpinając jej sukienkę płynnym, wytrenowanym ruchem.

Był bardzo podniecony, ale zmusił się, żeby robić wszystko powoli. Odpiął jedną spinę od mankietu i włożył ją do kieszeni.

- Jakie to ładne - powiedziała.

- Należały do mojego dziadka. - Odpiął drugą spinę i włożył ją Marisce w dłoń. - Powiem ci coś. Ty zatrzymasz jedną, ja drugą. A jeśli... a kiedy wrócę po ciebie, włożę je na nasz ślub.

- Phil...

- Zdecydowałem. Chcę się z tobą ożenić. Teraz daję ci tylko mały kawałek srebra. Ale gdy wszystko się wyprostuje, podaruję ci prawdziwy pierścionek z brylantem.

Jej oczy zabłyśły, gdy wkładała spinę do torebki.

- Będę trzymać cię za słowo. A jeśli chodzi o mój pierścionek, to już wybrałam sobie taki, o jakim marzyłam.

- U Palmquista, tam gdzie pracujesz?

- Bardzo śmieszne. U Tiffany'ego.

- Ha. Na Tiffany'ego mnie nie stać.

- Akurat. Twoi rodzice mają dość forsy.

- Ale ja nie. W mojej rodzinie każdy samodzielnie toruje sobie drogę przez świat.

- Żartujesz, prawda?

Zaśmiał się i ściągnął z niej sukienkę. Spłynęła z jej ramion na podłogę. Potem sięgnął ku jej plecom i rozpiął biustonosz.

- Będiesz małżonką biednego, ale uczciwego obrońcy z urzędu.

- Nie strasz.

Zabrakło mu tchu, gdy spod biustonosza wysunęły się jej piersi. Dopiero po chwili odzyskał głos.

- Jedyna rzecz, z powodu której ja czuję strach, to to, że jutro muszę cię opuścić.

ŚPIEWNIK OBOZU KIOGA

Wszedł sobie niedźwiedź na górę,
Wszedł sobie niedźwiedź na górę.
Wszedł sobie niedźwiedź na górę.
I zgadnij, co ujrzał tam?

ROZDZIAŁ PIĄTY

- Dlaczego ciągle przypominają mi się sceny z „Lśnienia”? - zastanawiał się na głos Freddy Delgado.

Od kiedy Olivia wjechała wypożyczonym suvem na wąską i źle utrzymaną boczną drogę w pobliżu miasteczka Avalon, mruczał pod nosem główny motyw muzyczny z tego filmu.

- Możesz mi wierzyć - uśmiechnęła się - że sceny z „Lśnienia” wcale nie są straszniejsze od moich wspomnień. Spędziłam tutaj sporo naprawdę wstrętnych letnich dni i nocy.

Wciąż nie mogła do końca uwierzyć, że jednak to robi. Miała wrażenie, że wyruszyła do innego kraju. Matka do ostatniej chwili próbowała wyperswadować jej pomysł renowacji obozu, ale Olivia się uparła. Ojciec był przychylniejszy. Gdy żegnała się z nim poprzedniego wieczoru, uścisnął ją mocno i życzył powodzenia.

- Dlaczego są wstrętne? - zapytał zaciekawiony Freddy. - Wydaje mi się, że to idealne miejsce na wczasy.

Przez drogę przebiegła wiewiórka. Olivia zdjęła stopę z pedału gazu i pomyślała, że o niektórych swoich przeżyciach nie opowiedziałaby Freddy'emu. Ani nikomu.

- Byłam... Powiedzmy, że byłam wtedy skłócona z życiem.

- Ty? - parsknął z takim niedowierzaniem, że zrobiło jej się przykro. - To co to było? Obóz dla czubków i świrów?

Olivia wskazała mu album ze zdjęciami, który leżał na siedzeniu pomiędzy nimi. Na myśl o tym, że Freddy za chwilę zagłębi się w jej przeszłość, poczuła się nieco niezręcznie, ale miała do niego zaufanie. Kto poza Freddy'ym zgodziłby się rzucić wszystko i spędzić lato w odległym obozie w górach tylko po, żeby przywrócić temu miejscu dawno miniony urok? Oczywiście miał dodatkowy bodziec w postaci groźby bezrobocia i bezdomności, ale... Zresztą i tak było już za późno. Zaczął przerzucać kartki albumu.

- Znajdź zdjęcie grupowe z dziewięćdziesiątego trzeciego. Barak Saratoga, zastęp Orłów - poinstruowała.

Przerzucił kilka kolejnych stron, uważnie sprawdzając daty.

- O rany! To wygląda jak zjazd członków Hitlerjugend! Czy wszyscy tu musieli być wysokimi, różowymi blondasami?

- Spójrz uważnie. Tu, w tylnym rzędzie. - Pokazała palcem.

- Ooo! - Z tonu Freddy'ego wynikało, że odnalazł na zdjęciu dawną Olivię. - Miałaś trudny okres, nie?

- Okres? Ja miałam taką całą młodość. I byłam gruba. A okulary z denek od butelek i klamerki na zębach dostałam jako dodatkową premię.

Freddy gwizdnął.

- Spójrz tylko na siebie teraz. Brzydkie kaczątko stało się pięknym łabędziem.

- Brzydkie kaczątko pogadało z kim trzeba, zrobiło się na blond i przez rok trenowało pływanie. Brzydkie kaczątko potrzebowało dwóch lat na zrzucenie nadwagi. I nie musisz być dla mnie taki uprzejmy. Byłam okropna. Byłam nieszczęśliwym dzieckiem i wyrażałam to całą sobą. Dopiero kiedy wreszcie odkryłam, co robić, żeby poczuć się szczęśliwa, wszystko zaczęło iść lepiej.

- Dzieci nie powinny tego odkrywać, dzieci powinny po prostu być szczęśliwe.

- Rodziny bywają różne - odparła. - I to wszystko, co mogę powiedzieć o Bellamych, więc nie kłopotuj się dalszymi pytaniami.

- Ha! Mam cię dla siebie przez całe lato. Poznam wszystkie twoje tajemnice.

- Nie mam tajemnic.

- Bzdura. Przypuszczam, że trzymasz to i owo w sekrecie nawet przed samą sobą.

- To będzie radocha. Lato z doktorem Freudem - ironizowała.

- Ja się cieszę, że robimy ten projekt. I że Rand Whitney to już historia.

- Dzięki - prychnęła. - To bardzo budujące. Z tego, co mówisz, wynika, że chciałeś mojej porażki.

- Olivio! - Spojrzał na nią poważnie. - Nastawiasz się na porażkę za każdym razem. Czy pomyślałaś kiedykolwiek, dlaczego tak robisz?

Au, pomyślała. Zabolało.

- Masz nawyk wybierania sobie niewłaściwych facetów - ciągnął. - Myślę, że to dlatego, że po prostu nie wiedziałabyś, co zrobić, gdybyś wreszcie natknęła się na kogoś odpowiedniego. Podobno odkryłaś swój

sposób na szczęście. Tylko dlaczego jakoś nie mogę w to uwierzyć?

Nie chciała wdawać się w dyskusje.

- Czy nie wydaje ci się, że Barkis potrzebuje chwili na toaletę?

- Nie. Siusiał niedawno w Kingston. A jeśli wierzyć mapie, wkrótce będziemy na miejscu. Mogę się zamknąć, bo chyba tego chcesz.

Freddy zamilkł i powrócił do studiowania albumu. Olivia zrobiła to już wcześniej. Z uwagą przypatrywała się starym kodakchromom i jeszcze starszym, czarno-białym zdjęciom,

próbując ustalić, jak to miejsce wyglądało dawno temu. Na szczęście babka przekazała jej zwięzłą historię obozu od jego skromnych początków w latach trzydziestych do pełni chwały w późnych latach pięćdziesiątych. Ten okres świetności Olivia postanowiła przywrócić, żeby uczcić złote gody swych dziadków. Miała nadzieję, że uda jej się wywołać choćby złudzenie prostych rozkoszy z tamtych minionych letnich dni i sprawić, że obóz wyda się miejscem, do którego warto przybyć.

Freddy zamknął album.

- To, że zobaczyłem, jakim dzieckiem byłaś, mówi mi całkiem sporo o tobie samej.

- Co masz na myśli?

- Jesteś mistrzynią sztuki transformacji. I nie dziwota, zważywszy, jak zmieniłaś samą siebie.

Tak, niewątpliwie miała w tym niezłą praktykę. Jako dziecko była owładnięta obsesją odmieniania swego otoczenia. Pokój w mieszkaniu matki na Piątej Alei. Szafka w szkole imienia Daltona. Nawet obozowa chatka w Kioga każdego lata. Szczególnie udała się jej tu jedna rzecz. Któregoś razu ograbiła składzik nad salą stołówek z mnóstwa starych serwetek. Współlokatorki Olivii, wróciwszy z wycieczki, znalazły swoje łóżka nakryte ręcznie robionymi narzutami, miękkimi i spłowiałymi ze starości. Okna zostały przystrojone perkalowymi zasłonkami, a parapety - świeżymi polnymi kwiatami w pojemnikach po galaretkach.

- Moje mistrzostwo czeka poważna próba - ostrzegła Freddy'ego. - Nigdy wcześniej nie zajmowałam się miejscem w takiej dzicy.

- Twoja babka zapewniła ci niewąski budżet i dała całe lato na tę robotę. To samo w sobie jest przygodą.

- Chciałabym, żebyś miał rację. I dzięki, że zgodziłeś się ze mną tu przyjechać. Spadłeś mi z nieba, Freddy.

- Możesz mi wierzyć, złotko, że potrzebowałem tej chałtury - odrzekł z pozbawioną pychy otwartością.

- Ale nie oszukujmy się. Musisz mieć więcej pracowników. Masz już kogoś upatrzonego?

- Dziadkowie dali pieniądze na zatrudnienie przedsiębiorcy budowlanego. Musimy znaleźć głównego wykonawcę robót tak szybko, jak się da. Poza tym przygotuj się na spotkanie jeszcze kilkorga Bellamych. Ma tu przyjechać moja najbliższa kuzynka, Dare. Także wujek Greg i jego dzieci, Daisy i Max. Greg jest architektem pejzażu i będzie kierować sporą częścią prac. Przeżywa teraz trudny okres w małżeństwie, toteż lato spędzone tu z dziećmi dobrze zrobi im wszystkim.

- Wygląda na to, że małżeństwo mało komu wychodzi na dobre.

- W związku z czym powinnam się nie przejmować - to mi chciałeś powiedzieć?

Zignorował jej pytanie i powrócił do przeglądania zdjęć.

- Co za miejsce! Starsze fotki bardziej przypominają zjazd rodzinny niż obóz letni.

- No bo dawno temu, zanim przyszliśmy na świat, tutaj było prawdziwe lotnisko - wyjaśniła. - I rzeczywiście przyjeżdżały tu całe rodziny. Matki z dziećmi zostawały tu przez cały czas, a ojcowie dojeżdżali pociągami w każdy piątek. Zakręcone, nie?

- Trochę. Słyszałem ostatnio, że „rodzinnosc” znowu zaczyna być modna. No wiesz, zmęczona współczesnym tempem życia komórka społeczna szukająca sposobu na chwilowe odłączenie się od problemów itp.

Spojrzała na niego uważnie.

- Widać to do ciebie trafia.

- Dziubus, ja odłączyłem się właśnie od rodziny.

- No, pięknie - zawstydzila się. - Nie miałam pojęcia, że ty też masz jakieś rodzinne kłopoty.

- Nie mam kłopotów, bo nie mam rodziny.

Zacisnęła zęby. Byli przyjaciółmi od lat, ale Freddy nigdy nie opowiadał jej o swoich bliskich. Wiedziała tylko, że mieszkali w Queens i że odkąd wyniósł się z domu, nie miał z nimi żadnego kontaktu.

- Drażyłeś i grzebałeś we mnie przez ostatnie sto kilometrów. Teraz moja kolej.

- Możesz mi wierzyć, że to nic ciekawego, o ile nie jesteś zaprzysięgłą fanką Eugene O'Neilla.

A teraz cicho, nakazała sobie. Muszę zorientować się w terenie.

Nieopodal Avalon drogę zagroziły im opadające szlabany. Olivia zatrzymała samochód na czas przejazdu miejscowego pociągu.

- Nieraz jeździłam tą kolejką - rzuciła melancholijnie.

Wciąż pamiętała hałas i podniecenie, panujące w przedziałach. Niektórzy co bardziej doświadczeni obozowicze od razu zaczęli śpiewać obozowe piosenki albo chwalili się dawnymi zwycięstwami w łucznictwie, pływaniu czy biegach. Nie brakowało też nerwowych dociekań na temat tego, kto z kim w którym domku wylądował, bo każdy wiedział, że współlokatorzy mogą niekiedy zepsuć całe wakacje. Gdy Olivia znajdowała się w grupie wiekowej osiem-jedenastki, wyglądała obozu z pewnym utęsknieniem. W tej grupie były również trzy kuzynki i wtedy cała jazda, najpierw pociągiem, a potem - już w górach - krytą ciężarówką, była magiczną podróżą w zaklęty świat.

Wszystko odmieniło się w roku rozvodu rodziców. Olivia wygramoliła się z kokonu dzieciństwa nie jako motyl, ale posępna nastolatka obciążona nadwagą i nieufnością do otaczającego świata.

Pociąg przejechał, ostatni samochód na drodze zniknął. Przed Olivią i Freddyem roztoczył się pełny widok na górskie miasteczko Avalon.

- Piękne - zachwyił się. - Czy to istnieje naprawdę, czy widzimy fatamorganę?

Miasteczko Avalon był miejscowością typową dla gór Catskills. Wyglądało jak marzenie stęsknionego turysty. Mały świątek, oddzielony od upływającego czasu torami kolejowymi z jednej strony, a krytym mostem z drugiej. Wykładane klinkierem ulice, ocienione wysokimi drzewami. Rynek z ratuszem pośrodku. Przynajmniej trzy wieże kościelne. Z roku na rok prawie nic się tu nie zmieniało. Olivii rzuciły się w oczy szyldy Sklepu z Różnościami Clarka, Artykułów Spożywczych i Przemysłowych Agwaya, Pracowni Jubilerskiej Palmquista i Piekarni Sky River, wciąż we władaniu rodziny Majesky, jeśli wierzyć napisowi w oknie wystawowym. Były tu jeszcze sklepiki z pamiątkami, pełne ręcznych wyrobów, i butiki dla zamożnych klientów. Restauracje i kawiarnie pod pasiastymi markizami na obrzeżach rynku. W sklepach z antykami na wystawach spoczywały dumnie kołowrotki, pyszniły się ręcznie robione kołdry i inne małomiasteczkowe „maści, mydła i powidła” - w tym również baryłeczki z domowej roboty syropem klonowym czy jabłecznikiem dla turystów przybywających tu, by podziwiać barwy i smaki wczesnej jesieni.

Na tylnym siedzeniu Barkis ocknął się z drzemki i przytknął nos do okna, gdy mijali tereny piknikowe nad Potokiem Schuylera. Najpiękniejszą ulicą w mieście była Klonowa, przy której stały domy zbudowane w stylu carpenterowskiego neogotyku z epoki edwardiańskiej. Niektóre z nich mogły poszczycić się nawet tabliczkami Narodowego Rejestru Zabytków.

- Prawdziwy „Wiek niewinności” - westchnął kinoman Freddy.

W pomalowanych na pastelowo budynkach mieściły się teraz pokoje gościnne, biura prawników, galerie sztuki i gabinety odnowy biologicznej. Na ostatnim z nich, stojącym u wylotu ulicy, widniał ręcznie malowany szyld: Przedsiębiorstwo Budowlane Davisa.

- Olivia, uważaj! - zawołał Freddy.

Wcisnęła natychmiast hamulec. Barkisem rzuciło tak, że na chwilę stanął pionowo na tylnych łapkach.

- Czterokierunkowy znak stopu - wskazał Freddy.

- Co z tobą?

- Zagapiłam się, przepraszam - wciąż jeszcze drżała po ujrzeniu tego nazwiska.

Davis.

Weź się w garść, mówiła sobie. Na świecie żyją miliony Davisów. Ta firma na pewno nie... Nie ma mowy, pomyślała. To byłoby już przegięcie.

- Zapiszę sobie telefon tego przedsiębiorstwa - powiedział Freddy do siebie.

- Po co?

- Przypuszczalnie to jedyna taka firma w mieście. Będziemy potrzebować jej pomocy.

- Znajdziemy inną.

Zdziwiony odwrócił się na siedzeniu, gdy Olivia ruszyła z miejsca.

- Na szyldzie było napisane, że mają wszelkie potrzebne uprawnienia, ubezpieczenia i referencje.

- A ty w to wierzysz?

- A ty nie? Taka młoda i taka cyniczna, no, no...

- aż zagwizdał, po czym spokojnie zapisał numer.

Było wysoce nieprawdopodobne, by Przedsiębiorstwo Budowlane Davisa miało coś wspólnego z Connorem Davisem, powtarzała sobie. A jeśli nawet, to co? Przypuszczalnie w ogóle jej nie pamiętał. Ta myśl przynosiła ulgę, ale dziwnie przygnębiającą, zważywszy, na jaką idiotkę Olivia wyszła przy Connorze.

- Dobra, powiedz mi, że to nie jest kryty most! - zawołał zachwycony Freddy, sięgając po aparat.

- Właśnie, że jest.

- Nie wierzę - oznajmił. - To jest lepsze niż „Co się wydarzyło w Madison County”.

- Nawet lobotomia byłaby lepsza od tamtego filmu.

Freddy pstryknął aparatem, kierując obiektyw w stronę tablicy upamiętniającej datę budowy mostu: rok 1891. Widniała tam również nazwa: most Sky River. A że poniżej tablicy było widać płytkie bystrzyny Potoku Schuylera, zdjęcie spokojnie nadawałoby się na elegancką pocztówkę.

Olivia przypomniała sobie, jak obozowa ciężarówka w drodze ze stacji kolejowej do Kioga za każdym razem trąbiła, wjeżdżając w cienisty tunel na moście, skrzypiącym i udekorowanym jaskółczymi gniazdami. Ta konstrukcja stanowiła ostatni ślad obecności człowieka aż do samego obozowiska.

Już za mostem droga wiała się wzdłuż rzeki, na tle łańcucha gór. Freddy, mieszczuch do szpiku kości, po prostu wychodził z siebie.

- To niesamowite, niesamowite - powtarzał. - Nie mogę uwierzyć, że twoja rodzina ma na własność coś takiego, a ty nigdy mi o tym nie mówiłaś.

- Obóz zamknięto osiem, nie, dziewięć lat temu. Od czasu do czasu ktoś tego dogląda. Parę osób z rodziny przyjeżdża tu czasem na wakacje i organizuje jakieś spotkania.

Olivia otrzymywała zaproszenia z tych okazji, ale nigdy ich nie przyjmowała. Z Kioga wiązało się zbyt wiele przykrych dla niej skojarzeń.

- Poza tym zimą - dodała - wujek Clyde przywozi tu swoich najbliższych na biegówki.

- Czyste wariactwo - zamruczał Freddy. - Już prawie chcę mieć normalną rodzinę.

Spojrzała na niego.

- Cóż, jeśli uciekniesz zaraz z krzykiem do Nowego Jorku, to będziesz mieć na karku całe plemię Bellamych do końca lata.

- Dla mnie bomba. Czy wspomniałem ci już o mojej sytuacji życiowej?

- Och, Freddy...

- Oto ona: bezrobocie i bezdomność. Jestem naprawdę sporo wart, no nie?

- Pracę masz u mnie, a mieszkać też masz gdzie przez cały sezon. Tu jest bardzo dużo miejsca.

Był jej najlepszym przyjacielem. Co innego mogłaby mu powiedzieć?

Zwolniła, widząc kątem oka jakiś ruch. Jeleń?

Kiedy chwilę później w polu widzenia pojawiła się łania z młodym, Freddy o mało nie upuścił w podnieceniu swego aparatu.

Lata temu obozowi bywalcy przez całą drogę wypatrywali punktów orientacyjnych i w miarę jak pojazd zbliżał się do miejsca przeznaczenia, witali je coraz radośniejszym wrzaskiem. Na początku była Patrząca Skała. Potem szło coraz szybciej: Mchowy Potok, Skalna Strażnica, Wzgórze Wartownika, Góra Siodłowa, Góra Świtu i wreszcie stary Dąb Pamięci, który zasadził podobno wódz Jesse Lyon dla upamiętnienia traktatu, jaki podpisał wraz z Peterem Stuyvesantem, gubernatorem kolonii.

W dwunastym roku życia Olivia jechała tędy, milcząc zawzięcie. Mijając każde z tych miejsc, czuła, że jej żołądek kurczy się coraz bardziej i bardziej. W końcu lęk przybrał postać fizycznego doznania - zmienił się w piekielnie zimny ciężar w jej brzuchu. A na zewnątrz?

Nadwaga. Efekt stresów wynikających z cichej wojny między rodzicami, wymagań stawianych przez szkołę i jej własnych nieujawnionych przed nikim doznań.

Minęli oszklony pawilonik z fikuśnym szyldem przy drodze, i nagle roztoczył się przed nimi nadrzeczny krajobraz. Łąki były tu niemal nadnaturalnie zielone, a las za nimi głęboki i tajemniczy. Powyżej na rozslonecznionej polanie przycupnęła niewielka turystyczna przyczepa, z racji charakterystycznych obłych kształtów rozpoznawalna jako Airstream. Obok stał czarno-srebrzysty harley.

- Interesujące. - Freddy pokiwał głową.

- Tutaj można spotkać przedstawicieli różnych subkultur - wyjaśniła Olivia. - W końcu Woodstock leży całkiem niedaleko stąd.

Przejechali obok farmy Windy Ridge - o czym informował kolejny fantazyjny napis, i wzięli ostatni zakręt na tej drodze. Dalej była już tylko zwykła żwirówka. Wjazd na nią opatrzone znakiem ostrzegawczym: Własność prywatna. Nieupoważnionym wstęp wzbroniony. Drzewa z każdym kilometrem tworzyły coraz większy gąszcz. Wreszcie ujrzeli drewnianą konstrukcję oznaczającą kres podróży i początek pracy. Zbudowana z potężnych pni brama stanowiła wizytówkę obozu. Jej szkic widniał na papeterii, na której przebywające tu dzieci pisały co tydzień listy do rodziców. Za łukiem bramy rozciągało się Obozowisko Kioga. Założone w 1932 roku, jak powiadał zbity z gałązek napis na górze.

Dzieci w ciężarówce zapewne wstrzymywały wtedy oddech. Zbiorowy wydech następował dopiero po przejściu przez bramę. Potem wybuchały bojowe okrzyki radości.

JESTEŚMY TUTAJ!

- Dobrze się czujesz? - Freddy spojrzał na nią uważnie.

- Jasne - odpowiedziała krótko Olivia.

Zwolniła, kiedy suchy, gruby żwir zachrząścił pod oponami. Gdy przemierzali ten stary szlak, ocieniony przez chylące się nad nim z obu stron klony i dęby, miała przedziwne wrażenie, że cofa się w czasie i że to może wcale nie być dla niej bezpieczne.

Samochód sunął powoli po nierównej nawierzchni. Gałęzie chłostały karoserię. Olivia zaparkowała przed głównym budynkiem i wypuściła Barkisa z auta. Piesek zaczął biegać w ekstazie. Odkrywał nowy ład i zdecydowany był obwąchać każde źdźbło trawy.

W skład pięćdziesięciohektarowej własności Bellamych wchodziły głównie dzikie tereny z Wierzbowym Jeziolem pośrodku. Znajdowały się tu też typowo wiejskie budynki, łązki, obiekty sportowe, chatki i bungalowy na brzegu pogodnego i spokojnego dziś jeziora. Olivia spojrzała uważnie na strzelnicę dla łuczników, kort tenisowy, boisko, amfiteatr i ścieżki, obecnie całkowicie zarośnięte. Już teraz notowała w myślach, co będzie trzeba zrobić, żeby przywrócić świetność obozowi.

W głównym pawilonie mieściła się jadalnia. Jego główny korpus dochodził niemal do brzegu jeziora. Tu odbywały się tańce i inne nocne rozrywki. W niższej części budynku znajdowała się kuchnia, świetlica i kancelaria obozowa.

Teraz wszystko dookoła było mocno zaniedbane, poczynając od zachwaszczonych drózek, a na obrośniętych krzakami zdziczałych róż masztach flagowych kończąc. Zdumiewające, że róże w ogóle przetrwały. Rosły w buntowniczej obfitości długich, kolczastych pędów.

Gdy obejrzelili główny pawilon i kilka chat, Freddy oznajmił:

- Nie miałem pojęcia, że takie miejsce może jeszcze gdzieś istnieć. Normalnie „Dirty Dancing” na żywo.

- Teraz raczej na martwo - odrzekła, choć w wyobraźni widziała tłumy dzieciaków w przepisowych szarych T-shirtach z nadrukowanym logo obozowiska. - Ale rzeczywiście jeszcze we wczesnych latach sześćdziesiątych tańczono tu prawie co noc. Do muzyki granej na żywo.

- Tutaj? Na takim odludziu?

- Moi dziadkowie zapraszali niezłych wykonawców. Zawsze można było wyłowić jakiś talent, bo muzycy i aktorzy z Nowego Jorku szukali okazji, żeby dorobić sobie przez lato. A gdy zlikwidowano lotnisko i przestawiono się wyłącznie na młodzież, odbywały się tu popisy obozowego chóru i lekcje tańca.

Wzdrygnęła się na wspomnienie tych imprez. Zawsze była w ostatniej parze i to zazwyczaj z inną dziewczyną, najczęściej kuzynką. Jeśli już trafił się jakiś chłopak, to wciąż robił zdeglustowane miny, żeby pokazać reszcie, jak się czuje w towarzystwie Lolly - „beki smalcu”, jak nazywano ją w tamtych dniach.

- Chodź, otworzę główny pawilon i pokażę ci jadalnię - zaproponowała.

Przekręciła w zamku klucz, który dostała od babki. Razem napaarli na ciężkie, podwójne drzwi. W holu zobaczyli szklane gablotki, nakryte zakurzonymi pokrowcami, a ze ścian spoglądały na nich szklane oczy różnych zwierząt. Wśród trofeów myśliwskich były głowy łośi, niedźwiedzi, pum i jeleni.

- Ale paskudztwo - skrzywił się Freddy. Barkis był chyba tego samego zdania. Szedł blisko

Olivii, rzucając podejrzliwe spojrzenia w martwe oczy i sztucznie obnażone zęby zwierząt.

- Nadawało się im imiona - powiedziała Olivia - a potem kradło się czyjaś bieliznę, żeby powiesić ją na kłach i rogach.

- To jeszcze paskudniejsze.

Ruszyła w stronę drzwi do jadalni. Freddy i Barkis weszli tam za nią. Nad ich głowami wznosił się wysoki drewniany strop, jakiego nie powstydziałaby się katedra. Były tu dwa ogromne wymurowane z otoczków kominki, długie drewniane stoły i ławy, wysokie i szerokie oszklone drzwi prowadzące na zewnątrz. Całe wnętrze okalała otoczona barierką galeryjka pod stropem. W powietrzu wciąż można było wyczuć delikatną woń spalonego drewna.

- Kompletny wrak - stwierdziła trzeźwo Olivia.

Freddy też był porażony ilością pracy, jaką trzeba włożyć w to przedsięwzięcie. Obracał się powoli dookoła i szeroko otwartymi oczami lustrował całość, próbując ją ogarnąć.

- Słuchaj! - powiedziała Olivia. - Jeżeli uważasz, że nie damy rady, powiedz! Zatrudnię podwykonawcę i...

- Specjalnie przyjechałem tu z miasta - odrzekł - i nie mam zamiaru tam wracać.

Jak zaczarowany podszedł do wielkich okien, przez które roztaczał się widok na jezioro.

Olivia uśmiechnęła się, widząc jego zauroczenie. Dzięki niemu ból jej własnych wspomnień stawał się jakby odrobinę lżejszy.

Freddy jak w transie podszedł do oszklonych drzwi prowadzących nad jezioro, nacisnął klamkę i wyszedł na zewnątrz.

- Na Boga - wyjąkał drżącym głosem. - Na Boga, Livvy...

Stali tam razem przez długi czas, patrząc na wodę. Okolona przez wdzięcznie wygięte wierzby, wyglądała jak złote lustro, odbijające pierścien lesistych gór. To rzeczywiście było piękne. Nawet magiczne. Olivia pierwszy raz doświadczała tu takiego uczucia. Nie było w tym nic dziwnego: gdy twoje życie zapętlili się tak, że węzeł gordyjski wydaje się małym supełkiem, nie stać cię na podziwianie uroków natury.

- Pośrodku - wyciągnęła palec - leży Świerkowa Wyspa.

Skrawek ziemi pośrodku jeziora był na tyle duży, żeby pomieścić altanę, przystań i łączkę piknikową, a zarazem na tyle mały, że z ich perspektywy wyglądał jak zaklęty szmaragd, lśniący pośród oblewającego go złota.

- Moi dziadkowie wzięli tam ślub pięćdziesiąt lat temu. I tam odnowią go w sierpniu, pod warunkiem że wyrobimy się ze wszystkim.

- Czyżbym wyczuwał w twoim głosie jakąś wątpliwość?

- Cieszę się, że masz do tego luźne podejście, ale spójrzmy prawdzie w oczy. To nie jest przedwojenna willa, której potrzeba tylko trochę farby i nowego oświetlenia. To hektary dzikiego terenu z całą masą starych konstrukcji. Część z nich pochodzi nawet z lat trzydziestych.

- Wisi mi to. Damy radę, bo musimy. Objęła go.

- A ja myślałam, że będę musiała błagać cię o pomoc.

Oddał jej uścisk - dłuższy i mocniejszy, niż było to potrzebne. Wyśliznęła się z jego ramion i uśmiechnęła, udając, że jest to jedynie wyraz przyjaźni. Po raz pierwszy zaczęła rozumieć, jak musiał się czuć Rand Whitney, kiedy widział w jej oczach pełne oddanie i nie był zdolny odwzajemnić uczuć, którymi go obdarzyła.

- Dzięki za wsparcie, partnerze - powiedziała, zmiernając w kierunku płotka otaczającego budynek.

Na skórze czuła chłodny powiew znad wody. Błękitnozielona toń jeziora i głęboki cień drzew niosły falę wspomnień i - przedziwna sprawa! - nie wszystkie z nich były niemiłe.

- W życiu nie myślałem, że trafię na takie odludzie - dziwił się Freddy. - Zupełnie, jakbyśmy byli jedynymi ludźmi na świecie. Pierwszy mężczyzna i pierwsza kobieta, Adam i Ewa.

- Tylko nie zacznij wariować - uprzedziła.

- Znaczą się żadne siekier? - Freddy skrzywił twarz w dzikim grymasie.

- Piękne dzięki. Obejdziemy się bez powtórek z „Lśnienia”.

- Dobra. Ale powiem ci, że gdybym miał pisać książkę, to Kioga byłaby idealnym miejscem.

Odwróciła się.

- Lepiej sprawdźmy, gdzie tu można w miarę wygodnie przenocować.

Olivia i Freddy postanowili, że pierwszą noc prześpią razem. Żadnemu z nich nie uśmiechało się samotne leżenie w mrocznej przestrzeni zbiorowej sypialni, pośród dziczy, i wsłuchiwanie się w każdy podejrzany szelest czy sapnięcie dochodzące z nieprzeniknionych ciemności, jakie zapadały nad Kioga po zmierzchu. Gdy dojadą tu inni, będzie można wybrać sobie jednoosobowe kwatery, ale na razie żadne z nich nie chciało pozostawać samo.

Baraki nosiły nazwy historycznych miejsc i pól bitewnych: Ticonderoga, Saratoga, Stanwix, Niagara. Olivia wybrała pierwszy z uwagi na bliskość stołówki oraz dużą, wieloosobową umywalnię.

Po rozładowaniu bagażu i zapasów, po przyrządzeniu kolacji złożonej z zupy w puszcze i krakersów - kuchnia była cała w pajęczynach, ale działała - zabrali się do nadmuchiwania materaców przy użyciu pompki znalezionej w składziku. Materace były od lat przechowywane w szczelnym zamknięciu, aby nie pogryzły ich myszy. Później pościelili sobie prycze na przeciwległych końcach Ticonderogi i zajęli się usuwaniem pajęczyn oraz bardzo pobieżnym sprzątaniem.

Zmrok powoli nadciągał znad lasu, niebo zmieniało barwę z opalizującego różu zachodu na najgłębsze odcienie fioletu, aż w końcu nastąpiła ciemność tak nieprzenikniona, jak w najgłębszej jaskini. Gdy zapadła noc, Barkis zaczął się bać. Każdy odgłos wydawany przez liść bądź samotnego ptaka sprawiał, że piesek zaczynał się trząść.

Po zakończonej miążdżącym zwycięstwem bitwie z dwoma pajakami okupującymi obszerne wnętrze umywalni, umieszczonej pod jednym dachem z salą noclegową, Olivia była gotowa na sen. Wróciła do sali w piżamie złożonej z liliowych rybaczek i mocno wyciętego topu na ramiączkach, czując na nieosłoniętej niczym skórze chłodny powiew zza okna.

Freddy wpatrzył się w jej piersi.

- Kocham Matkę Naturę - oznajmił.

Olivia sięgnęła po sweter i szczelnie się nim owinęła.

- A teraz się nudzę - dodał tonem skargi. - O tej porze zwykle oglądam swój ulubiony serial.

- Mówiłam ci, że tu nie ma telewizji. Ani telefonu, ani Internetu. Ani zasięgu dla komórek.

- No to co, do diaska, mamy robić? - spytał z rozpaczą w głosie.

- Rozmawiać, grać w warcaby, czytać... I spać.

- Lepiej od razu mnie zabij.

Usiedli na swoich pryczach i popatrzyli na siebie. Potem Olivia wyciągnęła rękę i zgasła górne światło.

- To dziwne: nie słyszeć odgłosów miasta - stwierdziła, wyciągając się na wykrochmalonych prześcieradłach pod kocem z grubej wełny. - Przywykłam do klaksonów i syren.

Barkis zdawał się też za tym tęsknić. Pohukiwanie sów i łopot ich skrzydeł wywoływały w nim strach. Wcisnął się pod pryczę Olivii i zwinął w ciasny kłębek.

Jego pani patrzyła zaś w mrok i usiłowała zasnąć. Jednak zamiast senności narastał w niej niepokój. Minuty wlokły się powoli, a ona nie mogła zamknąć oczu. Z nieznosną

przytomnością umysłu rozważała szczegółowy plan całego przedsięwzięcia. W końcu szepnęła:

- Freddy?

Brak odpowiedzi.

- Freddy, śpisz?

- Już zaczynałem - usłyszała bezcielesny głos.

- Gdzie ty jesteś, do ciężkiej cholery? Nic nie widzę w tych ciemnościach.

- Musimy znaleźć więcej latarek.

- Dobra - zgodził się. - Jutro.

Barkis zaskowyczał. Jego pani rozpoznała znaną jej, przynaglającą nutę w głosie pieska.

- Ale on musi wyjść teraz. - Olivia po omacku znalazła klapki i latarkę. - Chodźmy razem.

- Dopiero się rozgrzałem w tym łóżku.

- Mięczak.

Freddy westchnął cierpiętniczo. Olivia skierowała na niego snop światła z latarki. Wyglądał nieoczekiwanie uroczo w bokserkach i białym T-shircie, ze zmierzwionymi włosami. Naciągał spodnie od dresu, pomrukując wciąż coś pod nosem.

Na zewnątrz panowała ciemność. Gdy znaleźli się na zachwaszczonym trawniku otaczającym zabudowania, Barkis nie śmiał przekroczyć granicy wytyczonej kręgiem światła latarki.

- Coś się w tobie zmieniło - zauważył Freddy.

- Wydaje mi się, że bardziej pasujesz do tego otoczenia niż do miasta.

- Oj, daj spokój...

- Nie. Zapamiętaj moje słowa. - Nagle złapał ją za rękę. - Wyłącz na chwilę światło, dobrze?

- Dlaczego?

- Bo ja cię proszę. Wyłącz i już.

Wzdrygnęła się i nacisnęła wyłącznik.

- Co do...

- Ćśśś... Spójrz w niebo, Livvy.

Gdy uniosła głowę, zdawało jej się, że wszystkie gwiazdy pędzą im na spotkanie. Droga Mleczna wiała się w przestrzeni, szeroka, jasna, a zarazem pełna tajemnic. Olivia usłyszała w ciszy stłumiony oddech Freddy'ego.

- Podoba ci się? - spytała.

- Nigdy przedtem nie widziałem takiego nieba. Skąd się tu wzięło raptem tyle gwiazd?

- Były tu od zawsze. Tylko brakowało ci miejsca na tyle ciemnego, żebyś mógł je zobaczyć.

- Teraz je mam. - Uściskał jej dłoń.

- Mój dziadek przywiózł tu kiedyś lunetę - powiedziała. - Możemy ją odnaleźć. Jeżeli gdzieś się przechowała, zobaczymy niebo bardziej z bliska.

- Jak dla mnie, niebo jest na tyle blisko, że mogę go dotknąć - i Freddy bez ostrzeżenia objął ją i przyciągnął do siebie.

Zachichotała nerwowo.

- Freddy!

- Ćśśś... - W ciemności odszukał wargami jej usta i delikatnie pocałował.

Pocałunek był dla niej czymś nieoczekiwanym. Szarpnęła się, odpychając dłońmi pierś Freddy'ego.

- Hej, co to ma znaczyć?

- Skoro ostatecznie rozwiązałaś problem z tym-tam-jak-mu-tam, powinniśmy wreszcie zrobić coś dla siebie.

Odsunęła się od niego jeszcze bardziej. Uczucie zaskoczenia ustąpiło miejsca umiarkowanemu przestraszowi.

- Freddy, jesteś najlepszym kumplem, jaki mi się kiedykolwiek trafił. Nie chcę, żeby to się popsuło przez jakiś romans na siłę, okej?

- Dlaczego nie?

- Bo ja się do tego nie nadaję! Za każdym razem coś takiego kończy się katastrofą. Przecież sam mi mówiłeś, że z góry nastawiam się na porażkę...

- Koniec byłby inny, gdybyś trafiła na właściwego gościa. - Pocałował ją ponownie.

Jego usta były gorące i słodkie. Łagodność, z jaką ją traktował, sprawiła, że Olivii wyrwał się z gardła krótki szloch.

- O, Chryste! - Freddy odsunął się od niej. - Ty płaczesz?

- Przepraszam... - chlipnęła. - Nie chciałam... Freddy, ja jestem taka... pochrzaniona...

Nie płakała po rozstrzygnięciu sprawy z Randem, a teraz łzy popłynęły jej z oczu po prostu dlatego, że Freddy ją pocałował.

- Wiem. Ja też jestem. Może to coś, nad czym oboje powinniśmy popracować tego lata niezależnie od odnawiania obozu.

Poczuła zarazem żal i ulgę. Freddy był wspaniały, podziwiała go, ale... romans? Przycisnęła rękawy swetra do oczu. Niemożliwe.

Powolutku oddalając się od niego, wpatrywała się w odbicie gwiazd w jeziorze.

- Czy teraz wszystko między nami będzie szło krzywo, bo skoro się pocałowaliśmy, a ja... ja...

- A kto mówi, że ty?

- Freddy, ja...

- Cicho bądź, dziewczyno. - Poklepał ją łagodnie po ramieniu. - Ja tylko cię podpuszczałem. Widzisz, nic takiego nie czuję, ale... - Odchrząknął. - Rozumiesz, chciałem spróbować.

Pomyślała o tym, jak wyglądałaby jego twarz, gdyby teraz na nią poświecić. Nie była jednak pewna, czy chce to sprawdzać, więc nie włączyła latarki.

Gdy wzeszło słońce, żadne z nich nie wspomniało ani słowem o minionej nocy. Na szczęście znaleźli dla siebie tyle pracy, że zapomnieli o wszystkim. Olivia włożyła dżinsowe szorty i bluzę, a włosy ściągnęła w niezbyt porządną końską ogon. W sam raz na roboczy dzień.

Przy kawie odbyli naradę wstępną. Olivia spisywała wszelkie możliwe rozwiązania, a Freddy szkicował na wielkich płachtach pakowego papieru. Pracowali przy długim stole z okorowanej sośniny w sali jadalnej, za plecami mając widok na jezioro.

- Zapowiada się wprost niewiarygodnie - orzekła, wstając od stołu i podziwiając wyczarowaną przez nich wizję. - Teraz potrzebny jest nam tylko właściwy kontrahent, który podejmie się wykonania tej roboty.

Freddy wyrwał kartkę ze swego notatnika.

- Tu jest numer, który zapisałem, kiedy wczoraj przejeżdżaliśmy przez miasteczko. Przedsiębiorstwo Davisa.

- Popytam jeszcze o innych - mruknęła, a widząc jego minę, szybko dodała: - No, wiesz, zdrowa konkurencja, wypadaloby zrobić przetarg...

- Żebyś nie była zaskoczona, kiedy okaże się, że to jedyny fachowiec w mieście. A z budżetem od twojej babci naprawdę nie musimy trzymać się za kieszenie.

- A jednak popytam tu i ówdzie - upierała się Olivia. - Życz mi powodzenia.

Nie wiodło jej się. Komórka nie miała zasięgu, a obozowe telefony lata temu odłączono od sieci. Żeby zadzwonić, musiała udać się do antycznego automatu wrzutowego przy bramie głównej. Dopóki nie uporządkuje się pomieszczeń biurowych w głównym budynku, to będzie jedyne połączenie telefoniczne z resztą świata, pomyślała. Dodzwoniła się do informacji i usłyszała, że w Avalon można znaleźć tylko jednego przedsiębiorcę budowlanego. Dokładnie tak, jak przewidywał Freddy.

Zaciskając zęby, wybrała numer. I, tak jak w wielu małych przedsiębiorstwach, odpowiedział jej męski głos nagrany na automatyczną sekretarkę: „Zostaw nam swój numer telefonu, oddzwonimy”. Usłyszawszy to, odwiesiła bez słowa słuchawkę.

Wyluzuj, mówiła sobie dla dodania animuszu, Wyluzuj, Olivio. To wcale nie był jego głos. To nie mógł być on. Co mógł robić w branży budowlanej w Avalon, w stanie Nowy Jork? A nawet jeśli to był on, to co? Jesteś profesjonalistką. Potrafisz negocjować z wykonawcami.

Tyle że dotąd żaden kontakt z kontrahentem nie spowodował u niej wzrostu ciśnienia tętniczego przy wybieraniu numeru firmy. To było coś nowego.

Z ponurą determinacją wrzuciła do automatu następną ćwierćdolarówkę i wykręciła numer jeszcze raz. I znowu automatyczna sekretarka. Tym razem zostawiła jasną i wyraźną wiadomość: „Nazywam się Olivia Bellamy, dzwonię z Obozu Kioga. Pragnę omówić... wymagający sporego rozmachu projekt remontu. Gdyby firma była zainteresowana...”.

- Powiodło ci się? - spytał Freddy.

- Nie. Zostawiłam wiadomość na sekretarce. Dobrą chwilę zajęło jej zlokalizowanie Freddy'ego.

Szukając źródła głosu, zorientowała się, że jest nad jadalnią, na górnym poziomie pawilonu służącym teraz jako składzik. Wysoko położoną galeryjkę zabezpieczono zbitą z okorowanych gałęzi balustradą, która zapewne robiłaby dużo większe wrażenie, gdyby porządnie ją odkurzyć.

- Ale tu nikt nie będzie mógł oddzwonić!

- Zostawiłam namiary i powiedziałam, żeby przyszli osobiście, jeśli chcą w to wejść. A jak nikt nie pojawi się do jutra rano, to poszukamy kogoś innego - stwierdziła z pewną ulgą. - A ty co tam robisz?

- Zapoznaje się z kolorytem lokalnym - odrzekł.

- Tu jest istna kopalnia skarbów.

- Na przykład?

- Na przykład luneta, o której mówiłaś. - To była jego pierwsza do tej pory aluzja do minionej nocy.

Olivia puściła ją mimo uszu, okazując nagłą fascynację kompletem pomalowanych pagajów, niegdyś wystawionych w holu.

- Popatrz na to. - Freddy przerzucił przez balustradę nieporęczny spory tłumok, który spadł na podłogę, wzbijając tuman kurzu.

- Flagi - wykrztusiła Olivia, plując pyłem.

Pochyliła się i rozwinęła stary, zetłaty materiał, po czym odskoczyła z piskiem, gdy wylazł z niego pająk.

- Nie sądziłam, że dopuścisz, żeby dotknęły ziemi.

- Zasada pięciu sekund - odparł.

- Racja. - Ostrożnie podniosła tłumok i położyła go na pustym stole.

Były w nim trzy flagi - stanowa, państwowa i obozowa. Wyblakły materiał pokrywały pajęczyny i paskudnie wyglądające oprzędy jajowe pajaków. Zwinęła tkaniny i wyniosła je do kontenera na odpadki.

Nie powinno umieszczać się flagi Stanów Zjednoczonych w czymś takim, pomyślała. Mówiono o tym na lekcjach wychowania obywatelskiego. Starą flagę można spalić dla

okazania jej szacunku. Nie miała pojęcia, dlaczego miałyby być w tym więcej poszanowania niż we wkładaniu jej do kontenera.

Raptem przysła jej do głowy nowa myśl. Na froncie głównego pawilonu rozciągał się kolisty trawnik. Stały na nim trzy maszty flagowe. Było w nich coś z zimowej nagości drzew. Coś... niewłaściwego. Widok trzech powiewających flag z pewnością rozproszyłby to niepożądane wrażenie.

Podjęła decyzję i porządnie wytrzepała wszystkie flagi. Naciągi na masztach? Wydawały się w pełni sprawne. Po kilku minutach wciągnęła na jeden z masztów flagę Kioga, przedstawiającą kiczowate tipi nad jeziorem. Potem przysła kolej na sztandar stanowy z dwiema boginiami trzymającymi tarczę. W końcu zaczęła wciągać flagę Stanów Zjednoczonych na środkowy, najwyższy maszt. Manipulując linką, doznała takiego przyływu patriotycznych uczuć, że aż zaczęła nucić pod nosem hymn państwowy. Ta flaga była prawdziwą amerykańską starożytnością - widniało na niej tylko czterdzieści osiem gwiazd. Tak jak dziadkowie Olivii, ten prostokąt materii był świadkiem półwiecza historii: wojen, narodzin rock-and-rolla, klęsk, dostatków, ruchów społecznych i kryzysów narodowościowych. Ta flaga... Wisiała do góry nogami.

W patriotycznym uniesieniu Olivia zaczęła ją odwrotnie, niż należało. Odwrócona flaga stanowiła sygnał alarmowy. Nie o taki efekt jej chodziło.

Ponownie pociągnęła za linkę. Zablokowała się? Szarpnęła kilka razy, posyłając bloczkom na maszcie kilka serdecznych życzeń, ale i to nie odniosło skutku.

- Potrzebna będzie drabina - warknęła do siebie i skierowała się do szopy.

Znalazła jedną, z grubsza oczyściła ją z pajęczyn i pomaszerowała z powrotem w stronę masztów. Słońce zdążyło już ogrzać na wylot warstwę porannego chłodnego powietrza. Olivia ściągnęła więc z siebie bluzę, zostając jedynie w topie na ramiączkach. Musiała trochę pomanewrować drabiną, by oprzeć ją o wysmukły maszt, ale odkryła też, że jeśli staje na samym środku szczebli, drabina nie chwieje się zbyt mocno.

W połowie drogi na górę usłyszała wiatr w gałęziach drzew i zatrzymała się, by rzucić okiem na otoczenie. Z nowego punktu widzenia zobaczyła całą topografię obozu, wszystkie osobliwe drewniane konstrukcje stojące w oddali i jezioro, które rzucało drgające blaski pod wpływem słońca i wiatru. Widok był majestatyczny i zarazem onieśmielający. Poraziła ją raptem świadomość, że trzeba włożyć w obóz więcej pracy, niż wyobrażała to sobie na początku. A jak ukończyć robotę w terminie? Bez cudu ani rusz.

Nieprawda, dam sobie radę, myślała, pokonując zawzięcie kolejne szczeble. Babcia lubi mówić, że nic nie dzieje się bez powodu, a jakiego - to nie zawsze od razu wiadomo.

Olivia wspięła się na tyle wysoko, na ile starczyło jej odwagi, a następnie wyciągnęła rękę i rozciągnęła całe ciało do granic możliwości. Już-już dotykała linki, gdy drabina mocno się zachwiała.

Nie, tylko nie to. Ale zanim zdążyła otworzyć usta i zawołać o pomoc, drabina uciekła jej spod stóp. Olivia przycisnęła się do masztu i drgnęła, słysząc, jak drabina z trzaskiem upadła na ziemię.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Connor Davis nie kojarzył Olivii Bellamy absolutnie z niczym. W przeszłości poznał kilkoro właścicieli i właścicielek tego nazwiska, ale ostatnio nie miał z nimi żadnej styczności. No i dzięki Bogu. Kobiety Bellamych, które znał, neurotyczne i zmanierowane, były odpowiednikiem francuskich piesków wśród ludzkiej płci pięknej. A przynajmniej większość spośród nich.

Jednakże wiadomość, którą otrzymał, zaintrygowała go. Może nawet poruszyła. Do tej pory wiosna nie przyniosła żadnych korzystnych propozycji. A zima była zdecydowanie nieciekawa dla budowlańców. Śnieg, zmieniający tutejszy krajobraz w rycinę Curriera i Ivesa, zamrażał przy okazji tempo wszystkich prac aż do całkowitego bezruchu. Connor szykował się już do ciężkiej przeprawy z tuzinem pozycji na liście płac. Każda z pozycji to był jeden człowiek, a roboty dla wszystkich najczęściej nie starczyło.

Ponieważ ciężarówka firmowej używał chwilowo ktoś z jego załogi, Connor pojechał do Kioga jedynym środkiem lokomocji, jakim mógł na razie dysponować: swoim harleyem. Komuś znającemu fakty związane z położeniem finansowym firmy motor mógł wydać się sporą ekstrawagancją. Fakty jednak były takie, że kilka lat temu niewypłacalny klient zamiast pieniędzy za wykonaną pracę dał Connorowi tę maszynę.

Connor ucieszył się, że akurat dzisiaj trafił mu się wyjazd - pogoda w ten późnowiosenny dzień świadczyła, że zima wyniosła się już na dobre. Z błękitnej czaszy nieba poprzez gałęzie drzew spływały na szosę strumienie słonecznego światła - wydawało się, że na asfalt spada deszcz złotych monet. Było jednak jeszcze dość chłodnawo. Dobrze, że włożył na siebie to wszystko: kurtkę, rękawice, buty, nagolenniki. I... cholera. Trzeba było trochę pomyśleć. Ludzie o takich nazwiskach jak Bellamy robili się dziwnie nerwowi, gdy zbliżał się do nich ktoś ubrany od stóp do głów w podniszczoną czarną skórę.

Nie jeździł wtedy zbyt często, podobnie jak każdy, kto mieszkał w tych stronach. Tutaj trafiali zazwyczaj tylko najbardziej zapamiętali oglądacze jesiennych liści z całego kraju. Gdy Connor był jeszcze dzieckiem, jazda do Kioga była dla niego emocjonalnym odpowiednikiem diabelskiej kolejki w lunaparku. Każdego lata było tak samo. Jechał tu z sercem pełnym nadziei, że wszystko się ułoży. Że w tym roku będzie lepiej. Że ojciec go nie zawiedzie. Że dotrzyma obietnicy i będzie trzeźwy. Że nie stanie się dla Connora powodem upokorzenia i przemożnej chęci, by zniknąć. Że tego roku będzie można być zwykłym chłopakiem, a nie troszczyć się o kogoś, kto powinien przecież troszczyć się o Connora.

Ale to było dawno temu. Teraz obóz pozostawał zamknięty, a na jego granicach widniały napisy: „Własność prywatna. Wstęp wzbroniony”.

Znak zwisający nad głównym wejściem mówił to samo. Może był trochę bardziej podrdzewiały, może nieco mocniej powyginany. Ale przecież był najstarszy ze wszystkich. Należał do tego miejsca właściwie tak samo, jak skały i drzewa.

Gdy Connor przejeżdżał pod łukiem bramy, poczuł, że czas się cofa. Znów stał się chłopakiem ściskającym swój plecak, w nadziei że w tym roku trafi do chatki, w której będzie można z kimś normalnie porozmawiać.

Trzy flagi, powiewające przed głównym budynkiem, wyglądały... Zaraz! Connor zsunął do połowy nosa swoje lustrzanki. Coś było nie tak. Na najwyższym maszcie flaga państwowa wisiała zaczepiona tylko jednym rogiem. Poza tym ktoś - ktoś o bardzo jasnych włosach i w ekstremalnie krótkich szortach - kurczowo trzymał się górnej części słupa, jakby w rozpaczliwym strachu o własne życie.

Connor dodał gazu. Harley głosem silnika obwieścił jego przybycie. No, zaraz zobaczymy, co to takiego...



OBÓZ KIOGA - ZASADY ZACHOWANIA

Zabrania się używania alkoholu, tytoniu i narkotyków.

Podstawowym wymogiem w kwestii stroju jest skromność. Nie zezwala się na nadmierne obnażanie ciała. Noszenie obuwia obowiązuje przez cały czas. Szczegółowe zasady zawiera Regulamin Stroju Obozowego.

Radiodbiorniki, odtwarzacze dźwięku, czasopisma, komiksy itp. są niepożądane w Kioga. Zwierzchnicy mają prawo rekwirowania tych dóbr.

Zakazuje się opuszczania pomieszczeń po wieczornym wygaszeniu świateł.

Zakazuje się przechowywania żywności w kwaterach, jako że przyciąga ona owady i zwierzęta.

Zakazuje się wchodzenia do obozowej kuchni z wyjątkiem pór posiłków.

Zakazuje się zestawiania łóżek razem, zgodnie z przepisem prawa stanowego.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Lato 1991

Podczas pierwszego pobytu w Kioga, w połowie trwania kursu ratownictwa wodnego, Connor Davis odkrył, czym jest wzlot ptaka. Fakt, chłopaki gadali o tym nieustannie. Przebudzenie z szybującym ptakiem też nie było niczym nowym, ale żeby doświadczyć tego w pełnej przytomności umysłu... A tymczasem wystarczyło jedno spojrzenie na Ginę Palumbo w czerwonym kostiumie kąpielowym, a elastyczny wojownik Connora natychmiast był gotów do walki. Przepisowe ciemnoniebieskie kąpielówki nagle stały się za ciasne. I coś je wypychało w jednym miejscu.

Bagnet na broń. Co gorsza, Connor nie mógł odwołać tej wydanej przez organizm komendy.

Wysłano go wraz z grupą dzieciaków na szczyt wieży obserwacyjnej: platformę położoną dziesięć metrów ponad akwenem pływackim. Obserwacja użytkowników basenu była częścią kursu dla ratowników. Connor przyłapał się na tym, że obserwuje tylko Ginę Palumbo, której piersi zasługiwały na miejsce w księdze rekordów.

Jego współlokatorzy opowiadali o niej różne świńskie historyjki. Connor wątpił, aby któraś z nich była prawdziwa, nawet gadka o tym, co się wyprawiało w szopie na łódzie lub na przystani. Czasem w tych opowiastkach pojawiała się nawet dodatkowa dziewczyna albo niemiecki pastuch, szczodrze obdarzony przez naturę. Connor jednak nawet nie myślał o tych późnonocnych szeptankach, dopóki nie zobaczył Giny idącej po plaży w towarzystwie dwóch koleżanek. Do tamtej chwili był całkowicie odporny na świńskie historyjki. Od kiedy jednak przyswoił sobie ten widok, nie mógł już myśleć o niczym innym.

Dlaczego najlepsze laski zawsze chodzą trójkami, pomyślał, przygryzając wargę, by stłumić mimowolny jęk. Przez to trzy razy trudniej jest się nie gapić. No padnij wreszcie, bohaterze.

Nie mógł na to nic poradzić. Nawet przy obowiązującym tu przepisie - znienawidzonym przez dziewczyny, które w Kioga musiały nosić jednocześnie, dozwolone regulaminem kostiumy kąpielowe - Gina wyglądała jak modelki z rozkładówki „Playboya”. Rozciągliwy materiał świetnie uwydatniał wszelkie krągłości jej ciała.

W obozie ostrzegano, że nikt nie powinien się na nie gapić. Podobno ojciec Giny był *capo di tutti capi*, który potrafił wysłać swoich żołnierzy, żeby połamali ci nogi w kolanach za nieczyste myśli o jego córce. Ale określenie „nieczyste” oddawało bardzo blado to, co w tej chwili myślał i czuł Connor. Jeśli w okolicy czaili się jacyś żołnierze mafii, to Connor właśnie wydał na siebie nieodwołalny wyrok.

Pan Fordham, instruktor od ratownictwa, powtarzał do znudzenia, jak metodycznie przepatrywać teren, rysując na nim wzrokiem niewidzialną siatkę, aby nic nie przeoczyć. Dobry ratownik powinien umieć szybko namierzyć problem i odróżniać normalne chlapanie się od autentycznej paniki.

- Tak więc gdzie tu widzicie jakiś problem? - spytał Fordham, wskazując gestem zatłoczony basen.

W moich cholernych kąpielówkach, oto gdzie, pomyślał Connor, skręcając się w środku i modląc w duchu, by nikt nie zauważył jego drobnego kłopotu. Ktoś raz namierzony w tym położeniu miał utrudnione życie. Parę dni temu J. J. Danforth rozwinął żagiel pod prysznicem i od tej chwili wszyscy nazywali go masztem flagowym, salutując, gdy przechodził obok.

No odpuść wreszcie, pomyślał Connor, czując pot na czole i pod pachami. To była kolejna dziwaczna zmiana, jaką ostatnio u siebie zauważył. Spocone pachy. Spocone i owłosione.

Teraz nie patrzył już na Ginę, ale co się stało, to się nie mogło odstać. Spróbował odwrócić od tego własną uwagę i pomyśleć o czymś w miarę obojętnym.

Na przykład o tym, że jego matka poślubiła swego szefa z klubu w Buffalo. Albo o tym, że Mel, jego nowy ojczym, chciał koniecznie pozbyć się Connora na całe lato. Albo że w Nowym Orleanie ma małego brata, którego nigdy nie widział. Albo o beznadziejnym ojcu, który potrafił naprawić wszystko, o ile tylko nie trzęsły mu się ręce, ale one trzęsły się stanowczo zbyt często.

Nawet myśli o pochrzanionej rodzinie nie pomogły. Nic nie pomagało. Connor czuł się oszołomiony przypływem żądy odbierającej mu dech. I - kurna - Fordham tylko pogarszał sytuację, odpytując wszystkich po kolei z pierwszej pomocy, a każde pytanie wydawało się dotyczyć seksu! Okrągłe otwory kół ratunkowych. Sztuczne oddychanie metodą usta-usta.

Uciski na klatkę piersiową. Rany, przecież to był czysty seks! Za sekundę padnie pytanie adresowane do Connora, wszyscy na niego spojrzą i będzie wtopa!

Nie mógł do tego dopuścić. Spoglądając wokół siebie niczym osaczone zwierzę, próbował skupić się na widoku jeziora i obozu, na barakach zajmowanych przez poszczególne drużyny i połączonych siecią ścieżek, na głównym budynku, przy którym zaparkował biały dostawczak z kolejną porcją wyrobów piekarni Sky River, tak jak parkował co dnia. Nieco dalej wyrastało z ziemi grono chat i bungalowów pod drzewami. Tam mieszkali zwierzchnicy i personel, w tym również nieszczęsny ojciec Connora, który powiedział synowi: „Udawaj, że nie jesteśmy rodziną, o ile chcesz, żeby było ci tu dobrze”.

Connor więc udawał. Skutecznie. Jak do tej pory o jego ojcu wiedziała tylko ta głupia Lolly Bellamy, ale trzymała buzię na kłódkę. Może więc nie była aż tak głupia? Może to Connor właśnie wychodził na durnia z tą durną widoczną gulą w kąpielówkach? Musiał uciekać. I to szybko.

Skierował wzrok na trampolinę. W obozie ciągle powtarzano, że nigdy, przenigdy nie wolno z niej skakać bez nadzoru albo bez zaistnienia wyższej konieczności. Na przykład gdyby ktoś nagle potrzebował pomocy.

Dobra, do cholery. Jeżeli to nie był stan wyższej konieczności, to Connor nie wiedział, co miałoby tym być. I właśnie potrzebował pomocy jak wszyscy diabli.

Tylko że... trampolina znajdowała się dziesięć metrów nad powierzchnią wody. To byłoby jak skok z okna wieżowca. No dobra, może i nie z dachu Empire State Building, ale gdy patrzyło się stąd na wodę w dole, to wyglądała na odległą o całe lata świetlne.

Jasna cholera. Zaraz padnie pytanie, a tymczasem w kąpielówkach nic się nie poprawiało. Przeciwnie: pogarszało. Connor miał teraz zaledwie parę sekund na dokonanie wyboru: zadziałać albo na resztę lata stać się pośmiewiskiem całej Ticonderogi.

Zdecydował. Nie myśląc już o niczym, rzucił się ku trampolinie. Gdy pędził obok innych, czuł, jak wiatr owiewa mu skórę. Wbiegł na koniec deski przy akompaniamencie krzyków i ostrzegawczych gwizdów. Zignorował je i biegł dalej, nawet gdy pod stopami nie czuł już nic oprócz powietrza.

Nie skoczył. Nie odważyłby się skoczyć z trampoliny „na główkę”.

Zapomniał o strachu, ale pamiętał o tym, by podkurczyć jedną nogę do pozycji, która - jak mu mówiono - sprzyjała ochronie klejnotów rodzinnych. Choć w tym momencie nie czuł, by były one szczególnie podatne na uraz mechaniczny.

Spadanie trwało wieki. Niby lotnik, katapultowany bez spadochronu, Connor patrzył na zbliżającą się płaszczyznę. Uderzył w wodę tak twardo, że aż spłaszczył mu się nos i odgięła w tył szyja. Głowa omal mu nie eksplodowała. Zmierzał w dół, w dół, w dół, głębiej niż, jak mu się wydawało, jest dno jeziora, tak głęboko, że wątpił, czy uda mu się wypłynąć żywym na powierzchnię.

Potem poczuł pod stopami miękkość piasku i wodorostów na dnie. Odepchnął się od niego stopami. Z całej siły. Ujrzał, jak rozjaśnia się coraz bardziej otaczająca go ciemność, aż wreszcie podążył wzdłuż padającego z góry snopu światła słonecznego. Wydawało mu się, że trwa to o wiele za długo, ale wreszcie wynurzył się ponad powierzchnię wody, natychmiast wciągając w płuca potężny haust powietrza z głośnym, rozpaczliwym sapnięciem.

Wtedy jego mózg zaskoczył. Wpadłem jak śliwka w kompot, uświadomił sobie. Pogwałcił wszystkie zasady bezpieczeństwa. Teraz go odizolują. Albo, co gorsza, wyrzucą. A że był tu specjalnym gościem, nie odeślą go do domu. Co to, to nie. Będzie musiał spędzić resztę wakacji w tej żalösnej chatce dla dozorczy i przez wszystkie pozostałe letnie noce słuchać przyprawiającego o mdłości trzasku i syku kolejnych otwieranych puszek z piwem. Słuchać, jak ojciec, zalany, snuje się po domu i gada, bez końca gada, gada o niczym...

Connor popłynął w takim tempie, jakby ścigał go wściekły aligator i złapał pierwszego z brzegu pływaka, na którego się natknął, obejmując jego ramiona w wyuczonym chwycie ratunkowym.

- Wszystko w porządku! - zawołał. - Trzymam cię! Zaraz będziemy na brzegu!

Zaskoczony pływak wił się jak piskorz, a przy okazji drapał. Jasny gwint, pomyślał Connor. Ze wszystkich dzieciaków w całym jeziorze musiała trafić mu się ta pyskata Lolly Bellamy.

- Puszczaj, świrze jeden! Co ty sobie myślisz?!

- Jestem twoim nowym najlepszym przyjacielem - odrzekł, przedrzeźniając usłyszane niedawno od niej słowa.

- Zjeżdżaj! - zbulgotała, pryskając kropelkami wody, jakie osiadły na jej klamerkach nazębnych. - Co ty wyprawiasz?

- Ratuję cię.

Zmierzał w kierunku brzegu, z trudem ciągnąc za sobą swoją ofiarę. Jej gumowy czepek i gogle upodabniały ją do Teletubisia.

- Nie potrzebuję pomocy! - Wyrywała się zawzięcie, z siłą, która wprawiała Connora w zdumienie.

- To masz pecha - odparł, próbując ją poskromić. - Bo ja to i tak zrobię.

- Zwariowałeś! Puszczaj mnie, kretynie!

- Jak dopłyniemy do brzegu.

Była chyba najbardziej denerwującą dziewczyną w całym obozie. Więcej: najbardziej denerwującą dziewczyną, jaką dotąd poznał. Przemądrzała i świetnie radząca sobie ze wszystkim, na czym się zna. Scrabble, inne gry, fortepian, recytowanie z pamięci zasad używania flagi państwowej... Ale gdy natykała się na coś, z czym nie potrafiła sobie poradzić, udawała, że problem nie istnieje.

Oprócz pływania. Widział, jak codziennie ćwiczyła, przepływając raz po raz od brzegu do końca pomostu tam i z powrotem, tam i z powrotem. Najwyraźniej ten trening dodał również siły jej mięśniom. Walczyła z Connorem przez całą drogę na brzeg, bulgocząc i nazywając go wariatem, mułem oraz idiotą.

Niemniej jednak trochę mu też pomogła. Gdy wygramolił się na brzeg, gotów wytłumaczyć swój wariacki skok z trampoliny: „Byłem przekonany, że ona się topi, słowo honoru!” - Lolly Bellamy udowodniła, że jest dobra w czymś jeszcze. Wzgórek w kąpielówkach Connora znikł, jakby nigdy go tam nie było.



Obozowisko Kioga to miejsce, w którym szczególną wartość przypisuje się rzetelności, równości, wartości ciężkiej pracy i sile charakteru.

ROZDZIAŁ ÓSMY

- Jasny gwint! - W głosie Connora Davisa brzmiało niedowierzanie, które odbiło się echem w całym otoczeniu. - LOLLY?

W porządku, pomyślała Olivia, otrzepując ręce z kurzu po zejściu z drabiny. To nawet zabawne ujrzenie wyraz jego twarzy, zdumiony i zmieszany zarazem.

Flagi, wiszące teraz poprawnie, łopotały w podmuchach porannego wiatru wiejącego od strony lasu. Czas zastygł w miejscu, jakby zamarł dziewięć lat temu. Olivia doznała pokusy, by dać Connorowi krótką odprawę, oznajmiając mu na przykład, że projekt został już powierzony konkurencji. Ale przecież nie znalazła żadnej konkurencyjnej firmy, bo taka tu po prostu nie istniała.

Poza tym byłoby to nieuczciwe wobec samej siebie. Stał przed nią Connor Davis. Czy jakakolwiek normalna Amerykanka z krwi i kości mogłaby nie chcieć współpracować z NIM?

Zatem był tu we własnej osobie. Konkretnie w czarnych skórkach i splewiących dzinsach. Wyglądał świetnie... na swój niegrzeczny sposób. Nic z wygładzonego, wymuskanego stylu, powiedzmy Randa Whitneya. Connorowi brakło takich cech. Był zrobiony z zupełnie innego materiału. Miał trochę za długie czarne włosy i nazbyt przenikliwe niebieskie oczy. Wciąż wyglądał na niebezpiecznego gościa z niebezpiecznej dzielnicy. Olivia odkryła, że patrząc na niego, czuje się zaniepokojona i że coś każe jej mieć się przed nim na baczności. Paskudny, wewnętrzny głos. Ale rzeczywiście nie chciała czuć do Connora... czegokolwiek. Był przecież członkiem tego samego klubu, do którego należeli również Rand Whitney, Richard i Pierce, pomyślała. Tych czterech to członkowie bractwa wciąż przyjmującego nowych członków. Bractwa tych, którzy ją odrzucili. Connor na dobrą sprawę był założycielem tego stowarzyszenia i, bezsprzecznie, najbardziej pomysłowym jego uczestnikiem.

- Możesz mi pomóc z tą drabiną? - spytała, choć naprawdę wcale nie potrzebowała pomocy.

Próbowała tylko odzyskać równowagę i uspokoić myśli, rozpaczliwie kłębiące się w głowie. To spotkanie po latach było jak powrót do koszmarnego snu. Patrząc na Connora, znów czuła to samo przemożne przyciąganie, które sprawiło, że pewnego lata zrobiła z siebie kompletną, totalną idiotkę.

Nie pomógł jej nieść drabiny. Po prostu wyjął ją Olivii z rąk i sam zaniósł do głównej szopy. Stawiał tak długie kroki, że Olivia musiała podbiec, żeby za nim nadążyć.

- Możesz ją oprzeć o ścianę na zewnątrz - powiedziała. - Trzeba ją porządnie wyczyścić.

Connor przytaknął.

- Muszę zrzucić część ciuchów - oznajmił, rozpinając kurtkę i kierując się w stronę harleya; łańcuszki u jego butów dźwięczały przy każdym stąpieniu.

- Ciepło się zrobiło.

Olivia stała i patrzyła, jak Connor zdejmuje z siebie skóry, a następnie umieszcza je na bagażniku motocykla. Biały T-shirt uwypuklał kształty jego ciała, szczególnie zaś mięśnie klatki piersiowej. Nagie, muskularne ramiona pokrywała opalenizna, choć lato jeszcze się nie zaczęło. Praca na otwartych przestrzeniach, pomyślała i odwróciła wzrok. Lepiej nie okazywać zainteresowania muskulaturą Connora.

Nie poznał mnie, pomyślała z perwersyjną satysfakcją. Z jednej strony było to miłe potwierdzenie przemiany, jaką miała za sobą niezdarna i otyła niegdyś dziewczynka. Ale z drugiej - do furii doprowadzało ją to, że Connora zaintrygował dopiero jej odmieniony wygląd. Bo bez względu na to, co się zmieniło, ta niewiarygodnie niepewna siebie dziewczyna wcale nie znajdowała się daleko stąd. Była częścią Olivii i wciąż żyła pod pozornie spokojną powierzchnią zgrabnej sylwetki i wystudiuowanych zachowań.

Na szczęście nowa Olivia była też bardziej doświadczona i nie pozwalała sobie na okazywanie uczuć. Odstąpiła parę kroków dla zwiększenia dystansu.

- Od lat nikt nie mówił do mnie Lolly, wiesz? - zagadnęła z lekkim rozbawieniem w głosie i tak zdawkowo, jakby Connor był tylko dawnym znajomym, a nie kimś, kto wyrwał i podeptał jej serce. - Odkąd zaczęłam naukę w college'u, używam tylko pełnego imienia.

- Nie miałem pojęcia, że masz na imię Olivia. Jest wiele dotyczących mnie rzeczy i spraw, o których nie masz pojęcia, pomyślała.

- Decyzja rodziców. Olivia Jane Bellamy. Wymyślne, prawda? Jak nie dla dziecka. To jedna z moich kuzynek nazwała mnie Lolly. Właśnie uczyła się mówić i nie potrafiła powiedzieć Olivia, no to przekręciła, a potem tak już zostało.

- Nigdy mi o tym nie opowiadałaś. Kiedy byłem młodszy, myślałem, że wszystkie bogate dzieciaki nazywają się Binky, Buffy czy tam Lolly, a gdybym spytał dlaczego, to wyszedłbym na ignoranta... więc nie pytałem.

- Skąd wzięłeś się w Avalon?

- Gdzieś mieszkać trzeba.

- Nie o to pytam.

- Wiem. Po tamtym lecie...

Wiedziała, które lato ma na myśli, ale nie chciała, żeby powiedział coś w rodzaju: „...kiedy cię zniszczyłem...”.

- Po tamtym lecie mój ojciec był... poważnie chory. Uważałem, że powinienem... być blisko niego.

- Współczuję ci, że musiałeś przejść przez coś takiego - powiedziała.

To straszne stracić rodzica, zaświtało jej. Chyba powinna mu to też powiedzieć, ale słowa zastygły jej w gardle.

- Wszyscy musimy przez coś przechodzić.

- Prawda - odrzekła z wymuszoną pogodą. - Co powiesz na to, żebyśmy rzucili okiem na to i owo? - Była niemal pewna, że Connor zna obóz tak samo dobrze jak ona. - Opowiem ci o tym przedsięwzięciu. A tak przy okazji, kiedy ostatnio tu byłeś?

- Nie przyjeżdżam tutaj. Po co miałbym to robić? Zrozumiała, że zadał jej pytanie retoryczne, na które nie oczekiwał odpowiedzi. Pośpiesznie skierowała się w stronę pawilonu nad jeziorem. Spaczone drewniane schodki skrzypiały, a poręcz chwiała się niczym zęb, który ma wkrótce wypaść.

Connor wyjął z tylnej kieszeni spodni notesik i coś w nim pisał. Gdy weszli na taras jadalni, Olivia przymrużyła oczy, wypatrując Freddy'ego i Barkisa, ale nie było po nich śladu. Odwróciła się do Connora i od razu poczuła się dotknięta sposobem, w jaki na nią patrzy. Była w tym jakaś bezczelność.

- Gapisz się na mnie - powiedziała.

Wydawało jej się, że czuje na skórze dotyk jego wzroku. Nie było to przyjemne doznanie.

- Zgadza się - odrzekł, opierając się biodrem o balustradę otaczającą taras. - Robię to. Przynajmniej raczył potwierdzić.

- To przestań - zażądała.

- Dlaczego?

Splotła ramiona na piersi.

- Bo mi z tym niewygodnie.

- Jeśli jest tak za każdym razem, kiedy jakiś facet gapi się na ciebie, to musisz dosłownie skręcać się z tej niewygodny.

Zapewne można by uznać to za komplement, ale nie uważała, by był on specjalnie pochlebny. Wiedziała, że Connor zastanawia się, jakim cudem gruby podłotek, którego nikt nie lubił, przemienił się w Olivię taką-jaka-była-teraz.

- No, dobra, mów, o co chodzi z tą robotą? - spytał.

- Trzeba odnowić całe to miejsce. Moi dziadkowie mają zamiar obchodzić tu swoją pięćdziesiątą rocznicę ślubu. - Wskazała ręką jezioro. - Brali ślub na wyspie, w altanie, której już nie ma. Do sierpnia trzeba przygotować wszystko na przybycie około setki gości.

- Podziwiam ich. Nie znam nikogo, kto pozostawałby w małżeństwie tak długo.

Olivia zadumała się nad tym, co powiedział. Rzeczywiście, rzadko się zdarza kochać kogoś tak długo.

Takie zjawisko aż się prosi o odpowiednią uroczystość na swą cześć. Pomyślała o sobie i swej obecnej sytuacji. Związek trwający pół stulecia? Nie, to niemożliwe. Jak w ogóle mogło istnieć coś takiego: dwoje ludzi zakochuje się z wzajemnością i zostaje ze sobą, starzeje się razem, i nie tylko utrzymuje łączącą ich więź, lecz także wzmacnia ją i zacieśnia poprzez wszystkie upadki i wzloty, jakie niesie ze sobą życie. Nieprawdopodobne. Przyłapała się na myśli o tym, czy ona kiedykolwiek mogłaby postawić taki kamień milowy na drodze życia, gdyby znalazła mężczyznę, z którym mogłaby razem się zestarzeć.

Biorąc pod uwagę jej dotychczasowe sukcesy w tej dziedzinie, prawdopodobieństwo takiego zdarzenia równało się szansie na zrobienie lodowych kostek z gotującej się wody. Zerknęła na Connora, który uważnie sprawdzał, czy w drewnie nie ma spróchniałych miejsc. Dostrzegła - nie, to nie była wyobraźnia! - dziwny blask przenikający w jednym miejscu lśniąco, czarne fale jego włosów. W jedno ucho miał wczepioną małą pętelkę ze srebrnego drutu. Boże, pomyślała. Dalej nosi ten kolczyk. Czy to coś znaczy? Ma go dlatego, że tak lubi czy...

- Nie znalazłem niczego niepokojącego - oświadczył.

- Zejdźmy nad jezioro, żeby tam się rozejrzeć - zaproponowała.

Powiedziała sobie, że ma natychmiast przestać myśleć o kolczyku i całej reszcie wydarzeń sprzed lat. Te sprawy nie miały teraz żadnego znaczenia. Ruszyła ledwo co wydeptaną ścieżką, teraz zarośniętą przez czepliwe krzaki jeżyn. Ich gałęzie boleśnie drapały Oliwię po nagich łydkach. Connor spojrzał na jej nogi.

- Pozwól - powiedział i poszedł przodem, odgarniając długie, kolczaste pędy, aby mogła bezpiecznie iść za nim.

Wspomnienia wakacyjnej przeszłości czaiły się za każdym zakrętem: nocne wyglupy, oślepiające widoki przyrody w jej pełnym rozkwicie, dźwięki obozowych piosenek i obrazy spotkań przy trzaskającym ognisku. Olivia uważnie obserwowała Connora, torującego drogę przez zarośla. Zastanawiała się, jakie wspomnienia wywołuje u niego to miejsce. Chwile chwały? A może coś mroczniejszego i ciężkiego?

Wskazała mu przechyloną krzywo szopę na łodzie, pomost i zbudowaną w adirondackim stylu chatkę, wyróżniającą się wyglądem spośród wszystkich pozostałych. Był to najwygodniejszy domek obozowiska, pierwotnie przeznaczony dla właścicieli, gwarantujący takie luksusy, jak bieżąca woda, wymurowany z okrągłaków kominek czy nawet opalana drewnem kuchenka. Nawet w zimie, gdy obóz zamykano na głucho, dawało się tu dojechać skuterem śnieżnym, a jeśli nie spadło zbyt wiele śniegu, to nawet samochodem.

- Tę chatkę chciałabym odnowić specjalnie dla moich dziadków - powiedziała do Connora.

- W porządku.

- Mój wujek Greg spędził tu Boże Narodzenie, kiedy rozstał się z żoną. - Olivia poczuła, że się czerwieni. Oby tego nie spostrzegł! - Przepraszam - rzuciła szybko. - Za dużo mówię.

- A jak to się stało, że to właśnie ty szefujesz całej akcji? - Connor dyplomatycznie zmienił temat.

- Pewnie sądzisz, że spędzam życie na wałkonieniu się, opychaniu słodyczami i czytaniu snobistycznych magazynów w rodzaju „Town & Country”?

- Nic takiego nie powiedziałem.

- Założę się, że tak myślałeś.

Olivia przywykła już, że jest oceniana znacznie poniżej swoich możliwości.

- E, tam - powiedział po prostu. - Przypuszczałem, że wyszłaś za mąż i wozisz dzieci do przedszkola w Darien.

Nie myśl sobie, że bym nie chciała, przemknęło jej przez głowę.

Nie. Tego nie powie na głos.

- Nie mam męża - przyznała się. - Nie mam dzieci ani domu na przedmieściach. - A potem, choć wydawało jej się, że zna odpowiedź Connora, zapytała: - A ty?

- Kawaler. Nikogo sobie nie znalazłem. - Kolejny raz zmierzył ją wzrokiem tak, że niemal poczuła fizyczne dotknięcie.

- Więc nie zostałeś nauczycielką? - rzucił po chwili.

Była tak zaskoczona, że omal potknęła się o korzeń. Nie mogła uwierzyć, że Connor jeszcze pamięta jej stare marzenie. Sama ledwo je pamiętała. Gdy przemodelowała siebie i przebudowała życie wokół nowej Olivii Bellamy, pomysł pracy pedagogicznej rozwiął się we mgle.

- Wystartowałam z biznesem na Manhattanie. Jestem rearanżerem nieruchomości.

Z miny Connora wynikała, że nie ma pojęcia, o co chodzi.

- Kiedy ktoś wystawia nieruchomość na sprzedaż, ja mam ją uatrakcyjnić po to, żeby lepiej się sprzedawała. Zazwyczaj w zakres robót wchodzi odgracanie wnętrza, malowanie od nowa ścian, przestawianie mebli i wprowadzanie w to pewnych nowych elementów.

- I ludzie za to płacą?

- Zdziwiłbyś się ile! Chodź, pokażę ci, na czym to polega.

Poprowadziła go z powrotem do jadalni. Wiedziała, że najlepszym sposobem na sceptycyzm jest naoczna demonstracja. Podeszła do stołu przy oknie.

- Pomóż mi go przestawić - poprosiła. - Jeśli wstawimy go do kąta, blat zacznie łąpać światło.

Rozłożyła płachtę starej ceraty, którą znalazła w szafce na naczynia.

- Próbuję wykorzystywać rzeczy należące do właściciela, bo to wprowadza do wnętrza atmosferę autentyczności. Czasem muszę wynajmować meble i akcesoria. Tutaj na przykład chcę wykorzystać meble z wikliny i cały styl adirondackiański. Oczywiście często odwiedzam też prywatne wyprzedaże.

Skręciło ją z irytacji na myśl o starej szafce tansu, którą wypożyczyła do mieszkania Randa. Tak wspaniale prezentowała się jako kredens...

Skończyła nakrywać blat stołu ceratą i zaczęła drobne retusze. Wazonik z polnymi kwiatami, które zebrała, wyprowadzając Barkisa na spacer o wschodzie słońca. Para grubościennych kamionkowych kubków do kawy. Kraciasta serwetka.

- To w dużej mierze sztuka iluzji - wyjaśniała. - Przy każdym zadaniu próbuję wyobrazić sobie idealny wizerunek przyszłego właściciela, a potem stwarzam jego - lub jej - wizję wnętrza.

Zgrabnie złożyła wczorajszą gazetę i położyła ją na stole.

- Niedawno pracowałam nad pewnym domem w Greenburgh pod Nowym Jorkiem. Dla ułatwienia założyłam sobie, że przygotowuję go dla koszykarza z Nicksów. Były tam pokoje wysokie na ponad trzy metry. Wszystko było olbrzymie. Urządziłam to miejsce tak, żeby spodobało się jakiejś gwiazdce sportu.

- I?

- Kwami Gilmer kupił dom w tym samym tygodniu, w którym wystawiono go na sprzedaż.

Wspięła się na krzesło, żeby zdjąć zasłony znad okna. Materiał był spłowiały ze starości. Gdy pociągnęła za sznur, w powietrze wzbija się chmura kurzu. Olivia zaczęła kichać.

- Uważaj! - ostrzegł Connor. - To krzesło jest rozklekotane.

Przysunął się bliżej, gotów łapać ją, gdyby spadała. Wytarła nos, nieprzyjemnie świadoma kusości swych spodni i topu.

- W porządku. I dziękuję. Zwykle nie potrzebuję ratunku częściej niż raz dziennie.

Ostrożnie zeszła na dół, ignorując rycersko wyciągniętą rękę Connora. Potem poprawiła krzesło, zwinęła zasłony i zaczęła, aż opadnie kurz. Mieli teraz przed sobą fragment wnętrza, który przypominał kawiarnię ze stołem z widokiem na jezioro. Dobry pomysł, pomyślała. Stare plakaty. Będę potrzebować plakatów z pejzażami gór Catskills z końca dziewiętnastego wieku. Taka nostalgiczna dekoracja przywiedzie na myśl słodczy minionych letnich dni.

- No, dobrze. - Otrzeпаła ręce. - Teraz masz ogólne pojęcie, na czym to polega.

- Stwarzasz iluzję na użytek innych. Budujesz im marzenia.

- Można by to tak ująć.

- A twoje własne?

- Moje marzenia? - Chrząknęła, ale zaraz udała, że zakrztusiła się kurzem. - Nie marzę zbyt często.

Co za paskudne kłamstwo! Od dawna przecież pielęgnowała w myślach fantazje tak wyraźne, jak światło dnia nad górami. I nie były to marzenia o nadzianym facecie czy wystawnym życiu, jakie snuły niektóre przyjaciółki i kuzynki. Nie. Olivia tęskniła w wyobraźni za dużym, pełnym zakamarków domem, otoczonym tarasem i rozrośniętymi krzakami róż, z patiem i z pokojem z fortepianem, za ciasteczkami dopiekającymi się w staroświeckiej kuchni, za dziećmi, które śmieją się i szaleją przed gankiem. Oczywiście, w tej fantazji musiał być jeszcze mąż. Duży, skłonny do śmiechu mężczyzna, który by potrafił wziąć Olivię na ręce, zakręcić się i pocałować ją w szyję po powrocie do domu z pracy. Zabawne, że w tej wizji nie był to nikt konkretny.

Po prostu ktoś, kto ją kocha. Ktoś, kto przytula ją w nocy, umie doprowadzić ją do śmiechu w dzień i zapewnia bezpieczeństwo przez cały czas. Świadek mijającego czasu, zawsze u jej boku, ktoś, kto zestarzeje się wraz z nią.

- Przejdźmy do konkretów. Czego ode mnie oczekujesz? - Głos Connora wdarł się w tok jej myśli.

Poczuła, że się rumieni. Czyżby odczytał te tęsknoty na jej twarzy? Dopiero po chwili zrozumiała właściwy sens jego słów.

- To miejsce wymaga czegoś więcej niż zwykle przemeblowanie i wywieszenie starych flag... a my nie mamy za wiele czasu.

Notatki i szkice, które sporządziła na spólkę z Freddym, leżały na stole, a część była przyczepiona do ściany.

- Wkrótce będziemy mieli do pomocy parę osób z mojej rodziny - oznajmiła. - Moja kuzynka Dare zajmuje się zawodowo organizowaniem uroczystości, więc przejmie tę część prac, na której się zna. Wujek Greg jest architektem pejzażu i będzie pracował nad kształtem terenu. Jego córka Daisy skończyła przedostatnią klasę szkoły średniej, więc ona i jej mały brat Max mogą... hm... mogą przynajmniej zadbać o szczegóły. Naszym nadrzędnym celem jest zrobienie z Kioga ideału letniska dla każdego. Ma to być miejsce, o jakim marzą ludzie w mieście...

- ...czyli coś skrajnie przeciwnego do naszych obozów.

- Nie bądź cyniczny - odcięła się. - Wydawało mi się, że lubiłeś obozy.

- Owszem, ale nie bez zastrzeżeń.

Olivia zauważyła nieznaczne drgnięcie mięśni na jego twarzy. Próbowwała odczytać sens jego reakcji, ale Connor wciąż stanowił dla niej nieprzeniknioną zagadkę.

- Czy to znaczy, że mam szukać innego przedsiębiorstwa budowlanego?

- To byłoby z twojej strony czyste wariactwo.

Udała, że jego pewność siebie nie zrobiła na niej żadnego wrażenia.

- A niby dlaczego?

Odchylił się w tył, skrzyżował nogi i splótł dłonie z tyłu głowy.

- Po pierwsze, nie znajdziesz nikogo takiego w promieniu osiemdziesięciu kilometrów.

A po drugie, potrzebujesz właśnie mnie i tylko mnie.

- No dobra, potrzebuję. Ale skąd ta pewność?

- Bo pamiętam cię, Lolly. Wszystko teraz do mnie powraca i dokładnie wiem, czego chcesz.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- Olivio! Moje gratulacje! - zawołała Dare. - Nie sądziłam, że uda ci się w ogóle ruszyć z miejsca, a widzę, że już są postępy!

Istotnie, prace renowacyjne przyniosły już pierwsze widoczne rezultaty. Connor Davis, tak jak mówił, rzeczywiście wiedział, czego potrzeba Olivii. Sprowadził ciężki sprzęt i doświadczoną ekipę pracowników. Wszystko szło według planu. Connor znał także wszystkich przydatnych specjalistów w okolicy - hydraulików, elektryków, malarzy i dekarzy.

Dare wysiadła z wynajętej ciężarówki i z aprobatą rozglądała się po tej części obozu, którą miała w zasięgu wzroku. Olivia zawsze uważała swą nieco starszą kuzynkę za najlepiej przystosowaną do życia przedstawicielkę rodu Bellamych. A jeśli nie najlepiej, to na pewno lepiej od niej. Dare była córką ciotki Peg i wuja Clyde'a i jedną z tych osób, w których towarzystwie życie wydaje się zabawne i łatwe. Bez trudu ukończyła college, wiedziała, z kim się umawiać, i rozpoczęła błyskotliwą karierę jako organizator imprez. Z wyglądu była niższą, ale dużo sympatyczniejszą siostrą lalki Barbie, ale ubierała się z trzeźwym poczuciem stylu. Olivia miała wiele powodów, by jej zazdrościć, ale wołała ją uwielbiać.

- Wsiadźcie i sami popatrzcie! - Dare otworzyła drzwi vana.

Z szoferki wyskoczył wujek Greg. Miał dwoje dzieci - dziesięcioletniego syna Maksa i córkę Daisy, obecnie siedemnastolatkę. Byli to najmłodsi krewni Olivii, a fakt, że ich rodzice znajdowali się o krok od rozwodu, budził w niej bolesne wspomnienia.

- O rety! - zaśmiała się Olivia na widok Maksa. - Ale urosłeś! Teraz nie mam z tobą szans w kosza! A gdzie twoja siostra?

Daisy wychynęła zza tylnych drzwi ciężarówki. Rozpromieniła się na widok Olivii, która od razu pomyślała, że w tej dziewczynie rzeczywiście jest coś z kwiatu - i to niekoniecznie ze skromnej stokrotki, której imię nosiła. Daisy była niemożliwie wręcz urocą siedemnastolatką o jedwabistych blond włosach i bławatkowych oczach. Olivia z ciężkim sercem oczekiwała nieszczęśliwego stworzenia, o którym opowiadał jej Greg, kiedy pierwszy raz rozmawiali przez telefon o współpracy przy renowacji Kioga.

Z tego, co mówił, wynikało, że Daisy ma kłopoty z nauką, często nie wraca do domu na noc, a kiedy się pojawia, czuć od niej papierosy i alkohol. Olivia zrozumiała natychmiast, że rozstanie rodziców było dla tej dziewczyny równie ciężkim przeżyciem, jakim kiedyś dla niej był rozwód Philipa i Pameli.

- Cześć, młoda. - Olivia przytuliła serdecznie Daisy, która pachniała wyłącznie młodością i modnym dezodorantem. - Nie masz pojęcia, jak się cieszę, że postanowiłaś tu przyjechać! - Tu przerwał jej Barkis, który właśnie przybiegł, by przywitać się ze wszystkimi i teraz wił się z radości, bo Max przykucnął na trawie, aby się z nim pobawić.

- Co za śliczny piesio! - wykrzyknęła Daisy.

- Dzięki. Adoptowany ze schroniska.

Dopiero teraz Daisy rozejrzała się wokoło i zdębiała.

- Tak to wygląda? - wyjąkała.

- Teraz niestety tak. Nie miałaś szansy, żeby tu przyjechać, kiedy wszystko jeszcze działało.

- Co będziemy tu robić przez całe lato? To znaczy oprócz pomocy przy remontach?

- W stołówce jest fortepian - odrzekła trochę rozbawiona Olivia. - Mamy też bibliotekę i świetlicę, a w niej wszystkie gry planszowe, jakie można sobie wymarzyć.

Kątem oka zauważyła, jak Dare unosi brwi coraz wyżej i szturcha Grega łokciem w bok.

- Nie wyjaśniłeś im, że mają przed sobą lato bez prądu?

- Pewnie, że mówiłem... ale chyba mi nie uwierzyli.

- Bez prądu to znaczy: żadnej telewizji i żadnego Internetu. Komórki też nie mają tu zasięgu. Przez tydzień lub dwa nie będzie można nawet normalnie dzwonić przez stacjonarny. Centrala nas odłączyła. Łapiemy w radiu jedną rozgłośnie... o ile nie ma zbyt silnego wiatru.

Oczy dzieci zrobiły się niemal okrągłe.

- Witamy w gułagu - podsumowała ich reakcję Dare.

Max i Daisy poszli zbadać sypialnie. Mimo że Olivia i Dare znalazły czynny wózek z napędem elektrycznym, co bardzo ułatwiło przewóz pakunków, dzieci uważały, że dorośli strasznie się guzdrzą, rozmieszczając bagaże i zapasy.

Greg był najmłodszym bratem ojca Olivii, swego rodzaju *enfant terrible* rodu Bellamych. Olivia pamiętała go jako utopionego kawalarza, który nigdy nie brał nic na serio. Teraz był dorosłym ojcem dwójki dzieci. Olivia podejrzewała, że świadomość tego trochę go uwiera. Może dlatego ubrany był jak nastolatek: skejtowskie szorty, T-shirt, bejsbolówka daszkiem w tył...

- Jak myślisz, wytrzymają tu? - zapytała go.

- Mam przecucie, że jeszcze nas zaskoczą - odpowiedział ze spokojem. - I że wszystko pójdzie dobrze.

Olivia i Dare skrzyżowały spojrzenia.

- A ty, wujku? - zapytała Dare. - Radzisz jakoś sobie?

- Raczej tak, ale potrzebujemy czasu, ja i dzieciaki - odparł, nerwowo kurcząc i rozkurczając palce. - Sophie, to znaczy wasza ciotka... Jej, hm, plany na lato jakoś nie mogą się skryzalizować. Dzieciaki zaczęły od tego dostawać świra. Miałem nadzieję, że pobyt tutaj... bo ja wiem... pomoże im zdefragmentować twarde dyski.

Olivię poraził ton bólu, jaki mimo pozornej wesołości dał się słyszeć w jego głosie.

- Wujku, tak mi przykro...

- Co się właściwie stało? - spytała Dare ponownie.

- Trudno to opisać... Wszystko się między nami... poplątało, ale cała rodzina była zbyt zajęta, żeby to zauważyć. A potem zrobiło się za późno. Sophie pracowała, ja też, dzieci były stale czymś zajęte i... sam nie wiem kiedy, kompletnie straciliśmy ze sobą kontakt. Gdy firma Sophie zaoferowała jej kontrakt w Seattle, wyjechała tam natychmiast. A przecież wiedziała, że musi zostać tam co najmniej sześć miesięcy, może nawet cały rok. Ale wyjechała nie tylko z powodu pracy i wszyscy o tym wiemy.

- Myślisz, że rozstaliście się na dobre? - pytała dalej Dare.

- Oficjalnego potwierdzenia na razie brak. Ale to całkiem możliwe. - Greg odwrócił głowę i włożył dłonie do kieszeni.

- A jak to znoszą Daisy i Max? - dopytywała się Olivia.

- Trudno powiedzieć. Mało o tym rozmawiamy.

- Tego lata będziecie mieć mnóstwo czasu na rozmowy - zapewniła go.

Wiedziała coś niecoś o tym jedynym w swoim rodzaju bólu, jaki towarzyszy rozpadowi rodziny. Znała jego sztuczki. Udawał, że znika, ale trwał przycupnięty gdzieś w okolicach serca, a potem znienacka uderzał i przemieniał nawet małe chwile szczęścia i nadziei w rozpacz.

- Czy my możemy ci jakoś pomóc?

- Wystarczy, że po prostu wszyscy tu będziemy. Razem. Boże, mam nadzieję, że to wystarczy. - Twarz Grega rozjaśniła się nieco. - Potrzebujemy trochę czasu dla siebie. Max powinien nauczyć się wiosłować. Ciągle ma przed sobą złowienie pierwszej w życiu ryby.

- To znaczy, że przyjechaliście na właściwe miejsce - orzekła Dare.

- Wiecie co? Nie wiem, jakim cudem mam dwie takie świetne bratanice.

- Cud. Sam to powiedziałeś.

Greg załadował wszystkie bagaże i wsiadł na wózek. Przez chwilę wyglądał jak zagubiony i porzucony szczeniak. Ale gdy nad jeziora dobiegły odgłosy śmiechu i rozmów

jego dzieci, wyprostował się, uniósł ramiona i pokazując wyprostowane w górę kciuki, zapuścił silnik.

Olivia i Dare wpadły w wir zajęć w kuchni. Oprócz reżyserii uroczystości rocznicowej Dare wzięła na siebie obowiązek zaopatrywania obozu w jedzenie dla wszystkich, którzy będą spędzać tu lato.

- Żadnych puszkowanych makaronów - oznajmiła po energicznym przeglądzie zawartości spizarni. - Żadnych mandarynek w gęstym syropie i, na litość boską, nigdy więcej chińskich zupek w torebkach!

- Wyrzucasz podstawowe źródła moich sił życiowych - zaprotestowała Olivia.

Dare rozejrzała się po kuchni, gdzie stała ogromna lodówka, grille, stoły robocze z nierdzewnej stali i cała reszta wyposażenia. Sprzęt, choć stary, działał bez zarzutu. Narzędzia i powierzchnie lśniły. Po umywalniach było to drugie miejsce, jakie poddano generalnym porządkom. Olivia zgodziła się z Freddym, że kuchnia to priorytet. Musiała być w pełni sprawna, jeśli chcieli, żeby lato przebiegło im bez kłopotów. Kilka podstawowych napraw i udoskonaleń wykonanych przez ludzi Connora pozwoliło myśleć nawet o zatrudnieniu tu w stosownym momencie ekipy profesjonalnych kucharzy.

- Babcia będzie zachwycona - cmoknęła z uznaniem Dare. - Twój budowniczy to chyba jakieś twórcze bóstwo.

- Nie - odparła szybko Olivia. - On tylko bosko wygląda.

Dare spojrzała na nią przenikliwie.

- Naprawdę? Czy to ktoś, kogo powinnam poznać? Olivia bardzo się pilnowała, żeby nie spuścić oczu.

- Poznałaś go już kiedyś. Dawno temu. To Connor Davis.

Dare opadła szczęką. Jako najbliższa kuzynka Olivii wiedziała niemal wszystko o wypadku złamania serca, którego ofiarą padła pewna nieszczęśliwa, gruba dziewczynka, a którego sprawcą był właśnie Connor Davis.

- On tu jest? W Avalon?

- Tak.

Olivia nie mogła powiedzieć nic więcej. Nie wiedziała, dlaczego właściwie Connor tu został. Nie wiedziała nic oprócz tego, co usłyszała o jego ojcu. Nie chciała o nic wypytywać, żeby Connor nie pomyślał, że jej na nim zależy.

- Nie mogę uwierzyć, że pracujesz akurat z nim.

- Jest w porządku - zapewniła Olivia. - Poza tym to przecież tylko praca.

Powtarzała to sobie każdego dnia. I była to prawda. Przynajmniej z zewnątrz.

Poprowadziła Dare, żeby pokazać jej, jak postępują prace. Zdążyła już usunąć pokrowce z gablotek i ciężkich mebli w holu głównego pawilonu. Umieściła na widoku

sprzęt biwakowy i pamiątki. Powoli stwarzała odbicie minionych dni, które tak dobrze wspominali jej dziadkowie.

- Musiałaś dziwnie się czuć, widząc go znowu po tylu latach. - Dare nie miała zamiaru rezygnować z drażenia tematu.

- Co masz na myśli? Dare zachichotała.

- Rzeczywiście, niemądre pytanie. Ale... - Przerwała nagle i zapatrzyła się w okno. - O ho, ho! - krzyknęła cicho.

Olivia spojrzała w tę samą stronę, żeby sprawdzić, co wywołało pełną zachwyty reakcję kuzynki. Okazało się, że chodzi o Freddy'ego, który pojawił się w polu ich widzenia, ciągnąc za sobą załadowany drewnem wózek. Chłopak z miasta zdumiewająco łatwo przystosowywał się do obozowego życia i teraz czuł się tu jak u siebie. Popołudniowe słońce rozświetlało końce jego włosów. Miał na sobie koszulkę gimnastyczną i robocze spodnie, obciążone lekko w dół z powodu szerokiego pasa z narzędziami. Dare oblizwała wargi.

- To nie może być Connor Davis.

- Nie, to Freddy. Opowiadałam ci o nim.

- To jest ten Freddy? Ten kinoman?

- Tak, wciąż tak o sobie mówi. Ale naprawdę jest scenografem. Ostatni spektakl, przy którym pracował, nie doczekał się premiery, więc tego lata zgarnęłam go pod swoje skrzydła.

- O ho, ho! - powtórzyła Dare. - Po prostu ciacho... Ale czy on nie jest przypadkiem... no wiesz... gejem?

- Wszyscy o to pytają. Nie, nie jest.

- Czy wy...

- Zdecydowanie nie - ucięła Olivia. Pomyślała o pierwszej nocy w Kioga. Zaraz potem przeprowadzili się do osobnych domków. Teraz ta noc była już tylko odległym wspomnieniem.

- Odkąd pamiętam, Freddy z nikim się nie wiązał. A zresztą... wiesz co? Chodź. Muszę was poznać.

Przedstawiając ich sobie, obserwowała z rozbawieniem, jak między Dare i Freddyem natychmiast zawiązują się nici porozumienia. A dlaczegoż by nie? Oboje prezentowali się wspaniale: on ze swym modnym, nowojorskim wyglądem i ona, pełna szampańskiego wdzięku. Byli nawet równi wzrostem. Sprawiali wrażenie osób, dla których wzajemne przyciąganie, umawianie się, a może nawet zaangażowanie emocjonalne są bardziej źródłem radości niż zagrożenia. Olivia zazdrościła im łatwości nawiązania kontaktu.

Dała im chwilę na pogawędkę, po czym spojrzała na zegarek.

- Przepraszam, że wam przerywam, ale muszę przywieźć parę rzeczy ze składu materiałów budowlanych w mieście. Dare, czy ty przypadkiem nie masz umówionego spotkania z dostawcą artykułów spożywczych?

- Pewnie, że mam - odrzekła wesoło Dare. - Paliwo dla organizmu to ważna rzecz. - Zerknęła na Freddy'ego z tragiczną miną. - Przepraszam, ale ona mnie porywa. Czy masz ochotę na coś z miasta? Po wizycie u dostawcy chcę wpaść do piekarni Sky River.

- Co powiesz na rurki z kremem? - westchnął Freddy z rozmarzoną miną.

- Co takiego?

- No wiesz, rurki z kremem to takie długie, wafłowe tutki, napełnione bitą śmietaną. Jeśli ich jeszcze nigdy nie jadłaś, to nie wiesz, co cię ominęło - mówiąc to, Freddy mrugnął do Dare.

- Chodźmy już. - Olivia wzięła kuzynkę za rękę i pociągnęła w stronę parkingu. - Boże, to niewiarygodne!

- Co takiego? - zapytała Dare z miną niewiniątka.

- Trafiłaś go pierwszym strzałem!

- Myślisz?

- Rurki z bitą śmietaną? Tak od razu.

- Mówisz, że trafiłam? Nie mówię, że się nie starałam...

Olivia mogłaby powiedzieć to samo o sobie. Ogromnie lubiła i Dare, i Freddy'ego. Poczula się uszczęśliwiona, widząc, jak przeskakuje między nimi iskra wzajemnej fascynacji. Przegadały całą drogę do Avalon. Z Dare zawsze tak było. Bez względu na to jak długo się nie widziały, zaczynały rozmowę tak, jakby rozstały się poprzedniego dnia. Gdy samochód przekraczał granicę miasteczka, zdążyły omówić już wszystkie słabe punkty Randa Whitneya i strach Dare przed ciążą, który urastał do poziomu historycznego przerażenia.

- Mam pewność co do jednej rzeczy - oświadczyła w końcu Dare. - Nie jestem jeszcze gotowa na dziecko.

Olivia uśmiechnęła się w przyływie uczucia dziwnie podobnego do tęsknoty.

- Zabawne, bo ja wprost przeciwnie. Mam ochotę na więcej niż jedno.

- Co ty?!

- Wcale nie żartuję. Zgoda, to wariactwo, ale przyznam ci się, że często, zupełnie zniecka, nachodzi mnie taka... zachcianka.

Dare wzruszyła ramionami.

- Ja często mam zachciankę na kilogram czekoladek, co wcale nie znaczy, że je jem.

Olivia uśmiechnęła się lekko.

- Wiem, najpierw trzeba z kimś się pospotykać.

- Z Connorem Davisem?

- Nie w tym życiu. Przypuszczalnie w następnym też nie. Nie wierzę, że możesz sugerować mi...

- Zmieniście się oboje. Może...

- Odpowiedź znowu brzmi: nie - upierała się Olivia.

Dlaczego więc, kiedy wyobraziłam sobie siebie i jego... razem, poczułam w sercu bolesne szarpnięcie, pomyślała.

Dare potrafiła wyczuć właściwy moment na zmianę tematu. Przez chwilę obie jechały w milczeniu, obserwując pejzaż za oknami auta. Lato rearanżowało góry z leniwą ekstrawagancją, przykrywając ziemię w puszczy zielonym dywanem paproci i wystawiając korony drzew na wzgórzach wprost na światło słońca.

- Czy Avalon jakoś się zmienił? - spytała Dare, kiedy przekraczały granicę obszaru zabudowanego.

- Pod niektórymi względami owszem - odrzekła Olivia. - Na przykład bardzo wzrosły ceny ziemi.

Mijały właśnie biuro sprzedaży nieruchomości. Napis na markizie głosił: Nieruchomości Algiera. Na sprzedaż było akurat coś o nazwie Brookwood Acres - domy od czterystu pięćdziesięciu tysięcy dolarów wzwyż.

- Myślisz, że babcia i dziadek sprzedadzą wszystko jesienią? - zastanawiała się Dare.

- Nie wyobrażam sobie tego. Wiem, że chcą, żeby Kioga za wszelką cenę pozostała w rodzinie. Może wujek Greg ją przejmie? Przydałoby mu się trochę zdrowego wysiłku.

- Wydaje mi się, że i bez tego Greg ma dość, więc nie ma co ładować mu na głowę dodatkowego ciężaru - pokręciła głową Dare.

- Właściwie sama nie wiem, co można by z tym zrobić. Miałam dość czasu, żeby się wszystkiemu dokładnie przyjrzeć. Miejsce jest idylliczne, trudno dziś już o takie. Może jako letni obóz już by się nie sprawdziło, ale... - Olivia zaśmiała się i machnęła ręką w kierunku kuzynki. - Słuchasz mnie jeszcze? Ostatnio ciągle zajmuję się wyszukiwaniem nowych celów dla wszystkiego, co znajdę.

- A jaki miałyby być ten nowy cel? Centrum konferencyjne? Ośrodek wczasowy dla VIP-ów? Teraz to modne inwestycje.

- Ja myślałam raczej o miejscu odpoczynku dla całych rodzin. Wiesz, o czymś takim, gdzie można się wewnętrznie wyciszyć i poznawać nawzajem od nowa. Dare uśmiechnęła się.

- Idealistka z ciebie. Nic się nie zmieniłaś.

- Chyba masz rację.

Kiedy szukały miejsca do zaparkowania przed budynkiem Camelot Catering, Dare wyciągnęła teczkę na papiery.

- Zrobisz coś dla mnie? - poprosiła Olivie. - Zanieś to do piekarni Sky River, bardzo cię proszę. Przygotowują tam tort na rocznicę, a ja obiecałam im, że dostarczę zdjęcie oryginału.

- Dobra, za chwilę wrócę.

Olivia wzięła teczkę i przeszła na drugą stronę ulicy. Piekarnia Sky River, założona przez parę imigrantów przybyłych do Ameryki po drugiej wojnie światowej, działała tu od kilku dziesiątków lat. Na ręcznie malowanym szyldzie, tuż pod nazwą zakładu, widniał napis: „Leo i Helen Majesky, rok założenia 1952”. Olivia przypomniała sobie natychmiast biały samochodzik dostawczy z obrazkiem rzeki na skrzyni ładunkowej, którym codziennie dostarczano pieczywo do obozowiska. Towarzyszyło temu mgliste wspomnienie ciemnowłosej dziewczyny w białym kombinezonie i białej bejsbolówce, wtaczającej wózki z chlebem do obozowej kuchni.

Lokalna plotka mówiła, że w Sky River podają do kawy najlepszą szarlotkę w mieście. Olivia wiedziała, że musi być ostrożna. Wybór był prosty: albo trzymasz się z dala od szarlotki, albo masz dodatkowe parę centymetrów w biodrach.

Gdy wchodziła do środka, dzwonek nad drzwiami zadzwieczał przenikliwie. Potknęła się na wysokim progu i musiała złapać za klamkę dla zachowania równowagi. Poniewczasie spostrzegła tabliczkę z napisem: „Uwaga - próg”.

Była trochę zakłopotana, lecz zaraz doszła do siebie. Za to w chwilę później o mało nie zemdląca, bo do jej nozdrzy dotarł panujący we wnętrzu zapach. W piekarni unosiły się takie wonie, że niemal nie dało się nie popełnić grzechu łakomstwa. Świeży chleb, cynamonowe bułeczki, domowa szarlotka, delikatne kołaczki, zapiekanki... i jeszcze oszałamiająco bogaty aromat pączków. Olivia wciągnęła przez nos powietrze na całą pojemność płuc. To jest miejsce, pomyślała, do którego chcę trafić, kiedy już umrę.

Miejscem tym była po prostu staromodna rodzinna piekarnia ze szklanymi gablotkami i wielką, mosiężną bryłą kasy sklepowej. Ścianę za ladą zdobiła kolekcja fotografii i pamiątek: tu stary banknot jednodolarowy, tam licencja na prowadzenie interesu, wycinki z gazet z pochlebnymi wzmiankami i rządki czegoś, co wyglądało na zdjęcia rodzinne. Sennie wyglądający, solidnie zbudowany nastolatek za ladą uniósł głowę znad rubryki sportowej w lokalnej gazecie. Miał proste blond włosy, posępną twarz i przyczepiony do ubrania identyfikator z imieniem i nazwiskiem: Zach Alger.

- Czym mogę służyć? - spytał.

- Chciałam coś przekazać w związku z niedawno złożonym zamówieniem specjalnym.

- Momencik. - Skierował się do drzwi prowadzących na zaplecze.

W kilka minut później wyszła zza nich kobieta w wieku około trzydziestki o łagodnej, a zarazem pociągającej urodzie. Ciemne włosy, brązowe oczy, pełne wargi, jakby stale gotowe do uśmiechu. Roztaczała wokół siebie aurę autorytetu.

- Witam - powiedziała. - Czy mogę w czymś pani pomóc?

W jej wyglądzie było coś znajomego. Olivia przyjrzała się uważnie przystojnej kobiecie. Jasna skóra, żywa mimika... Spróbowała dopasować jej twarz do jakiejś sytuacji,

ale niezbyt się jej udawało. Hm. Może ich ścieżki skrzyżowały się w przeszłości na obozowisku?

Ciemnowłosa kobieta uśmiechnęła się uprzejmie. Ma na sobie sporo biżuterii, a to wskazuje, że nie pracuje bezpośrednio przy wypieku ciast, zanotowała w myśli Olivia. Pełne wdzięku złote kolczyki w uszach, srebrny wisiołek, obrączki brak.

- Jestem Jenny Majesky.

- Olivia Bellamy. Miałam przekazać zdjęcie tortu weselnego.

Jenny wyjaśniała.

- Specjalne zamówienie? Tak, ktoś złożył je telefonicznie.

- Moja kuzynka Dare. Mamy nadzieję, że uda się państwu zrekonstruować ten tort na pięćdziesiątą rocznicę ślubu naszych dziadków. - Olivia otworzyła teczkę i wyjęła z niej czarno-białą fotografię z wesela sprzed pół wieku, zrobioną tuż przed podzieleniem kilkupiętrowego tortu, ozdobionego cukrowymi kwiatami i gołębiami. - To zdjęcie moich dziadków z tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego szóstego roku - tłumaczyła. - Brali ślub w obozie Kioga. Jane i Charles Bellamy, może pani ich zna?

Usta Jenny Majesky ułożyły się w niewyraźny uśmiech.

- Tak, dobrze ich sobie przypominam. Jak się miewają?

- Świetnie. I przygotowują się do wielkiego przyjęcia pod koniec sierpnia.

Jenny delikatnie trzymała fotografię.

- Wyglądają jak... gwiazdy filmowe! Tacy młodzi, tacy szczęśliwi... Wie pani, uwielbiam stare ślubne zdjęcia.

- Ma pani nieliczną kolekcję własnych fotografii. - Olivia wskazała ścianę.

- Och, no tak. Moi dziadkowie otworzyli tę piekarnię we wczesnych latach pięćdziesiątych.

Olivia przesunęła szybkie, skanujące spojrzenie po zdjęciach. Szeroko uśmiechnięta kobieta z grubym warkoczem, upiętym w koronę wokół głowy, mężczyzna w kombinezonie roboczym, szczupła dziewczyna i... Stop! Jedno ze zdjęć wydawało się niesamowicie znajome. Przedstawiało roześmianą dziewczynę w stroju obozowiczki z odrzuconą do tyłu głową o lśniących, puszystych włosach. Po chwili przypomniała sobie, gdzie je widziała. To było to samo zdjęcie, które znalazła wśród rzeczy ojca, zrobione w 1977. Tyle że na ścianie wisiała jego połówka. Olivia przeniosła wzrok z fotografii na Jenny Majesky. Duże podobieństwo, pomyślała. Może z wyjątkiem tego niewielkiego i urokliwego dołeczka w podbródku.

Raptem ogarnęło ją poczucie nierzeczywistości. Ta kobieta. Jenny Majesky. Ona... Weź się w garść, Olivio, upomniała samą siebie.

- Pani Bellamy? - odezwała się Jenny, przerywając przeciągające się milczenie.

- Na imię mi Olivia - wyjąkała.

Powoli odzyskiwała panowanie nad sobą, choć wiedziała, że na twarz wypełził jej paskudny, czerwony rumieniec.

- Cały pomysł zorganizowania złotych godów polega na przywróceniu obozowi wyglądu sprzed pięćdziesięciu lat. Dare i ja postanowiłyśmy zamówić również replikę tortu w tym samym miejscu, w którym powstał oryginał. Oczywiście, jeśli to możliwe.

Jenny odwróciła zdjęcie. Na odwrocie ktoś napisał: „Dzieło pani Majesky”.

- To musiała być moja babcia Helen.

- Aha. Czy ona... czy ona już tu nie pracuje? - Nie chciała zapytać wprost: „czy jeszcze żyje”.

W oczach Jenny pojawił się smutek.

- Kilka lat temu, po śmierci dziadka, babcia miała udar.

- Bardzo mi przykro.

- Nie może chodzić, ale myślę, że kiedy zabierzemy się do tego tortu, pokieruje mną i naszym cukiernikiem.

Jenny znów się uśmiechała, a Olivię ponownie zaskoczyło poczucie rodzinnego podobieństwa. *Deja vu!* A może coś jeszcze? Przyłapała się, że wlepia oczy w wisiorek, który ma na szyi Jenny. Stylizowana srebrna rybka. Wyglądała dokładnie jak spinka, którą znalazła razem z fotografią wśród rzeczy ojca.

- To świetnie. - Olivia z całych sił próbowała się opanować. - Dare oszaleje z radości, kiedy usłyszy, że będziemy mieć tort. Zatrzymaj fotografię jako wzór. To odbitka.

- Pokażę ją babci - obiecała Jenny. - Wiesz, kto jeszcze może być świetnym źródłem wiadomości na temat obozu? Ojciec Zacha, Matthew Alger. Przyjeżdżał do Kioga jako dziecko, a potem tu pracował. Mieszka w Avalon od wieków.

- Zajrzę do niego.

- Dzięki, że wpadłaś.

Po tym spotkaniu Olivia poczuła się bardzo nieswojo. Nie wspomniała o niczym Dare. Przez całą drogę powrotną milczała. Gdy dotarły na miejsce, wujek Greg wraz z dziećmi badał teren. Barkis deptał im po piętach.

Greg przypominał trochę Piotrusia Pana, gdy wędrował tak ze swą świtą wokół jeziora, do szopy na łódzie i na przystań. Max wydawał z siebie dzikie okrzyki radości i najwyraźniej cieszył się tym, co go spotkało. Nawet Daisy, która skakała po wystających z wody kamieniach, okazywała ślady entuzjazmu.

- Jak na razie, nieźle - stwierdziła Dare.

- To dopiero pół dnia bez telewizji, komórek i Internetu.

- Jak tu przyjeżdżałam, jakoś nigdy nie tęskniłam za telewizją - zadumała się Dare. - Wiesz, ja myślę, że dzieci to dzieci, a nie dodatek do elektroniki. Posadź je wokół ogniska i

zaczynij opowiadać historie o duchach, już mają gwarantowaną rozrywkę. A jeśli nie podsuniesz im pomysłu na zabawę, to same go wynajdą.

Obladowane paczkami skierowały się w stronę głównego pawilonu.

- Wyczuwam problem - mruknęła Dare, kiedy weszły do sali jadalnej.

Plany Freddy'ego leżały na stołach i wisiały przyczepione do ściany. Przed dużym rysunkiem przedstawiającym fronton jakiegoś budynku stali Connor i Freddy i mierzyli się nienawistnym wzrokiem.

Dare zniżyła głos do szeptu.

- Boże! - szepnęła, chłonąc spojrzeniem całą postać Connora, od jego sięgających ramion włosów po podniszczone robocze buty. - Toż to Conan Barbarzyńca!

- Hej, chłopaki! - zawołała wesoło Olivia, udając, że nie widzi gniewu, który wykrzywił im twarze. - Co jest grane?

- Rzucam to wszystko, to jest grane! - wyrzucił z siebie Freddy, wbijając groźny wzrok w Connora.

Od początku się nie lubili, Olivia podejrzewała, że wie dlaczego. Byli jak dwa agresywne brytany na granicy dzielącej ich terytoria.

- Nie możesz - odparła wprost. - Potrzebujesz tej pracy, a ja potrzebuję ciebie.

- Powiedz to jemu. - Freddy wystawił podbródek w stronę Connora.

- Jego też potrzebuję - dodała cicho. Równie cichym tonem Connor oznajmił:

- Wygląda na to, że on i ja wzajemnie się wykluczamy.

- Dajcie spokój - rozzłościła się Olivia. - Obaj jesteście tu z rozmaitych powodów. I bez was obu nic nie zrobię. No więc o co konkretnie chodzi?

- Już ci mówiłem. Zabieram się stąd. On kompletnie rozwalił moją wizję altany. - Freddy wskazał swoje pokreślone markerem plany. Potem minął ją i wyszedł z budynku.

Dare dotknęła ramienia Olivii.

- Pójdę za nim - powiedziała.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Connor ucieszył się, że choć na chwilę pozbył się tego irytującego gnojka. Tego Freddy'ego z wymuskaną fryzurką i w dzinsach za dwieście dolców.

Olivia nie miała pojęcia, jak niewiele brakowało, by Connor dokonał rearanżacji twarzy jej koleśia. Prawdopodobnie przywykła do współpracy z mięczakami wpadającymi w zły humor, jeśli ktoś krytykował ich „wizje”. Patrząc na szkic altany z poprawkami nanie-sionymi przez Connora grubym, czarnym markerem, Olivia powiedziała.

- Jak widzę, nie podoba ci się projekt Freddy'ego?

- Chybiony od podstaw! Popatrz! Pierwszy większy wiatr po prostu rozwali całość! On jest scenografem, a jak ja coś buduję, to po to, żeby było trwałe!

Olivia stała z palcem przyłożonym do swej pełnej, dolnej wargi i zastanawiała się przez chwilę. Connor uznał ten gest za niepokojący.

- Dobrze. Przyjmuję twój projekt. Nie chcę żadnej katastrofy. Ale ty też spróbuj pójść mi na rękę i postaraj się nie zniechęcać Freddy'ego. Jest tu nieodzowny.

Jak bardzo nieodzowny? Connor ugryzł się w język, aby nie pytać o to głośno. Wydał z siebie jakiś nieokreślony pomruk, który mógł uchodzić za wyraz zgody. Nieważne. A przynajmniej takie powinno być. Oboje poszli razem dokonać inspekcji domków personelu, stojących na skraju posiadłości. Tu jeszcze nie wykonano żadnych prac. W domkach mieszkali pracownicy, bez których obóz nie mógłby działać - pomywacze, ogrodnicy, ochroniarze i sezonowi pracownicy fizyczni. Tu też przez wiele lat mieszkał dozorca - złota rączka, Terry Davis.

Na widok ostatniego w rzędzie bungalowu Connor poczuł się dziwnie. Zwolnił kroku. Nie miał ochoty iść dalej. Nie chciał tu być. To miejsce przywoływało zbyt wiele mrocznych wspomnień, przypominało jego upokorzenia i rozpacz.

Olivia najwyraźniej nie zdawała sobie sprawy z uczuć targających Connorem. Notowała coś na kartce przypiętej do sztywnej podkładki. Potem podeszła do ostatniego budynekczku i szybko pokonała trzy schodki wiodące do drzwi.

- Musimy posprawdzać wszystkie - powiedziała.

- Trzeba zobaczyć, co jest w nich do zrobienia.

Connor pozostał na miejscu, myśląc: nie!

Zawiasy zewnętrznych drzwi zaskrzypiały, kiedy je otwierała. Przy użyciu uniwersalnego klucza otworzyła właściwe drzwi i weszła do środka.

- Ale zaduch - mruknęła i odwróciła się do Connora. - Hej! Chodź wreszcie!

Connor skulił się w sobie. Boże! Czyżby nie pamiętała, że właśnie tu mieszkał jego ojciec?

Najwyraźniej nie. Zmusił się do ruchu, wszedł na schodki, przekroczył przestrzeń oddzielającą je od drzwi i przecisnął się obok Olivii do zatechłego wnętrza bungalowu. Przeszłość natychmiast dała o sobie znać. W jego wyobraźni całymi seriami wybuchały koszmarnie widoki. Tam stała lodówka. Rzadko można było w niej cokolwiek znaleźć, oprócz paczki mortadeli i piwa oczywiście. Połamana sofa zniknęła, ale pozostał po niej wyraźny ślad: bledszy prostokąt na powierzchni pokrywającego podłogę linoleum. Wbrew woli Connor przypomniał sobie ojca leżącego na szarej narzucie, bez kontaktu ze światem, z co najmniej tuzinem puszek piwa pod ręką, ustawionych rzędem na podłodze.

- Co się z tobą dzieje? - spytała Olivia niewinnym tonem, który uraził Connora swoją sztucznością. - Jesteś dzisiaj jakiś zakrecony.

- A jak twoim zdaniem powinienem się, do cholery, czuć?

Odstąpiła o krok, zaskoczona jego wybuchem.

- Jak kierownik robót budowlanych, tak mi się przynajmniej...

Jej reakcja otrzeźwiła Connora. No tak. Wmówił sobie, że ona pamięta, kto zajmował ten akurat bungalow. Oczekiwał od niej wrażliwości i wycucia tego, co czuje on.

Chciejstwo. Może jednak trzeba by jej to uświadomić?

Z drugiej strony... może ona dokładnie wie, co robi? Może urządziła tę małą wycieczkę w przeszłość celowo, żeby mu przypomnieć o paru sprawach? Powiedzieć: patrz, to właśnie ty! To dlatego odeszłam od ciebie bez oglądania się wstecz! Stop.

- Masz rację - powiedział. - To właśnie ja. Niezłomny kierownik robót budowlanych. Może być?

Spojrzała na niego z dezaprobatą.

- Słuchaj Jeśli chcesz, żebym pogadała z Freddym, to w porządku, ale...

Zaśmiał się gorzko, przeczesując ręką włosy.

- W porządku. Możesz sobie z nim pogadać.

Wydawała się jeszcze bardziej zmieszana niż przedtem. Odwróciła się na pięcie i weszła do kuchni, całkiem pustej, jeśli nie liczyć przyczepionego do ściany starego kalendarza. Druk na nim tak spłóciał, że nie można było już go odczytać. Ale nawet z daleka wśród niewyraźnych cyferek Connor rozpoznawał drżące pismo swego ojca. Aż do końca swych przepitych dni Terry Davis rozpaczliwie próbował funkcjonować normalnie. Nie był złym facetem ani nawet złym pijakiem. Nigdy nie podniósł ręki ani głosu na Connora. Gdyby tak robił, Connorowi, paradoksalnie, byłoby łatwiej to znieść. Mógłby go znienawidzić i nigdy już nie marzyć, by ojciec wreszcie wytrzeźwiał. Może jednak tamtej nocy dziewięć lat temu powinien odejść, zamiast poświęcać samego siebie w obronie ojca?

Olivia badała pokój, otwierała szafki tu i tam. W końcu dotarło do niej, dokąd trafiła. Connor mógłby przysiąc, że dostrzegł chwilę, w której spostrzegła, że dwa dodać dwa równa

się cztery. Jakieś słowa napisane na pożółkłej kartce kalendarza naprowadziły ją wreszcie na właściwy trop. Odwróciła się do Connora i odłożyła podkładkę z notatkami na kuchenny stół.

- O Boże... Nie miałam pojęcia... Dlaczego mi nie powiedziałeś?

- O czym? - odpowiedział pytaniem na pytanie. O tym, że tu spędził najgorsze, najboleśniejże chwile młodości? Że jego bezradny, załamany ojciec wciąż nawiedzał to miejsce niczym upiór?

- Tak... tak mi przykro. - Przeszła przez pokój i ujęła w obie ręce dłoń Connora. - Naprawdę nawet nie przyszło mi do głowy, że to domek twojego ojca, przysięgam. - Jej dotyk był dziwnie wymowny i... czuły.

Nie spodziewał się tego. Współczucie. Może nawet zrozumienie. Zdał sobie sprawę, że nie mogła wiedzieć, ile bólu przysparzało mu to, że trzyma się z dala od ojca. Że podobnie jak wszyscy inni dobrzy synowie alkoholików starał się dochowywać rodzinnego sekretu.

Spojrzał w dół na trzy złączone dłonie, dwie delikatne i jedną szorstką. Potem uniósł wzrok na Olivię. W niczym nie przypominała zabawnej, mądrej i niezdarnej Lolly, którą znał i w której się zakochał. Zamiast niej stała przed nim zimnooka, piękna nieznajoma, zrównoważona i odnosząca sukcesy. Jednak od chwili, kiedy zrozumiała, co się z nim teraz dzieje, zdolna do współczucia.

- Connor... wybacz mi - szepnęła. - Bardzo cię proszę.

Ostrożnie, tak żeby przypadkiem nie stracić kontaktu wzrokowego z jej twarzą, wyjął swą dłoń spomiędzy jej rąk. W tym samym momencie jego gniew znikł. Jakby jedno spojrzenie w jej oczy przyniosło mu natychmiastową ulgę. Wciąż była jedyną osobą, która miała na niego taki wpływ.

- Nie mam ci czego wybaczać, Lolly. Westchnęła.

- Naprawdę? Nie rzucisz teraz pracy?

- E, tam. To specjalność twojego kumpla Freddy'ego.

- To tylko dlatego, że jest bardzo zaangażowany w ten projekt. Ja... on jest mi potrzebny. Przyjechał tu ze mną zaraz po... po moich ciężkich przejściach i... Potrzebuję go.

Connor nie wiedział, co to ma znaczyć. Ciężkie przejścia? Oczekiwał dalszych wyjaśnień, ale nie nastąpiły.

- Zrobię, co się tylko da - zapewnił ją. - I spróbuję być miły dla twojego chłopaka.

- Freddy nie jest moim chłopakiem.

- Znaczy, że on jest... no, wiesz? Zaśmiała się, kręcąc głową.

- Nic się nie zmieniłeś.

- A ty owszem.

- Nie za bardzo - i znów oszczędzając Connorowi szczegółów, odwróciła się, zabrała podkładkę i wyszła.

Patrząc na zamykające się drzwi, Connor miał wrażenie, że powiedział coś niewłaściwego. Zabawne. No dobra. Ta cała rearanżacja z pewnością pójdzie gładko, jeśli wszyscy tutaj powstrzymają się od osobistych wycieczek.

Nie da rady, odkrył wkrótce potem. Każdego dnia byli skazani na swoje towarzystwo i oboje zaczęli rozumieć, że próby bezosobowego traktowania się muszą spełznąć na niczym. Nie można było ani się odizolować, ani zignorować wspólnej przeszłości.

Olivia i Connor byli teraz dowódcami na polu bitewnym. Ciężył na nich obowiązek rozdzielania zadań między wszystkich pozostałych. Każdy miał jakieś zajęcie, nawet Max. On i jego siostra mieli doprowadzić do porządku wielką łódź pontonową z krytym pokładem, by można jej było użyć jako promu przewożącego gości na trasie: brzeg jeziora - wyspa, i z powrotem.

Connor starał się wszystkiego pilnie słuchać, robił notatki, ale rozpraszała go obecność Olivii. Ta opanowana, wystrzałowa blondyna była dla niego kimś obcym i upiornie znajomym jednocześnie. Pachniała jak świeże kwiaty, a on bardzo chciał zanurzyć twarz w jej lśniących włosach. No, padnij wreszcie, bohaterze, upomniał się w myślach. Miał koncentrować się na dyskusjach dotyczących altany, głównego pawilonu, reszty budynków i związanych z nimi kwestii technicznych. Musiał przyznać, że przez większość czasu praca w towarzystwie Olivii sprawiała mu - na swój sposób - niepokojącą, ale jednak przyjemność. Czasem zauważał, że ona też mu się przygląda, jakby i on jakoś ją fascynował. Tak jak w tej chwili. Olivia zagubiona w myślach z rękami opartymi na stole wpatrywała się w Connora.

- Co jest? - zapytał.

- O czym to mówiliśmy? Jakoś mi umknęło...

Uwielbiał słyszeć od niej takie słowa. Przypominały mu dawną, wygadaną i niezgrabną Lolly.

- No to pomówmy o czymś innym - zasugerował. Przez chwilę milczała, mierząc go wzrokiem. Po chwili przygryzła dolną wargę i odwróciła spojrzenie.

- Znasz może Jenny Majesky z piekarni? - zapytała.

- Wiem, kto to. Dlaczego pytasz? - Daremnie próbował wyczytać coś z jej twarzy.

- Spotkałam ją parę dni temu. Ona... to znaczy... Czy wiesz coś więcej o niej albo o jej rodzinie?

- Jej dziadkowie od zawsze prowadzili piekarnię w mieście. Kilka lat temu Sky River poszerzyło swą sferę wpływów o Kingston. Myślę, że Jenny wzięła w tym czynny udział i jestem pewien, że gdybyś ją zapytała, opowiedziałaby ci sporo na ten temat.

Olivia podniosła się i naalała sobie kolejną szklankę herbaty.

- Przepraszam. Myślisz pewnie, że jestem okropnie wścibska.

- Tylko wścibska - odrzekł z szerokim uśmiechem.

- Zaskoczyło mnie, że nie znasz jej lepiej.

- Dlaczego aż zaskoczyło?

Jej policzki poczerwieniały i przez chwilę wyglądała, jakby znów była dzieckiem.

- To nieduża miejscowość. Myślałam, że może poznałeś Jenny bliżej.

- E, tam.

Nie miał zamiaru mówić jej nic więcej.

- Pamiętam, że aż się rwałeś, żeby poznawać świat. Mówiłeś, że nie masz zamiaru spędzać dwóch nocy w jednym miejscu. Wyszło ci coś z tych planów?

- Coś niecoś - odparł. - To dobre tylko na jakiś czas.

Usiadła na wprost niego.

- Naprawdę? I dokąd trafiłeś?

Zamilkł, patrząc na nią. Cholera, to przecież nie jest żadna tajemnica. Ale czuł, że ma już dość tych pytań.

Olivia zrozumiała, że nie dowie się już zbyt wiele.

- Ciągłe masz kolczyk w uchu. Dotknął srebrnego kółeczka.

- Uhum.

Chryste, przecież ona powinna wiedzieć dlaczego! Nie wie?

- Dałaś swojemu psu na imię Barkis - mruknął.

Splotła ramiona. Gest obronny? Jednak przybierając tę postawę, tylko uwydatniła swe niewiarygodnie kobiece krągłości.

- To świetne imię dla psa.

- Taaa. Pewnie. - Uśmiechnął się paskudnie, bo podejrzewał, że zrobiła to z tych samych przeklętych powodów, dla których on nie pozbył się kolczyka.

To była część przeszłości - ich wspólnej przeszłości. Na razie bezpieczniej będzie zmienić temat. Wszedł na estradę, z której kiedyś rozbrzmiewała grana na żywo muzyka. Teraz stał tu tylko fortepian, przykryty grubym winylowym pokrowcem.

Connor zdjął go z instrumentu.

- Jest szansa, że to jeszcze zagra?

- Sprowadzę stroiciela najszybciej, jak się da. Im prędzej, tym lepiej.

Uniósł wieko fortepianu. Wyskoczyła spod niego mysz. A przynajmniej tak mu się wydawało. Coś smyrgnęło tak szybko, że nie miał pewności. Oczekiwał, że Olivia zareaguje jak większość kobiet, czyli że zacznie krzyczeć zupełnie jak na widok uzbrojonego zabójcy, nie małego gryzonia. Ona jednak zamiast się drzeć, po prostu otworzyła jedne ze szklanych drzwi i spanikowana mysz uciekła na dwór.

Olivia odwróciła się do Connora.

- Boże... Czy ja przypadkiem nie zwariowałam, wierząc, że to wszystko uda się zrobić do końca lata?

- Spokojnie. Damy radę.

Weszła na estradę i zatrzymała się na jej przeciwległym krańcu. Dzięki temu Connor miał niepowtarzalną okazję, by dłużej przyjrzeć się pośladkom Olivii. Czy to kołysanie biodrami było u niej naturalne, czy robiła to specjalnie dla niego? Tego nie potrafił ustalić, ale odczuwał w pełni skuteczność takich działań. No i było coś jeszcze: popołudniowe światło wpadające przez okna otaczało drżącą aureolą jej sylwetkę i wydawało się, że cała Olivia promieniuje miękkim, złocistym blaskiem. Wyglądała jak niezemskie zjawisko, mimo dzinsów z podwiniętymi do połowy łydek nogawkami, różowej bluzki bez rękawów i białych tenisówek. Connor poczuł dojmującą chęć, by dotknąć jej ciała. Naprawdę dotknąć, a nie tylko przypadkowo się otrzeć czy przecisnąć obok niej jak jakiś frajer z powieści Edith Wharton.

- ...zawsze wybierali mnie na samym końcu - usłyszał i zorientował się, że umknęła mu pierwsza część jej wypowiedzi.

- Przepraszam, co takiego? - udał, że z niezwykle zainteresowaniem ogląda drewniane części wystroju wnętrza.

- Nieważne. Po prostu przeżywam ponownie bólączki dojrzewania, nic wielkiego. - Zaśmiała się na widok jego miny. - Żartuję. Myślałam na głos o moich nie całkiem słodkich wspomnieniach z tutejszych lekcji tańca.

- Mnie tam się podobały. Pociągnęła nosem.

- No tak.

- To była nielicha rozrywka.

- Nie zaskoczyłeś mnie. Zawsze wygrywałeś w tutejszych konkursach, ty zwierzaku estradowy.

- Po co w ogóle startować, jeśli nie chce się wygrywać?

Patrzyła na niego przez chwilę wzrokiem zamglonym od wspomnień.

- Powiedz, ciągle jeszcze śpiewasz?

- Cały czas.

- To może byś zaśpiewał na złotym weselu moich dziadków? - Rozpromieniła się.

Chciał jej powiedzieć, że ani go na tę uroczystość nie zaproszono, ani też nie życzył sobie być zaproszony.

- A ty? Grasz jeszcze na fortepianie? - zapytał zamiast tego.

- Prawie nigdy.

Był zaskoczony. Jak to możliwe? Bo on potrzebował muzyki przez całe dotychczasowe życie. Musiał śpiewać, tak jak musiał oddychać. Żeby przeżyć. Najwidoczniej panna Olivia Bellamy osiągnęła poczucie wewnętrznej równowagi i nie musiała wypełniać swej osobistej pustki dźwiękiem muzyki.

- Tym mnie zaskoczyłaś. - Pokręcił głową. - Przecież kiedyś byłaś zafascynowana muzyką.

- To była jedna z niewielu rzeczy, jaką potrafiłam robić lepiej od reszty dzieciaków. -
Olivia oparła się o fortepian, a w powietrze wzniósł się mały obłoczek kurzu. - A teraz już nie muszę sobie niczego udowadniać.

- Może nigdy nie musiałaś.

- Łatwo ci powiedzieć. Ty zawsze zajmowałaś pierwsze miejsce we wszystkim.
Czwórbój, konkursy talentów... Zawsze byłeś rekordzistą.

- Tylko zawodnikiem - sprostował. - I nie pamiętam, żeby było tak, jak mówisz.

- Że ciągle wygrywałaś? - Uśmiechnęła się i potrząsnęła głową. - Może po paru razach znudziło ci się pamiętanie o takich rzeczach?

- Gadanie...

- Dziewczyny z mojego domku przez pół nocy nie mogły zasnąć, bo każda kombinowała, jak by tu zostać twoją partnerką w konkursie tańca.

Zaśmiał się.

- Nie żartuj!

- Aha! A pamiętasz Ginę Palumbo?

- Eee tam - zbył ją.

Ale owszem, pamiętał Ginę. W końcu to z nią stracił resztki niewinności na trzecim i ostatnim obozie w swojej kiogańskiej karierze. Fakt, była seksowna, potrafiła dziko podniecać i wywoływać dreszczyk, ale...

- Gina opowiadała wszystkim, że obiecałeś każdy taniec w lecie właśnie jej.

Przypuszczalnie tak było.

- No i co z tego?

- Ja zawsze musiałam tańczyć z inną dziewczyną albo jakimś drużynowym, któremu zrobiło się mnie żal.

Connor spojrział na nią, skąpaną w blasku popołudniowego słońca, na jej miękkie włosy i zawstydzony uśmiech. Znalazł w kieszeni odtwarzacz empetrójek, przeszukał pamięć i znalazł „Lying Awake”, starą piosenkę z lat sześćdziesiątych, śpiewaną z nieodpartym wdziękiem przez Ninę Simone.

- Dobra, przepraszam cię za to wszystko - powiedział. - Zatańcz ze mną, proszę.

- Nie mówiłam tego po to, żebyś...

- Nieważne - odrzekł, biorąc ją w ramiona.

Od lekcji tańca minęło sporo czasu, ale wytrenowane wówczas odruchy nadal działały. Olivia doskonale łapała rytm jego kroków, choć Connor wyczuwał w niej pewną sztywność. Opierała mu się.

- Hej! - powiedziała.

- O co teraz chodzi?

- Ja nie cierpiałam tych... popisów tanecznych. Każdego roku błagałam dziadków, żeby pozwolili mi nie brać w nich udziału.

- To w końcu nie było takie złe. - Uśmiechnął się.

- Może dla ciebie, bo dla mnie to była droga przez mękę. Ciągle mam ciarki na plecach na myśl o wyborze partnerów. Mówię ci, to była tortura, czysta tortura...

- Wiesz co? Jak na takiego nieszczęśliwego dzieciaka nieźle ci się udało... Wyrosłaś na normalną, dobrze przystosowaną dziewczynę.

- Dzięki.

- Nie mówię już o tym, że niezła z ciebie laska.

- Dobra, to nie mów już o tym. Bo widzisz... jest jeszcze tyle do zrobienia, że raczej nie powinniśmy...

- Przestań wreszcie kłapać i zacznij tańczyć, Lolly, a ja pokażę ci, dlaczego zawsze wygrywałem - uciał.

Oprócz klasycznego chwycenia partnerki dysponował jeszcze pewnym zapasem ukrytych sztuczek. Kontakt wzrokowy. Spojrzenie mówiące: „Szkoda, że oboje nie jesteśmy nadzy”. Opanowanie tańca wymagało również poznania tajników sztuki udawania. Ale teraz nie musiał niczego udawać. Patrzył w oczy Olivii z pełną szczerością i autentycznie pragnął, by i ona, i on byli nadzy.

Czuł, jak drży w jego objęciach. To akurat było dobre, bo dzięki temu nie zauważyła, że on również drżał. Poczuł jej gorącą, miękką bliskość, chłonał zapach jej skóry i wiedział już, że między nimi mocno zaiskrzyło. Choć Simone śpiewała powolną piosenkę, Olivia oddychała w przyspieszonym rytmie i od czasu do czasu wciągała ustami głębokie hausty powietrza. Jej półotwarte wargi znajdowały się dziesięć centymetrów od twarzy Connora.

Chciał ją pocałować czule i mocno. Zanim dotknął ustami jej ust, spojrzał na nią ukradkiem i zrobiło mu się gorąco. Dostrzegł na jej twarzy taki wyraz, jakby już do tego doszło: zamknięte oczy, osobliwe wygładzenie rysów... bliskość...

- ...o rany... Lolly...

Nagle trzasnęły drzwi i do wnętrza wpadł Freddy.

- Jak tam robota, dziewczęta i chłopcy? - spytał wesoło.

Olivia i Connor odskoczyli od siebie. Na jej twarzy pojawił się ciemny rumieniec. Connor wyszczerzył zęby do Freddy'ego.

- Ano, jakoś leci, ale teraz muszę już iść. Wyszedł na dziedziniec, gdzie zaparkował harleya.

Ku swemu zaskoczeniu odkrył, że Olivia idzie za nim. Zaczął zakładać swoje skóry, ale co chwila spoglądał na nią.

- Co? - spytała.

- Nic nie powiedziałem.

- Ale się gapiłeś.
- I nadal to robię. - Uśmiechnął się półgębkiem.
- Wolałabym, żebyś przestał.

Zatrzymał wzrok na jej twarzy. Kiedy się rumieniła, wydawała się młodsza, bezbronna i bardziej podobna do dziewczyny, którą była kiedyś.

- Myślałaś czasem o nas, Lolly? - zapytał. - O tym, jacy kiedyś byliśmy?

Skóra na jej policzkach przybrała jeszcze głębszy odcień czerwieni.

- Nie - odparła stanowczo. - Nie więcej niż o innych rzeczach, które działy się dziewięć lat temu.

Oczywiście. Chciała mu przypomnieć, że od tamtej pory są dla siebie obcy.

Niespiesznym ruchem zaciągnął suwak skórzanej kurtki.

- Lepiej będzie, jeśli przygotuję się na jakieś nieoczekiwane towarzystwo.
- Nigdy nie wyobrażałam sobie ciebie jako błędnego rycerza szos - odrzekła.

- Założę się, że odwrotnie - zareplikował i pozwolił, by jej odpowiedź utonęła w warkocie silnika.



OBÓZ KIOGA - LETNIE WIECZORY NA WODZIE

Jedną z najtroskliwiej pielęgnowanych tradycji Obozu Kioga jest cotygodniowe wieczorne żeglowanie na wodach Wierzbowego Jeziora. Nie ma lepszego sposobu na poznanie uroków zachodu słońca w górach Catskills. Obozowicze obowiązani są do zbiórki na pomoście punktualnie o 19.30.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Lato 1993

Dla Connora Davisa był to trzeci obóz. I ostatni, Connor dobrze o tym wiedział. Za rok skończy podstawówkę. W przyszłym roku - matka i Mel ciągle mu to powtarzali - na czas wakacji będzie musiał poszukać sobie pracy.

Po drugie, nie miał zielonego pojęcia, co począć z ojcem. Każdego lata widział, jak Terry Davis zatacza się i potyka przez całe dni, jak wyśmiewa się z niego cały obóz... i z tego powodu Connor wściekał się na cały świat.

Konieczność mieszkania z matką i Melem też była wkurzająca, ale ojciec... Ojciec to zupełnie inna sprawa. Smutna i chora. Bo Connor kochał ojca. Terry Davis był dobrym człowiekiem z niedobrymi problemami, a jego syn nie wiedział, jak można to naprawić.

Co za gówno, pomyślał. To moje ostatnie lato w Kioga. Powiniennem wykorzystać je na maksa. Ułożył już listę rzeczy, jakie chce zrobić. Wygrać w czwórboju. Powspinać się na skałki koło Shawangunks. Wziąć udział w biwaku przetrwania, który polegał na spędzeniu dwóch dób w dziczy bez niczego prócz kompasu. Być może wyzwać Tarika na pojedynek szachowy. Przekłuć sobie ucho tylko po to, żeby podrażnić ojczyrna. Pocałować dziewczynę i sprawdzić, co ona na to. A jeśli się uda, to i pobić miejscowy rekord w grze w baseball.

Taaak, chciał tego wszystkiego. I czegoś jeszcze. Gdy na jesieni znów zacznie się szkoła i znów trzeba będzie pisać wypracowanie na temat: „Jak spędziłem wakacje”, Connor zamierzał opisać swoje wakacje tak, żeby nauczyciel był przekonany, że wszystko, co czyta, jest czystym zmyśleniem.

Po drodze do stołówki napotkał pana Bellamy'ego, kierownika i właściciela obozu. Był to starszy już mężczyzna o spokojnej, jakby wykutej z kamienia twarzy i głosie Laurence'a Oliviera ze starych, czarno-białych filmów.

- Dzień dobry panu - powiedział Connor, wyprężając się i unosząc rękę w geście pozdrowienia. - Jestem Connor Davis.

- Oczywiście, Davis. Doskonale cię sobie przypominam. Jak się miewasz, synku?

- Świetnie, sir!

A co niby, do cholery, miał mu odpowiedzieć? Że jego życie to gówno, że tęskni codziennie za swoim braciszkiem, że nienawidzi ojczyma i gnieźdzenia się w przyczepie kempingowej w zasranym Buffalo? Jego matka, która przez całe dzieciństwo marzyła o karierze aktorki, uważała Connora za niezłego udawacza. Teraz przypomniał to sobie i ozdobił swą twarz przylepionym uśmiechem.

- Cieszę się, że znowu tu jestem, sir. Bardzo dziękuję pani Bellamy i panu, że znowu pozwolili mi państwo tu przyjechać.

- Pleciesz, synku. Jane i ja uważamy za przywilej możliwość goszczenia tu właśnie ciebie.

Taa, itepe, itede, pomyślał Connor.

- Tak czy inaczej jestem szczerze wdzięczny - zakończył.

Bardzo chciałby móc jakoś okazać to Bellamym. Nie mógł jednak wymyślić żadnego odpowiedniego sposobu. Ci ludzie mieli wszystko. Kupę pieniędzy. Obóz, to niesamowite miejsce w dziczy, gdzie można było stanąć na szczycie góry i dotknąć gwiazd. Mieli też siebie nawzajem i całe stado wnuków, z których każdy miał bzika na punkcie dziadków. Mieli doskonale urządzone, słodkie życie. Na świecie nie było niczego, co mógłby zaoferować im Connor Davis.

Kolacja w pierwszy wieczór obozu zawsze przypominała ucztę. Te wakacje nie stanowiły wyjątku. Connor usiadł przy długim stole ze swymi współlokatorami - hałaśliwą bandą chłopaków o różnych rozmiarach i kształtach. Pochłaniali oni olbrzymie ilości czegoś, co nosiło nazwę wołowiny à la Wellington i popijali to pełnymi kubkami mleka. Nawet te dzieciaki, które zazwyczaj nie przepadały za jarzynami, na obozie zajadały się gotowanymi brokułami i sałatą. Na deser podano sławne jagodzianki z piekarni Sky River.

- E, widziałeś tę cizię, która przywozi tu chleb? - spytał Alex Dunbar, który spał na piętrowym łóżku nad Connorem.

Connor potrząsnął głową. Z jego punktu widzenia niemal każdy człowiek obdarzony żeńskim chromosomem zasługiwał na miano „cizi”.

- Wygląda zupełnie jak Winona Ryder. - Dunbar sięgnął po wielką miskę z z puree ziemniaczanym.

- Nazywa się Jenny Majesky i niedługo kończy szkołę. Tyle wiem, a teraz spróbuję się dowiedzieć, jak by tu ją zaciągnąć do...

- Hej, Dunbar! - Ich drużynowy, Rourke McKnight, postawił stopę na ławie pomiędzy Dunbarem i Connorem. - Dobra rada.

- Tak? Niby jaka?

Dunbar zgrywał twardziela, ale Connor wiedział, że McKnight wywołuje w nim poczucie lęku. Tak jak w każdym mieszkańcu Niagary. Choć niedawno ukończył wyższą szkołę, McKnight miał w sobie coś twardego, coś, co można by porównać do ukrytego

ostrza. Potrafił czasem przestraszyć samym jego błyskiem. Żaden chłopak w chatce Niagara nie chciał nastąpić mu na odcisk.

- Nie kończ tego zdania - powiedział McKnight.

- Nigdy. Nieważne, czy myślisz w ten sposób o pannie Majesky, czy jakiegokolwiek innej osobie płci przeciwnej. Rozumiemy się?

- Jasne - odrzekł Dunbar, czerwieniąc się po uszy.

- Rozumiemy się.

- To dobrze.

Gdy drużynowy się oddalił, Dunbar prychnął.

- Pewnie on sam ją dyma.

- Uważaj, bo usłyszysz - rzucił Cramer, siedzący naprzeciwko nich - i wydyma ciebie, a wtedy będzie niemiło.

Bezmyślne pogaduszki i żarty znów wypełniły przestrzeń, ale Connor ich nie słuchał. Znów odezwał się jego szósty zmysł, który pojawiał się tylko wtedy, kiedy jego ojciec był gdzieś w pobliżu. Poczul drobne ukłucia na skórze głowy i charakterystyczny chłód. Jakby zanurzał się w mroczny cień. A potem rozległ się brzęk.

Brzęk tłuczonego szkła.

Bez słowa przeprosin zerwał się na równe nogi, rzucił serwetkę na stół i popędził do drzwi. Oczywiście, tuż za drzwiami, w holu, spotkał ojca. Stał i patrzył oszołomiony na szklany klosz, niegdyś wiszący pod sufitem. Teraz jego szczątki leżały na podłodze obok składanej drabiny.

- Tato, wszystko w porządku? - wyrzucił z siebie Connor, łapiąc ojca za rękaw.

- A, to tylko trochę krwi - odrzekł Terry Davis. Chwiał się lekko w miejscu i patrzył na wierzch swej dłoni. - Chciałem wymienić tę nieszczęsną żarówkę.

Serce Connora zamarło. A właściciel tego serca pomyślał o sobie: idiota. Co roku miał nadzieję, że to się nie przydarzy, i co roku przekonywał się, czyją matką jest nadzieja. Wokół ojca unosił się zapach pracującego browaru, ale - i to było najgorsze - Terry Davis próbował udawać, że wszystko jest w porządku.

Brzęk tłuczonego szkła zwabił ciekawskich, co było nieuniknione. Większość z nich nie wiedziała o pokrewieństwie łączącym Connora i Terry'ego Davisów. Ojciec wciąż mu powtarzał, aby nie ujawniał tego faktu, ale takie udawanie przychodziło Connorowi z coraz większą, makabrycznie wielką trudnością.

- Wiecie, ilu anonimowych alkoholików potrzeba, żeby zmienić żarówkę? - zarechotał jakiś dzieciak. - Dwóch! Jeden polewa martini, drugi czyta mu instrukcję w dwunastu krokach! Hihihih!

Connor skrzywił się wewnątrz, ale nie dał tego po sobie poznać. Zmierzył smarkacza morderczym spojrzeniem. Wiedział, że jest mordercze, bo spędził kilka lat na ćwiczeniu takiego wyrazu twarzy. Często był to dla Connora jedyny sposób obrony.

- Cofnąć się, wszyscy - rzucił.

- A bo co? - postawił mu się dowcipniś.

- Masz jakiś problem? - podchwycił jego kolega.

- Na miejsca. Wracajcie do jadalni! - Rozkaz padł z ust Rourke'a McKnighta, który pojawił się w drzwiach, wyprostowany na całą swoją wysokość metra osiemdziesięciu z okładem. Jego obecność sprawiła, że nieproszeni widzowie rozproszyli się natychmiast. - Ja to sprzątnę.

- Chwileczkę - zaprotestował Terry Davis. - Muszę wymienić tę żarówkę. Muszę...

- Ależ panie Davis, pan się naprawdę paskudnie zranił. Proszę iść ze mną do gabinetu pielęgniarki i tam to opatrzymy - powiedziała Lolly Bellamy, która nie wiadomo skąd zmaterializowała się w holu.

Do tej pory Connor zdążył zamienić z Lolly zaledwie krótkie „cześć”. Wprawdzie była ostatnią osobą, z którą miałby ochotę się przyjaźnić, ale ucieszył się na jej widok. Po paru spędzonych w Kioga wakacjach stali się czymś w rodzaju kumpli. Lubił ją, bo była zabawna, niegłupia i miła. Bo była osobą, która wzięła jego ojca pod ramię i spokojnie wyprowadziła z holu, a w drodze do infirmerii cały czas z nim rozmawiała. I zapobiegła katastrofie.

Poruszony jej zachowaniem i nazbyt wdzięczny, by wyrazić to słowami, Connor podążył za Lolly i ojcem do budynku, gdzie mieścił się dobrze wyposażony gabinet lekarski, a w nim leżanki, nakryte sztywnymi, białymi prześcieradłami. Lolly energicznie odkręciła kran nad umywalką.

- Proszę włożyć tu rękę, panie Davis. Musimy się upewnić, czy w ranie nie został żaden kawałek szkła.

- Eee - burknął Terry. - Przesada.

Connor wiedział, że ojciec zionie na Lolly odorem piwa, ale ona nawet się nie skrzywiła. Oczyszczyła ranę, spryskała ją odkażaczem w aerozolu i założyła Davisowi jałowy opatrunek.

- Piękne dzięki. Z ciebie to regularna Florence Nightingale... - wymamrotał.

Lolly uśmiechnęła się.

- Tak, to cała ja.

Gdy odkładała do szafek niepotrzebny już sprzęt, Connor odezwał się do ojca:

- Tato, słuchaj... dlaczego nie pójdziesz do domu? Może ci pomóc?

- Kurczę, nie. - Terry spojrział na niego ponuro. - Po tylu latach pamiętam, jak tam dotrzeć.

„Domem” Terry’ego Davisa była dozorcówka stojąca na skraju obozu. Mieszkał tam przez okrągły rok. Obowiązki dozorczy wymagały, żeby przebywać tu przez cały czas. Nie musiał dojeżdżać na miejsce, więc Connorowi odpadła przynajmniej jedna ciężka troska. Jego ojciec miał już jeden wyrok - w zawieszeniu - za jazdę w stanie nietrzeźwym. Po następnym wylądowałby za kratkami.

- Może iść z tobą? - zaproponował Connor.

- Nie, kurczę, nie - powtórzył Terry.

Wyglądał teraz jak zbesztane dziecko. Podniósł się i ciężkim krokiem wyszedł z gabinetu, trzaskając drzwiami.

Connor nawet nie drgnął. Lolly również. Nie patrzył na nią, ale czuł, że jest blisko i że - czeka. Słyszał jej cichy oddech. Poczł nagle, że to dla niego za wiele: jej uprzejmość, całkowity spokój, z jakim potraktowała sytuację, niechęć do robienia szumu wokół tej przykrej sprawy, która kładła się cieniem na jego, Connora, życiu. Poczł w gardle zapowiedź upokarzających łez. Wiedział, że nie da rady ich uniknąć.

- Muszę już iść - wymamrotał, łapiąc za klamkę.

- Okej - odpowiedziała po prostu.

W tym jednym słówku zawierał się cały wszechświat niewypowiedzianych znaczeń. Connor był pewien, że ona doskonale zdaje sobie z tego sprawę. W końcu to była Lolly. Koleżanka z wakacji, która rozumiała go lepiej niż wszyscy, których spotkał dotąd w życiu, może nawet lepiej niż on sam. Na tę myśl puścił klamkę. Pohamował emocje. Nauczył się tego podczas czterech lat spędzonych w towarzystwie Mela. Nigdy nie okazywać uczuć, bo zawsze jakiś dupek sprawi, że będziesz tego żałować.

Nienawidzę tego, pomyślał. Nienawidzę, kiedy mój ojciec pije.

- Wiesz, jak się teraz czuję? - niespodziewanie dla samego siebie zapytał Lolly.

- Jakbyś uderzał głową o mur?

Nie mógł powstrzymać ponurego uśmiechu. Boże, ona rzeczywiście zna go na wylot. Potem zaczął mówić. Mówił rzeczy, jakich do tej pory nie ośmielił się wypowiedzieć w czyjejkolwiek obecności. Słowa popłynęły strumieniem, zanim zdążył się zorientować, co robi.

- Chciałbym, żeby ten drań wreszcie przestał. Chciałbym, żeby wytrzeźwiał i znowu był sobą. Gdyby to zrobił, wisiałoby mi to, jak spędzi resztę życia. Niechby sobie zasował w kierki albo robił domki dla ptaków po całych dniach... tylko żeby wreszcie przestał pić!

- Może w końcu przestanie - odrzekła Lolly wcale nie zaniepokojona tym, co usłyszała.

- Moja babcia Lightsey, mama mojej mamy, jest alkoholiczką, ale teraz nie pije i chodzi na takie specjalne spotkania w kościele. Mama próbuje to ukryć za wszelką cenę i robi z tego wielką rodzinną tajemnicę, ale nie rozumiem dlaczego. Ja tam jestem dumna, że babcia próbuje sobie poradzić.

Connor nie potrafił stwierdzić, czy cieszy go, czy nie, że mu to ujawniła. Z jednej strony te słowa podtrzymywały w nim nadzieję, że ojciec może się jeszcze zmienić. Z drugiej, wizja ojca, który przestaje pić i dołącza do jakiejś grupy AA, wydawała się tak nieprawdopodobna, że Connor poczuł się głupio, że w ogóle zaczął wyobrażać sobie coś takiego.

- Nie rozumiem, dlaczego twoi dziadkowie pozwalają mu jeszcze tu pracować - mruknął przez zaciśnięte zęby. - On najwyraźniej sobie z tym nie radzi.

Lolly zsunęła okulary z nosa i zmarszczyła brwi.

- Nigdy ci nic nie mówił?

- O czym?

- Boże... Connor, on musi ci o tym opowiedzieć. Albo mój dziadek... Bo widzisz, mój dziadek walczył razem z twoim dziadkiem na wojnie w Korei. Twój dziadek uratował mojemu życie.

Connor nigdy nie poznał ojca swojego ojca, Edwarda Davisa.

- No, wiem, że zginął w Korei, kiedy mój tato był jeszcze mały, ale to wszystko.

- Powinieneś popytać mojego dziadka! To niesamowita historia. Oni walczyli w czymś, co się nazywało Zamurowanym Miastem, i twój dziadek uratował cały pluton łącznie z moim dziadkiem! Więc jak mój dziadek wrócił z wojny, obiecał, że zawsze będzie dbać o twoją rodzinę, bez względu na wszystko.

Nawet jeśli syn Edwarda Davisa wyrośnie na pijaka, pomyślał Connor. Jednak opowieść Lolly sprawiła, że poczuł się trochę lepiej.

- Uważam więc - zakończyła trochę irytującym tonem mądrali - że powinieneś porozmawiać z moim dziadkiem i poprosić, żeby ci o tym opowiedział.

- Może tak zrobię - odrzekł.

Po tych słowach zapadła dłuższa cisza. W pewnej chwili Connor wstał, podszedł do szafki na narzędzia chirurgiczne i otworzył drzwiczki.

- Myślałem, czyby nie przekłuć sobie ucha.

- Słucham?!

Zaśmiał się szczerze. Była taka zabawna, gdy próbowała zachowywać się sztywno i oficjalnie.

- Pomyślałem, że mam ochotę przekłuć sobie ucho, to wszystko.

- Chyba jesteś nienormalny.

- Myślisz, że się nie odważę? - Wyciągnął z szafki sterylnie opakowany lancet. - To powinno się nadać. - I zaczął rozrywać zębami plastikowy pakiecik.

- Czekał. - W oczach Lolly pojawił się strach, a jej okulary przekrzywiły się w komiczny sposób. - Nie bądź głupi, Connor. Nie potrzebujesz więcej dziur w głowie. Masz ich już dość.

- Jedna więcej nie zaszkodzi.

Umilkł i zaczął grzebać po kieszeniach, poszukując małego srebrnego kolczyka, który nosił przy sobie przez cały czas. Jednocześnie zbierał się na odwagę, potrzebną do przeprowadzenia tego, co zapowiedział. Mary Lou Carruthers, która kochała się w Connorze od drugiej klasy podstawówki, dała mu to srebrne kółeczko w zeszłym roku szkolnym. Druciana pętka była przyczepiona folią do kawałka czarnego plastiku. Oderwał ją i położył na biurku.

- Nie mówisz chyba poważnie? - Policzki Lolly zrobiły się jaskrawoczerwone.

- Jestem poważny jak atak serca - odrzekł.

- Złapiesz zakażenie! Ucho ci odpadnie!

- Bzdura. Ludzie ciągle przekłuwają sobie uszy i jakoś nic im to nie szkodzi.

- U lekarza albo jakiegoś specjalisty!

- Albo robi to dla nich jakaś mądralińska.

- Nie ma mowy. - Odskoczyła w tył, kręcąc głową.

Connor dopiero teraz zauważył, że już nie zaplata swoich brązowych włosów w dwa mysie ogonki, ale związuje je w węzeł, przytrzymywany frotką. Część kosmyków wymykała się spod niej, wijąc się wokół twarzy.

- Dobra, zrobię to sam.

- Relegują nas z obozu.

- Tylko jeśli nas przyłapią, a my się postaramy, żeby do tego nie doszło, Lolly.

Wyjął wreszcie lancet z opakowania i stanął przed lustrem. Cholera. To nie było takie proste, jak mu się wydawało. Jeśli wsadzi sobie ostrze w ucho, może przedziurawić przy okazji także czaszkę? Ile krwi będzie trzeba sobie przy tym upuścić? I jak, do diabła, potem wsadzić ten kolczyk?

W lustrze widział, że Lolly go obserwuje. No dobra, nie ma odwrotu. Szybkie uklucie i niech się dzieje, co chce. Wciągnął powietrze, wstrzymał oddech. Raptem odkrył, że ma zaciśnięte powieki. Nie, tak się nie da. Musi widzieć, co robi.

Z tyłu dobiegł go dziwny trzask. Omal nie upuścił lancetu. Odwrócił się. Lolly zakładała gumowe rękawice chirurgiczne.

- No dobra, Supermanie - powiedziała. - Ale jeśli ucho ci poczernieje i odpadnie, to nie zwalaj tego na mnie.

WĘDKOWANIE NA WIERZBOWYM JEZIORZE

Wody Wierzbowego Jeziora obfitują we wspaniałe pstrągi. Limit dla każdego posiadacza karty wędkarskiej wynosi trzy sztuki. Wymaga się wypuszczenia każdej złowionej ryby powyżej tej liczby.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

- Daisy, leniuchu, przestań leżeć na brzuchu! Słoneczko świeci, czas do pracy, dzieci!

Gdy Daisy słyszała te słowa z ust swojego ojca, wiedziała, że nie zapowiadają one nic dobrego. Wszedł już na dwór, mimo że wciąż ciemno. Usłyszała jego kroki i skrzypnięcie uchylanych drzwi.

- Pobudka - zawołał przyjaźnie. - Wstawaj, dzieciaku. Już czas.

- Neeee - zajęczała, kryjąc głowę pod poduszką.

Czyżby nie widział, że jeszcze nawet nie zaczęło świtać? Co właściwie każe ludziom zrywać się z łóżka tak wcześnie? Postanowiła nie odpowiadać. Może odpuści i sobie pójdzie?

Nie miała szczęścia. Pukanie stało się bardziej namolne. Drzwi znów głośno zaskrzypiały. O żeż, kurczak, pomyślała Daisy. Wszedł. Teraz na pewno mi nie odpuści.

- A niech to! - zamruczała głośno.

Senne odrętwienie, najmiłsza rzecz pod słońcem, gdzieś się ulotniło. Podtrzymując palcami opadające powieki, Daisy zwlokła się z łóżka i poszukała ścieżki pomiędzy rozrzuconymi wokół ubraniami, książkami, pudełkami, puszkami i opakowaniami z jedzeniem.

- Daisy? - usłyszała znowu.

- Już wstałam, tato - rzuciła w kierunku majaczącej w drzwiach sylwetki. - Jeeezu, czy ty musisz robić tyle hałasu?

- W porządku - odrzekł. - Czekam na zewnątrz.

- Świetnie.

- Tylko się nie ociągaj!

- Nie mam zamiaru. - Skrzywiła się.

Wycieczka z ojcem rannym świtem była ostatnią rzeczą, na jaką miała ochotę. Wędkowanie. Błeee. Ojciec nosił się z tym pomysłem od chwili przyjazdu. Chciał w ten sposób - jak to mówił - „zacieśnić więzi rodzinne”. No więc zaczęła go unikać. W Kioga było gdzie się ukryć. Trzeba było tylko uważać, żeby nie zgubić się w lesie ani nie narazić na atak komarów.

Wczoraj do późnej nocy razem Olivią i Dare grały z Freddym w wista. Wist był niebezpiecznie podobny do brydża. Gry dla totalnych lamusów, w którą nigdy nie zamierzała grać. Gdyby ojciec powiedział wcześniej, co czeka ją w Kioga, kazałaby się zastrzelić.

Wszystko wskazywało na to, że taka śmierć byłaby dużo przyjemniejsza od powolnego umierania z nudów, którego - była tego coraz bardziej pewna - nie da się uniknąć tego lata.

W dzieciństwie wierzyła w opowieści ojca i dziadków o wesołym obozowisku, gdzie nigdy nie milknie śmiech. Bez cienia wątpliwości zaakceptowała obraz idyllicznej krainy nad pierwotnym jeziorem, jaki wyczarowali słowami. A tymczasem odkąd tu jest, robi coś, czego nigdy przedtem nie musiała robić - szuka dla siebie zajęcia, które nie byłoby pracą. Tu, w tym idyllicznym azylu.

Najdziwniejsze zaś jest to, że na razie wcale nie czuła się tym zdołowana. Dzięki Bogu, że jej starszym kuzynkom nie brakowało poczucia humoru. Co więcej, Daisy wydawało się, że Olivia jest osobliwie wyczulona na parszywą sytuację panującą w rodzinie Daisy. Może dlatego, że sama przeżyła jakoś rozwód swoich rodziców i jak się zdawało, przeszła nad tym faktem do porządku dziennego.

Gdy Daisy czuła, że dłużej nie wytrzyma nudy i frustracji, sięgała do swoich zapasów: kartonu papierosów ukrytych pod łóżkiem, torebki z „trawką” lub małego, czerwono-złotego pudełeczka z czystym libańskim haszyszem. Jednym z dobrodziejstw szkoły średniej, do której uczęszczają obcokrajowcy, były znajomości z posiadaczami immunitetów dyplomatycznych. Oni potrafili, oj, potrafili, z nich korzystać.

Pomyślała o znajomych, którzy zostali w mieście, i westchnęła głęboko. Tęskniła za wałęsaniem się z rówieśnikami. Jednocześnie pomyślała, że następny rok szkolny będzie tym ostatnim, i doznała drobnej ulgi. Jej przyjaciele byli tacy skoncentrowani i... mieli straszne parcie do przodu. Wielu z nich zaplanowało swoją przyszłość jeszcze w czasach przedszkolnych. W myślach widzieli się już na ekskluzywnych uczelniach zrzeszonych w Ivy League albo w Julliard School, albo nawet w jakimś nieprawdopodobnym miejscu za oceanem, na przykład na Sorbonie.

W obliczu talentów i ambicji swych znajomych Daisy czuła się mała. Pewnie, nie miała złych ocen, uczyła się w jednej z najlepszych średnich szkół w całym stanie, ćwiczyła grę na fortepianie i gitarze, uprawiała lacrosse... Ale mimo to czuła, że dryfuje. Nie wiedziała, w jakim kierunku iść w życiu.

Podśluchiwała kiedyś, jak jej matka - energiczna i wysoko ustawiona prawniczka z międzynarodową praktyką - mówi do babci, że Daisy przypomina swego ojca. I to nie był komplement. Chociaż jej tata miał wrodzony talent i był świetnym specjalistą od kształtowania pejzażu, z pewnością jego praca nie przynosiła zbyt wielkich dochodów. Jego firma na Upper East Side powstała dzięki pieniądзом rodzinnym i gigantycznej pensji jej matki, dzięki której również ona i Max uczyli się w prywatnych szkołach. I pewnie z tych powodów, według Daisy, rodzice nie mogli być ze sobą szczęśliwi.

Może gdybym się bardziej postarała, byliby ze sobą dalej, myślała. Gdybym na przykład strasznie się rozchorowała, to znów by się zesli...

Pomysły wirowały w głowie Daisy niczym beużyteczny kurz. W głębi ducha wiedziała, że nie ma sensu próbować łączyć rodziców na siłę. Powinna zajmować się własnymi sprawami. Miała całe mnóstwo informatorów rozmaitych college'ów. Postanowiła, że tego lata przestudiuje je i wybierze dla siebie którąś ze szkół.

Przeciągnęła szczotką po włosach, spięła je gumką w koński ogon i włożyła na siebie dżersejowe szorty z napisem „Pink” na pośladkach, kusy top oraz bluzę z kapturem - element sportowego stroju reprezentantki szkolnej drużyny lacrosse. Wsunęła stopy w klapki i odruchowo sięgnęła po swego iPod'a, ale z żalem odłożyła go z powrotem. Chociaż ojciec zapewniał ją, że wyprawa jest bezpieczna, usłyszała w głowie cichy głos, który radził zostawić urządzone w domu. Gdyby je utopiła, straciłaby jedyne źródło muzyki na całe lato. Wtedy sama też musiałaby się rzucić do wody.

Gdy myła twarz i zęby, dziękowała losowi za brak lustra nad umywalką - i gdziekolwiek indziej. Na widok własnej twarzy na pewno wpadłaby w regularną depresję. Rzuciwszy pożegnalne spojrzenie na wygodne łóżko, Daisy wyszła z domku w cichy mrok panujący na zewnątrz i zatrzymała się na schodkach. Obóz spoczywał pod całunem nieprzeniknionej mgły.

Pod schodami leżała paczka papierosów, a tuż obok stał wielki stary słoik typu wek, którego Daisy używała jako popielniczki. Chociaż każdy półmózg obecnie twierdził, że palenie szkodzi, Daisy oddawała się nałogowi z prawdziwą przyjemnością. Coś tak zakazanego, tak nieprawdopodobnie, szokująco wręcz ZŁEGO? Po prostu musiała spróbować. Ktoś uznał je za znacznie niebezpieczniejsze od seksu czy miękkich narkotyków? W porządku! Tym lepiej. A poza tym był to świetny sposób na doprowadzenie rodziców do szału.

A doprowadzanie rodziców do szału stanowiło oczywiście jej życiową misję: chciała tak ich nakręcić, żeby ześwirowali. Bo tylko jeden Bóg wiedział, że oni przez lata robili jej to samo.

Chociaż ojciec nigdy nie kazał jej rzucić palenia. Czyżby nie rozumiał, że ona potrzebuje tego zakazu? Mogłaby wtedy z nim powalczyć. Mogłaby powiedzieć mu „nie” i żeby odchrzanił się od jej życia, jej płuc i ogólnie zdrowia. Bo to ona ma prawo decydować, co zrobi ze swoim zdrowiem. Na co on powinien odpowiedzieć, że zdrowie jego córki jest dla niego przedmiotem ciągłej troski i że jeśli nie zerwie z paleniem, to on się już nią odpowiednio zajmie. Nic więcej nie powinien robić. Powalczyłaby z nim i wywaliła resztę papierosów do śmietnika.

- Pójdziemy w pole, w ranny czas - zaśpiewał ojciec dziecinną piosenkę, fałszując okropnie. - Młode traweczki, witam was!

- Dam ci sto dolców, tylko przestań - zabalgotała.

- Nie masz tyle - zaśmiał się.

- Dużo wiesz... Babcia kazała Olivii co piątek wypłacać mi gotówką pensję. Zarobiłam już sześć setek.

Ojciec aż gwizdnął.

- No dobra, wygrałaś. Nie usłyszysz już ode mnie ani jednej nutki. I nawet nie zaśpiewam „dzień dobry” swojej ulubionej dziewczynce.

Wiedziała, że nie kazałby jej płacić. Nigdy jej do niczego nie zmuszał.

- Poza tym - dodała - chciałabym zaznaczyć, o ile sam tego jeszcze nie zauważyłeś, że słońce nawet nie zaczęło wschodzić, zatem technicznie rzecz ujmując, na razie wcale nie jest dzień.

- Wiem. - Ojciec odstawił pokaz łapania głębokiego wdechu świeżego powietrza. - Jest wspaniale, nie? Moja ulubiona pora.

Wilgotny chłód sprawił, że Daisy się wzdrygnęła.

- Nie mogę uwierzyć, że to się dzieje naprawdę.

- Nie mamy wyboru. Żadne z moich dzieci nigdy dotąd nie złowiło ryby, zatem trzeba ruszać w tę świętą misję.

- Nie chwytam - powiedziała. - Czy to takie ważne, o jakiej porze dokonamy tego wieeelkiego wyczynu? Nie mów mi tylko, że one mają jakiś rozkład dziennych za...

- Widzisz, to kwestia światła i temperatury wody. Pstrągi żerują, gdy owady śpią, o świcie i o zmierzchu.

- To ja też jestem jak ta ryba. Lubię, gdy nie ma owadów.

W ciszy, jaka panowała w obozie, tkwiło coś niesamowitego. Mgła głużyła głosy i dźwięki wydawane przez klapki Daisy. Otoczenie wyglądało jak sceneria paskudnego horroru, w którym jakiś szaleniec z siekierą czai się w głębi lasu.

- Jak ci się spało minionej nocy? - spytał ojciec.

- To wcale nie jest jeszcze miniona noc. To po pierwsze. Po drugie, całkiem nieźle. I powiem ci, że spanie to jedna z niewielu dostępnych tu rozrywek.

- Mam wrażenie, że zrobiłaś już dość w celu poprawienia sobie humoru.

Wskazał ręką leżący w dole brzeg jeziora. Na plaży ciemniały pozostałości ogniska z ubiegłego wieczoru.

- Zawsze paliliśmy ogniska podczas obozów. Robiliśmy wielki ogień, przypalaliśmy trawkę i odpływaliśmy.

- Ja... - Daisy spojrzała na niego sztywna z niedowierzania.

Zaprzeczyć? Oburzyć się? Lepiej nie. Z pewnością znał jej sekret i raczej nie wciskałby jej kitu. Dlaczego więc ona miałaby to robić? Jednak trochę, troszeczkę żałowała, że ojciec nie bierze sprawy w swoje ręce i nie mówi jej „stop”. Ale on nigdy by tak nie uczynił. Zamiast tego bezczelnie skradł jej całą przyjemność z odlotu, informując, że sam to kiedyś robił. Zachowywał się też, jakby nie było to nic wielkiego. Zero afer, które były

domeną mamy, tu i teraz całkowicie nieobecnej. Miała to być według jej słów taka próbna separacja na lato, ale Daisy czuła, że wie lepiej, co to znaczy.

- Nieważne - wymamrotała, wciskając się przed ojcem do kuchni. - Co mamy na śniadanie?

Max był już w środku. Z zapalem czytał tekst na odwrocie pudełka z płatkami zbożowymi i równocześnie mechanicznymi ruchami ręki pakował sobie płatki do ust.

- Ej! - zawołała Daisy. - Skąd wytrzasnąłeś to lukrowane świństwo?

Nawet nie podniósł na nią wzroku.

- Tata i ja pojechaliśmy wczoraj wieczorem po zakupy. Dare zgromadziła tu trochę za dużo zdrowego jedzenia, przyda się coś dla równowagi. Chcesz spróbować?

- Nie, dzięki. Taka ilość cukru może uzależnić, jeśli chcesz wiedzieć, co o tym myślę. To najgorsza rzecz, jaką można w sobie władować.

- Poza papierochem - odciął się Max. - Więc się ode mnie odczep.

- Przymknij się - powiedziała ostrzegawczym tonem, po czym wydostała z czeluści lodówki karton niskotłuszczowego greckiego jogurtu. Dosypała do niego garść zdrowych muesli z zapasów Dare.

- Tato, powinieneś zakazać jej palenia papierosów - odezwał się znienacka Max.

Ich ojciec znalazł sporą miskę i napełnił ją lukrowanymi płatkami.

- Ona sama powinna to sobie kazać - odparł.

- Ona sama powinna teraz leżeć w łóżku i spać, a nie siedzieć tu o świcie z parą debili.

- Debili! - powtórzył Max i przybił ojcu piątkę ponad stołem.

Daisy posiekała brzoskwinie na kawałeczki i dodała je do jogurtu. Przynajmniej będzie miała brzoskwiniowy poranek.

Po śniadaniu powkładali naczynia do zlewu, a potem ojciec i Max poszli do szopy na łodzie. Daisy może z minutę zajęło sprzątanie. Olbrzymi zlew z nierdzewnej stali był wyposażony nie gorzej od niejednej firmowej zmywarki. W trzydzieści sekund wszystko było czyste. Sprzątnęła mleko i płatki - tym facetom wydaje się chyba, że jedzenie samo wskakuje do lodówki! - i wyszła z domku, żeby nagadać im za to, że po sobie nie posprząтали. Nie, nie zrobili tego ze złej woli. Po prostu nie pomyśleli. Ale bezmyślność to nawyk najtrudniejszy do wykorzenia. Nawet złych manier łatwiej się pozbyć!

Szła na czele całej trójki w drodze do szopy na łodzie i na pomost. No dobra, pomyślała, teraz już w pełni rozbudzona, rzeczywiście ta wczesna godzina ma coś w sobie. Szczególnie tutaj. W powietrzu zawisła niezwykła, uroczysta rzecz by można, cisza, a jezioro o wschodzie słońca emanowało mistyczną atmosferą. Mgła poruszała się nad jego taflą, jakby była obdarzona własnym, tajemnym życiem i układała się w falujące pasma nad całkowicie nieruchomą wodą. Gdy krawędź tarczy słonecznej wynurzyła się znad horyzontu, wszystko zalał miękki magiczny blask. W powietrzu czuło się świeżość, zapach czystej wody, dzikich

kwiatów i zroszonej trawy. Śpiew ptaków zdawał się dziwnie cichy. Gdyby z wody wynurzyła się teraz Dama Jeziora, żeby wręczyć królowi Arturowi legendarny miecz Ekskalibur, Daisy wcale nie byłaby zaskoczona.

Przypadkiem właśnie w tej chwili z wody wyskoczył pstrąg w pogoni za jakimś owadem. Jego ruch wywołał kręgi na spokojnej wodzie. Biedna rybka, pomyślała Daisy. Dlaczego ktokolwiek miałby chcieć ją stamtąd wyciągnąć, wypatroszyć i podsmażyć na patelni?

Ale dla świrowatego ojca ważne było tylko to, że jego dzieci do tej pory nie złowiły ani jednej cholernej ryby.

- Daisy, patrz! - wołał Max, biegnąc w jej stronę. - Zobacz, co znaleźliśmy z tatą wczoraj wieczorem!

Otworzył dużą puszkę po kawie.

Daisy zerknęła do środka i zobaczyła wijącą się, pełzającą, brudnoziemistą masę, poznanoną plamami w kolorze nieświeżego mięsa. Dżdżownice.

- Jeju, rewelacja, Max - powiedziała z udawanym zachwytem. - A teraz, jeśli pozwolisz, pójde w krzaki i puszcę pawia.

- Co za dzieciak - prychnął pogardliwie Max. - Przecież to tylko glisty.

Przełknęła ślinę, odetchnęła kilka razy i nieprzyjemne uczucie w żołądku zaczęło powoli mijać. Szkoda, że w ogóle zaglądała do puszek. „Tylko glisty”. Dobrze sobie.

Ojciec nie chciał dostrzec, że to całe zacieśnianie więzi rodzinnych, z wyprawą na ryby włącznie, był kompletną bzdurą. Z wierzchu owszem - supertata zabiera dzieci na wycieczkę. A wewnątrz - otwarta puszka z robactwem. I to od zawsze.

Obok szopy na łodzie stała dawna stajnia, zamieniona potem na skład sprzętu sportowego.

- Ooo! - Oczy Maksa zrobiły się okrągłe z przejęciem. - Zajrzyjmy tam! Kto wie, co znajdziemy.

- A ja na przykład wiem. - Ojciec uniósł zakurzoną plandekę, skrywającą stojak z rzędem zaparkowanych rowerów.

- Super! - zawołała Daisy. Uwielbiała jazdę na rowerze.

- Jest tu nawet kilka tandemów - powiedział ojciec. - Trzeba będzie kiedyś podpompać koła.

W budynku była jeszcze co najmniej tona innych sprzętów, wliczając w to siatki tenisowe, rakiety, piłki, pływające bramki do waterpolo, łuki, strzały, tarcze, zestawy do krokieta i tak dalej. Daisy zanotowała w pamięci, żeby posprządać to wszystko w wolnej chwili. Przy braku jakichkolwiek zwykłych rozrywek ona i Max musieli nauczyć się kreatywności w ich wynajdywaniu. Dotąd nie przypuszczała, że będzie entuzjasmować się na myśl o partyjce badmintona, ale teraz gra nabrała dla niej zupełnie nowego powabu.

Jeden z boksów, na jakie podzielono stajnię, był przeznaczony do przechowywania sprzętu wędkarskiego. Zajmowały go wędziska i kołowrotki wszelkich możliwych rozmiarów, pudełka z haczykami i błyskami, buty do brodzenia i kamizelki z kieszeniami wszytymi w najbardziej nawet nieprawdopodobne miejsca. Była tam też wielka skrzynka na narzędzia i jeszcze większa paka z napisem: „Majesky”.

- Co w tym jest? - spytał Max.

- Ekwipunek do łowienia w przerębli - wyjaśnił ojciec. - Stary pan Majesky przyjeżdżał tu z miasta poza sezonem wakacyjnym. On i dziadek zaprzyjaźnili się, chodząc na ryby, dawno temu. Myślę, że to dlatego jego sprzęt trafił właśnie tutaj.

- Tato, a co jest napisane na tym znaku?

- Tam jest...

Daisy uciszyła ojca gestem. Powinna wykorzystywać każdą okazję, by pomóc bratu w nauce czytania. Miał z tym kłopoty od pierwszej klasy. Masa testów i szereg korepetycji nie dały żadnych rezultatów.

- Co jest grane? - zapytał ojciec z niezadowoloną miną. .

Czy on naprawdę nic nie wie?

- Max, odczytaj ten znak - poprosiła. - Powiedz nam, co na nim jest.

- Nieważne - burknął i widać było, że zepsuła mu humor. - Zrządysz dokładnie jak mama.

- Nie, nie zrządzę. No, Max, czytaj.

Max nachmurzył się cały, mamrocząc coś o zagłądaniu do puszki z robalami.

Ojciec wyglądał na całkowicie oszołomionego.

- Chwileczkę. Na tym znaku stoi jak wół: „Przepisy wędkarskie dla miejscowych”.

Chcecie mi powiedzieć, że Max nie potrafi tego przeczytać?

Daisy splotła ramiona i uniosła podbródek.

- A to dla ciebie taka wielka nowina?

- Ja... ja wiedziałem, że miał jakieś drobne problemy w szkole, ale myślałem, że jego wychowawca już się tym zajął.

Typowe, pomyślała. Dla ojca rozwiązaniem każdego problemu było wynajęcie kogoś, kto sobie z tym poradzi. Dopiero teraz odkrywał, że taka strategia nie zawsze jest najlepsza. A matka nie tak znów bardzo różniła się od ojca. Tyle że ona po wynajęciu kogoś uciekała. Na przykład do Seattle. Czasem Daisy myślała, że jest jedynym członkiem rodziny, który widzi, że coś wymaga naprawy i że da się naprawić własnymi rękami, bez cudzej, płatnej pomocy. Och, owszem, wszyscy korzystali z usług rodzinnego psychologa, ale co to był za szajs! Doktor Granville zadawał tylko pytania w rodzaju: „I co wtedy czułaś?”. Umiał doprowadzać ludzi do załamania i płaczu, ale co z tego? Oprah Winfrey też to umiała. Ale czy to kiedykolwiek komukolwiek pomogło w trudnej sytuacji?

- Tato, czy ty się nigdy nie zainteresowałeś faktem, że Max ma PIE? - Z wyrazu twarzy ojca wynikało, że on również potrzebuje teraz szybkiej pomocy. - Plan Indywidualnej Edukacji - wyjaśniła, powoli wymawiając każde słowo. - A jego najważniejszy punkt mówi, że powinieneś czytać razem z Makssem codziennie przez co najmniej godzinę. Nie mogę uwierzyć, że mama ci o tym nie powiedziała.

- Żartujesz? - wyjąkał.

- Pewnie - przytaknęła z ironią. - Żartuję. Uwielbiam takie dowcipy. Wmawiam ci, że Max nie umie czytać, żebyś niepotrzebnie zaczął go uczyć.

Ojciec albo nie wychwycił sarkazmu w jej słowach, albo go zignorował.

- Mam z nim czytać? Świetnie! - Uśmiechnął się. Mało powiedziane - wyszczerzył się od ucha do ucha.

Daisy nie była pewna, czy dobrze go usłyszała.

- Przepraszam, powiedziałaś „świetnie”? Rozjaśnił się i zawołał z chłopięcym entuzjazmem:

- Jest całe mnóstwo książek, które zawsze chciałem przeczytać Maksowi. I tobie też!

No to dlaczego tego nie zrobiłeś? - miała ochotę spytać.

- Daisy... ale ty radzisz sobie z czytaniem...

- Do kogo ta mowa? - odrzekła, zdejmując trzy pagaje z kołków wbitych w ścianę. - Nie, naprawdę nie wiesz?

Ojciec wyglądał na tak strapionego, że postanowiła mu trochę odpuścić.

- Spoko, tata, ja nie mam z tym problemu.

Musiała przyznać, że jej ojciec zachowuje się jak najrówniejszy facet na świecie. Nie pieklił się, chociaż wiedział, że jego córka popała i papierosy, i zioło. Ale też nie zdawał sobie sprawy, jak mało jednocześnie o niej wie. A przecież Daisy w tym roku zdobyła nagrodę imienia Emilii Dickinson w konkursie dla młodych poetów i została przyjęta w poczet członków National Honor Society. W tym sezonie zdobyła rekordową liczbę bramek w lacrosse. Jej ulubionym pianistą jazzowym był Keith Jarrett. W tym roku skosztowała na imprezce kokainy. Tego wszystkiego nie wiedział.

- Mamy tony książek do przeczytania - rzekł ojciec. - „Opowieści o rycerzach Okrągłego Stołu”, „Wyspa skarbów”, cała reszta... W głównym pawilonie obok świetlicy mieściła się biblioteka obozowa. Powinniśmy tam poszperać dziś wieczorem.

O ojcu Daisy można było powiedzieć jedno: nie brakowało mu entuzjazmu.

Pozgarniali wędki, ołowiane ciężarki, biało-czerwone szałwiki i poszli na pomost. Ojciec wybrał naprawdę dużą fajkę, z sześcioma ławkami łączącymi burty. W środku leżało już mnóstwo prowiantu - opakowania z napojami, kanapki i różne przegryzki - zapas wystarczający do wyżywienia całej armii. Daisy wyobraziła sobie, jak targał to wszystko

tutaj głęboką nocą dla swoich dzieci, i jej serce fiknęło koziołka. Starał się. Naprawdę mu zależało.

Zauważyła też tobołek z ręcznikami i tubki z kremem do opalania. A to niby po co? Czyżby przypuszczał, że spędzą na wodzie tyle czasu, że będą tego potrzebować?

- Chciałeś, żebyśmy posadzili kwiatki wzdłuż wjazdu i naokoło głównego pawilonu - przypomniała ojcu.

- Faktycznie - odrzekł, rzucając jej kapok. - Kwiaty bardzo ożywią to miejsce. Myślałem o czymś tradycyjnym, na przykład o czerwonych i białych pelargoniach.

- No to chyba nie powinniśmy za długo...

- Się nie przejmuj. Kwiatom wisi, którego dnia wsadzisz je w ziemię. Co byłby wart letni obóz bez zabawy w małego wagarowicza od czasu do czasu? - Uśmiechnął się. - Chwilowo jesteś skazana na towarzystwo Maksa i moje.

- Dla mnie bomba.

Przywiązana do pomostu łódka unosila się spokojnie na wodzie, ale gdy wsiedli, zakołysała się złowieszczo na boki. Max wybuchnął śmiechem.

- Siedź spokojnie - ostrzegła go Daisy, ujmując wiosło. - Jeśli przez ciebie wypadnę za burzę, to masz przechłapanie.

- To tylko woda!

- Sprawdziłeś, jaka jest zimna? Max zanurzył rękę.

- Jak dla mnie, w porządku.

- Teraz wiosłuj, przyszczy jeden.

- Kto się przeżywa, sam się tak nazywa!

- Oj dobra już, łap za pagaj i zacznij nim machać. Chyba że nie wiesz, jak to się robi.

- Pewnie, że wiem. - Z wojowniczą miną pochwycił wiosło, czekając, aż ojciec odepchnie łódź od pomostu.

Daisy, która siedziała na dziobie, nadawała tempo. Nie była do końca pewna tego, co robi, ale ćwiczyła kiedyś wiosłowanie na lekcjach wuefu w szkole. To trochę ułatwiało zadanie. Nie odczuwała trudności, chociaż cała ich trójka odznaczała się beznadziejnym brakiem koordynacji. Pióra wiosel nierówno uderzały o powierzchnię wody, wzbijając w powietrze lśniące od słońca kropelki. Daisy wyobraziła sobie, jak opowiada o tej wyprawie doktorowi Granville'owi. Zapewne stwierdziłby, że brak synchroniczności w wiosłowaniu stanowi projekcję problemów w rodzinie. Zawsze wyjeżdżał z tą gadką o projekcjach. O, pewnie dokładnie by wyjaśnił, jak to niedojrzałość i ucieczka od rzeczywistości ojca, próby ustalania granic akceptacji przez Daisy i potrzeba bezpieczeństwa Maksa przekładają się na sposób, w jaki we troje wiosłowali.

- Kiedy bywałem tu jako chłopiec - zaczął opowiadać - brałem udział w drużynowym czwórboju. To był taki czteroczęściowy wyścig. Najpierw na łódkach - do wyspy i z

powrotem. Potem wplaw od bloków startowych do boi i znów z powrotem. Następnie etap rowerowy, pięć kilometrów. I wreszcie bieg terenowy: półtora kilometra od startu do mety. Pierwszy na mecie zdobywał nagrodę.

- Jaką? - zaciekawiał się Max.

- A wiesz, nie bardzo pamiętam. Chyba to była ekstrakanapka: dwa kawałki pumpernika, a w środku przypiekana pianka z czekoladą. Tradycyjny deser robiony nad ogniskiem.

- Tyle wysiłku za takie coś? Eee...

- Ale my wtedy nie po to się ścigaliśmy, synku.

- No to po co?

- Żeby wygrać. Żeby potem szpanować jako najszybsza drużyna.

- No ja tego nie chwytam.

- Max, a gdzie twój duch walki?

- Chyba zapomniałem zabrać go z domu.

- Kiedy zaczniemy łowić? - przerwała im Daisy, pomyślawszy, że im szybciej zaczną, tym prędzej się to skończy.

- Musimy najpierw znaleźć odpowiednie miejsce - odrzekł ojciec. - Jest tu takie.

Nazywaliśmy je Błękitną Dziurą.

Dotarcie tam zajmie całą wieczność, skrzywiła się Daisy. To miejsce znajdowało się po drugiej stronie jeziora, a wiosłowanie dalej szło im kulawo. Pluski i hałasy przypuszczalnie i tak już wystraszyły wszystkie ryby w okolicy.

W momencie gdy Daisy była pewna, że ma już pęcherze na dłoniach, ojciec obwieścił, że są na miejscu. Musiała przyznać, że było tam pięknie. Głębia, nad którą się zatrzymali, otoczona była skałami stromo schodzącymi do wody, nieruchomej i przejrzystej jak szkło.

- Co teraz? - dopytywał się Max.

- Teraz przynęta na haczyki i zaczynamy! Daisy, podasz mi puszkę z robakami?

- Nie dotknę jej za żadne skarby świata.

- Tchórzyca. - Max przepelzł obok niej. Czólno zachybotalo.

- Uwóżaj, pryszczu - ostrzegła, łapiąc się za krawędzie burt.

Ku jej zdumieniu Max zręcznie wrócił do ojca i podał mu puszkę. Po chwili przynęty tkwiły na haczykach - naturalnie założone przez tatę, który najwyraźniej miał w tym wprawę - i wędki zostały zarzucone.

A potem... Nic. Cała trójka siedziała jak kołki, gapiała się na spławiki i czekała, aż ryba weźmie. Co jakiś czas ojciec wyciągał wędkę z wody i zakładał na haczyk nowego robaka, tak jakby uważał, że pstrągi pogardzą martwą dżdżownicą. Po pewnym czasie spławik zadrgał i zanurzył się nieco. Gdy to się stało, w dzikim podnieceniu wyciągnęli wędkę z wody tylko po to, by odkryć, że haczyk najwyraźniej został objedzony z przynęty.

- Bystrzaki - powiedział ojciec.

- Co, pstrągi? - zakpiła Daisy. - Od kiedy to ryby są bystrymi stworzeniami?

- Odkąd potrafią pożreć robala bez połykania haczyka - wyjaśnił rozsądnie Max. - Ja bym powiedział, że są wręcz cwane. Ty nie?

- Taaa, rzeczywiście cwane.

Pod koniec pierwszej godziny cała trójka ze znudzenia popadła w głupawkę. Zaczęli grać w słowne gry, które Daisy pamiętała jeszcze z dzieciństwa, takie jak „pomidor” czy „kot stróża”. Chichot Maksa płynął ponad wodą niczym pieśń ptaka, a Daisy poczuła, że ogarnia ją coś dziwnego i nieoczekiwanego. Luz... Spokój...

Później ojciec zaczął opowiadać im o sobie. Mówił, czym były dla niego wakacje spędzane co roku tutaj, na obozie.

- To było jedyne życie, jakie znałem - podsumował. - Nie miałem wtedy pojęcia, że to wspaniałe życie. Ale tak jest ze wszystkimi dziećmi.

Tak, ale dzieci mają pojęcie, pomyślała Daisy, jak to jest, gdy życie staje się brudną ubikacją. Max zgłodniał i rozpakował kanapkę.

- To, co lubię najbardziej - stwierdził.

- Ja bym tego nie wzięła do ust. Ojciec wzruszył ramionami.

- On to lubi. Ty nie musisz.

Max z błogim wyrazem twarzy wgrzył się w obrzydliwą kanapkę z mortadela i masłem orzechowym.

- Opowiedz nam, jak wujek Philip wrzucił całą puszkę dżdżownic do sypialni dziewczyn - zażądał, choć znał tę historyjkę na pamięć.

Minuty mijały. Oboje wsłuchiwali się w słowa ojca. Max leniwie oddłubywał skórkę od chleba i wyrzucał okruchy za burtę. Daisy widziała, jak spory pstrąg pod pływa i łapie w pysk posmarowany orzechowym masłem chleb. Patrzyła jak głupia na następną rybę, która zrobiła to samo, i na jeszcze jedną, i...

- Dajcie podbierak! - szepnęła nagłoco.

- Wzięło? - Max podskoczył.

- Twoją kanapkę! Spójrz w wodę! Całe stado się pożywia!

Oczy Maksa zrobiły się komicznie wielkie.

- Tato, popatrz!

Daisy chwyciła podbierak. Wystawiła go za burtę nad dwiema rybami zjadającymi rozmokły chleb. Teraz wystarczyło już tylko sięgnąć w dół i zgarnąć zdobycz do siatki.

- Dawaj, Daisy - szepnął Max. - Prędko!

Tak szybko, jak tylko mogła, zanurzyła podbierak w wodzie. Ryba uciekła.

- Niech to gęś - zaklęła, klapnąwszy siedzeniem na dno łodzi. - Była tak blisko...

- Patrz! - Szturchnął ją brat, wrzucając do wody następny kawałek kanapki. - Wracają!
Są teraz trzy!

Daisy nie wahała się. Zanurzyła podbierak.

- Mam! Tato! Złapałam rybę! Srebrzysty kształt miotał się w siatce.

- Fantastyczny traf, Daisy! Punkt dla ciebie. A teraz włożymy ją do sadzika...

- Pstrąg! Daisy złapała pstrąga! - Max z podniecenia podskakiwał na ławce.

- Pohamuj emocje, młodzian - upomniął go ojciec - bo się wywr...

- Tato!! - wrzasnęła Daisy.

Jej pstrąg zdołał jakoś wyskoczyć z siatki, przechyliła się więc, aby go ponownie złapać. I to był z jej strony fatalny błąd. Poczowała, że łódź przechyliła się na jedną stronę. Nie mogła złapać równowagi. Wleciała głową do wody, machając rękami jak wiatrak. Woda była przejmująco zimna, ale kapok natychmiast wypchnął ją na powierzchnię. Nie zdążyła zawołać pomocy, bo kiedy wypłynęła na wierzch, ujrzała, jak Max młóci rękami powietrze, a ojciec próbuje złapać go w locie. Obaj wypadli za burtę, wzbijając fontannę wody, która rozbłysła dziesiątkiem małych tęczy.

- Niech to szlag - prychnął ojciec. - Niech to szlag trafi! Ta woda jest zimna jak cholera!

- Powiedziałeś brzydki wyraz - wytknął mu Max, któremu zaczęły sinieć usta.

- Nawet dwa razy - poprawił go ojciec. - I powiedziałem jeszcze „cholera”.

Podpłynął do łódki i wrzucił do niej podbierak, mokry tobołek z ręcznikami oraz dwa wiosła pływające po powierzchni wody. Na dnie było trochę wody, ale w ilości niezagrażającej zatopieniem.

Max odchylił głowę i spojrzał na niebo.

- Z-z-z-zimno! - zawołał i śmiejąc się, zaszczekał zębami. - Zimno! Teraz nie mam pryszczki, ale gęsią skórkę, a to podobne!

Daisy trochę się trzęsła, ale gdy zrezygnowała z pościgu za zagubionymi klapkami, stwierdziła, że podoba jej się uczucie nieważkiego unoszenia na wodzie. Musiała się jednak ruszyć, żeby trochę się rozgrzać. Zaczęła bawić się w wodnego berka z ojcem i bratem. Uciekali jedno przed drugim, a wydawane przez całą trójkę piski, wrzaski i śmiechy bez wątpienia wystraszyły wszystkie ryby w jeziorze. Kiedy jednak Max zaczął z zimna tak szczekać zębami, że nie mógł normalnie mówić, zdecydowali, że pora wracać na ląd.

Łatwiej powiedzieć niż zrobić. Nie mogli wejść do łodzi. Daisy z ojcem przepchnęli jakoś Maksa ponad burtą, ale żadne z nich nie mogło wejść do środka bez wywracania łodzi. Ich nieudolne miotanie się było kompletnie wariackie i wkrótce Daisy zawtórowała ojcu w ataku śmiechu na tyle wyczerpującego, że jej ramiona zrobiły się jak z galarety, zupełnie nie do użytku. Poddali się i zaczęli wplaw pchać łódź do najbliższego brzegu, gęsto porośniętego brzoza i wysoką trawą. Gdy wylądowali, wszyscy troje trzęśli się z zimna.

- Rozpalę ogień - oznajmił ojciec. - Ogrzejemy się trochę i powiosłujemy z powrotem.

- Rozpalisz? - powątpiewała Daisy. - Ciekawe czym?

Ojciec zaskoczył ją i brata. A nawet - oszołomił. Któż by przypuszczał, że ten mężczyzna potrafi zrobić zapalniczkę ze sznurowadła, dwóch krótkich patyków i garści suchej trawy? Sklecił takie urządzonek, że szybkie pociągnięcie za sznurek sprawiało, iż jeden patyk wiercił końcem w drugim, tak że aż pojawiały się iskry. Po kilku próbach sucha trawa zatliła się, a potem wystarczyło już tylko umiejętnie dmuchać, by z odrobiny żaru wydobyć prawdziwy płomień. W końcu na brzegu zapłonęło małe ognisko. Bijące z niego ciepło wprawiło ich w błogostan. Z jedzenia uratowali tylko paczkę chipsów i trochę winogron, więc urządzili sobie skromną ucztę. Wreszcie ogrzali się i wysuszyli na tyle, że mogli powiosłować z powrotem do obozu.

Gdy dobili do brzegu, byli jak pijani z powodu wyczerpania i śpiewania przez całą drogę piosenki o tym, jak „Wszedł sobie niedźwiedź na górę” - z mnóstwem samodzielnie zaimprovizowanych zwrotek. Po kąpieli w wodach jeziora Daisy poczuła się jak oczyszczona. Opalona skóra mrowiła ją od dotyku promieni słonecznych.

Gdy przywiązali łódkę do palika na przystani i zabrali z niej cały przemoczony ekwipunek, na powitanie wyszła im Olivia.

- Powiodło się wam? - zapytała.

Daisy, Max i ojciec spojrzeli po sobie i wybuchnęli śmiechem.

Wieczorem Max po prostu zasnął z nosem w makaronie z serem i ojciec zaniósł go do łóżka. Daisy pobiegła do głównego budynku i znalazła bibliotekę.

Był to przytulny pokój z wbudowanymi ławami, kącikami do czytania i typowo wiejskim umeblowaniem. Półki ugięły się pod książkami wszelkiego rodzaju - od powieści o zabawnych tytułach, takich jak na przykład „Jajko i ja” po poważne dzieła przyrodnicze. Było tam też chyba wszystko, co kiedykolwiek zdołał napisać doktor Seuss. Daisy ściągnęła książkę z półki i wróciła do brata i ojca.

W chatce panował bałagan, a jej dwaj mężczyźni leżeli już razem w łóżku. Daisy wlaźła do nich pod koce i podała książkę ojcu.

- Pomyślałam, że dobrze będzie zacząć od czegoś prostego - stwierdziła.

Ojciec pstryknął wyłącznikiem nocnej lampki i otworzył „Słonia, który wysiedział jajko”. Zaczął głośno czytać z tak zabawną intonacją, że Daisy nadstawiała uszu, żeby nie stracić ani jednego słowa.

- „Ja myślę, co mówię, a mówię, co myślę - rozległ się gruby głos - sto procent szczerości, jak mamy być ściśli”.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

- Czy coś łączy cię z Olivią? - zapytał Connor Freddy'ego Delgado.

Musiał kiedyś wyjaśnić tę sprawę i wydawało mu się, że dobrze będzie zrobić to teraz. We dwójkę pracowali nad odbudową altany i do tej pory nawzajem się nie pozabijali.

Między Freddyem i Olivią z pewnością coś było, ale Connor w żaden sposób nie mógł rozgryźć co. Od chwili, w której wziął ją w ramiona i prawie pocałował, nic się właściwie nie zdarzyło. A czy chciał, żeby do czegoś doszło? No, poza tym, co oczywiste. Nie wiedział, słowo honoru, nie wiedział. Ale że cholernie chciał ją pocałować - tak, tego był pewien.

Olivia chyba też. Ale czy od tamtej pory go unikała, czy była tylko autentycznie załatana, tego nie wiedział.

Freddy wymierzył dziesięciocentymetrową belkę i płaskim stolarskim ołówkiem zaznaczył na niej kilka punktów.

- Czy jest coś między nami? - powtórzył.

- Właśnie o to pytałem - wycedził Connor poprzez gwoździe, które trzymał w zębach.

- A na co ci ta wiedza? - Twarz Freddy'ego przybrała podejrzliwy wyraz.

Odłożył ołówek, podszedł do dużej czerwono-białej przenośnej chłodziarki i wyjął z niej dwie butelki.

- Zastanawiałem się, czy was coś łączy. Bo jeśli tak jest, uszanuję to.

- A jeśli nie? - Freddy podał Connorowi wodę.

- To stwarza mi pewne szanse.

Connor pociągnął potężny łyk wody z miastowej butelki w kształcie łyży, wydmuchanej z kobaltowo błękitnego szkła. Skrzywił się, bo od bąbelków aż go zatkało.

- Co to za zajzajer?

- Tynant, ze źródeł w Walii - odrzekł Freddy tonem, z którego wynikało, że nawet głupek powinien znać tę markę. - Posłuchaj, jedyne, co mam do powiedzenia o mnie i Olivii, to to, że jest najlepszym kumplem, jakiego kiedykolwiek miałem. Zaliczyła od życia niejednego kopa, a ja miałem przez to zasrane samopoczucie, bo powinienem ją przed tym bronić.

- Jakiego kopa masz na myśli? - spytał Connor. Freddy posłał mu ostrzegawcze spojrzenie.

- Takiego, przed którym nie mogłem jej ochronić.

Olivia stała na tarasie głównego budynku, gapiąc się na wyspę pośrodku wód i na pracującego tam nad odbudową altany Connora Davisa. Tego popołudnia miała jeszcze mnóstwo do zrobienia, ale nie mogła przestać myśleć o ich pocałunku. Pocałunku, którego nie było. Prawie pocałunku, przerwany przez Freddy'ego. I o tym, że Connor dotąd nie

pokusił się o ponowną próbę, choć ona stwarzała mu niejedną do tego okazję. Najwyraźniej żałował tego odruchu.

Nie winiła go za to. Zaciągnęła go do dawnego mieszkania ojca i na pewno myślała, że zrobiła to, by się nad nim poznęcać. Ale nawet teraz rozbrzmiewało jej w uszach pytanie Connora: „Myślałaś czasem o nas, Lolly?”.

Odpowiedziała mu wtedy: „Nie więcej niż o innych rzeczach, które działy się dziewięć lat temu”. To było tak straszliwe kłamstwo...

- Jak myślisz, o czym oni rozmawiają? - zapytała Dare, podchodząc do Olivii. - Na razie wygląda to na omawianie szczegółów technicznych, a nie na sprzeczkę.

- A kto ich tam wie! Dobrze, że przynajmniej altana babci już trochę urosła - odrzekła Olivia.

Postanowiły, że powiosłują na wyspę z drugim śniadaniem w przenośnej chłodziarce. Dare robiła niesamowite zestawy piknikowe. Kanapki, białe winogrona, ciasteczka kakaowe, lemoniada... wszystko ułożone ze szczególną elegancją, która była jej wrodzoną cechą. W obozowej kuchni nie brakowało koszy piknikowych. Wzięła największy, wyścielony kraciastą serwetą. Dotarli na miejsce robót dokładnie w chwili, w której Freddy zdejmował z siebie koszulę. Na ten widok Dare wydała cichy jęk głodnego człowieka.

- Przypuszczalnie widział, jak płyniemy, i zrobił to celowo - stwierdziła Olivia, dobrze znając próżność Freddy'ego.

Czego brakowało mu, gdy szło o wzrost, nadrabiał ćwiczeniami na siłowni, a rzeźbę ramion i mięśni brzucha doszlifowywał dzięki nieprzyzwoitym ilościom wykonywanych codziennie pompek.

Gdy czółno podплыnęło bliżej, Freddy wycierał koszulą pierś i pachy.

- A może i nie... - dodała Olivia, spoglądając na to z niesmakiem.

Freddy Wytrzepał koszulę i powiesił ją na najbliższej gałęzi.

- Zdecydowanie nie - oświadczyła Dare.

Olivia spoglądała na nią: Dare wydawała się zafascynowana Freddyem. Już miała ją o to zapytać, gdy w polu widzenia zjawił się Connor, dźwigając bez trudu sporą wiązkę desek ułożoną na ramieniu.

Tym razem jęk - i to wcale nie cichy - wyrwał się z piersi Olivii.

Dare przycumowała czółno do palika na brzegu.

- To ty ciągle coś do niego czujesz po tych wszystkich latach? Po tym, co ci zrobił? - zapytała zaskoczona.

- Ja... ja się zmieniłam. I zawsze chciałam... ach, gdyby sprawy potoczyły się inaczej tamtego lata...!

- Masz więc szansę to odrobić. Niewielu dziewczynom trafia się coś takiego.

Freddy zauważył Dare i Olivię, idące wzdłuż brzegu. A gdy ujrzał kosz piknikowy, złapał się za serce i oznajmił:

- Chyba się zakochałem.

- Proste męskie potrzeby - skomentowała Dare.

- Są proste i jest ich niewiele - dodał. - Solidna wałówka i piękna kobieta. Czegóż jeszcze można chcieć?

- No to dziś jest twój szczęśliwy dzień. Ale najpierw umyj ręce i ubierz się.

Olivia, patrząc, jak jej kuzynka flirtuje z Freddym, poczuła na sobie wzrok Connora. Wyciągnęła z chłodziarki dwie butelki lemoniady i podała mu jedną z nich.

- Odwaliliście kawał roboty - stwierdziła.

- Pokażę ci, jak dużo. Tylko patrz, gdzie stawiasz nogi.

Wyciągnął do niej rękę, wierzchem dłoni do góry.

Olivii stanął przed oczami obraz sprzed lat - Connor wystrojony, tym samym gestem prosił ją do tańca tamtego wieczoru, kiedy widzieli się po raz ostatni. Zamrugła i obraz zniknął, a ona wróciła do teraźniejszości. Miała przed sobą dojrzałego mężczyznę w lewisach i T-shircie, z bandanką wystającą z tylnej kieszeni spodni.

Spojrzała na jego rękę, zastanawiając się przez chwilę, czy jeśli Connor dotknie teraz jej dłoni, cała scena skończy się natychmiastową śmiercią bohaterki, która po prostu rozplynie się z zachwyty i zostanie po niej płytka kałuża. Prawdopodobnie tak będzie. Olivia była już w połowie drogi do tak wspaniałego zgonu.

Włożyła swoją dłoń w jego i stało się dokładnie to samo, co parę dni temu, kiedy Connor przyciągnął ją do siebie. Poczowała, że przepływa przez nią strumień żaru, nad którym nie umie zapanować. Nie miała zaufania do tego uczucia ani go nie chciała, ale pojawiło się niezależnie od niej i nie mogła udawać, że nic się z nią nie dzieje.

Connor pomógł Olivii wejść na ośmiokątną platformę, którą wybudował wspólnie z Freddym. Zadarła głowę, patrząc na wznoszące się nad nią krokwie.

- Czuję się jak Kopciuszek na balu!

- W takim razie ja jestem księciem z bajki.

- Dziewczyny umieją udawać. Puścił jej rękę.

- Ta na pewno umie - mruknął.

Olivia oparła się o barierkę altany i wdychała żywiczny aromat świeżo ciętego drewna.

- Kiedy brali tu ślub - powiedziała, przymykając oczy - dzień musiał być piękny jak dzisiaj. Babcia mówiła, że była wtedy cudowna pogoda.

Na jednym ze słupów wisiało stare czarno-białe zdjęcie. Przedstawiało dziadków Olivii, młodych i zakochanych w sobie po uszy, w towarzystwie wszystkich zaproszonych gości przed oryginalną altaną. Powstająca na jej miejscu konstrukcja bardzo udatnie naśladowała swoją poprzedniczkę.

Connor źle zrozumiał wyraz twarzy Olivii.

- Nie denerwuj się. To odbitka.

- To ty umieściłeś tu fotografię?

- Dziwi cię to?

- Trochę... tak.

- Ja. A co miało znaczyć tamto spojrzenie?

- Nic. Stałeś się fajnym facetem, Connor. To też mnie zaskakuje.

- A ty stałaś się... seksowna - odparł. - Ale mnie to... wcale nie zaskakuje.

Olivia prychnęła z niedowierzaniem.

- Nawet mnie nie poznałeś, kiedy zobaczyłeś mnie pierwszy raz po...

- Wisiałaś na maszcie. W takich warunkach nie rozpoznałbym nawet własnej matki.

Olivia poczuła, że nie boi się otworzyć przed Connorem swej duszy. Że ma do niego pełne zaufanie. Czy to nie zadziwiające? Z jakiegoś szalonego powodu żywi namacalną wręcz wiarę w Connora Davisa.

Wpatrzyła się w fotografię. W tamtej chwili radość malowała się na wszystkich twarzach i rozjaśniała każdą parę oczu. Dziadek wyglądał dumnie i - a jakże! - czarująco w smokingu, babcia była absolutnie rozanielona. Ich zebrani dookoła przyjaciele byli tak uroczyści i odprasowani, że na zdjęciu wyglądali nierealnie - jak płaskie rysunki. Dziadkowie mieli wtedy mniej lat niż Olivia teraz. Choć zdjęcie było bez wątpienia pozowane, na ich twarzach malowała się chwytająca za serce niewinność i czystość.

Olivia pomyślała, że musiała to być dla nich magiczna chwila wielkiego szczęścia i nadziei, ponieważ od razu wiedzieli, że chcą spędzić ze sobą resztę życia.

Byli młodzi i aż promieniowali miłością. Zdjęcie nie zdradzało śladu starć, jakie musieli toczyć z rodziną dziadka, która stanowczo sprzeciwiała się ich związkowi. Nie było tu żadnej zapowiedzi tego, co ich czeka w życiu - ani dobrych, ani złych chwil. Wietnam i kryzys paliwowy, czas rozkwitu i czas tragedii nie istniały. Na zdjęciu utrwalona została jedynie niewinna radość ze wspólnie rozpoczętej podróży przez życie.

Olivia rozpoznała na fotografii także swych dziadków ze strony matki. Samuel Lightsey był drużbą na tym ślubie. W kilka lat później poślubił swą wybrankę, dla Olivii babkę ze strony matki, Gwen.

- Chciałabym, żeby dzień rocznicy był dla nich równie wspaniały, jak dzień ślubu - powiedziała z uśmiechem zadumy.

- Mam przeczucie, że skoro ty i Dare wzięłyście się do tego, na pewno tak będzie.

Olivia poczuła, że rzucony na nią przez Connora urok działa teraz ze zdwojoną siłą. Z każdym słowem jej zaufanie do niego wzrastało.

No dobra, pomyślała. Wdech... wydech...

- Byłam kilka razy związana z mężczyznami - oznajmiła cicho, bacznie spoglądając w jego twarz. - Mówię to na wypadek, gdybyś był ciekaw.

Nawet nie drgnął.

- Jak rozumiem, nic z tego nie wyszło.

- To prawda.

- Freddy mówił, że cię skrzywdzono, ale nic poza tym.

Pogrzebała stopą w ziemi, odchrząknęła. A czemu nie? Zapewne w końcu i tak dowie się wszystkiego.

- Trzy razy - dodała.

- Nie rozumiem.

- Trzy razy zdarzyło mi się wdepnąć w nieudany związek. Za każdym razem z innym facetem. No... z tym trzecim, technicznie rzecz biorąc, nie doszło do zaręczyn. Raczej... ukreśliłam zawczasu łeb całej sprawie.

Freddy miał rację. Została skrzywdzona, a po każdej porażce coraz bardziej utwierdzała się w przekonaniu, że wina leży po jej stronie. Wyglądało na to, że ma pecha albo nie umie dobierać właściwych mężczyzn. Próbowwała pochwycić spojrzenie Connora. Przeskanowała jego twarz, badając reakcję na jej słowa. Nic nie znalazła.

- No i?

- Co: no i?

- Nie chcesz mi nic powiedzieć?

- A co chcesz, żebym ci powiedział?

- Sama nie wiem. Może coś w rodzaju „przykro mi”?

- Ale mnie wcale nie jest przykro.

- Że co?

- Gdyby któryś z tych twoich związków wypalił, to byłabyś teraz mężatką. A to by znaczyło, że stałbym tutaj, pożądam żony bliźniego swego. To grzech, no nie?

Jego szczerść na chwilę zaparła jej dech.

- Pożadasz mnie? Zaśmiał się.

- To chyba oczywiste.

- Kto jeszcze dzisiaj używa takich słów jak „pożądać”?

- Praktycznie prawie każdy facet, który jest uczciwy.

- Pożądając... - powtórzyła, czując w środku gorącą falę zażenowania. - Powinieneś natychmiast przestać...

- Taaa - powiedział. - Zaraz zacznę nad tym pracować. - Nagle zaczął się śmiać, coraz głośniej i głośniej. - Do tego nie dojdzie, mowy nie ma!

- Nie będziesz miał z tego żadnej satysfakcji - ostrzegła.

- Lolly, okropnie obrażalska jesteś! Nie próbuję przecież cię w nic wciągać! Po prostu zastanawiałem się, czy nie moglibyśmy ze sobą chodzić tego lata.

Olivię przeniknęło doznanie, którego nie potrafiła nazwać. Umiała za to je zdusić.

- Cóż za propozycja!

- Rozumiem, że to znaczy „nie”?

- I to przez duże „N”, Connor. Dlaczego miałabym być twoją dziewczyną na lato?

- Moglibyśmy powłóczyć się tu i tam, pośmiać się razem i kochać się na wszystkie możliwe sposoby. I tyle.

O mało nie zakrztusiła się lemoniadą.

- Wszystko w porządku? - Poklepał ją po plecach, a ona skinęła głową, ale nie mogła wydobyć z siebie słów. - Czy to reakcja na to, co właśnie powiedziałem? - zapytał.

Kolejne skinienie.

- Nikt nigdy tak do mnie nie mówił.

- I w tym tkwi problem. No to się nie dziwię, że odpaliłaś tamtych trzech.

- Miło mi, że uważasz, że to ja ich odpaliłam.

- Nieważne. Najważniejsze jest to, że już ich przy tobie nie ma.

Niechętnie, ale musiała się z nim zgodzić. Nieistotne, jak doskonały wydawał się jej kiedyś Rand, teraz wcale za nim nie tęskniła. Oczekiwała u siebie chwil słabości, potrzeby wykrcenia numeru telefonu Randa po to tylko, żeby usłyszeć jego głos nagrany na automatyczną sekretarkę. Ale okazało się, że taka chwila nigdy nie nadeszła. Olivia nie padła z przeszitym sercem, nie czuła żalu, nie marzyła o tym, aby pozostali przyjaciółmi, nie pragnęła znaleźć się znów w jego objęciach. I to nie był dobry znak. Świadczyło to, że Olivia nie zna dobrze mowy własnego serca. Jedyne mężczyzna, którego kiedykolwiek naprawdę pragnęła, był...

Connor podał jej swoją bandankę.

- Bez obaw, jest czysta - powiedział. - Wytrzymaj sobie twarz.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Najbardziej nieprzyjemne wspomnienia osaczały Olivię w najciemniejszych godzinach spokojnych letnich nocy. We dnie wszystkie żywe dusze w obozie harowały jak dzikie i chodziły spać wcześnie. Olivia nie. Nigdy dotąd nie miała kłopotów ze snem, ale w Kioga często nie mogła zmrużyć oczu. Rozpalony do czerwoności umysł nie dawał jej zasnąć. Owszem, dręczyły ją pytania o pochodzenie Jenny Majesky, na które nie знаła odpowiedzi. Była też podekscytowana wyzwaniem, jakiego się podjęła, przystając na reorganizację obozu. Głównym źródłem ognia były jednak dla Olivii wspomnienia.

Towarzyszyły jej teraz, gdy wyszła z domku ciemną nocą. Błyskały pośród gwiazd, tak jasnych w Kioga, że zdawały się wypełniać całe niebo. Poprzez mgłę biały sierp księżycy wycinał łuk w czarnej politurze, jaką stała się tafla jeziora.

Lekki wietrzyk zmarszczył wodę. Olivia zadrżała. Owinęła się ciasniej džinsową kurtką. Żyjąc tyle lat w mieście, zdażyła zapomnieć, że istnieją na świecie miejsca takie, jak to. Tutaj mogła być całkowicie sam na sam z myślami, które świdrowały jej mózg niczym czyjś krzyk. Poza tym słychać było tylko kumkanie żab i śpiew wiatru wśród gałęzi drzew. Dziwne doznanie. Dziwne i może nawet trochę... złowieszcze?

Powinnaś iść do łóżka, powiedziała sobie. Jutro czeka cię pracowity dzień. Connor sprowadza hydraulików i elektryków. Trzeba zawrzeć z nimi umowę. Zwyczajne spotkanie w interesach. Zwyczajne spotkanie i to wszystko. Ale w myślach już zaczęła dobierać sobie odpowiedni strój na tę okazję. Żalozne.

Connor Davis. Dlaczego pamiętała każde jego dotknięcie, każdy pocałunek sprzed lat? Dlaczego wciąż mogła odtworzyć odbicie jego warg na swoich ustach, ich smak, rytm jego serca, który czuła, kiedy się obejmowali? Wariactwo. W jej życiu wiele się zdarzyło, odkąd opuściła obóz w Kioga. Dlaczego w obecności Connora nie mogła wyzwolić się z tych wspomnień?

Dlatego że gdy kilka dni temu wziął ją w ramiona na parkiecie, wszystkie uczucia z przeszłości natychmiast do niej wróciły.

Westchnęła i ruszyła w kierunku stołówki. Tam teraz mieścił się sztab główny projektu. Równie dobrze można by nad czymś popracować, skoro nie da się spać, pomyślała. Włączyła światło i pogрузzyła się w studiowanie szkiców oraz planów. Hm... Może by tak jeszcze zaparzyć sobie herbatkę i nanieść poprawki tu i ówdzie?

Studiowała właśnie projekt Grega dotyczący terenów zielonych, gdy ze skupienia wyrwał ją głośny hałas. W okamgnieniu rozpoznała dźwięk silnika motocyklowego. O rany, pomyślała, kurcząc się z nerwów. Wyszła przed budynek i czekała. Było wpół do jedenastej w nocy. Co się stało?

Connor zajechał przed samo wejście, wyłączył motor i światła, zsiadł z maszyny i ustawił ją, kopnąwszy podpórkę z boku.

- Mam nadzieję, że cię nie obudziłem? - powiedział, zdejmując kask.

- Nie spałam.

Zdziwiona, weszła za nim do stołówki. Pachniał starą skórą i wiatrem. Jego buty dudniły na deskach podłogi.

- Jest zimniej, niż myślałem - powiedział, ściągając rękawice i rozcierając sobie palce.

- Chyba odmroziłem sobie tyłek, jadąc tutaj.

- Przykro mi - odrzekła trochę zażenowana.

- Czy planujesz zrobić coś z tutejszą telefonią w najbliższym czasie?

- Powinniśmy się podłączyć w przyszłym tygodniu.

- To dobrze. Nie uśmiecha mi się jeździć piętnaście kilometrów pod górę za każdym razem, kiedy chcę z tobą porozmawiać.

- O czym chcesz ze mną porozmawiać? - Usiadła na ławie. - Coś się stało?

- Czeka mnie przybycie nieproszonego gościa. I to na całe lato. Właśnie się dowiedziałem - usiadł obok niej, zaciskając pięści - że przyjeżdża mój brat Julian.

- Nie żartuj. Przypominam go sobie...

No, powiedzmy. Julian był przyrodnim bratem Connora. Mieszkali osobno. Connor z matką w Buffalo, a Julian... Gastineaux - wciąż pamiętała jego nazwisko, ze swoim ojcem w Nowym Orleanie.

- To chyba dobrze, prawda? - Spojrzała na niego uważnie.

- Nie mam pojęcia. Bądź co bądź, to przecież Julian.

Pamiętała, że dzieliła ich spora różnica wieku, dobre dziesięć lat. Julian był na obozie w Kioga w 1997, tego lata, kiedy ona i Connor pełnili obowiązki drużynowych.

- Nie był łatwym dzieckiem - przypomniała sobie.

- Teraz ma siedemnaście lat i zaliczył przedostatni rok szkoły średniej. On i mama mieszkają razem w Kalifornii. Jest teraz z mamą, bo jego ojciec zmarł parę lat temu.

Olivia pomyślała, że chyba nie przeżyłaby utraty swojego ojca.

- I jak on sobie radzi? - zapytała, poruszona.

- Ciężko to przeżył. A tak w ogóle dalej jest trudnym dzieckiem.

- I przyjeżdża do ciebie w odwiedziny?

- Na całe lato. Będzie u mnie pracował.

- W porządku. Wymyślimy mu jakieś zajęcie przy naszym projekcie.

- On przyjeżdża z nakazu sądowego - wyjaśnił Connor.

- Słucham?

- Julian często pakuje się w kłopoty. Zbyt często. Po jego ostatnim wyskoku sąd dla nieletnich postawił go przed wyborem: pobyt w poprawczaku albo zmiana środowiska na lato. A tu jest całkiem inaczej niż w Chino w stanie Kalifornia.

Nie potrafiła sobie wyobrazić, że ktoś bierze pod opiekę nastolatka z problemami, nawet jeśli ten nastolatek jest jego przyrodnim bratem. To potworna odpowiedzialność. Ale Connor to zrobił.

- To bardzo... szlachetne z twojej strony.

- Taaa, pewnie. Jestem przecież szlachetnym facetem.

- Zawsze byłeś.

Mało brakowało, by dodała: „Aż do chwili, w której upokorzyłeś mnie i odszedłeś”, ale w porę się powstrzymała.

- Przyleci nocnym samolotem na lotnisko LaGuardia i przyjedzie tu rannym pociągiem. A ja mam na niego czekać na stacji.

- Jasne.

- Jeszcze nie mogę w to uwierzyć. - Connor westchnął ciężko.

- Nie mogłeś tego przewidzieć. No to... eee.... w jakie tarapaty on się wpakował? Jeśli, rzecz jasna, wolno spytać?

Uśmiechnął się.

- A ile czasu możesz mi poświęcić?

- Całą noc. W Kioga nie działa telewizja, nie pamiętasz? - Zadrżała i objęła się rękami dla ochrony przed nocnym chłodem.

- Rozpalę ogień.

Zaintrygowana Olivia całkowicie zapomniała o śnie. Pierwszy raz w życiu uznała, że brak kontaktu telefonicznego ze światem może być dobrą rzeczą. Gdyby Connor mógł do niej zadzwonić, nie byłoby go tu teraz. Nie rozpaląby migoczącego przyjemnie płomyka ani nie przyciągałyby pary wygodnych foteli w pobliże paleniska. Mężczyzna panujący nad żywiołem, rozpalający ogień specjalnie dla niej... Tak. W tym było coś pierwotnego i... mocno erotycznego.

Może to atawizm z epoki kamiennej? Naturalny pociąg do mężczyzny, który zapewnia ciepło swojej kobiecie?

Suche polana zajęły się prędko. W kominku buzował ogień, a snopy iskier tańczyły wysoko w kominie.

Olivia przyglądała się grze świateł na szerokich ramionach Connora. Patrzyła, jak ruchliwe płomienie rzucają blask na jego schowaną w cieniu twarz i rzeźbią jej rysy. Nie mogła oderwać od niego wzroku.

No dobra, pomyślała. Najwyższy czas przyznać się do tego przed sobą. Czowała coś do Connora Davisa. Znowu. Wciąż. I nie mogła nic na to poradzić. Powinna trzymać się z dala od niego, pokazać mu, co stracił, niszcząc dawno temu to coś, co było między nimi.

- Wszystko w porządku? - spytał, patrząc na nią dziwnie.

Przyłapał ją na gorącym uczynku. Zauważył, że się na niego gapi.

- Miałeś mi opowiedzieć o swoim bracie - przypomniała.

- Racja.

Wyciągnął z kieszeni portfel, swym wygięciem odtwarzający idealnie krzywizny jego ciała. Olivia próbowała nie wnikać w takie szczegóły, ale jej się nie udało. Connor podał jej fotografię.

- Zdjęcie szkolne z ubiegłego roku.

Julian Gastineaux był jednym z najatrakcyjniejszych chłopców, jakich zdarzyło jej się widzieć. Idealna symetria rysów, uroczy uśmiech, skóra w kolorze kawy z mlekiem, ciemne oczy z długimi rzęsami, a do tego mnóstwo dredów.

- Coś wspaniałego - zachwyciła się. - Wygląda jak anioł.

Connor wy dostał z kieszeni kurtki złożony w kilkoro arkusz papieru i rozprostował go na kolanie.

- Pozwano go za jazdę na deskorolce po spiralnej rampie parkingowej, co według mnie musiało być super, oprócz tego, że rąbnął w nadjeżdżający samochód, przeleciał mu przez maskę i wylądował z tyłu.

- Poranił się?

- Nie, ale uszkodził najnowszy model lexusa i niemal na śmierć wystraszył kierowcę.

Ponieważ Julianowi kazano pokryć koszt naprawy wozu, zaangażował się do pracy jako ratownik.

- To brzmi całkiem sensownie.

- Fakt, ale wywalili go z tej roboty, kiedy przyłapali go na skokach do wody z przewrotem w tył z trampoliny o wysokości dziesięciu metrów.

- Myślałam, że trampolina służy właśnie do tego.

- Ale on to robił po godzinach. Nocą!

- No to jednak nie całkiem do tego... Co jeszcze zmalował?

Connor przedstawił Olivii listę jeżdżących włoś na głowie przygód, a każda kolejna była bardziej niebezpieczna od poprzedniej. Julian „pożyczył” lotnię i skoczył z nią z klifów Sansovino, a podczas lądowania zwicznął sobie staw biodrowy. Surfował na sześciometrowych falach, skakał na bungee z mostu, wymalował sprejem swoje inicjały na ścianie wieży ciśnień i w końcu, zapewne by udowodnić swą odwagę, zajechał skradzionym rowerem do jam smolnych w La Brea.

- A to tylko rzeczy, o których wiadomo na pewno - zakończył Connor. - Kiedy skończy osiemnaście lat, usuną to wszystko z akt, ale pod warunkiem że tego lata znów w coś nie wdepnie. I do akcji muszę wkroczyć ja.

- Sędzia uznał, że Julian uniknie dalszych kłopotów, jeśli spędzi lato razem z tobą. Dla Olivii brzmiało to dość logicznie.

- Prawdę mówiąc, uważam, że sędzia próbował po prostu powstrzymać moją matkę od wyrzucenia Juliana z domu. - Connor zmiażdżył trzymany papier i cisnął w ogień. - No tak. Wygląda na to, że mam na karku dodatkową robotę w sezonie. A ty musisz podjąć decyzję.

- Co do...?

- Dalszego zatrudniania tutaj mnie.

- Myślisz, że nie poradzisz sobie jednocześnie z Julianem i tą pracą?

- Muszę sobie poradzić.

- W takim razie nie mam o czym decydować. Zresztą on przypuszczalnie pokocha to miejsce.

- Lepiej jednak się zastanów. Ten dzieciak jest maniakałnym ryzykantem.

- Zobaczymy, jak się wszystko potoczy. A jeśli ta jego potrzeba ryzyka spowoduje jakieś straty, trudno - wszystko tutaj jest ubezpieczone.

Connor wyglądał na zaskoczonego. Chyba nie oczekiwał ze strony Olivii aż takiej współpracy.

- Dzięki, że mnie rozumiesz. Wrócę jutro, jak zgarnę Juliana ze stacji i... - Zmarszczył brwi.

- Co jest?

- Zastanawiam się, gdzie go umieścić.

- Nie będzie mieszkać z tobą?

- Muszę wynająć jakieś lokum w mieście dla nas dwóch, bo u mnie się po prostu nie da... Mam ciut przymały metraż.

- Mieszkania?

- Można to i tak nazwać. Moje mieszkanie stoi obok drogi nad rzeką, pomiędzy pracownią szkła artystycznego a farmą Windy Ridge.

Teraz już wiedziała, gdzie mieszka Connor. Brzeg rzeki, łąka i ta słoneczna polana, otoczona przez klony i brzozy. Przyczepa! Srebrny Airstream na skraju lasu.

- Naprawdę tam mieszkasz?

- Uhm.

Olivia próbowała ukryć zaskoczenie. Nie udało jej się.

Zauważył jej minę i zdobył się na uśmiech, który jednak szybko zniknął.

- Nie ma to jak w domu, no nie?

- Ja nie chciałam...

- Wiem.

Czuła, że powiedziała i tak co najmniej jedno słowo za dużo. Nie było jej z tym dobrze.

- Twój brat może zamieszkać tutaj. Czego jak czego, ale miejsca tu nie brak. Baraki, domki dla personelu i cały rząd bungalowów...

- Dzięki, ale muszę mieć Juliana stale na oku.

- No to zamieszkaj tu razem z nim.

Olivia postępowała tak, jakby chodziło jej wyłącznie o znalezienie zakwaterowania dla Juliana. Naprawdę jednak chciała, żeby Connor spędził całe lato w obozie zamiast codziennie po zachodzie słońca zjeżdżać w dolinę.

- Nie uważasz, że to ma sens? - nalegała. - Tak czy siak pracujesz tutaj przez całe dni. Zaoszczędziłbyś na benzynie i częściach zamiennych.

Ostrożnie, Olivio, mówiła sobie w duchu. Działaj powoli, ostrożnie i delikatnie.

- To miejsce należy do twojej rodziny - odrzekł. - Nie musisz zapewniać mieszkań pracownikom.

Rozpoznała grymas na jego twarzy. Ten sam, jaki przybierał, gdy był dzieckiem, a ludzie zaczęli mówić o jego ojcu. Terry Davis też był ich pracownikiem.

- Słuchaj - powiedziała niedbałym tonem. - A może taki układ cię krępuje?

Connor rozsiadł się w fotelu, wyciągnął nogi bliżej ognia i skrzyżował je w kostkach. Nastąpiła chwila niezręcznej ciszy. Każdy trzask ognia brzmiał jak wystrzał.

- Nie wydaje mi się, Lolly - oznajmił wreszcie z rozbawieniem w głosie. - A co ma znaczyć to twoje spojrzenie?

- Nie patrzyłam na ciebie.

- Aha, akurat.

Oczywiście, że patrzyła, a on znów ją na tym przyłapał.

- Mogłeś odmówić swojej matce - stwierdziła. - Mogłeś powiedzieć, że nie masz obowiązku opiekować się bratem przez cały sezon. Wiesz, co ja sobie myślę? Próbujesz zgrywać twardziela, ale to tylko maska.

Nachmurzył się.

- A niby co jest pod tą maską?

- Twoje wrażliwe, bogate wnętrze.

- O, pewnie. Ale ty jesteś przenikliwa! Jak wiertło dentystyczne.

On właśnie taki jest, pomyślała, ale prędzej umrze, niż się do tego przyzna. Odkąd go znała, Connor zawsze widział, gdy komuś w pobliżu działa się krzywda.

- Julian jest rówieśnikiem Daisy - ciągnęła, żeby doprowadzić sprawę do końca, zanim Connor się rozmyśli. - Będą mogli razem szukać sposobu na nudę. Znowu będzie tu tak, jak kiedyś. Jak wtedy, gdy byliśmy w ich wieku.

- I tego się właśnie obawiam.

- Ejże, jakoś przeżyliśmy, a dzisiejsze dzieciaki wiedzą o życiu dużo więcej niż my w ich wieku. A na pewno więcej niż wtedy ja. Jeśli zamieszkas z Julianem w jednym domku, będziesz mieć go stale na oku. Podsumowując - dodała szybko. - Umowa stoi.

Connor spoglądał na nią przez długą chwilę. Jego wzrok spoczął na jej ustach, a następnie przeniósł się na oczy. Olivia niemal zapomniała, jak on potrafi milczeć, zapomniała o tym jego specyficznym spojrzeniu, którym badał ją tak, jakby chciał odczytać jej myśli. Poczula, że szyja i twarz jej czerwienieją.

- Faktycznie, Lolly - powiedział. - Umowa stoi. O, Boże, pomyślała. Co ja narobiłam?

- Znowu się na mnie gapisz - wytknął jej.

- Och - zamrugła. - Przepraszam. Wstał i podszedł do drzwi.

- Connor? Odwrócił się do niej.

- Czy ty... - Przełknęła ślinę i odchrząknęła. - Mam do ciebie to samo pytanie, które ty zadałeś mi wcześniej. Czy ty... eee... myślałeś kiedyś o nas?

- Nie. - Wzruszył ramionami. - Dzieją się różne rzeczy, życie sobie płynie... Nie myślałem o nas naprawdę bardzo długo.

No, tak. Zapytała i dostała odpowiedź. Szurnęła stopą i wbiła wzrok w podłogę, potem w drzwi. Byle tylko zawiesić oko na jakimś neutralnym terytorium.

Connor uśmiechnął się i dotknął jej ramienia.

- Ale teraz myślę na pełnych obrotach.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Connor nie opowiedział Olivii nawet części tego, co czuł. Zaintrygowało go, kiedy ją zobaczył na maszcie. Później coraz agresywniej atakowały go wspomnienia - te dobre i te złe - o chwilach z nią spędzonych.

Nie był pewien, dlaczego tak się pilnuje w obecności tej kobiety. Mógł jej przecież bez trudu wyjaśnić, dlaczego mieszka w przyczepie i zarazem jeździ na harleyu. Może nawet mógłby wytłumaczyć jej, dlaczego skrzywdził ją lata temu. Ale jakoś nie potrafił się na to zdobyć. Sam nie rozumiał, dlaczego uważał, że lepiej będzie pozwolić, by Olivia widziała w nim skończonego drania, motocyklowego chuligana mieszkającego byle gdzie. Może wtedy oszczędziłby jej bólu. Wiedział bowiem, że chociaż sam chciałby wniknąć w najbardziej niedostępne i wrażliwe zakątki jej ciała, umysłu i duszy, to nie ma na to szans większych niż wtedy, gdy jeszcze oboje nie byli dorośli.

Ostatniej nocy owładnęła nim chęć otwarcia się przed nią, ale była, paradoksalnie, zbyt silna. Może nawet obsesyjna, a przez to... niebezpieczna.

Zastanawianie się nad tym, dlaczego rozstali się kiedyś w taki a nie inny sposób, po prostu nie miało sensu. Mieli wtedy po siedemnaście, osiemnaście lat i właśnie skończyli szkołę średnią. Ona - rozpaczliwie nieszczęśliwa. On - śmiertelnie wystraszony i obciążony zbyt wielką odpowiedzialnością. Na takim fundamencie trudno zbudować jakikolwiek związek. Ale to też nie był powód, dla którego wszystko między Olivią i Connorem się posypało.

W ciągu tych dziewięciu lat ona odmieniła samą siebie całkowicie. Wygląd, włosy, zachowanie, nawet imię. Przestała być tą Lolly, jaką znał. Lolly, która teraz mogła równie dobrze być wytworem jego wyobraźni: wstydliwą, nieśmiałą, marzącą o tym, by zostać pedagogiem. Dziewczyną o szlachetnym sercu. Jediną osobą na świecie, która naprawdę pokochała Connora.

Po raz dziesiąty już chyba sprawdził swoją komórkę. Jedenasta piętnaście rano. Nowych wiadomości brak. A to jest dobra wiadomość, powiedział sobie, wsuwając telefon z powrotem do kieszeni. Julian miał przyjechać o wpół do dwunastej.

Connor zastanawiał się, co też jego brat powie, gdy zobaczy, jak wygląda Avalon. To miasteczko stanowiło idealne schronienie dla życiowych wykolejeńców, zaludnione przez totalnych luzaków, byłych hippisów, nawiedzonych ekologów, artystów i poetów. Connor nigdy nie brał poważnie pod uwagę możliwości, że tu się osiedli. Miałby prowadzić życie w mieście, w którym nikt nie kłopotał się zamykaniem na noc drzwi w domach? Ale gdy samo życie przywiodło go na skraj katastrofy, powiązania z Avalon - a szczególnie z rodziną Bellamych - były tym, co go uratowało.

Rourke McKnight, miejscowy szeryf, oczekiwał go już na stacji kolejowej. Connor domyślał się, że przedstawiciel prawa nie jest na służbie.

Szeryf bowiem miał przy sobie swoje dwa ulubione gadżety na czas wolny od obowiązków: kobietę zbudowaną jak modelka reklamująca bieliznę i parę ciemnych okularów dla ukrycia śladów po ubiegłonocnej imprezie. Zauważył Connora i pomachał do niego. Connor uśmiechnął się na znak, że to zauważył.

Bielizniana modelka powiedziała coś do Rourke'a i poszła do poczekalni. Connor postanowił skorzystać z okazji i przygotować grunt na przybycie Juliana.

- Cześć, Rourke - powiedział.
- Connor! Podali sobie ręce.
- Masz chwilkę? - spytał Connor. Rourke zerknął w stronę poczekalni.
- Jasne. Znasz kobiety i te ich problemy z makijażem.

Tutaj szło zapewne o coś innego, ale Connor przytaknął. Szeryf słyszał w całej okolicy z tego, że w stosunku do znajomych niewiast prowadził politykę obrotowych drzwi. Wszystkie jego przyjaciółki odznaczały się wspaniałymi kształtami i wszystkie szybko opuszczały Avalon - zazwyczaj po jednym weekendzie - i nigdy nie wracały.

Miejscowi plotkarze utrzymywali, że takie zachowanie nie przystoi zwierzchnikowi tutejszej policji, ale większość mieszkańców uważała, że nie ma potrzeby wtykać nosa w to, co szeryf robi w czasie wolnym od pracy, dopóki nie łamie prawa.

- Chciałem cię uprzedzić, że mój młodszy brat przyjeżdża do mnie na całe lato - wyjaśnił Connor. - Sytuacja rodzinna trochę mu się pokomplikowała. Będziemy razem w Kioga, mam tam robotę.

- Okej.
- On przyjeżdża tu z nakazu sądowego - dodał Connor. - Ma siedemnaście lat i zdążył zarobić parę paragrafów w Kalifornii.
- Co jest, przegrałeś jakiś zakład? - Uśmiechnął się krzywo Rourke.
- Coś w tym guście. Aha, on nazywa się Julian Gastineaux i powinien przyjechać następnym pociągiem.

- Zapamiętam to sobie. - Mówiąc te słowa, McKnight zdjął okulary i przechwycił spojrzenie Connora. - Daj mi znać, gdybym był ci potrzebny.

- Dzięki.

Uścisnęli sobie ręce w milczącym porozumieniu. Wielu ludzi w miasteczku - w tym szeryf - wiedziało, że Connor Davis był przez jakiś czas na państwowym wikcie. Nikt jednak nie zdawał sobie sprawy, jak ten państwowy wikt na niego wpłynął.

Gdy matka zmusiła go, by zajął się Julianem przez wakacje, Connor twardo postanowił, że zrobi wszystko, by jego brat nie zaznał czegoś takiego.

Pierwszy raz, gdy Julian przeszedł pod opiekę matki, Connor miał nadzieję, że dzieciakowi pobyt z nią posłuży lepiej niż jemu samemu. Sądząc po tym, co działo się teraz, była to płonna nadzieja. Chciałby powiedzieć bratu, że to nie on jest tu podstawowym problemem. Problem natomiast tkwił w samej matce. W tym, że trzeba było ciężko pracować na to, by zechciała okazać potomstwu choć odrobinę miłości. Connorowi praca ta zajęła mnóstwo czasu; włożył w nią wiele serca tylko po to, by odkryć, że boryka się z niewykonalnym zadaniem.

Znajoma Rourke'a wróciła. Szeryf znów założył ciemne okulary.

- Bywaj, Connor.

- Na razie.

Uklonił się grzecznie kobiecie szeryfa i poszedł na peron.

Z południa nadjechał pociąg. Bieliźniana modelka obdarzyła Rourke'a długim jak pończocha pocałunkiem i wsiadła do jednego z wagonów. W chwilę później w kieszeni Connora rozległ się dzwonek telefonu. Sprawdził na wyświetlaczu numer i przyłożył komórkę do ucha.

- Mamo? Właśnie myślałem o tobie.

- On już jest na miejscu?

- Jego pociąg będzie dosłownie za minutę. - Connor patrzył, jak odjeżdżający skład znika w przerwie między strzelającymi w niebo skalnymi ścianami gór. Spróbował wyobrazić sobie widok z okien mieszkania matki w Chino, w Kalifornii. Przeniosła się tam po tym, jak Mel z nią zerwał. Autostrady, hodowle bydła i bazarki.

- A jesteś pewien, że on do tego pociągu wsiadł?

- A ty nie? - zasepił się Connor. Czyżby jego matka doznała nagłego ataku instynktu macierzyńskiego i związanego z nim niepokoju o los dziecka? To do niej niepodobne. - Co jest grane?

Pauza.

- On czasami ucieka - odparła spokojnie.

- Świetnie. Dzięki, że mi raczyłaś powiedzieć. - Connor poczuł, jak tężeją mu mięśnie twarzy. Prawdopodobnie musiałyby zdrowo zabulić, gdyby Julian dokonał teraz jakiejś samowolki. Connor nie był pewien, co go w tym bardziej drażni - fakt, że matka wmanipulowała go w sprawowanie opieki nad młodszym bratem czy to, że on sam jej na to pozwolił.

- Wolno wiedzieć, co jeszcze przede mną ukrywasz? - spytał z jadowitą słodyczą.

- Boże, Connor! Niczego przed tobą nie ukrywam, do jasnej cholery! Po prostu sprawdzam, co dzieje się z twoim bratem!

- W porządku.

- Słuchaj, jeżeli to cię tak denerwuje, to mogłeś powiedzieć mi wcześniej! Wydałam prawie wszystkie pieniądze na bilet dla niego!

- Kupno biletu na krajowy lot rujnuje cię finansowo? - Connor, mówiąc to, zastanawiał się, czy matka dała Julianowi pieniądze na kupno biletu kolejowego.

- Musiałam zapłacić pełną cenę!

Matka miała pięćdziesiąt pięć lat. Opłacenie przelotu z Los Angeles do Nowego Jorku nie powinno jej zrujnować. Tyle że nie potrafiła utrzymać pieniędzy przy sobie. Była uzależniona od zakupów. Tak jak ojciec od alkoholu.

- Powiem ci, co zrobię - oświadczył. - Jak tu przyjedzie, to każę mu do ciebie zadzwonić. A jak nie przyjedzie, to zadzwonię do ciebie sam.

Długa pauza. Poprzez ciszę do świadomości Connora dotarło niewypowiedziane przez nikogo ostrzeżenie.

- Mamo? Czy coś jeszcze przede mną ukrywasz? Usłyszał w słuchawce głęboki wdech.

- Ja, eee, nie wyjaśniłam mu dokładnie, ile czasu ma spędzić u ciebie.

- A on sam myśli, że jak długo ma tu być? - Connor właściwie nie musiał o to pytać. Od razu wiedział, że matka skłamała po to, żeby sprawy potoczyły się po jej myśli. Zawsze tak postępowała.

Tylko jednym uchem słuchał teraz jej długich wyjaśnień pełnych samousprawiedliwień. Powiedziała Julianowi, że ma wyjechać z Kalifornii na tydzień, no, najwyżej dwa, a jeśli tego nie zrobi, to pozbawi ją środków do życia i wyląduje w więzieniu.

Connor już kiedyś to słyszał. To samo albo przynajmniej wersję bardzo zbliżoną. Nie słuchał brzęczącej monotonnie słuchawki i skupił uwagę na nadjeżdżającym pociągu. Po chwili wysypała się z niego garstka pasażerów: zakonnica z pokaźną torbą, nauczyciel z miejscowego liceum, jakiś biznesmen i rodzina turystów. Ci od razu skierowali się w stronę wypożyczalni samochodów.

No i pięknie. Nikt poza tym nie wysiadł.

Connor przemierzał peron tam i z powrotem. Tymczasem z pociągu wyjrzał konduktor, spoglądając na tory i peron. Uniósł do ust gwizdek, by dać sygnał do odjazdu.

A Juliana ani śladu. Connor zaklął pod nosem, machając do konduktora, by ten jeszcze zaczekał.

W tej samej chwili z wagonu wyskoczył wysoki, szczupły nastolatek z dreadami na głowie. Julian!

Nie użył zwykłego wyjścia, lecz wychynął pomiędzy wagonów, zrzucając na peron przeładowany plecak i takąż torbę, po czym skoczył w ślad za bagażem.

Connor utkwiał spojrzenie w niewiarygodnie wysokim chłopaku i uniósł telefon do ust.

- Mamo, on już tu jest. Zadzwonię do ciebie później.

Zamknął telefon i włożył go do kieszeni.

- Hej! - zawołał. - Tutaj!

Julian stęzał, przybierając postawę obronną, jakby spodziewał się fizycznego ataku. Postawę właściwą komuś, kto bywał krzywdzony. Kto, być może, spędził noc w więzieniu.

Gdy widzieli się ostatnim razem, Julian miał czternaście lat. Wciąż jeszcze na dziecięcym brzegu dojrzewania. Connor przyjechał wtedy do Kalifornii - to matka, pogrążona w rozpacz po zapaści swego małżeństwa, błagała go, żeby do niej przyjechał.

Julian, jakiego wtedy ujrzał, miał złamaną rękę, krzywy uśmiech i serce pełne żalu po niedawnej utracie ojca.

W trzy lata później Connor miał przed sobą wyjątkowo wysokiego nieznajomego o ponurym i wrogim wyrazie twarzy.

- Hej! - powiedział, zatrzymując się o kilka kroków od Juliana.

Brat potrząsnął głową, odrzucając dredy spadające mu na oczy.

- Hej - powiedział męskim głosem z męskim gniewem pałającym w źrenicach.

Jego skórę pokrywało więcej kolczyków i tatuaży niż u niejednego marynarza floty handlowej.

- Właśnie dzwoniła mama - oznajmił Connor. - Bała się, że się nie pojawisz.

Julian zarzucił sobie na ramię plecak z demobilu.

- Ale się pojawiłem. Masz farta.

Nie podali sobie rąk. Nie objęli się tak, jak powinni to zrobić bracia po trzech latach niewidzenia się.

- Tutaj mam ciężarówkę. - Connor wskazał dodge'a, rocznik mniej więcej 1974. - Wrzucaj klamoty na pakę i wsiadaj.

- Niezły rzęch.

Torba wydała po lądowaniu metaliczne brzęknięcie. Connor pomyślał, jak chłopakowi udało się ją przemycić przez bramki na lotnisku. Julian zatrzymał plecak przy sobie. Usiadłszy w szoferce, rozstawił szeroko długie nogi i trzymał bagaż między kolanami. Odpiął górną klapę, wyjął spod niej batonik i pożarł go w dwóch kęsach. Connor popatrzył na zawartość plecaka. Były tam ubrania i zaskakująca liczba książek. Wszystko to musiało ważyć chyba z tonę, ale

Julian niósł plecak bez widocznego wysiłku. Dobrze. Taka siła przyda się nieraz tego lata.

- A teraz mam dla ciebie dwie wiadomości, dobrą i złą - oznajmił Connor. - Dobra to taka, że nie spędzisz całego lata w poprawczaku.

- A ta zła?

Connor wrzucił pierwszy bieg. Stacja pozostawała w tyle za nimi.

- Spędzisz lato ze mną.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Dla Juliana Gastineaux życie zyskało na gównowartości, gdy przechodził przez bramę główną Obozu Kioga. Obóz Kioga, kurna. Tu zdycha lato, pomyślał, rozglądając się z pogardą. Otoczenie wyglądało jak z filmu Disneya, ten rodzaj miejsca, na którego widok białasom zbiera się na śpiewy.

Wcześniej był tu tylko jeden raz, w tamte wakacje, gdy miał osiem lat. Tyle że wtedy pobyt tutaj wydawał mu się pasjonującą przygodą. Ale poza tym wówczas, tak samo jak teraz, został tu wysłany przez matkę, która miała ciekawsze zajęcia niż zajmowanie się dzieckiem, a ojciec wtedy pojechał na urlop naukowy za granicę. Do Włoch, o ile pamiętał.

Ludzie jego ojca, jak sami o sobie mówili, mieszkali w zapomnianym mieście szalasów i budek, gdzie kupuje się losy na loterię w południowej Luizjanie. Byli zawsze chętni do opieki nad Julianem, ale ani on, ani jego ojciec nie znajdowali z nimi wspólnego języka. Profesor uniwersytetu w Tulane i jego syn nie pasowali do reszty rodziny Gastineaux, zatem gdy ojciec Juliana wyjechał wtedy na całe lato, on sam musiał, jak mu się zdawało, zostać z matką. Ale tak samo jak teraz, ona z kolei nie chciała, by pętał jej się pod nogami, tak więc obóz w Kioga musiał stać się dla Juliana tymczasowym czymś-w-rodzaju-domu. Historia lubi się powtarzać, pomyślał, tylko że teraz był tym wszystkim o wiele bardziej wkurzony niż kiedyś.

Gdy był mały, obóz wydawał mu się rajem na ziemi. Julianowi, wychowanemu w starym, zatęchłym domu w Nowym Orleanie, dzieciństwo kojarzyło się ze stertami żółtych ze starości książek, poukładanych w wysokie stopy w każdym wolnym miejscu. Wszystkie stoły i biurka w mieszkaniu były pozaściełane papierami, notatkami, czasopismami i Bóg wie czym jeszcze. Od gorszej dzielnicy jego dom oddzielał zaledwie jeden zaułek. Tam rozsądna kobieta nie wychodziła sama z domu po zmroku. Ojciec zakazał Julianowi wypuszczania się w tę okolicę. Powiedział to w chwili, jednej z nielicznych chwil, gdy przypomniał sobie, że ma syna.

A zapominał o tym często. I nic dziwnego, przecież był zbzikowanym geniuszem. Piórniczek w kieszeni, zawsze rozczochrany, okulary grubości denek od butelek - wszystko to składało się na powierzchowność Louisa Gastineaux. Typ szurniętego naukowca: błyskotliwy umysł i nietypowa osobowość. Nie pasowały do tego tylko dwie rzeczy: ojciec Juliana miał czarny kolor skóry i budowę ciała kulturysty.

Julian próbował wszystkiego, by zwrócić na siebie uwagę ojca. Bezskutecznie. Ani same szóstki na świadectwie szkolnym, ani celowe zawałanie egzaminów: nic nie działało. A gdyby spróbował udawać chorego, umarłby z nudów w łóżku, zanim ojciec zdołałby to zauważyć.

- Za chwilę do ciebie przyjdę - zwykł mawiać Louis Gastineaux z twarzą zanurzoną w mglistej poświacie, roztaczanej przez ekran komputerowego monitora.

I chociaż potrafił prowadzić w głowie obliczenia z dokładnością do jedenastego miejsca po przecinku, to za cholerę nie potrafił zdać sobie sprawy z tego, ile właściwie powinna trwać „chwila”. Profesorowi Gastineaux widocznie było wygodniej zamieszkiwać wszechświat wewnątrz komputera aniżeli codzienną rzeczywistość z pakowaniem drugich śniadań, chodzeniem na wywiadówki, pamiętaniem o czyichś urodzinach i robieniem zakupów. Czasem wyglądało na to, że ojciec Juliana całkowicie zapominał o istnieniu syna.

A Julian szukał rozrywki w silnych doznaniach fizycznego zagrożenia. Wspinał się. Czubki drzew, schody przeciwpożarowe, górne łuki mostów, zwisające gdzieś liny... Nauczył się czerpać rozkosz z dreszczu niebezpieczeństwa, gdy każda krwinka w żyłach wydawała się wrzeszczeć z przerażenia.

Pożądał uczucia nieważkości i lotu, skacząc na swej deskorolce lub surfując w gorącym wietrze po wodach Zatoki Meksykańskiej.

Julian nie potrafił wyobrazić sobie swych rodziców siedzących w jednym pokoju ani, tym bardziej, leżących w jednym łóżku. Matka - blond seksbomba, ojciec - znikomy profesor. Gdzie w tym sens? Na temat tego, jak się poznali, Louis Gastineaux miał niewiele do powiedzenia.

- To się zdarzyło na konferencji poświęconej zagadnieniom napędu odrzutowego w Niagara Falls - mówił. - Ona śpiewała w klubie, a ja wygłaszałem referat dotyczący przełomu, jakiego mój zespół badawczy dokonał w dziedzinie technologii konstrukcji żagla fotonowego. Mieliśmy co świętować.

Gdy Julian był jeszcze mały, nie znał takiego terminu jak „jednorazowy numer”, a jego ojciec nie raczył go oświecić w tym względzie. Tyle że Louis Gastineaux był o piętnaście lat młodszy od matki Juliana. Temu ostatniemu nie mogło się to jakoś pomieścić w głowie.

Później matka dołożyła do tej historii swoje trzy grosze.

- Po tym, jak się urodziłeś - mówiła - okazało się, że nie stać mnie na wychowywanie drugiego dziecka, tak więc zdałam prawa rodzicielskie na Louisa.

Julian podejrzewał, że było w tym więcej wyrachowania niż troski. Ostatecznie doszedł do wniosku, że on sam jest wypadkiem przy pracy, niechcianym dzieckiem wychowywanym przez tego z rodziców, któremu nie pofarciło się przy losowaniu.

Kilka lat temu ojciec jakimś cudem pamiętał, by wyjaśnić mu, jakie niebezpieczeństwa wiążą się z uprawianiem seksu bez zabezpieczeń. Zrobił to w swym niepowtarzalnym stylu, tak jakby wygłaszał wykład o koncepcjach napędu odrzutowego. Potem wręczył Julianowi paczkę prezerwatyw.

Życie takiego naukowca teoretycznie nie powinno obfitować w niebezpieczeństwa, ale... Wjazd ekscentrycznego geniusza zdezelowanym plymouthem na pełnym gazie w sam środek korka drogowego w godzinie szczytu - taki przypadek wisiał w powietrzu.

Dzień, w którym zmieniło się życie Juliana, był zupełnie zwyczajnym dniem. Ostatnie słowa, jakie wypowiedział Louis - rano - też nie zawierały niczego specjalnie głębokiego ani proroczego. Po prostu oznajmił Julianowi, że pewnie nie zdąży wrócić do domu na obiad.

Następnego dnia rano ktoś łaskawie przypomniał sobie, żeby zadzwonić do Juliana. Okazało się, że Louis Gastineaux ledwie przeżył wypadek, a gdy ocknął się ze śpiączki wywołanej obrzękiem mózgu, był już tetraplegikiem. Jego ciało mogło najwyżej dostarczać krew i substancje odżywcze do jakże błyskotliwego mózgu. On sam wydawał się w przedziwny sposób pogodzony z takim obrotem zdarzeń, albowiem po krótkim przystosowaniu się do odpowiedniej aparatury nadal mógł korzystać z komputera i posługiwać się swym geniuszem. A jedną z pierwszych rzeczy, o jakich wtedy pomyślał, było to, że nie będzie już mógł opiekować się swym czternastoletnim synem. Julian musiał zamieszkać u matki.

Ona się na to zgodziła. Julian znów podejrzewał, że coś się za tym musi kryć. Był niemal pewien, że tym „czymś” jest solidny bodziec natury finansowej. Obydwoje wynieśli się do Chino w Kalifornii, niezbyt pociągającego miasteczka składającego się głównie z autostrad. Matka mieszkała tam i pracowała jako kelnerka, roznosząc koktajle w lokalu będącym połączeniem restauracji z teatrem. Nigdy nie potrafiła porzucić marzeń o karierze scenicznej. Julian zaś dołączył do paczki skejtów i młodocianych przestępców, spędzając czas głównie na poszukiwaniu emocji i ucieczkach przed prawem. W kilka miesięcy później nadeszło zawiadomienie o zgonie ojca, wywołanym powikłaniami chorobowymi. I tak oto los Juliana został przypieczętowany. Gastineaux junior wpadł jak śliwka w kompot.

Teraz oburzenie rozsadzało każdą komórkę jego ciała, gdy wkraczał w obręb obozu, idąc za swym bratem. Connor, kurna, Davis. Ten sam wzrost - sto osiemdziesiąt kilka centymetrów - ale co do wyglądu to różnili się od siebie tak, jakby pochodzili nie od jednej matki, lecz z dwóch odległych planet. Connor miał te swoje długie kudły harleyowca, a Julian regałowo-hiphopowe dredy. To pomogło mu wtopić się w otoczenie w szkole, choć jednocześnie oddaliło od matki, postawnej nordyckiej królowej.

Nie potrafił pojąć, jakim cudem udało jej się zrobić go w przyjazd tutaj. Tylko tydzień, gruchała przymilnie, tylko tydzień. Żeby sędzia pomyślał sobie, że przyjmujemy jego wyrok. Ech, powinien być bardziej przewidujący...

Błękitne jezioro pośrodku lasu mogło być dla wielu ludzi żywym obrazem Edenu. Ale nie dla Juliana. Nawet w przybliżeniu. Wolałby betonowy skejt-park. Jego najprzyjemniejsze wspomnienia wiązały się z przelotami nad barierką dzielącą jezdnię autostrady koło miejsca zamieszkania i surfowaniem podczas sztormu koło Huntington Beach. Tutaj? Nie miał

pojęcia, co ze sobą począć. A przy prześladowającym go pechu łatwo mogłoby się zdarzyć, że brat zapędzi go do kopania latryn czy czegoś w tym rodzaju. Bo z Connorem coś było Julianowi „niehalo”. Choć ledwie znał starszego brata, domyślał się, że ten cierpi na rzadką chorobę, znaną jako „etos pracy”. Znaczący, że niby im ciężiej tyrasz, to tym bardziej etyczny się robisz. Gdzie w tym logika? Julian sądził, że mógłby w drodze dedukcji wykazać tkwiący w tym bezsens, ale do tej pory za każdym razem gdy używał swego mózgu w podobnym celu, łądował się w coraz większe kłopoty.

Minęli wodospady Meerskill i most wznoszący się nad wąwozem. Kurczę, jak on dobrze pamiętał ten most! W wieku ośmiu lat po raz pierwszy w życiu skoczył z niego na bungee. Zgoda, wpakował się przez to później w niewąskie tarapaty, ale jazda była tego warta. Ten wybryk spowodował nawet, że dzieciaki nadały mu nową ksywę: Człowiek Jastrząb. On dla swojego brata wymyślił inną: gównomózgi dupek. Connor zawsze martwił się o Juliana, czego nigdy nie robili rodzice.

- Tutaj śpimy - powiedział Connor, wskazując na rząd domków przyciśniętych do zbocza wzgórza na skraju ciągnącej się kilometrami puszczy.

Wszystkie te chatki były jedna w drugą takie same, zrobione z pociemniałego od wilgoci drewna. Każda z nich miała okna wychodzące na jezioro, kamienny komin i schodki prowadzące na taras wokół domku.

- Całe obozowisko przez lata było zamknięte - wyjaśnił Connor, otwierając drzwi ostatniej chatki w szeregu. - Musimy trochę tu posprzątać.

Julian z westchnieniem postawił torbę i plecak na podłodze. Chmury kurzu wzbijały się w powietrze z każdego możliwego zakamarka.

- Faaceet! - orzekł z najlepszą skejtowską intonacją. - Nieesaamoowiitee!

- Aha. - Connor skierował się do większej z dwóch sypialenek. - Ja biorę tę - powiedział. - Ty drugą.

- Jakoś nie wierzę, żebyś potrafił mnie zmusić do zostania tutaj.

- Jeśli wziąć pod uwagę twoją sytuację, to i tak nieźle wylądowałeś. - Connor nie dał się nabrać na zaczepkę. - Masz całą resztę dnia dla siebie. Rozściel łóżko, ogarnij tu trochę, odpocznij po podróży, obejrzyj sobie obóz i złap coś do jedzenia.

Jeżeli to ma być wolny dzień, pomyślał Julian, to jak ma wyglądać praca? Sukinsyństwo.

- Mama przysłała mi mejlem listę zaleceń z sądu dla nieletnich - ciągnął Connor. Wydobył z kieszeni kilka złożonych kartek. - Zdaje się, że ubrali cię w całe czterdzieści siedem regułek i dobrych rad. - Rzucił plik papierów na półkę w pokoiku Juliana. - A moim zdaniem powinieneś pamiętać tylko o jednej zasadzie, kiedy jesteśmy razem.

Julian spojrzał na brata zwięzonymi oczami, wystawiając podbródek odrobinę do przodu.

- Taaa? Jakiej?

Connor wrzucił pęk kluczy głęboko do kieszeni.

- Nie opierdzielaj się.

Tuż przed zachodem słońca Julian poczuł, że głód okazał się silniejszy niż jego duma. Smutne, że nie zajęło to wiele czasu. Nigdy nie miał problemów z apetytem, godnym jakiegoś nienasyconego monstrum, opętanego tylko jednym dzikim pragnieniem: napchać się. Początkowo Gastineaux junior planował pozostać w chatce i iść do łóżka na głodnego, by pokazać Connorowi, co myśli o takich dupnych wakacjach.

Connor chyba przypuszczał, że wyda się młodszemu bratu równym facetem, jeśli zredukuje wszystkie zasady do jednej: „nie opierdzielaj się”. Nie wiedział jednak, że w ten sposób odbiera Julianowi szansę na wykonywanie jedyne go zajęcia, w którym był naprawdę dobry.

A teraz, czując, jak głód ściska mu żołądek, wędrował do stołówki, mieszczącej się w głównym pawilonie, który nie wydawał mu się teraz taki wielki i pałacowaty, jak w dzieciństwie, kiedy przekraczał jego progi z całą resztą zastępu Żółtodziobów.

Gong obwieścił porę posiłku, dokładnie jak w czasach, gdy obóz jeszcze działał. Connor zapowiedział, że jeśli Julian przegapi ten sygnał, to będzie sam sobie winien. Gastineaux junior starał się ze wszystkich sił przeoczyć ten rzygliwy rytuał, ale, jak zwykle, brzuch go zdradził. Był tak głodny, że mógłby zacząć odgryzać sobie nogę. Gdy rozbrzmiał dźwięk gongu, podążył do stołówki po linii prostej, śliniąc się jak najgłupszy z psów Pawłowa.

Connor przedstawił go wszystkim obecnym. Olivia Bellamy, która wynajęła firmę Connora do odnowy obozu, była niezłą blond laską. Powiedziała, że pamięta Juliana sprzed lat, ale on jakoś nie mógł jej sobie przypomnieć. W jego pamięci wszyscy drużynowi zlewali się w jednorodną masę białasów, słuchających kiepawej muzyki i zawodzących jakieś kulawe songi wokół obozowego ogniska. Był tu też facet o imieniu Freddy i jakaś paczka krewnych: kuzynka Dare, organizatorka imprez, która także przyrządzała jedzenie, gościu, na którego mówili Greg, i jego dokuczliwy dzieciak, Max. Chłopca koło dziesięciu lat o policzkach jak jabłuszka przypominał któregoś z dzieci von Trappa z jednego z najokropniejszych filmów, jakie dane było widzieć Julianowi - z „Dźwięków muzyki”.

- Daisy powinna zaraz przyjść - powiedziała Olivia. - Chodź i weź sobie coś do jedzenia.

Daisy? DAISY?

Próbując nie okazywać zaciekawienia, Julian niespiesznie podszedł do lady bufetowej. No dobra, odnotował sobie, trzeba przyznać, że kuzynka Dare kucharzy wprost fenomenalnie. Bez wstydu załadował sobie na tacę zapiekanek z kurczaka, tłuczone ziemniaki, surówkę i pieczywo. Max spoglądał na niego z otwartymi ustami.

- Masz zamiar to wszystko zjeść? - spytał.

- Na pierwsze danie - odparł Julian. - Na drugie zjadam zwykle ciekawskie dzieciaki.

Na Maksie nie zrobiło to wrażenia. Zamiast przysunąć się do ojca w odruchu przestachu, odszczeknął się:

- O taaak, cały się trzęsę.

No cóż. Zabawa w straszenie dzieci też najwyraźniej tu odpadała. Julian opróżnił swą tacę do końca właśnie w chwili przybycia brakującej osoby. To musiała być ta kuzynka, Daisy. Być może światło splatało mu figla, a może doznał wizji, ale w chwili gdy dziewczyna zjawiała się w łukowatym wejściu do stołówki, wszystko się jakoś... odmieniło. Zapadła nagle cisza, jakby sama rzeczywistość brała głęboki wdech.

Kobiecą sylwetkę w przejściu oświetlał blask zachodzącego słońca, wlewający się przez okna, a Julianowi wydało się, że do jego uszu dotarł chór niebiańskich głosów, wyśpiewujących w doskonałej harmonii: „alleluja”.

W innych okolicznościach po prostu zamknąłby oczy, aby poskromić fantazję. Ale patrzył na coś, co fantazją wcale nie było, coś, co miało trzy wymiary i prawdziwe barwy, coś, co kroczyło naprzeciw niego. Chór w głowie Juliana zaczął śpiewać „Pretty Woman”, gdy zjawisko zbliżało się do niego krokiem modelki na wybiegu. Czyżby ona też słyszała tę muzykę?

Kilka wpojonych zasad dobrego wychowania dało znać o sobie. Julian wstał, gdy go przedstawiono nowo przybyłej. Daisy pochodziła z Nowego Jorku i tak samo jak syn profesora Gastineaux ukończyła przedostatnią klasę liceum. Posłała mu uśmiech, od którego pojaśniał cały świat, a jej oszałamiająco błękitne oczy zabłyśły.

- Czy mogę się do ciebie dosiąść?

Choć zadała mu pytanie, to nie czekała na odpowiedź, tylko usiadła obok niego tak, jakby wyświadczała mu królewską łaskę.

Nie miał nic przeciwko temu.

Rodzinne podobieństwo Daisy do jej ojca i brata, tego Maksa, aż rzucało się w oczy. Też wyglądała jak ktoś z von Trappów: blondynka o nordyckiej urodzie i takich kształtach, że mogłaby posłużyć za wzór dla projektantów nowej wersji Barbie. Julian zauważył jednak też, że pod warstwą piękna skrywa się coś jeszcze, coś, czego nie mógł do końca zidentyfikować, coś jakby mrok... otaczający duszę?

W trakcie posiłku dowiedział się, że Daisy uczęszczała do jakiejś szpanerskiej podstawówki w Nowym Jorku i wydawało jej się, że to szkoła, o której musiał coś słyszeć każdy na świecie. Jej matka była prawniczką specjalizującą się w prawie międzynarodowym, a ojciec - architektem pejzażu i teraz urządził sobie wolne lato, by pomóc przy odnawianiu obozu.

Wkurzające jak cholera, pomyślał Julian. Cwane gadki o rodzicach. Kto szpanuje, chwając się rodzicami? On na pewno nie, a ta wścibska blondyna lepiej niech nie pyta go o rodzinę.

Na szczęście ten wątek rozmowy urwał się samoistnie, gdy Dare wniosła deser - duże kawałki kruchego ciasta z brzoskwiniami, nakryte warstwą lodów waniliowych. Smakowało tak, że Julianowi niemal zebrało się na szloch. Powiódł wzrokiem wokół siebie i stwierdził, że nie jest wyjątkiem. Najwyraźniej wszyscy odebrali to w podobny sposób. Mieli przymknięte oczy, a na twarzach ekstatyczne uniesienie właściwe osobom, które doznają intensywnego przeżycia o charakterze mistycznym.

- Ciasto z piekarni Sky River - oznajmiła Dare.

- Nie, prosto z niebios - poprawił ją Greg.

Jedynym niemiłym zgrzytem pośród tej całej harmonii było to, że na Daisy i Julianie spoczął obowiązek zmywania po obiedzie. Ale to też nie było takie złe. Wielka, przeznaczona do zbiorowego żywienia kuchnia miała własną chłodnię, wysokie, stalowe półki i automatyczną zmywarę do naczyń. Praca nie zajęła dużo czasu. Szorowaniu, czyszczeniu, suszeniu i polerowaniu wszystkiego, co potrzebowało takich zabiegów, towarzyszyły śmiechy i żarty, więc nie było tak złe.

Gdy Daisy i Julian skończyli, na zewnątrz było już ciemno. Freddy zabrał Maksa i małego kundla o imieniu Barkis do świetlicy na partyjkę tenisa stołowego. Connor i pozostali rozsiedli się przy stole, popijając kawę i przeglądając stosy papierów. Scena była tak pełna niewymuszonego wdzięku, że Juliana aż zemdlilo.

- Czy możemy rozpalić ognisko na plaży? - spytała Daisy.

- Ty i Julian? - upewnił się jej ojciec.

- Mhm. To znaczy tak, tato. Ja i on.

Julian zauważył coś interesującego. Coś w rodzaju duchowego zmagania między Daisy i Gregiem Bellamy. Zdecydował się wkroczyć do akcji.

- Obiecuję, że zachowam się nienagannie, proszę pana.

Ojcowie większości dziewczyn frajerzeli od tego „proszę pana”. Cztery krótkie sylaby i zachowywali się, jakby ich córki szły na randkę z wzorowym skautem.

- Tak właśnie będzie - dorzucił Connor.

Julian wyczuł oprócz tych słów w tonie brata milczące ostrzeżenie. „Nie opierdzielaj się”.

- No, to w porządku - podsumował Greg. - Może później wpadnę i rzucę na was okiem.

- Pewnie, tato - stwierdziła Daisy z wymuszoną pogodą w głosie. - Byłoby świetnie.

Olivia podała jej pudełko kuchennych zapalek.

- Tylko nie wypuście ognia poza palenisko, okej?

Rozpalenie ogniska okazało się trudniejsze, niż pokazywano to w rozmaitych reality show typu „Wyprawa Robinsona”. Zużyli niemal wszystkie zapalki, zanim stosik gałęzi zajął się ogniem, wytwarzając więcej dymu niż płomieni. Szukając miejsca, w którym nie groziłoby mu uwędzenie, Julian znalazł takie, wyciągając się wygodnie obok Daisy. „Trafiona, zatopiona! ”

- To jak brzmi twoja opowieść? - spytała.

Julian pomyślał najpierw, by stworzyć na poczekaniu baśń o jakiejś szpanerskiej szkole z internatem po to, by jej zaimponować. Stwierdził jednak, że szkoda wysiłku.

- Moja matka jest bezrobotną artystką, wiesz, śpiew, taniec, teatr - powiedział i uznał, że o ojcu lepiej będzie nie wspominać. Ludzie, słysząc, co go spotkało, robili się tacy papkowato współczujący. Julian tego nienawidził.

- W maju miałem kłopot z prawem.

Prawda podziałała na niego jak afrodyzjak. Pomyślał, że może nawet mógłby poczuć, jaka jest w dotyku pierś Daisy. Była przecież tak blisko...

- A co się stało? Ukradłeś samochód? Dilowałeś prochami? - szepnęła.

Ooczywiście. To właśnie myśleli sobie ludzie, widząc Juliana Gastineaux. Duży czarny chłopak z dreadami i agresją wypisaną na twarzy. Kim mógłby być, jeśli nie drobnym kryminalistą?

- Zgwałciłem dziewczynę - odpowiedział. - A może i trzy.

Daisy próbowała nie okazywać ostentacji, nie odsunęła się od niego, ale Julian zauważył, że to gorące napięcie między nimi mocno osłabło.

- Kłamiesz. - Oplotła ramionami przysunięte pod brodę kolana.

Kurczę, ależ ona była wnerwiająca. Nie tylko wiedziała, że on kłamie. Wiedziała, że już żałuje tego, iż podał się za gwałciciela. Powiedział głupstwo.

- No dobra, tak naprawdę to wpadłem, skacząc na bungee z wysokiego mostu.

- O, kurczę! A dlaczego to robiłeś? - spytała z lekką zgrozą.

- A ty nie próbowałaś? - odparował Julian.

- No wiesz co?! Przecież można połamać sobie wszystkie kości. Dostać paraliżu, śpiączki albo po prostu się zabić!

- Ludzie codziennie się zabijają.

- No tak, ale skakanie z mostu zwiększa prawdopodobieństwo utraty życia. -

Wzdrygnęła się.

- Nie masz pojęcia, jak to jest. - Wzrok Juliana wytropił iskierkę na niebie. - Zrobiłbym to jeszcze raz bez najmniejszego wahania. Zawsze lubiłem fruwać.

Latanie było jego marzeniem. Odkąd pamiętał.

- No to to powinno ci przypasować. - Daisy wyciągnęła z kieszeni futerał od okularów i otworzyła go. W środku leżał gruby, niekształtny skręt.

Zapaliła go żarzącym się końcem gałązki i wciągnęła dym.

- To mój własny sposób na odlot.

Sztachnęła się raz jeszcze z wprawą eksperta i podała skręta Julianowi.

- Beze mnie - odrzekł. - Muszę uważać. Posłuchaj, sędzia w Kalifornii dał mojej matce wybór: albo na lato wyjadę z miasta, albo na wakacje powędruję do poprawczaka. A jeśli wyjadę, to mam wpadkę wymazaną z papierów.

- Przyzwoite. Ale tu nikt cię nie przyłapie.

Znowu wyciągnęła do niego rękę ze skrętem. Teraz musiał ujawnić przed nią całą prawdę. Nawet jeśli w jej oczach zrobi to z niego harcerzyka.

- Ja nie jaram.

- Oj weź, to naprawdę dobre zioło - powiedziała. - I nikt nas na tym nie nakryje.

Jesteśmy pośrodku wielkiej nicości.

- Mnie to wisi - odrzekł. - Po prostu nie lubię być na haju, chwytasz?

- Twoja sprawa.

Daisy dołożyła do ogniska patyk i patrzyła, jak płonie.

- Dziewczyny powinny chyba mieć jakieś rozrywki, no nie?

- A ty masz?

Zmierzyła go kosym spojrzeniem poprzez dym.

- Jak dotąd to te wakacje są jakieś... pokręcone. Miałam nadzieję, że będzie dużo bardziej rozrywkowo. Wiesz, co mam na myśli? To ostatnie lato, które przeżywamy jako dzieci. W następnym roku trzeba będzie przyłożyć się do nauki i przygotowań, żeby potem pójść do college'u.

- College? Dobra rzecz.

- A ty się nie wybierasz do college'u?

Jej pytanie zaskoczyło go tak, że aż wybuchnął śmiechem.

- Co jest? - spytała, zapomniawszy najwyraźniej o kopącym skręcie.

- Nikt nigdy jeszcze mnie o to nie zapytał!

- Przeszedłeś do następnej klasy, no nie?

- Racja.

- I twoi nauczyciele i pedagodzy nie będą cię poganiać, gdy przejdiesz do ostatniej?

Znów się zaśmiał.

- Nie w mojej szkółce! Ludzie po niej nie idą do college'u. W mojej szkole belfrzy uważają, że odwalili kawał dobrej roboty, jeśli dzieciaki nie rzucają nauki, nie zachodzą w ciążę albo nie znikają, tylko kończą wszystkie klasy.

- Znikają? Gdzie?

- To takie określenie na odsiadkę w poprawczaku.

- Jakiś koszmar - stwierdziła Daisy. - Powinieneś zmienić szkołę.

Julian był zdumiony. Ta dziewczyna nie miała pojęcia o życiu w prawdziwym świecie. Nic do niej stamtąd nie docierało.

- Tam, skąd jestem, chodzisz do tej szkoły, którą masz najbliżej domu. A potem łapiesz jakąś gównianą robotę w myjni samochodowej, grasz w totka i możesz najwyżej mieć nadzieję, że coś się odmieni.

Daisy zachichotała.

- Ambitny jesteś, nie ma co.

- Po prostu patrzę realistycznie, i tyle.

- No, ja nie mówię, że college to jakaś nirwana albo co, ale sam przyznasz, że to lepsze wyjście niż mycie samochodów.

- College kosztuje. A poza tym nawet gdybym miał jakieś zaplecze finansowe, na co, prawdę mówiąc, nie ma szans przy stanie majątkowym mojej mamuśki, to i tak brakuje mi tego wszystkiego, co ty, zdaje się, masz za friko.

Wzruszyła ramionami.

- No to zgłoś się do KSOR-u. Boże, nawet ja o tym słyszałam.

KSOR? Coś mu to mówiło, ale mgliście. Jakiś typ przyjechał kiedyś do szkoły i mówił o tym, ale Julian wykorzystał to jako okazję do urwania się i odbycia terenowej wycieczki na rowerze. Korpus Szkolenia Oficerów... czegoś tam.

- Armia pokrywa wszystkie koszty nauki - tłumaczyła Daisy. - Możesz też wnieść podanie o przyjęcie do akademii wojskowej, ale podobno trudno się tam dostać. Musiałbyś mieć, zdaje się, powyżej tysiąca pięciuset punktów w testach SAT.

Testy? Owszem, zaliczał. Z takimi wynikami, że nauczyciele doszli do wniosku, iż musiał ściągać. Ale poza tym Julian miał wrażenie, że Daisy raptem zaczęła mówić po chińsku. Podanie? Akademia wojskowa?

- W takich szkołach nauka jest za darmo - ciągnęła. - I jeszcze płacą ci za wstąpienie.

- Zalewasz.

- Nie zalewam.

- Wymień jakąś.

- West Point. Widzisz? Mam rację. Mógłbyś wstąpić do West Point.

- Tak samo łatwo jak mógłbym księżyc w tyłek pocałować.

Widział to miejsce w jakimś filmie. West Point. Faceci maszerują w kółko jak ołowiane żołnierzyki, drą się w twarz jeden drugiemu... To ma być college?

- To ty mówisz, że można tam te cztery lata uczyć się za friko?

- Dostajesz kredyt na czas nauki. Jeden gość z mojej szkoły, jego ojciec jest, zdaje się, pułkownikiem w lotnictwie czy kimś takim, będzie próbował startować do Akademii Sił Powietrznych.

Lotnictwo, pomyślał Julian. Latanie. To by było faktycznie coś.

- Ale to sport ekstremalny jak dla mnie.

Daisy wyraźnie zmęczyła się próbami wejścia na haj. Odłożyła zimnego skręta do foliowej torebki z zapięciem.

- Zdaje się, że na dodatek do tych wszystkich mundurowych historii można tam też studiować inżynierię czy inne nauki. Kto chciałby czegoś takiego?

Julian pomyślał o swoim ojcu. Tęsknota targnęła nim niby fizyczny ból od ukłucia. To pasja do nauki pożarła Louisa Gastineaux. Julian w pełni to rozumiał, bo jego przecież trawiło podobne uczucie. Ale do lotu, niebezpieczeństwa i szybkości.

- A gdzie w tym jest haczyk? - spytał.

- Nie płacisz chesnego, ale faktycznie coś im wisisz. I musisz oddać, zdaje się, minimum pięć lat ze swojego życia.

Spoglądała na Juliana mądrymi, współczującymi oczami.

- To musi być makabryczne: uczyć się w szkole, gdzie nikt nie pomoże ci dostać się do college'u.

- Nigdy o tym tak nie myślałem.

Julian nie wiedział, co było gorsze - to, że nikomu na tym nie zależało, czy to, że możliwość dalszej nauki wydawała się jemu samemu tak nierealna, iż nigdy nie próbował wziąć jej pod uwagę.

- Ale nawet jeśli nikt ci nie pomaga, to nie znaczy, że ty nie możesz pomóc samemu sobie.

- Jasne - stwierdził i dorzucił kolejną gałąź do ogniska. - Dzięki za wyczerpujące informacje.

- Straszny raptus z ciebie - mruknęła.

- A ty masz głowę w chmurach.

Daisy zaśmiała się głośno. W tym śmiechu było coś z lekkości dymu i iskier ulatujących z ogniska. Julian siedział i kiwał głową w poczuciu uznania dla swej rozmówczynie.

No dobra, pomyślał, może to lato mimo wszystko nie okaże się aż tak beznadziejne...

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Dla Olivii każdy ranek zaczynał się teraz od zaczarowanej godziny. Ptaki w puszczy śpiewały pieśń na cześć życia, a słońce dotykało świata złotymi palcami swych promieni. Mgła gromadziła się nad jeziorem. Poranny powiew wiatru głaskał delikatnie jej warstwy, które później ustępowały miejsca rozplamienianemu się od wschodu, odbitemu w toni jeziora blaskowi. Olivia wychodziła o tej porze na codzienną porcję biegania. Tak jak wcześniej w mieście, ale tam robiła to na stepperze. W Kioga pokonywała siedmio-kilometrowej długości szlak pomiędzy drzewami, wzdłuż ścieżki, którą niedawno wytyczyła wśród zarośli ekipa wuja Grega.

Na domowej bieżni, żeby nie poddać się nudzie, Olivia korzystała z iPoda, wsadzonego w kieszeń szortów. Tutaj nie potrzebowała mieć w uszach kompozycji Radiohead czy Cake podczas porannego joggingu. Trele budzących się ptaków, czasami ryk łosia i nuty wygrywane przez wiatr zapewniały jej wystarczająco wiele doznań.

Gdy finiszowała, biegnąc spomiędzy drzew w stronę stołówki, spostrzegła, jak Connor Davis prowadzi swój wóz do składziku. Niemal na nią najechał.

- Ranny ptaszek z ciebie - stwierdziła, starając się nie dyszeć z wysiłku.

Uśmiechała się miło, ale wewnątrz aż ją skręcało. Connor miał dziwny talent do przyłapywania jej w najgorszych okolicznościach, gdy chodziło o strój. Widział ją zwisającą z masztu, ubraną w poplamiony farbą drelich malarza pokojowego, no i teraz. Biustonosz do biegania plus neonowo pomarańczowe szorty, nic więcej. Dla lepszego efektu Olivia była cała złana potem, z trudem mogła złapać oddech, a włosy, wcześniej niedbale upięte w koński ogon, stanowiły teraz obraz nędzy i rozpacz. Niech to... Chciałaby, żeby choć raz Connor ujrzał ją w czymś eleganckim.

On jednak nie zwrócił uwagi ani na pot, ani na fryzurę. Natomiast tym, co go przyciągało, były nogi Olivii, jej piersi i nagi brzuch. I... tak, zauważyła moment, w którym Connor ujrzał jej zakolczykowany pepek.

- Czy to jest to, co dotąd przegapiałem każdego ranka? - spytał.

- Teraz nie da się ukryć, że tak.

- Powinienem nastawiać budzik na wcześniejszą godzinę.

Nie była pewna, czy on ją tylko podpuszcza, czy może to dalszy ciąg flirtu. Tak czy siak, wolałaby, żeby nie wprawiało jej to w taki stan głupawki, w jaki popadała teraz. Siłąc się na nonszalancję, otwarła butelkę z wodą, pociągnęła łyk i otarła usta wierzchem dłoni.

- Jak miewa się twój brat?

- W porządku.

Ten typowo męski styl mówienia doprowadzał zawsze Olivię do szału.

Connor wydawał się mistrzem tej zwięzłej retoryki. „W porządku” mogło przecież znaczyć zarówno „jeszcze oddycha”, jak i „wygrał na loterii”.

Być może ta właśnie męskość Connora sprawiała, że Olivia postrzegala go zarazem jako i wkurzającego, i seksownego. Jego ciężarówka była tego najlepszym dowodem. Olivia podejrzewała, że papiery i faktury zaśmiecające szoferkę Connora w każdej innej firmie znajdowałyby się w segregatorach, ale z kolei jego kolekcja kompaktów była w samochodzie umieszczona tak perfekcyjnie, że mógł wyjąć z niej swój ulubiony album, powiedzmy Rushów, nie odwracając ani na chwilę uwagi od sytuacji na drodze.

Gdy zajrzała na pakę wozu, poruszył ją widok tego, co tam znalazła. Oczekiwała narzędzi i wyposażenia, a odkryła ładunek domków dla ptaków we wszelkich możliwych rozmiarach i kształtach. Każda z tych budek wyglądała inaczej. Wszystkie zostały zrobione ręcznie z dbałością o detale, obojętne ptakom. Jeden domek miał przymocowane do ścianki małe koło wodne. Inny - markizę nad wlotem. Kilka innych zdobiły secesyjne ornamenty, a wiele stanowiło repliki adirondackich chat z pieńków i gałęzi.

- To ty je zrobiłeś? - spytała Connora.

- Ja - odrzekł. - W wolnych chwilach. - Potrząsnął głową. - Żartowałem. Kupiłem w sklepiku w mieście. - Wziął w ręce cztery domki naraz i zaniósł je do składziku.

- Mogę spytać, co masz zamiar z nimi zrobić? - Też wzięła parę i poszła za nim.

- Możesz. Masz coś przeciw...

- Oj, no jasne, że nie. Ja tylko chciałam wiedzieć, do czego ci one...

- Mnie do niczego. - Ustawiał budki w równych rzędkach wewnątrz szopy. - Ale Dare może chcieć ich użyć do dekoracji czegoś.

- Ty musisz naprawdę lubić ptaki. - Zaintrygowana Olivia dalej mu pomagała, ale nie zdecydowała się na kolejne pytania.

Connor znów ją ignorował. Gdy ochłonęła po biegu, poczuła chłód porannego powietrza. Natychmiast ściągnął z siebie kurtkę i podał ją Olivii. No dobrze, a więc jej nie ignorował.

- Daj spokój - zaprotestowała. - Cała jestem spocona.

- A dużo mnie to obchodzi - odrzekł. - Ręce w rękawy, już.

Olivia owinęła się kurtką.

Nie powinnam czuć się w tym tak dobrze, pomyślała, wchłaniając wszystkim porami skóry ciepło męskiego ciała, którym nasycony był materiał. To nie powinno mieć takiego miłego zapachu.

- Powiedz, jak to jest - zagadnęła, pragnąc przerwać niezręczną ciszę - znowu mieszkać tu, w obozowisku?

- Niewielka różnica w porównaniu z moją przyczepką.

- A jak długo tu już mieszkasz? Spędzasz tu zimy?

Natychmiast pożałowała tych pytań. Brzmiały jakoś tak... jakby zadawano je na przesłuchaniu.

- Przepraszam - powiedziała. - Chyba nigdy nie pozbędę się wścibstwa.

- Raz lepiej, raz gorzej - odrzekł i na tym rozmowa się urwała.

No pięknie. Albo go obraziła, albo źle to odczytał. W tych dniach powinna była nauczyć się wreszcie, że pewne pytania najlepiej zachowywać dla siebie. Owszem, przy Connorze starała się bardzo nie poruszać tematów związanych z jego ojcem. A może to źle, że go o to nie spytała? Nie miała pojęcia. Terry Davis był w życiu Connora kimś ważnym. Może nawet decydującym. A wstydliva prawda polegała na tym, że Olivia była tchórzem. Bała się usłyszeć od Connora smutną historię o śmierci jego ojca. Nie chciała słuchać, jak ostatecznie zapił się na śmierć. Obawiała się smutku Connora, bo wiedziała, że nie potrafiłaby go pocieszyć.

- No i tak - odezwała się rzeško. - Mam nadzieję, że mieliście z Julianem dobrą noc? Zamknął drzwi do szopy.

- A ja mam nadzieję, że tego lata utrzymam go z dala od kłopotów.

- Raz już to robiłeś - przypomniała mu. - Tamtego lata, kiedy my... - niewłaściwy dobór słów. - Kiedy zmusił cię do biegu po pieniądze, jak jeszcze był mały, ale ty go wyprzedziłeś.

- Teraz by mnie chyba przegonił, ale zrobię, co się tylko da.

Connor miał rozwinięty instynkt macierzyński i Olivia wiedziała o tym. Gdy dorastał, jego osobowość wykuwała się między młotem alkoholizmu ojca a kowadłem niedbalstwa matki. Czasami Olivia zastanawiała się, na kogo by wyrósł, gdyby rodzice wychowywali go jak trzeba, a nie pozostawili samemu sobie. Pomyślała o innych znajomych, którym to wszystko zapewniono. Wiele z nich zaprzepaściło niepowtarzalne okazje i stało się dziećmi funduszy powierniczych, pożywką dla tabletołów.

- A jak jest, no wiesz, między wami? - spytała.

- W sumie to mało się znamy. Niezbyt chętnie wykonuje moje polecenia.

- A co o nim myślisz?

- Tylko to, że on nie chce tu być i dlatego zachowuje się jak gnojek.

Pochyliła głowę, skrywając uśmiech.

- O co chodzi? - spytał, zauważywszy jej rozbawienie.

- Cieszy mnie twoja szczerłość. Już się trochę martwiłam, że jesteś zbyt święty.

- Nie mój problem. Ale Julian to dla mnie najbliższa rodzina. Miałem jedenaście lat, jak się urodził. Był... najlepszym prezentem od losu, jaki tylko mogłem dostać. No i przez sześć miesięcy miałem brata. A potem wywieźli go, żeby mieszkał ze swoim ojcem i było po wszystkim, koniec, kropka. Nikt mnie nie uprzedził. Boże, nikt nawet nie spytał, co ja o tym

myślę. Po prostu jednego dnia przychodzę ze szkoły do domu, a jego już nie ma. Przestałem odzywać się do matki chyba na kilka tygodni.

Spojrzał w dół na swoje dłonie, zgrubiałe i pokryte szramami od ciężkiej pracy. Zacisnął pięści.

- Nikomu o tym jeszcze nigdy nie opowiadałem.

Olivia zrozumiała teraz, ile bólu musi kryć się w Connorze.

- Może powinnam porozmawiać z Julianem. O ile oczywiście nie masz nic przeciwko...

Potrząsnął głową.

- A czemu miałbym mieć?

- On fajnie rozmawia.

Olivia wczoraj długo nie mogła zasnąć i gdy Daisy z Julianem wrócili z jeziora, odbyła z nimi dłuższą pogawędkę.

- Czy wiedziałeś, że na wiosnę zdawał test SAT i nabił tysiąc pięćset pięćdziesiąt punktów? Osiemset z matematyki, siedemset pięćdziesiąt z angielskiego!

Patrzyła, jak twarz Connora przybiera wyraz zdumienia.

- Tysiąc sześćset to maksymalna liczba, prawda?

- Aha.

- Nawalał z nauką połowy przedmiotów.

- Jak dla mnie to raczej szkoła nawaliła w stosunku do niego.

Olivia czuła się dziwnie dorosła, rozmawiając w ten sposób o młodszym bracie stojącego przed nią mężczyzny. To było coś nowego - zwracać się do Connora Davisa jak do osoby dojrzałej, mając za sobą też kilka własnych doświadczeń. Poczwała, że to, co zaistniało między nimi, stało się nagle bardzo złożone. Gdy spotkała go po latach po raz pierwszy, obchodziło ją tylko, by kłuć mu oczy obrazem zrearanżowanej Olivii Bellamy, sprawić, by żałował, iż kiedyś wyrzucił ją ze swego życia. Teraz takie zachowanie wydawało się jej dziecinne i płytkie, a także wzruszająco naiwne. To musiało się zmienić. Teraz czuła, że wszelkie fortyfikacje jej serca padają w gruzy. Niemal wbrew jej woli to „coś”, co ich połączyło, stawało się coraz silniejsze i głębsze za każdym razem, gdy byli blisko siebie.

Razem weszli do kuchni. Gdy Olivia napełniała ekspres kawą, poczuła na sobie wzrok Connora, ale nie dała po sobie niczego poznać.

- Pamiętasz tamte wakacje, kiedy urządziliśmy nocną wycieczkę i znaleźliśmy te makabrycznie wielkie beki z masłem orzechowym?

- Falk St. John chyba jeszcze dotąd nie może doczyścić sobie po tym włosów - zaśmiał się Connor. Podniósł zmatowiały puchar sportowy, który Olivia znalazła w starym kufierku ojca. - Co to takiego?

Przygryzła wargę. Pozostawiła puchar specjalnie na widoku i wciąż miała nadzieję, że ktoś ją wreszcie o to zapyta. Poprawka: nadzieję, że Connor ją o to zapyta. Miała wrażenie, że te wszystkie dotąd niewyjaśnione zagadki w końcu wypalą jej dziurę w głowie.

- Stare trofeum mojego taty. Potrzebuje chyba trochę pasty polerskiej.

Connor znalazł fotografię i spinę do mankietu, które były w środku. Odłożył spinę, ale w zdjęcie wpatrywał się zdumiony.

- Ta fotka - powiedziała Olivia, starając się mówić niewymuszonym tonem - to właśnie powód moich niedawnych pytań o Jenny Majesky.

- Wygląda jak ona, a właściwie jak jej młodsza wersja. - Pokręcił głową. - To chyba jej matka.

- Właśnie. Ta sama fotografia wisi w piekarni, tylko że mężczyznę z niej wycięto. Poznajesz go? - I nie czekając na odpowiedź, ciągnęła: - To mój ojciec. Tak wyglądał w siedemdziesiątym siódmym. Dałabym się pociąć, żeby *się* dowiedzieć, *co się za tym* kryje.

- No to zapytaj go o tę kobietę - zaproponował rozsądnie Connor.

- Ani myślę.

- Dlaczego? Jesteś blisko ze swoim tatą. Chyba nie miałby nic przeciwko.

Connor miał rację, ale Olivia czuła, że nie mogłaby tego zrobić. Osobiste sprawy rodziców to był raczej grząski grunt. Czasem pytała ojca, czy gdyby kogoś znalazł, to ożeniłby się ponownie. Patrzył wtedy na córkę ze smutno-gorzkim uśmiechem i kręcił głową, mówił, że nigdy nie miał szczęścia w nawiązywaniu kontaktów. Olivia zaczęła w końcu myśleć, że jej pech to sprawa dziedziczna.

- Byłoby mi po prostu głupio wyciągać z niego takie historie - odparła. - Tylko mi nie mów, żeby pokazać to Jenny. Byłoby mi jeszcze bardziej łyso.

- Ale ja znam kogoś, kogo możemy podpytać.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Connor miał nadzieję, że dobrze robi, pomagając Olivii w wyjaśnianiu rodzinnych tajemnic. Zresztą było za późno na odwrót. W parę dni później pojechali do Avalon we trójkę, z Julianem na tylnym siedzeniu. Julian chciał, żeby podrzucić go do biblioteki, chociaż nie wyjaśnił, skąd ta nagła chętka. Wsunął tylko ramię w szelkę plecaka i wyskoczył z auta na chodnik.

- Za jakąś godzinę wrócę po ciebie - pożegnał go Connor, po czym zwrócił się do milczącej Olivii, która zdenerwowana siedziała obok niego: - Chyba nie narobi tam sobie kłopotów?

- Biblioteka to raczej niezbyt niebezpieczne miejsce... On chyba potrzebuje rozpaczliwie dojścia do Internetu - odrzekła. - Mówił ci coś o swoich kumplach, którzy zostali w Kalifornii?

- Nie. Myślisz, że powinienem go o to spytać?

- Nie - odrzekła szybko. - Jeśli zaczniesz drażnić, on się przed tobą zamknie.

Przez chwilę przyglądał się jej uważnie. Przejawiała zainteresowanie Julianem, ale dlaczego - nie wiedział.

Sytuacja była dziwna. Trochę nierealna. Znów siedzieli blisko siebie... Odkąd Lolly na nowo pojawiła się w jego życiu, wielokrotnie myślał o przeszłości.

O tym, jak byli ze sobą zżyci i ile ich wtedy łączyło.

I jak bardzo zranili się nawzajem.

A teraz stanęły przed nimi nowe problemy. Na przykład: czy wplątywać się w to jeszcze raz, ze wszystkimi możliwymi konsekwencjami, czy raczej nie?

Przestań, ostrzegł sam siebie. Starał się nie pamiętać, jak trzymał ją w objęciach, a ona przyciskała mu policzek do piersi i słuchała bicia jego serca. Myślał, że całkiem o niej zapomniał, ale z każdą chwilą spędzoną w jej towarzystwie, powracało coraz więcej wspomnień. Teraz wystarczyło zamknąć powieki i puścić myśli luźno, a przed oczami stawała mu Kioga w czasach swojej świetności, kiedy wszystko wydawało się prostsze, a życie niesło ze sobą wspaniałe obietnice.

- Czy on uprawiał w szkole jakiś sport? - usłyszał głos Olivii.

- Chyba nurkował. Tak mi się przynajmniej wydaje.

- Brzmi sensownie, skoro tak lubi duże wysokości. Interesujący chłopak. Cieszę się, że trafił tu na lato. - Uśmiechnęła się, ale w środku wciąż była spięta.

- Naprawdę?

- Pewnie. Lubię dzieciaki. Szczególnie nastolatki, z ich niepokojami i urazami - westchnęła i wyjrzała przez okno. - Może to dlatego, że dobrze pamiętam, jak się wtedy

czułam. Wszystkie emocje razy dwa, za każdym rogiem nowe problemy i nikt na świecie nie potrafi cię zrozumieć.

- Kółko się zamyka.

- I toczy się dalej.

- A twoje plany, żeby zostać nauczycielką w liceum? Co się z nimi stało?

Wzruszyła ramionami.

- Przez cztery lata college'u dużo się zmieniło. Najpierw naprawdę chciałam pracować z młodzieżą. I robić to dobrze. Bo gdyby dzięki mnie pobyt w szkole stał się dla nich dobrym doświadczeniem, ja miałabym szansę zyskać pewną... aprobatę otoczenia. - Olivia uśmiechnęła się pod nosem. - Potem, w trakcie nauki, jakoś przestałam tego potrzebować. Nie musiałam już sobie niczego udowadniać.

Gdy mówiła, spoglądał na jej usta. Wymawiając niektóre słowa, układała wargi tak, jakby chciała go pocałować.

Pobożne życzenia, pomyślał. Przecież powiedziała, że nie musi sobie niczego udowadniać.

- A ty chciałeś zostać trenerem - przypomniała mu.

- Masz dobrą pamięć.

Tylko że jego motywy były diametralnie różne. Szkoła, szczególnie szkolna drużyna sportowa, to było jedyne środowisko, w jakim był szczęśliwy, akceptowany i bezpieczny. Gdyby został trenerem, stałby się na zawsze częścią tego świata. Dobrze wiedział, z jakich powodów porzucił to marzenie, ale nie był jeszcze gotów, żeby wyjaśnić to Olivii.

Ruszył, kierując samochód na drogę wiodącą do Indian Wells, miejscowości leżącej parę kilometrów na północ od miasta. Tam, w domu spokojnej starości, mieszkał teraz jego ojciec. Terry Davis nie był ani chory, ani też jeszcze stary, ale podobało mu się tamtejsze życie. Lubił wścibskie starsze panie rządzące tym miejscem, a jako trzeźwiejący alkoholik lubił chodzić na spotkania klubu AA, które również się tam odbywały.

Olivia znowu milczała.

- Chyba nie masz nic przeciwko odwiedzinom u mojego ojca? - upewnił się Connor.

- Pewnie, że nie. Ale kiedy powiedziałeś mi, że on jest... w okolicy, zamurowało mnie.

Przedtem w ogóle o nim nie wspominałeś.

- Przedtem w ogóle o niego nie pytałaś.

- Wiem. Przykro mi. To znaczy... cieszę się... - Całkiem się zaplątała. - Nie pytałam o twojego tatę, bo się bałam, że spotkało go coś złego i nie chciałam cię zmuszać do wyciągania na wierzch czegoś, co mogło być dla ciebie przykre. - Przerwała na chwilę, żeby nabrać powietrza. - Jestem tchórzliwa jak zajac. Nigdy nie radziłam sobie ze zmartwieniami innych.

Być może, pomyślał Connor, to leżało u podstaw jej trzech wpadek z facetami. Nie wnikając w szczegóły, uważał, że jeśli człowiek nie potrafi znieść cudzych kłopotów, nie odnajdzie się w żadnym związku. Skręcił na parking.

- A zatem oficjalnie cię informuję, że tata miewa się świetnie - oświadczył z dumą i ulgą.

Wolałby oczywiście, żeby stało się to dużo wcześniej, ale skoro ojciec dopiero teraz wychodził z nałogu, nie było sensu roztkliwiać się nad swoją przeszłością. Faktem było, że problemy ojca i matki zniszczyły Connorowi większość dzieciństwa. Jednak roztrząsanie tego nie miało już sensu. Ojciec wracał do siebie. Matka się nie liczyła. Mogło być gorzej.

- Ostatnio jest z nim coraz lepiej - opowiadał dalej.

- Wciąż wyszukuje dla siebie jakieś nowe zajęcia, chodzi na te swoje spotkania i bardzo chciałby mieć już wnuki, ale tu go zawiodłem.

Ups, pomyślał. Za dużo ujawniłem. Olivia wysiadła z samochodu.

- Niech zgadnę - powiedziała, wpatrując się w szereg domków-bliźniaków, z których każdy miał oddzielne małe patio. - Domek twojego taty to ten, przed którym wiszą te wszystkie budki dla ptaków. Ty podstępny stworze! On robi je dla sklepu w mieście, a ty je tam kupujesz.

Trafiłaś, pomyślał Connor.

- Zrób mi tę grzeczność i nie wspominaj mu o tym - poprosił.

- Pewnie, że nie. - Spojrzała na niego ciepło.

Serce Connora zaczęło mocniej bić. Już kiedyś tak na niego patrzyła. Dawno temu. To spojrzenie znaczyło dla niego więcej niż wszystkie skarby świata. Ojciec powitał ich u drzwi.

- Cześć, synku. Miło, że jesteś. - Wyciągnął rękę do Olivii. - Terry Davis.

- Olivia Bellamy.

- Jak się pani miewa?

Connora zawsze drażniło to płaszczenie się ojca. Gdy mu to wytykał, Terry Davis za każdym razem wyjeżdżał z tym samym wyjaśnieniem: „Tak mnie wychowano. Należy być grzecznym dla lepszych niż ty”. „A skąd, do licha, wiesz, że ktoś jest lepszy niż ty?” - pytał Connor w takich wypadkach. „Tak się mówi. Jeżeli ktoś ma forszę, jeżeli ty możesz od niego coś dostać, to znaczy, że on jest lepszy niż ty. Nie odwrotnie. Tak właśnie urządzono świat, synku”.

A teraz, gdy Terry Davis witał Olivię, automatycznie zaliczył ją do grupy „lepszych”. Nic dziwnego, wyglądała jak spod igły. Co do najdrobniejszego szczegółu. Małe złote kolczyki, ułożone włosy, sztywna, biała koszula z nieco podniesionym kołnierzem, szorty w kolorze khaki.

Connor oczekiwał, że Olivia będzie czuć się nieswojo w małym, oszczędnie umeblowanym domku. Ale odkąd przywitała się z jego ojcem, w jej uśmiechu było samo ciepło.

- Mam nadzieję, że w niczym panu nie przeszkadziliśmy?

- A gdzie tam. - Poprowadził ich do kuchni i zrobił szybki krok, żeby wyłączyć radio. - Zawsze cieszę się na towarzystwo.

Zakrzętnął się i zgarnął ze stołu stosiki papierów.

Olivia patrzyła na to z wyrazem zamyślenia na twarzy. A może, jak podejrzewał Connor, był to tylko wyraz ulgi. Nie winił jej za to. Dawny Terry Davis dla całego świata był tylko beznadziejnym pijakiem. Z wyjątkiem Connora. Jeszcze jako dziecko syn Terry'ego Davisa bronił się przed utratą nadziei. Niezliczoną ilość razy miał z tego powodu złamane serce, ale był przecież jedynym krewnym ojca. Nie chodziło o naiwną lojalność, rozpacz czy też niezachwianą miłość synowską, ale o niezachwianą wiarę, że ojcu może się poprawić. Connor wierzył w to tak mocno, że gdy przyszło mu dokonać wyboru między Terryem Davisem a Lolly, bez wahania wybrał ojca. Zdarzyło się to w letnią noc dziewięć lat temu. Ta noc na zawsze wypaliła bliznę w pamięci Connora.

- Cieszę się, że znowu pana widzę - odezwała się grzecznie Olivia. - Przypuszczam, że pan mnie nie pamięta. Kiedyś wszyscy mówili na mnie Lolly.

- O, teraz sobie przypominam - ucieszył się Terry. - Pyzata, grubiućka dzierlatka, za którą latał Connor.

Connor zdusił w sobie jęk. Pijany czy trzeźwy, jego ojciec zawsze mówił wprost to, co myślał.

- Tato... - jęknął.

Uśmiech Olivii nie zmienił się ani na jotę.

- Co do dzierlatki nie mogę się wypowiadać, ale pyzata i grubiućka byłam rzeczywiście.

- Straciła pani swoje dziecięce sadelko i to widać.

- Tato!

- Szklaneczkę wody mineralnej? - zaproponował Terry, nic sobie nie robiąc z okrzyków syna.

- Z przyjemnością. Dziękuję.

Wcale nie wyglądała na urażoną jego szczerością. Z wdziękiem przyjęła błękitną butelkę „Zdroju Saratogi” i usiadła przy okrągłym stole.

- A teraz oboje jesteście dorośli - stwierdził Terry.

- Ile to lat minęło? Dziesięć?

- Dziewięć.

- Rany. Connor miał prawdziwego bzika na pani punkcie. I co, ciągle sama?

- Tato, na litość boską...

Terry uciszył go gestem.

- Dobra, dobra. Wiem, że nie przyjechałeś tu po to, żeby ktoś nabijał się z ciebie przy twojej dawnej dziewczynie.

- Nie ma sprawy, panie Davis - wsparła go Olivia.

- Miło mi słyszeć, że Connor miał bzika na moim punkcie, chociaż ja pamiętam to trochę inaczej niż pan.

To nie był najlepszy pomysł, mruknął w duchu Connor. Po cholere ją tu przywoziłem? Terry zachichotał.

- Po pani były jeszcze inne dziewczyny, ale żadna z nich nie wytrzymała.

- Ja też nie - przypomniała.

- No taak, ale to dlatego, że...

- Tatku - przerwał mu Connor, który uznał, że najwyższa pora zmienić temat. - Olivia znalazła tę starą fotografię. Pomyśleliśmy, że możesz nam coś o niej opowiedzieć.

Olivia podała ojcu Connora stare zdjęcie.

- Zrobiono ją w sierpniu siedemdziesiątego siódmego roku. Ten mężczyzna to mój ojciec.

Gdy Davis senior przyjrzał się odbitce, stężała mu twarz. Nie miał już miłej i łagodnej miny. Był napięty i pobudzony. Szybko oddał zdjęcie Olivii.

- To Mariska Majesky - powiedział. - Córka Helen i Leo. Nie ma jej od dwudziestu, może trzydziestu lat.

- Chce pan powiedzieć, że... nie żyje?

- Chcę powiedzieć, że jej tu nie ma. Któregoś dnia spakowała się i odtąd nikt jej nie widział. Ona zawsze należała do takich bardziej ruchliwych, rozumiecie - dodał. - Znikała czasami, ale zawsze wracała do swojego dziecka. Aż do tamtego razu. Była i raptem już jej nie było. Nikt nie wie, gdzie się podziała.

- Miała dziecko. - Connor patrzył na Olivię, a w głowach ich obojga zaświtała ta sama myśl. Jenny!

- Czy ona była mężatką? - zapytała Olivia drżącym głosem. - Albo... czy miała kogoś?

- Przypuszczam, że o tym powinna pani porozmawiać ze swoim ojcem - odrzekł Terry.

Po wyjściu z małego zagraconego domku Olivia czuła się, jakby wyszano z niej całą energię.

Chyba było to po niej widać, bo Connor objął ją, by mogła iść bez obaw, że straci równowagę. Nie miała pojęcia, skąd wiedział, że właśnie tego potrzebuje. Być może to wrodzony, choć ukryty głęboko zmysł rycerskości sprawił, że troszczył się o Olivię jak żaden inny spotkany dotąd mężczyzna.

- Myślę, że znalazłabym milion wyjaśnień - powiedziała. - Ale wszystkie są tylko próbami usprawiedliwiania tego, co mogło się stać.

- Nie możemy wyciągać pochopnych wniosków - przestrzegł Connor. - Może nie jest dla nikogo tajemnicą, kto jest ojcem Jenny.

- Twój ojciec wie. - Olivia obstawała przy swoim. - Widziałeś jego twarz. Tylko nie chciał powiedzieć tego wprost.

Na początku miała nadzieję, że ojcem Jenny mógł być ktoś inny - ktokolwiek, byle nie Philip Bellamy. Jednak zmieszanie Terry'ego Davisa i fakt, że odesłał ją do ojca, mówiło samo za siebie. Jej podejrzenie zamieniło się w pewność. Zatrzymała się i podała fotografię Connorowi.

- Przyjrzyj się dobrze. Widzisz ten podbródek mojego taty? - Wskazała na dołeczek w brodzie na podobieństwo Cary'ego Granta. - Jenny ma to samo, a jej matka nie.

Uśmiechnął się.

- To nie jest aż taka rzadkość.

- To cecha recesywna, podobnie jak niebieskie oczy. Według praw genetyki, osoba z rozdwojonym podbródkiem ma przynajmniej jednego rodzica, który jej to przekazał!

- Nie możesz być niczego pewna, dopóki nie porozmawiasz z ojcem - zakończył sprawę Connor, wyciągając z kieszeni kluczyki do auta.

Olivia nie mogła zapomnieć tego, jak Terry Davis unikał jej wzroku. Rozejrzała się dookoła po parkingu. Świat nie zmienił się ani trochę w ciągu kilkunastu minionych minut. Ale to była jedynie iluzja. Doszło bowiem do gruntownej przemiany. Ziemia urwała się z trzymającej ją wokół Słońca uwięzi i powoli zbaczała ze swego odwiecznego kursu.

- Właściwie to wcale nie muszę go pytać. Ja wiem. I mniejsza o genetykę. Przecież na tym zdjęciu widać, że był blisko z tą... Mariską. W tym samym czasie był już zaręczony z moją matką. Boże, to mogło się stać nawet po tym, jak się z nią ożenił. A Jenny Majesky jest...

Zadrżała. Connor pomógł jej wsiąść do samochodu. Czowała się jak ofiara poważnego wypadku, kiedy powiedziała głośno:

- Mam siostrę!

Siostrę. Siostrę. To słowo rozbrzmiewało teraz w jej głowie echem niedowierzania.

- To wszystko są twoje domysły.

- Obydwoje wiemy, że te domysły się potwierdzą.

- No i o co tyle hałasu? Czy to taka straszna rzecz mieć przyrodnią siostrę?

- Boże, nie! Chodzi o to, że dorastałyśmy, nic o sobie nie wiedząc!

Mam siostrę. Olivia zastanawiała się, jak wyglądałoby jej życie, gdyby знаła Jenny od urodzenia. Miałyby kogoś, z kim mogłyby dzielić się sekretami i żartować, i kłócić się. I kogo

mogłaby zawsze się poradzić. Może nie miałyby takiego samotnego dzieciństwa. Może zyskałaby trochę więcej pewności siebie.

- No i co ja mam teraz zrobić? - myślała na głos. - Czy to możliwe, żeby Jenny nie wiedziała, kto jest jej ojcem? Przecież nie mogę, ot tak, iść do niej i spytać wprost!

- Zadzwoń do ojca - poradził Connor. - I sama go zapytaj.

- Nie. Nie dam rady rozmawiać o tym przez telefon. Muszę pomówić z nim osobiście. Muszę zobaczyć jego twarz.

- Masz rację - przytaknął Connor i włączając kierunkowskaz, skręcił na nadrzeczną drogę. - O której chcesz jechać?

- Słucham?

- Jechać do Nowego Jorku - odrzekł. - Moglibyśmy wyjechać jutro o siódmej rano. Będziesz gotowa tak wcześnie?

- O czym ty w ogóle mówisz?

- O twojej wizycie u własnego ojca. Olivia nie wierzyła własnym uszom.

- Dlaczego to robisz?

- Bo ja jestem z gatunku pozytywnych bohaterów. Zawsze taki byłem, ale do tej pory ani razu poważnie o tym nie rozmawialiśmy.

- Poczekaj chwilkę. Zawieziesz mnie do miasta?

- I będzie to pierwsza rzecz, jaką zrobię jutro rano. Ta cała tajemnica trwała latami. Jeszcze jedna noc chyba nikomu nie zaszkodzi.

- Tak po prostu? Rzucamy wszystko w diabły i ruszamy?

Niedbale powiódł nadgarstkami po kole kierownicy.

- To są właśnie uroki samozatrudnienia. Można rzucić wszystko, kiedy się tylko chce.

- Ale nie musisz mnie wozić. Mogę pojechać pociągiem.

- Nie tym razem.

Jej serce podskoczyło. Nie wiedziała, czemu zawdzięcza jego uprzejmość. Bała się wręcz w nią uwierzyć.

- To najmarniej trzy godziny jazdy.

- Naprawdę myślisz, że przez ten czas nie będziemy mieli ze sobą o czym rozmawiać?

- I choć koncentrował całą uwagę na pokonywanej drodze, uśmiechnął się do niej szeroko. - Bo według mnie, Lolly, mamy całą kupę spraw do omówienia.

TRADYCJA OBOZU KIOGA

Uczestnikami obozu są dzieci w wieku od ośmiu do szesnastu lat. Jedną z najważniejszych tradycji w Kioga jest kontynuacja. Najlepsi byli obozowicze, którzy już otrzymają dyplom ukończenia szkoły średniej i odbędą kursy pierwszej pomocy i ratownictwa wodnego, mogą zostać na obozie drużynowymi.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Lato 1997

Po ukończeniu szkoły średniej Lolly miała mieszane uczucia. Nie bardzo chciała jechać do Kioga w charakterze drużynowej, ale nie dano jej wielkiego wyboru. Do rodzinnej tradycji należało wypełnianie tego obowiązku przez każdego z Bellamych, a Lolly nie mogła być wyjątkiem.

A może nie będzie aż tak paskudnie? Po tamtych wakacjach, kiedy miała dwanaście lat, nauczyła się nienawidzić obozu... trochę mniej niż przedtem. Powód tej zmiany dałoby się nazwać dwoma słowami: Connor Davis. Tamtego lata między nim a Lolly nawiązało się coś w rodzaju nieoczekiwanej przyjaźni, a podczas następnych dwóch obozów ich więź pogłębiała się. Wprawdzie ona dalej uważała go za prostaka, a on ją za kujonkę i sztywniaczkę, ale coraz bardziej przekonywali się do siebie.

Gdy byli razem - czy to na wycieczce, czy na spływie kajakowym, czy też pomagali przy roznoszeniu śniadań albo spotykali się w deszczowy dzień przy partyjce scrabble'a - Lolly czuła dziwne zadowolenie. Przy Connorze nie musiała być nikim innym. Mogła być sobą. On nie oczekiwał od niej, że będzie miała dobre stopnie, że zaprzyjaźni się z dziećmi utytułowanych rodziców ani że będzie zdobywać nagrody w konkursach pianistycznych. Nie oczekiwał, że Lolly będzie zachowywać się przy nim jak klasowy błazen. Przy nim była sobą. Prawdziwą Lolly.

Następne lata, po ukończeniu kolejnych klas, nie przynosiły większych zmian w tej materii. Nawet jeśli wkraczali czasem na ścieżkę wojenną i obrzucali się wyzwiskami, to pod pozorami kłótni zawsze krył się kamienny fundament czegoś, co ich łączy, choć trudno w to uwierzyć: szacunku i przyjaźni.

Nie wiadomo dlaczego zostali przyjaciółmi, bo różniło ich prawie wszystko. Connor jak na swój wiek odznaczał się bardzo wysokim wzrostem i silną muskulaturą. W Buffalo miał trudną we współżyciu matkę i pochodzącego z klasy robotniczej ojczyma. A w Kioga ojca, który wciąż łamał synowi serce. Lolly zaś była nieszczęśliwą dziewczyną, dźwigającą na swych barkach zbyt duży ciężar rodzicielskich oczekiwań.

Całkowite niedopasowanie. A jednak coś między nimi zaiskrzyło. W dniu, w którym się spotkali po raz pierwszy jako dwunastolatki, zawarli - owszem, zakręconą - przyjaźń.

Potem każdego lata spotykali się znowu i kontynuowali znajomość od miejsca, w którym ją przerwali rok wcześniej, jakby wcale się nie rozstawali. Co roku czekał ich cały sezon nocnych wypraw do kuchni, głupich, ale śmiesznych figli, płatanych drużynowym albo pozostałym obozowiczom. Stanowili zgrany duet, radzący sobie ze wszystkim, co wymagało sprawności fizycznej i umysłowej. To pierwsze zapewniał Connor, to drugie było domeną Lolly.

W końcu zdradzili sobie swe największe sekrety. On przyznał się, że wstydzi się ojca alkoholika i że kocha się beznadziejnie w Evelyn Waller. Lolly z kolei opowiedziała mu, że jej ulubiony przedmiot w szkole to prace ręczne i że jej idolem jest Martha Stewart. Connor pomagał Lolly być lepszą, odważniejszą i pewniejszą siebie, a także wspierał ją, gdy miała „doła”.

Traktował ją jak równą sobie. Jak kolegę. Odpowiadało jej to, bo dzięki temu mogli być razem bez niezręcznych napięć, jakie mogą wystąpić między dziewczyną a chłopakiem.

W pierwszy poniedziałek września, czyli w Święto Pracy, Connor wracał do Buffalo, a Lolly do Nowego Jorku. Nie rozmawiali ani nie widzieli się przez trzy następne kwartały w roku. Ona czasem zastanawiała się, czyby nie wysłać do niego listu, ale nie mogłaby napisać niczego oprócz: „Drogi Connorze. Moje życie jest do bani”. Kto chciałby czytać coś takiego?

Owszem, mogłaby mu nabujać. Takie listy pisały niektóre koleżanki ze szkoły. Ale nie potrafiła wyobrazić sobie, jak pisanie bajeczek o wspaniałym życiu mogłoby choć trochę naprawić to prawdziwe.

A potem, bez najmniejszego ostrzeżenia czy wyjaśnienia, przyjaźń się urwała. Kolejnego lata Lolly przyjechała na obóz z nadzieją, że znów spotka Connora, ale on się tam nie pokazał. Gdy zebrała dość odwagi, by spytać o to jego ojca, pan Davis odrzekł jedynie: „Mój chłopak podłapał tego lata robotę w Buffalo. Nie przyjedzie”.

Gdy Lolly ukończyła dziesiątą klasę, jej matka zdecydowała, że nastał czas na poznanie szerokiego świata i zabrała córkę w podróż po stolicach Europy.

Ojciec, nie chcąc być dłużnym matce, następnego lata wyciągnął Lolly na dwumiesięczny rejs po Morzu Śródziemnym.

To brzmiało fantastycznie. I powinno było takie być. Tyle że przymus odjął tym wyprawom całkiem sporo fantastyczności. Rodzice oczekiwali od Lolly bardzo wielu rzeczy: doskonałych stopni, doskonałych wyników testów, nagród w konkursach muzycznych i olimpiadach wiedzy.

- Chcę, żebyś trafiła do dobrego college'u - powtarzała wciąż matka, choć nigdy nie raczyła wyjaśnić, dlaczego tego chce.

Lolly widziała na własne oczy, że studia w Yale i ślub z absolwentem tej uczelni nie przyniosły Pameli Lightsey żadnej radości, tylko kupę kasy oraz rozwód. Zastanawiała się więc, dlaczego matka wciąż ma głębokie przekonanie, że ukończenie prestiżowej uczelni to klucz do jakiegoś magicznego królestwa.

Teraz ukończyła szkołę średnią i została przyjęta na studia licencjackie w nowojorskim uniwersytecie Columbia. Miała nadzieję, że w ten sposób pokaże rodzicom, że stara się sprostać stawianym przez nich wymaganiom. Na razie jednak miała przed sobą ostatnie lato dzieciństwa i perspektywę powrotu do Kioga.

Najpierw miała zamiar pozostawać na uboczu. Wiedziała, że dziadkowie to zrozumieją. Potem jednak zadzwonił telefon. Babcia. Powiedziała coś i Lolly zmieniła zdanie.

- Connor Davis będzie tego lata pracować na obozie Kioga. Pomyślałam, że może cię to zainteresuje.

- Tego roku wszystko będzie inne niż dotąd - stwierdziła Dare Yates, najbliższa kuzynka Lolly.

- Bez pudła, Sherlocku - przytaknęła Frankie, starsza o rok siostra Dare. - Teraz to my będziemy sprawować władzę.

- Jak byliśmy małe, wydawało nam się, że fajnie jest być drużynową. Mam nadzieję, że to się sprawdzi - powiedziała Lolly, schodząc z tarasu domku, gdzie mieszkały we trzy, żeby strząsnąć błoto z podeszew swych wycieczkowych butów.

Frankie rozejrzała się po domku, który miał stać się ich siedzibą na całe lato.

- Ładnie tu - stwierdziła z uznaniem. - Kto to urządzał?

- Podziękuj Lolly - wyjaśniła Dare. - Była tu dzień wcześniej i zajęła się wszystkim.

Lolly poczuła się miło polechtana tym, że kuzynki to zauważyły. Wystarczyło kilka chwil, żeby zamienić koszaropodobne wnętrze w coś dużo przyjemniejszego. Ograbiła kilka obozowych składzików z dawno zapomnianych skarbów. Ponakrywała łóżka kolorowymi kocami w szkocką kratę, dorzuciła pleciony dywanik, kilka adirondackiańskich giętych krzeseł i stół w wiejskim stylu. Babcia doradziła, żeby wykorzystała też inne rzeczy - tabliczkę z brzozonej kory z przybitymi patykami, tworzącymi napis „Kioga”, lampiony o pergaminowych ściankach, nawet ręcznie robioną wycieraczkę. Na parapetach stanęły dzbanki z polnymi kwiatami.

- Jest pięknie, Lolly! - zawołała Frankie przez drzwi. - Masz dryg do tych spraw!

- Dziewczyna z drygiem? - odrzekła Lolly. - Może i rzeczywiście...

Ona i jej kuzynki prowadziły najmłodszą grupę dziewczynek - Żółtodzioby. Małe obozowiczki przyjechały dzień wcześniej i udało im się przetrwać pierwszą noc bez hysterii. Popłynęło zaledwie kilka łez.

Lolly uwielbiała chichoty i okrzyki bawiących się dzieci. Lubiła nawet opatrywać im skaleczenia i uspokajać je, jeśli czegoś się bały - a podejrzewała, że niektóre z jej podopiecznych będą potrzebować tego każdej nocy. Szczególną troską napawała ją mała Ramona Fisher, która ostatniej nocy kuliła się w swoim łóżku niczym żołnierz pod huraganowym ostrzałem.

Dare dołączyła do Lolly i przyłożyła do jej oczu lornetkę, celując nią w stronę jeziora.
- Boże, uwielbiam ten widok.

Nie mówiła o falującej wodzie. Lolly dobrze o tym wiedziała. Soczewki były skierowane wprost na obszar dla pływaków. Drużynowi i chłopcy od Żółtodziobów już tam byli. Odbywały się zwyczajowe testy sprawdzające umiejętność pływania obozowiczów w celu podziału ich na grupy o różnym stopniu zaawansowania w trudnej sztuce poruszania się w wodzie.

Trzy kuzynki oparły się o poręcz i przekazywały sobie lornetkę. Drużynowi nosili skąpe koszulki, uwydatniające ich muskulaturę i mieli gwizdki zawieszane na szyjach. Żartowali z młodszymi dziećmi, próbując w ten sposób je uspokoić.

Nawet z daleka i patrząc nieuzbrojonym okiem, Lolly dostrzegła kogoś, kogo widok wywołał u niej dreszcz. Rozpoznała od razu wysokiego, ciemnowłosego chłopaka.

Connor Davis.

Nie widziała się z nim jeszcze. W dzień przyjazdu obozowiczów panował chaos, którego opanowanie wymagało mnóstwa uwagi i czasu. Kiedy przyszła jej kolej na korzystanie z lornetki, udawała, że spogląda na wszystkich chłopaków po kolei. Oczywiście było zupełnie inaczej.

Connor Davis urósł jeszcze bardziej i chociaż nadal był chudy, miał szerokie ramiona. Dużo szersze niż kiedyś. Był opalony, dlatego że wcześniej dużo pracował z ojcem na otwartej przestrzeni. Wydawało jej się, że świetnie sobie radzi z dziećmi. Jakby był do tego stworzony.

Lolly stłumiła westchnienie. Zastanawiała się, co w znajomości się zmieni, a co pozostanie takie jak przedtem. Czy zachowały się jakieś resztki ich przyjaźni, czy są już sobie obcy? Wiedziała, że ona sama się zmieniła pod kilkoma zauważalnymi względami. Miała teraz prawie osiemnaście lat i zobaczyła ładny kawał świata. Mówiła biegle po francusku i przeszła pięć egzaminów kwalifikujących na studia.

A jednak w środku była nadal tą samą Lolly. Dziewczyną z nadwagą, przeciwieństwem ładniejszych i popularniejszych koleżanek. Zamiast chodzić z chłopakami na szkolne potańcówki, wołała dekorować szkolne wnętrza na te imprezy. Była w tym naprawdę dobra. W czasach szkolnych potrafiła przekształcić salę gimnastyczną w miasteczko z Dzikiego Zachodu, podmorską fantazję, a nawet zbudować scenografię żywcem z „Facetów w czerni”.

Wyrosła na eksperta w dziedzinie ukrywania przed innymi własnej samotności i przygnębienia. Jej dobry humor i wieczne „to się da zrobić” to była maska, konstruowana pieczołowicie i z dużym wysiłkiem. Ludzie myśleli, że Lolly czerpie satysfakcję z bycia dekoratorką, kumpelą i dobrą w nauce, choć nieatrakcyjną uczennicą. I że to jej wystarcza. Lolly próbowała zaakceptować siebie jako kogoś takiego. Próbowała być szczęśliwa, a przynajmniej zadowolona. Czasem to nawet działało i na chwilę zapominała wtedy o sobie. Tylko że zawsze zdarzało się coś, co psuło cały efekt.

Tak jak dziś. Musiała włożyć kostium kąpielowy. Prawdopodobnie najbardziej podkreślający kształty ciała ciuch, jaki kiedykolwiek wymyślono. Cały ranek miał być poświęcony trenowaniu ratownictwa wodnego, jednego z żelaznych punktów programu dla obozowiczów. Powodem wielkiej dumy dziadków Lolly było to, że każdy z uczestników obozu uczył się pływania i ratowania tonących. Nie obchodziło ich, że dla kogoś grubszego oznaczało to upodobnienie się do serdelka w osłonce ze spandeksu.

Frankie oparła łokcie o poręcz, żeby unieruchomić lornetkę.

- Czy to możliwe, by komuś podobały się męskie nogi? - zapytała rozmarzonym głosem.

- Możliwe - odpowiedziała Dare takim samym tonem. - Pokaż, co widzisz. Popatrzę i powiem ci, co sama o tym myślę.

Lolly wzięła podkładkę do papierów i spojrzała na program dziennych zajęć, udając, że nie słucha kuzynek. Owszem, pogadywały o rozmaitych facetach i czasem było to zabawne. Najczęściej jednak nudne. Nie rozumiała, jak one mogą - podobnie zresztą jak inne dziewczyny w ich wieku - mieć takiego świra na punkcie czyjegoś wyglądu. Ale kiedy spojrzała na wysokiego, ciemnowłosego chłopaka, stojącego na brzegu jeziora, poczuła wewnątrz coś dziwnego i zdała sobie sprawę, że chyba jednak pomalutku zaczyna rozumieć zachowanie Dare i Frankie.

- Lepiej już chodźmy - powiedziała Dare, biorąc do ręki kosmetyczkę. - Musimy podzielić dziewczynki na drużyny pływackie. Po drugim śniadaniu mam zamiar poćwiczyć z nimi chóralne czytanie na piątkowy wieczór. Pomyślałam, że „Mała syrenka” powinna być okej.

Dare uwielbiała organizować innych. Była w tym naprawdę dobra, tak jak Lolly w przemianach i iluzjach. Tego lata tworzyły zgrany duet.

Frankie odniosła lornetkę do domku i ściągnęła przez głowę swój T-shirt. Lolly poczuła znajome ukłucie zazdrości. To musi być przyjemne, pomyślała. One obie mają świadomość urody własnego ciała. Frankie i Dare były szczupłe, a Frankie w tajemnicy przed wszystkimi nosiła kolczyk w pępku.

Lolly słyszała, jak jej kuzynki buszują w sąsiednim pokoju. Zazdrościła im - były siostrami. Nawet jeśli dochodziło między nimi do kłótni, w naprawdę ważnych sprawach mogły na siebie liczyć. Łączyła je nierozzerwalna więź. Na całe życie.

Lolly przebrała się w łazience. Nie próbowała udawać, że nie ma kompleksów. Może to i głupie - Frankie i Dare były przecież jej kuzynkami - ale z powodu tej koszmarnej nadwagi Lolly zrobiła się skryta. Tak szybko jak mogła wśliznęła się w przepisowy strój kąpielowy.

Connor. Idę się z nim spotkać. Próbowała stłumić dreszczyk emocji, ale okazało się to niemożliwe. Rozegraj to na spokojnie, mówiła sobie. Może nie był tak przystojny, jak to sobie zapamiętała. Może cały spuchł od sterydów albo miał na twarzy pełno krost, może zmienił się w błazna albo nieznośnego szpanera. Naciągając szary T-shirt na kostium kąpielowy, Lolly uznała, że na ogólnie doskonałej przyjaźni, łączącej ją z Connorem każdego lata, widnieje jedna skaza. A skaza ta była tak głęboko skrywaną tajemnicą, że jej właścicielka czasem nawet zapominała o tym, że ją posiada. Coś jednak zawsze musiało w końcu pobudzić jej pamięć.

Ta okropna, koląca, ściśle ukrywana prawda brzmiała następująco: Lolly była beznadziejnie zakochana w Connorze Davisie.

Pewnie. Jakże mogłoby być inaczej? On był silny, szybki i miły. Z nim zawsze się wiedziało, na czym się stoi, bo Connor nie pogrywał ani nie kłamał. Był doskonałym przyjacielem. I taka sama była jego przyjaźń z Lolly. No, może z jednym małym wyjątkiem. Ona miała hysia na jego punkcie.

Nieważne, że nie widziała go przez cztery lata. Przerwa sprawiła, że w jej wyobraźni stał się jeszcze wspanialszy. Czasem próbowała dojść, kiedy dokładnie to się zaczęło. Czy istniał jakiś przełomowy moment, w którym przestała go po prostu lubić, a zaczęła uważać za księcia z bajki?

Zmuszona do decyzji odpowiedziałaby chyba, że wszystko zaczęło się tamtej nocy, kiedy przekłuła mu ucho. Wtedy nie zdawała sobie z tego sprawy, ale w tym, że ostatniego lata, które spędzili razem, naznaczyła go na stałe, tkwiło symboliczne znaczenie. Podejrzewała, że Connor chciał mieć kolczyk w uchu w akcie buntu przeciw znienawidzonemu ojczymowi. Mógł zrobić to sam, ale Lolly wiedziała, że nie zrobi tego porządnie, a może nawet się okaleczy. Wkroczyła do akcji, udając stoicki spokój, podczas gdy naprawdę o mało nie zemdląła. W salce opatrunkowej, za pomocą sterylonego lancetu i gumowego młoteczka do badania refleksu, przekłuła mu ucho, płacząc w głoś. Zresztą z zaciśniętych oczu Connora też spływały odporne łzy.

Nosił srebrny kolczyk przez całe lato, a ona za każdym razem czuła ciepło w sercu na ten widok. Ani przez minutę nie robiła sobie złudzeń, że się w niej zakochał, ale miała dziwne wrażenie, że dzięki chirurgicznemu zabiegowi Connor w jakiś sposób należy do niej.

Była zakochana i gdy pisała o nim w pamiętniku, zawsze drżała jej ręka. Czas, jaki upłynął od ich ostatniego spotkania, wcale nie osłabił jej uczucia. Przygotowując się do wejścia na teren dla pływaków, drżała na całym ciele.

Gdy szła do drzwi, złapała wiatrówkę i owinęła się nią, zawiązując rękawy w talii. Przynajmniej miała zakryte pośladki. Oczywiście nikogo nie uda jej się w ten sposób oszukać. A najmniej już samą siebie.

Zeszły we trójkę do baraku Saratoga i stanęły przy dziewczynkach z zastępu Żółtodziobów.

- Czy nie powinniśmy iść w szeregu? - spytała jedna z nich, o imieniu, zdaje się, Flossie.

- Chyba tak. - Dare pogłaskała jej blond włosy. - Uważasz, że bez tego będziemy mieć jakieś kłopoty?

Lolly bacznie przyjrzała się podekscytowanej, chichoczącej zbieraninie dziewczynek różnego wzrostu i różnych rozmiarów.

- Na razie niech może ustawią się w szereg - zaproponowała. - Przynajmniej dopóki wszystkich nie policzymy.

Poustawiały swoje podopieczne, choć nie obeszło się przy tym bez narzekań. Okazało się oczywiście, że kogoś brakuje.

- Ja po nią pójde - powiedziała Lolly i weszła do zbiorowej sypialni.

Natychmiast poczuła znajome zapachy: szampon, guma do żucia i słaba, ale wszechobecna woń pleśni. Lolly zawsze poszukiwała gubiących się dzieci i zawsze wiedziała, gdzie należy ich szukać. Wszystko dlatego, że знаła doskonale wszelkie możliwe kryjówki. Znalazła zagubioną obozowniczkę skuloną na dolnym łóżku, zwróconą twarzą do ściany, na której powiesiła kalendarz. Pierwszy dzień obozowania został zakreślony literką „X”, ale pozostałe kratki, oznaczające kolejne dni, ciągnęły się w długą, zdałoby się nieskończoną, linię.

- Ramona? - odezwała się cicho Lolly - Idziemy nad jezioro.

Ramona wydała z siebie tragicznie brzmiące chlipnięcie.

- Brzuch mnie boli.

- Przykro mi. A wiesz, co napisano w poradniku drużynowego? Ból brzucha jest najczęstszą dolegliwością wszystkich obozowiczów.

- To jest moja najczęstsza dolegliwość - zaprotestowała Ramona.

- Kiedy ja się czegoś boję, też zazwyczaj zaczyna mnie boleć brzuch - zwierzyła się Lolly. - Ale mam dla ciebie dobrą wiadomość: kiedy człowiek przestaje się bać, ból przechodzi.

- To wcale nie jest taka dobra wiadomość - chlipnęła znów dziewczynka. - Boję się tego całego obozu, a ponieważ mam być tu przez całe lato, to ból chyba mi już nie przejdzie.

- Oczywiście, że przejdzie - zapewniła ją Lolly i łagodnie rozluźniła zbiegające palce Ramony, zaciśnięte na krawędzi łóżka. - Są setki sposobów na pozbycie się strachu. Możesz mi wierzyć. Znam je wszystkie, bo widzisz, jestem mistrzynią w sztuce bania się.

Ramona nie wyglądała na przekonaną.

- Boję się pływania.

- Ja też - odrzekła Lolly - ale jednak pływam. A im dłużej to robię, tym mniej jestem przestraszona. I wiesz, już postanowiłam, że gdy jesienią zacznę studiować, zapiszę się do drużyny pływackiej mojego college'u.

- Nie wierzę!

- Uwierz.

- A dlaczego chcesz być w tej drużynie?

- Bo to trudne. I wywołuje strach.

- Po co ci to?

- Dobre pytanie. Słyszałam, że należy wychodzić naprzeciw swojemu strachowi. Przez to zaczynasz wierzyć, że stać cię na coś więcej, niż byłeś w stanie zrobić do tej pory. Ja mam zamiar dokonać tego w drużynie pływackiej. - Lolly uśmiechnęła się konspiracyjnie do Ramony. - Jesteś pierwszą osobą, której o tym powiedziałam.

- A ja nie widzę nic dobrego w robieniu trudnych rzeczy.

Lolly wzięła dziewczynkę za rękę.

- To włóż teraz kostium kąpielowy, a potem pójdziemy nad jezioro i razem spróbujemy sprawdzić, jak z tym jest.

Dziewczynka pisnęła i skapitulowała.

- A wejdiesz do wody razem ze mną? - spytała, wciskając dłoń w rękę Lolly.

- Oczywiście, jeśli zechcesz.

- Ja już chcę!

No pięknie, pomyślała Lolly. Pozostali drużynowi będą stać sobie w suchych ubraniach na pomoście i flirtować. Tylko ja będę się chlapać z tym dzieciakiem.

Dołączyły ostatnie do rojącego się zbiorowiska obozowiczów, drużynowych i ratowników. Nabrzeże zostało zaopatrzone w bloki startowe, a trasa przepływu była zaznaczona bojami rozmieszczonymi co dwadzieścia pięć metrów. W oddali widniała wieża do skoków, z najwyższą platformą na wysokości dziesięciu metrów. Wciąż trzymając Ramonę za rękę, Lolly przebadała wzrokiem kotłujący się tłum.

Drużynowi dmuchali w gwizdki i darli się na dzieciaki, próbując ustawić je w szeregi przy blokach startowych. Był tam również nadzorujący spletaną masę chłopców Connor Davis; wyglądał jak postać z pięknego snu.

Niestety dookoła panował zbyt wielki chaos, by mogli zrobić cokolwiek oprócz pomachania do siebie ponad morzem dziecięcych głów. Ale nawet po tym milczącym

powitaniu Lolly poczuła, że kolana ugięły się pod nią, kiedy on na nią spojrział. Cud boski, że zdołała utrzymać się na nogach. Connor był ponad wszelką wątpliwość najprzystojniejszym chłopakiem, jakiego w życiu widziała.

Zabawna rzecz. On sam zdawał się nie mieć pojęcia o tym, jak wygląda. Może ta wrodzona skromność była wynikiem trudnych warunków, w jakich dorastał? Niełatwo być synem kogoś takiego jak Terry Davis. Być może dlatego nie przywiązywał wielkiej wagi do swej powierzchowności.

Ale dziewczyny wokół niego - wprost przeciwnie. Lolly dobrze o tym wiedziała. A w tej chwili nawet widziała. Drużynowe krążyły wokół Connora niczym uszminkowane myszołowy, podziwiając jego długie, lśniące czarne włosy, szafirowobłękitne oczy, szerokie ramiona i szeroki uśmiech. Niektóre z nich niewątpliwie już knuły, jak by go tu uwieść.

Kiedy wreszcie przepchnął się poprzez mrowie dzieci i przyszedł na pomost, żeby przywitać się z Lolly, było już za późno. Dziewczęta trącały się łokciami, wytykały ich palcami, podśmiewały się. Connor jednak wciąż skupiał uwagę na Lolly.

- Cześć - powiedział.

Jego głos był dużo niższy, niż pamiętała, ale wciąż melodyjny. Ciekawe, czy nadal umie ładnie śpiewać, pomyślała.

- Cześć.

Lolly wiedziała, że jej uniesienie odbija się w najdrobniejszych szczegółach na jej twarzy, ale miała to w nosie.

- Liczyłem, że cię tu spotkam tego lata - oznajmił ze zwykłą, porażającą szczerością.

- Szkoda, że nie dałeś mi swojego adresu mejlowego. Zawsze mogłabym wysłać do ciebie liścik.

- Nie mam mejla. Podobno można korzystać z Internetu w bibliotekach, ale ja tam za często nie bywam.

Lolly w myślach kopnęła się w kostkę. Znowu to samo, co zawsze. Tym razem uznała za pewnik, że cały świat może korzystać z komputerów, telefonów komórkowych i tego typu dobrodziejstw. Że każdy ma coś takiego pod ręką.

- Elektronika bywa zawodna - wycofała się szybko, nie zdradzając, jak bardzo lubi komunikować się za pomocą e-maili.

E-mail był według niej czymś na pograniczu papierowego listu, którego napisanie wymagało zawsze przemyśleń i rozwagi, i rozmowy przez komórkę, według Lolly dopuszczalnej jedynie w sytuacji pewnej poufałości. E-mail byłby idealną metodą kontaktowania się z Connorem. Tyle że nie dotarłby do niego żaden list.

Rozległ się gwizd, a główny ratownik kazał wszystkim ustawić się w szeregi wzdłuż pomostu. Ramona Fisher złapała Lolly za rękę, rozpaczliwie zaciskając na niej swe palce.

Connor ponownie rozpromienił twarz w uśmiechu. Wydawał się nie dostrzegać, że każda drużynowa w jego polu widzenia koncentruje uwagę właśnie na nim. Czy rzeczywiście był aż tak niedomyślny, czy po prostu nie miał o tym pojęcia?

- To na razie, zobaczymy się później - powiedział do Lolly.

- Dobra. Na razie.

Zobaczyła, że wciąż ma kolczyk w uchu. O, Boże. Zachował go. To musiało coś znaczyć, prawda? Nagle dał się słyszeć wrzask.

- Hej! Pomoże mi ktoś?!!

- Julian! - sapnął Connor i ruszył biegiem, wykrzykując to imię na cały głos.

Tymczasem mały i śliczny chłopaczek o tym imieniu wdrapał się już na drzewo, rosnące tuż nad wodą, i pełził teraz po konarze zwieszającym się nad powierzchnią jeziora. Widać było, że Julian jest silny jak na swój wiek, szybki i że ma wyraźną skłonność do złośliwych psot. Balansując na końcu konara, uderzył się w pierś, małpując Tarzana i wydał mrożący krew w żyłach okrzyk, po czym wskoczył do wody jak wielka żaba.

Lolly też już była zajęta - pomagała dzielić dziewczynki na grupy zgodne ze stopniem ich pływackiego wtajemniczenia. Ramona stała na podeście i patrzyła na przejrzystą wodę ze zgrozą wypisaną na twarzy.

- Ja nie mogę - wyszeptała.

- Ale się zdziwisz, kiedy się przekonasz, co naprawdę potrafisz - uspokajała ją Lolly.

- Ja w to nie wejść.

- Jeśli nie zrobisz tego dzisiaj, jutro będzie ci jeszcze trudniej.

- No dobrze, zaryzykuję...

- Powiem ci coś. Wejść do wody pierwsza, a wtedy ty wskoczysz i podpłyniesz do mnie. Co ty na to? Myślisz, że ci się uda?

Ramona wzruszyła ramionami. Przynajmniej nie była to jednoznaczna odmowa.

Cudownie, pomyślała Lolly, ściągając T-shirt i zrzucając z bioder wiatrówkę. Będzie pierwszą moką drużynową. Ale Ramona miała taką wdzięczną minę, że Lolly zapomniała na chwilę o swych rozterkach. Pokazała dziewczynce, jak łatwy jest skok do wody. Króciutki lot.

- Prosto do mnie - ponagliła. - No już, Ramona. Pomyśl, jak bardzo będziesz z siebie dumna.

- A obiecasz, że mnie złapiesz?

- Obiecuję.

Ramona zacisnęła powieki, skrzywiła twarz i rzuciła się do wody, wzbijając przy okazji fontanny wody i zachlapując całkowicie Lolly. Ale udało jej się. Przepłynęła „pieskiem” cały dystans, trzymając głowę nad powierzchnią, i wyszła na płytsze miejsce, pękając z zachwytu i dumy.

- Zrobiłam to, Lolly! Zrobiłam!

I ja też, pomyślała Lolly, widząc ponownie w pobliżu Connora. Znowu nie brakowało mu towarzystwa - dziewczyny zaczepiały go przy lada okazji. Zdawał się kompletnie ignorować Lolly. No i dobrze, pomyślała. Ani nie chciała, ani nie potrzebowała, żeby zwracał na nią uwagę.

- Podpłynęmy do tamtych szczebelków - poinstruowała Ramonę, wskazując drabinę na krańcu pomostu.

- To za daleko. Utopię się.

- Będę obok ciebie przez cały czas - obiecała Lolly.

Drewniana drabinka najlepsze dni miała już dawno za sobą. Jej szczeble były oślizłe i nasiąknięte wodą. Ramona wygramoliła się z jeziora i odtańczyła taniec tryumfu. Idąca tuż za nią Lolly pośliznęła się i o mało nie upadła na twarz.

- Cóż za wdzięk - powiedział ktoś i parsknął śmiechem. - Lolly? Jak się udała wycieczka?

Lolly rozpoznała głos Jazzy Simmons, jednej z drużynowych.

Z policzkami płonącymi z upokorzenia zignorowała ten przytyk i zaczęła wstawać. Czyjaś silna ręka przytrzymała ją i pociągnęła do góry. Lolly zaczerwieniła się jeszcze bardziej, kiedy okazało się, że ręka należy do Connora.

- Wszystko w porządku? - zapytał.

- Tak.

Nie mogła dłużej na niego patrzeć. Gdy się oddalił, zwróciła się do Ramony, teraz trzęsącej się w zwojach ręcznika.

- Widzisz? To wcale nie był koniec świata.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Świetlicę dla kadry obozu nieoficjalnie nazywano „wesołym domkiem”. To duże pomieszczenie spełniało rozmaite zadania. Tam drużynowi i pracownicy obozu spędzali wolny czas, słuchali muzyki i urządzali potańcówki. Kiedy zbliżając się do tego miejsca, Connor poczuł w brzuchu rytm gitary basowej, od którego drżały ściany i krokwie, wiedział już, że impreza nabrała wysokich obrotów.

Wszedł i odczekał, aż jego wzrok przyzwyczai się do ciemności, rozjaśnianej jedynie przez lampki aparatury stereo i kilka świec na stole, których blask padał na parę opakowań chrupek i miseczki z salsą. Falujące sylwetki zgromadziły się pośrodku, tańcząc coś w rodzaju pogo. Trochę ludzi stało pod ścianami, pijąc przemycone jakimś cudem piwo i próbując podtrzymać rozmowy wbrew decybelom spływającym z głośników. Connor rozejrzał się w poszukiwaniu Lolly, ale nie mógł jej znaleźć.

Może była na niego... zła? Nie potrafił powiedzieć, dlaczego miałoby tak być, ale gdy pomógł jej dziś wstać na pomoście, wyglądała na wkurzoną i zbyła go krótkim „tak”.

Dziewczyny, wzruszył ramionami. Kto za nimi trafi?

Długonoga blondynka w rozpiętej po pępek wiatrówce stanęła obok niego. Trzymała w ręce butelkę piwa. Muzyka ucichła podczas zmiany kompaktów.

- Za przeżycie następnego dnia z tymi łebkami - powiedziała niskim, stłumionym głosem. Jej język wysunął się spomiędzy warg, by je zwilżyć. - Nie miałam pojęcia, ile trzeba się nawysilać przy takich dzieciakach.

Uniosła butelkę do ust, pociągnęła łyk, oderwała usta od szyjki z odgłosem przypominającym pocałunek i wyciągnęła flaszkę do Connora.

Muzyka znów zagrała. „Zrób to z nieznanym”. Rytm heavy metalu rozbrzmiewał twardo pomiędzy ścianami.

- Chcesz? - spytała, pochylając się, by niemal krzyknąć to do ucha Connora poprzez ogłuszające dźwięki gitar i perkusji.

- Dzięki, ale nie!

- Tak przy okazji, wszyscy mówią na mnie Jazzy! - przedstawiła się, uśmiechnięta.

Może powinnaś powiedzieć im, żeby przestali, pomyślał.

- Jestem Connor!

- Wiem! - Mrugnęła do niego. - Pytałam! Connor! Masz dziewczynę?!

Zobaczył, że Lolly i jej dwie kuzynki właśnie wchodzi do świetlicy i witają się z resztą znajomych.

- Nie! - odpowiedział.

- No to super! Zobaczysz, to będzie świetne lato! Jestem z L. A.!

No i co z tego?

- Buffalo! - odpowiedział.

Zaśmiała się, jakby usłyszała coś wyjątkowo zabawnego, a potem posłużyła się zgrany do cna grepsem: udała, że jest pijana, i zatoczyła się na Connora. Poczł zapach piwa i szamponu owocowego. Jej piersi były nienaturalnie twarde - nieraz słyszał od chłopaków, że to oznaka podniecenia. Connor podtrzymał ją ramieniem i pomógł jej usiąść na ławce. Najwyraźniej zrozumiała to jako zaproszenie do poufałości i zaplotła mu ramiona wokół szyi.

- Zgarnę sobie coś do picia! - wydarł się wprost w jej ucho. - Miło mi było cię poznać, Jazzy!

Rozejrzał się dookoła. Jakaś jego część chciała stąd uciec, inna - zostać tu i imprezować, jeszcze inna - ocenić z bliska wdzięki tej nowej znajomej. Ale nie. Nie z tą Jazzy z L. A. Ani z żadną inną Mandy czy Mindy, która zderzyła się z nim, kiedy torował sobie drogę do bufetu zastawionego przekąskami i napojami bezalkoholowymi.

Nie żeby miał coś przeciwko podrywom. Wprost przeciwnie. Już teraz rozwinął żagiel - wystarczyła myśl o Jazzy, wspartej o niego. Ale nie miał zamiaru rozpoczynać tego lata od wyrywania jakiejś przypadkowej dziewczyny. Tego był całkowicie pewien. Najpierw musiał dokładnie przebadac teren.

Kolejne dwie próbowały się na niego władować. Jedna, w przymalym topie, z którego wylewały się wielkie balony, druga - chichocząca, w superdrogich designerskich ciuchach, które produkowała firma jej ojca.

Nagle los zesłał mu niespodziewany ratunek w osobie Lolly Bellamy. Stała na obrzeżu całego tego zamieszania i rozglądała się wokół ze znudzoną miną. Connor ruszył w jej stronę, przeciskając się przez tłum, który podrygiwał jak szalony w rytm kolejnego heavy-metalowego przeboju.

- Hej! - rzucił od niechcenia.

- Hej.

Jej uśmiech trwał stanowczo zbyt krótko i Connor znowu zastanowił się, czy ona nie jest aby na niego zła. Za co - nie wiedział.

- Mieliliśmy się spotkać - przypomniał jej.

- Że co? - Przyłożyła do ucha zwiniętą w trąbkę dłoń.

- Spotkać się! - powtórzył i pokazał, żeby poszła za nim do odległego kąta sali, jak najdalej od dudniących pełną mocą głośników.

Uśmiechnęła się do niego w sposób, który wyglądał na szczery i łagodny. Connorowi zawsze podobała się jej twarz. Miała ładną skórę i piękne oczy, skryte za okularami.

- Byłam zaskoczona, kiedy dowiedziałam się, że w tym roku przyjeżdżasz tu na wakacje - powiedziała.

- Nie planowałem powrotu w te strony - wyjaśnił. - Ale tak jakoś się złożyło.

Był teraz mężczyzną, a Mel lubił mu o tym przypominać. Był wystarczająco dojrzały, by wynieść się z domu i z życia swojego ojczyma. Ale, oczywiście, nie mógł uciec stamtąd tak szybko, jak by chciał. Bynajmniej nie dlatego, że lubił przebywać z matką. Teraz miał jedyną możliwość zaoszczędzenia jakichkolwiek pieniędzy na naukę w college'u. Bo wiedział, że ani od matki, ani od Mela, ani od swego ojca nie może oczekiwać żadnej pomocy.

Uważał, że nie ma sprawy. Nie miał nic przeciwko płaceniu za studia z własnej kieszeni. Chciał wyjechać z Buffalo już w chwili, gdy rzucił wysoko w powietrze biret, założony na uroczystość ukończenia szkoły średniej, ale matka miała wobec niego inne plany.

- No to powiedz, dlaczego wróciłeś? - zapytała Lolly.

Zawahał się. Jak dużo można jej powiedzieć?

- Po ukończeniu szkoły pomyślałem, że warto byłoby złapać jakąś pracę i trochę miejsca dla siebie. Pomyślałem, że trzeba zacząć żyć.

- I jesteś tutaj.

- Po prostu nie mogłem stać z boku.

Mógłby opowiedzieć jej dużo, dużo więcej i chyba miał ochotę to zrobić, ale w tym całym hałasie nie dało się zwyczajnie rozmawiać. A może to i lepiej. Może Lolly wcale nie chciałyby usłyszeć o prawdziwym powodzie, dla którego tu wrócił. Jego przyrodni brat, ośmioletni Julian, przyjechał do Buffalo na wakacje z Luizjany. Matka kazała Connorowi się nim zaopiekować.

Tak naprawdę znaczyło to: „Trzymaj dzieciaka z dala od mojej fryzury i od pięści Mela”.

Connor znał swego brata tylko w niemowlęctwie. Potem matka pozbyła się Juliana jak niechcianego pieska. Connor nie mógł się z tym pogodzić przez ładne parę lat, a Julian, być może właśnie z powodu postępowania matki, wyrósł na bardzo dziwnego chłopca.

Rozsadzała go niepohamowana energia, której dawał upust w każdej chwili. Szkoła sugerowała wykonanie indywidualnego testu diagnostycznego dla ustalenia specyficznych potrzeb Juliana. Takiego testu nigdy nie zrobiono. Jego iloraz inteligencji także nigdy nie został określony, choć wyglądało na to, że znacznie przewyższa przeciętną.

Resztę miejsca w opinii szkoły zajmowała wielostronicowa litania uwag, dotyczących zachowania Juliana. I nie wspomiano w nich o zwykłych szkolnych wybrykach czy też pyskowaniu nauczycielom. Była tam mowa o szalonych i niebezpiecznych wyczynach, w wyniku których szkody ponosiła tylko jedna osoba - sam Julian.

Matka Connora twierdziła, że przez tego chłopca staje się psychicznym wrakiem. Rozwiązanie problemu nadeszło z nieoczekiwanej strony. Dzięki Terry'emu Davisowi, który wciąż pracował w Kioga, rodzina Bellamych zaproponowała Connorowi płatną pracę na lato

i zaprosiła Juliana na obóz. Connor zastanawiał się, czy ktoś z Bellamych powiedział Lolly o kolejnym specjalnym obozowiczu, przyjętym tu przez wzgląd na Terry'ego Davisa. Podejrzał, że nie. W takich sprawach Jane i Charles Bellamy zachowywali daleko posuniętą dyskrecję.

- A co robiłeś dotąd? - spytała Lolly. - Dlaczego wróciłeś dopiero teraz?

- Mój ojczym powiedział mi, że wyrosłem już na tyle, by móc zarobić parę groszy. -

Connor zaczął przedrzeźniać robociarski sposób mówienia Mela:

- Złap jakąś robotę, synu. Nie mam zamiaru patrzeć, jak zbijasz bąki, siedząc w domu całe dni, i nas objadasz.

Co za ironia losu! Po pierwsze, nie był synem Mela. Czy tamtemu się to podobało, czy nie, Connor miał ojca. Po drugie, ta gadka o domu...

- W domu! - prychnął ze złością. - To brzmi tak, jakbyśmy mieli coś takiego jak dom. A naprawdę mieszkamy w polu w przyczepie kempingowej. To nie jest żaden dom, tylko postój.

Spróbował rozszyfrować wyraz twarzy Lolly. Niesmak? Poczucie wyższości? Co mógł pomyśleć sobie ktoś taki jak ona, słysząc, jak on mieszka?

- Niesamowite - uśmiechnęła się.

- Naprawdę?

- Kurczę, tak. Sam pomyśl. Możesz odejść stamtąd, kiedy chcesz. Po prostu... oddalić się. Uwierz mi, gdyby moi rodzice potrafili zrobić coś podobnego po rozwodzie, nie musiałabym oglądać ohydnych i bolesnych dla mnie scen...

- Naprawdę tak było?

- Można by napisać o tym książkę, i nie byłaby to przyjemna lektura. A sęk w tym, że wszystkie walki, jakie stoczyli - cała ta zimna wojna - szły o rzeczy! Przedmioty! Jakiś obraz, lampa czy inny antyk, uwierzysz w to?!

- Nie kłócili się o prawo do opieki nad tobą?

- Nie żartuj. Nie było o tym mowy. Moja matka ani na chwilę nie brała tego pod uwagę. Po prostu z góry przyjęła, że ja należę do niej tak samo jak jej jajniki.

Kolejna ironia losu, pomyślał. Lolly nie mogła uciec przed oczekiwaniami rodziców. On nie mógł sobie tego wyobrazić, bo jego rodzice nigdy nie oczekiwali od niego niczego.

- A ty? - spytał. - Co porabiałaś?

- Przez ostatnie dwa letnie sezony trochę podróżowałam.

- Dokąd?

- Za morze.

- Mogłabyś być trochę dokładniejsza? Ciągle jeszcze pamiętam to i owo z geografii.

Obdarzyła go niewesołym uśmiechem.

- No to słuchaj. Jedne wakacje spędziłam z matką i babcią Gwen, jej mamą, w Londynie, Paryżu i Pradze. Następnego lata ojciec, żeby nie być gorszym, zabrał mnie do Aleksandrii, potem do Aten i Istambułu.

- Dla mnie bomba. - Connor pokręcił głową. - Istambuł, rany... I Egipt. Widziałaś piramidy?

- No jasne. I było tak, jak sobie wyobrażałam. Nie, lepiej. Te wszystkie miejsca, które widziałam, cały ten czas... to było jak sen.

- Masz farta. Lolly Szczęściara. To byłoby niezłe imię dla konia wyścigowego na torze w Saratoga.

- Taaa, szczęściara...

- Czy mam rozumieć, że nie było ci aż tak przyjemnie?

- To nie tak. W Paryżu nie można się nudzić, ale... Ja ciągle czułam się samotna. I spięta. Tak się czuję, odkąd rodzice się rozwiedli. Zmuszam się, żeby zachowywać się albo robić coś, o czym nie mam zielonego pojęcia. Zachowuję się jak dzieciak, siedzę tu i jęczę...

- Się nie przejmuj - rzucił. - Nie jest mi tak bardzo ciebie żal.

- To dobrze, bo mnie też nie jest żal ciebie.

- Wiem. Nigdy nie było ci mnie żal. Za to też ją bardzo lubił.

- A jakie teraz masz plany? - spytała.

- Chciałbym dostawać pięciocentówkę za każdym razem, kiedy ktoś mnie o to pyta. Ale tak naprawdę, to chciałby znać odpowiedź na to pytanie. Odpowiedź, która zadowolilaby jego samego. Podróże. Studia na dobrej uczelni. Dobrze płatna posada z nienormowanym czasem pracy. Tymczasem rzeczywistość była dużo bardziej prozaiczna. Czekalo go poszukiwanie pracy, minimalizacja kosztów własnego utrzymania i zaoczna nauka w publicznym college'u.

- Jeszcze się nie zdecydowałem - mruknął. - A co z tobą? Założę się, że miałaś gotowy plan na przyszłość, kiedy chodziłaś jeszcze do podstawówki.

- Dlaczego tak uważasz?

- Jesteś urodzoną mistrzynią planowania, a przynajmniej na taką wyglądasz.

- No cóż, skoro przetrwałam szkołę średnią, mam zamiar zaskoczyć świat kolejnym śmiałym posunięciem.

- A mianowicie?

- Iść na studia.

- Miałaś rację, jestem w szoku.

College stanowił, oczywiście, kolejny logicznie uzasadniony krok w życiu takich ludzi, jak rodzina Bellamych czy większość obozowiczów. Bogate dzieci uczyły się, jak być bogatymi dorosłymi. Pomagało im to w przedłużaniu swego gatunku.

- Myślę, że chciałabym być nauczycielką i uczyć w liceum - powiedziała Lolly. -
Plastyki i historii sztuki.

Connor zauważył w półmroku jej zawstydzony uśmiech.

- Tobie pierwszemu przyznaję się do tego.

- To aż taka tajemnica?

- Niezupełnie, ale moja matka nie byłaby zachwycona. Ona raczej widziałaby mnie w dyplomacji czy czymś równie podniecającym.

- To twoje życie i ty powinnaś decydować.

- Powiedzmy. Nie lubię jej rozczarowywać. Nie mówiłam o tym jeszcze nawet mojemu psychoanalitykowi.

Zachichotał.

- Ciągłe do niego chodzisz?

- Bez przerwy. I jak chyba zauważyłeś, lubię sobie pogadać. A doktor Schneider to ktoś w rodzaju przyjaciela, który ustalił opłatę za każdą godzinę kontaktu.

- Ja mogę być kimś takim za darmo - powiedział Connor.

Znów ten uśmiech. Rozbłysnął w półmroku, wstydlivy, a zarazem piękny.

- Dziękuję - powiedziała. - To... eee.... bardzo dużo dla mnie znaczy. Nigdy nie miałam wielu przyjaciół.

Chociaż minęło kilka lat, Connorowi wydawało się, że prowadzą rozmowę przerwana zaledwie wczoraj. Gdy byli młodszy, uważał, że Lolly jest apodyktyczna i denerwująca, ale prędko zrozumiał, że to tylko maska. Pod nią ukrywała wielkie serce i jeszcze większe poczucie humoru, a Connor wiedział, że tych dwóch rzeczy w życiu nigdy za wiele.

Lubił też z nią milczeć. Nigdy nie doznawał potrzeby wypełniania pustą gadaniną chwil ciszy. Z Lolly mógł siedzieć i nic nie mówić. Nie musiał spekulować, czy w takiej chwili ta dziewczyna spodziewa się po nim pocałunku czy też rozbieranki. Nie żeby miał coś przeciwko takim działaniom. Co to, to nie. Pod tym względem akurat los obdarzył go sporym powodzeniem. Z bliżej nieokreślonego powodu zaliczanie dziewczyn nie było dla Connora żadnym wyzwaniem.

Utrzymanie czegoś na dłużej - przeciwnie. Było trudnym zadaniem i dużo znaczyło.

A może i nie? Może to wszystko przez te bajdy w książkach i filmach?

Connor doceniał fakt, że Lolly jest wobec niego szczerą i że on może być szczerą wobec niej. Nie spotkał w życiu zbyt wielu ludzi, z którymi mógł rozmawiać w ten sposób.

- Miałem jeszcze jeden powód, że w tym roku tu wróciłem - powiedział.

- A mianowicie?

- Mój młodszy brat.

W ciemności rozległo się zdumione westchnienie.

- Nie wiedziałam, że masz rodzeństwo.

- Julian ma osiem lat. Jest w Żółtodziobach. Julian Gastineaux.

Twarz Lolly przybrała komiczny wyraz.

- Widziałam go dzisiaj. Skoczył z drzewa do jeziora.

- Cały on - przytaknął Connor.

Julian zawsze włąził tam, gdzie nie powinien - im wyżej, tym lepiej. Nic dziwnego, że matka dostawała przez niego szału. Connor przypuszczał, że dla Juliana są to działania taktyczne, dzięki którym chce osiągnąć określony cel. Ten sam cel, jaki próbował osiągnąć on, kiedy starał się trzymać z dala od kłopotów i mieć wysokie oceny w szkole. Chciał okazać się dobrym synem. Jednak miłości matki nie dało się zdobyć żadnym wysiłkiem. Connor zrozumiał to już jakiś czas temu, ale ciągle pamiętał, jak bardzo go bolało, gdy jeszcze wierzył, że matka może go pokochać. Julian był za mały, żeby wyciągnąć teraz podobne wnioski. Na razie więc zachowywał się jak oszalała wiewiórka.

- Nigdy bym nie pomyślała, że możecie być braćmi - powiedziała Lolly.

Connor uśmiechnął się.

- Wszyscy to mówią

- Nie jesteście do siebie zbyt podobni - ciągnęła dyplomatycznie. - Musicie być... przyrodnim rodzeństwem?

- Fakt. Jego ojciec jest Murzynem. Mój... - chciał powiedzieć „pijakiem”, ale się powstrzymał. - Mój nie.

Poklepała go lekko po ramieniu.

- Nigdy mi o nim nie mówiłeś.

- Miałem jedenaście lat, kiedy Julian się urodził - zaczął opowiadać. - Dla mnie nie było w tym nic nadzwyczajnego. Dziecko jak dziecko. A potem pojawił się biologiczny ojciec Juliana i bum! Dzieciak okazał się Mulatem!

- A co się stało potem? - dopytywała się Lolly. - Dlaczego matka nie wychowywała was razem?

- Wtedy nikt mi tego nie wytłumaczył. Gdy Julian miał pół roku, matka zaczęła umawiać się z Melem. I Mel przekonał ją, że utrzymanie dziecka za dużo kosztuje i że będzie lepiej, jeśli Juliana odeślą ojcu.

Connor odkrył, że to wspomnienie nadal jest dla niego bolesne. Gdy Gastineaux przybył po Juliana, chłopczyk już gaworzył i uśmiechał się do Connora, który zdążył pokochać brata dziką, intensywną miłością. A kiedy Julian zniknął, Connor poczuł się, jakby rozdarto mu serce. Długo wściekał się na matkę.

- Jak mogłaś? - powtarzał setki razy. - To mój brat. Jak mogłaś?

- Nie trzeba było się przywiązywać - odpowiadała z oczami zaczerwienionymi od łez. - Tak czy inaczej Julianowi lepiej będzie z Louisem.

Co do tego mogła mieć rację. Gastineaux nie był milionerem, ale miał dom w mieście i dobrą pracę. To więcej niż mają niektórzy ojcowie.

- No i teraz Julian mieszka w Nowym Orleanie ze swoim tatą - kończył opowieść Connor. - A on jest profesorem na uniwersytecie w Tulane, znanym naukowcem i specjalistą od rakiet. Tego lata wyjechał na jakiś zjazd do Europy, w związku z czym Julian przyjechał do mamy i do mnie. I mama doszła do wniosku, że jeśli pozwoli mu łączyć po okolicy i oglądać telewizję, to z tego mogą wyniknąć problemy. Zadzwoiła więc do mojego taty i zapowiedziała mu, że przysyła mu nas dwóch. Mogę sobie jedynie wyobrażać, co pomyślał sobie mój staruszek, gdy dowiedział się, że jego dorosły syn i dzieciak byłej żony zwałają się do Kioga na cały kwartał.

Stosunki Connora z rodzonym ojcem komplikował fakt, że Terry Davis nigdy nie miał do nikogo pretensji ani też nigdy nikogo nie osądzał, za to zrobiłby wszystko, żeby Connor był blisko niego. Gdy nie pił, był najfajniejszym facetem na świecie. Wszystko byłoby prostsze, myślał Connor, gdybym uważał ojca za dupka. Wtedy, pijanego czy trzeźwego, mógłbym go znienawidzić.

- A więc twój tata przyjął to...? - Lolly mówiła teraz ciszej, jakby sama poczuła, że wkracza na nieznany i potencjalnie niebezpieczny teren.

- On i matka potem nie rozmawiali już ani razu, ale tata prędzej by sobie rękę uciął, niż dopuściłby, żeby Julianowi było tu z tych czy innych powodów niemiło.

- Musi być tolerancyjny - skomentowała.

Cóż za dyplomacja, pomyślał Connor. A w rzeczy samej Terry Davis i Julian Gastineaux dobrali się jak w korcu maku. Connor odkrył, że mimo całkowitego braku więzów krwi ci dwaj mają ze sobą wiele wspólnego. Obaj niszczyli siebie samych. Terry - alkoholem, a Julian - skokami z dużych wysokości.

- Muszę podziękować twoim dziadkom za te wakacje. Dali mi pracę i zaprosili tu Juliana. To naprawdę w porządku z ich strony.

Zastanawiał się, czy Julian doceni szansę, jaka mu się tu dostała. Czy lato spędzone nad Wierzbowym Jeziorem zmieni sposób, w jaki młodszy brat postrzegał życie, tak jak to się kiedyś przydarzyło samemu Connorowi.

W czasach kiedy był obozowiczem i cieszył się przysługującymi mu prawami i przywilejami, zdawał sobie sprawę, że trafiła mu się rzadka okazja. Rodzina Bellamych nie miała pojęcia, jakie znaczenie ma dla Connora czas spędzony w tym miejscu.

Być może dla postronnego obserwatora mieszkanie z tuzinem innych chłopaków w wielkiej sypialni, która pod koniec pierwszego tygodnia śmierdziała jak klatka z chomikami, nie byłaby wspaniałym przeżyciem. Ale Connor uważał, że to jest wielka rzecz. Miał szansę żyć inaczej niż zwykle, choć przez parę miesięcy. Przez całe dziesięć tygodni mógł cieszyć się latem. Takie rzeczy należą się wszystkim dzieciakom. W dzieciństwie trzeba przeżywać

słoneczne dni, wypełnione zabawą i śmiechem, płać psikusy, uprawiać sporty, zwiększające siłę i wytrzymałość do granic możliwości, napychać się niewiarygodnie smacznym jedzeniem, uczestniczyć w konkursach talentów, snuć w ciemności opowieści o duchach i śpiewać w chórze przy kominku. Przez trzy kolejne lata wakacje były dla Connora czymś w rodzaju pięknego snu. Zbyt pięknego, by mógł trwać długo. Letnie rozkosze ulotniły się razem z dzieciństwem.

W tym momencie Calvin, przełożony wszystkich drużynowych, podszedł do stołu, przy którym siedzieli Lolly i Connor.

- Potrzebuję ochotnika na wieczorny obchód. Ty się zgłaszasz, Lolly - oświadczył, wręczając jej swą policyjną latarkę.

- Bardzo śmieszne - mruknęła, ale wzięła latarkę i bez niechęci skierowała się do drzwi.

Connor patrzył za nią przez parę sekund. Potem spostrzegł piersi Jazzy i jej szeroki uśmiech. Były niebezpiecznie blisko.

- To ja też pójdę - rzucił, uskakując akurat w odpowiednim momencie, by uniknąć zderzenia z Jazzy, zupełnie jakby groziło mu z jej strony śmiertelne niebezpieczeństwo.

Pomimo głośniejszej muzyki, grzmiącej stereofonicznymi dźwiękami, usłyszał czyjąś uwagę:

- Jak widać, są gusta i guściki.

Idioci, pomyślał. Gdy dogonił Lolly, brakowało mu tchu.

- Hej, zaczekaj!

Wyglądała na zaskoczoną. Zauważył słaby blask gwiazd, który odbijał się w jej oczach.

- Nie musiałeś wychodzić z imprezy z mojego powodu.

- Będzie ich jeszcze wiele. Do końca lata daleko. Gdybyś powiedziała mi, że chcesz tam zostać, to zrobiłbym ten obchód za ciebie.

- Nie, chciałam wyjść. Tam jest za głośno. I za gorąco.

- To samo sobie pomyślałem.

Szli razem po ścieżce, stawiając kroki pośród cieni. Droga Mleczna przecinała nocne niebo nad nimi. Zatrzymali się, aby ją podziwiać. W tym momencie Connor poczuł - nareszcie! - że łączy go z Lolly ta sama więź, jaką nawiązali przed laty. Ich przyjaźń wiele dla niego znaczyła.

- Naprawdę? - zakpiła. - Chcesz powiedzieć, że nie masz żadnej radochy z tego, że co pięć minut przystawia się do ciebie jakaś dziewczyna?

- Ja... nie... Zachichotała.

- Trudno to przegapić.

Connor był zadowolony, że w ciemności nie widać, jak się czerwieni.

- Ludzie wpadają na siebie - usprawiedliwił się głupio.

- Ja nie.

- Bo ty jesteś za mądra - stwierdził. - Nie mam pojęcia, dlaczego ludzie wciąż muszą w to grać.

- Może nie chcą, żeby najlepsze kąski im uciekły - odrzekła. - Pomyślałeś o tym?

- Nie.

- Wiem, że co najmniej trzy dziewczyny zagięły na ciebie parol. A nikt nie zechce zadawać się z życiowymi łamagami.

- Uważasz, że właśnie taka jesteś?

- A widziałeś, żeby ktoś próbował mnie podrywać?

Nie, pomyślał. Gdyby ktoś spróbował, to ja bym go pogonił.

- Takie ocenianie wszystkich na podstawie wyglądu to głupota, nie wydaje ci się? -

Wzruszyła ramionami.

- Ludzie mówią, że moja matka jest podobna do Sharon Stone. Nic z tego nie wynika poza towarzystwem dupków, którzy traktują ją jak gówno.

- Jeeezu, Connor!

Uśmiechnął się - wbrew sobie, ot tak, po prostu.

Cholera, lubił być z Lolly, a jeśli inni druzynowi zachodzą w głowę dlaczego, to znaczy, że są idiotami. Zadowolony wędrował z nią teraz po zwirowanych ścieżkach, wydeptanych nogami całych pokoleń obozowiczów. Od capstryku minęła już cała godzina, ale przez okna baraków, gdzie mieszkały zastępy Żółtodziobów, dobiegały szepty. Lolly zatrzymała się pod Saratogą, a Connor poszedł sprawdzić chłopców w Ticonderodze. Nie wchodzili do środka - to poderwałoby wszystkie dzieci na nogi. Takie rzeczy robiło się tylko wtedy, kiedy wewnątrz coś było nie w porządku. Gdy Connor wrócił do Lolly, przyłożyła palec do ust.

Usłyszeli chichotanie i posykiwania dziewczynek. Lolly wahała się kilka chwil. Potem dała znać gestem Connorowi, że mogą iść dalej.

- Tam jest taka jedna mała, na którą muszę mieć oko - wyjaśniła. - Ciężki przypadek tęsknoty za domem.

To była koncepcja całkowicie obca Connorowi. Nie potrafił sobie wyobrazić, jak to jest: mieć dom, za którym można by tęsknić, kiedy się jest daleko. Zastanawiał się, czy Julianowi brakuje ojca i Nowego Orleanu. Z tego, co wiedział o życiu brata - a nie wiedział zbyt wiele - dzieciakowi nie było tam źle. Louis Gastineaux nigdy się nie ożenił, a ze słów Juliana wynikało, że z nikim się nawet nie umawiał. Zdaniem Connora, ci dwaj żyli tam sobie jak para kawalerów.

Lolly nie przejawiała chęci powrotu na imprezę. Nie miał jej tego za złe. Podobało mu się tutaj, na dworze. Było tak ciemno, że na niebie pokazały się gwiazdy niewidoczne w

mieście, i na tyle cicho, by uszy mogły zarejestrować łopot sowych skrzydeł i plusk wody, lizającej pale na przystani oraz kadłuby łódek. Dalekie dźwięki muzyki, przyciszone i złagodniałe, niosły się nad powierzchnią jeziora.

Księżyc wzeszedł i zalał obóz falami widmowego, bladego światła. Odległy ryk wodospadu rozbrzmiewał niczym odgłosy kibiców na stadionie futbolowym. Poprzez drzewa przeświecały okna domków obozowego personelu. Connor pomyślał o swoim ojcu, który na pewno pił teraz piwo i słuchał starej muzyki z radia. Tak jak to robił przez ostatnie dwie dekady. Terry Davis w swojej chatce na skraju obozu niszczył się z dziwną zapamiętałością, podczas gdy życie bezpowrotnie przemijało.

Odpychając od siebie te depresyjne myśli, Connor powiódł wzrokiem za przelatującą sową. Nagle coś przykuło jego uwagę. Błysk światła, jakby z czyjejś latarki. Złapał Lolly za ramię.

- Spójrz na most nad wodospadem Meerskill! - powiedział. - Widzisz coś?

- Tylko cienie, ale... ojej! Masz rację, ktoś tam jest!

Włączyła latarkę i poszła za wskazanym tropem, odważna i skoncentrowana jak doświadczony policjant na służbie.

- Musimy to sprawdzić.

Szlak, którym szli, prowadził stromo w górę wzdłuż skalistego wąwozu. Siklawy rozbijały się w nim o głazy, a wodna mgła zraszała mech, bujnie porastający tu każdy kamień.

Gdy pięli się wzwyż, omijając skalne żebra i miejsca, gdzie skała się kruszyła, nocne stworzenia zaczęły czmychać im spod nóg. Connor usłyszał, że Lolly się potknęła.

- Wszystko w porządku? - Odwrócił się.

- Tak. Po prostu mam na nogach klapki. Nie myślałam, że wybiorę się na nocną wycieczkę.

- Nie musiałaś iść.

- Sądziłaś, że opuszczę taką okazję? Parsknęła śmiechem. Jak zawsze w takich sytuacjach.

Wiedział, że powie coś takiego. Lolly Bellamy umiała go wkurzyć, ale nie była typem nieudacznicy, cokolwiek sama by o tym mówiła.

- Złap się mnie, jeśli poczujesz, że spadasz!

- Aha - odrzekła. - Chyba lubisz, kiedy w nocy ktoś cię szczypie w tyłek, co?

- Brzmi nieźle, współniczko.

Znów dogadywali sobie w sposób wypróbowany w odległej przeszłości, gdy oboje mieli po dwanaście lat. To też było znajome. Wygodne. Jak znoszone ubranie.

Teraz Connor wyraźnie rozróżniał dwie ciemne sylwetki na moście. Jedna z nich, zdaje się, stała po zewnętrznej stronie barierki. Connora ogarnęło złe przecucie.

- Ty głupi gnojku - mruknął pod nosem.

- Co takiego? - drgnęła Lolly.

- Julian! - Connor zerwał się do biegu.

W tej samej chwili noc rozdarł tryumfujący okrzyk:

- Geeroooniiiiimooo!

Lolly skierowała snop światła latarki na most. Patrzyli ze zgrozą, jak mała postać odpada od betonowej balustrady i znika w ciemnościach. Lolly wydała okropny dźwięk, coś pomiędzy zachłyśnięciem się a krzykiem.

Długi promień latarki wydobył z mroku drugą postać na moście. Nie był to Julian, lecz inny chłopiec, który rzucił się do panicznej ucieczki. Connor go nie rozpoznał. Następnie snop światła przeleciał przez mrok. Lolly wycelowała latarkę w głębie pod mostem.

- Julian! - rzeził Connor, z trudem chwytając powietrze w płuca.

Światło myszkowało pomiędzy drzewami. Lolly kontynuowała poszukiwania. Spanikowany Connor słyszał w głowie taki łomot własnego tętna, że przestał cokolwiek słyszeć. Po chwili zrozumiał, że Lolly mówi coś do niego, wyciągając rękę, żeby go podtrzymać, i w końcu dotarło do niego, co próbuje mu powiedzieć.

- W porządku - wydyszała. - Chyba wszystko z nim w porządku.

I musiało tak być, bo okrzyki radości Juliana niosły się echem przez las. Lolly wzięła Connora za rękę i powiodła promieniem latarki po długiej linii, przyczepionej jednym końcem do mostu.

Serce Connora zwolniło, chociaż wciąż wydawało mu się, że krew w jego głowie jest bliska wrzenia.

- Mały sukinsyn - rzucił przez zęby, pokonując ostatni odcinek drogi. - Głupi, mały sukinsyn.

W chwilę później był już na moście. Złapał współsprawcę czynu, George'a, chłopca z Teksasu, który zaczął tchórzliwie bełkotać, że nie miał z tym nic wspólnego, bo to Julian zmusił go, by przyjść tutaj.

- Zamknij się! - warknął Connor.

Mały posłuchał. Lolly zaświeciła latarką na miejsce, gdzie wcześniej ktoś przekroczył barierkę. Potem przesunęła świetlny krąg w dół. Blask wydobył z mroku małą, dyndającą postać na końcu czegoś, co musiało być liną do bungee.

- Przyłapano na gorącym uczynku! - powiedział Connor do swego zwisającego braciszka.

- A góóówno - odpowiedział Julian.

Minęło pół godziny, zanim wywindowali Juliana na most i sprowadzili w dół samego winowajcę wraz ze współnikiem.

- Ty popieprzony palancie - powiedział Connor, gdy rozpiął skomplikowaną uprząż, najeżoną karabińczykami, którym to urządzeniem Julian przypiął się do końca bungee.

- Nie sądzę, że wolno ci tak do mnie mówić - upomniał go Julian spokojnie. - Regulamin obozu, zasada numer jeden: „Bezwarunkowo zabrania się obozowiczom i kadrze używać dosadnego i wulgarnego słownictwa”.

- Taaak? A czy jakaś reguła mówi coś o przygłupach skaczących z mostów?

- Coś ty sobie, na Boga, myślał? - dodała Lolly.

Julian popatrzył na nią. W świetle księżyca wyglądał teraz niewinnie, wręcz anielsko, jak chłopczyk z chóru kościelnego. Posłał jej uroczy uśmiech, od którego wszystkim miękło serce. Connor wiedział, że Lolly też zmięknie.

- Proszę pani - powiedział Julian z absolutną szczerością w głosie. - Chciałem sprawdzić, jak to jest, kiedy się fruwa.

Connor był pewien, że Lolly da się uwieść zabójczemu wdziękowi jego braciszka. Jednakże ona powiedziała tylko:

- Ha. To nie był lot. Jedynie swobodne spadanie.

Minęło kolejne pół godziny, zanim położyli chłopców z powrotem do łóżek, ostrzegając ich, że mogą spodziewać się poważnych konsekwencji swojego wyczynu, z wydaleniem z obozu włącznie.

Świetnie, pomyślał Connor, wiedząc, że jeśli wywałą stąd jego brata, to on również będzie musiał się wynosić. Lato skończy się, zanim jeszcze na dobre się zaczęło. Gdy Lolly i on wyszli z domku, powiedział:

- Przepraszam cię za wszystko. Powinnaś była zostać na imprezie.

- Żartujesz chyba! Nie każdej nocy można zobaczyć, jak ktoś skacze z mostu Meerskill. Nie chciałabym przegapić takiej sceny za żadne skarby świata!

- A co ja mam teraz, do diabła, z nim zrobić?

- Zasugerować mu, żeby został kaskaderem?

Drużynowi mieli obowiązek meldowania naczelnikowi obozu o wszelkich naruszeniach dyscypliny. Connor wpatrywał się w Lolly, ale było zbyt ciemno, by mógł odczytać z jej twarzy, o czym akurat myśli.

- Ja nie widzę problemu - stwierdziła. - Musisz przyznać, że Julian wykazał się sporą kreatywnością i zaradnością.

Coś w tym rzeczywiście było. Julian i George dobrali się do obozowego sprzętu wspinaczkowego - uprząży, lin, sznurów do bungee i całej reszty. Na podstawie znalezionej w książce schematu skonstruowali coś, co zadziałało w potrzebie. Brat Connora stanowił paskudne połączenie cudownego dziecka, kaskadera i głupka.

- Według słów jego ojca zaczął zeskakiwać z dużych wysokości, kiedy raczkował - powiedział Connor do Lolly. - Od zawsze pociągało go ryzyko.

- No to niech od jutra zacznie uczyć się skoków do wody. Jeśli lubi zeskakiwać, to równie dobrze może robić to w bezpiecznych warunkach. Poza tym przecież może trenować zjazdy po linie i wspinaczkę skałkową.

Connor doznał uczucia błogiej ulgi. Miał ochotę ucałować Lolly. Ponowna utrata Juliana była ostatnią rzeczą na świecie, jakiej by sobie życzył.

- To jest pomysł! Niesamowity - powiedział. Lolly wzruszyła ramionami.

- Nic wielkiego. Uważam, że powinno się podążać za swymi pragnieniami, nawet jeśli jest ryzyko dotarcia w dziwne miejsca.

- Już ja się postaram, żeby znów czegoś nie pochrzanił.

- W porządku.

Connor wskazał stołówkę.

- Jesteś gotowa na małe włamanko?

- Zawsze!

Kuchnię zamykano co wieczór na całą noc, głównie dla ochrony przed szopami pracami i niedźwiedziami, ale klucz wisiał ponad nadprożem. Dostali się do środka w kilka sekund. Obozowa kuchnia ze swym bogactwem zapachów, stosami ogromnych puszek i lodówkami wyższymi od niejednego mężczyzny wydawała się krainą nieskończonej obfitości pożywienia.

Connor wziął bochenek pszennego chleba z piekarni Sky River, taki sam, jaki podawano, gdy był jeszcze tylko obozowiczem. To też była jedna z tych rzeczy, jakie tu polubił. Z roku na rok nic się nie zmieniało. Zawsze można było liczyć na chleb z miejscowej piekarni, mleko dowożone w szklanych butelkach zwrotnych i świeże produkty z gospodarstw hrabstwa Ulster.

Lolly otworzyła olbrzymich rozmiarów pojemnik z masłem orzechowym i pchnęła go po ladzie do Connora. Nałożył masło na grube kromki chleba, posmarował to z wierzchu miodem wyciśniętym z miękkiej, plastikowej butelki i posłał kanapkę po ladzie do Lolly. Nalał sobie szklanek mleka, a następnie zaoferował dzbanek swej towarzyszce. Odmówiła ruchem głowy.

- Masz ciekawą rodzinę - powiedziała. - To wspaniale, że spędzasz lato razem z Julianem. - Zlizwała kroplę miodu z rogu kanapki.

Słyszając te słowa, Connor poczuł się lepiej. Może i Julian był znikowanym bachorem, ale jego starszy brat miał teraz powód do zadowolenia.

Skończyli jeść i uprzątnęli dowody przestępstwa.

- Późno się zrobiło - powiedział Connor. Wyciągnął rękę, by pomóc Lolly wstać od stołu.

Tak naprawdę nie było takiej potrzeby. Zwykła oznaka grzeczności i dobrego wychowania. Po wyłączeniu światła Connor zamknął drzwi kuchni, przekręcił klucz i wraz z Lolly zagłębił się w wypełnioną głosami świerszczy noc.

- Odprowadzę cię do domku.

- Dzięki. Znam drogę.

- Powinnaś wiedzieć, że to taki szyfr - odparł, ponownie ujmując jej rękę.

- A co się pod nim kryje?

- Kiedy facet mówi dziewczynie, że chce odprowadzić ją do domu, to znaczy, że ma zamiar pocałować ją na dobranoc.

- Bardzo śmieszne - parsknęła kpiącym śmiechem, który był niemal jak jej znak firmowy.

Kiedy byli młodszy, posługiwała się nim, żeby drażnić Connora.

- Ale ty nie chcesz przecież całować mnie na dobranoc.

- Masz rację. - Zatrzymał się i objął Lolly. - Chcę pocałować cię teraz.

RS

SKAUTOWSKA PIEŚŃ WIECZORNA

Dokoła blednie słoneczna jasność
Nasze ogniska powoli gasną.
Niech każdy zada sobie pytanie:
Czy wykonałem dziś swe zadanie?
Czy nie mam plam na swym honorze?
Czy w braku win spać każdy może?
Czy przemyślałem i wykonałem
Wszystko, co w dniu tym zrobić miałem?

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

- Co włożyłbyś na siebie, gdybyś szedł porozmawiać ze swym ojcem o jego nieślubnym dziecku? - spytała Barkisa Olivia.

Piesek wbiegł do jej pokoju, gdy suszyła sobie paznokcie u nóg, pomalowane lakierem w kolorze cukierkowego rózu.

- Lilly Pulitzer - powiedziała na głos, otwierając szafę.

Wyjęła letnią sukienkę od Lilly Pulitzer w charakterystyczne błękitne i cytrynowe wzory. Ciuch odpowiedni na długą jazdę samochodem, ale także nadający się do wyjścia. Gdy wsunęła stopy w sandaalki, wzięła torebkę od Longchamps i założyła kolczyki, poczuła się w tym stroju absurdalnie dobrze, pomimo że było dopiero wpół do siódmej rano. Po kilku tygodniach brudnych prac przypominała kocmołucha. Teraz, po doprowadzeniu do porządku włosów, paznokci i makijażu, była jak nowo narodzona.

Ostatnią rzeczą jednak, jakiej mogła się spodziewać, było to, że Connor Davis również ubierze się w miejskim stylu. Gdy przyszedł po nią, ledwie go poznała. Miał na sobie białą koszulę z podwiniętymi rękawami i spodnie, które wyglądały jak szyte na miarę i uwydatniały jego talię i wąskie biodra. Na wieszaku w samochodzie Olivia ujrzała marynarkę i krawat. Starą czapkę z daszkiem zostawił w domu i zrobił coś z włosami - Olivia podejrzewała, że nie obyło się bez pomocy żelu lub długiego przyglądania grzebieniem. Albo dłonią. Opaloną twarz miał gładko wygoloną, a jego oczy wydawały się bardziej błękitne niż wody jeziora pod czystym niebem.

- No no no! - zawołała Olivia na jego widok.

- Ależ pociągający mężczyzna! Pierwsza klasa!

- No no no! - powtórzył jak echo. - Żywcem wzięta z jakiegoś odcinka „Seksu w wielkim mieście”!

Słyszając komplementy mężczyzn, Olivia natychmiast robiła się podejrzliwa. Faceci nie oglądali tego serialu. Potem pomyślała o Freddym. Tak. A jednak oglądali.

Julian nadszedł od strony chatki, którą dzielił z Connorem. W obwisłej bluzie i bez koszuli wyglądał jak ktoś, kogo starszy brat właśnie wyrwał z głębokiego snu.

- ...dobry - powiedział do Olivii.

- Wcześniej się zerwałeś. - Uśmiechnęła się do niego.

- Nie z własnej woli.

- Muszę być pewny, że będziesz na nogach, kiedy zjawi się tu mój tata. Chcę, żeby zrobił tu parę rzeczy - powiedział Connor do Olivii tonem wyjaśnienia.

- Akurat - rzucił Julian. - Chodzi o nadzór nade mną, co?

- Bez urazy, ale to przez swoje wyczyny wymagasz nadzoru.

- Nie chrzań. Gdy tu trafiłem, powiedziałaś, że jedyna zasada, jakiej mam się trzymać, brzmi: „Nie opierdzielaj się”. No i jak? - Spojrzał na Connora, potem na Olivię. -

Opierdzielam się?

- Pilnuj swojej niewyparzonej gęby! - ostrzegł go Connor.

- Jesteś bardzo pomocny - zapewniła Olivia szczerze. - I jestem ci za to wdzięczna.

- Wrócimy późnym wieczorem - poinformował Juliana Connor. - Może jeszcze później.

- Postaram się za bardzo za tobą nie tęsknić.

- Mówię tylko...

- Wiem. - Julian machnął ręką, zdobywając się na słaby uśmiech.

Olivia założyła smycz Barkisowi.

- Mógłbyś się nim zająć? Dostaje swoją miseczkę podczas lunchu i drugą wieczorem.

- Nie ma sprawy. - Julian przejął smycz. - Eee... czy faks w biurze już działa?

- Powinien. W końcu mamy już czynny telefon. Chcesz coś przefaksować?

- Mam trochę papierkowej roboty. - Julian unikał wzroku Connora.

Olivia ukryła uśmiech. Rozmawiała z Julianem o jego przyszłości. Chłopak okazał się zdumiewająco otwarty na rozsądne argumenty. Sam wpadł na pomysł wstąpienia do KSOR i Akademii Sił Powietrznych, a Olivia zachęcała go, żeby zbadał wszelkie wymagania stawiane kandydatom. Odkąd odkrył, że ma szansę usiąść za sterami odrzutowego myśliwca, dosłownie przyspawał się do swego pomysłu.

- Możesz faksować, co tylko zechcesz.

Olivia wśliznęła się do samochodu, rozciągnęła sweter na zagłówek i założyła przeciwsłoneczne okulary.

- Jestem gotowa - rzuciła do Connora.

- Czekaaj. Cieszę się, że dogadałaś się z Julianem, ale odpowiedzialność za niego spada na mnie. - Connor był wyraźnie zaniepokojony. - Ty nie musisz go... resocjalizować ani robić tego, co robisz.

- Wtykam nos w jego sprawy, to właśnie robię - powiedziała po prostu. - Już ustaliliśmy, że jestem wścibska. Wy tłumaczyłam Julianowi, że dalsza nauka w college'u wcale nie jest niemożliwa.

Olivia zorientowała się zbyt późno, jaki efekt jej słowa wywarły na Connorze. A przecież wiedziała, że on też marzył kiedyś o studiach. Nie udało mu się, a ona do tej pory nie znalazła sposobu, jak się dowiedzieć, dlaczego tak się stało.

- On nie ma ani pieniędzy, ani dobrych stopni - powiedział Connor głucho.

- Nie rozumiem. Czy nie należało mu się nic po wypadku ojca? A ubezpieczenie? A renta z Tulane?

- Nie znam wszystkich szczegółów, ale domyślam się, że po wypadku wiele rzeczy zostało zaniedbanych. Na tym, co zostało i należało się Julianowi, położyli łapę prawnicy, krewni jego ojca i nasza mamuśka. Ale nawet gdyby miał pieniądze, nie widzę go w college'u. Brakuje mu motywacji do nauki.

- Zbyt łatwo go nie skreślaj. Ma dopiero siedemnaście lat - przestrzegła Olivia. Lubiała Juliana z jego anielską twarzą i umysłem noblisty, z jego obsesją na punkcie przestrzeni i niebezpieczeństwa. - I nie zapominaj o stypendium KSOR. Julian ze swoją energią może dużo dokonać.

Connor miał sceptyczną minę.

- To wymagałoby od niego sporej motywacji.

- Skąd wiesz, że jej nie ma? - Olivia nie mogła zrozumieć wątpliwości Connora.

Spojrzała na niego i na chwilę zapomniała o Julianie. Ale on świetnie wygląda! Męski profil, uważny wzrok, którym śledzi drogę...

- Uważasz, że nie powinien wstępować do wojska, tak? - zgadywała.

- Nie sądzę, by zdawał sobie sprawę z ryzyka, jakie się z tym wiąże.

- Wojsko nie może być bardziej ryzykowne od tego, co on wyprawia teraz.

Connor zmarszczył brwi.

- Tu masz rację.

- Nie podoba ci się, że rozmawiałam z nim o tych sprawach?

- Nie, do cholery. Uważam tylko, że ma minimalne szanse.

Oczywiście. Z jego punktu widzenia tak musi to wyglądać. W jego świecie nie było wielkich szans nawet na zdobycie przyzwoitego mieszkania. Ale w tym musi tkwić coś jeszcze, pomyślała Olivia.

- Martwisz się, prawda? - spytała. - Martwisz się o niego.

- Czasem myślę, że oprócz mnie nikt się o niego nie martwi.

Olivia wyczuła w jego głosie ból.

- Ma szczęście, że ma ciebie - powiedziała. - Jak myślisz, wyjdzie na prostą?

- To zależy od tego, czy nie zaszarga sobie papierów, wywijając kolejny numer. I czy zrobi coś sensownego ze swoim życiem.

I właśnie dlatego Olivia próbowała pomóc Julianowi. I nie miała zamiaru przestać, mimo że właśnie się okazało, że nie wszystko, co robi, jest aprobowane przez Connora.

Była w końcu urodzoną specjalistką od wtykania nosa w cudze sprawy. Teraz też jechała do Nowego Jorku dokładnie po to, by powtykać go tu i ówdzie. Jechała zapytać ojca, czy jako student nie miał nieślubnego dziecka. Na samą myśl o tym ścisnął jej się żołądek. Dla odprężenia próbowała skupić uwagę na widoku za oknem samochodu. Przed jej oczami przesuwały się zaciszne wioski, farmy przylepione do wzgórz, stacje benzynowe i rzędy małych sklepików - jak w komputerze ustawionym na pokaz slajdów.

- Strasznie jesteś cicha - odezwał się po jakimś czasie Connor. - Przez ostatnie sześćdziesiąt kilometrów powiedziałaś tylko jedno słowo. Nie bądź taka spięta.

- Jestem spięta, bo chcę być spięta - burknęła. - A tobie się pewnie wydaje, że łatwo pytać ojca, czy przypadkiem nie ma córki, o której nigdy mi nic nie mówił.

- Może on po prostu nic nie wie o Jenny Majesky?

Olivii robiło się niedobrze na myśl o podwójnym życiu ojca. Wydawało jej się przecież, że tak dobrze go zna. Odkąd połączyła ze sobą wszystkie części układanki - zdjęcie, srebrny wisiołek, informacje od Terry'ego Davisa - prawdy, na których opierało się jej życie, przepadły. Uleciały jak dym.

- Zwariuję od tego - zwierzyła się. - Jeśli mam rację i Jenny jest moją siostrą, to znaczy, że w moim życiu zabrakło kogoś, kto powinien być jego integralną częścią...

- Może i lepiej, że o tym nie wiedziałaś - powiedział cicho Connor. - Ja przez całe dzieciństwo wiedziałem, że mam młodszego brata, którego nie mogę zobaczyć. To... bolało.

O, Boże. Dopiero teraz Olivia wyobraziła sobie, co musiał czuć Connor, kiedy mały Julian zniknął z jego życia. Może rzeczywiście ma rację? Może taka wiedza boli?

Connor ze zdumiewającą łatwością poruszał się po zatłoczonych ulicach Nowego Jorku. W innych warunkach Olivia zabrałaby go na szybką wycieczkę po najbliższej okolicy: pokazałaby mu delikatesy, kiosk z gazetami, ogrody i zakręconych sąsiadów. Ale nie teraz, kiedy żołądek zacisnął jej się w supeł, a suche gardło bolało jak podczas anginy. Gdy Connor zatrzymał samochód przy krawężniku w cieniu domu jej ojca, poprosiła:

- Byłabym ci bardzo wdzięczna, gdybyś... Uśmiechnął się i potrząsnął głową.

- Nie. Mowy nie ma.

- Proszę...

- Tak naprawdę wcale nie chcesz, żebym tam z tobą wszedł, Lolly. Uwierz mi.

Oczywiście miał rację. Nie ma mowy, aby wszedł razem z nią do środka i był świadkiem niewygodnych pytań i odpowiedzi, których Lolly już teraz się bała.

- Jesteś silniejsza, niż ci się wydaje - dorzucił.

Olivia przez chwilę nie mogła uwierzyć w to, co słyszy.

Jak dobrze mieć obok siebie osobę, która w ciebie wierzy. Która nie żąda od ciebie spełniania jej wygórowanych oczekiwań i żywi spokojną pewność co do twoich wrodzonych uzdolnień. Fala czułości, przepływająca przez jej ciało, sprawiła, że napięcie zelżało. To było coś nowego. Nie spotkała jeszcze mężczyzny, który umiałby ją odprężyć i jednocześnie mobilizował do działania.

- Zadzwoń do mnie, kiedy już skończysz - poprosił. - Jadę teraz do Village i na Rector Place.

Próbowała wyobrazić sobie Connora spacerującego po Greenwich Village i po nabrzeżu Chelsea.

- Wybierasz się w jakieś konkretne miejsce? Może ci doradzę, co warto zobaczyć?

- Nie jestem turystą - odparł z lekkim uśmiechem. - Jestem umówiony.

- Och! Czy to coś... O Boże. Przepraszam. Jestem okropna. Ciągle pcham się...

- Z moim maklerem - dodał.

Musiała mieć zabawną minę, bo Connor się roześmiał.

- Nawet przedsiębiorcy budowlani z zabitej dechami dziury inwestują swoje pieniądze.

- Ja nie chciałam...

- Wiem, że nie. Wszystko w porządku. No już, leć, Olivio. Miłej wizyty u ojca.

- Dzięki. - Wsadziła torebkę pod pachę, a dużą torbę zarzuciła na ramię.

Connor zerknął na nią znad kierownicy. Raz. I drugi. Olivia mogłaby przysiąc, że ma ochotę ją pocałować. Atmosfera w samochodzie zgęstniała. Mamy sobie mnóstwo do powiedzenia, pomyślała. Ale nie teraz.

Odpięła pasy i, tknięta nagłym impulsem, pochyliła się i pocałowała Connora w policzek. Strzał z przyłożenia, pomyślała. Potrzebowała tego dotknięcia. W chwili gdy poczuła wargami jego gorącą skórę i wciągnęła zapach jego płynu po goleniu, stwierdziła, że potrzebuje więcej. Znacznie więcej.

- To na szczęście! - wyjaśniła i wysiadła z auta. Jeśli nawet Connor coś jej odpowiedział, nie usłyszała.

Choć była świadoma, że portier śledzi jej ruchy, dobrą chwilę stała na chodniku i patrzyła w ślad za odjeżdżającym samochodem. Spotkanie z maklerem! Nie powinna być aż tak zaskoczona faktem, że Connor mimo młodego wieku dysponuje pakietem akcji giełdowych. Dorastał w domu, który nie gwarantował nawet minimum poczucia bezpieczeństwa, więc musiał wcześniej nauczyć się dbać o pieniądze.

Olivia tak się przyzwyczaiła do widoku Connora pracującego codziennie w Kioga, że zapomniała, że ten mężczyzna prowadzi własne życie, o którym ona nie ma najmniejszego pojęcia. Ma innych klientów, inne projekty do realizacji. Ba, mógł mieć nawet dziewczynę! Chociaż... Gdyby rzeczywiście miał dziewczynę, czułaby się, jakby wyrwał jej kawał serca.

Zaraz. Kogo ona właściwie chce oszukać? Nie kawał serca, ale serce. W całości.

Niemożliwe. Nie ma dziewczyny. Gdyby miał, nie patrzyłby na Olivię w ten sposób. Zdradzał go żar spojrzenia.

Poprawiwszy przewieszoną przez ramię torbę, Olivia skierowała się do wejścia.

- Dzień dobry, panno Bellamy - przywitał ją portier.

Ojciec przeprowadził się do tego domu po rozwodzie. W dzieciństwie Olivia nocowała tu tylko od czasu do czasu, na przykład po wyprawie z ojcem na mecz Jankesów czy do opery, albo w wigilię wspólnych wyjazdów. Poza tymi wypadkami wszyscy uznali, że miejsce Olivii jest u boku matki, pośród niemych wspaniałości mieszkania przy Piątej Alei. Tam miała wszystkie swoje rzeczy, w tym fortepian, ulubione książki i kota o imieniu Degas. Ale ojciec bardzo się starał, żeby i u niego miała swoje miejsce. W jego nowoczesnym, ale stosunkowo niewielkim mieszkaniu Olivia miała własny pokój z wbudowanym biurkiem, piętrowym łóżkiem i białym, puchatym dywanem.

Zlekceważyła windę i poszła na górę schodami. Ojciec, powiadomiony przez portiera o jej wizycie, czekał na nią w drzwiach. Chociaż na dworze było już na tyle ciepło, że ludzie zaczęli szeroko otwierać okna, ojciec miał na sobie sweter. Kardigan. Zabawne. Nigdy przedtem nie widziała, żeby wkładał kardigan.

Taki sweter postarzał, a Olivia nie lubiła myśleć o ojcu jako o starym człowieku. Dla niej do niedawna był po prostu „tata”. Nigdy się nie zastanawiała, jakie miał pragnienia i pasje. Czym się kierował, idąc przez życie? Co tak naprawdę grało mu w duszy?

Odnosił zawodowe sukcesy jako prawnik, był przykładnym i dobrym synem, ale co jeszcze? Chciał zostać pisarzem. Olivia to wiedziała, ale nigdy nie rozmawiała z nim na ten temat. Teraz żałowała - i tej nieodbytej rozmowy, i wielu innych, które mogli przeprowadzić.

- Cześć, tato. - Wspięła się na palce i pocałowała go w policzek.

- Jak się miewa moja obozowiczka?

- Biorąc pod uwagę fakt przymusowego pobytu w Kioga, jest zadziwiająco szczęśliwa
- zaśmiała się. - Generalny remont to dużo lepsza zabawa niż pobyt na obozie.

- Czego się napijesz? Lemoniada? Woda sodowa?

- Pozwól, że trochę się ogarnę, a potem sama coś sobie wezmę.

Po wyjściu z łazienki zatrzymała się w kuchni. Obejrzała zawartość lodówki, wyjęła butelkę wody sodowej i dołączyła do ojca, który czekał na nią w salonie.

Siedział w ulubionym fotelu.

- Opowiadaj. Pobyt w Kioga wspaniale ci zrobił. Dosłownie jaśniejesz.

Trzy godziny w samochodzie z Connorem Davisem zrobiłoby to z każdą dziewczyną, pomyślała.

Wypiła łyk wody i złożyła ojcu sprawozdanie z kilku ostatnich tygodni.

- To zdumiewające, tato, ile wspomnień wiąże się z tym miejscem. Nagle wszystko zaczęło do nas wracać. Bo nie chodzi tylko o mnie. Z resztą ludzi dzieje się to samo. Może dlatego, że jesteśmy skazani wyłącznie na staroświeckie rozrywki.

- Co z Gregiem?

- Z początku nie za dobrze. - Zauważyła wyraz zawodu na twarzy ojca. Młodszy o dziesięć lat Greg był mu bardzo bliski. Szybko dodała: - Ale z każdym dniem było lepiej. Jestem pewna, że spora część kłopotów wujka Grega wynika z tego, że stracił kontakt z Daisy i Maksem. Po przyjeździe prawie wcale ze sobą nie rozmawiali. Greg i Max zachowywali się jak obcy sobie ludzie. A teraz razem pływają po jeziorze, łowią ryby, bawią się i czytają książki. Tato, wszystko będzie z nimi dobrze, nie martw się.

- A ty? - zapytał. - Jak ty się czujesz? Odstawiła napój.

- Wiesz, tato, właściwie zapomniałam już o Randzie. Zabawne, jak szybko to poszło. Chyba nawet za szybko. Zupełnie jak z drzazgą w palcu. Boli jak nie wiem co i nie możesz myśleć o niczym innym. Ale jak posmarujesz palec odpowiednią maścią, drzazga wychodzi i ból znika. Natychmiast o tym zapominasz.

- Odnawianie obozu w charakterze maści - zaśmiał się ojciec. - Nie zapominaj tylko, że ten cały Rand nie był facetem dla ciebie.

- No to dlaczego myślałam, że był?

- Bo nasze pobożne życzenia są potężną siłą.

Olivia zastanawiała się, czy jej ból nie był aby efektem urażonej dumy, a nie - jak dotąd myślała - odrażonych uczuć. Martwiło ją, że okazała się aż tak płytką osobą. Stworzyła swoją wizję życia i chciała zrealizować ją za wszelką cenę. Dom, mąż, rodzina. Ale tak naprawdę były to, zgodnie ze słowami ojca, wyłącznie jej pobożne życzenia.

- Widziałaś się już z dziadkami?

- Dzisiaj nie dam rady do nich zajrzeć. Chyba tylko tam zadzwonię. I do mamy też - dodała ostrożnie.

Przeszło jej przez myśl, że powinna zajrzeć do własnego mieszkania i sprawdzić, co tam się dzieje, ale wiedziała, że nie jest to potrzebne. Earl podlewał rośliny i doglądał wszystkiego. I... dobra, musi spojrzeć prawdzie w oczy. Nie była pewna, czy wypada pokazywać Connorowi, jak ona mieszka.

Jej myśli krążyły wokół właściwego powodu wizyty u ojca.

Po prostu powiedz to, nakazała sobie. Wzięła głęboki wdech... i wycofała się, przestraszona.

- Nie pamiętam, czy mówiłam ci już o tym czy nie. Za wszystkie prace budowlane w Kioga odpowiada Connor Davis.

Ojciec zmarszczył brwi, potarł policzek.

- Connor? Chłopak Terry'ego Davisa?

- On już dawno przestał być chłopakiem, tato.
- Myślisz, że nie pamiętam? - Philip spojrział na nią uważnie.
- A pamiętasz? - Olivia była naprawdę zaskoczona.
- Jakim ojcem byłbym, gdybym nie pamiętał, kto złamał serce mojemu jednemu

dziecku? Miałem ochotę zabić tego małego sukinsyna.

- Tato, nie wiedziałam... - Słowa „jedyne dziecko” wirowały jej w głowie. - No, ale przeszłam nad tym do porządku dziennego, tak jak nad zawodami miłosnymi, które przeżyłam później - powiedziała.

Kłamczucha. Jeśli chodzi o Connora Davisa, wcale tak nie było. Pewne cechy jej osobowości, ważne cechy, przestały istnieć. Zagubiły się w przeszłości, a ona dopiero teraz zdawała sobie z tego sprawę.

Dość. Pora zmienić temat.

- Chciałabym cię o coś spytać. To... osobiste pytanie.
- Proszę bardzo. Możesz czytać we mnie jak w otwartej księdze - zażartował.

Chyba rzeczywiście tak myślał. Według Olivii nigdy nie był zakłamanym człowiekiem. Dopiero teraz wyszły na jaw różne sekrety. Sekrety i kłamstwa.

No dobra, zdopingowała się, przejdź wreszcie do ataku. Wyduś to w końcu z siebie.

- Chodzi mi o czasy, kiedy sam jeździłeś na obozy. Uśmiechnął się.
- Mogłabyś trochę to uściślić? W końcu spędziłem tam mnóstwo dni.

Wciągnęła głęboko powietrze. Nastąpiła długa pauza. Długa i ciężka.

- Opowiedz mi o lecie siedemdziesiątego siódmego. Zamyślił się.
- Zaraz, zaraz... W tamtym roku byłem drużynowym. Dlaczego pytasz?
- Znalazłam twoje stare zdjęcie z datą: sierpień 1977. Zaciekawilo mnie.

Wyciągnęła z torby szarą kopertę, wyjęła z niej zdjęcie i podała ojcu.

Ręka trochę mu drżała, gdy zakładał okulary i unosił do oczu wyblakłą fotografię.

- Tak, to ja. Prawie zapomniałem...

A jednak coś było nie tak. Ściszony głos i zamglone niespodziewanie oczy świadczyły, że ojciec nie mówi prawdy.

- O czym?

- O zwycięstwie w tamtym turnieju. Ciągle lubię grać w tenisa. Powiniennem chyba do niego wrócić.

- Odbitka tego zdjęcia wisi też w piekarni Sky River. Ale ciebie z niej wycięto.

- Ja... ja nie wiedziałem...

- Byliście bliskimi znajomymi? Mariska Majesky i ty? - zapytała, bacznie obserwując twarz ojca.

Odwrócił fotografię. Olivia wiedziała, że znajdzie tam tylko datę.

- Terry Davis powiedział mi, że trzymaliście się razem - wyjaśniła.

- Pokazałaś mu zdjęcie?

- Tak. Mieszka teraz w Indian Wells. - Olivia nie chciała, by ojciec odwrócił jej uwagę od sprawy Mariski. - Była bardzo piękna. Czy... – zaryzykowała - czy łączyło was coś więcej?

Ojciec westchnął i zagłębił się w fotelu.

- Tak, można tak powiedzieć.

- Byłeś z nią latem siedemdziesiątego siódmego - drażyla Olivia. - I w tym samym roku poślubiłeś mamę.

Ojciec zbladł. Unikał wzroku córki.

- O Boże, tato!

Chciała, żeby zaprzeczył. Żeby zaczął się bronić.

- Olivio, to stara historia. Wszystko zdarzyło się przed twoim urodzeniem. Nie rozumiem, jakie to ma teraz znaczenie.

Wyjęła z koperty następne zdjęcie. Znalazła je w bibliotece publicznej w Avalon, kiedy przeglądała roczniki miejscowej gazety o nazwie „Kurier Avaloński”. Nagłówek głosił: „Piekarnia Sky River obchodzi swe pięćdziesiąte urodziny. Na zdjęciu właścicielki: Helen Majesky i jej wnuczka, Jennifer Majesky”.

Było to świetne zdjęcie Jenny, pięknie uwydatniające jej egzotyczną urodę. Olivia położyła obok siebie obie fotografie - podobieństwo między matką i córką było uderzające.

Olivia patrzyła na twarz ojca. Była szara jak popiół.

Na jego czole perliły się krople potu. Jej odkrycie głęboko nim wstrząsnęło. Aż do tej chwili nie miał o niczym pojęcia. Tego Olivia była zupełnie pewna.

- Nazywa się Jennifer Anastasia Majesky - powiedziała cicho. - Urodziła się dwudziestego trzeciego marca tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego ósmego roku.

Nietrudno było ustalić tę datę. Connor zapytał o to miejscowego szeryfa, Rourke'a McKnighta, który był jego starym znajomym.

- Widzisz jej wisiołek? Na zdjęciu jest trochę niewyraźny, ale na łańcuszku jest ta sama ozdoba.

Podąła mu srebrną spinę. Siedziała nieruchomo, czekając, aż ułoży sobie w głowie to, co właśnie usłyszał i zobaczył. Po chwili powoli opuścił ręce i zmusił się, żeby spojrzeć Olivii prosto w oczy.

- Jesteś tego pewna? - odezwał się.

Olivia wiedziała, o co naprawdę pyta: „Czy jesteś pewna, że ona jest moim dzieckiem?”.

- Nie. To ty... powinieneś sprawdzić. Wyciągnął chusteczkę i otarł twarz.

- A Mariska? - zapytał. - Jest teraz w Avalon?

- Nie. Według szeryfa McKnighta wyjechała, kiedy Jenny miała trzy czy cztery lata i nigdy nie wróciła.

- Mariska... Boże... - wyszeptał ojciec.

Oparł czoło na dłoniach, a łokcie na kolanach. Wydawało się, że nagle zmałał, zupełnie jakby to odkrycie zniszczyło część jego ja.

RS

KOŁACZE Z POWIDLAMI Z PIEKARNI SKY RIVER

1 kostka masła; 250 g tłustego białego sera; 250 g mąki;
1 mały słoik powideł (śliwkowych, jabłkowych, malinowych lub
brzoskwiniowych); cukier puder do posypania

Utrzeć masło z serem na jednolitą, puszystą masę. Dodać mąkę i wyrobić ciasto na stolnicy posypanej mąką. Rozwałkować na placek. Oстрыm nożem pociąć na kwadraty o boku mniej więcej 5 cm. Umieścić je na lekko natłuszczonej blasze. Położyć małą łyżeczkę powideł na środku każdego kwadratu i luźno złożyć do środka ich rogi, zlepiając krawędzie. Piec w temperaturze 160°C, aż nabiorą złotawego koloru. Gdy ostygną, posypać cukrem pudrem. Przepis na ok. 30 sztuk.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Wrzesień 1977

Obóz Kioga został oficjalnie zamknięty aż do następnych wakacji. Philip Bellamy znalazł się wśród ostatnich wyjeżdżających stąd drużynowych. Jego rodzice podwieźli go na stację kolejową w mieście. Wieczorem powinien być już w New Haven. Czekał na pociąg „dwójkę”, jadący w stronę Nowego Jorku. Matthew Alger też znalazł się na peronie. Siedział na ławce ze swoją dziewczyną, studentką z college'u Barnarda, która przepracowała całe lato w obozowej kuchni.

- Cześć, Shelley. Cześć, Matt - przywitał się z nimi Philip. - Też wracacie do miasta?

- Ja owszem - odrzekła Shelley. - Matt zostaje w Avalon, bo ma praktyki w tutejszym ratuszu.

Alger odrzucił w tył obfitą blond czuprynę à la Bee Gees.

- Przyszedłem na stację odprowadzić swoją ukochaną - powiedział i objął Shelley.

Philip poczuł ukłucie zazdrości. Sam musiał pożegnać się z Mariską w tajemnicy przed wszystkimi poprzedniej nocy. I chociaż chciał wykrzyzczyć całemu światu swą miłość do niej, wiedział, że musi trzymać to w sekrecie, dopóki nie uprości sobie życia, uwalniając się od Pameli. Jeszcze raz powtórzył sobie w myślach plan działania. Przejść przez jesienną rejestrację. Powiedzieć Pameli, że ich związek nie ma sensu. Wrócić do Avalon. Oświadczyć się Marisce. Proste, pomyślał. Ale trudne do wykonania.

Nie chciał się oszukiwać. Czekały go duże zmiany. Pewnie, spodziewano się po nim, że rozpocznie studia prawnicze, ale on nie tego chciał od życia. Chciał zostać pisarzem. Latem skończył pracę nad dwoma krótkimi opowiadaniem i rozważał wysłanie ich do „Yale Literary Review”.

Przed oczami mignęło mu jego własne odbicie w szkle, za którym wisiał plakat reklamujący „Annie Hall”, nowy film Allena. Philip włożył na drogę przyzwoitą koszulę i szkolny krawat. Wiedział, że nie będzie miał czasu na przebieranie się, gdy dziś wieczorem przybędzie do kampusu na uroczystą kolację. Jako skarbnik swojego roku musiał być na niej obecny.

Włożył rękę do kieszeni spodni i z nerwową niecierpliwością zadzwonił leżącymi tam drobnymi. Jego palce natrafiły na srebrną spinkę. Mariska miała bliźniaczą spinkę - ta myśl go trochę uspokoiła. Przechadzając się po peronie, wciąż zaglądał na tory, jakby chciał w ten sposób przyspieszyć przyjazd pociągu. Spojrzał na zegarek i spacerował dalej. Na peronie gromadziło się coraz więcej ludzi, głównie wczasowiczów, którzy wracali do miasta po Święcie Pracy. Byli obarczeni kupą dzieci i równie dużą ilością bagażu, opaleni na brąz i pokryci różowymi plamkami od płynu na ukąszenia komarów.

W coraz bardziej gęstniejącym tłumie Philip ujrzał nagle szczupłą kobietę o ciemnych, lśniących włosach, przeciskającą się w jego kierunku. Serce podskoczyło mu w piersi.

- Mariska?

- Philip - rzuciła, z trudem łapiąc oddech.

Wyglądała na bladą i zmęczoną, a jednak wciąż była piękna. Piękna aż do bólu. Philip natychmiast rozejrzał się wokół. Za wielu świadków. Za wiele ryzyka. Nie mógł jej objąć tak, jak by sobie tego życzył. Opuścił ręce i powiedział:

- Nie wiedziałem, że tutaj przyjdiesz.

- Nie mogłam dłużej z tym zwlekać - odrzekła. - Muszę ci coś powiedzieć.

Wyraz jej twarzy zmroził serce Philipa. Już wiedział. Wiedział, zanim się odezwała.

- Mariska...

- Usiądźmy. - Wskazała mu ławkę na krańcu peronu, obok kiosku z gazetami.

Nagłówek „New York Timesa” informował o wystrzeleniu na orbitę okołozemską drugiego w historii wahadłowca, podczas gdy „Kurier Avaloński” powiadamiał o końcu czterdziestego piątego sezonu w dziejach Obozu Kioga.

- Co się stało?

Zabawne. Skąd w jego piersi wzięła się ta wielka kostka lodu?

Mariska usiadła na wprost Philipa, celując w niego kolanami.

- Przyszła pora, żebyśmy oboje stawili czoło faktom.

Bryłka lodu, tkwiąca w jego sercu, promieniowała teraz zabójczym zimnem na całe ciało. Chociaż poranne słońce ogrzewało peron, Philip próbował zwalczyć gwałtowny atak dreszczy.

- Kochanie, całe lato stawialiśmy czoło faktom, a jedyny pewny fakt to nasza miłość...

Twarz Mariski przypominała nieruchoma maskę. Była twarzą nieznanegoj osoby.

- Chyba tak. Przez jakiś czas. Było nam dobrze, ale pozwoliliśmy sobie na zbyt wiele.

- Oszalałaś?! Co ty mówisz?! - zawołał.

Skuliła się, jakby nie mogła znieść natężenia jego głosu; powiodła szybkim spojrzeniem dookoła, jakby chciała upewnić się, że nikt nie podsłuchuje.

- Nie oszalałam - sprzeciwiła się szeptem. - Natomiast wcześniej oboje oszaleliśmy, wmawiając sobie, że nam się uda i że to wyjdzie na dobre nam obojgu.

- Co ty wygadujesz? Oczywiście, że się nam uda. Mamy plan.

- Niedobry plan. Byłam głupia, że na to przystałam. Philip, my nie możemy być razem. To nigdy nie będzie możliwe. Latem nam się tylko tak wydawało.

Jej słowa uderzyły w niego.

- Nie wierzę w to, co mówisz! - Próbował wziąć ją za rękę, ale mu nie pozwoliła. - Coś się musiało stać - zgadywał. - Ostatniej nocy ty... my... - Nie potrafił znaleźć odpowiednich słów na opisanie ich bliskości. Te, które przychodziły mu na myśl, wydawały się niedelikatne i niewiele warte.

- Ostatniej nocy bez przerwy kłamałam - odpowiedziała, wbijając oczy w Philipa, jakby chciała przygwoździć go wzrokiem. - Kłamałam tobie i sobie.

- Nie. Kłamiesz teraz. Jesteś przestraszona, bo ja wyjeżdżam. Ale... kochana, nie musisz się martwić. Złożyłem obietnicę i mam zamiar jej dotrzymać. Oczywiście, że wrócę.

Jej spojrzenie nic się nie zmieniło. Nadal było twarde jak stal.

- To właśnie dlatego proszę cię, nie, rozkazuję ci, żebyś uszanował moją wolę i trzymał się ode mnie z daleka. Nie chcę być dłużej twoją dziewczyną. Bawiliśmy się dobrze tego lata, ale sprawy zaszły za daleko.

- Zakochaliśmy się...

- Owszem, tak uważałam. Oboje tak uważaliśmy - jej głos brzmiał zdumiewająco staro - ale oboje się pomyliliśmy. Takie coś nie mogło przetrwać. Już po wszystkim. Mam inne plany na przyszłość. Będę podróżować, oglądać nowe miejsca, spotykać nowych ludzi...

- Oczywiście, że będziesz, kochanie. Ze mną. Czy nie mówiłem, że zabiorę cię, dokąd tylko zechcesz? - Philip słyszał desperację we własnym głosie. Brzydził się, że błaga o coś, ale nie miał pojęcia, co poza tym mógłby zrobić.

- Nie słuchasz mnie - powiedziała. - Nie mam zamiaru oglądać świata z tobą. Było nam razem fajnie, lato było wspaniałe, ale to już koniec. Lato minęło. Wracasz do swojego życia, a ja do swojego.

- Bez ciebie nie mam żadnego życia - odrzekł drżącym głosem.

- Nie dramatyzuj. - Kciukami bezwiednie szarpała pasek torebki, którą przyciskała do brzucha. - Masz szkołę, przyjaciół i przyszłość, jakiej chcesz. I narzeczoną. Pamelę.

- Już ci powiedziałem. Między mną i nią wszystko skończone. - Poczul ból w żołądku.

- Już wiem, co ci jest. Wściekasz się, bo ukrywaliśmy się przez całe lato.

- Nie jestem wściekła. Ty i ja pochodzimy z dwóch zupełnie różnych światów. Nie możemy dłużej udawać, że to nie ma znaczenia. - Zaśmiała się gorzko, bo wcale nie była rozbawiona. - Wyobrażasz sobie nasze rodziny razem? Emigranci z Polski i ród Bellamych? Na litość boską...

- Boże! Mariska, skąd ty wzięłaś te teksty? - Nagle poraziło go zrozumienie, uderzył się otwartą dłonią w czoło. - Ty to musiałaś wykuć na pamięć, prawda? Żadne z tych słownie jest twoje! Ktoś cię tego nauczył!

- Widzisz, że to ja do ciebie mówię? Słyszysz mój głos? To teraz powiem ci o czymś, o czym powinnam ci powiedzieć dawno temu. Kłamałam przez całe lato. Kłamałam, mówiąc „my”. Próbowałam przekonać siebie, że chcę być z tobą, ale w głębi duszy wiedziałam, że to niemożliwe. A teraz koniec. Nie mam zamiaru dłużej udawać.

Philip miał wrażenie, że nie zna siedzącej przed nim dziewczyny. Była kimś obcym.

Wstała, trzymając przed sobą torebkę niczym tarczę.

- Przykro mi, jeśli cię zraniłam, ale zapewniam, że to tylko chwilowy ból. Żegnaj, Philipie.

- Nie odchódź! - Nie mógł się powstrzymać. Zerwał się i złapał ją za ramię, przyciągając bliżej siebie. - Nie pozwolę ci odejść! Ani teraz, ani nigdy!

- Dostyc. - Przecięła ręką powietrze. - Zrywam z tobą, jasne? To może zdarzyć się zawsze, w każdym związku. Z wyjątkiem tego, który jest ludziom pisany. Tego jedyne.

- To jest ten jeden jedyne! - Jego rozpacz przerodziła się w gniew.

- Oboje wiemy lepiej, jak jest naprawdę. - Spojrzała na niego zimnymi, pustymi oczami. Takiego wyrazu twarzy Philip nigdy wcześniej u niej nie widział. - Nie chcę, żeby to zmieniło się w coś brzydkiego, przysięgam, że nie. Ale jeśli nie zabierzesz tych rąk i nie pozwolisz mi odejść, zacznę wzywać pomocy.

W jej głosie słychać było dźwięk zimnej stali. Philip cofnął się i wypuścił ją z uścisku.

- Wrócę do ciebie.

- Wtedy już mnie tu nie będzie.

Odwróciła się gwałtownie i odeszła, stukając obcasami po betonowej nawierzchni peronu. Popędził za nią, znów wyciągając rękę.

- Mariska, przestań. Nie odrzucaj...

Zatrzymała się z rękami ciasno przyciśniętymi do boków, tak żeby znalazły się poza zasięgiem Philipa.

- Wiesz co? - wybuchnęła, zwięzając oczy. - Miałam nadzieję, że nie będę musiała o tym mówić, ale teraz po prostu grasz mi na nerwach. Z nami koniec. Kropka. Teraz odchodzę, a jeśli za mną pójdziesz, oskarżę cię o molestowanie. Nie kontaktuj się ze mną. Nie będę odbierać twoich telefonów ani czytać twoich listów. Nic z tego, Philipie. Przysięgam.

Odwróciła się i sztywno poszła w kierunku zejścia z peronu.

Philip zrobił za nią kilka kroków, jakby pchnięty przez niewidzialną siłę. „Z nami koniec. Kropka”, dźwięczało mu w głowie. Zatrzymał się. Nie mógł jej zawołać, bo gardło wypełniały mu łzy. Wokół była pustka. Otepiały wpatrywał się w znajomą kobiecą sylwetkę, która odchodząc, malała w oczach. Mariska szła, nie spiesząc się ani nie oglądając za siebie. Zeszła po schodach, zagłębiła się w przejściu podziemnym dla pieszych, i zniknęła.

Gwizd lokomotywy przeciął powietrze. Philip aż podskoczył. Pociąg zwalniał wśród syku pary i wizgu hamulców. Nagłym, mechanicznym ruchem podniósł torbę i czekał, aż pociąg się zatrzyma. Na drugim krańcu peronu Matthew Alger całował swą dziewczynę od Barnarda. Ludzie pospiesznie zgarniali bagaże i pakunki. Zawahał się. Może uciec? Pobiegliby za Mariską, wyjaśnił jej, jak bardzo się myli, i przekonał, że należą do siebie.

Znienacka z poczekalni wyszła elegancka para i dołączyła do pasażerów na peronie.

Lightseyowie. Ta myśl odbiła się głuchym pogłosem w jego głowie. Co za parszywy moment sobie wybrali.

Gwen Lightsey zauważyła go natychmiast.

- O, Philip. Tu jesteś. Twoja matka powiedziała mi, że też jedziesz tym pociągiem.

- Witam panią. - Uprzejmie pochylił głowę. Dobrze obyczaje, psiakrew! Potem wymienił uścisk dłoni z Samuelem Lightseyem. - Jak się pan miewa?

- Doskonale, Philipie.

Lokomotywa wydała głośny syk, co zagłuszyło konwersację. Philip stanął przy wejściu do wagonu, podczas gdy pani Lightsey wsiadała, a za nią podążał jej mąż, niosąc ich bagaże.

- Dołącz do nas, mój drogi! - zawołała do Philipa z na wpół otwartego okna wagonu. - Mamy tu dla ciebie wolne miejsce! Porozmawiamy sobie miło w drodze do miasta i ani się spostrzeżemy, jak będziemy u celu!

Słowa Mariski rozległy się jak echo w jego głowie. „Po wszystkim. Mam inne plany na życie”.

Gwizdek konduktora przewiercił przestrzeń nad peronem.

- Philip, synku, bo pociąg odjedzie. - Pan Lightsey zrobił zatroskaną minę. - Czyżbyś o czymś zapomniał?

„Emigranci z Polski i ród Bellamych? Na litość boską!”.

Znów zabrzmiał gwizdek. Philip zacisnął palce na barierce. Zmuszając stopy do ruchu, doszedł do siedzenia naprzeciw Lightseyów. Położył torbę na półce i usiadł.

Rodzice Pameli byli ostatnimi ludźmi, których towarzystwa sobie życzył. Właściwie nie życzył sobie żadnego towarzystwa. Jak zranione dzikie zwierzę chciał zwinąć się w kłębek - samotnie i w ciemnościach, i starać się wyzdrowieć.

Zamiast tego siedział teraz twarzą w twarz z najlepszymi przyjaciółmi swych rodziców. Państwo Lightsey byli z natury pełni powagi i uprzejmi. Mieli wszelkie powody, by wierzyć, że wkrótce zostaną jego teściami.

Philip zaś funkcjonował teraz jak poruszany automatycznym pilotem. Nie szło mu to źle. Lightseyowie nie zauważyli chyba w przyszłym zięciu nic niepokojącego. Najwyraźniej zmiążdżone serce i roztrzaskane na milion kawałków marzenia i nadzieje nie dawały żadnych fizycznych, dostrzegalnych na pierwszy rzut oka objawów.

Philip usłyszał, jak gdzieś obok ktoś obcy mówi o Yale, o swych planach dziennikarskich na ten rok i o oczekiwaniach wobec przyszłości. Po pewnym czasie odkrył, że tym obcym jest on sam.

Pani Lightsey - „po prostu Gwen”, upierała się, żeby tak do niej mówił - dosłownie promieniała. Schludność. Elegancja. Dystyngowane gesty w rytm zmierzającego na południe pociągu. No i biżuteria. Dyskretna i w dobrym guście. Zgrabny złoty zegarek. Prosty pierścionek z brylantem, sznur pereł... i to wszystko. Pamela powiedziała kiedyś Philipowi, że jej matka, wniósłszy w ród Lightseyów fortunę w klejnotach, mogłaby na podobieństwo choinki obwiesić się diamentami i złotem od stóp do głów. Ale to, oczywiście, byłoby w złym guście. „Móc” nie znaczy przecież „musieć”.

Philip oparł plecy o ławkę i narzucając sobie uprzejmy wyraz twarzy, słuchał, co mówią do niego rodzice Pameli.

- Jesteśmy prawdziwie uszczęśliwieni, widząc, jak wszystko pięknie się układa - oświadczyła pani Lightsey.

- Tak, proszę pani. - Philip nie wiedział, co jeszcze mógłby na to odpowiedzieć.

- Pamela nie może się już doczekać spotkania z tobą - dodała.

Philip uśmiechnął się, bo co innego mógł zrobić.

- Tak, proszę pani - powiedział jeszcze raz.

*Gdym spała, czymś przepięknym życie się zdawało,
Ale się dla zbudzonej obowiązkiem stało.*

Ellen Sturgis Hooper, poetka amerykańska

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

- I to był ostatni raz, gdy widziałem Mariskę - powiedział ojciec cichym i zmęczonym głosem. - Odeszła ode mnie tamtego dnia, a potem nigdy już jej nie widziałem ani z nią nie rozmawiałem.

- Niewiarygodne - powiedziała Olivia, próbując wyobrazić sobie swego ojca - zrozpaczonego, porzuconego przez dziewczynę, którą kochał. - Ale jeśli tak ją kochałeś, to dlaczego nie próbowałeś się z nią skontaktować? Dlaczego tamtego dnia po prostu nie przepuściłeś swojego pociągu?

Ojciec potarł czoło, tak jakby cierpiał na migrenę.

- Byłem w szoku, tak teraz myślę. I... i coś w niej przekonało mnie, że z jej strony rzeczywiście wszystko skończone. Jasne, że gdy wróciłem do szkoły, to zacząłem próbować. Raz po razie. Pisałem listy, wysyłałem telegramy, nawet pojechałem w jeden weekend do Avalon. W końcu jej matka powiedziała mi, że Mariska wyjechała i żebym przestał próbować się z nią skontaktować.

- Więc jej matka wiedziała, co się dzieje?

- Może. Nie mam pojęcia. I chyba nigdy się nie dowiem, czy Mariska już wtedy wiedziała, że jest w ciąży, i czy to ona sama chciała zakończyć nasz związek. - Potrząsnął głową. - Nigdy nie uwierzyłem w to, co powiedziała mi wtedy. Ważniejsze było, czego nie mówiła, ale wyrażała mową ciała. Jej nerwowość. Poobgryzane wszystkie paznokcie.

Olivia czuła, że kręci jej się w głowie. Zdawała sobie sprawę, że ojciec przekazał jej tylko najważniejsze fakty, rzecz można, kościec całej historii, pomijając szczegóły. Ale faktem było to, że bardzo kochał Mariskę.

- To znaczy, że nie zerwałeś zaręczyn z mamą tylko dlatego, żeby zrekompensować jakoś swoją porażkę?

- Nie, to nie tak. - Podeszedł do okna i długo patrzył w niebo. - Nie jestem dumny z tego, jak wtedy postąpiłem. Młodość nie usprawiedliwia głupoty.

- A co powiedziałaś mamie, kiedy się spotkaliście?

- Stwierdziłem, że powinniśmy zerwać zaręczyny i że nie wydaje mi się, żebym dłużej darzył ją uczuciem.

- Że nie wydaje ci się...? - rozzłościła się Olivia. - Miałeś całe lato, żeby to przemyśleć! Podczas rozmowy z mamą powinieneś mieć już pewność!

- Nie miałem - odparł.

Spojrzała na zdjęcie na stole i poczuła ukłucie w sercu. Zabolą ją nie to, że ojciec zakochał się w innej dziewczynie, kiedy był już zaręczony z jej matką, ale to, że wydawał się wtedy tak bardzo szczęśliwy! Olivia nigdy w życiu nie widziała na jego twarzy takiego szczęścia.

- Córeczko? - Dotknął jej ramienia. - Powiedz, o czym teraz myślisz?

- Uwierz mi, że nie chciałbyś tego wiedzieć.

- Pozwolisz, że sam to ocenię? Nie chcę następnych sekretów.

- Jak wolisz. - Wzruszyła ramionami. - Jeśli koniecznie musisz wiedzieć, to zre mnie zazdrość, kiedy patrzę na to zdjęcie. Wolałabym, żebyś był taki szczęśliwy z mamą.

- Widzisz zbyt wiele - zaproponował. - Każdy tak wygląda, kiedy jest młody i ma przed sobą całe życie. - Ujął Olivie za rękę. - Próbowałem... twoja matka także. Oboje próbowaliśmy... długo... zrobić coś, żeby między nami było dobrze.

Olivia wyciągnęła dłoń z uścisku ojca. Wbrew upałowi letniego dnia palce miała zimne.

- A gdy powiedziałeś mamie, że powinniście zerwać, to... co ona zrobiła? Zmusiła cię, żebyś ją poślubił? Nie wierzę. Chyba przemilczałeś jakiś szczegół tej historii.

Ojciec znów zapatrzył się w okno.

- Twoja matka nie była... nie zerwała ze mną. Poprosiła, żebyśmy po powrocie na uczelnię zachowywali pozory, że dalej jesteśmy parą. Chociaż przez kilka dni. Ale potem coś się między nami zaczęło zmieniać. Na lepsze. Pamiętam, że znów zaczęliśmy się umawiać i w końcu się jej oświadczyłem. Była przecież - i ciągle jest - piękna, inteligentna i troskliwa.

- Miałeś ją też pod ręką, a to bardzo wygodne - wytknęła Olivia.

- Nie bardzo chciałem być wtedy sam.

- Samotność jest lepsza niż związek z niewłaściwą osobą.

- Ja w twoim wieku nie byłem taki mądry. - Spojrzał jej prosto w oczy. - Posłuchaj, Olivio, i nie zrozum mnie źle. Przykro mi, że twoje związki się rozpadały, i przykro mi, że z tego powodu cierpiałeś.

Ale równocześnie podziwiam cię i jestem dumny, że potrafiłaś zerwać je we właściwym momencie. I że masz odwagę, by czekać na coś prawdziwego, coś na tyle głębokiego, by mogło trwać przez resztę życia.

Olivia rozumiała, o co mu chodzi. W dniu, w którym skończył się jej związek z Randem, ojciec ze zdumiewającą wnikliwością powiedział: „Miłość jest jak oddychanie. Musisz kochać, bo inaczej umrzesz. A kiedy miłość przemija, dusza zaczyna krwawić, moja Livvy. Nie da się z tym porównać żadnego bólu na świecie, masz na to moje słowo”.

Teraz nareszcie Olivia zrozumiała, skąd u ojca wzięła się ta wnikliwość. Sam tego doświadczył. Na własnym ciele i duszy. Nie wygłaszał pustych frazesów. Jego słowa wypływały z osobistego doświadczenia. Sam tak kochał. Tyle że obiektem jego miłości była obca dla Olivii kobieta: Mariska Majesky.

- Chciałem uszczęśliwić twoją matkę - ciągnął Philip Bellamy. - Chciałem zasłużyć na jej względy. Pragnąłem tego bardziej niż cegokolwiek innego. Czasem, gdy pragnie się czegoś wystarczająco mocno, można to osiągnąć dzięki sile woli.

- Boże! A ty, ty... niczego się nie nauczyłeś? - zapytała z irytacją. - A mama?

Wzięliście ślub w grudniu siedemdziesiątego siódmego. Skąd ten pośpiech? Byliście młodzi, zaczęliście studiować prawo... - Urwała, widząc, że ojciec odwraca wzrok. - Możesz spokojnie mi o tym powiedzieć, tato. Już i tak wiem za dużo.

Wahał się dłuższą chwilę. Jakby szukał odpowiednich słów. Wyglądał teraz niesamowicie staro. W jednej chwili jej przystojny, pełen życia, zawsze gotów do akcji ojciec przemienił się w steranego życiem, starego człowieka. Wzięła głęboki wdech.

- To dotyczy również twojej matki - mruknął.

- I mnie też! - wyrzuciła z siebie Olivia. - I chcę to wiedzieć!

Nie mogła sobie wyobrazić, przed czym ojciec próbuje ochronić matkę.

- Ona zawsze uważała, że nie powinnaś o tym wiedzieć.

- Nie zmuszaj mnie, żebym wyciągnęła to z niej - zagroziła. - Nie rób jej tego.

Umilkł na chwilę. Nabrał w płuca powietrza.

- Chodziło o... dziecko.

Dla Olivii było to niczym cios zadany kilofem.

- Coo?!

- Twoja matka i ja... pracowaliśmy nad wzajemnym pojednaniem. Myśleliśmy, że się nam udało. Ona... ee... była w ciąży, kiedy braliśmy ślub. Nikt nie miał pojęcia, dlaczego przyspieszyliśmy jego datę. Dziecko byłoby wcześniakiem, jak to wówczas mawiano. Chcę ci powiedzieć, że my naprawdę cieszyliśmy się, że urodzi się nam dziecko. - Złożył dłonie opuszkami palców do siebie i wpatrywał się w przestrzeń między przegubami. - A potem, kilka tygodni po ślubie, Pamela poroniła. To był dla nas dwojga smutny i trudny czas.

Olivia z trudem mogła to sobie wyobrazić. Małżeństwo ojca i matki było zatem niedoskonałą budowlą, wzniesioną na najbardziej niepewnym z fundamentów! Dręczony poczuciem winy młodzieniec o złamanym sercu i ambitna kobieta, zdecydowana na zawarcie „właściwego” związku z niewłaściwych pobudek. Wszystkie swe nadzieje pokładali w dziecku, a kiedy je stracili, na siłę próbowali wytrwać w sypiącym się związku.

- Wiesz co, tato? Ja się tam specjalnie nie znam na karmie i przeznaczeniu, ale powiem ci, że to poronienie było jak sygnał z zaświatów.

- Sygnał czego? Tego, że nie powinniśmy brać ślubu? Czy tego, że powinniśmy bardziej się starać, żeby pokochać się naprawdę? - Philip westchnął.

- Chciałaś wiedzieć, co się stało, więc już wiesz. Żałuję, że między mną a twoją matką się nie ułożyło, ale nie żałuję tego, co się stało. Bo dzięki temu mam ciebie!

Do gniewu Olivii na ojca i jej frustracji dołączyło uczucie bólu. Przypomniała sobie, po co właściwie tu przyjechała.

- A efektem twojej przygody z Mariską jest Jenny Majesky.

Jego twarz poszarzała z żalu.

- Tato? Co ty właściwie masz zamiar z tym zrobić?
- Po pierwsze, chcę ci podziękować za to, że mi o wszystkim powiedziałaś.
- A dlaczego miałabym tego nie robić?
- Jesteś moim jedynym dzieckiem. Jedyną spadkobierczynią. Mogłaś pomyśleć, że to się zmieni, skoro masz rodzeństwo.

Zaśmiała się krótko. Targało ją mnóstwo sprzecznych emocji. Oburzenie. Rodzice tak wiele przed nią ukrywali. Zawieść. Ojciec był szczęśliwszy z inną kobietą niż z matką. I... tak, strach. Istnienie drugiej córki Philipa Bellamy'ego mogło wstrząsnąć w posadach światem Olivii. Ale bynajmniej nie z powodów, o których myślał ojciec.

- Możesz mi wierzyć, że spadek to ostatnia rzecz, o jakiej bym teraz myślała... ale ty ciągle nie odpowiadasz na moje pytanie.

- Mam naprawdę sporo do zrobienia - odrzekł.

- Muszę posprawdzać to i owo, potem pojechać do Avalon, spotkać się z Jenny i zweryfikować moje biologiczne ojcostwo. Sprawdzić, czy ona coś o mnie wie. Spróbować odnaleźć Mariskę. A jeśli Jenny wychował mężczyzna, którego ona uważa za swego prawdziwego ojca?

- Według wiadomości, które zebrałam, opiekowali się nią dziadkowie.

- Możliwe, ale ona może być przekonana, że jej ojcem jest ktoś inny. Czy nie wpłynie to na jej rodzinę, jeśli się tam zjawię i powiem, jak się mają sprawy? Chciałbym postąpić właściwie i już więcej nikogo nie skrzywdzić. I tak za dużo złego narobiłem.

Olivia przytaknęła skinieniem głowy.

- A dlaczego ja czuję, że muszę się czegoś napić? Ojciec wstał i podszedł do barku.

- Bo gdzieś na świecie jest teraz piąta po południu.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

- Tata się wścieknie - mruknęła Daisy do Juliana.

Oboje spędzali poranek, żwirując główną ścieżkę prowadzącą z przystani do zabudowań. Goście, którzy pojawią się na uroczystości, będą mogli kroczyć po odnowionej nawierzchni. Daisy zastanawiała się, czy ktokolwiek doceni to, że Julian przewiózł dotąd i wyładował kilka tuzinów taczek ze żwirem, który potem ona rozprowadziła grabiami po ścieżce. Pracowali szybko, żeby skończyć robotę przed lunchem.

- A może nie. Może cię zaskoczy - powiedział Julian, wrzucając szufłę i robocze rękawice do taczki. Pociągnął głęboki łyk wody.

Jego T-shirt przesiąkł potem, a bojówki zwisały mu z bioder. Kieszenie miał wyładowane jakimś ekwipunkiem. Męskie klamoty. Zdaniem Daisy ciężka praca służyła facetom. Jeśli chodzi o wygląd, oczywiście. Dziewczynom nie. Czowała, że jest cała mokra i obolała z wysiłku.

- Booże! - jęknęła. - Mam już siedemnaście lat. Nie mogę się doczekać chwili, kiedy będę mogła przestać prosić o pozwolenie na zrobienie, cholera, czegokolwiek. - Pochwyciła minę Juliana. - O rany! Przepraszam. - Nie wiedziała, co jeszcze ma powiedzieć.

- Za co? - Podejrzliwie zmrużył oczy.

Były piękne. Miały kolor oliwek, kontrastujący z jego czekoladową skórą.

- Za to, że skarzę ci się na mojego tatę. Olivia mówiła mi, co się stało z twoim ojcem i... Boże, naprawdę przepraszam.

Spojrzał na nią z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

- Nie przejmuj się. Gdyby mój stary żył, pewnie też bym na niego narzekał.

Daisy ściągnęła rękawice i wrzuciła je do taczki.

- Jesteś zbyt wspaniały, żebyś mógł istnieć naprawdę, wiesz?

Zaśmiał się.

- Słowo honoru, że nikt do tej pory nic takiego o mnie nie mówił. Nawet w przybliżeniu.

- Bo nikt do tej pory nie poznał cię tak dobrze jak ja - odpowiedziała, wycierając ręce o dżinsy.

Chciała dotknąć Juliana, a może wziąć go za rękę czy coś w tym guście, ale nie zrobiła tego. Układ panujący między nimi był idealny - po prostu byli przyjaciółmi. Mogli się obejść bez głupot typu próba podrywu, i Daisy nie chciała tego popsuć.

- Tak czy siak, jeśli chciałbyś pogadać o tym albo o czymś innym, możesz na mnie liczyć. Umiem słuchać.

- Faktycznie - stwierdził. - Umiesz.

- W takim razie skąd zaskoczenie, które wyczuwam w twoim głosie?

Zaśmiał się ponownie.

- Spójrz na siebie, to zrozumiesz!

Wiedziała, o co mu chodzi. Większość ludzi uważała ją tylko za blondynkę z dużym biustem. Albo za imprezowniczkę. Mało kto sięgał spojrzeniem... głębiej.

Daisy włożyła grabie i resztę narzędzi do taczki, którą Julian pchał po odnowionej ścieżce. Gdy oboje nią szli, żwir przyjemnie chrząścił pod stopami.

- Jesteś pewien, że naprawdę chcesz to zrobić? - dopytywała się, gdy chowali sprzęt w składziku.

- Wielkie mi coś. Po prostu zobaczę tylko, o co w tym biega.

Otaksowała go szybkim spojrzeniem. Z taką twarzą świetnie prezentowałby się na reklamowych billboardach. Zbudowany też był wspaniale. A włosy! Szkoda gadać. Cały był niesamowity. Kropka. W innych okolicznościach Daisy na pewno by się w nim zakochała, ale nie teraz. Teraz rozpadała się jej własna rodzina. Daisy w tym momencie mogła najwyżej próbować zaakceptować samą siebie, a cóż tu mówić o kimś innym.

- Dobra - powiedziała. - Chodźmy zapytać mojego tatę.

Greg z pomocą Maksa zakładał właśnie niewielki trawnik pomiędzy Saratogą a Ticonderogą.

- Tato! - zawołała Daisy. - Hej, tato! Przyszłam ci powiedzieć, że pan Davis zabiera nas do Kingston, żeby... A co wy tu właściwie robicie?

Greg wyprostował się, zdjął z głowy bejsbolówkę i starł pot z czoła. Wskazał ręką świeżo wzruszoną ziemię.

- Dprowadzamy do porządku skwerek pamięci.

Spojrzała na niego, potem na Maksa, który też ściągnął czapkę i przetarł czoło. Starał się we wszystkim naśladować ojca.

- Pamięci? Czyjej pamięci?

- Bullwinkle'a - powiedział Max. - I Jogiego. I wszystkich ich przyjaciół.

- Pochowaliśmy tu trofea myśliwskie. Głowy zwierząt - wyjaśnił ojciec.

Daisy od razu poprawił się humor.

- Pogrzebaliście to, co wisiało w głównym holu?

- Tak. I zasadziliśmy szałwię i barwinek. Na pamiątkę - oświadczył z dumą Max.

- Te głowy go przerażały - dodał ojciec tonem wyjaśnienia.

- Hej! Mnie też! - powiedział Julian i przybił piątkę Maksowi.

- Każdego przerażały. - Daisy nigdy nie lubiła szklanych oczu, wyszczerzonych zębów i zjedzonego przez mole futra. - Kto by chciał patrzeć na głowę martwego łosia albo na wypchanego żbika? Ale przecież mamy tu z pięć kontenerów - dodała. - Mogliście je po prostu powyrzucać.

- Mogliśmy. Ale urządziliśmy im przyzwoity pogrzeb - odparł ojciec. - Dla okazania szacunku.

Znowu ją zaskoczył! Chociaż tego lata spędziła z nim więcej czasu niż kiedykolwiek przedtem, ciągle nie mogła go rozgryźć.

- Jasne. - Kiwnęła głową. - To jak? Możemy pojechać z Julianem do Kingston?

- A co jest w Kingston? - spytał Greg. Wieczne pytania. Była chora, kiedy je słyszała.

- Tato!

- Proszę pana. - Julian postanowił nie dopuścić do awantury. - Ojciec Connora powiedział, że może nas podrzucić do Kingston. Tam jest punkt poborowy sił powietrznych. Chciałbym zapisać się do KSOR. Inaczej nie stać mnie na college.

Daisy ledwie powstrzymała śmiech, widząc, jak ojcu opadła szczeka. Był tak przyzwyczajony do rozlazłych znajomych córki, że zaskoczył go chłopak, który potrafił przejawiać trochę inicjatywy.

- No, no - wyjąkał. - Uważam, że to godne pochwały.

- Pochwała należy się Daisy - podchwycił Julian. - Nigdy nie wierzyłem, że mogę iść na studia, ale dzięki niej to może się uda.

- Świetna robota, Daze - powiedział ojciec. - A jak wyglądają twoje plany w tej kwestii?

Spojrzała na niego groźnie.

- Wiedziałam, że o to spytasz.

- I?

- I na wypadek gdybyś nie pamiętał, posłałeś mnie do szkoły, która gwarantuje, że wszyscy jej absolwenci dostaną się na studia.

- Naprawdę?

- No, prawie wszyscy.

- To dobrze. Może nie będę aż tak bardzo zrzędził, widząc rachunki za twoje czesne.

Kiedy Connor przyjechał po południu po Olivie, z daleka zobaczył ją i jej ojca czekających na niego przed domem. Wyglądali jak typowi biali-anglosascy-protestanci z Upper East Side, spełnieni i pewni siebie jak i swej pozycji w świecie. Jednak kiedy podszedł, żeby się przedstawić, przekonał się, że między moźnymi tego świata i maluczkimi nie ma wielkiej różnicy. I jedni, i drudzy mylili się, krzywdzili nawzajem i ukrywali rozmaite sprawy.

Philip był wysoki i szczupły, nosił kosztowne obuwie, a w jego uczesaniu każdy włos tkwił na własnej, z góry wyznaczonej pozycji. Connor zdołał przywołać tylko bardzo mgliste wspomnienia. Widział Philipa

Bellamy raz, może dwa, podczas obozowego Dnia Ojca.

- Jestem panu wdzięczny za przywiezienie Olivii do miasta. Dziękuję bardzo - odezwał się Philip, po tym jak Olivia przedstawiła ich sobie.

- To żaden kłopot - odrzekł Connor.

Czuł się niezręcznie. Miał wrażenie, że płacze mu się język. Co do cholery można powiedzieć facetowi, który właśnie się dowiedział, że ma jeszcze jedną dorosłą córkę? Pogratulować mu?

W dodatku Bellamy najwyraźniej nie miał ochoty na pogawędki.

- Olivia mówiła, że włożył pan mnóstwo wysiłku w odnawianie obozu. Jestem pewien, że moi rodzice będą zachwyceni.

- Mam taką nadzieję.

- Powinniśmy się zbierać - wtrąciła Olivia. - Może uda nam się ominąć najgorsze korki. - Wspięła się na palce i pocałowała ojca w policzek. - Trzymaj się. I dzwoń, dobrze?

- Pewnie, córeczko. Dzięki za odwiedziny. - Po czym dodał: - Kocham cię.

- Ja ciebie też, tato.

Connor pomógł Olivii wsiąść do auta. Zatrząskując za nią drzwi, rozejrzał się dookoła. Do takiego świata należała. Świata wytwornych dzielnic, odźwiernych i domów z oddzielnym wejściem dla służby. Znowu przypomniał sobie o wszystkich dzielących ich różnicach.

Zastanawiające. Olivia stała się kobietą, jaką miała być: uprzywilejowaną i stanowczą, ale wcale nie była przez to szczęśliwsza. Oczywiście, spotkanie z ojcem na pewno było pełne napięcia, ale w końcu nie tylko on miał skomplikowaną przeszłość. Ludzie wciąż popełniają głupstwa, a ich bliscy muszą ponosić konsekwencje. Connor miał doświadczenie w tej akurat dziedzinie.

Czekał. Gdy wjechali do New Jersey i skierowali się na północ, a ruch drogowy wokół nich zrzędł, Connor zaczął dawać upust swej ciekawości.

- Odezdziesz się do mnie?

Olivia patrzyła przed siebie.

- Nie teraz - mruknęła.

- Powinnaś to z siebie wyrzucić.

- Jeśli ty wciąż o tym samym...

- Dobra, zmieniam temat. - Zacisnął dłonie na kierownicy. - Czy zawsze żegnacie się w taki sposób?

- To znaczy jaki?

- Mówicie sobie, że się kochacie. Czy to tak tylko dzisiaj?

- Taki mamy zwyczaj. Dlaczego pytasz?

- Tak sobie. To... miłe. W mojej rodzinie nikt tak do nikogo nie mówił.

- Nie mówiłeś nikomu, że go kochasz?

Zaśmiał się.

- W mojej rodzinie nikt by nawet nie wpadł na taki pomysł.

- Żeby kogoś kochać czy żeby o tym mówić? Patrzył przed siebie, koncentrując uwagę na drodze.

- Nigdy i nikomu tego nie powiedziałem.

- Nigdy nie mówiłeś: „kocham cię”?

Cholera, pomyślał, wściekły na siebie. Mogłem sobie tego zaoszczędzić.

- Czy to dlatego, że nigdy nikogo nie kochałeś, czy dlatego, że takie słowa nie przeszłyby ci przez gardło? - drążyła.

- Przypuszczam, że i jedno, i drugie.

- To smutne.

- Ja bym raczej powiedział, że normalne.

- Nie kochać swej rodziny to dla ciebie norma?

- Teraz wychodzę na jakiegoś socjopatę!

Jakim cudem zeszli w tej rozmowie na jego rodzinę?

- Nic podobnego nie powiedziałam. I mam wrażenie, że zasuwasz głodne kawałki. Jak na kogoś, kto twierdzi, że nie kocha swej rodziny, dokonałeś zbyt wielu czynów sprzecznych z tymi słowami.

Zaśmiał się jeszcze raz.

- No i dobrze.

W samochodzie zapadła cisza. Connor nastawił radio na swoją ulubioną stację. Rozległy się dźwięki „500 Miles” w wykonaniu grupy The Proclaimers. Utwór całkiem odpowiedni do sytuacji.

Connor chętnie kopnąłby się w kostkę. Pozwolił rozmowie wymknąć się spod kontroli. To zdarzało mu się tylko przy Olivii Bellamy. Teraz i wtedy, kiedy byli jeszcze dziećmi.

Milczeli co najmniej przez osiemnaście kilometrów, aż wreszcie Olivia uznała, że jest gotowa opowiedzieć, co zaszło. Obróciła się w bok na fotelu, podciągnęła pod siebie gładkoscórą nogę i oparła się na łokciu.

- To było tak. Mój ojciec zrobił skok w bok, gdy był związany z moją matką, i został ojcem, o czym aż do dziś nic nie wiedział. A potem, zamiast zerwać z matką, zrobił jej dziecko i ożenił się z nią, a potem ona poroniła. Właśnie się o tym dowiedziałam, więc przepraszam, że nie byłam specjalnie wylewna.

Connor z całych sił skupiał uwagę na drodze, bo naga łydka, którą widział kątem oka, mogła z łatwością rozproszyć jego koncentrację, a to z kolei groziłoby wypadkiem. Starał się również nie ujawniać żadnych oznak zaskoczenia słowami Olivii i unikać moralnego wartościowania. Zawsze myślał, że tylko ludzie tacy jak jego matka dokonują najgorszych życiowych wyborów z braku wykształcenia i nadmiaru sposobności. Philip Bellamy stanowił

żywy dowód na to, że zdolność do podejmowania głupich decyzji nie ma związku ze stanem majątkowym, edukacją ani przynależnością klasową. W sprawach serca nawet tacy geniusze jak Louis Gastineaux nie mieli nic do powiedzenia.

- Przepraszam cię - powiedział do Olivii. Nie ponosiła winy za nic, co się stało, a jednak to ją spotkała krzywda. - Jeśli mogę ci jakoś pomóc, mów.

- Zawiozłeś mnie dziś do Nowego Jorku, chociaż mogłam pojechać pociągiem. To już jest coś.

- Cieszę się, że zrobiłem chociaż tyle.

- Mam nadzieję, że podjęłam właściwą decyzję, mówiąc mu o wszystkim. Widzisz, Mariska nigdy więcej nie kontaktowała się z moim tatą. Nigdy nie powiedziała mu o Jenny. Może miała jakiś powód.

- Zrobiłaś to, co należało. Teraz piłka jest przy bramce twojego ojca. To jego problem, nie twój - orzekł filozoficznie Connor.

Skręcił z głównej drogi.

- A oto decyzja kierownika wycieczki: zatrzymujemy się w Phoenicia.

Malutkie malownicze miasteczko, gdzie przy każdej uliczce pełno było sklepików z antykami i ciekawostkami oraz kawiarni, od zawsze przyciągało turystów i różnej maści kolekcjonerów.

- Wiem, że próbujesz mnie rozerwać, bo chcesz, żebym poczuła się lepiej - broniła się Olivia.

- Możesz wnieść przeciwko mnie akt oskarżenia w tej sprawie, proszę bardzo.

Zaparkował i wysiadł z auta, okrążył go, i otworzył drzwi swej pasażerce.

- Dziękuję za dobre chęci, ale twój plan nie ma szans.

- Wprost przeciwnie, jeśli ty sama na to pozwolisz. Wzięła torbę, uśmiechając się z wysiłkiem.

- Dlaczego mi to robisz?

- Powiedziałaś, że jadalnia wygląda na gołą i że potrzebujesz nowych krzesel. - Objął ją w talii i poprowadził w kierunku targu z antykami i wyrobami rzemieślniczymi, który mieścił się w starej, pomalowanej na czerwono stodole ze starym wciąż szyldem trafiki, wiszącym na jednej ze ścian.

- Nie mówiłam, że potrzebuję ich natychmiast, ale... - Rozejrzała się wokół i umilkła.

Całą przestrzeń wewnątrz budynku zajmowały stoiska, okupowane przez wytwórców i zbieraczy.

- To niewiarygodne! - zawołała, badając wzrokiem kolekcję starych lamp. - Dokładnie to, czego potrzebowałam... No i masz, teraz pomyślisz, że jestem płytka i okropna. Dopiero odkryłam, że mój ojciec ma drugą córkę, a po chwili na myśl o zakupie lampy z kutego żelaza czuję się od razu lepiej.

- Przestań być taka surowa dla siebie. To nie jest dobre... dla nikogo. Twój tata popełnił w przeszłości parę błędów, ale nadal jest twoim ojcem. Powiedział, że przyjedzie w przyszłym tygodniu? I dobrze. Jeśli będziesz tylko siedzieć i załamywać ręce, nie pomożesz tym ani sobie, ani jemu.

Wzięła głęboki wdech, jakby przygotowując się na atak bólu.

- Zatem równie dobrze mogę się tu porozglądać.

W tej stodole można było znaleźć dosłownie wszystko: od starych kołowrotek wędkarskich po krasnale ogrodowe. Olivia z Connorem trafili w końcu do miejsca, gdzie można było nabyć ocalone od zniszczenia wyposażenie domu. Kręte żelazne schodki zaprowadziły ich na otwarte poddasze z wystawą starych plakatów, przedstawiających widoki gór Catskills.

Olivia szybko nabyła kilka z nich, a potem zaczęło się! Connor wreszcie ujrzał Olivie Bellamy, założycielkę własnej firmy, w jej żywiole. Przedstawiła się sprzedawczyni, a następnie zaczęła dokonywać szybkich i trafnych wyborów. W zastanawiająco krótkim czasie zebrała sporo skarbów: plakaty na ściany do jadalni, lampy i klosze, stół z okorowanych sosnowych pni do recepcji. Prawdziwy antyk! Zamówiła też meble ogrodowe z wikliny, w tym tradycyjną kanapę-huśtawkę do domku, gdzie będą mieszkać dziadkowie. Znalazła także wielki, oprawny w skórę, rejestr hotelowy, w którym było tylko kilka wpisów na pierwszej stronie, ostatni z datą 1929. Idealna księga gości. Sprzedawczyni podliczyła koszty i zajęła się zorganizowaniem dostawy.

- Jesteś bardzo pociągająca, gdy zachowujesz się w ten sposób - powiedział Connor.

- Nic tak dobrze nie leczy jak mała terapia zakupowa. Szczególnie gdy porażą cię ciemne strony życia ojca - zażartowała, ale Connor wiedział, co się z nią naprawdę dzieje.

Zauważył ledwo widoczne drżenie jej warg. Zawsze dostrzegał, że cierpi - nawet gdy nikt inny tego nie widział.

- Ale się porobiło. - Zastanawiał się, jak ukoić jej ból. - Jedno jest pewne, jakoś to przetrwacie, ty i twoja rodzina.

- Dlaczego ciągle próbujesz poprawić mi samopoczucie?

- Bo wszystko, co dziś odkryłaś, źle na ciebie działa, i sama nie możesz sobie z tym poradzić. A także dlatego, że cię lubię.

- Lubisz mnie? - powtórzyła jak echo.

- To właśnie powiedziałem.

- Jak?

- Co „jak”?

- Jak mnie lubisz? Albo inaczej. Kogo we mnie lubisz? Osobę, której współczujesz, bo właśnie dowiedziała się o czymś paskudnym? Kogoś, z kim współpracujesz tego lata? Swoją dawną dziewczynę, do której żywisz resztki uczuć?

- Blisko. Swoją dawną dziewczynę, do której żywię nowe uczucia.

No i powiedział to wreszcie. Może w nie najlepszym momencie, ale chciał to wreszcie z siebie wyrzucić.

- Uczucia. To bardzo obszerne znaczeniowo pojęcie - zjeżyła się nieufnie.

- I dlatego faceci tak je lubią. To stwarza mnóstwo możliwości dobrej lub złej interpretacji.

- Rozumiem. A później, gdy już złamiesz mi serce, ja powiem, że myślałam, że mnie kochasz, a ty odpowiesz: „nie, ja tylko żywiłem do ciebie uczucia”, i zaczniemy się kłócić o to, co mówiłeś i co miałaś na myśli. Tak?

- Jesteś bezpodstawnie przekonana, że mam zamiar złamać ci serce.

- Jesteś bezpodstawnie przekonany, że tego nie zrobisz.

- Masz fajne nastawienie, Lolly. - Pomyślał o jej trzech nieudanych związkach.

Była skrajnie nieufna i ostrożna, fakt.

- Nigdy nie mówiłeś mi, co znaczy dla ciebie słowo „uczucia”, i przypuszczasz, że tego nie zauważyłam, prawda? Otóż nie. Zauważyłam to doskonale.

Connor zaklął pod nosem i przeczesał włosy palcami.

- Kiedy ja mówię, że żywię do ciebie uczucia - wyjaśnił przesadnie cierpliwym tonem - to znaczy dokładnie to, co znaczy.

Rozejrzała się pospiesznie. Connor wiedział, że sprawdza, czy nikt ich nie słyszy. Raczej nie było to możliwe. Dwie kobiety oglądające kolekcję nalepek ze skrzynek z owocami trzymały się blisko siebie i szeptały jedna do drugiej. Trzy inne przeglądały stare obrusy i serwety o kilka stoisk dalej. Jakiś starszy pan oddalał się szybkim krokiem, jakby się bał, że zostanie wezwany na świadka.

Olivia poczerwieniała na twarzy.

- Omówmy to później, dobrze?

Connorowi było wszystko jedno, czy ktoś ich słucha.

- Pomówimy o tym teraz - oświadczył. - To są moje uczucia. I ode mnie zależy, kiedy będę o nich mówić.

- Może przedyskutowalibyśmy to w samochodzie...?

- Może jednak przedyskutowalibyśmy to teraz? - Poczł narastającą złość.

Właśnie to - to idiotyczne przekonanie Olivii, że opinie innych ludzi są najważniejsze, już raz doprowadziło do katastrofy.

- To proste. Kiedy ja mówię, że żywię do ciebie uczucia, to znaczy, że myślę o tobie przez cały czas. Zastanawiam się, jak by to było, gdybym znowu cię objął i trzymał w ramionach. Wydaje mi się, że każda smutna piosenka o zerwaniu, jaką słyhać w radiu, jest o nas. Wystarczy smuga zapachu twoich perfum, a już zaczynam cię pożądać i mogę myśleć tylko o...

- Przestań! - syknęła. - Jak możesz w ogóle mówić takie rzeczy w... w miejscu publicznym. Przestań.

- Na litość boską - mruknęła kobieta stojąca przy stoisku z obrusami. - Nie słuchaj jej! Connor z trudem powstrzymał uśmiech. To było fajne. Pewnie, że nie będzie jej słuchać. Olivia wcale nie uważała, że to było fajne.

- Jak mam cię zmusić, żebyś się wreszcie zamknął? - warknęła, rumieniąc się jeszcze mocniej.

Connor wznosił ręce w geście kapitulacji.

- Zajmij moje usta czymś innym - zaproponował.

I wtedy Olivia go zaskoczyła. Siebie chyba też.

Ujęła w dłonie jego głowę i pocałowała go mocno w usta. Niebiańskie uczucie, które jednak według Connora trwało za krótko. Objął ją więc i przytrzymał, a potem przejął kontrolę nad pocałunkiem. Całował ją coraz mocniej, aż wyczuł, że jej opór słabnie, a następnie znika. Mógłby stać tak cały dzień w słabo oświetlonym wnętrzu stodoły, ale ona po chwili wysunęła się z jego objęć. Wyglądało na to, że zapomniała o tym, gdzie są i co sobie ludzie o tym pomyślą.

- W każdym razie - kontynuował jak gdyby nigdy nic - to jest chyba wyczerpująca odpowiedź?

- Jaka odpowiedź?!

- Pytałaś przecież, co mam na myśli, mówiąc o swoich uczuciach do ciebie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Olivii kręciło się w głowie, gdy wychodziła za Connorem ze stodoły z antykami. Czowała, że coś porywa ją w powietrze. Coś? Pocałunek! Nie mogła uwierzyć, że odważyła się zrobić coś takiego w miejscu publicznym. Wczepiła się w Connora i zaczęła go całować. Nigdy nie wyprawiała takich rzeczy ani nawet nie myślała o nich - aż do dzisiaj.

Gdy jechali w stronę Avalon, siedziała cicho, choć przez cały czas powtarzała w myślach słowa Connora. Nie odzywała się, bo nie ufała samej sobie na tyle, żeby się przyznać, że ona też żywi do niego uczucia. Nie potrafiła jednak zdefiniować żadnego z nich oprócz dzikiego pożądania.

- Zgłodniałem - oświadczył nagle Connor. - Wpadnijmy gdzieś na obiad.
- Nie powinniśmy się zatrzymywać...
- Ale powinniśmy coś zjeść - upierał się.
- No dobrze - westchnęła.

Jeśli zamierzał po drodze kupić hamburgera, nie miała nic przeciwko temu. Zresztą jej opór i tak nic nie da. I zauważyła też, że to poddanie się jego woli przyniosło jej ulgę. Królowa opętanych samokontrolą świrów oddała władzę nad sobą Connorowi Davisowi! Co więcej - dobrze się czuła dzięki temu rozluźnieniu dyscypliny emocjonalnej. Bo to zwalniało ją od odpowiedzialności.

Connor zabrał ją do lokalu o nazwie Gospoda pod Jabłonią. Był to przerobiony na restaurację autentycznie stary wiejski dom. Stał w sadzie rozciągającym się pomiędzy rzeką a drogą. Mały, czerwono świecący neon w jednym z okien oznajmiał: „Kolacje i dancingi”. Wewnątrz zastali wygodne krzesła i stoły, na których stały świece. Z okien roztaczał się widok na sad i rzekę. Drewniana podłoga była ciepła od słońca, a całe wnętrze wypełniał złocisty blask. Kelnerka zaprowadziła ich do stołu w narożniku sali, skapanym we wpadających przez okienne szyby barwach zachodu.

No dobrze, pomyślała Olivia, zatem chodziło o coś więcej niż tylko hamburgera i frytki. Podejrzliwie zerknęła na Connora. To była restauracja dla randkowiczów. Czyżby byli na randce?

- I życzę smacznego, panie Davis - powiedziała kelnerka, gdy Connor odsuwał od stołu krzesło dla Olivii.

- Powiedziała do ciebie „panie Davis”?

Restauracja dla zakochanych, w której personel zna Connora z nazwiska?

- Robiłeś tu jakieś prace budowlane? Czy to dzięki temu cię znają? - Już w chwili wypowiedzania tych słów zrozumiała, że znów palnęła głupstwo. - O, Boże - jęknęła. - Wcale nie chciałam... Myślałam, że... - jąkała się świadoma, że jeszcze pogarsza sytuację.

- ...że to niemożliwe, żebym bywał w takim miejscu? - dokończył.

Tak. Dokładnie to miała na myśli, a on o tym doskonale wiedział. Na szczęście nic nie wskazywało na to, że czuje się urażony, bo uśmiechnął się do niej tak, że jej tętno od razu przyspieszyło.

Przy ich stoliku zatrzymał się *sommelier* z kartą win.

- Czy państwo coś zamawiacie?

- Oczywiście - odrzekł Connor i zwrócił się do Olivii: - Białe czy czerwone?

- Białe - rzuciła odruchowo.

- Poproszę butelkę Hamilton Russell Chardonnay.

Znów ją zaskoczył. Większość znajomych mężczyzn uważała się za wielkich znawców wina, ale zwykle okazywało się, że nie mają o nim większego pojęcia. Maskowali niewiedzę, kierując się jedynie cenami. A Connor wybrał jeden z najwspanialszych produktów winnic Afryki Południowej. Może to przypadek? A może nie? Może rzeczywiście wiedział, co robi? Tak czy siak, musiała przyznać, że on zaskakuje ją na każdym kroku.

Obiad był doskonały. Smażone na maśle tęczowe pstrągi, miejscowa specjalność, pięknie podane na grubych talerzach z białej porcelany. Na deser po miseczce czarnych jagód. Gdy jedli, zapadł zmrok i wszedł księżyc. W restauracji zaczęło grać trio: perkusja, fortepian i klarnet. Olivia pozwoliła, by kojące dźwięki muzyki przepływały obok niej, gdy sączyła z kieliszka ostatnie krople wina.

- Dziękuję ci - powiedziała cicho do Connora.

- Proszę bardzo.

- Nie wiem, jak bym sobie dziś poradziła bez ciebie.

- Radziłaś sobie świetnie przez całe lata. - Wyciągnął rękę. - Zatańcz ze mną.

Te trzy krótkie słowa nie powinny mieć takiej mocy.

A jednak serce o mało nie wyskoczyło jej z piersi. Co - dodatkowo - pozbawiło tchu właścicielkę tego serca.

Nie czekając na odpowiedź, Connor wziął ją za rękę, zmusił do wstania i pociągnął w stronę parkietu.

- Czy przeze mnie się denerwujesz? - spytał.

- Czy ja wyglądam na podenerwowaną?

- Tak.

- Bo to jest takie... nieoczekiwane.

- Co konkretnie?

- To, że jesteśmy sobą mocno zainteresowani. Że zaczyna łączyć nas coś więcej niż tylko współpraca przy projekcie. Nie spodziewałam się tego, a ty?

- A ja wręcz przeciwnie. - Miał taką minę, jakby nie wierzył, że Olivia mogła to zakwestionować.

- Więc jednak zaczynam trochę cię kręcić?

Przełknęła ślinę, żeby zlikwidować nagłą suchość w gardle.

- Wcale nie zaczynasz. - Znow musiała przełknąć.

- Zaczęłam to czuć całe lata temu...

Na parkiecie każda z par, bez względu na wiek, tańczyła własną wersję staromodnego tańca. Olivia straciła z oczu wszystko oprócz Connora. Pod swoją lewą ręką wyczuwała napinające się mięśnie jego ramienia. To było... niesamowicie podniecające. Tańczył świetnie. Prowadził ją pewnie i łagodnie. Nucił nawet melodię graną przez muzyków i pozwalał sobie na ryzykowne zwroty i przegięcia. Wciąż miał miły głos i doskonałe wyczucie melodii. Zupełnie jak wtedy, gdy był chłopcem. Jak tamtego lata, gdy się spotkali.

Kusiło ją strasznie, żeby zostać i przetańczyć z nim całą noc, ale gdy melodia już dobrzmiewała, stwierdziła stanowczo:

- Naprawdę powinniśmy już iść.

- Dlaczego? Wprowadzono godzinę policyjną?

- Gorzej. Mam kuzynkę. Najbardziej wścibską osobę na świecie. A ja dzielę z nią domek.

- Nie masz się czym przejmować - parsknął śmiechem Connor. - Dziś wieczorem jest na randce z Freddym.

- Skąd wiesz?

- Powiedziałem im, że w kinie samochodowym w Coxsackie trwa festiwal starych komedii Jerry'ego Lewisa. Wiesz, darmowe maskotki i te rzeczy.

Doprowadził ją tym do śmiechu. Nie pamiętała, kiedy ostatnio miała randkę z facetem, który umiał ją rozśmieszyć. I nie pamiętała, jakie to pociągające.

Przetańczyli jeszcze jeden kawałek, a potem Connor powiedział:

- No dobra, Kopciuszku, pora się zwijać.

Wbrew pierwotnym oczekiwaniom Olivia poczuła się zrelaksowana i zadowolona. Wino, taniec i śmiech zrobiły swoje.

- Dobra. - Zadarła głowę, żeby spojrzeć Connorowi w oczy. - Zwijamy się.

Zapięła pasy, położyła torebkę na kolanach i wzięła głęboki wdech. Potem przymknęła oczy i oparła głowę o zagłówek fotela.

- Wszystko gra? - spytał.

- Gra - odparła cicho.

Uśmiechnęła się i zaskoczyła tym samą siebie. To był prawdziwy, niewymuszony uśmiech. Próbowwała ponazywać swoje uczucia. Bezpieczeństwo. Tak. To było to. Znajdowała się w towarzystwie mężczyzny, który potrafił ją rozśmieszyć, żeby wywołać u niej poczucie bezpieczeństwa. Cóż za concept.

Otworzyła oczy i spojrzała na niego. Tutaj, na wiejskiej drodze, nie było ulicznych latarni, więc ledwie widziała jego profil w mdłych światłach deski rozdzielczej. Droga

przed nimi tętniła nocnym życiem. Jelenie, szopy, oposy i borsuki buszowały na poboczach, a często też i na jezdni.

- Ostrożnie - przestrzegła go.

Wjechali w granice miasta. Autem zatrzęsło - przejeżdżali przez tory kolejowe. Stacja i pusty o tej porze rynek tonęły w potokach kolorowych świateł. Kusily szyldy hotelików oferujących noclegi, śniadania i wolne pokoje. Z ich okien płynął ciepły, zapraszający blask.

- W tym miejscu wcześniej zwijają asfalt na noc - zaśmiała się Olivia.

- Na to wygląda.

- Nie powinnam się naśmiewać. W większość weekendów chodzę spać wcześniej.

Rand kiedyś szydził z niej z tego powodu. Lubił do późnej nocy włóczyć się z klubu do klubu, czuć wibracje basu z aparatury nagłaśniającej, rozglądać się za znajomymi i wdawać z nimi w głośne, bezcelowe rozmowy nad kosztownymi drinkami, roznoszonymi przez ładniutkie kelnerki. A następnego ranka rzadko pamiętał, z kim właściwie się spotkał. I nigdy nie mógł przypomnieć sobie, o czym właściwie były te wszystkie długie, poważne dyskusje.

Przejeżdżając przez rynek, minęli budynek piekarni Sky River z szyldem oświetlonym małą lampką. Przez okno wystawowe Olivia dostrzegła wewnątrz mroczne zarysy półek i gablot, sprzęt do parzenia kawy oraz mrugające światełko alarmu przeciwwłamaniowego.

- Zabezpieczenia tego rodzaju w piekarni? - spytała. - Ja tego nie rozumiem.

Szczególnie że parę domów dalej jest zakład jubilerski Palmquista. Gdybym była złodziejem, ukradłabym raczej biżuterię, a nie pączki.

- Najwyraźniej nigdy nie próbowałaś rogalików z syropem klonowym od Majeskich.

- A co? Są takie dobre? Spojrzał na nią znad kierownicy.

- Jak mały orgazm!

Oj, pomyślała. To przerodziło się we flirt! Najpierw poszli na randkę, a teraz flirtują na całego!

Światła miasteczka zniknęły, gdy Connor skierował auto w stronę gór. Przejechali obok kilku wiejskich domów o rozjarzonych blaskiem elektryczności oknach. Następnie, po dłuższym przejeździe przez mrok, dotarli do zakrętu wiodącego do siedziby Connora. Powitały ich fosforyzujące numery na jego skrzynce pocztowej.

- Nie masz to, nie masz jak we własnym domu - zanucił półgłosem.

- Tęsknisz? - spytała.

- Eee tam. Bardziej podoba mi się na obozie. A ty? Tęsknisz za miastem?

- Myślałam, że będę tęsknić, ale okazało się, że nie. Ani trochę.

W myślach próbowała znaleźć uzasadnienie dla swych słów. Czy powiedziała tak dlatego, że letni czas mijał i już wkrótce będzie trzeba wracać do domu? A może naprawdę tak czuła?

Samochód przetoczył się cicho po zakręcie.

- Nigdy nie widziałam, jak mieszkasz - zauważyła Olivia.

Boże! Olivio, pomyślała. Już bardziej nachalna być nie możesz!

- A chcesz zobaczyć?

- Nigdy nie widziałam wnętrza Airstreama.

- Więc nie mam wyboru. - Zatrzymał auto i wrzucił wsteczny bieg. - Teraz to sprawa honorowa.

- Celny strzał - odrzekła i uśmiechnęła się w ciemności.

Jej tętno przyspieszyło, gdy Connor prowadził samochód po zwirowej drodze, choć udawała, że po prostu ciekawi ją wygląd kultowej amerykańskiej przyczepy. Connor zaparkował i wyłączył silnik. Znaczący fakt.

Zanim zdążyła ruszyć się z miejsca, otworzył przed nią drzwi i podał jej rękę. Dotyk jego dłoni sprawił jej przyjemność. Dawał poczucie czegoś solidnego i silnego. Czowała łagodne ciepło, pochodzące od wypitego wcześniej wina. Towarzystwo tego mężczyzny uspokajało ją. Dopóki był blisko niej, nie mogło zdarzyć się nic złego.

Connor otworzył drzwi przyczepy i włączył światło. W środku panował nieskazitelny porządek. Wnętrze zaprojektowano perfekcyjnie. W aneksie kuchennym był stół z rodzaju restauracyjnych z dwoma fotelami po obu stronach, szafki, dwupalnikowa kuchenka i mała lodówka. W odpowiedniku salonu - niski stolik, rozkładana kanapa oraz telewizor i aparatura stereo przymocowane do półki na ścianie. Wąskie przejście, obudowane kolejnymi szafkami, prowadziło prawdopodobnie do części sypialnej przyczepy.

Poraziła ją spartańska prostota i schludność tego miejsca. Poczwała na sobie wzrok Connora. Uśmiechnęła się do niego.

- Spróbowałam dokonać analizy twojej osobowości na podstawie wyglądu przyczepy.

- I co? - Odwrócił się, żeby wyjąć coś z lodówki.

- No to kim według ciebie jestem? Seryjnym mordercą? Transwestytą?

- Nic z tych rzeczy - odparła. - Ukończyłam z wyróżnieniem dwa semestry psychologii. Potrafiłabym odkryć takie rzeczy.

- Zatem co odkryłaś?

- Najpierw myślałam, że masz nerwicę natręctw, ale to nie to. Jesteś byłym wojskowym?

Nie potwierdził. Czyli to nie było to. Olivia wypróbowała inną teorię. Może ta skrupulatność była reakcją na chaos, który otaczał go w dzieciństwie? Może już wtedy Connor narzucił sobie dyscyplinę, powściągliwość w okazywaniu emocji i sam troszczył się o swoje rzeczy? A może to rodzaj mechanizmu obronnego? Nigdy nie mówił dużo o swoim życiu, a Olivia była go coraz bardziej ciekawa. Nie z powodu wścibstwa. Chciała poznać Connora. Kropka. Nie dziecko czy tamtego młodego człowieka z obozów, ale dorosłego.

- Czy ten idealny porządek to efekt częstych przeprowadzek? A może lubisz czuć, że masz wszystko pod kontrolą?

- Wiesz... nigdy tak o tym nie myślałem. Jak wszystko jest tam, gdzie powinno być, nie trzeba niczego szukać.

Olivia podejrzewała, że kryje się za tym coś więcej. Może tylko w ten sposób Connor radził sobie z chaosem wprowadzanym w jego życie przez matkę? Z emocjonalną diabelską kolejką, od której matka wydawała się uzależniona? Z jej nienasyconym głodem męskiej aprobaty, z jej niedbałością o potomstwo?

- Nie mogę powiedzieć, byś udzielił mi wyczerpujących informacji.

- Ty zachowujesz się podobnie. A przecież po to są randki, Lolly, żeby lepiej się nawzajem poznać.

- Chwileczkę! Randki? A kto mówi, że jesteśmy na randce?

- Wszystko na to wskazuje - parsknął śmiechem. - Kolacja, tańce, późny drink u mnie...

- Wyciągnął z szafki dwa smukłe kieliszki. - Według mnie to nic innego jak randka.

- A przy okazji udało nam się ominąć formalności. Nie było uroczystych zaproszeń, strojenia się i nerwów.

- A na co komu coś takiego? - Odkorkował butelkę moscato i napełnił kieliszki.

Olivia pociągnęła niewielki łyk i skupiła uwagę na czterech oprawionych w ramki zdjęciach, stojących na wąskiej półeczce ponad wbudowanym w ścianę stołem. Na jednym z nich Connor stał, otaczając ramionami swego ojca. Obok nich wyrastał z ziemi kamienny mur, a za nimi widać było ogródki i jakieś ceglane zabudowania. Terry Davis wydawał się wychudzony i jakby nieobecny duchem. Skórę miał bladą, a pod jego oczami widniały ciemne sińce. Connor z kolei sprawiał wrażenie bardzo młodego człowieka, niemal chłopca, którego Olivia poznała dawno temu.

- Gdzie zrobiono to zdjęcie?

- W ośrodku odwykowym. Ostatnim, w jakim był.

- Cieszę się, że udało mu się wyjść z alkoholizmu. Musisz chyba być z niego dumny?

- Tak, jestem. - Przez chwilę Olivii wydawało się, że Connor chce powiedzieć coś więcej, ale najwyraźniej zrezygnował.

Nie drażyła tematu. Wiedziała, ile go kosztowało dorastanie przy uzależnionym od alkoholu ojcu. Nie teraz, pomyślała. Skoro Connor określił to spotkanie jako randkę, nie wypadało rozdrapywać starych ran i psuć wszystko.

A swoją drogą jakże odmienne życie wiedli! Jak daleko rozeszły się ich ścieżki! Do tej pory Olivia hodowała w sobie żal do niego. Żal za to, jak potraktował ją tamtego ostatniego lata. Może nie miała racji? Po prostu doszło do życiowego przestawienia zwrotnic. Ona kroczyła po granitowych salach i ocienionych drzewami dziedzińcach Columbii. On doglądał męzczyzny, który tak naprawdę powinien był zajmować się nim.

- Co myślisz o tym moscato? - spytał.

Pociągnęła następny łyk. Płyn delikatnie głaskał każdy kubek smakowy w jej ustach.

- Świetny.

Wpatrzyła się w wizerunek kobiety, której nigdy wcześniej nie widziała. Piękna twarz na zdjęciu wywierała na Olivie dziwnie hipnotyzujące wrażenie.

- To twoja matka?

- Owszem.

- Wygląda jak Sharon Stone. Kiedyś mi to mówiłeś i widzę, że to prawda.

Connor nie odpowiedział. Olivia dostrzegła jednak w twarzy na zdjęciu nie tylko piękno, lecz również coś enigmatycznego. Wyraz oczu był trudny do odczytania. Chętnie dowiedziałyby się czegoś więcej o tej kobiecie, o całej rozbitej rodzinie Connora, ale nie wiedziała, jak o to zapytać i... bała się pytać o coś konkretnego. Tchórz, pomyślała o sobie.

Musiała znaleźć bezpieczniejszy temat do rozmowy. Kiedy zauważyła długą kartonową tubę leżącą na półce, zapytała z wyraźną ulgą:

- To jakieś plany? Zawahał się i skinął głową.

- Jeśli chcesz na nie spojrzeć, to proszę bardzo. Owładnięta ciekawością, rozwinęła rulon, obciążając jego rogi solniczką, pieprzniczką i serwetnikiem.

- Plany domu?

- Mam zamiar tej jesieni zrobić wykop pod fundamenty - wyjaśnił. - I skończyć całość w ciągu roku.

Nareszcie zrozumiała. Ta przyczepa była jedynie prowizorycznym rozwiązaniem. Connor chciał zbudować własny dom, tutaj, na tej działce. Na podstawie rysunków Olivia wyobraziła sobie gotowy budynek na zboczu wzgórza, otoczony tarasem, z którego rozciąga się rozległy widok na rzekę. Kamiennieo-drewniana konstrukcja miała w sobie subtelny, staroświecki ton, perfekcyjnie zharmonizowany z tutejszym pejzażem.

- To absolutnie przepiękne - powiedziała, studiując rozplanowanie kuchni, salonu i kominka.

- Dzięki.

- A co to takiego? - Wskazała jeden z rysunków.

- Podobno weszło teraz w modę określenie pokój ogrodowy. A to jest zwykła oszklona weranda, ale z półkami na książki.

W oko wpadł jej widoczny na papierze niewielki, nieregularny kształt fortepianu.

- Grasz? - spytała.

- A ty nie?

- Rzadziej, niżbym chciała.

Miała zamiar mu wyjaśnić, że w jej mieszkaniu nie ma miejsca na tak duży instrument, ale to nie byłaby prawda. Przy jej trybie życia nie było czasu na choćby jedno uderzenie w klawisze, nawet jeśli uwielbiała to robić.

Z bliżej nieokreślonego powodu ten istniejący na razie tylko na papierze dom wywołał w umyśle Olivii nagłe uczucie... tęsknoty? Nie, raczej spotkania z czymś bardzo jej bliskim. Tworzyć miejsce, gdzie chciałoby się spędzić życie - o tak, to do niej przemawiało. Skoncentrowała się ponownie na planie.

- Cztery sypialnie? - zdziwiła się.

- Nigdy nie wiadomo, ile może się przydać - odpowiedział.

Przygryzła wargę, żeby nie zapytać o coś, co naprawdę chciała wiedzieć. „Dlaczego nie widzę tu kogoś, kto jest dla ciebie ważny? Kogoś, z kim mógłbyś się tym podzielić?”. W planach Connora Olivia odkryła co najmniej kilka szczegółów, które ją zaskoczyły. Ale najbardziej zdziwiło ją, może nawet trochę przestraszyło, że plany stanowiły odzwierciedlenie jej najskrytszych marzeń. No dobra, może te jej marzenia nie były bardzo oryginalne, ale jednak... Czowała dreszczyk na myśl o tym, że Connor nieświadomie pokazał jej dokładny plan domu jej marzeń.

- Masz utalentowanego architekta - powiedziała bezmyślnie.

- Nie mam. To moja własna robota.

Linie na papierze były tak precyzyjne, jakby wykreślał je dyplomowany architekt, w dodatku obdarzony talentem nie wykonawcy, lecz twórcy.

Connor zaśmiał się.

- Wyglądasz na zaskoczoną, Lolly. Koledzy z firmy projektowej pozwolili mi pobawić się trochę ich sprzętem do wykreślania planów. Czy to takie dziwne, że jestem utalentowanym samoukiem?

No tak. Znowu palnęła głupstwo. Znowu okazało się, że kompletnie go nie docenia. Była powierzchowna i myślała stereotypami.

Connor dorastał w niedostatku. Pochodził z rozbitej rodziny. Był synem pijaka i kobiety o trudnym charakterze. To przesłoniło Olivii wszystko inne. Teraz przekonywała się, ilu ważnych szczegółów nie dostrzegła. Życie go nie rozpieszczało, ale radził sobie świetnie. Zgromadził pieniądze na budowę domu, kierował rozwijającą się firmą i miał talent. Wielu architektów musiałoby pracować latami, żeby dorównać Connorowi. Olivia zawstydzila się. Przecież ciągle uważała go za harleyowca, który mieszka w przyczepie. Nawet nie przeszło jej przez myśl, by poznać jego życie trochę głębiej.

- No... - powiedziała. - Coraz bardziej mnie intrygujesz.

- W porządku - odparł. - Rozbierz się.

- Co takiego? - Jej policzki zapłonęły.

Zaśmiał się.

- Po prostu sprawdzam...
- Co sprawdzasz?
- Czy zaintrygowanie to dostateczny bodziec.
- To wcale nie jest zabawne - ucięła.
- Ale ciągle jesteś zaintrygowana?
- Może i tak.
- Dobra - powiedział. - To niezły początek.
- Początek czego?
- A tego!

Pocałował ją. Powoli i z rozmysłem. Przejął kontrolę.

Nie mogła mu się oprzeć. Gdy ich usta się spotkały, było tak, jakby zapalka dotknęła rozlanej benzyny. Olivia półświadomie oczekiwała, że jej włosy z sykiem zajmą się płomieniami. Connor smakował winem, a ona rozchyliła wargi w bezgłośnym błaganiu, by zechciał pogłębić pocałunek. Jego ręce spoczęły na jej ramionach, a potem prześliznęły się po jej ciele, by zamknąć ją w objęciu. Przyłgnęła do niego, czując pragnienie, jakiego nigdy wcześniej nie doznawała. Co takiego było w tym mężczyźnie? Co sprawiało, że tak rozpaczliwie chciała czuć go przy sobie całą powierzchnią skóry? To jest, pomyślała, na wpół przestraszona, na wpół rozmarzona, to coś, czego brakowało jej na zbyt wielu randkach i w tych trzech nieudanych romansach. Uczucie, że jeden mężczyzna może przesłonić całą resztę świata. Jego pocałunek i dotyk sprawiły, że Olivia przeniosła się w bardzo odległe miejsce. Miejsce zrodzone w marzeniach.

Poprowadził ją tyłem przez wąskie przejście. Wnętrze, do którego weszli, było ciemne, a przez uchylone okna do środka wpadał żywiczny zapach sosen. Olivia, wciąż obejmując Connora, osunęła się na stojące za nią łóżko.

- Cholera - szepnął. - Lolly, kręcisz mnie jak wszyscy diabli.

Pragnęła go, tak samo jak on pragnął jej. Jeśli prawdą było to, co powiedział. Dotarło do niej, że gdy jest z nim, przestaje być przegraną, pechową w miłości Olivią. Płonęła. Ogarniał ją żar, wydobywający się z ukrytego wewnątrz niej źródła. Poczwała na swej obnażonej nodze rękę Connora. Gorącą. Poszukującą czegoś. Odkryła ku swemu zdumieniu, że gotowa jest się zatracić. Jeszcze chwila, a... Gdy tymczasem on nawet nie... A przecież wystarczyłoby... Zaczęła rytmiczny ruch. Przyciskała się z całej siły do tej dotykającej jej z czułością, tropiącej czule miejsca dłoni. Przynaglała ją do pośpiechu.

- Connor... - wydyszała. - Proszę...

Odsunął się, wyprostował i włączył lampkę.

- Lolly - powiedział pełnym żalu głosem. - Przepraszam.

O, Boże. Źle ją zrozumiał. A ona, nawet za cenę życia, nie mogłaby teraz wykonać nawet najdrobniejszego ruchu. Wciąż znajdowała się w jego mocy, była jak sparaliżowana

pożądaniem. Musiała wyglądać jak zdzira, leżąc tak ze spódnicą podciągniętą stanowczo zbyt wysoko.

- Przepraszasz mnie? - wydusiła z siebie szeptem.

- Poniosło mnie - powiedział cicho. - Zapomniałem... - Potrząsnął głową z samooskarżycielskim uśmiechem. Wyciągnął rękę i pomógł jej wstać. - To nie jest w porządku z mojej strony. Nie zamierzałem cię wykorzystać. Przepraszam - powtórzył.

Topniała. Ugiwały się pod nią kolana. Zachwiała się na nogach, cała oszołomiona pod wpływem jego pocałunków. Przepraszam? PRZEPRASZAM? To przecież mnie poniosło, chciała krzyknąć w złości.

Przytulił ją na krótko, przyciągając jej głowę do swej piersi. Słyszała galop jego serca w klatce żeber. Olivia marzyła, żeby pocałował ją jeszcze co najmniej raz, bo podniecenie zaczynało mijać, a ona bardzo chciała ponownie znaleźć się w jego mocy.

Gdy próbowała zebrać słowa, by jakoś go o tym powiadomić, Connor puścił ją i odwrócił się tyłem. Zaczekaj, chciała powiedzieć. Łóżko jest tu, ja jestem tu i... Ale zamiast to zrobić, siedziała jak człowiek zagubiony we mgle, starając się ustalić, co poszło źle, dlaczego on ją odtrącił.

Może, pomyślała, może gdy się całowali, Connor zapomniał, kogo trzyma w objęciach. Może nie pamiętał przez chwilę, że ma do czynienia z Lolly Bellamy, dziewczyną, z której wszyscy się śmiali. Dziewczyną, z której on sam swego czasu okrutnie zażartował. Może nie była dość dobra? Może poruszała się nie tak, jak powinna? A może coś przypomniało mu o przeszłości i ostrzegło „ani kroku dalej”? Część Olivii - duża część - wciąż tkwiła w niedobrej przeszłości. W czasie i miejscu, skąd nie mogła się wydobyć.

- Hej - szepnęła. - Odbieram od ciebie naprawdę bardzo sprzeczne sygnały...

- Wiem. Masz moje ogromne przeprosiny, Olivio. To się więcej nie powtórzy.

Otworzyła usta, by spytać, dlaczego zmienił zamiar, dlaczego rozwinął pełny ciąg... i całkowicie wyhamował w mniej niż minutę. Odkryła jednak, że wcale nie chce słyszeć jego odpowiedzi. Przy trzech poprzednich razach dowiedziała się wystarczająco dużo. Jesteś miłą dziewczyną, Olivio, ale... Potem następował popis kreatywności w wynajdywaniu powodów i okazywało się, że jeśli chodzi o znajdowanie wyjaśnień i usprawiedliwień, każdy mężczyzna jest urodzonym twórcą.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Sierpniowe upały spadły na Obóz Kioga niczym ognisty grad. Podczas mijających szybko letnich tygodni Daisy, Max i ich ojciec nie osiągnęli wielkich rezultatów w wędkowaniu, ale i tak często pływali łodzią po jeziorze, bo schłodzony przez wodę wiatr przynosił im ulgę i pozwalał zapomnieć o panującym upale. Wyćwiczyli się w wiosłowaniu i gdy nadchodził czas powrotu po godzinach wpatrywania się w spławiki, śmigali po powierzchni wody w stronę przystani szybko i gładko. Max wprawnie okręcał cumę wokół palika i wysiadał wraz z Daisy, podczas gdy ojciec zajmował się całą resztą. Daisy czuła, że od wiosłowania i wielokrotnego zarzucania wędki bolą ją mięśnie ramion.

Doszła do wniosku, że wędkarstwo to jedno z najbardziej bezcelowych zajęć znanych ludzkości. Dlaczego zyskało sobie miano sportu, nie miała pojęcia.

Sfrustrowana i spocona, chwyciła butelkę z wodą.

- Tato, idę popływać. Czy chcesz...

Urwała. Słowa zamarły jej na ustach, gdy ujrzała wyraz twarzy ojca. Jakimś sposobem, nawet nie odwróciwszy głowy, już wiedziała, co zobaczył na drugim krańcu przystani. A raczej - kogo.

- Mama! - zawołał Max i pobiegł pędem w kierunku wyciągającej ramiona kobiety.

Daisy rzuciła ojcu pełne paniki spojrzenie.

- W porządku - powiedział. - Idź się z nią przywitać.

Podchodziła do matki powoli, z bólem powstrzymując nagle łzy. Max już przylgnął do niej jak ślimak, odwrócony tyłem do całego świata. Matka kompletnie nie pasowała do tego miejsca wśród lasów. Miała na sobie zaprasowane w kanty spodnie i sztywną, białą koszulę, na której nie było znać żadnego śladu panującego upału. Jej włosy były gładko zaczesane do tyłu, a całości dopełniał precyzyjny makijaż. Wypisz, wymaluj, kierowniczką obozu.

Tylko łzy w jej oczach nie pasowały do tego idealnego wizerunku. Daisy wiedziała już, co stanie się za chwilę.

- Mamo! Przyjechałaś! - mówił Max, niepomny na jej ostrzegawcze znaki. - Czy tu nie jest wspaniale? Chodź, chcę ci wszystko pokazać! My tu pracowaliśmy i...

- Zaraz wszystko obejrzę - odrzekła - ale pozwól mi przywitać się z Daisy.

Objęły się. Daisy poczuła się niezręcznie. To było nie do zniesienia. W młodszym wieku często chroniła się w ramionach matki. Wtedy czuła się bezpieczna i pocieszona. Teraz było inaczej. Wszystko się zmieniło. Nawet włosy matki. Były bardzo krótkie. Na początku roku obcięła je tuż przy skórze, żeby psychicznie wesprzeć chorą na raka piersi przyjaciółkę, i przekazała je organizacji charytatywnej „Locks of Love”. Jak mogła być jednocześnie tak świetną przyjaciółką i taką beznadziejną żoną?

- Cześć, córeczko - powiedziała matka, odsuwając się o krok. - Bardzo za tobą tęskniłam.

- Ja za tobą też. - Daisy wysunęła się z jej objąć.

Nie powiedziała całej prawdy. Tęskniła za pełną rodziną - taką, jaką tworzyli kiedyś. Patrzyła teraz na rodziców, na ich znajome twarze i próbowała przypomnieć sobie, jak w przeszłości śmiali się razem, jak w tym „razem” było im szczęśliwie i bezpiecznie. Gdzie się to wszystko podziało? Czy zostali uprowadzeni w jakiś inny wymiar, a na ich miejsce podstawiono kopie ludzi ze stale wykrzywionymi twarzami, drżącymi wargami i oczyma pełnymi łez, które jednak nigdy nie mogły popłynąć.

Ojciec wyglądał na kogoś, kto się boi i jednocześnie przybiera pozycję obronną. Jeszcze kilka chwil temu śmiał się i wychłapywał wodę z łodzi, i uczył swoje dzieci jednej z tych tak głupich, że aż śmiesznych piosenek obozowych.

- Sophie - powiedział, a w jego głosie dźwięczało poczucie klęski.

- Mamo, chodź, pokażę ci tu wszystko. - Max usiłował zachować pogodę i działać tak, jakby nic się nie stało.

Złapał matkę za rękę i wszedł w rolę przewodnika wycieczki. W tym wypadku jednoosobowej. Oprowadził ją po obozie, pokazując wszystko, co zrobili dla przygotowania tego miejsca na uroczyste przybycie babci i dziadka. Podczas obiadu panowało nieprzyjemne napięcie, choć wszyscy próbowali udawać, że cieszą się z przyjazdu Sophie. Dare podała na stół melon i zimne zakąski, ale Daisy tylko w nich podłubała. Nie miała apetytu. Potem wszyscy przeszli do świetlicy na partyjkę kart i ping-ponga, Daisy jednak brakowało chęci do zabawy. Maksowi również.

W pewnej chwili Daisy zobaczyła, jak Max stoi skureczony w drzwiach jadalni i spogląda na zewnątrz, obserwując z napięciem rodziców, którzy rozmawiali ze sobą cichymi, napiętymi głosami. Matka stała z rękami splecionymi na brzuchu, jakby dopadł ją ból żołądka. Ojciec opuścił głowę i wyglądał na całkowicie przegranego.

Daisy podeszła do brata i położyła mu dłoń na ramieniu. Uniósł głowę. W jego rozszerzonych oczach malował się strach. Och, Max, pomyślała. Zrobiłaby wiele, żeby odgonić od brata to uczucie, a jednocześnie wiedziała, że to niemożliwe.

- Wszystko będzie dobrze - skłamała, uściskawszy jego ramię.

Nie miała pojęcia, co innego mogłaby mu powiedzieć. Rozprostowała ręce, odkaszlnęła i otworzyła drzwi.

- Chodźmy.

Rodzice próbowali się uśmiechnąć, gdy dzieci dołączyły do nich. Nie udało się. I wszyscy czworo zdawali sobie z tego sprawę. Matka otoczyła córkę i syna ramionami, przyciągnęła ich do siebie.

- Przepraszam was - powiedziała. - Naprawdę bardzo, bardzo was przepraszam. Kocham was dwoje, ale dłużej już nie mogę. - Cofnęła się o krok, przenosząc spojrzenie z Daisy na Maksa i z powrotem. - Wasz ojciec i ja rozmawialiśmy na ten temat bardzo długo. W naszej rodzinie musi zająć poważna zmiana.

Później, wieczorem, rodzice Daisy usiedli przy kawie w głównym budynku i razem przeglądali urzędowo wyglądające papiery, które matka przywiozła ze sobą w grubej szarej kopercie. Nie chodziło jedynie o rozwód. Sophie za kilka tygodni przeprowadzała się do Hagi, żeby praktykować tam prawo międzynarodowe.

- Przygotowywałam się do tego przez całe życie - wyjaśniła. - Nie mogę przepuścić takiej okazji.

Oczywiście, że możesz, chciała powiedzieć jej Daisy. Kobiety zaangażowane w życie rodzinne przepuszczają jedną okazję po drugiej. Albo przynajmniej czekają, aż dzieci się usamodzielnią. Zagryzła jednak wargi i zakazała sobie jakichkolwiek uwag. Było jej wystarczająco przykro.

Max zapytał, gdzie leży Haga. Daisy zaprowadziła go do obozowej biblioteki, wyjęła atlas świata i pokazała Holandię. Potem poszli do chatki. Przygotowując się do snu, prawie się nie odzywał. Trzeba było mu przyznać jedno - przez cały czas spędzony w obozowisku ani razu nie narzekał na noc. Ta dzisiejsza nie stanowiła wyjątku. Daisy położyła się na łóżku obok niego i włączyła nocną lampkę.

- Co teraz czytasz? - spytała.

- „Wyspę skarbów” - odrzekł cichutko. - To znaczy, tata mi ją czyta.

- Super.

Otworzyła książkę na stronicy z zakładką i zaczęła czytać tam, gdzie przerwał ojciec. Nie zważając na gorąco, Max przytulił się do niej, gdy czytała mu o przygłupim Benie Gunnie, a kiedy Jim Hawkins znalazł się w pobliżu skarbu, mały już prawie zasypiał.

Raptem ktoś cicho zapukał do drzwi. Do środka weszła Olivia z Barkisem. Piesek przebiegł po podłodze i wskoczył na łóżko, natychmiast zagrzebując się pod koc obok Maksa.

- Cześć, mały - powiedział ze słabym uśmiechem Max i zwrócił się do Olivii: - Może tu zostać, jeśli chce.

- Myślę, że chce. - Olivia przystawiła sobie krzesło i usiadła blisko łóżka. - Czytaj dalej, Daisy.

- Jasne.

Daisy czuła, jak jej usta wypowiadają słowo za słowem, podczas gdy umysł błądzi daleko od obozu. Po jakimś czasie Max i Barkis zasnęli. Daisy ostrożnie wstała i zgasiła lampkę. Razem z Olivią wyszły na dwór. Na niebie pojawiły się gwiazdy, a świetliki migotały w zaroślach. Pomiędzy budynkami wiał nocny wietrzyk.

- Byłam w tym samym wieku co Max, gdy moi rodzice się rozeszli - powiedziała Olivia. - Może troszeczkę starsza. I byłam pewna, że właśnie nadszedł koniec świata. Pozostawałam bardzo, bardzo zagubiona przez długi czas.

- Co rozumiesz przez „zagubiona”?

- Nie wiedziałam, co myśleć i czuć, popełniłam też wielki błąd, bo wciąż miałam nadzieję, że oni się zejdą. Modliłam się, żeby znów byli razem. To znaczy... Wiesz, to normalne, że dziecko tego chce, ale jeśli pozwolisz, by takie pragnienie cię pochłonęło, w twoim życiu nie ma już miejsca na nic innego. Jedyne, co pozostaje, to trwałe rozczarowanie. Ja na przykład nie potrafiłam dostrzec, że pod pewnymi względami po rozwodzie mamy i taty jest mi lepiej.

- Pod jakimi? - Daisy wyciągnęła z ziemi łądygę trawy. Strasznie chciało jej się zapalić, ale wiedziała, że Olivia nie cierpi tytoniu.

- Znasz na pewno ten rodzaj atmosfery, jaka panuje w domu, gdy twoi rodzice są razem, chociaż już nie mogą ze sobą wytrzymać, i robią to tylko przez wzgląd na ciebie?

Trafiła w dziesiątkę. Atmosfera rozbitego domu. Tak. Daisy czuła ją, jak czuje się skręt kiszek.

Przytaknęła energicznie. Znała to zimne, ciężkie uczucie, nieznośny strach przed jakimkolwiek fałszywym krokiem, który mógłby zaburzyć chwiejną równowagę i spowodować, że wszystko rozpadnie się w drobny mak.

- Ja w końcu zaczęłam chodzić na paluszkach - oznajmiła Olivia. - Znasz ten zwrot: „stapać po szkło”? Właśnie tak chodziłam, bo bałam się, że coś pode mną zaraz się rozleci. Ano właśnie. Moja rodzina już wcześniej się rozleciała. Nie była to moja wina, ale wyobrażone szkło wbijało mi się w stopy. I w końcu zrobiłam coś złego.

- Co?

- Zaczęłam pocieszać się jedzeniem i utylam.

- Ty? Niemożliwe!

- Byłam jak tłusta beka od ukończenia dwunastu lat po pierwszy rok nauki w college'u.

- Nie pamiętam tego. Zawsze uważałam cię za piękność - powiedziała Daisy. - Bo jesteś piękna.

- Ty jesteś ładniejsza - odparła Olivia. - Miałam straszną nadwagę. To było bardzo niezdrowe, nikt jednak mnie nie powstrzymał. Nic się nie polepszyło, dopóki nie zdałam sobie sprawy z tego, że tak naprawdę wymierzam karę samej sobie i próbuję odgrodzić się od jakichkolwiek uczuć. To nie było dobre, o nie.

Tak jak mój nałóg palenia, pomyślała Daisy. Papierosy i trawka.

- Poprawa nastąpiła, gdy na studiach zaczęłam lubić samą siebie, odwiedzać dietetyka i ćwiczyć pływanie. - Przerwała, by po chwili dodać: - To pomaga, wiesz?

- Nie wiem. - Daisy wzruszyła ramionami. Olivia pogłaskała ją po włosach.

- Ty i Max dopiero zaczynacie swoją wędrówkę.

Chciałabym zaoszczędzić wam bólu i zagubienia, jakie będziecie odczuwać. Niestety. Rozwód rodziców ma to do siebie, że każda rodzina zmierza własną drogą, na której nie ma żadnych skrótów. Mogę wam obiecać, że na tej drodze będą też niespodzianki. Przyjemne. Wasi rodzice dadzą sobie drugą szansę na osiągnięcie szczęścia, a to nie jest taka zła rzecz. - Olivia opuściła rękę i poklepała Daisy po kolanie. - Mam tylko nadzieję, że tobie i Maksowi dostosowanie się do zmian nie zajmie tyle czasu, ile zajęło mnie.

- To zawsze będzie obrzydliwe wspomnienie! Zawsze! I dla Maksa też, wiem to!

- Ma się rozumieć. Ale... Daisy, nie próbuj się teraz od wszystkiego izolować albo doszukiwać w kimś winy. Nie obwiniaj nikogo. To nie ma sensu. Dzisiaj czujesz się okropnie, Max tak samo, ale nadarza się okazja, żeby na nowo spojrzeć na waszą rodzinę i wasze życie. Ciągłe macie kochających was rodziców: i matkę, i ojca. Wiele dzieci tego nie ma. I możesz mi wierzyć, że to właśnie to, czego naprawdę wam trzeba.



ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Przez kilka kolejnych dni Connor co chwila robił małe przerwy w pracy po to tylko, by wziąć głęboki wdech i przypomnieć sobie, że zachował się tak, jak należało. Zachował pełną samokontrolę, gdy tamtego wieczoru Olivia była z nim w przyczepie. Zatrzymał się w porę. Nie przekroczyli progu, zza którego nie było powrotu.

Mało brakowało. Bardzo mało. To pewne. Gdyby dopuścił, żeby całowali się choćby o dziesięć sekund dłużej, byłby skończony. Totalnie. Ale nie dlatego, że nie chciał wziąć Olivii w ramiona. Wprost przeciwnie. Mógłby ją obejmować przez całą wieczność. Jednakże biorąc pod uwagę stan jej umysłu tamtej nocy, byłby to zły pomysł. Teraz, gdy żar tamtej chwili zdążył wygasnąć, Olivia przypuszczalnie myśli tak samo. Była przecież dziewczyną mądrą i doświadczoną. Miała rozum. Wiedziała tak samo dobrze, jak Connor, że nie wykorzystuje się kogoś, kto popadł w emocjonalne tarapaty.

Connor zajęty był pracą nad przysposobieniem do stanu całorocznej używalności domku, który niegdyś był rezydencją założyciela obozu.

Według Olivii i Dare remont tego obiektu stanowił teraz najważniejszą część przedsięwzięcia, bo tu właśnie mieli zamieszkać ich dziadkowie. Jeśli chodzi o hydraulikę i osprzęt elektryczny, wszystkie materiały były już na miejscu. Instalowanie miało zacząć się właśnie dziś.

Gdy Connor wmówił wreszcie sobie, że przeżyje dzień, nie myśląc o Olivii, zobaczył ją na ścieżce w odległości zaledwie kilku kroków. Dźwigała wielką pakę, a Barkis deptał jej po piętach. Poczul narastające pożądanie. Była taka świeża i czysta! Jak kwiat, wciąż wilgotny od wczesnoporannej rosy. Jej świeżo umyte włosy lśniły w słońcu. Ubrała się w robocze dżinsy i top, ale... uuch, jaki przykusy! Pas monterski Connora pełnił teraz jeszcze jedną funkcję: ukrywał reakcję swego właściciela.

- Cześć - rzucił, kiedy podeszła bliżej. Miał nadzieję, że jego głos brzmiał dość beztrzesko.

Coś jednak musiało być w jego wzroku, bo Olivia zatrzymała się i oparła pakę o barierkę werandy.

- Co się stało? - zapytała.

- Nic. - Wyciągnął składaną miarkę i rozejrzał się desperacko, próbując znaleźć coś, co mógłby natychmiast zmierzyć. Futryna? Odległość między nim a Lolly? Długość tego, co wyprostowało mu się w spodniach? Głębia pożądania, jakie nim owładnęło?

- Gapisz się na mnie - wytknęła.

- Przepraszam. Ja... uch... podoba mi się twój strój. Wyglądasz, jakbyś... - Cholera, nie miał pojęcia, jak dokończyć.

- Jak co?

- Jakbyś miała poprowadzić za chwilę jeden z telewizyjnych programów typu Odnawiamy swój dom. - Przerwał i szybko dodał: - To jest komplement, jakby co.

Jeśli oglądała takie programy, powinna wiedzieć, że to komplement. Kobiety zawsze miały świetne fryzury, były zadbane, nosiły dzinsy i obcisłe ciuchy, ukazujące całkiem sporo nagiej skóry.

- O! - odrzekła. - Dziękuję.

Gdy pochyliła się, by postawić pakę, jej skąpy top podjechał w górę. I wtedy Connor zobaczył coś na dole jej pleców, tuż ponad paskiem od spodni.

Miała tam tatuaż. Lolly Bellamy dała się wytatuować! Na skórze widniał miniaturowy motylek. I to w jego ulubionym miejscu, w pasie, tam, gdzie kładł dłonie, gdy razem tańczyli. Tam, gdzie chciałby jej dotknąć w tej chwili. Dotknąć, może nawet pocałować. Tak. Zdecydowanie chciał ją tam pocałować.

Tatuaż. Rany! Gdyby wiedział o tym tamtej nocy, zatrzymałby Olivię w swej przyczepie na dłużej, może nawet przykułby ją do łóżka.

- Jesteś pewien, że dobrze się czujesz? Wyprostowała się, włożyła kciuki do kieszeni spodni i zdmuchnęła kosmyk włosów sprzed oczu.

Czy kobiety nie wiedzą, jak bardzo taka postawa uwydatnia ich piersi, pomyślał Connor. Ona musiała to wiedzieć. Robiła tak naumyślnie.

- Tak, dobrze - odchrząknął, słysząc zbliżający się warkot silnika. - Posłuchaj, Lolly. Tamtej nocy...

Podniosła rękę, uciszając go.

- Nie musimy o tym rozmawiać.

Dobra. Zmiana tematu? Na ogół kobiety analizowały każdą sekundę randki jak najbardziej wnikliwi sędziowie śledczy. A Olivia była przeświadczona, że to zbędne.

- W porządku - wycofał się. - Chciałem się tylko upewnić, że wiesz, dlaczego my nie... dlaczego ja...

- Wiem. I możesz mi wierzyć, że to rozumiem.

Odgłos silnika ciężarówki narastał, w miarę jak pojazd pokonywał kolejne odcinki drogi prowadzącej do przecinki. Kiedyś wożono tędy drewno ze ścinki. No dobrze, pomyślał Connor. Nie trzeba za bardzo naciskać. Olivia zawsze była niemożliwie bystra i miała rozwiniętą intuicję. A teraz ma jeszcze wyróżnienie z psychologii.

Dobrze. Rozumie, dlaczego ją odepchnął, mimo że ona chciała z nim być. Zrobiliby wielki błąd, gdyby poszli do łóżka w chwili, gdy Olivia była nieszczęśliwa i rozbita po rozmowie z ojcem. Na pewno wkrótce zaczęłyby się zastanawiać, co nią kierowało. Kto wie, czy nie uznałaby, że było jej wszystko jedno, do kogo się przytula. I wtedy Connor zawsze kojarzyłby jej się z urazem, kryzysem, sekretami i zdradą.

To nie był dobry sposób na rozpoczęcie związku z jakąkolwiek kobietą.

I tak oto Connor odkrył, czego życzyłby sobie w stosunku do Olivii Bellamy. Stałego związku.

Może nawet chciałby się w niej zakochać... po raz kolejny? Tak, ale tym razem jako znający życie mężczyzna, nie zaś zdezorientowany i przestraszony chłopak.

To wystarczyło, by przestało mu być ciasno w spodniach.

Nadjechał brygadzysta z resztą ekipy. W samą porę!

Wnętrze samochodu opróżniło się kolejno z ludzi, radia, hydroforu i reszty wyposażenia. Connor powitał podwładnych machnięciem ręki i wskazał im harmonogram prac, wiszący przy głównym wejściu do budynku.

- Przepraszam cię na chwilę - powiedział do Olivii.

Dość długo omawiał z brygadzystą plan robót, chociaż nie było to wcale konieczne - dobrze się znali, wiedzieli, w jakim rytmie powinna przebiegać praca, a doświadczona ekipa nie potrzebowała ścisłego nadzoru. Connor jednak zwlekał z powrotem, pomagając jednemu z pracowników wyregulować silnik auta. Czuł, że Olivia cały czas mu się przypatruje, i próbował znaleźć dla siebie schronienie, by uniknąć jej wzroku.

Kiedy wycierał szmatą smar z dłoni, zmrużyła oczy i znowu włożyła kciuki do kieszeni.

- Nieźle poradziłeś sobie z tym motorem. Masz mnóstwo ukrytych talentów, jak widać.

Obrzucił ją spojrzeniem. Jej talenty widział jak na dłoni.

- Tak uważasz? - zapytał.

- Owszem.

- Jeśli już o tym mowa, mam ich dużo więcej. Udało mi się.

Na przykład umiałbym tak cię rozpalić, że jęczałabyś z rozkoszy, pomyślał.

- Co ty tam dźwigasz? - Wskazał palcem pakę, którą przyniosła.

Z zaaferowaną miną wydoستاła serię rysunków, które ona i Freddy nazywali szkicami sytuacyjnymi.

- Na ganku przed wejściem staną meble z wikliny i huśtawka - tłumaczyła. - Freddy przywiezie wszystko to, co kupiliśmy w Phoenicia.

Weszła do środka. Na dole znajdowała się kuchnia połączona z salonem. W jednym końcu tego obszernego wnętrza wymurowano wielki kominek, w drugim stał vermoncki piec na drewno. Weneckie okna, za którymi rozciągał się widok na jezioro, dawały mnóstwo światła, a półokrągłe okienka w dachu rozświetlały część sypialną na poddaszu..

Do sypialni przylegała łazienka, gdzie stała staromodna wanna, wsparta na nóżkach w kształcie lwich łap, teraz cała zasnuta pajęczynami i szara od kurzu. W sypialni nie było nic, jeśli nie liczyć starej ramy od dwuosobowego łóża z okorowanych pni. Nowy materac i stelaż, oparte o ścianę, czekały na zamontowanie.

- Chciałabym, żeby ten domek wyglądał naprawdę pięknie - powiedziała Olivia. - I żeby dziadkowie mieli poczucie absolutnego luksusu.

- Apartament dla nowożeńców - podpowiedział Connor.

Pacnęła go podkładką do pisania.

- Nie podpuszczaj mnie, dobra?

- No, wiesz co! - obruszył się żartobliwie. - Twój dziadkowie są jak te papużki nierozłączki od pięćdziesięciu lat. Chyba nie myślisz, że jakaś para mogłaby wytrzymać tak długo bez erotycznej więzi?

- To dużo bardziej skomplikowana sprawa, tego jestem pewna.

- O, doprawdy? Skąd wiesz? A może wystarczy trochę chemii, żeby małżeństwo trwało naprawdę długo?

- Nie bądź śmieszny. Każda para może sobie wyczarować choć odrobinę takiej chemii.

Tak jak my tamtej nocy w przyczepie, pomyślał. Powinien wtedy wziąć od niej to, co chciała mu dać. Gdyby nie był takim cholernym dżentelmenem, przespałaby się z nim, i już.

- Potrzeba dużo więcej, żeby małżeństwo przetrwało pół setki lat - upierała się.

- E, tam. Nie masz racji. Przekombinowujesz. Jeśli przez te wszystkie lata jedno umie rozpalić to drugie wystarczająco często, to mają już wszystko, czego im potrzeba.

- Bzdury gadasz.

- Jasne. Jak zawsze. - Wzruszył ramionami. - I oczywiście zmiana tego miejsca w pałac rozkoszy dla pary zdziwaczałych zgredów jest moim pomysłem.

- Wypchaj się, Connor. Zawsze było łatwo ją rozdrażnić.

- Nie denerwuj się, Lolly. Wszystko tutaj zostanie zrobione tak, jak sobie tego życzysz.

- Nie wiem, jak na przykład poradzisz sobie z tymi drzwiami.

Drzwi do staroświeckiej umywalni, czy też garderoby, wyglądały, jakby ktoś umyślnie je wyważył.

- Żaden problem - odpowiedział Connor. - Usunę je. Wcale nie są tu potrzebne.

- Wariat.

- Sama pomyśl. - Łatwiej byłoby mu jej to pokazać niż wytłumaczyć. - Powiedzmy, że twoja babcia... no dobrze, panna młoda, jest tutaj i guzdrze się, jak to kobieta. - Ujął Olivie za ramiona i podprowadził do starego, poznaczonego czarnymi plamkami lustro nad umywalką, ustawioną na staroświeckim marmurowym cokole. - I wtedy - mówił dalej - jej facet zaczyna się niecierpliwić, bo zajmuje jej to za dużo czasu...

- Zaczekaj - przerwała mu, widząc w lustrze jego wzrok. - A co takiego czasochłonnego ona robi, żeby myje?

- Nie mam pojęcia. Wiem tylko, że to trwa za długo. Tak to jest z dziewczynami.

Jej wargi lekko drgnęły.

- Racja.

- No i facet myśli sobie, że mógłby zacząć jęczeć i narzekać, a to mało kogo kręci...

- Wreszcie powiedziałeś coś rozsądnego - wtrąciła.

- Albo że mógłby po prostu podejść, wziąć ją na ręce i zanieść do łóżka - mówiąc to, chwycił Olivie w ramiona i podniósł.

Sapnęła z zaskoczenia i objęła go za szyję.

- Widzisz, w takim szerokim przejściu - tłumaczył, przenosząc ją przez próg - to byłoby dużo łatwiejsze bez drzwi.

Cholera, pomyślał, stojąc nad łóżkiem, czego ja bym nie dał, żeby to działa się naprawdę. Tym razem cnotę Olivii uratował brak materaca.

W tej właśnie chwili do sypialni wszedł Freddy, dyskretnie prześlizgując się po nich spojrzeniem. Najwyraźniej zrezygnował z przyłapania ich na gorącym uczynku, choć w powietrzu wciąż jeszcze unosiła się gęsta niby dym aura pożądania.

- Widzę, że znów ciężko pracujecie. Nigdy dotąd nie spotkałem kogoś, kto by zaharowywał się tak, jak wy - oznajmił z kamiennym wyrazem twarzy, przechodząc obok.

Czar przysł. Connor postawił Olivie na podłodze.

- Cwaniak - mruknęła.



ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Uporczywy upał trwał, zdawało się, bez końca. Drogi skąpane w słońcu lśniły jak rtęć, a pola i łąki przemieniły się w morza pożółkłej trawy. Wokół Avalon straż pożarna poustawiała znaki ostrzegawcze, powiadamiające o karach za rozpalanie ognisk i puszczenie fajerwerków. Sklep ze sprzętem elektrycznym sprzedawał rekordowo dużo wentylatorów, a hordy urlopowiczów z miasta szukały ochłody w lasach porastających góry.

Olivia stała ze swym ojcem przy wejściu do niewielkiego drewnianego domku na ulicy Klonowej w Avalon. Widziała, że ojciec jest blady i bardzo spięty, choć nie była pewna, czy należy za to winić trudy podróży, czy też stres przed pierwszym w życiu spotkaniem z Jenny Majesky.

Poczuł na sobie jej wzrok.

- Wiesz, że nie musisz mi towarzyszyć - powiedział. - To znaczy... jeśli nie chcesz przy tym być, pójdę sam.

- Ależ ja chcę być przy tobie.

To przecież ona po latach wyciągnęła tę sprawę na światło dzienne. Przez całą drogę do Avalon jej ojciec upierał się, że naprawa pomyłki, którą przed laty popełnił, to wyłącznie jego zadanie. Nie jej. Olivia jednak była w to uwikłana, a poza tym - kto jak kto, ale ona była specjalistką od popełniania pomyłek. Dlatego to właśnie ona zapukała do drzwi.

- Już otwieram! - zawołał ktoś i w drzwiach stanęła Jenny.

To była tylko chwila, dosłownie mgnienie, ale Olivia zobaczyła, że Jenny spogląda na nią łagodnymi, brązowymi oczami jej ojca. Ich ojca. Teraz, gdy zobaczyła ich razem, nie miała już żadnych wątpliwości. Chociaż Jenny na pierwszy rzut oka wyglądała jak kopia swojej matki, to jej podobieństwo do Philipa Bellamy'ego było równie uderzające. Świadczyły o tym kąty, pod jakim przechylała głowę, kiedy patrzyła na rozmówcę, subtelny dołeczek w podbródku czy też kształt dłoni spoczywającej na klamce - najwyraźniej odziedziczone po ojcu.

- Philip Bellamy - przedstawił się ojciec. - Dziękujemy, że znalazła pani dla nas czas.

- Ależ nie ma za co - odrzekła Jenny - choć muszę się przyznać, że trochę zbił mnie z tropu pański telefon. Jeśli chodzi o tort weselny, to zapewniam pana, że...

- Chodzi mi niezupełnie o to - przerwał. - Czy możemy wejść?

- Oczywiście. Jak się miewasz, Olivio? - Jenny wyszła za próg i przytrzymała przed nimi drzwi.

- Nieźle, dziękuję.

Olivia zastanawiała się właśnie, czy ona i Jenny są jakoś do siebie podobne, ale sama myśl o tym wprawiała ją w zakłopotanie. Wolą widzieć w niej tylko miłą, ale obcą i nieświadomą niczego kobietę.

Wentylator wdmuchiwał świeże powietrze do pokoju, wypełnionego bibelotami i stareńkimi meblami. W fotelu na kółkach siedziała staruszka, ubrana w domową sukienkę i różowe kapcie. Miała starannie ułożone włosy i usta delikatnie pociągnięte szminką. Jenny już wcześniej mówiła Olivii, że jej babka miała wylew i nie może chodzić ani mówić. Olivii ścisnęło się serce, gdy pomyślała o swoich dziadkach. I jedni, i drudzy byli wciąż razem i wciąż pełni życia.

Próbowała przypomnieć sobie, jak pani Majesky wyglądała przed laty, ale w pamięci miała jedynie biały samochód dostawczy z ręcznie malowanym logo firmy. Pożałowała, że nie poświęciła więcej uwagi kobietom przywożącym do Kioga pieczywo. Było coś niesamowitego w myśli, że ona i Jenny mogły nieraz się spotkać, nie wiedząc nic o łączącej je więzi.

- Babciu, to jest pan Philip Bellamy i jego córka Olivia - przedstawiła ich Jenny. - Pamiętasz państwa Bellamych z Obozu Kioga, prawda?

Usta starej kobiety zadrgały. Wydobył się z nich nieartykułowany dźwięk.

- Dzień dobry. Miło mi, że panią widzę - przywitał się Philip.

W oczach staruszki malował się wyraz zrozumienia. Było tak, jakby próbowali rozmawiać z kimś uwięzionym za całkowicie dźwiękoszczelną szybą.

- Moja babcia pragnie złożyć pani wizytę, gdy przyjedzie tu w przyszłym tygodniu. Czy może? - zapytała Olivia, biorąc panią Majesky za rękę. Poczowała pod palcami cienką, suchą skórę, chłodną pomimo upału.

- Wyjdźmy na tylne podwórko - zaproponowała Jenny. - O tej porze dnia jest tam cień. Czy chcesz iść tam z nami, babciu?

Pani Majesky wydała dźwięk, który według Jenny oznaczał „nie”. Olivia spojrzała na ojca i zobaczyła, że z ulgą rozluźnia mięśnie. Rozmowa z samą Jenny będzie wystarczająco trudna. Obecność jej babki dodatkowo skomplikowałaby sytuację.

- W porządku. - Jenny pilotem poszukała programu Oprah Winfrey i podgłośniła telewizor.

Potem poprowadziła swych gości przez staromodną kuchnię z laminowanymi meblami i oszklonymi szafkami z porcelaną. Napełniła trzy wysokie szklanki mrożoną herbatą i postawiła je na tacy wraz z paterą pełną ciasteczek.

- Paluszki cytrynowe - wyjaśniła. - Przywiozłam je dzisiaj z głównej piekarni w Kingston.

Cały blat stołu kuchennego zajmowały stosy papierów i laptop.

- Przeszkodził mi pani w pracy? - spytał Philip.

- Och, to nie jest praca. Przynajmniej nie zarobkowa. - Pochyliła głowę, jakby przyłapano ją na czymś wstydlwym. - Próbowałam coś pisać.

- Jest pani pisarką? - spytał ojciec.

- Pracuję nad... sama nie wiem, jak to nazwać. - Zarumieniła się, ale tylko dodało jej to uroku. - Może zbiorem opowiadań o dorastaniu w piekarni dziadków? Są w tym przepisy kulinarne. Niektóre z nich bardzo stare, a napisano je w zeszytach szkolnych przywiezionych przez babcię z Polski.

Pokazała im kruche, pożółkłe ze starości kartki, pokryte obcojęzycznymi gryzmołkami uczennicy.

- Babcia pomogła mi przetłumaczyć całkiem sporo przepisów, ale po wylewie to już niemożliwe. - Jenny troskliwie odłożyła stosik kartek. - Chyba nigdy tego nie skończę.

Z jakiegoś niepojętego powodu Olivię opanowała melancholia. Może sprawiła to myśl o Jenny, tej miłej, skromnej dziewczynie, chowającej się bez ojca, a potem pozbawionej również opieki dziadka... Nic dziwnego, że pracowała nad utrwaleniem rodzinnych wspomnień i przepisów.

Olivia wpatrywała się w twarz ojca i odkryła, dlaczego sama czuła się tak nieswojo. On przecież też zawsze chciał być pisarzem. Został prawnikiem, gdyż tego oczekiwano od potomka rodziny Bellamych. Gdy Olivia знаła już prawdziwą przyczynę poślubienia jej matki, zrozumiała, dlaczego porzucił swoje marzenie. I - owszem, to było okropne - poczuła też nieznaczne ukłucie zazdrości na myśl o tym, że Jenny nieświadomie dzieli z ojcem jego zamiłowanie do pisania.

Wyszli razem na ocieniony tarasik, chłodzony lekkimi podmuchami wiatru, i usiedli w wiklinowych fotelach wokół niskiego stołu. Ojciec pociągnął nerwowo łyk herbaty i odstawił szklankę.

- Dziękuję - powiedział. - Przepraszam, że byłem taki tajemniczy, kiedy rozmawiałem z panią przez telefon. Po prostu nie wiedziałem, jak poruszyć temat. I zapewniam, że teraz też nie będzie mi łatwo.

Coś w jego tonie musiało ją poruszyć, bo ścisnęła poręczę fotela i zwróciła na ojca pełne uwagi spojrzenie, przechylając głowę odrobinę w bok. Dopiero teraz zorientowała się, że to spotkanie nie ma nic wspólnego ze sprawą tortu na uroczystość złotych godów.

- Tak?

- Nie mam pojęcia, co pani o tym wie - ciągnął. - Jak rozumiem, Mariski, to znaczy pani matki, od dawna już tu nie ma?

Jenny przytaknęła, a jej brwi zmarszczyły się nieco.

- Od czasu, kiedy miałam jakieś cztery lata. Prawie jej nie pamiętam.

O Boże, pomyślała Olivia.

- I nigdy się ze sobą nie kontaktowałyście? - wyrwało się jej. - Nigdy nie zadzwoniła ani nie napisała żadnego listu?

Jenny potrząsnęła głową. W jej oczach pojawił się mroczny wyraz smutku.

- Jak rozumiem, te wszystkie pytania mają jakiś cel?

- Znałem ją. Mariska i ja... Ona była moją dziewczyną w lecie siedemdziesiątego siódmego. Czy pani babcia kiedykolwiek o tym wspominała?

Po skroni Jenny spłynęła samotna kropla potu. W jej oczach nie było już smutku, ale podejrzliwość.

- Nie. A powinna?

- Na to nie potrafię odpowiedzieć. - Philip zacisnął szczęki. On też się spocił. Olivia nie mogła oderwać wzroku od ich twarzy.

- Ja... Niedawno wyszło na jaw parę rzeczy - ciągnął z trudem Philip. - I... no cóż, zacząłem się zastanawiać, czy ktokolwiek rozmawiał kiedyś z panią... z tobą... o ojcu. Biologicznym ojcu.

Wietrzyk ustał. Tak przynajmniej wydawało się Olivii. Wszystko wokół zamarło: powietrze, czas, nawet bicie serc. Jenny też siedziała nieruchomo, mimo że musiała być poruszona i zaniepokojona jego słowami. Twarz jej zbladła, a z oczu nie znikał wyraz nieufności. Olivia miała ochotę wziąć ją za rękę albo chociaż poklepać po ramieniu. Mam siostrę, pomyślała. Mam siostrę!

Philip kontynuował:

- Przepraszam. Pojawiłem się tu nie wiadomo skąd i mówię takie rzeczy. Ale jak inaczej miałem przedstawić całą tę sprawę?

Jenny odstawiła szklanekę i uważnie badała wzrokiem Philipa. Olivia zastanawiała się, czy robi w myślach listę wszelkich możliwych oznak rodzinnego podobieństwa.

- Czy to znaczy, że jest pan... - powiedziała Jenny z wysiłkiem, jakby słowa były zbyt gęste, by wydostać się z ust. - To absurd. Nie mam pojęcia, jaki sens ma ta rozmowa.

Philip podał jej fotografię.

- To zdjęcie niedawno znalazło się wśród moich starych pamiątek obozowych. Zrobiono je pod koniec lata siedemdziesiątego siódmego. Przez kilka miesięcy byliśmy tak szczęśliwi, że trudno to wyrazić. Przynajmniej ja w to wierzyłem. Kochałem twoją matkę i chciałem się z nią ożenić.

Na twarzy Jenny pojawił się wyraz bólu, który narastał, im dłużej przyglądała się fotografii. Olivia była pewna, że jej siostra dokonała w głowie szybkiego rachunku.

- Ale nie zrobił pan tego - powiedziała Jenny. - Nie ożenił się pan z nią.

- Nie. W dzień po Święcie Pracy Mariska zerwała ze mną. Oświadczyła mi, że chce zwiedzić świat i szukać własnej drogi w życiu, ale sama. Próbowałem ją od tego odwieść. Nie udało mi się. Potem już nigdy jej nie widziałem. Nigdy z nią nie rozmawiałem. Pisałem listy, ale wszystkie wracały z pieczętką „zwrot do nadawcy”. Jej matka, to znaczy twoja babcia, powiedziała mi, żebym więcej do niej nie dzwonił. Przyjechałem więc do Avalon.

Urwał. Pod wpływem dawnych wspomnień oczy zasnuły mu się mgłą.

- Dowiedziałem się, że... ona odeszła. Ktoś od jubilera, gdzie pracowała, powiedział mi, że wyjechała z miasta. Chciała zobaczyć świat czy coś takiego. - Splótł palce obu dłoni i wpatrywał się w Jenny, która jednak nie patrzyła na niego. - Wtedy skapitulowałem. Zrozumiałem, że zrywając ze mną, mówiła dokładnie to, co miała na myśli. I w końcu musiałem się z tym pogodzić. Później, zimą, poślubiłem matkę Olivii, Pamelę Lightsey. - Na szczęście pominął szczegóły dotyczące zaręczyn i przyspieszonego ślubu. - Pamela i ja jesteśmy rozwiedzeni od siedemnastu lat, a ja nigdy już się nie ożeniłem.

Olivia wiedziała już, że związek rodziców nie mógł przetrwać. Jako dziecko długo i bez skutku próbowała zrozumieć, dlaczego matka i ojciec się rozwiedli. Nie wiedziała, że przyczyna rozstania pojawiła się na długo przed jej narodzinami.

Jenny milczała. Trzymała w dłoni fotografię i z nieobecny wyrazem twarzy przesuwała kciukiem po podobiznie matki.

- Gdy weszłam do piekarni tamtego dnia na początku lata - zwróciła się do niej Olivia - zauważyłam na ścianie to samo zdjęcie, a raczej jego połowę, bo drugi kawałek odcięto.

- Musiała to zrobić babcia.

Olivię wstrząsnęło nagle odkrycie, że w chwili gdy zrobiono to zdjęcie, Mariska była już w ciąży. Jenny bezwiednie uniosła rękę i dotknęła końcami palców wisiorka w kształcie rybki.

- Zauważyłam też twój wisiorek - dodała Olivia.

- Pamiętasz, jak cię o to spytałam?

Jenny przytaknęła.

- To po mamie. Dziadkowie dali mi go w prezencie na moje szesnaste urodziny.

Philip wyjął swoją rybkę i położył ją na stole.

- To para moich spinek do mankietów. Dałem Marisce jedną, a drugą zostawiłem sobie.

Jenny cicho jęknęła, jakby zabrakło jej powietrza. Do tej pory w rozmowie kontrolowała swoje reakcje, teraz jednak była chyba na skraju wytrzymałości. Jej palce drżały, gdy brała spinę.

- Nigdy nie wiedziałam, co za historia kryje się za tym... że matka mnie zostawiła. Ale czy jesteście pewni, że to nie jest zbieg okoliczności albo...

- Ja jestem prawie pewien - odrzekł Philip. - Oczywiście, jeśli zechcesz, można zrobić badania DNA, ale jestem przekonany, że potwierdzą one nasze odkrycie. Pozwoliłem sobie wynająć prywatnego detektywa, żeby sprawdził daty i parę innych szczegółów.

Jenny z trudem przełknęła ślinę. Przez moment wyglądała jak zaszczute zwierzątko.

- Prywatny detektyw? Ale to... przecież ingerencja...

- Masz rację, ale co innego mogłem zrobić? Pan Rasmussen, który zresztą wykonuje sporo dobrej roboty dla mojej firmy prawniczej, badał tylko oficjalne dokumenty. Ale i tak

przepraszam cię, Jenny. Nie chciałem zbliżyć się do ciebie i potem dowiedzieć, że to pomyłka. Nie mogłem niepokoić cię bez powodu. Z tego, co wiem, byłaś przekonana, że twoim ojcem jest ktoś inny.

Jenny odłożyła spinkę na stół przejmująco troskliwym ruchem.

- Wypytywałam o to przez cały czas, ale dziadkowie przysięgali, że mama nigdy im nie powiedziała, kto to był. Rubryka „imię ojca” w moim akcie urodzenia pozostała pusta. - Gdy Jenny wreszcie skierowała wzrok na Philipa, w jej oczach błysnęła nadzieja. - A czy on, ten detektyw, dowiedział się czegoś o mojej matce?

Właśnie, pomyślała Olivia. Na przykład tego, dlaczego cię zostawiła.

Philip wziął do ręki wydruk komputerowy.

- Tu nie ma chyba nic, o czym sama byś nie wiedziała. Pod koniec siedemdziesiątego siódmego Mariska Majesky wyjechała z Avalon. Wyrobiła sobie paszport i dużo podróżowała, choć nie wiadomo, z czego się utrzymywała. W miejscowości Boca Raton, w marcu siedemdziesiątego ósmego, urodziła dziecko. Córkę o imionach Jennifer Anastasia. W osiemdziesiątym drugim wróciła z dzieckiem do Avalon, do swoich rodziców. Podróżowała, ale nigdy nie zabierała ze sobą córki. - Przewrócił stronę. - W osiemdziesiątym trzecim po raz ostatni opuściła Avalon. Tutaj wszelki ślad się urywa. Jej paszport stracił ważność w osiemdziesiątym ósmym. Potem już ani razu go nie odnowiono. - Odłożył raport i spojrzał na Jenny, wpatrującą się z napięciem w jego twarz. - Jeśli chcesz, każę Rasmussenowi szukać dalej.

- Nie, dziękuję - odrzekła cicho i zaczęła czytać wydruk.

Zapanowało milczenie tak głębokie, że Olivii wydawało się, że słyszy syk pęcherzyków powietrza, uwalniających się z kostek lodu w jej mrożonej herbacie. W końcu Jenny odchrząknęła.

- Nie wiem, co powiedzieć. - Z ostrożnym zaciekawieniem patrzyła na Philipa, a potem przeniosła wzrok na Olivię.

- Żadne z nas nie wie. - Olivia spojrzała jej prosto w oczy. - Ale cieszę się, że cię znaleźliśmy i że zechciałaś nas wysłuchać. Mam nadzieję, że kiedy otrząsniesz się z szoku, też będziesz zadowolona.

- Nie musisz nic mówić. Człowiek nie zawsze umie nazwać to, co czuje - powiedział Philip.

- Dziękuję, bo... sama nie mam pojęcia, co właściwie czuję.

Coś jednak czuć musiała. A Olivia zauważyła to. Oczy Jenny, te łagodne oczy, które spодobały jej się od pierwszej chwili, teraz lśniły od łez.

- A ja jestem szczęśliwa, że cię spotkałam - szepnęła Olivia. - Zawsze chciałam mieć siostrę.

Speszyla się. Znowu bezwstydnie gapiła się na Jenny. Czy mają podobne nosy? Czy w ogóle mają coś wspólnego? Olivia nie potrafiłaby tego stwierdzić.

- Mam nadzieję, że będziemy mieć czas na... eee.... bliższe wzajemne poznanie - dodała. - To znaczy, o ile zechcesz.

- Ee... pewnie, że tak.

Jenny zamrugała jak ktoś przebudzony ze snu.

- Nie myślałam, że kiedykolwiek spotkam swojego ojca - powiedziała do Philipa. - Nie sądziłam, że dowiem się, kim jest.

Philip dotknął jej ręki.

- Tak mi przykro...

Olivia zamarła. Z trudem wyobraziła sobie, przez co musiała przejść Jenny i jakie ciężkie miała dzieciństwo, bez ojca i porzucona przez matkę.

Jenny, patrząc na dłonie, swoją i Philipa, powiedziała:

- Do tej pory była to dla mnie wielka niewiadoma. A teraz... Dziękuję, że byłeś wobec mnie szczery. - Chwilę milczała, a potem rzuciła nieśmiało: - Zawsze zastanawiałam się, kim jesteś. I jaki będziesz, gdybyśmy mieli kiedyś się spotkać.

- Mam nadzieję, że cię nie rozczaruję.

Po policzku Jenny nareszcie stoczyła się łza. Starła ją wierzchem dłoni.

Olivia nie potrafiła jednoznacznie stwierdzić, co czuje jej odnaleziona siostra: radość, smutek czy też zwykłe zakłopotanie. Ona sama była psychicznie rozbita. Przenikał ją radosny dreszcz, wywołany odkryciem przyrodniej siostry, a jednocześnie niespodziewanie dla samej siebie zaczęła się buntować. Owszem, chciała, żeby ojciec poznał bliżej Jenny, ale... Olivio, ty podła wiedźmo, powiedziała sobie. Nie waż się być o nią zazdrosna!

- Poznanie się zajmuje trochę czasu - powiedziała do Jenny. - Mam nadzieję, że zechcesz spędzić go czasem z... tatą i ze mną?

- Myślę, że... tak.

- A może zjemy dziś razem kolację - zaproponował Philip.

Jenny wahała się chwilę.

- Po dziewiątej wieczorem, owszem. Babcia wcześniej chodzi spać.

- Mnie to odpowiada, świetna pora. - Kiwnął głową. - Olivio?

Każdej z nas po równo, pomyślała. Uśmiechnęła się i odrzekła:

- Idźcie we dwoje. Dołączę do was innym razem.

- Ale...

- Tato, wszystko w porządku, naprawdę. Mogę polecić naprawdę świetny lokal.

Gospoda pod Jabłonią przy drodze numer czterdzieści siedem. - Olivia odwróciła się do Jenny z promiennym uśmiechem. - Byłaś tam kiedyś?

- Tylko raz - przyznała się Jenny. - Dla tubylców to miejsce tylko na wyjątkowe okazje.

- No, ta jest na pewno wyjątkowa - podsumował ojciec. - Bardziej wyjątkowej nie mogę sobie wyobrazić.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Niewiele rzeczy na świecie - rozmyślała Olivia, zanurzając wiosło w gładką jak szkło powierzchnię nieruchomej wody i patrząc na rozchodzące się po niej kręgi - odpręża tak, jak wiosłowanie w kajaku po spokojnej toni jeziora, szczególnie pod koniec upalnego dnia.

Wypłynęła o zachodzie słońca. Trudno było jej uwierzyć, że wkrótce opuści Kioga. Lato mijało szybko. Każdy wypełniony pracą dzień przynosił nowe wrażenia i dawał poczucie, że wysiłek ich wszystkich ma sens. Dopiero teraz, jako zupełnie dorosła osoba, Olivia rozumiała, dlaczego jej dziadkowie tak bardzo kochali to miejsce.

Zdziwiła się, odkrywając, że będzie tęsknić do spokojnej wody i zapachu świeżej zieleni, do wiatru i śpiewu ptaków pośród drzew. Niedługo znów otoczy ją miejski zgiełk i wpadnie w wir zajęć. Klienci wciąż próbowali się do niej dodzwonić. Za każdym razem, kiedy sprawdzała pocztę głosową czy elektroniczną, okazywało się, że ktoś pyta, kiedy wraca, ktoś inny potrzebuje jej pomocy - w swoim domu, w swoich planach, w swoim życiu. Wszyscy potrzebowali Transformacji. A Olivia tę transformację im gwarantowała. Przemykała przez ich domy i już po kilkunastu minutach wszystko stawało się miłsze, jaśniejsze i przyjemniejsze dla oka.

Łatwo robić coś takiego dla innych. Ale nie dla samej siebie.

W dzisiejszej poczcie była też wiadomość od Randa. Zadzwoił, żeby powiedzieć, że o niej myśli, co w jego języku znaczyło, że chce się z nią przespać. Rand Whitney. Czy to możliwe, że zaledwie parę miesięcy temu wiązała z nim wszystkie swoje nadzieje i marzenia? Miała wrażenie, że od tamtej pory upłynęły wieki. Była naiwna jak jej matka. Uwierzyła, że jeśli coś wygląda doskonale, to rzeczywiście takie jest. Nieważnie, czy chodzi o dom, w którym mieszkasz, o dzieci czy o męża, liczą się tylko pozory.

Powinna być mądrzejsza. Przecież wiedziała, jak z pozbawionej windy, byle jakiej nowojorskiej kamienicy, czy z podupadającego letniego obozowiska uczynić miejsce, w którym każdy chce być. Wiedziała, że wystarczy zajrzeć głębiej, by odkryć, co nie jest prawdą.

Dzisiejsze wiosłowanie o zachodzie wcale nie było odprężające. Olivia nie mogła przestać myśleć o Jenny. A jeszcze kilka miesięcy temu nie wiedziała nawet o jej istnieniu.

Niespodziewanie okazało się, że ma siostrę. To było jak wrzucenie kamyka do stojącej wody. Jeden mały ruch i od razu we wszystkich kierunkach rozchodzą się kręgi. Decyzja

podjęta któregoś lata zmieniła życie wielu ludzi, ich plany i przyszłość. Nie sposób przewidzieć, jak daleko sięgną te kręgi.

Nieważne, że wszystko zaczęło się jeszcze przed narodzeniem Olivii, bo to i tak ona grała w niej główne role - córki, sprzymierzeńca, przyjaciółki. No i siostry.

Mam siostrę - słowa, które rozbrzmiewały jej w głowie, budziły mieszane uczucia. Poza uniesieniem także strach i niepewność.

Olivia wiosłowała wzdłuż brzegu jeziora, tam gdzie wierzby i klony pochylały się, zanurzając gałęzie w wodzie, a stada dzikich kaczek pływały wśród tataraku. Kioga o zmierzchu wyglądała stąd dokładnie tak, jak powinna. Niewiele oświetlonych okien i żywy płomień ogniska rozpalonego na kamieniach nad rzeką. Wujek Greg smażył dziś wieczór hamburgery i hot dogi, ulubione danie Maksa. Chłopczyk odkrył, że jedną z niewielu dobrych stron bycia dzieckiem rozwodników jest to, że się komuś takiemu pobaża. Olivia miała nadzieję, że Greg zachowa zdrowy rozsądek.

Z przykrością patrzyła, jak kuzyni zmagają się z tymi samymi problemami, którym ona musiała stawić czoła jako dziecko. Rozczulały ją wysiłki Grega, który starał się być lepszym ojcem i - lepszym człowiekiem. Tyle że za cenę rozpadu małżeństwa.

Zapadła ciemność. Olivia jednak nie włączała latarki. Wkrótce wzejdzie księżyc, a na razie było jeszcze dość jasno, by trafić na przystań na Świerkowej Wyspie, która od początku była celem jej dzisiejszej wyprawy. Connor wciąż tam nad czymś pracował, a ona chciała pobyć z nim sam na sam.

Tak. Potrzebowała Connora. Może rzeczywiście, jak czasem mówił jej Freddy, z masochistyczną przyjemnością szukała kłopotów. Teraz była tutaj - nie dość, że zdenerwowana z powodu Jenny, ale także sfrustrowana z powodu Connora.

Nie, nie sfrustrowana, ale wściekła, bo mimo że już przed laty przejrzała go na wskroś, dalej chciała się z nim widywać.

Gdy zamykała oczy, czuła jego pocałunki i ogarniało ją pożądanie, jak tamtej nocy, kiedy niemal rzuciła się na niego. Powstrzymał ją wtedy dość szybko, ale ona, jak głupia, dała mu drugą szansę w chatce dziadków, flirtując z nim bezwstydnie i - bez rezultatu. Nie pociągała go seksualnie, a nie ma nic gorszego od świadomości odrzucenia.

Ale wciąż chciała to sprawdzić. A mała wysepka pośrodku jeziora była idealnym miejscem do przeprowadzenia takiej próby.

Przywiązała łódź i wyszła na pomost.

- Cześć! - zawołała.

- Tu jestem!

Serce biło jej coraz szybciej, kiedy szła za jego głosem.

- Hej - przywitała się z udaną obojętnością.

- Hej. - Connor pracował przy świetle lampy. Właśnie poluzował ścisk stolarski i odstąpił o krok, by przyjrzeć się swemu dziełu. - Nie spodziewałem się gości.

- Nie było cię na kolacji. Przyplłynęłam, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku.

- I przewiosłowałaś taki szmat wody tylko po to?

- No jasne.

- Kłamczucha. - Wytarł ręce bandanką. - Co ty tu właściwie robisz, Lolly?

Nie mogła jakoś wydobyć z siebie odpowiedzi. Przecież była prawie pewna, że on sam to wie. Nazywał ją Lolly - nie Olivią - zawsze gdy był pewien, że zna jej myśli. Wpadło jej do głowy, że mogłaby opowiedzieć mu o spotkaniu z Jenny, ale nie. Na to nie była jeszcze gotowa. Właściwie przyplłynęła tutaj - przynajmniej po części - żeby uniknąć myślenia o ojcu i Jenny, którzy siedzieli teraz w Gospodzie pod Jabłonią.

Connor nie zmuszał jej do odpowiedzi. Zebrał narzędzia i zaczął układać je w skrzynce. Potem pstryknął wyłącznikiem. Girlandy bajecznych świateł rozblęły na słupach odnowionej altany.

Olivia powoli okręciła się w kółko i na chwilę zapomniała o swych troskach. Myślała tylko o tym, że ten mężczyzna pracował całymi godzinami nad odtworzeniem tego miejsca, w kształcie sprzed lat, dla jej dziadków.

- Jest dokładnie tak, jak chciałam!

- Cieszę się, że ci się podoba.

Wyglądał pociągająco w tym oświetleniu. Stop. W każdym oświetleniu, poprawiła się.

- Mam szczęście, że cię znalazłam. - Zarumieniła się i zaraz dodała: - ...Jako wykonawcę, wiesz. Najpierw martwiłam się, że coś nie zagra albo że nie będzie się nam dobrze współpracować, no bo... bo... No, wiesz dlaczego.

Boże! Bełkocze jak potłuczona. Pewnie, że wiedział.

Connor wyglądał na całkowicie wyluzowanego. Otworzył dwie puszkę piwa, nie pytając, czy Olivia chce się poczęstować czy nie.

- Twoje zdrowie - powiedział.

Olivia nie przepadała za piwem, ale w taką gorącą noc nie było nic lepszego dla ochłody. Zimny musujący płyn zwilżył jej zaschnięte gardło.

Connor wyłączył światło i podniósł latarnię.

- Siądźmy tutaj - powiedział, oświetlając przed nimi drogę na brzeg jeziora. -

Normalnie rozpałiłbym dla ciebie ognisko, ale jest za gorąco.

Odchyliła głowę i przejechała zimną puszką po szyi.

- Jest tak gorąco, że mąci mi się w oczach - westchnęła i zamknęła oczy.

- Jest na to rada.

- Hm... Pływanie na golasa? - Zrzuciła ze stóp klapki i usiadła, podpierając się wyciągniętą w tył ręką.

- Oczywiście. Jedna z najbardziej strzeżonych kiogańskich tradycji.

- I właśnie dlatego dobrze wszystkim znana - odrzekła.

Skrecała się ze wstydu z powodu niechcianych i żenujących wspomnień. Jej myśli odbijały się od siebie jak piłki. Czy pozwoli mu na to? Czy jest gotowa? A on?

- Posłuchaj, jak minął mi dzień - zaczęła. Tylko w ten sposób mogła zrzucić z pleców niewidzialny bagaż, jaki dźwigała. - Pojechałam z ojcem do Jenny. Paskudna sytuacja. Niezręczna i smutna. Wieczorem wybierają się na kolację do Gospody pod Jabłonią, żeby porozmawiać i lepiej się poznać. A odpowiedzialna za otwarcie tej puszkii Pandory jestem ja... ale nie mogłam tego NIE zrobić.

- Opanuj się. Niczemu nie jesteś winna. Niczemu.

Olivia czuła nieprzepartą chęć oparcia się o Connora, żeby w cieniu jego ciała znaleźć schronienie. Z każdym oddechem pogłębiał się jej emocjonalny ból.

- To było strasznie trudne - ciągnęła. - Nie zrozum mnie źle. Jenny była wspaniała. Ale także... ostrożna. Nie potraktowała nas jak dawno zagubioną rodzinę. Ale też nas nie odepchnęła. A ja wciąż myślę o tym, co obie straciłyśmy. Zawsze miałam siostrę. Starszą ode mnie. I nie wiedziałam o tym. Wciąż się zastanawiam, jakie byłoby moje życie, gdybyśmy obie się znały od dziecka.

Connor objął ją ramieniem. Zwyczajny serdeczny gest, ale ona omal się nie rozplakała. Connor się nie odzywał. Chyba uznał, że nie ma o czym mówić. Nie miał racji.

- Jak mógłbym ci pomóc? - zapytał po chwili.

Przełknęła ślinę parę razy, jakby zaskoczona tym, co chce powiedzieć.

- Chyba potrzebuję dobrego seksu, żeby o wszystkim zapomnieć, i męskiego ramienia, żeby się na nim wypłakać.

Uścisnął ją mocniej. Słyszała śmiech w jego głosie, kiedy jej odpowiadał:

- Myślę, że trafiłaś pod dobry adres.

Sęk w tym, że Olivia nie wiedziała, czy powinna brać to, co mógł jej zaoferować. Miała przecież oparcie we Freddym, który był jej najlepszym kumplem, i w Dare, która była jej ulubioną kuzynką. Ale żadne z nich nie mogło zapewnić jej seksu. Niezbędny był specjalista.

Z Connorem już raz próbowali seksu. Dawno temu. Skończyło się katastrofą. Olivia do tej pory nie mogła określić rozmiarów tej katastrofy. Wprawdzie był to dość typowy scenariusz pierwszego zbliżenia nastolatków, zakończonego upokorzeniem i odrzuceniem, ale nie zapomniała o tym nigdy. Tamta porażka ukształtowała ją i wpłynęła na wiele życiowych wyborów, jakich dokonywała nawet wiele lat później.

- I co ty na to, Lolly? - szepnął, zbliżając usta do jej ust.

Nie pocałował jej, ale był tak blisko, że to naprawdę nie robiło różnicy.

Boże, pomyślała, zakochałam się.

Znów, mimo nauzki, którą dostała przed laty. Ale pragnęła go tak bardzo, że nawet świadomość ewentualnej pomyłki nie mogła jej od tego odwieść.

Są dorośli, więc musi wyjść im lepiej niż kiedyś. Bo gorzej, doprawdy, byłoby trudno.

RS

ŚPIEWNIK OBOZU KIOGA

Capstrzyk „Idzie noc”

Idzie noc, słońce już
Zeszło z gór, zeszło z pól,
Zeszło z mórz.
W cichym śnie spocznij już.
Bóg jest tuż.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Lato 1997

W dniu wyjazdu szczęśliwi, choć zmęczeni obozowicze roili się na głównym placu obozowym. Niektórzy mieli udać się stąd obozowym autokarem na stację kolejową. Inni byli wyłapywani przez rozradowanych rodziców do furgonetek i SUV-ów. Po dziesięciu tygodniach nieobecności nawet najnieznośniejszy dzieciak stawał się kimś utęsknionym dla swoich najbliższych. Baraki sypialne ostatecznie opustoszały i wszyscy ich lokatorzy kręcili się wokoło, porządkując rzeczy, popisując się przed sobą opalenizną i śladami po ukąszeniach owadów czy też - jak powiedzieli dziadkowie Lolly w pożegnalnej mowie po śniadaniu - utrwalając na całe życie wspomnienia z tego miejsca.

Lolly dostrzegła Connora, rozmawiającego z Julianem. Chłopczyk podskakiwał to na jednej, to znów na drugiej nodze. Wciąż był najbardziej naładowanym energią dzieckiem na całym obozie. Serce podskoczyło jej z radości - jak zawsze na widok Connora, a nawet na myśl o nim.

Wbrew oczekiwaniom tego lata zdarzyło się coś zdumiewającego. Connor został chłopakiem Lolly, pierwszym w jej życiu. Była tak oszołomiona uczuciem, które ją przepełniało, że prawie nie mogła jeść, spać ani myśleć.

Podeszła do nich i podała Julianowi porporzec zastępu Żółtodziobów.

- Trzymaj porporzec wysoko, żeby każdy dobrze go widział. I nie opuszczaj. To pomoże rodzicom znajdować dzieci.

- Mój tata przyjeżdża! Jedzie tu po mnie aż z Włoch!

- Słyszę. Niezła jazda, powiedziałabym - zaśmiała się Lolly.

Julian z ważną miną maszerował w kółko, wymachując porporcem, a przy okazji zaglądał do wszystkich nadjeżdżających aut.

- Miałaś świetny pomysł - powiedział Connor do Lolly. - Skupi się na zadaniu... może nawet przez całą minutę.

- Nie mogę uwierzyć, że doczekał końca wakacji w jednym kawałku.

Nocny skok na bungee był początkiem długiej serii wyczynów małego. Na szczęście Julian miał mądrego starszego brata. Connor potrafił skanalizować jego fascynację wysokością i szybkością. Zamiast ją zwalczać, zabierał Juliana i paru jego kolegów na wycieczki na klify i do lodowych jaskiń na przełęczy Shawangunk. Na drzewie nad jeziorem zawiesił im huśtawkę, a nawet zaprowadził całą grupę na szczyt najwyższej w okolicy wieży obserwacyjnej.

Wczoraj zaś na pożegnanie urządził im zjazd na rowerach górskich.

Lolly wiedziała, że nigdy nie zapomni radosnych wrzasków Juliana, który z zawrotną szybkością śmigał w dół stoku, ani dumnego uśmiechu, który ujrzała na twarzy obserwującego go Connora.

Z zakochanym uśmiechem musnęła dłonią jego rękę.

- Po raz pierwszy w życiu żałuję, że stąd wyjeżdżam - powiedziała.

- Ja nigdy nie lubiłem końca wakacji. Podbiegła do nich Ramona Fisher.

- Lolly? Dobrze, że jesteś! Powiedziałam mojej mamie, że nie wyjadę, dopóki się z tobą nie pożegnam.

Lolly wzięła dziewczynkę w ramiona i przytuliła. Poświęciła tej małej mnóstwo czasu i wysiłków, ale w końcu wyleczyła ją z chorobliwej tęsknoty za domem, która paraliżowała ją na początku lata. Przekonała dziewczynkę, że tęsknota za bliskimi jest rzeczą normalną, a ich nieobecność wcale nie oznacza końca świata.

Rzucając ukradkowe spojrzenie na Connora, Lolly zastanawiała się, czy sama będzie potrafiła skorzystać z własnych dobrych rad. Na myśl o tym, że po rozpoczęciu studiów w college'u nie zobaczy się ze swoim chłopakiem przez całe dni, tygodnie, całe miesiące, czuła lodowaty ucisk w sercu.

- To dla ciebie. Żebyś o mnie pamiętała. - Ramona wręczyła jej własnoręcznie zrobioną bransoletkę z nici i koralików.

Trzeba było wielkiej cierpliwości, żeby na wąskim pasku naszyć zrobione z paciorków inicjały R. F. i L. B.

- Wielkie dzięki, Ramono. - Lolly wyciągnęła rękę, by dziewczynka mogła włożyć jej bransoletkę. - Będę nosić ją z dumą;

- I mam jeszcze zamiar - dodała Ramona, zawiązując sznureczki na przegubie Lolly - zapisać się do drużyny pływackiej YMCA w Nyack.

- Farciarze. Mają szczęście, że do nich dołączysz - uśmiechnęła się Lolly.

W powietrzu rozlegały się gwizdki i klaksony. Panował straszny zamęt. Wszyscy prowadzili dzieci do autokaru i prywatnych wozów. Jednakże nawet w tym zamęcie Lolly i Connor czuli łączącą ich niewidzialną nić. Przez te kilka letnich tygodni ich związek pogłębił

się i okrzepł. Connor zdawał sobie sprawę, że jest dla tej dziewczyny kimś nader szczególnie. Powiedziała mu, iż był pierwszym chłopakiem, który ją pocałował.

- Cieszę się - odrzekł wtedy. - Miło jest być pierwszym.

Oboje wiedzieli, że dziś wieczorem czeka ich inny pierwszy raz. Kiedy Lolly pomyślała o ich wspólnym planie, mogłaby przysiąc, że czuje napięcie tej niewidzialnej nici. Connor, który pomagał ładować bagaże do autokaru, też musiał coś wyczuć, bo nagle zamarł, odwrócił się i spojrzał na nią. Wymienili krótkie uśmiechy spiskowców i wrócili do swych obowiązków.

- Tatuś! Tatuś! - oszalały z radości Julian wymachiwał proporcem Żółtodziobów niby sygnalista kodu flagowego. - Connor, mój tata przyjechał! - wydarł się na całe gardło, porzucił chorągiew i ruszył biegiem przez największy ścisk.

- Szalony Profesorek - mruknął Connor do Lolly, kiedy szli przywitać Louisa Gastineaux.

Louis był solidnie zbudowanym, jowialnym mężczyzną w okularach o grubych szklach. Miał na sobie przydługie spodnie, podciągnięte mocno powyżej pasa i koszulę z krótkimi rękawami w bardzo dziwnym odcieniu żółci. Julian z podniecenia skakał na wszystkie strony, i oprowadzał ojca po obozie.

- Będziesz tęsknić za Julianem, prawda? - spytała Lolly.

- Tęsknię za nim, odkąd skończyłem jedenaście lat - mruknął Connor. - Chociaż to wariat.

- Cieszę się, że byliście razem tego lata. Może za rok tu obaj wróćcie.

Skrzywił się w uśmiechu.

- Może. Ale biorąc pod uwagę to, co mówili twoi dziadkowie, marne szanse.

Jego uśmiech znikł.

- O co chodzi? - spytała, raczej retorycznie.

Sama zauważyła Terry'ego Davisa, ojca Connora, który nadjeżdżał właśnie służbową półciężarówką. Julian, który szczerze polubił pana Davisa, pociągnął swojego tatę na jego spotkanie.

- Przepraszam cię na chwilkę - powiedział Connor i podszedł do nich.

Lolly patrzyła na nich z daleka. Dwóch ojców i dwóch synów. Wszyscy pokręceni i nie bardzo szczęśliwi. Wiedziała, że Connor kocha ojca, ale jego ból i wstyd z powodu alkoholizmu Terry'ego kładzie się cieniem na ich stosunkach.

- Czy to jest ten chłopiec, z którym umawiałaś się przez całe lato? - usłyszała Lolly. O, kurczę. Odwróciła się powoli i niechętnie.

- Cześć, mamó. Od kiedy tu jesteś?

- Od godziny, ale ty nie raczyłaś mnie dotąd zauważyć.

Matka Lolly miała nienagannie ułożone włosy i perfekcyjny makijaż. Była doskonale ubrana: odprasowana bawełniana sukienka, sandaalki na płaskiej podeszwie, markowe ciemne okulary i beżowa torebka od Coco Chanel. Lolly czuła się przy niej brudna i rozczochrana.

Uścisnęły się krótko.

- Chodź, mammo. Przedstawię ci Connora. Matka zeszywniała. Całą sobą manifestowała dezaprobatę.

- Nie uważam, żeby było to konieczne.

- Mój pierwszy prawdziwy chłopak, a ty nie chcesz go poznać? - Lolly otworzyła usta z niedowierzania.

- Kochanie, to bezsensowne. Jutro i tak będziecie już daleko od siebie.

- Wiem, co sobie naprawdę myślisz - odrzekła, naśladowując snobistyczny akcent matki, uczennicy elitarnej żeńskiej szkoły z internatem. - Uważasz, że twoja córka nie powinna pospolitować się z takimi osobnikami jak Connor Davis.

- Nie bądź niegrzeczna.

- No więc chodź i spotkaj się z nim. Mammo, on jest wspaniały. Wiem, że go polubisz. - Lolly urwała, gdy zobaczyła minę matki patrzącej na grupę otaczającą furgonetkę.

Connor - długowłosa i pozujący na chuligana. Obok - jego ojciec w drelichowym kombinezonie, ćmiący niedbale papierosa. Dalej - Szalony Profesor i jego dwurasowy syn. Widząc wyraz twarzy Pameli Bellamy, Lolly dała za wygraną. Jej matka nigdy nie polubi Connora, choćby nie wiadomo jak się starał. Nie warto zawracać sobie głowy niezręcznymi manewrami towarzyskimi.

- Muszę już iść - powiedziała. - Obiecałam, że pomogę przygotować przekąski na dzisiejszy wieczór. Zostało nam dużo jaj, więc musimy zrobić chyba z milion faszzerowanych.

Idąc do głównego budynku, starała się nie myśleć o niechętnych minach matki i skoncentrować się na nadchodzącym wieczorze. Po drodze zatrzymała ją przebiegająca obok Jazzy Simmons.

- Nie zapomnij zostawić włączonej kostkarki do lodu, przynajmniej dopóki nie napełnimy beczulek - szepnęła konspiracyjnie.

- Pamiętam o tym - odrzekła Lolly. Wieczorem miała odbyć się tradycyjna pożegnalna potańcówka dla personelu i całej kadry, a potem ognisko nad brzegiem jeziora. Przy takich okazjach na teren obozu przemyca się oczywiście hektolitry piwa. Lolly jednak nie zamierzała zaopatrywać imprezowiczów w lód. Oboje z Connorem zaplanowali, że wymkną w jakieś spokojne miejsce, gdy tylko zabawa się rozkręci. Nie było już dzieci do pilnowania ani nocnego patrolowania obozu, liczyli więc, że uda się im znaleźć choć trochę prywatności.

Mieli przecież plan. Postanowili, że tej nocy będą się kochać. Pierwszy raz w życiu.

Impreza nie zaliczała się do szczególnie męczących. Fakt posiadania chłopaka dodał Lolly pewności siebie. Nie podpierała już ścian, ale sama weszła na parkiet i zaczęła tańczyć.

Odkryła, że można śmiać się i bawić bez przejmowania się tym, co pomyślą sobie inni. Żałowała, że Dare i Frankie nie mogą jej zobaczyć. Niestety, wyjechały z Kioga poprzedniego dnia, żeby dolecieć na czas do college'u do Kalifornii.

Matka Lolly na szczęście spędzała tę noc w mieście, w luksusowym pensjonacie Pod Jesiennym Klonem. Lolly wiedziała już, że w drodze do domu matka nie zamieni z nią ani słowa na temat Connora Davisa. Taki już miała charakter. Uważała, że jeśli o czymś się nie mówi, to coś po prostu nie istnieje.

Tym razem Lolly była nawet z tego zadowolona. Nie miała bowiem pewności, czy zna słowa, którymi umiałaby wyrazić swoje uczucia do Connora. Nazywała to miłością, ale to nie oddawało w pełni jej emocji. Czuła, że w jej ciele szaleje tornado. Że pustoszy je pożar. Te dwa kataklizmy zderzały się ze sobą w szalonym tańcu, a ona miała wrażenie, że za chwilę uniesie się w powietrze. Gdy piosenka się skończyła, Connor poszedł zdobyć coś do picia, a Lolly, wciąż oszołomiona, została na parkiecie.

Raptem stanęła przed nią Jazzy Simmons w opadających z bioder bojówkach i topie, odsłaniającym ramiączka biustonosza. Jak zwykle najpierw w polu widzenia pojawiły się jej piersi, a dopiero potem ona sama. Wystarczył jej jeden rzut oka na Lolly.

- O kurde, ty poważnie masz zamiar to zrobić, co? - wypaliła.

- Przymknij się, Jazzy. - Lolly, która wciąż unosiła się w powietrzu, nie dała się wyprowadzić z równowagi.

- Lolly Bellamy, ty zdiro jedna! Masz zamiar przyhaczyć sobie Connora Davisa. Jazzy przez całe lato gryzła się tym, że Connor wybrał dla siebie Lolly, a nie ją.

- Lolly i Connor - powiedziała, obejmując chłopaka o imieniu Kirk. - To coś, na co chciałabym popatrzeć.

- A kto by nie chciał - zachichotał złośliwie Kirk.

Lolly nie zwracała uwagi na ich zaczepki. Całą jej uwagę pochłaniała rozkoszna i przerażająca jednocześnie świadomość, że za chwilę wymkną się z Connorem. Kiedy towarzystwo szło nad jezioro, żeby rozpalić ognisko, wiatr przywiał ławicę delikatnych obłoczków, które przesłoniły księżyc. Drżąca z obawy i niecierpliwości Lolly ruszyła na spotkanie z Connorem.

Mieli swoje ulubione miejsce przy wodospadzie. Spadająca woda wyłobiła tam głęboką nieckę, w sam raz do pływania. Blask księżyca przenikał przez sklepienie drzew, a monotonny szum wody uderzającej o głazy napełniał powietrze dziwną, ale uspokajającą muzyką. Connor już tam był. Lolly przez chwilę wydało się, że wygląda dziwnie ponuro, z twarzą pogrążoną w cieniu, podczas gdy jego wysoka sylwetkę okalało światło księżyca na tle mgły i spadającej wody.

- Nie byłem pewien, czy przyjdiesz - powiedział, gdy zauważył zbliżającą się Lolly. Z powodu wspinaczki trochę brakowało jej tchu.

- Oczywiście, że przyszedłam - mówiła dziarskim tonem, ale czuła się jednak zawstydzona i niepewna. - Czy... eee... przyniosłeś coś ze sobą?

- Oczywiście. - Rozścielił gruby wojskowy koc i postawił na nim dwie puszkę z piwem oraz małe prostokątne pudełeczko. Prezerwatywy.

O, Boże, pomyślała Lolly. Naprawdę to zrobimy.

- Usiądź - powiedział Connor łagodnie. - Nie ma pośpiechu.

Otworzył puszkę i podał ją Lolly.

- Skąd to wzięłeś? - spytała, siadając po turecku na kocu.

- A jak myślisz? - zaśmiał się krótko. - Mój tata ma niewyczerpane zapasy.

Lolly pociągnęła łyk, krzywiąc się lekko. Nie lubiła smaku piwa, ale robiła wszystko, żeby choć trochę opóźnić to, co ma się stać.

- O czym rozmawialiście dzisiaj po południu? Ty, twój ojciec i profesor Gastineaux?

- Nie wiem. Louis dziękował mojemu tacie. A on płaszczył się jak zwykle przed obcymi i powtarzał, że się cieszy, że mógł zrobić przynajmniej tyle.

- W głosie Connora pobrzmiwała irytacja.

- Ale on naprawdę miło się zachował wobec Juliana.

- Taak. A teraz przypuszczalnie znowu się zalewa, żeby uczcić to, jak miło się zachował, chociaż jeszcze dobrze nie wytrzeźwiał po poprzednim razie. Poprzytykałem się z nim dzisiaj o to, bo uparł się, że pojedzie na bilard do Hilltop Tavern.

Lolly nie wiedziała, jak zareagować. Zdawała sobie sprawę, że tu wcale nie chodziło o bilard. Pan Davis pił, a potem siadał za kierownicą. Mogła powiedzieć jedynie:

- Przykro mi.

- Nie ma sprawy. Ale ja też nie mogę być ciągle jego aniołem stróżem. -

Zdenerwowany Connor sięgnął po piwo. - Widziałem dzisiaj twoją mamę. Stała koło ciebie - zmienił temat.

Lolly zaskoczyło to, że to zauważył.

- Przyjechała z miasta dzisiaj rano.

- Jesteś do niej podobna.

- Akurat. - Z niedowierzaniem wzruszyła ramionami.

- A niby jak się domyśliłem, że to twoja mama?

- Znowu przyłożył puszkę do ust. Lolly usłyszała, jak mu zabulgotało w gardle. -

Dlaczego mnie nie przedstawiłaś?

Ojej!

- Moja mama... nie jest specjalnie miłą osobą - odpowiedziała z płonącymi policzkami.

- Phh - prychnął. - Dobrze wiesz, że to żaden powód. Słuchaj, jeśli się wstydzisz, że widzisz się ze mną...

- No już bardziej pomylić się nie mogłeś - wtrąciła szybko. - Wstydzisz się? Ciebie? Kurczę, Connor, ja budzę się co rano i szczypię się, żeby sprawdzić, czy ty mi się nie śnisz! Przysięgam, nie wstydzę się ciebie, tylko...

- Tylko co?

- Moja mama. Ona strasznie łatwo osądza ludzi. Nie chciałam, żeby nagadała ci jakichś nieprzyjemności, więc nawet nie naciskałam, żeby do ciebie podeszła. Jasne? A tak przy okazji. To ty powinieneś się wstydzisz tego, że pokazujesz się ze mną.

- Co, do cholery, masz na myśli?

- Daj spokój, Connor. Wydaje ci się, że nie słyszałam, jak chłopaki śmieją się z ciebie, że chodzisz z beczką sadła?

- Mają niedobrze w głowach - odpowiedział.

- I moja mama też - westchnęła. - Chciałabym... Nie była pewna, czego by chciała. Mieć inną matkę?

Albo tego, żeby Terry Davis stał się lepszym ojcem? Zamilkła. Przez kilka minut oboje siedzieli w ciszy. To wystarczyło, żeby powoli zaczęło opadać z nich napięcie. Lolly pociągnęła jeszcze trochę piwa ze swej puszki. Nawet po takiej odrobinie poczuła przyjemne ciepło i lekki szum w głowie.

- Wiesz, czego najbardziej się boję w związku z pójściem do college'u? - spytała. - Tego, że będziemy tak daleko od siebie.

- Będziemy się widywać.

- Jakoś nigdy dotąd nie rozmawialiśmy o tym naprawdę.

Tak było. Jeszcze ani razu nie zastanawiali się wspólnie, co będzie z nimi po wakacjach. Lolly marzyła, że czas staje w miejscu, a reszta świata znika i zostają tylko oni dwójce, jak biblijni Adam i Ewa. Albo wyobrażała sobie wspólne życie w mieście. Ona by studiowała, on znalazłby pracę, a wieczory i noce mieliby dla siebie. To by było wspaniałe. Wzruszył ramionami.

- Jeśli ludziom na czymś zależy, zawsze znajdzie się jakiś sposób.

- Mnie zależy. Jesteś dla mnie wszystkim. Kocham cię, Connor - wyrzuciła z siebie.

O rany! Zagalopowała się i powiedziała to głośno. Postawiła go pod ścianą. Jeśli teraz on powie jej to samo, będą to tylko słowa.

Ale nie. Nie zrobił tego. Powiedział za to coś dużo ważniejszego, jeśli w ogóle jest sens mierzyć takie rzeczy.

- Nie zasłużyłem na ciebie, Lolly. A bardzo chciałbym. Bo ty... widzisz, ty masz wobec mnie tyle oczekiwań! Nie przywykłem do czegoś takiego. Nie wiem, czy umiem je spełnić. Jeszcze nikt na świecie niczego ode mnie nie oczekiwał. Nigdy. No, może z wyjątkiem tego, żebym przestał się naprzykrzać. A tu nagle ty chcesz, żebym stał się częścią twojego życia. To dla mnie... niesamowicie ważne. Nie masz pojęcia, jakie ważne.

- Nie chcę cię do niczego zmuszać - powiedziała.

- To nie tak. Takie... zmuszanie... jest w porządku. Ja to widzę tak: jeśli ktoś od ciebie czegoś oczekuje, to znaczy, że w ciebie wierzy. A w całym moim życiu uwierzyła we mnie tylko jedna osoba: ty, Lolly.

Pocałował ją. Mocno i namiętnie.

Lolly poczuła, że cała staje w ogniu. Bała się, że zaraz wybuchnie i nie będzie czego zbierać. Przez całe lato zmierzali do tego nieuniknionego i wymarzonego momentu, a teraz była przerażona.

Mówiła sobie: przestań! Przecież to Connor, a cała reszta była... przeszłością. A jeśli nie była, to zaraz będzie. Zawsze słyszała, że należy zachować siebie dla osoby, którą się kocha. Jeśli to, co czuje do Connora, nie jest miłością, to czym do diabła jest ta miłość?

Pragnęła go całym sercem, co wcale nie znaczy, że było jej łatwiej. Connor musiał to wyczuć, bo przestał ją całować i odsunął się.

- Słuchaj, jeśli nie chcesz...

- Chcę! Przysięgam! Ja... potrzebuję tylko jeszcze paru minut. - Objęła go za szyję i wzięła głęboki wdech.

Jego włosy pachniały świeżością, niczym nocne powietrze. Przez las przeszedł gorący powiew. Wierzchołki drzew poruszyły się i Lolly ujrzała blask ogniska płonącego nad brzegiem w dole. Poczowała lekkie ukłucie niepokoju. Co będzie, jeśli ktoś zauważy, że ich tam nie ma?

Connor odsunął się jeszcze dalej.

- Jesteś jeszcze bardziej spięta niż przed chwilą - powiedział. - Jeśli się rozmyśliłaś, zrozumiem.

- Nie o to chodzi. Ja... Ja po prostu trochę się wstydę. A właściwie to bardzo.

Nie umiała tego lepiej ująć. Jak inaczej miała wytłumaczyć swoje onieśmienie?

- Wiesz co? - Connor zrobił zabawną minę. - Myślę, że powinniśmy trochę popływać.

- Mówisz o... - głośno przełknęła ślinę - ...pływaniu na golasa? Tutaj? Teraz?

- Oczywiście.

Pływanie nago było niepisaną obozową tradycją, uprawianą wśród chichotów pod głęboką osłoną nocy.

- Nigdy tego nie robiłam - przyznała się. - Jestem... zbyt nieśmiała.

Powinien się tego domyślić. Przecież słyszał, jak jej dokuczali.

Ile razy w upalne wieczory leżała tu sama, umierając z pragnienia, żeby sprawdzić, jak to jest, kiedy pływa się bez kostiumu i woda dotyka każdego skrawka skóry.

Connor pociągnął kolejny łyk piwa i potrząsnął głową.

- Tu przecież nie chodzi o to, żeby się sprawdzić. Denerwujesz się, bo wszystko dzieje się szybko i w tajemnicy, i chcesz mieć już to za sobą. No więc jak? - mówił cichym, niskim głosem, niemal szepcząc. - Jak... teraz?

- Co: jak teraz? - zapytała, chociaż dokładnie wiedziała, o co ją pyta.

- Czy czujesz się jeszcze onieśmielona? - Wyprostował się i odstawił puszkę.

- Nie wiem, czy kiedykolwiek uda mi się to zwalczyć.

Nie spuszczał z niej wzroku, wyciągnął rękę i rozpiął górny guzik jej bluzki.

- Lolly, jest ciemno i nie ma tutaj nikogo oprócz nas.

Bała się drgnąć. Przez chwilę zapomniała, jak się oddycha. Connor sięgnął do następnego guzika.

Serce waliło jej tak, jakby za chwilę miało wyskoczyć spod żeber. Ale gdy spojrzała na jego rękę, wszystko wyglądało normalnie. Przynajmniej na tyle, na ile normalnie wygląda pierwszy chłopak, który zdejmuje ci bluzkę i stanik. Nie panikuj, powiedziała sobie. Poddawaj się uczuciom. W ciemności Lolly czuła się bezpieczniej. W ciemności i w jego ramionach. Była przekonana, że dopóki Connor trzyma ją w objęciach, nie spotka jej nic złego. Z nim wszystko pójdzie dobrze, nawet jeśli po drodze trafią się chwile niezręczności i zakłopotania. Ale i tak myślała, że umrze, kiedy usłyszała jego szept:

- Wstań, Lolly, żebym mógł to z ciebie zdjąć.

Zsunął jej szorty. Odebrało jej dech i zapomniała o zażenowaniu i wstydzie.

Zapomniała właściwie o wszystkim, oprócz tego, że kocha Connora Davisa.

Przedziwne. Stała przed nim nago i nie czuła żadnego strachu. Zaczęła się bać, dopiero kiedy Connor sam zaczął się rozbierać. Widywała go bez koszuli milion razy wcześniej, lecz gdy rozpiął rozporek, wpadła w panikę.

Musiał to wyczuć, bo szybko skoczył do jeziora i zanurkował. Wynurzył się po chwili, rozpryskując wodę, która zaślniła w świetle gwiazd.

Dobra. Pora na mój ruch, pomyślała Lolly. Ale zanim zdążyła drgnąć, wśród drzew mignęły błyski latarek. Connor patrzył w tamtą stronę, niemalże jakby oczekiwał takiego biegu rzeczy.

Jakby wcześniej to zaplanował.

W parę sekund później banda pijanych i rozochoconych drużynowych wychynęła spomiędzy drzew. Wydając bojowe okrzyki, z przeraźliwą dokładnością wycelowali latarki wprost w Lolly. Wszystko, co zdarzyło się potem, przetrwało w jej pamięci jako rozmazana plama. Pamiętała tylko krzyki i rozpaczliwe szukanie czegoś - czegokolwiek, czym mogłaby się okryć. Nie miała pojęcia, skąd wziął się kłujący koc na jej ramionach.

Wokół rozbrzmiewał ogłuszający śmiech. Nie widziała Connora. Może nie chciał, żeby ktoś go dostrzegł? Teraz nie miało to znaczenia. Nie chciała widzieć ani jego, ani nikogo. Nigdy więcej. Popędziła przed siebie, boso po najeżonej kamieniami ziemi.

Kioga zamyka swoje podwoje

Obozowisko Kioga, od lat działające w okolicach Avalon, zostanie niedługo zamknięte. Założone w 1932 roku przez Angusa Neila Gordona jako letnisko dla rodzin z miasta, od dawna służyło młodzieży. Całe pokolenia młodych ludzi uczyły się w Kioga, jak żyć na łonie dziewiczej przyrody. Miejsce słynie z pięknego krajobrazu - na jego terenie znajdują się dzikie jezioro, wodospad i zarośnięte prastarymi drzewami góry.

Obecnie pieczę nad pięćdziesięciohektarowym terenem pośród pierwotnej dziczy sprawują Jane Gordon Bellamy i jej mąż, Charles Bellamy. Pani Bellamy pytana przez naszego reportera o przyszłe plany związane z jej posiadłością, stwierdziła: „Mamy nadzieję zachować ją w rodzinie, o ile to będzie możliwe”.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Olivia była pełna złych przeczuć. Po co przyjechała tu dziś wieczorem? Po co go szukała? Nie była zresztą pewna, czego właściwie szuka. Czy chce zamknąć sprawy z przeszłości czy otworzyć nowy rozdział? A może po prostu pragnie uzyskać odpowiedź na kilka pytań, które dopiero się pojawiły?

- Sam wiesz, co się stało, kiedy ostatnio próbowaliśmy to zrobić - przypomniała Connorowi.

- A teraz jesteśmy tu znowu i mamy przed sobą drugą szansę.

Pochylił się i pocałował ją delikatnie, niemal niewinnie. Ale w jej odpowiedzi nie było nic niewinnego.

- Mamy szczęście - mruknęła, kiedy oderwała się w końcu od jego ust.

Connor nie przerywał pracy. Po chwili rozpięta bluzka Olivii rozchyliła się. Nagą skórę owionęło gorące powietrze nocy. Olivia poczuła na sobie czuły wzrok Connora. Zastanawiała się, czy on wie, jak mocno bije jej serce. Czy widzi tę pojedynczą kroplę potu, ściekającą po jej szyi między piersi? Widział.

Wyciągnął rękę i powiodł palcem po wilgotnym śladzie.

- Gorąca noc - mruknął i rozpiął haftki jej stanika.

- Uhm. - Nie zrobiła żadnego ruchu, żeby go powstrzymać.

Nieudane romanse nauczyły ją jednego: jeżeli jest ci przyjemnie, nie próbuj w to ingerować. Pozwól po prostu, aby to się działo. Nie czas na myślenie, analizowanie i rozumowanie. Nastała pora na zwykłe fizyczne odczucia.

- Nie powinnaś nosić nigdy żadnych ubrań - oświadczył Connor. - Przenigdy.

- Że co proszę?
- Po co to wszystko zakrywać?
- Myślałam, że nie chcesz ze mną...
- A dlaczego tak myślałaś?

Nie mogła uwierzyć, że o to pyta. W tamtą noc po wypadzie do miasta praktycznie błagała go o seks, a on wycofał się w pół drogi bez żadnego wyjaśnienia. Jej domysły nie prowadziły do przyjemnych wniosków. Pojawiły się wątpliwości. Podejrzenia. Nieufność. Wróciły niedobre chwile, utrwalone w pamięci. Jednocześnie to wszystko przyćmiewała paląca potrzeba - nie tyle bliskości i intymności, ile po prostu jego silnego uścisku i dotyku warg na jej ustach.

Zastanawiała się, jak on pamięta tę noc. Jeśli w ogóle o niej myślał. Tego lata dowiedziała się, że pamięć to delikatne tworzywo, zależne od tego, jak sami postrzegamy rzeczywistość.

- Po tym dniu w Nowym Jorku - przypomniała mu. - W nocy prawie rzuciłam się na ciebie, a ty pokazałeś mi drzwi.

Connor roześmiał się. Roześmiał się!

- Nie wierzę własnym uszom - powiedziała, otulając się bluzką. - Uważasz, że to śmieszne?

- Jak cholera. Założę się, że tamtej nocy pobiłem rekord obozu w staniu pod zimnym prysznicem. Nie mogłem się... no wiesz. Więc nie żartuj.

- To dlaczego...

- Przypomnij sobie, jak się czułaś po rozmowie z ojcem. Nie chciałem cię wykorzystywać.

Och! Czy on naprawdę powiedział to, co myśli? Chyba nie mówił tego poważnie. A może?

- Chyba mi pani nie dowierza, panno Bellamy.

- Zastanawiam się, czy jest w tym jakiś haczyk, czy mówisz prawdę.

- Dobra. Spróbujmy to wyprostować. Tamtej nocy w przyczepie pragnąłem cię aż do bólu. Kiedy przystopowaliśmy, mało brakowało, żebym poryczał się jak dzieciak. Żaden zdrowy na umyśle facet nie wystawia się na taką torturę. A z tego wynika, że gdy chodzi o ciebie, Lolly, tracę zdrowe zmysły. Jesteś dla mnie zbyt ważna. I nie zrobię nic, dopóki nie nabiorę pewności, że to będzie jednakowo dobre dla nas obojga, nawet jeśli miałbym przez to oszaleć! A jeśli myślisz, że to jest haczyk, to myśl sobie tak dalej.

Oniemiała. Gapiła się na niego z otwartymi ustami. Pewnie, że liczyła na jakieś deklaracje, ale czegoś takiego się nie spodziewała.

Pochylił się i ujął jej głowę w obie dłonie, a potem pocałował ją z zaskakującą delikatnością. Ale już po chwili napierał na nią całym ciałem. Olivia wygięła się w łuk i

zneruchomiła w oczekiwaniu. On jednak nie przejawiał najmniejszych choćby oznak pośpiechu. Po prostu obnażył ją do pasa. Miała ochotę rzucić się na niego, on jednak wydawał się zainteresowany tylko pocałunkami. Jego język delikatnie przesuwał się po jej wargach i wchodził głębiej w jej usta powolnym, zniewalającym ruchem, którym kompletnie ją zahipnotyzował.

Wreszcie przestał.

- Chodźmy popływać - zaproponował niespodziewanie i wyciągnął rękę, żeby pomóc jej wstać.

Nie. Olivia czuła, że każda komórka w jej ciele wydaje głośny jęk protestu.

Umierała z żądzy, a on proponował pływanie?! Może zmienił zamiar? Może mu się odechciało? Może ten pocałunek uświadomił mu, że wcale jej nie pragnie?

Jednym szybkim ruchem ściągnął z siebie koszulę.

- No jak? - zagadnął.

- Ty naprawdę tego chcesz, czy to tylko taka zagrywka, żebym się rozebrała?

Dotknął jej nagiego brzucha, przesuając lekko palce po skórze ponad górnym brzegiem jej szortów.

- Misja nie została w pełni wykonana. - Rozpiął guzik jej szortów i patrząc jej w twarz, powoli rozpinał suwak. - Posłuchaj, Lolly. Zaproponowałem ci pływanie - powiedział - bo jeśli teraz dobierzemy się do siebie, wszystko skończy się... za szybko. - Przeniósł palec na jej plecy. - A tak przy okazji. Nie wiem, czy zauważyłaś, ale to był komplement.

Mówiąc to, zrzucił z siebie resztę ubrania i wskoczył do wody.

Olivia skoczyła za nim sekundę później. To było wspaniałe uczucie. Ścigali się z Connorem w wodzie, zataczali kręgi wokół siebie bez żadnego widocznego zamysłu, chlapani się, nurkowali i wypływali na powierzchnię dla zaczerpnięcia tchu. Wiszący nad nimi księżyc osrebrzał każdą zmarszczkę wody, a gdy Olivia uniosła głowę, wydało jej się, że gwiazdy powoli wirują. Podpłynęła do Connora i obydwójce wzięli się za ręce, utrzymując się na powierzchni jedynie dzięki ruchom nóg.

- Chciałem to trochę spowolnić - powiedział.

- I jak wyszło? - Prześliznęła się po wodzie bliżej niego, póki nie chwycił jej w ramiona.

- Nie za bardzo. - Pocałował ją mocno i gwałtownie.

Olivia doznała czegoś w rodzaju szoku. W całym ciele czuła kłująco słodkie pożądanie, tak potężne, że niemal sprawiało jej ból.

Odchyliła się na tyle, by móc wyszeptać:

- Wyjdźmy wreszcie z tej wody.

To było zarazem cudowne i przerażające: stała na wprost niego, ociekając wodą, i pragnęła go tak mocno, że aż mącił się jej wzrok. Dziwne. Niezręczne. Zniewalające. Ale gdy

ją znów pocałował, zapomniała słów. Liczyło się tylko to, że wreszcie jest razem z nim, że może go dotykać, że czuje jego mięśnie pod chłodną gładkością skóry.

Kiedy osuwali się na rozścielone na piasku ręczniki, przyszło jej na myśl, że za chwilę wszystko między nimi się zmieni. Wtedy Connor z komiczną niemal pieczołowitością wyciągnął spod jednego ręcznika paczuszkę prezerwatyw.

- Zapobiegliwy jak zwykle - mruknęła rozbawiona.

- Nie wyobrażaj sobie, że chcę cię mieć tylko raz tej nocy, Olivio - odrzekł, unosząc się nad nią, wsparty o podłóżę jednym łokciem.

Leżała na plecach, patrząc na Connora i na gwiazdy, i czuła się całkowicie zdana na jego łaskę i niełaskę. Ale mu ufała. Bezgranicznie. A tym wszystkim, co zdarzyło się kiedyś, zajmą się później.

Wreszcie zrozumiała coś, z czego przedtem nie zdawała sobie sprawy: właśnie trzymała w ramionach powód swoich poprzednich romansowych niepowodzeń.

Z tamtymi trzema czepiała się desperacko nadziei, że tym razem na pewno jej się uda, a potem coś rozpraszało tę iluzję. Nie ma mowy o miłości, kiedy człowiek za mocno się stara. Z Connorem wszystko wyglądało inaczej. Wcale nie musiała się starać.

RS

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Connor oczywiście chciał uwieść Olivię, ale nie oczekiwał, że zdarzy się to tej nocy, pośród dzikiej przyrody, po długim dniu pracy. Wmawiał sobie, że trzeba czekać, aż ona wyjdzie już z emocjonalnego kryzysu. Dopiero teraz zaczynał rozumieć, że gdyby czekał na odpowiedni czas i odpowiednie miejsce, odpowiedni moment mógłby nigdy nie nadejść.

Connor pochlebiał sobie, że w gorących chwilach zawsze udaje mu się zachować samokontrolę. Z Olivią prawie nie był do tego zdolny. Uczucia kipiały w jego sercu jak wrzątek, a on nie był w stanie ich powstrzymać. Nie mógł oprzeć się żarowi letniej nocy, zapraszająco chłodnej wodzie i samej Olivii - nagiej, chętnej i pięknej. Przypomniało mu się wszystko, co dawno zostawił za sobą, a co było wciąż obecne w jego marzeniach.

W końcu się kochali. Przez całe życie myślał o tym częściej, niż chciałby się do tego przyznać. Kochali się, i w niczym nie przypominało to fantazji, które chodziły mu po głowie. To było od nich lepsze. Olivia była cudowna jak zawsze, zabawna i uczuciowa, a co więcej - nieprawdopodobnie pociągająca.

Zimna woda w jeziorze niewiele dała. Connor upominał się dosłownie co chwila. Wyhamuj. Zwolnij. Rób to mniej pospiesznie. Może i nie był dżentelmenem, ale miał zasady. Paniom należy robić przyjemność przede wszystkim. Zawsze i bez wyjątków. Na szczęście Olivia pragnęła go równie mocno, jak on jej. Jęki rozkoszy, które usłyszał z jej ust, odbijały się echem w całym jego ciele. Całował ją, smakował, długo i wnikliwie pieścił jej nagą, gładką skórę i wreszcie - o! wreszcie! - zanurzył się w niej w chwili tak doskonale wymierzonej, że nie dałoby się nigdy tego zaplanować.

Był ciekaw, czy ona doświadczyła tego samego palącego pędu w całym ciele, co on. Sądząc z jej okrzyków i tego, jak ścisnęła go długimi, gładkimi nogami - owszem, razem wylądowali na tym samym brzegu.

Nie wiedział, ile czasu minęło, zanim poczuł, że znów może się poruszyć. Niechętnie wyplątał się z jej objęć. Oboje milczeli. Pomyślał, że to dobry znak. Paplanina zawsze jest oznaką zdenerwowania albo żalu. A cisza... cisza zawsze niesie nadzieję. Nawet w tej chwili czuł, że jego pożądanie unosi go niemal w powietrze.

Olivia wydała z siebie ciche westchnienie i przytuliła się do Connora. Wszystko było w niej miękkie: skóra, ciało i włosy - dalej wilgotne i pachnące wodą.

Connora ogarnęła nieznana dotąd czułość. Olivia poruszyła go do głębi nie tylko dlatego, że była urocza i pociągająca jak wszyscy diabli. Była też kimś, kogo znał przez połowę swego życia, nawet jeśli spotykali się tylko latem.

Jakie miał szanse, że tego właśnie od niego oczekiwała?

„Potrzebuję dobrego seksu, żeby o wszystkim zapomnieć, i męskiego ramienia, żeby się na nim wypłakać”. Tak powiedziała, może tylko półzartem? Ale jeśli mówiła serio, czy to mu wystarczy?

Jest lato, przestrzegł sam siebie. Lato, które może skończyć się tak, jak tamte dawno minione. Koniec wakacji i każdy idzie własną drogą. Tak działo się dotąd.

Chwileczkę, pomyślał. Tak się zdarzało w przeszłości. A przyszłość? To zupełnie inna sprawa. Ich wspólna sprawa. Może tym razem im się uda.

Przebywali już na wysepce od tylu godzin, że widzieli nie tylko wschód, lecz i zachód księżyca. W pewnej chwili Olivia, układając głowę na zgiętym ramieniu, spojrzała na Connora z wyrazem twarzy pełnym błogości, płynącej z zaspokojonego pożądania. Nie mógł się nie uśmiechnąć na ten widok.

- Co w tym śmiesznego? - spytała.

- Nic. Jestem szczęśliwy, to wszystko.

Przeciągnęła się rozkosznie i pogłaskała go po ramieniu i piersiach.

- Naprawdę?

- Nie potrzeba dużo, żebym poczuł się jeszcze szczęśliwszy - mruknął, odpakowując następną prezerwatywę.

- No? - droczyła się z nim. - To czego ci potrzeba?

Tym razem darowali sobie grę wstępną. Connor zrozumiał, że łączy ich ta sama wybuchowa zmysłowość, jakiej doświadczyli jako nastolatki. Wtedy jednak ich emocje były zbyt silne i kłopotliwe. Można było przewidzieć, że źle się to skończy. Żadne z nich nie umiało wtedy udźwignąć takiej pasji. Teraz wszystko odbywało się tak, jak chciał. Jak chcieli oboje.

- Uważam - powiedziała, kiedy skończyli - że to zadowalająca odpowiedź na moje pytanie.

Mógłby pozostać tu przez całą wieczność, kochając się z nią, odpoczywając, śpiąc i znowu się kochając. Gdy byli ze sobą w ten sposób, nie liczyło się, ani kim są, ani skąd pochodzą. Dopasowali się do siebie. Nie miał pojęcia dlaczego. Nie wiedział, jak długo to potrwa. Wolał wierzyć, że nigdy nie przestaną potrzebować siebie nawzajem.

- Czy mi się wydaje - zapytała - czy to rzeczywiście było takie... niewiarygodne? Zachichotał.

- Nie wydaje ci się. Liczyłem na to, że oboje będziemy w tym nieźli.

- Liczyłeś? Tak?! - Uniosła się na łokciu. Chociaż jej twarz skrywał mrok, Connor wyczuwał gniew w jej głosie.

- I za to jesteś na mnie teraz wściekła?

- Dlaczego czekałeś prawie całe lato, żeby... żebyśmy...!

- Ja też chciałbym to wiedzieć. - Przewrócił ją na wznak na ręcznik plażowy i uśmiechnął się prosto w jej twarz. W blasku księżyca wyglądała blado i była taka bezbronna.

- Olivio, możesz mi wierzyć, że miałem to w planach. Niekoniecznie na tę noc, ale uważałem, że powinienem tego dokonać.

- Dlaczego? - Przyglądała mu się spod przymrużonych powiek.

Zrozumiał, że zaraz padnie pytanie, które zawsze zadają kobiety: „Czy kochałeś się ze mną dlatego, że naprawdę mnie kochasz?”

Nie spytała go o to. Usiadła i zaczęła wciągać szorty. Connor powstrzymał jęk rozczarowania. Wypatrzył tatuaż na jej plecach.

- Seksowny motylek - stwierdził.

- Freddy i ja daliśmy się wytatuować z okazji ukończenia college'u - wyjaśniła.

- On też ma różowego?

- Jestem pewna, że pozwoli ci na niego popatrzeć, jeśli go o to miło poprosisz.

- Nigdy nie bywam dla niego miły.

- Zauważyłam. Wszyscy zauważyli.

- To dlatego, że jestem o niego zazdrosny. Zaśmiała się, zakładając biustonosz.

- O Freddy'ego? Dlaczego?

- Bo ty go kochasz - wypalił Connor. - Bo on jest częścią twojego życia.

Olivia zamarła z do połowy zapiętą bluzką i zagapiła się na niego.

Powiedział za dużo, odsłonił przed nią zbyt wiele. Podniósł się szybko i wciągnął na siebie dzinsy. Okazał się idiotą. Powinien był poczekać, dać sobie czas na sprawdzenie, co - oprócz rzeczy oczywistych - łączy Olivię z Freddyem. A ona teraz milczała i przypuszczalnie była na niego wściekła.

- Nie mam jeszcze całkowitej pewności - oświadczyła w końcu - ale myślę, że to najlepszy żart, jaki od ciebie usłyszałam.

- To wcale nie żart. - Uśmiechnął się z ulgą.

No dobra, może się mylił. Może ten słowny strzał w jej kierunku nie był aż tak wariacki, jak mu się wydawało.

- A ty wiesz, co naprawdę mnie w tobie wkurzało na początku lata?

Zaśmiała się.

- Wszystko.

- Aha. To też. Ale najbardziej wkurzyło mnie to, że kiedy mnie zobaczyłeś po raz pierwszy, nie raczyłeś mnie rozpoznać - parsknęła.

- Nie przyszło ci do głowy, że może udawałem durnia?

- Boże, Connor. Jeśli tak było rzeczywiście, to jeszcze gorzej.

- Słuchaj! - Objął ją w pasie i przyciągnął do siebie tak, że ich ciała spotkały się w okolicach bioder. - Tamtego dnia to ty nie grałaś uczciwie. Wszystko w tobie się pozmiało, nawet imię.

- Może to zawsze był problem? Żadne z nas nie grało do końca uczciwie? - szepnęła.

Nie mógł się opanować. Pochylił się i pocałował ją ponownie. I znowu zapragnął jej całej, jeszcze raz. Jego usta przesuwaly się po jej twarzy, szyi, schodziły niżej, póki nie odepchnęła go lekko rękami i nie cofnęła się o krok.

- Powinniśmy już iść - powiedziała cicho.

- Dlaczego?

- Bo... Nie mam pojęcia - zaśmiała się i cofnęła o krok. - Bo już prawie świta.

Och, pomyślał Connor, Olivia okazała się pod wieloma względami graczem bardziej doświadczonym od niego. Kontrolowała emocje lepiej niż on. Nauczyła się opancerzać. Wiedziała, że niektórzy faceci nadają się tylko do tego, by się z nimi przespać.

Powinien był czuć się zaszczycony jej odpowiedzią. Zamiast tego jednak czuł się wewnętrznie pusty. Może nawet spisany przez nią na straty. A przecież po raz pierwszy w życiu chciał być dla kobiety kimś więcej niż tylko partnerem na jedną noc.

RS

Właściciele Kioga obchodzą swe złote gody

Charles Langston Bellamy i Jane Gordon Bellamy, wieloletni posiadacze tytułu własności legendarnego Obozu Kioga nad Wierzbowym Jeziorem, powracają do niego w przyszłym tygodniu na uroczystość pięćdziesiątej rocznicy zawarcia małżeństwa. Ich ślub odbył się 26 sierpnia 1956. Następne lata spędzili, prowadząc obóz, założony przez dziadka pani Bellamy, Angusa Gordona, w roku 1932. Obóz zawiesił działalność w 1997, chociaż posiadłość ta nadal pozostawała własnością rodziny Bellamych. Tegorocznego lata dokonano tam gruntownej odnowy przed mającą się odbyć uroczystością. W przyszłą sobotę krewni i przyjaciele państwa Bellamych będą mogli cofnąć się w czasie, świętując złote gody tej pary. Ceremonię uświetnią dzieła mistrzów sztuki kulinarnej, występy muzyczne na żywo i wierna replika oryginalnego tortu weselnego z piekarni Sky River.

Trwają liczne spekulacje, dotyczące dalszych losów Obozu Kioga po zakończeniu bieżącego sezonu. Niestety, od państwa Bellamych nie udało się nam uzyskać żadnego komentarza. Nie udało nam się do nich dotrzeć.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Julian, przemierzając teren obozu, zauważył, jak bardzo odmieniło się to miejsce. Kioga wyglądała teraz jak obrazek z książki lub broszury reklamowej ze swymi ładniutkimi chatkami i świeżo przystrzyżonymi trawnikami. Widać było, że ktoś zadbał o zieleńce, a chodniki i dróżki pokryły się nową warstwą żwiru. Jasnoczerwone geranium i ciemnoliliowe lobelie wyrastały ze skrzynek pod oknami. Swoją drogą Julian poznał nazwy tych wszystkich roślin, bo sam odcisnął sobie tyłek, pracując nad nimi. Przedtem nie potrafiłby chyba odróżnić nagietka od bławatka, nawet pod groźbą więzienia.

Szedł na śniadanie, a każdy krok wydawał się wznosić go w powietrze. Obudził się jeszcze przed nastaniem świtu, mógł więc dokończyć wcześniej swą robotę i udać się do New Paltz, by pouprawiać wspinaczkę na skałkach Shawangunks. Było to coś, czego pragnął od początku lata. Na plecach niósł „horolezkę”, wewnątrz której pobrząkiwał ekwipunek, wypożyczony ze składu sprzętu sportowego: mitenki, karabińczyki, podciąg, wibratory, kask, uprząż i kreda. Miał na sobie luźne bojówki i jeden ze starych T-shirtów ojca. Po śmierci Louisa Gastineaux ciotki Juliana próbowały porozdawać wszystkie jego przechodzone, stare koszulki, w większości darmówki, rozdawane na zjazdach naukowych. Julian zachował ich trochę dla siebie. Lubił je nosić. Miał wrażenie, że przynoszą mu szczęście. Dzisiaj włożył tę z napisem: „PROCH WYMYŚLE, DYNAMIT RÓWNIEŻ”.

Natknął się na Connora, prowadzącego minikoparkę do swej ciężarówki. Po zakończeniu większości robót nadszedł czas na wywiezienie ciężkiego sprzętu z obozu.

- Hej! - powiedział Julian.

Connor zamocował hol między autem a maszyną i wyprostował się.

- Cześć, mały.

- Tak sobie myślałem, czy pożyczysz mi swoją brykę, ale, hm, wygląda na to, że sam teraz jej używasz.

- Muszę zawieźć tego ciężkobręka na swój teren nad rzeką. Mam zamiar niedługo zacząć tam kopać pod fundamenty.

Julian przytaknął. Jego brat, jak wiedział, planował wybudowanie własnego domu.

- A po co ci mój samochód? - spytał Connor.

- Bo ja z kolei planowałem powspinać się trochę po skałkach tego popołudnia.

- Sam?

- Nie, jeśli namówię Daisy, żeby poszła ze mną. Connor oparł się o bok samochodu.

- Nie będziesz chyba musiał prosić zbyt długo. Julian uśmiechnął się z przymusem.

- Ja też mam nadzieję, że nie.

Connor wyciągnął do niego rękę i podał mu kluczyki.

- Zaparkuj koparkę na tym placyku u końca dojazdu - powiedział. - Nie próbuj nią się cofać. Po prostu odczep ją z holu. Wiesz, jak zwolnić hol, prawda?

- Jasne. Sam milion razy pokazywałeś mi, jak się to robi. I... dzięki, Connor. Nie wiedziałem, czy mi pozwolisz.

- Postaraj się nie wyglądać na zbyt zaskoczonego - powiedział Connor, gdy Julian ładował swój ekwipunek na tył auta - ale powiem ci, że na początku lata miałem wątpliwości co do ciebie, ale teraz cieszę się, że tu przyjechałeś.

Zabawne. Julian też się z tego cieszył. Pewnie, solidnie pracował, ale to nie było takie złe. Connor płacił za pracę przyzwoitą dolę. Zresztą wszystko w nim było przyzwoite. Julian czasem czuł się przy nim, jakby sam był nie w porządku.

Razem poszli do jadalni. Pozostali obozowicze byli już chyba gotowi do śniadania.

- Zatem... ty i Olivia... - zaczął Julian.

- O co ci chodzi?

Julian uśmiechnął się szeroko.

- Pracowałeś zeszłej nocy do późna. Naprawdę do późna. Zdaje się, że wręcz przez całą noc. - I niemal wybuchnął śmiechem, widząc, jak uszy Connora robią się czerwone.

- Zrób mi tę łachę i nic do niej o tym nie mów - mruknął. - Ani do nikogo.

Julian nie miał takiego zamiaru. Chciał jedynie powiedzieć Connorowi, że to, co się stało, nastąpiło w cholernie odpowiednim czasie, ale ugryzł się w język.

- Zabujała się w tobie kompletnie - rzekł zamiast tego, klepiąc brata po ramieniu.

Connor też go poklepał.

- A ja w niej.

- I co myślisz z tym zrobić?

- Na razie zostawić tak, jak jest. Mógłbym się jej oświadczyć, ale ona mogłaby mnie odpalić.

- Ale masz nastawienie, Con.

- Zazwyczaj przygotowuję się na najgorsze, a potem bywa, że mam miłą niespodziankę.

- A dlaczego nie oczekujesz najlepszego? Dlaczego nie sięgniesz po gwiazdy i takie tam?

- Naczytałeś się za dużo tych materiałów propagandowych dla ochotników sił powietrznych.

Julian zastał Daisy w jadalni, miał nadzieję, że tam będzie. Przez całe lato rozmyślał często, czyby nie poderwać tej dziewczyny. Zgoda, była wyrafinowana i doświadczona bardziej niż on, ale czuł, że wysyła do niego jakiś dziwny sygnał. A teraz rozmawiała o bzdu-rach ze swoją rodziną. To zniechęcało go do próby nawiązania bliższego kontaktu. Wszyscy by się śmiali. Byłoby to nie w porządku.

Zrobił sobie kanapkę.

- To jak, chciałabyś się dziś trochę powspinać? - spytał w końcu.

- Obiecałam Dare, że pomogę jej przy dekoracjach na uroczystość. Mamy je porobić z domków dla ptaków - odrzekła Daisy.

No pięknie, pomyślał. Nawet nie wysiliła się, by udawać zainteresowaną jego propozycją.

- Tak, to rzeczywiście ważne - stwierdził. Dziewczyny czasami ciężko było do czegoś namówić.

- Ale miałam w planach, żeby pójść z tobą - dodała lekko.

- Mowa - nie mógł powstrzymać się od uśmiechu.

- Jesteś pewna, Daisy? - spytał Greg. - Wspinaczka skałkowa to duży wysiłek, o niebezpieczeństwie nie wspominając.

Tatuś, który się martwi o dziecko, pomyślał Julian. Cóż za dowcip.

- Da sobie radę - powiedział. - Przeszedłem mnóstwo tras w Joshua Tree w Kalifornii, słowo honoru, proszę pana. Mamy niezbędny sprzęt, a ja wybiorę dla nas coś łatwego, o stopniu trudności nie większym niż pięć przecinek jeden. Przyrzekam, że zadbam o pańską córkę.

- Super! - zawołał Max, częstując psa skórką ze swej kanapki. - Mogę iść z nimi?

- Nie - zabrzmiały razem głosy ojca i córki.

- Ale ja mogę, prawda, tato? - spytała w sekundę po tym Daisy.

Greg rozparł się na krześle, skrzyżował ramiona na piersi i rozważał coś przez chwilę.

- Proponuję ci umowę. Ja dam ci dziś wolne popołudnie, a ty pójdziesz się powspinać.

Ale pod warunkiem że obiecasz jeszcze raz popłynąć z Makssem i ze mną na ryby.

O dziwo, ani nie przewróciła oczami, ani nie zrobiła kwaśnej miny.

- Umowa stoi - odpowiedziała i wyszła.

Zaparkowali auto koło rezerwatu w Mohonk i udali się wyznaczonym szlakiem pod skałki.

- Dobra, teraz to mnie trochę stresuje - powiedziała Daisy.

Uniosła głowę i osłoniła dłonią oczy, by popatrzeć na kamienne ściany skał, poznaczone pęknięciami i ocienione przez przewieszki, z nielicznymi śladami roślin zakotwiczonych w szczelinach. Było tu już paru wspinaczy, świadczyły o tym pozostawione przez nich ślady stanowisk asekuracyjnych.

- Nieźle - powiedział Julian, od razu wytyczając sobie trasę wspinaczki, w miarę jak podążał za wzrokiem Daisy.

- Ja to sobie nie tak wyobrażałam.

- Możemy znaleźć inne podejście, jeśli chcesz - odrzekł. - Tutejszy przewodnik wspinaczkowy opisuje parę wiele trudniejszych dróg.

- A ta nie wydaje ci się wystarczająco trudna?

- To tylko skała.

- Pionowa! Zaśmiał się.

- W tym cały ubaw!

Zademonstrował jej podstawowe techniki wspinania. Znała je ze sztucznych ścianek w swej sali treningowej. Natarł sobie ręce kredą i wspinał się szybko boczną trasą na szczyt. Tam wbił hak, umocował do niego linę, oplótł się kluczem zjazdowym i zjechał w nim na dół.

- Średnio wredne - ocenił, podochocony rozgrzewką. Pokazał jej, jak ma iść, wskazując drogę do najtrudniejszego miejsca i potem na szczyt.

- Najważniejsza sprawa to brak pośpiechu. Nie łap się za niedobre chwytty, bo albo zaczniesz się bać, albo śpieszyć.

- A jak poznam, który chwyt jest dobry?

- Bo taki poprowadzi cię do następnego dobrego chwytu.

- Jezu, Julian...

- I nie próbuj się bać. Zawsze możesz rozciągnąć się bardziej, niż ci się wydaje.

Zaśmiała się.

- Teraz mówisz jak nauczyciel wygłaszający mowę przed przystąpieniem uczniów do matury.

- W mojej szkole tego nie było. Chodź i spróbuj. Wzięła głęboki wdech i rozprostowała ramiona.

- Dobra.

Pomógł jej włożyć na siebie ekwipunek, co wywołało kilka delikatnych chwil zbliżenia fizycznego między nimi, szczególnie gdy włożyła na siebie uprząż zjazdową, a on dociągał paski przy jej udach.

- Przepraszam - powiedział. - Musiałem się upewnić, że będziesz bezpieczna.

- Nie ma sprawy. To dla mnie i tak najlepsze, co mi się trafiło przez całe lato.

Była nowicjuską, zauważył, ale nie beznadziejną. Widać było, że radzi sobie nieźle, sięgając do chwytów, rozciągając się i pokonując skałę centymetr po centymetrze. Zobaczyła, że Julian wspina się za nią.

- Zaraz spadnę - poinformował, gdy oboje byli w połowie drogi.

- Jakoś nie widzę - odrzekła. - Trzymasz się tej ściany jak Spiderman.

- Zrobię to celowo. Żebyś mogła zobaczyć, jak działa asekuracja. Ja sobie spadnę, a ty mnie złapiesz, tak jak ci to pokazywałem.

- Nie!

- Ufam ci - powiedział i odpadł od ściany.

Po chwili nieważkości i jeszcze krótszym momencie swobodnego spadania lina naprężyła się i go zatrzymała.

- Jesteś nienormalny, wiesz? - złażała go Daisy.

- Nie, po prostu lubię szybkość. - Wspiął się ponownie, pokazując jej co i jak. Chwył za chwyt, wciąż wypatrując możliwości kolejnego ruchu.

- A jeśli nie możesz zobaczyć, dokąd zaraz masz się przesunąć...? - spytała.

- Wtedy łapiesz się za cokolwiek i masz nadzieję, że skała jakoś cię przepuści.

Nie była to długa wspinaczka, bez żadnych przewieszek czy innego ryzyka. Daisy trochę się trzęsła, ale radziła sobie nieźle, wydając czasem okrzyki strachu. Julian uważnie ją obserwował. Szła w górę powoli i ostrożnie, ale było widać, że jest silna i że nie popełnia zbyt wielu pomyłek. A gdy już je zrobiła, potrafiła też szybko je poprawić. W końcu oboje osiągnęli czubek skały. Byli spoceni. Daisy odtańczyła krótki taniec triumfalny.

- Czuję się jak Frodo Baggins na szczycie Orodruiny.

Wzniesli toast za swoje zdrowie butelkami z wodą. Daisy wydobłała z kieszeni paczkę papierosów. Julian spojrzał na nią ponuro.

- To zabije cię prędzej niż wspinaczka. Przykucnęła i pstryknęła zapalniczką. Ignorując Juliana, wytrząsnęła papierosy z paczki na skalne podłoże i podpaliła je, jednego po drugim, dokładając patyczki, by stosik lepiej płonął. Gdy stosik dymił, przemieniając się w popiół, Daisy przysiadła na piętach i oznajmiła:

- Przez całe lato chciałam to zrobić.

- To dlaczego dopiero teraz...? Wstała i zdusiła żar obcasem.

- To była taka sprawa między mną a moim tatą. Chciałam, żeby nalegał, bym przestała, ale on nie miał zamiaru. Zrozumiałam, że jeśli będę czekała, aż rodzice każą mi przestać, to miną całe lata, a ja będę już wtedy beznadziejnie uzależniona. Równie dobrze mogę z tym zerwać teraz, nikomu się nie opowiadając, nie?

- Świetny plan. - Tknięty nagłym impulsem, Julian pochylił się i pocałował Daisy w usta, krótko i mocno. - Przez całe lato chciałem to zrobić.

- To dlaczego dopiero teraz...?

- Nie byłem pewien, czy ty będziesz chciała. - Czuł, jak gwałtownie bije mu serce. - Spróbujmy stąd zjechać.

Rozpoczął zejście. Odpychał się nogami od skalnej ściany i przepuszczał linę przez chronione rękawicami dłonie z wprawą fachowca. Gdy osiągnął piarg, Daisy wychyliła się nad występem w skale i zaczęła mu bić brawo.

- Jesteś gotowa zrobić to samo, czy mam ci urządzić jeszcze jeden pokaz?

- Hm, nie wiem. Co ci podpowiada twój pajęczy zmysł?

- Że świetnie ci wyjdzie.

Widać było, że trochę się waha, sprawdzając sprzęt, ale w końcu zaczęła schodzić. Nie szło jej to zbyt gładko, jednak gdy stanęła obok Juliana, była zarumieniona z dumy.

- Niesamowite! - zawołała, a jej głos odbił się echem od rozgrzanych słońcem skalnych ścian. - Jesteś dobrym trenerem - stwierdziła. - Chyba często uczysz innych?

- Ty jesteś moją pierwszą uczennicą.

- Taaak? To znaczy, że masz wrodzony talent. To może ci się przydać, jeśli zdecydujesz się na wstąpienie do KSOR.

Do tej pory nierzadko do późnej nocy rozmawiali o tym, rozważając wszystkie „za” i „przeciw” takiej decyzji. Teraz Julian w pełni rozumiał, na czym polega trudność. To mogło być, zdaje się, dziesięć razy bardziej skomplikowane od dostania się do normalnego college'u, gdyż w grę oprócz zwykłych formalności wchodziły również badania lekarskie i egzamin ze sprawności fizycznej.

- Ja na to nie idę - odrzekł ponuro, spoglądając gdzieś w przestrzeń.

- Dlaczego?

- Odbierają ci wolność, nadzorują każdy ruch, dyrygują całym twoim życiem. Czy to się jakoś różni od pójścia do poprawczaka?

- Powiedziałabym, że sporo - odparła.

- Przyjechałem tu na lato tylko po to, żeby mnie nie posadzili. Miałbym dobrowolnie włączyć w takie coś na cztery lata? - Potrząsnął głową. - Poza tym to i tak byłaby strata czasu.

- Dlaczego tak mówisz?

- Moje stopnie są beznadziejne. Szkoła też. Nie mam szans.

- Niezłe nastawienie, Gastineaux. A co mi niedawno mówiłeś o tym, że można zawsze rozciągnąć się bardziej, niż to wydaje się możliwe?

- Nagadałem ci głupot, żebyś zaczęła się wspinać.

- Jak dla mnie to wcale nie były głupoty. - Poprawiła kask. - Jestem gotowa do następnej wspinaczki.

Zaśmiał się. To ona to sprawiła. Więcej nawet, spowodowała, że zaczął myśleć trochę szerzej. Przecież to, że mieszkał w paskudnym mieście i chodził do paskudnej szkoły, nie musiało oznaczać, że musi wieść paskudne życie. Gdyby spróbował szczęścia i gdyby mu się udało, mógłby wznieść się jeszcze wyżej niż podczas wspinaczki. Mógłby nauczyć się latać!

- Może masz rację - powiedział. - Uważasz więc, że powinienem spróbować?

Zdjęła kask i odgarnęła włosy ze spoconego czoła.

- A co ci podpowiada twój pajęczy zmysł?

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

Wyprawy rybackie, podejmowane przez Daisy, jej ojca i brata, stały się w całym obozie przedmiotem żartów. Przez całe lato trojgu wędkarzy ani razu nie udało się powrócić z polowania ze złowionym pstrągiem. Daisy zresztą miała to w pięcie. Ona i Max w końcu zrozumieli, że celem wędkowania nie jest łapanie ryb. Raczej nauka cierpliwości. Mieć skupione zmysły, odprężone ciało i być gotowym do działania w każdej chwili. Tak proste, że aż trudne.

Nadziei jednak nie tak łatwo się wyzbyć. Cała trójka znów więc wyruszyła na jezioro, prawdopodobnie po raz ostatni tego lata. Dla Daisy oznaczało to przynajmniej mnóstwo czasu, który mogła poświęcić na marzenia o Julianie. Był zupełnie inny niż wszyscy znani jej chłopcy. Szalenie przystojny, owszem, ale nie to sprawiało, że uważała go za kogoś niezwykłego. Raczej to, że dzięki niemu spojrzała na takie sprawy jak jej rodzina i życie z całkiem innej perspektywy. Kilka miesięcy temu była przekonana, że znalazła się w dołku bez możliwości wyjścia, bo rodzice się rozwodzili. Julian otworzył jej oczy na to, że zjawisko zwane „rodziną” można określić na wiele sposobów, i nie musi to być kilkuelementowy zbiór ludzi spokrewnionych ze sobą czy żyjących pod jednym dachem. Pokazał jej też, że nie ma czegoś takiego jak idealna rodzina, ale to nie musi oznaczać poddania się losowi. A teraz znajdował się niedaleko. Niesamowity chłopak, który stracił ojca, matki jakby nie miał, i przejechał przez niemal cały kraj, by być blisko jedynej osoby, na jaką mógłby liczyć: brata, którego prawie nie znał.

- Na co ty się właściwie patrzysz? - spytał Max. - Jakoś śmiesznie się na mnie gapisz.

- Próbuję docenić to, że mam brata - odrzekła. Parsknął.

- Ano, racja.

Potrząsnęła głową, wiedząc, że nigdy nie przekona go, że powiedziała to szczerze. I wtedy zdarzyło się coś nie do pomyślenia. Spławik wędki Maksa zanurzył się pod wodę. Daisy myślała, że to złudzenie, ale... to się powtórzyło. Spławik drgnął i zniknął pod powierzchnią.

- Max, widziałeś to? - szepnęła.

- Aha - odszepnął. - Tato, popatrz! Wzięło!

- Jasne, synku. Pomóc ci?

- Nie, dam radę.

- Pamiętaj, jedno szybkie poderwanie. Musisz to zgrać z...

- Mam. - Max pociągnął za wędzisko tak pewnie, jakby robił to przez całe życie. Potem zaczął kręcić kołowrotkiem.

Ryba nie stawiała oporu i pozwoliła gładko wyciągnąć się z wody, kropelki opadły na powierzchnię toni niczym deszcz diamentów. Max przyklęknął na dnie czółna. Jego twarz zmieniła się w maskę, niewyrażającą nic prócz całkowitej koncentracji. Sprawnie, z biegłością nabytą podczas poprzednich wypraw, przyciągnął rybę do burty. Ojciec złapał ją na podbierak i wrzucił do łodzi. Padła na bok, jakby z wyczerpania. Ryba została zahaczona za wargę. Ładny, czysty chwyt. Miała też niezły rozmiar. Zdecydowanie wystarczający, by się jej nie pozbywać.

- Nareszcie - powiedział Max, ostrożnie unosząc żyłkę i biorąc zdobycz do ręki.

Ojciec pstryknął im zdjęcie.

- A jak się zapatrujecie na świeżego pstrąga na kolację? - spytał. - A może powinniśmy ją wypchać i umieścić w gablotce?

Oko pstrąga otaczały trzy koncentryczne kręgi. Była to przedziwnie piękna ryba, zdecydowanie zasługująca na swoją nazwę: pstrąg tęczy. Na całej długości ciała można było ujrzeć wszystkie kolory widma białego światła, lśniące w słonecznym blasku.

Tylko że po chwili zaczęła zdychać. Dusła się w powietrzu, a jej skrzela falowały ruchem, który dla Daisy wydawał się pełen rozpacz. Mogła ujrzeć ich delikatną budowę, rzędy jasnoczerwonych płatków, szukających nadaremnie wody.

Pysk ryby otwierał się i zamykał w niemym błaganiu. Och. Och. Och.

- Wrzuć ją z powrotem, Max - powiedziała Daisy pośpiesznie.

- Co? Mowy nie ma. Całe lato próbowałem złapać rybę.

- I udało ci się. A teraz powinieneś wrzucić ją do wody, zanim zdechnie.

Max popatrzył na ojca.

- Tato, co mam zrobić?

- To, co uważasz.

No nie, znowu. Boże, jak bardzo chciała, żeby ojciec chociaż raz w życiu zdobył się na jakąś decyzję. Zamiast tego znowu krył się za tym swoim wiecznym „rób, co uważasz”.

Zacisnąwszy zęby, Daisy chwyciła rybę. Lśniła i wyslizgiwała jej się z dłoni. Była prawie niemożliwa do utrzymania. Daisy próbowała być ostrożna, gdy delikatnie usuwała haczyk z rybiej wargi, krzywiąc się niemiłosiernie, póki nie wyjęła go w całości.

- Pożegnaj się z nią, Max - powiedziała.

Brat nie protestował. Dotknął ryby brudnawym wskazującym palcem i powiedział:

- Dobra, możesz ją puścić.

Daisy nachyliła się i włożyła pstrąga do wody. Ku jej zgrozie ryba się nie poruszyła, unosiła się jedynie z wciąż rozdziawionym pyskiem.

- Za późno - oznajmiła Daisy. - Zabiliśmy ją. To była tylko głupia ryba. Dlaczego więc córka

Grega Bellamy'ego odczuwała to jako tragiczne zdarzenie?

- No tak - odezwał się Max z przygnębieniem. - Nie żyje.

Ojciec nie zabrał głosu, tylko wychylił się za burtę i łagodnie ujął rybę w obie dłonie. Ale nie wyjmował jej z wody. Zaczął przeciągać pstrąga w wodzie, pyskiem do przodu, długimi ruchami, a potem go puścił. Ogon ryby żwawo zawachlował i pstrąg popłynął, by po chwili zniknąć w głębinie.

Daisy doznała przyływu emocji. Max z rozdziawionymi ustami gapił się na ojca.

- Czasem trzeba, by woda dotarła do skrzeli, żeby odzyskać przytomność - rzekł Greg.

- Super! - zawołał Max. - Uratowałeś ją!

- Nie ja. Daisy. - Ojciec wytarł ręce o spodnie.

Daisy poczuła ulgę.

- Przepraszam, Max - powiedziała. - Ja... ja uważałam, że... że powinniśmy ją wypuścić.

Nie potrafiłaby mu wyjaśnić tego bez odwoływania się do bólu, jaki musiała znosić w związku z nadchodzącym rozwodem, bólu, który niemal prowadził ją do utraty samokontroli.

- Nieważne - odrzekł brat uprzejmie. - I tak bym jej nie zjadł. No i mamy przecież zdjęcie, to jest dowód!

- Dzieciaki, jesteście niesamowite - podsumował ojciec. - No i wreszcie nauczyłyście się łowić ryby.

Daisy zaśmiała się.

- Zajęło nam to tylko całe lato.

- Nie było pośpiechu. - Ojciec złapał za wiosło.

- Została nam jeszcze cała reszta dnia, może byśmy ją tak wykorzystali na coś innego?

- Oj, tak - zgodził się Max. - Kiszki grają mi marsza na cześć masła orzechowego i kanapek z mortadela.

Wiosłowali razem, w zsynchronizowanym rytmie, silnymi, pewnymi ruchami.

- Może i nie za bardzo idzie nam wędkowanie - stwierdziła Daisy - ale wiosłować potrafimy.

Ich ojciec, który miał zawsze dobrą pamięć do piosenek, śpiewał po drodze wszystko, co pamiętał z rybackiego śpiewnika, od „Jeremiasz był ropuchą” aż po „Ogród ośmiornicy”. Max i Daisy połączyli z nim swe głosy. Nie musieli dłużej zachowywać się cicho. Przestało ich obchodzić, ile ryb mogą wystraszyć. Piosenki niosły się ponad spokojną wodą i w pewnej chwili Daisy odkryła, że czuje się bardziej pogodna i pełna nadziei niż jeszcze miesiąc temu.

Oczywiście, to mogło wydawać się głupie. Przecież nie stało się nic poza tym, że Max złapał rybę, którą potem wypuścili. Co tak bardzo więc podniosło Daisy na duchu?

Spojrzała na roześmiane twarze ojca i brata. Zrozumiała, że powód nie jest ważny. Czasem wystarczy być zwyczajnie szczęśliwym, bez żadnego widocznego powodu.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

W powietrzu unosiła się atmosfera podniecenia tak gęsta, że niemal dotykalna. Goście przyjeżdżali przez cały tydzień. Wśród nich byli tacy, których Olivia nie widziała od czasów dzieciństwa. Obóz ożył. Powracał do czasów świetności z dawno minionych, niewinnych lat. Olivia obserwowała, jak całe rodziny zaczynają żyć innym, spokojnym rytmem i przystosowują się do obozowych zwyczajów, jakie pamiętali sprzed lat.

Młodsze pokolenie, dla którego życie w Kioga było czymś nieznanym, z przyjemnością odkrywało jego uroki. W dniach poprzedzających uroczystość odbywały się nieustanne zawody w biegach i pływaniu i wieczorne podchody w lesie. Robiono sobie kawały i wyprawiano się na nocne wypadki do kuchni - a wszystko zabarwione było tęsknotą za czymś, co minęło.

Zgodnie z oczekiwaniami wszystkich w dniu uroczystości pogoda była wspaniała. Odświętnie ubrani goście wyłonili się z bungalowów, chatki i baraków sypialnych. Niektórzy przyjechali z miasta tylko na ten dzień. Burmistrz Avalon wygłosił przemówienie na cześć złotych godów jubilatów.

Olivia była poruszona liczbą przybyłych ludzi. Takie mnóstwo oddanych przyjaciół najlepiej świadczyło o tym, jakimi ludźmi byli jej dziadkowie. Ten dzień zaprawiony był także goryczą, wywołaną wspomnieniami o tych, którzy odeszli.

Ogarnięta gorączką przygotowań Olivia nie miała czasu marzyć o Connorze Davisie, bez względu na to, jak bardzo tego pragnęła. No i dobrze, bo zazwyczaj te marzenia doprowadzały ją do bardzo ponurych wniosków. Zaczynała popadać w lekką paranoję, zadając sobie wciąż te same pytania. Czy to miała być przygoda na jedną noc? Czy ich drogi miały się rozejść jeszcze raz wraz z końcem lata?

Z ulgą powitała chwilę, kiedy furgonetka z piekarni Sky River zaparkowała przy drzwiach obozowej kuchni. Jenny Majesky i jej pomocnik, nastoletni blondas, Zach Alger, przywieźli tort, w częściach, i zaczęli go składać w całość na głównym stole.

- Będzie pięknie wyglądać - powiedziała Olivia.

- Dzięki - uśmiechnęła się do niej Jenny.

W jej stroju widać było dyskretny profesjonalizm. Miała na sobie czarną sukienkę bez rękawów i pantofle na niezbyt wysokim obcasie. I żadnej biżuterii oprócz małych złotych kolczyków. Ciemne włosy ściągnęła z tyłu głowy w zgrabny koński ogon. Na wierzchu nosiła dopasowaną firmową kurtkę kelnera.

Rozejrzawszy się po jadalni, Jenny stwierdziła z uznaniem:

- Wspaniale to wszystko urządziłaś, Olivio.

- Dziękuję. Miałam wielu pomocników. - Zawahała się, czy mówić coś więcej.

Ona i Jenny wciąż zachowywały się względem siebie z pewną rezerwą.

Nagle rozległ się niski warkot motoru i Olivia wyciągnęła szyję, by zobaczyć, kto przyjechał. Nie był to jednak Connor, lecz Rourke McKnight, miejscowy szeryf.

Jenny patrzyła na nią.

- Chyba czekałaś na kogoś innego. Olivia przytaknęła.

- Na Connora Davisa.

Jenny otworzyła pudełko białych różyczek w małych szklanych banieczkach i zaczęła dekorować nimi podstawę tortu.

- Macie być parą na tym przyjęciu? - zapytała. Olivia podeszła bliżej, by jej pomóc.

- Nie mam pewności, kim on ma dla mnie być - powiedziała cicho.

Poczuła dławienie w gardle i ze zgrozą pomyślała, że zaraz się rozpłacze.

- Nie możemy się dogadać. - Głośno przełknęła ślinę i wzięła głęboki wdech. - Nie, to nie tak. Jestem beznadziejna w związkach męsko-damskich, nawet z Connorem.

Jenny położyła na stole srebrny nóż i łyżeczkę do ciast - oba sztucce wyglądały na antyki - i obwiązała ich rączki aksamitnymi wstążkami.

- Niewiele wiem o Connorze - powiedziała. - Może trochę. W małych miasteczkach wszyscy wiedzą co nieco o innych. Mnie on zawsze wydawał się samotny.

Olivia pomyślała o ziemi nad rzeką i o przyczepie.

- Może lubi być kawalerem?

Jenny umieściła sztucce na porcelanowym talerzyku i zrobiła krok w tył, spoglądając krytycznym wzrokiem na swoje dzieło.

- Ma zamiar zbudować dom, który sam zaprojektował, wiedziałaś o tym?

- Widziałam plany.

- To musiałś też widzieć, że zaplanował cztery sypialnie. Zatwardziały kawaler nie zaprojektowałby czegoś takiego. - Jenny na szczycie tortu postawiła laleczki wyobrażające młodą parę.

Miała w sobie spokój i rozsądek, którymi umiała zarazić innych. Oliwię dziwnie uspokoiły jej słowa. Dobrze mieć taką siostrę, pomyślała.

Przez okno zobaczyła nadjeżdżającą limuzynę. Rozpoznała wysiadającego z niej wysokiego, siwowłosego mężczyznę.

- Czy senator McKnight ma coś wspólnego z szeryfem? - spytała.

- To ojciec i syn.

Rany! To dopiero zagadka. Senator był jednym z najbogatszych i najbardziej wpływowych ludzi w całym stanie. Szeryf mieszkał w starym, ceglany domu w najstarszej dzielnicy miasteczka, a poza służbą jeździł chevroletem El Camino, który swe najlepsze dni dawno miał za sobą. Obydwaj mężczyźni minęli się w przejściu, niemal nie zwracając na siebie uwagi. Olivia zauważyła szczególny sposób, w jaki Jenny patrzyła na Rourke'a McKnighta, na jego złociste włosy, pełne wargi i zamyślane oczy. W tym z kolei nie było chyba żadnej zagadki.

- Czy ty i on...? - zapytała.

- Boże, nie! - odparła pośpiesznie Jenny. - To znaczy... - Wzdrygnęła się.

- Czy coś z nim jest nie w porządku? - uśmiechnęła się z lekką ironią Olivia. - Przecież wygląda jak Ryan Philippe.

- Nie, wszystko gra, ale... to przecież Rourke. On umawia się tylko z kobietami o figurze modelek i z inteligencją kabaczka.

- Oj. Niedobrze.

- Pewnie - uśmiechnęła się Jenny. - Naprawdę uważasz, że on przypomina Ryana Philippe'a?

- Podejrzewam, że to właśnie dlatego połowa kobiet w mieście parkuje w zabronionych miejscach. Mają chyba nadzieję, że on się do którejś przykucną kajdankami - zażartowała Olivia, ale widząc spojrzenie Jenny, szybko dodała: - Ale z wyjątkiem jego gustu do kobiet, chyba jest w porządku.

- Też tak myślę. - W westchnieniu Jenny były tysiące odcieni tęsknoty.

Wyszły z jadalni na dwór.

- Pomógł mi ustalić, że ty... że jesteśmy spokrewnione - powiedziała Olivia.

- Rourke? - Jenny wyglądała na zdumioną.

Gdy szły po zalanym słońcem obozie, Olivia usłyszała trzask drzwi samochodu. Zerknęła w stronę parkingu. Oto pojawiał się nowy, pilniejszy problem.

- Słuchaj! - Złapała Jenny za łokieć i odciągnęła ją na bok. - Teraz trzymaj nerwy na wodzy.

- Jak to?

- Właśnie przyjechała moja matka, Pamela. Są z nią jej rodzice, moi drudzy dziadkowie, Gwen i Samuel Lightseyowie.

- Czy oni o mnie... wiedzą? - spytała Jenny.

- Powiedziałam tacie, że to on musi im o wszystkim powiedzieć. W końcu jest prawnikiem, Jenny. Potrafi używać odpowiednich słów. Będzie dobrze.

Jenny wyprostowała się.

- W takim razie niech on mnie przedstawi.

Nieoczekiwanie dla siebie samej Olivia poczuła solidarność z Jenny. Jednocześnie odetchnęła z ulgą, że to nie na nią spadnie obowiązek prezentacji. Gdy matka Olivii wraz z dziadkami ruszyli w ich kierunku, Jenny zniknęła wewnątrz budynku.

- Witaj, mamó - powiedziała Olivia. - Dzień dobry, babciu. Dzień dobry, dziadku. - Ucałowała ich po kolei, i wtedy dopiero zauważyła kredowobiałą twarz babki. - Co się stało? - spytała, ujmując starszą panią pod ramię.

Gwen Lightsey dosłownie osunęła się na swego męża. Pomogli jej usiąść na ławce.

- Sprowadzę lekarza - ofiarowała się matka Olivii.

- Pamela, nie... - odrzekła Gwen. - To nie jest... Ze mną wszystko w porządku. - Wachlowała się ręką. - Przeżyłam przykrą niespodziankę, widząc kogoś, kto tak bardzo przypomina tamtą kobietę...

Pamela nachmurzyła się, wodząc wzrokiem od Olivii do swojej matki.

- Widziałaś kiedyś matkę tej dziewczyny? Samuel machnął lekceważąco ręką.

- To było całe wieki temu.

- Nigdy nie mówiłaś mi, że ją widziałaś - powiedziała Pamela.

- Nie było o kim mówić. - Twarz Gwen zaczęła nabierać kolorów. - To była okropna kobieta. Zero moralności. Dobrze się stało, że Philip się od niej uwolnił.

- Mam pomysł. - Olivia zmusiła się do beztroskiego uśmiechu. - Poświęćmy ten dzień moim dziadkom? Bo przecież po to tu wszyscy jesteśmy, prawda?

- Oczywiście. - Pamela uściśnęła Olivię, kompletnie ją tym zaskakując. - Masz całkowitą rację. - Odeszła o krok i przyjrzała się córce. - Dosłownie promieniejesz. Co się dzieje?

Olivia zaśmiała się.

- To długa historia, mamó. Matka odciągnęła ją na bok.

- Możesz ją skrócić?

- Zobaczymy. Odkryłam, że mam przyrodnią siostrę, odnowiłam położone w dziczy obozowisko i... no tak, zakochałam się w Connorze Davisie po raz drugi w życiu - zaśmiała się ponownie, tym razem na widok miny matki.

- Connor Davis? Chłopak Terry'ego?

- On już od dawna przestał być chłopakiem.
- On nie jest dla ciebie, Olivio. Nie był wtedy i teraz też nie jest.
- Nic o nim nie wiesz, mamó.
- Za to wiem dużo o tobie. Nie zrób żadnego głupstwa.
- Możesz mi wierzyć - odpowiedziała Olivia. - Już je popełniłam.
- Ale z ciebie dureń - powiedział Julian do Connora. - Jeszcze chwila, a spóźniłbyś się na uroczystość.

Julian odpowiadał za przewożenie gości na wyspę małą łodzią pontonową z relingiem obwieszonym wieńcami i girlandami kwiatów. Śpiesznie odbił od przystani. Motorek zaterkotał, a łódź, sterowana pewną ręką Juliana, ruszyła w kierunku wyspy, gdzie goście gromadzili się w oczekiwaniu na odnowę przysięgi małżeńskiej państwa Bellamy. Jedynymi pasażerami na pokładzie była para staruszków, która przyjechała parę minut temu.

- Uważaj, co mówisz - ostrzegł Connor. - Okaż bratu trochę szacunku.

Starszy pan i jego żona sprawiali wrażenie obojętnych na to, co ich otaczało. Usiedli przy relingu, patrzyli ponad wodą, a ich ręce dotykały się nawzajem. Tak wygląda małżeństwo z długim stażem, pomyślał Connor. Znają siebie na wylot i pasują do siebie jak drzewa rosnące jedno obok drugiego tak długo, aż posplatały im się gałęzie.

Poprawił muszkę.

- Jak wyglądam?

Julian zbadał go krytycznym spojrzeniem i wystawił pięść z kciukiem skierowanym w górę.

- A dlaczego tak się spóźniłeś? - spytał.

- Musiałem pojechać do miasta i coś tam kupić.

- Co?

Connor poklepał się po kieszeni na piersi, w której było małe okrągłe pudełeczko ze sklepu z biżuterią Palmquista.

- Pokażę ci później. Julian uniósł brwi.

- Faaaceet...!

- Jeśli komuś szepniesz choć słowo, to cię...

- Stary, bez nerwów. I nie wydaje mi się, żeby ktokolwiek był tym zaskoczony. Może z wyjątkiem Olivii. - Julian urwał. - Wszystkiego dobrego, Con. Ona jest fantastyczna.

Niedopowiedzenie roku, pomyślał Connor. Ona jest bardziej niż fantastyczna. Urocza, uczuciowa i zabawna. Kochał ją każdą komórką swego ciała. To z nią chciał dożyć najpóźniejszej starości. Była kimś, za kim tęsknił przez całe lata, nie zdając sobie sprawy, że tęskni właśnie za nią. Uśmiechnął się do brata.

- Myślisz, że to ją zaskoczy?

- Kto tam wie, co sobie myślą dziewczyny.

Connor roześmiał się.

- Może dowiesz się tego na studiach.

- Może - odrzekł Julian. - Czy nie uważasz, że to wariactwo, żebym ja próbował dostać się do korpusu szkolenia oficerów sił powietrznych?

- No wiesz? Przyjmą cię z otwartymi ramionami.

Connor miał nadzieję, że jego bratu uda się przejść całą procedurę egzaminów. Jeśli tylko dzieciak da sobie radę z wojskową dyscypliną, to poradzi sobie i ze wszystkim innym. Zrobi tam użytek i ze swojego mózgu, i ze swojej odwagi.

Julian odsunął sprzed oczu jeden z dredów.

- Dobra, ale najpierw muszę się ostrzyć - westchnął.

- Spóźniłeś się - powiedziała Olivia, gdy Connor wśliznął się na składane krzesło obok niej.

Nie musiała na niego patrzeć, żeby wyczuć zmianę. Gdy tylko Connor znalazł się w pobliżu, powietrze wypełniła aura pewności i spokojnej siły. Najwyraźniej jednak świat tego nie docenił. Olivia zdaje się była jedyną osobą, która to zauważyła.

- Przepraszam.

Tak jak większość mężczyzn, Connor nie przywiązywał większej wagi do cudzych ślubów. Spóźnił się? Trudno. Nie ma sprawy.

Dopiero teraz Olivia spojrzała na niego. O rany! Wyglądał jak żywcem wyjęty z cudownego snu - w nienagannie skrojonym smokingu, doskonale ogolony, z włosami wymodelowanymi przez profesjonalnego fryzjera. Na dodatek wspaniale pachniał. Jeżeli Connor Davis był najbardziej pociągającym mężczyzną, jakiego znała, to Connor Davis w smokingu był kimś więcej. Wyglądał po prostu zbyt dobrze, niemal onieśmielająco, jak ktoś z filmu produkcji BBC.

- Coś nie w porządku? - spytał, schylając się do jej ucha i owiewając je gorącym szeptem.

Zrozumiała, że usłyszał jej pełne zachwyty westchnienie.

- Umyłeś się tym razem naprawdę dobrze - zakpiła szeptem.

- Ha, ha, bardzo śmieszne.

- Moi najmilsi - rozpoczął przemowę pastor. - Dwudziestego szóstego sierpnia tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego szóstego roku mój ojciec prowadził tu ceremonię, która połączyła w jedno dwa serca. Teraz, w pół wieku później, nasi ukochani przyjaciele, Charles Bellamy i Jane Gordon Bellamy, powrócili, by uczcić swą wzajemną miłość i odnowić łączącą ich na całe życie więź w obecności tych, których najbardziej kochali. Mój ojciec odszedł stąd po swą nagrodę niebieską, ale dziś, w tym uroczystym dniu, czuję, że tam, gdzie jest, doznaje szczególnej przyjemności. Zapewne sam Wszechmogący cieszy się, widząc takie święto wiecznotrwałej łaski, jaką jest miłość.

Olivia wiedziała, że teraz niewiele trzeba, a wszyscy się popłaczą. Nie ulegało wątpliwości, że bez łez się dziś nie obejdzie. Ona sama, jej kuzynki i ciocie specjalnie na tę okazję kupiły zapas wodoodpornej mascary. Podjęły też pewne środki ostrożności. Żadnych słyszalnych szlochów, żadnego trzęsienia się od płaczu. Ciemne okulary dla grupy szczególnego ryzyka. Umówiły się też, że podczas odnawiania ślubów nie będą patrzeć na siebie. W tych warunkach kontakt wzrokowy mógł wywołać lawinową reakcję powszechnego płaczu.

Olivia nie była jednak przygotowana na potężną falę wzruszenia, które ogarnęło ją w tej samej sekundzie, kiedy jej dziadek stanął naprzeciwko babci i ujął jej dłonie w swoje tak delikatnie, jakby były parą płochliwych ptaków, gotowych odlecieć w każdej chwili.

Byli jak święci, kiedy stali tak i patrzyli na siebie. Miłość malująca się na ich twarzach zdawała się przyćmiewać słońce swym blaskiem. Babcia z misternie ułożoną fryzurą i w sukni z kremowego jedwabiu z koronkowym kołnierzykiem wyglądała przepięknie. Dziadek, wysoki i pełen godności, miał na sobie wytworny smoking.

Odchrząknął i rozpoczął przygotowaną wcześniej przemowę.

- Gdy byłem młodym człowiekiem - zaczął - wmawiano mi, że należy przejawiać ambicję we wszystkim, co się robi w życiu. Tyczyło się to również zawierania małżeństw. W rodzinie Bellamych znaczyło to konkretnie, że powinienem znaleźć sobie dziewczynę pewnego szczególnego typu, pochodzącą z określonej rodziny. Ale tutaj, w małym, górskim miasteczku, z dala od wszystkiego, co znałem, znalazłem kogoś innego. Pewnego lata, gdy najmniej tego oczekiwałem, spotkałem najpiękniejszą dziewczynę na świecie. Nie była z tych, wśród których powinienem szukać sobie żony. Była kimś, z kim powinienem być. Teraz, pięćdziesiąt lat później, mogę ucziwie powiedzieć: ożeniłem się dobrze. Zatem dziękuję ci, najdroższa, piękna Janie. To była wielka przygoda mojego życia.

- Ja również dobrze wyszłam za mąż - odpowiedziała Jane, uśmiechając się radośnie do męża. - Poślubiłam swojego najlepszego przyjaciela, miłość swojego życia, człowieka, z którym przeszłam ręką w rękę całą drogę podczas wspólnej, trwającej pięćdziesiąt lat podróży, ojca naszych czworga wspaniałych dzieci. Jestem dumna, że dziś możemy odnowić nasz związek. Uważam za szczególne błogosławieństwo to, że mogłam dzielić z tobą wszystkie chwile minionych lat, i ślubuję dzielić z tobą także wszystkie te, które nadejdą, ślubuję kochać cię codziennie całym sercem.

Daisy i jej matka Sophie zagrały w duecie utwór Brahmsa na flet i klarnet. Charles i Jane z powagą nałożyli sobie na palce nowe obrączki, zrobione specjalnie na tę okazję przez złotnika z firmy Lightseyów. Pastor, unosząc otwarte dłonie nad mszałem, odczytał modlitwę.

Olivia wiedziała, że nie uda jej się dłużej walczyć z emocjami, i zrozumiała, że za chwilę złamie wszystkie wcześniej ustalone reguły zachowania. Zresztą do jej uszu już

docierały stłumione chlipnięcia. Zadrzała i podejrzenie szybko mrugała powiekami. Gdyby teraz otworzyła usta, wyrwałby się z nich głośny szloch.

- Czerwony alarm. - Stojąca tuż za nią Dare mruknęła ostrzegawczo do Freddy'ego. - Olivii grozi stopienie rdzenia reaktora. Zrób coś szybko i odwróć jej uwagę.

Ale Freddy chwilowo nie nadawał się do użytku. Patrzył w ziemię, a łzy spływały mu po policzkach.

- Przecież ty prawie ich nie znasz - syknęła do niego Dare, ale w tej samej chwili straciła panowanie nad sobą i ukryła twarz w przygotowanej z góry chusteczce.

- Trzymaj się, Lolly - szepnął Connor. - Jak na razie, radzisz sobie świetnie.

O ile podczas ceremonii panowała uroczysta powaga, o tyle przyjęcie odbywało się w całkowicie innym nastroju. Rozpoczęło się szaleństwo jedzenia, picia, muzyki i składania życzeń w scenerii wyczarowanej przez Dare. Stoły, nakryte śnieżnobiałymi obrusami z kompozycjami kwiatowymi pośrodku, wypożyczone kryształowe naczynia i srebra, odbijające światło zachodu, które wpadało przez okna do jadalni, wyglądały olśniewająco. Gdy wznoszono toasty na cześć Bellamych, szampan lał się strumieniami. Wszędzie odczuwało się atmosferę ogólnego szczęścia.

- Nieźle jest. - Freddy dał Olivii kuksańca, kiedy rozpoczęły się tańce.

- Faktycznie - zgodziła się. - Dzięki za wszystko, co dla mnie zrobiłeś tego lata.

- Żarty sobie stroisz? To ja powinienem ci dziękować, przecież to była jedna z najlepszych chałtur, jakie kiedykolwiek miałem.

Uśmiechnęła się, widząc, jak Freddy pożera wzrokiem Dare, która ciągnęła opierającego się Maksa na parkiet. Tańczyli chyba wszyscy zaproszeni goście, nawet ci najstarsi i najślabi, nawet ci, którzy nie ruszali się nigdzie bez balkonika. Całą przestrzeń wypełniał ruch i śmiech. To lato, pomyślała Olivia, było naprawdę niezłą jazdą.

- A u ciebie wszystko w porządku? - spytał Freddy.

- Jasne.

- Z Twoim Ulubionym też?

W czasie pomiędzy ceremonią a przyjęciem Olivia nie miała czasu na rozmowy z Connorem. A nawet gdyby miała, to i tak nie byłaby pewna, co ma mu powiedzieć. „Znowu się w tobie zakochałam. Czy możemy tym razem postarać się, żeby nam wyszło?”. Pytanie było czymś tak świeżym, że sama nie potrafiłaby na nie odpowiedzieć, a co dopiero Connor.

- Nie wiem - odpowiedziała Freddy'emu.

- Akurat, nie wiesz! Widzę to po twojej buzi. - Poprowadził ją na parkiet, w sali rozbrzmiewały dźwięki „Somewhere Beyond the Sea”.

Przygryzła wargę i ćwiczyła samokontrolę, bo zaczęła się nad sobą rozczulać. Jak zresztą przez cały dzień.

- Widzisz, jest mały problem - przypomniała Freddy'emu. - Po trzech porażkach wylatujesz z boiska. Czy nie tak jest aby w życiu?

- Nie w tym wypadku, durnoto jedna - odparł Freddy. - Nie widzisz, że tamte trzy razy należą już do historii? I nie bez powodu. Przyznaję, że kiedyś myślałem nieskromnie, że może ja jestem tym powodem, ale to była tylko moja wyobraźnia.

- Oj, Freddy...

- Pomyśl o tym, co powiedział twój dziadek. Jego rodzina chciała zbojkotować ich ślub, a własny ojciec groził, że go wydziedziczy. Co by było, gdyby wtedy uległ? - Freddy wskazał ręką wokół siebie. - To wszystko po prostu by nie istniało. W życiu trzeba walczyć o swoje. Tak jak zrobił to on.

- Ale ja mam swoje życie w mieście, swoją firmę...

- Głupstwa. Głupstwa. - Wzruszył niecierpliwie ramionami. - Daj mi problem do rozwiązania, a na pewno go rozwiążę, i ty o tym dobrze wiesz. Mogę podjąć twoje mieszkanie. I poprowadzić twoją firmę.

- To mój zawód!

- Ale to - znów wskazał ręką otoczenie - mogłoby być twoje życie. Tylko przestań się opierać.

Pocałowała go w policzek.

- Zapamiętam to sobie.

Ostatnio nie mogła myśleć o niczym innym. Serce waliło jej ze strachu, chociaż nie miała pojęcia, czego właściwie się boi. Jediną rzeczą okropniejszą od wyobrażania sobie przyszłości z Connorem było wyobrażanie sobie przyszłości bez niego.

- Zrób coś więcej - zaśmiał się.

Odprowadził ją na miejsce i zgrabnie zmienił partnerkę. Zanim Olivia zdążyła się odezwać, Freddy i Dare byli już na parkiecie. Śmiali się i patrzyli sobie w oczy. Patrząc na nich, wydawało się, że miłość jest bardzo nieskomplikowaną sprawą.

- Powiedziałaś, że nie będziesz płakać podczas ceremonii - odezwał się surowo znajomy głos tuż za nią. - I przez ciebie ja też o mało się nie popłakałam. Pomyśl, jaka to by była kompromitacja!

Olivia odwróciła się i wzięła Jane w objęcia.

- Przepraszam, babciu. To... to było takie cudowne. Nie mogłam się powstrzymać.

Babcia ujęła Olivie pod ramię i obie wyszły na taras od strony jeziora. Ostatnie promienie zachodzącego słońca barwiły wodę i zalewały obóz głębokim, bogatym w kolory blaskiem. Odgłosy muzyki, śmiechu i dźwięczącego szkła łączyły się harmonijnie z cichym falowaniem letniego wiatru i śpiewem wieczornych ptaków. Babcia westchnęła z uśmiechem.

- To twoje dzieło, Olivio - powiedziała. - Dzięki tobie obóz wygląda teraz jeszcze piękniej niż w moich wspomnieniach. To o wiele więcej, aniżeli mogłabym się spodziewać.

- To dzieło miłości, babciu.

Dziadkowie, którzy przyjechali do Kioga po latach, na chwilę znów stali się dziećmi. Chodzili tu i tam, zachwycając się wszystkimi zmianami, jakich dokonała Olivia.

- Cieszę się, że przyjęłaś moją propozycję - powiedziała babcia. - Bardzo chciałam, żebyś tu wróciła.

- Niespodziewanie w jej oczach zamigotały wesołe iskierki. - A teraz musisz doprowadzić do końca jeszcze jedną sprawę.

- Chodzi ci o Connora Davisa? - upewniła się Olivia.

- Dare wypaplała wam wszystko, prawda? - Westchnęła i zacisnęła palce na balustradzie. - To... trochę skomplikowane. Nie mam tyle szczęścia, co ty, babciu.

- Szczęście! - prychnęła Jane Bellamy. - Tak może myśleć tylko ktoś naiwny. Wielkie miłości i wspaniałe małżeństwa nie zdarzają się ot, tak sobie, niczym wygrana na loterii. Trzeba je budować żmudnie i powoli. I trzeba się o nie troszczyć, co nierzadko wymaga ciężkiej pracy. Małżeństwo to nie jest pobyt w uzdrowisku, gdzie wszyscy troskliwie się tobą zajmują, aż wpadniesz w błogostan.

- Nie jestem aż tak naiwna, żeby tego nie rozumieć - odparła Olivia. - Ale zawsze istnieje ryzyko... odrzucenia.

Kolejne prychnięcie.

- Jeśli podejmujesz jakieś ryzyko, to czemu nie zaryzykować z miłością?

Bo w tym jestem do niczego, jasne? - pomyślała Olivia, ale w porę ugryzła się w język.

Przechodzący kelner zaproponował im szampana. Wypiły za swoje zdrowie. Nerwowe napięcie zelzało. Babcia westchnęła.

- Charles i ja podjęliśmy decyzję co do Kioga - powiedziała. - I tak długo z tym zwlekaliśmy.

- Co chcecie zrobić?

- Żywiliśmy nadzieję, że otworzymy bramy obozu nie tylko dla dzieci, ale dla całych rodzin. Ludzie teraz są strasznie zabiegani. Rodziny się rozpadają. A w tym miejscu mogłyby znów zebrać się razem. Prywatne chatki, wspólne posiłki, planowe działania... Oczywiście, wszyscy zostawaliby tu jedynie przez tydzień czy dwa, ale cała kiogańska tradycja zostałaby zachowana. A do tego doszłyby na przykład wieczorne spotkania przy kieliszku wina dla dorosłych. Ostatnio sporo się mówi o wznowieniu idei rodzinnych obozów. - Babka dokończyła szampana i odstawiła kieliszek. - Miło planować, ale niestety...

- Co się stało?

- Na początku roku rozmawialiśmy z Sophie i Gregiem o tym projekcie. Wydawało się nam, że byli nim bardzo zainteresowani. Niestety, ten plan nie wypalił. Z wiadomych przyczyn. Teraz Greg będzie miał za dużo problemów i nie chce dobijać go prowadzeniem obozu. - Babka przygarbiła się, jakby pod ciężarem rozczarowania.

- Coś się wymyśli - próbowała pocieszyć ją Olivia. - Nie martw się.

- Mówisz dokładnie to samo, co Charles. Zaczynam myśleć, że trzyma jeszcze jakiegoś asa w rękawie.

Weszły do środka i dołączyły do ojca Olivii, który razem z Jenny rozmawiał z Charlesem. Philip przedstawił już ich sobie na osobności, poprzedniego dnia. Jenny wyglądała uroczo, ale była nieco zagubiona. Wpatrywała się wielkimi ciemnymi oczami w babcię i dziadka, tak samo zresztą jak w całą resztę nieznaną dotąd krewnych szalejących na parkiecie i uczujących przy stołach.

- Właśnie mówiłem Jenny, że poznaliśmy jej dziadków, zanim zostaliśmy małżeństwem - powiedział Charles Bellamy.

- To prawda. Pierwszy słodki kołacz z serem kupiłam w Sky River w dniu jej otwarcia, czwartego lipca tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego drugiego roku - dodała Jane.

- Co za pamięć! - zdumiała się Jenny.

- Kołaczy Helen nie da się zapomnieć - odrzekła z uśmiechem babcia. - Mam nadzieję, że jutro będziemy mogli złożyć jej wizytę.

- Oczywiście - powiedziała Jenny, a Olivia zauważyła, że jej siostra jest bliska łez.

- Zatańczysz ze mną, Jenny? - spytał z galanterią Philip, który chyba dostrzegł to samo, co Olivia: Jenny chwilowo miała dość.

Olivia nie potrafiła sobie wyobrazić, jak można się czuć, odkrywając tylu nowych krewnych naraz.

- Ale ja nie tańczę za dobrze - przyznała się Jenny.

- Ja też nie, ale marzę o tym, żeby zatańczyć ze swoją córką.

- Miałam pomagać przy torcie... - powiedziała z wahaniem w głosie.

- Ja się tym zajmę - wtrąciła się Olivia - a ty idź zatańczyć z tatą.

Jenny wsunęła swą dłoń w dłoń ojca i razem weszli na parkiet, rozśmieszeni trochę całą sytuacją. Olivia stała i zastanawiała się, dlaczego czuje dziwny ucisk w gardle. To musi chwilę potrwać, pomyślała. Niełatwo przyzwyczaić się do faktu, że ma się siostrę, której się wcześniej nie znało. Zobaczyła, że babcia Gwen i dziadek Samuel śledzą wzrokiem tańczącą z Philipem Jenny.

- Jak bazyliuszki - szepnęła Dare, która przysłała pomoc Olivii przy torcie.

- Pogadam z nimi. - Olivia zaniósła dwa talerze do stołu Lightseyów. - Czy dobrze się bawicie? - spytała radośnie.

- Och, oczywiście - odrzekł dziadek Samuel.

- A gdzie jest mama? - Rozejrzała się zdziwiona Olivia.

- Niestety źle się poczuła i wróciła do hotelu. Żołądek Olivii zacisnął się w supeł.

- Wiem, że sytuacja jest niezręczna, ale chciałabym, żebyście zrozumieli naszą radość.

Jenny jest cudowną dziewczyną - powiedziała.

- Wygląda rzeczywiście miło - zgodziła się Gwen, odsuwając na bok swój kawałek tortu bez próbowania. - I rozumiemy, że nic z tego, co się stało, nie jest jej winą. Ale powinnaś zastanowić się, Olivio, co to oznacza dla ciebie.

Olivia zdawała sobie sprawę, że odtąd ojciec będzie dzielić uczucia między nią a Jenny. Podobnie zresztą jak i majątek.

- Nie ma sprawy - powiedziała. - Tata i ja długo o tym rozmawialiśmy. Ona jest jego córką tak samo jak ja.

Babcia Gwen pociągnęła nosem.

- Uważam, że powinnaś jednak dbać o swoje osobiste dobro... Czy nie tak, Samuelu?

- Och, bez wątpienia - powtórzył. Była to jego standardowa odpowiedź na wszystko, odkąd pogorszył mu się słuch.

Olivia dokonała taktycznego odwrotu. Rozumiała ich lojalność wobec Pameli, ale to nie była odpowiednia pora na takie dyskusje. Zmęczona gorącem i tłokiem panującym wokół, rozgrzana szampanem, wyszła na zewnątrz, aby zaczerpnąć trochę świeżego powietrza. Na dworze panował spokój. Słońce zaszło, a liliworóżowa luna nad horyzontem pograżała świat w tajemniczej poświacie.

Miała nadzieję... nie, wręcz modliła się o to, by Connor ją tu zobaczył. Wciąż nie znaleźli ani chwili dla siebie, a Olivia czuła się bez niego zagubiona. To było zupełnie nowe doświadczenie. Nigdy przedtem nie pragnęła dzielić się każdą cząstką siebie z kimś innym.

Gdy zastanawiała się nad zmianą swej osobowości, światła jakiegoś samochodu rozdarły mrok na parkingu. Zgasły, gdy auto się zatrzymało. W parę sekund później na ścieżce Olivia ujrzała sylwetkę wysokiego, szerokiego w ramionach mężczyzny. Iskra, która oderwała się od koniuszka żarzącego się papierosa, zatoczyła w powietrzu łuk i zgasła, gdy mężczyzna się zbliżył.

- Pan Davis? - spytała Olivia. - Proszę wejść do środka. Moi dziadkowie spodziewają się pana.

Terry Davis miał na sobie ciemne spodnie i nową koszulę, którą - jeśli sędzić po zagnieceniach - dopiero co musiał wyjąć z opakowania.

- Ja nie na długo - powiedział. - Przyszedłem złożyć wyrazy szacunku.

- Bardzo się ucieszę, widząc pana - zapewniła.

Wzruszył ramionami i wbił wzrok w ziemię. Był naprawdę dużym mężczyzną, wysokim i dobrze umięśnionym. Patrząc na niego, widać było, po kim Connor odziedziczył urodę, ale Davis senior wydawał się jakiś... pomniejszony przez swą pełną pokornego szacunku postawę.

- Prawdę mówiąc, to przyjechałem tutaj, żeby zamienić z panią słówko, panno Bellamy. Jeśli pani nie ma nic przeciwko temu.

- Skądże znowu... ale proszę mi mówić po imieniu.

- Dobrze, proszę pani. Chodzi o to, że pracuję nad krokiem dziewiątym, proszę pani.

- Nie rozumiem.

- Z mojego dwunastokrokowego programu trzeźwienia, znaczy. Ten krok prowadzi do naprawienia krzywd, jakie się ludziom w przeszłości powyrządzało. A było tego sporo. Z panią włącznie.

- Jak to? - Olivia nie mogła sobie przypomnieć, by ten pocziwiec kiedykolwiek ją skrzywdził. - Ale ja nie...

Uniósł rękę.

- Chcę spróbować to jakoś naprawić, na ile potrafię.

- No dobrze... I uważa pan, że mogę jakoś w tym pomóc?

- Starczy, jak mnie pani wysłucha.

Zawahała się, potem usiadła u dołu schodków wiodących do głównego wejścia.

- Proszę, niech pan mówi. Usiadł obok niej.

- To powiem pani o jednej nocy sprzed dziewięciu lat. Pani wie o której.

- Dlaczego nic mi nie powiedziałaś? - spytała Olivia Connora.

Gdy go wreszcie znalazła, wieczór minął i było już blisko północy.

Connor stał przy barze i prowadził rozmowę - na oko bardzo cywilizowaną - z Freddyem. Gdy Olivia go zobaczyła, niemal zapomniała, co takiego właściwie zamierzała mu powiedzieć. Pierwszy raz podczas całej nocy miała szansę na niego popatrzeć i okazało się, że jednoczesne przyglądanie się Connorowi i myślenie jest dla niej zadaniem niewykonalnym.

- O czym ci nie powiedziałem? - zdziwił się.

Zaczerwieniła się, czując, że patrzy na nich co najmniej kilka par oczu, i wyprowadziła go na zewnątrz, we względnie zacisze tarasu, teraz rozjaśnionego migającymi światełkami.

- O tym, o czym niedawno mówił mi twój ojciec. Opowiedział parę rzeczy o tamtej ostatniej nocy na obozie dziewięć lat temu. Takich, których ty ani razu nie raczyłeś mi wytłumaczyć.

- Na przykład? - Connor przybrał postawę obronną. Stał się sztywny i wyczuwalnie nieustępliwy.

- Powiedział mi, że tamtej nocy za dużo wypił.

- Robił to co noc.

- Ale dziewięć lat temu pojechał do Hilltop Tavern. A wracając, wjechał autem do rowu. Powiedział mi, że zjawileś się przy nim, zanim przyjechał patrol drogówki, usiadłeś za kierownicą i zeznałeś, że to ty byłeś kierowcą. Dzięki temu twój ojciec uniknął oskarżenia o prowadzenie auta w stanie nietrzeźwym.

- Tak było. No i co?

- To, że nigdy mi o tym nie powiedziałaś. Connor, jak mogłeś?

- To nie dotyczyło wyłącznie mnie. Gdyby nie ci anonimowi alkoholicy...

- Przez ciebie myślałam... - powiedziała niewyraźnie, czując, jak cały zastarzały ból powraca.

- ...że to wszystko była twoja wina? Auuu! Zabolało.

- Co innego mogłam sobie pomyśleć? To nasuwało się samo przez się. Gdybyś mi powiedział...

- O, Chryste! Myślisz, że tak łatwo mówić innym, że twój ojciec to pijak? Co by to zresztą zmieniło?

Pamięć wydarzeń sprzed dziewięciu lat wciąż była bolesna.

- Byłeś moim pierwszym chłopakiem. Tamta noc i to, co chcieliśmy wtedy zrobić... to znaczyło dla mnie wszystko. Wszystko. A potem zrobił się z tego szczeniacki dowcip, a ty zniknąłeś...

- Lolly - w cichym głosie Connora pobrzmiwał smutek. - Tamtej nocy to ty odeszłaś, nie ja.

O, Boże. Miał rację. Zawsze go obwiniąca, ale wtedy to przecież ona dokonała wyboru i nigdy potem już nie sprawdziła, co się naprawdę stało. Spędziła dziewięć lat w przekonaniu, że Connor uciekł od niej tamtej nocy, a teraz stanęła twarzą w twarz z rzeczywistością. Było zupełnie inaczej, niż myślała. Wtedy to ona uciekła z miejsca przy wodospadzie i nawet nie obejrzała się za siebie. Teraz zrozumiała, że gdyby to zrobiła, ujrzałaby, jak Connor, ignorując szyderstwa i pijanych drużynowych, porywając części swego ubrania, biegnie za nią.

Dopiero parę minut temu Terry Davis wyjaśnił jej nareszcie, dlaczego Connor nie dotarł tamtej nocy do chatki Olivii. Ktoś dał mu znać, że jego ojciec wpadł w kłopoty. To, co po tym nastąpiło, brzmiało jak opis koszmaru. Connor wmówił policjantom, że to on był kierowcą.

- Twój ojciec powiedział mi, że wsadzili cię do okręgowego więzienia w Kingston.

- To prawda.

Z jego twarzy nie można było nic wyczytać, ale Olivia wiedziała, że pod maską obojętności kryje się otchłań bólu. Był samotnym, przerażonym chłopakiem, który próbował ratować ojca przed poważnym oskarżeniem i wyrokiem. Wyobrażała go sobie zeznającego w ostrych światłach lamp, wrzuconego pomiędzy sobotnich gości zakładu karnego, ośmieszzonego i „pokancerowanego”, jak to określił jego ojciec.

- Mogłeś mi powiedzieć. Zadzwoń albo... Na jego wargach zagościł nikły uśmiech.

- Lolly, tego nie dało się zrobić tak, po prostu. Każda próba wytłumaczenia ci wszystkiego tylko by pogorszyła sprawę.

Skinęła głową, dzieląc ból tamtego chłopca, którym Connor niegdyś był. Skrywał w sobie tyle cierpienia. Nawet jej nic o tym nie mówił. Miał skomplikowane i zawile życie.

Zrozumiała ostatecznie różnicę między sobą i nim. Jej dzieciństwo nie było idealne, ale przynajmniej je miała. Na obozie zbyt łatwo zapominało się o dzielących ich różnicach. A było tak, że Connor, dorastając, musiał radzić sobie sam, a na dodatek jeszcze opiekował się własnym ojcem. Tak jak zrobił to tamtej nocy.

Według Terry'ego osadzenie syna w więzieniu, do którego powinien trafić on sam, było punktem zwrotnym w jego życiu. Było tym dnem, gdzie się spada, żeby mieć się od czego odbić. Właśnie po tym zdecydował się wytrzeźwieć i rozpoczął kurację odwykową.

A Olivia wróciła wówczas do Nowego Jorku, zainstalowała się w internacie, zaczęła studia w college'u i udawała, że całe minione lato w ogóle się nie zdarzyło.

- Co mogłoby być gorsze od rozstania bez słówka wyjaśnienia? - spytała, przypominając sobie agonię uczuć, jaką wtedy przeszła.

- Stracić cię teraz - odpowiedział po prostu i dodał z ciepłym uśmiechem: - To byłoby cięższe. - Pochylił się i pocałował ją w usta. - Zakładając oczywiście, że teraz jesteśmy razem.

Oszołomiona jego pocałunkiem chciała tylko jednego - żeby Connor go powtórzył. Zastygła na chwilę. Czekała, aż chłodny powiew znad jeziora ostudzi nieco jej myśli.

- Ja temu nie zaprzeczam - powiedziała.

Chciała, żeby posadził ją za sobą na motorze i wywiózł na wzgórze, skąd nie ma odwrotu. Chciała, żeby ich drogi połączyły się w jedną, tak jak połączyły się już ich serca.

- Chciałabym tylko... - urwała, bo nie znalazła odpowiednich słów. - Chciałabym mieć pewność, że tym razem nie popełniam błędu. Tyle razy się myliłam, że w końcu przestałam wierzyć samej sobie.

Zachichotał cicho.

- Ja nie uratuję cię przed pomyłką, Lolly. Ani nikt inny, nawet ty. A tak właściwie to dlaczego chcesz tej pewności?

Tak po prostu, pomyślała. Miała za to tendencję do przekombinowywania wszystkiego. Connora natura obdarowała czymś naprawdę niezwykłym: prostotą myśli i wypowiedzi.

Ale...

- Czasem po prostu trzeba skoczyć i wierzyć, że się miękko wyląduje, Lolly.

Nie mogła uwierzyć, że wypowiadając te słowa, Connor się uśmiecha tak, jakby się nimi cieszył.

- Connor, ale każde z nas już porządziło sobie po swojemu życie. Nie wiem, jak by to mogło wyjść...

- Przeprowadziłabyś się do Avalon i razem zbudowałibyśmy dom. No i powiedziałabyś swoim dziadkom, że rozpatrzysz możliwość ponownego otwarcia obozu. - Był irytująco rzeczowy.

- Rozmawiałeś z dziadkiem i Gregiem?

- I to długo.

Olivia przygryzła wargę i zapatrzyła się na niego. Przycisnęła dłonie do dziko wytwornego materiału jego smokingu, czując bijące spod tkaniny ciepło jego ciała. Jej serce podskoczyło ze szczęścia, ale równocześnie coś w Olivii zaczęło się buntować. Zaczęła się cofać. Connor chciał od niej tego samego, co Rand Whitney: żeby porzuciła życie, które zbudowała sama dla siebie, i żeby zostawiła pracę, której poświęciła tak wiele zmagania i troski.

- Ten pomysł co do obozu... Myślę, że będą z tym problemy. Taki azyl dla całych rodzin to wspaniała idea, ale nierealna - powiedziała.

Connor powiódł wokół siebie ręką, jakby chciał wskazać jej całą okolicę.

- To miejsce zaczęło się od marzenia. Nigdy ci tego nie mówiłem, ale moje marzenia również stąd wzięły swój początek. Już po pierwszym pobycie na obozie wyobraziłem sobie życie, jakie chciałbym prowadzić. I przekonałem się, że nie jest ono nieosiągalne. To było dla mnie... wielkie odkrycie. Nawet nie potrafię ci powiedzieć, jak wielkie.

Przypomniała sobie tamtego gniewnego błękitnookiego chłopca w hiphopowych ciuchach i trampkach posklejanych taśmą izolacyjną. Szkoda, że nie można cofnąć się w przeszłość. Chciałaby wziąć go w ramiona, objąć i powiedzieć mu, że wszystko się dobrze ułoży. Kiedyś miała tę szansę. Lata temu. Ale ją zaprzepaściła.

- Tak się cieszę... - zaczęła i urwała z nerwowym śmiechem. - Właściwie nie wiem z czego. Z tego, że mieliśmy to lato. Że może my...

- Że może my co? - Podłożył pod jej dłonie swoje i splótł swe palce z jej palcami. - Słuchaj, potrafię się dostosować. Jeśli nie podoba ci się pomysł zamieszkania tutaj, możemy zamieszkać tam, gdzie ty sama zechcesz.

Znowu tak po prostu.

- Wyjechałbyś do miasta? Dla mnie?

- Cholera, dla ciebie pojechałbym na Ziemię Ognistą, jeślibyś tylko zechciała!

Popatrzyła na ich dłonie. Przyciśnięte do siebie. Splecione palcami. Trzymali się tak samo jak wtedy, gdy ostatnio dzielili się swą miłością.

- Nie jestem pewna, co chcesz teraz ode mnie usłyszeć.

- Wystarczy, jeśli mnie posłuchasz. Lolly, kocham cię. Kochałem cię, kiedy byliśmy jeszcze dziećmi i to się nigdy, przenigdy nie zmieniło, nawet jeśli ci o tym nigdy nie mówiłem. Zamiast tego skrzywdziłem cię i pozwoliłem ci odejść. Nie zrobię tego znowu, najdroższa. Teraz jesteśmy dorośli. Zdajemy sobie sprawę z tego, co robimy. Zechcesz być ze mną?

Była oszołomiona. Jej serce nabrzmiwało ostrożną, ale niemożliwą do powstrzymania radością.

- Mam wrażenie, że utknęłam tam, gdzie mówiłeś, że mnie kochasz.

- To dobre miejsce na utknięcie. Kocham cię i będę cię kochał każdego dnia, całe swoje życie. Pochodzimy z dwóch zupełnie różnych światów. Każde z nas wiodło życie w zupełnie inny sposób, ale istnieje między nami to coś, co istniało od zawsze. Lolly, powiedz mi, że sobie tego nie wyobraziłem.

Jej gardło nabrzmiałe od łez bolało przy przełykaniu. Ale zabroniła sobie płaczu. Zabroniła sobie niszczenia łzami tej najdoskonalszej z doskonałych chwil.

- Connor... Ja też cię kocham - szepnęła. Te słowa wytrysnęły z niej jak woda z ukrytego źródła. - I tak było od zawsze, nawet wtedy, gdy myślałam, że cię nienawidzę.

Uśmiechnął się i dotknął jej policzka.

- Wiem, kochanie, wiem...

Gdy uniosła głowę, aby spojrzeć mu w twarz, poczuła, że łzy wyschły i znikły. Zamiast nich czuła czystą radość. On to sprawił. On dał jej poczucie bezpieczeństwa. Czyżby miłość była aż tak prostą rzeczą?

Wypuścił ją na chwilę z objęć i zerknął na zegarek.

- Czy coś się stało? - zapytała.

- Trochę mi się śpieszy - uśmiechnął się nerwowo.

- Chcę coś zrobić jeszcze przed północą.

- A co takiego?

- Pomyślałem, że dobrze będzie oświadczyć ci się na złotych godach twoich dziadków.

Serce Olivii przyspieszyło. Wpadła w panikę, chociaż przecież tego właśnie chciała.

Może to wariactwo, ale ma swój sens.

- Oświadczasz mi się?

- Noo... jeszcze nie zacząłem. Zbieram siły.

Olivia wybuchnęła śmiechem. Ogarnęła ją radość - nie ta dawna ostrożna i przyczajona, ale prawdziwa, bezgranicznie wielka radość.

- Zrób to natychmiast! - nakazała. - Spytaj mnie natychmiast!

- W tej chwili?

- W tej chwili - powtórzyła, oplatając go ramionami. - Bo nie mogę się doczekać, kiedy powiem ci „tak”!

EPILOG

„KURIER AVALOŃSKI" 2 WRZEŚNIA 2006

Pan Philip Bellamy z Manhattanu i pani Pamela Lightsey Bellamy, również z Manhattanu, zawiadamiają o zaręczynach swojej córki, Olivii Jane, z Connorem Davisem, synem Terence'a Davisa z Avalon w stanie Nowy Jork.

Panna Bellamy, która ukończyła z najwyższą lokatą uniwersytet Columbia, w związku z planowanym ślubem przeprowadza się do Avalon. Pan Davis jest właścicielem firmy budowlanej w Avalon i tej jesieni rozpoczyna nowe przedsięwzięcie: budowę domu przy nadrzecznej drodze. Ślub planowany jest w sierpniu.

Panna Bellamy i jej narzeczony mają zamiar przejąć zarządzanie Obozowiskiem Kioga, którego ponowne otwarcie, tym razem jako letniska dla rodzin z dziećmi, przewidziane jest latem przyszłego roku.

